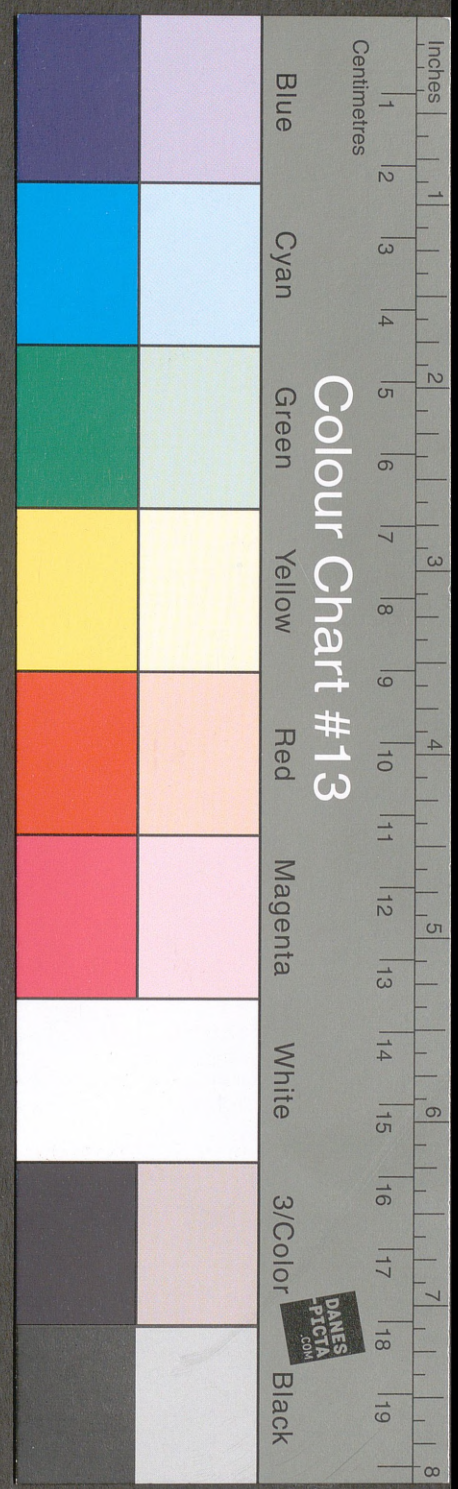
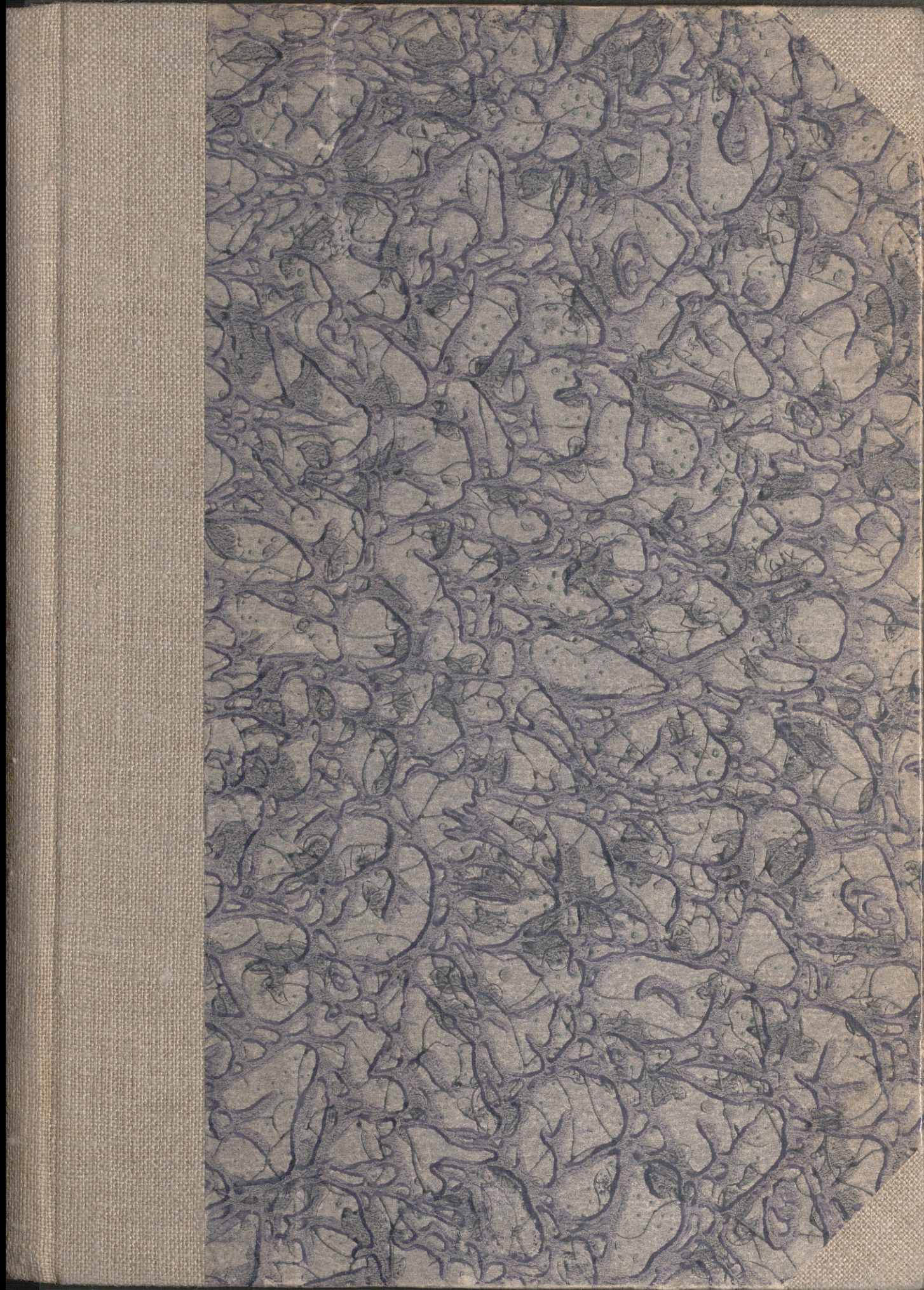


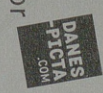
Grey Scale #13

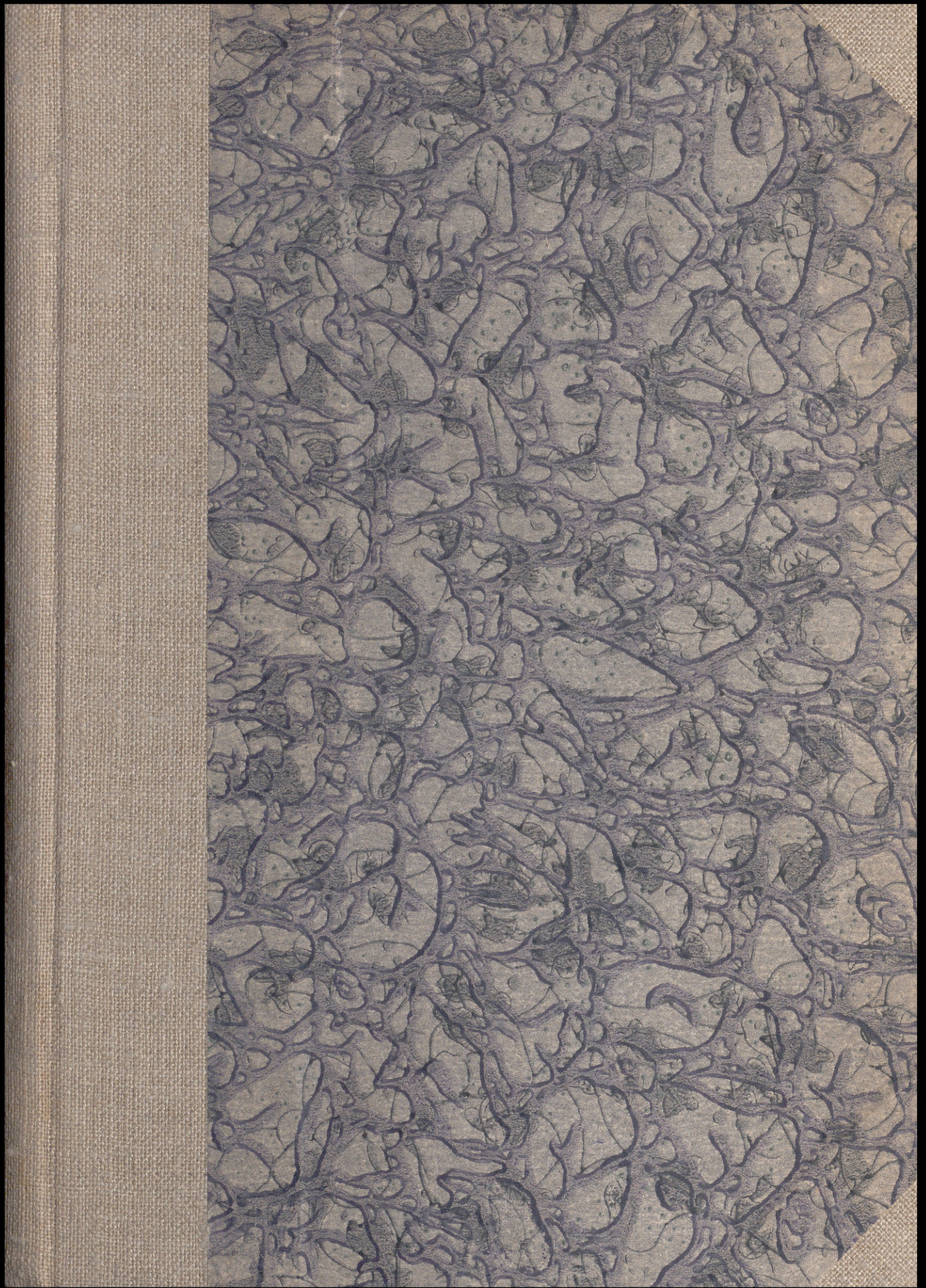


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

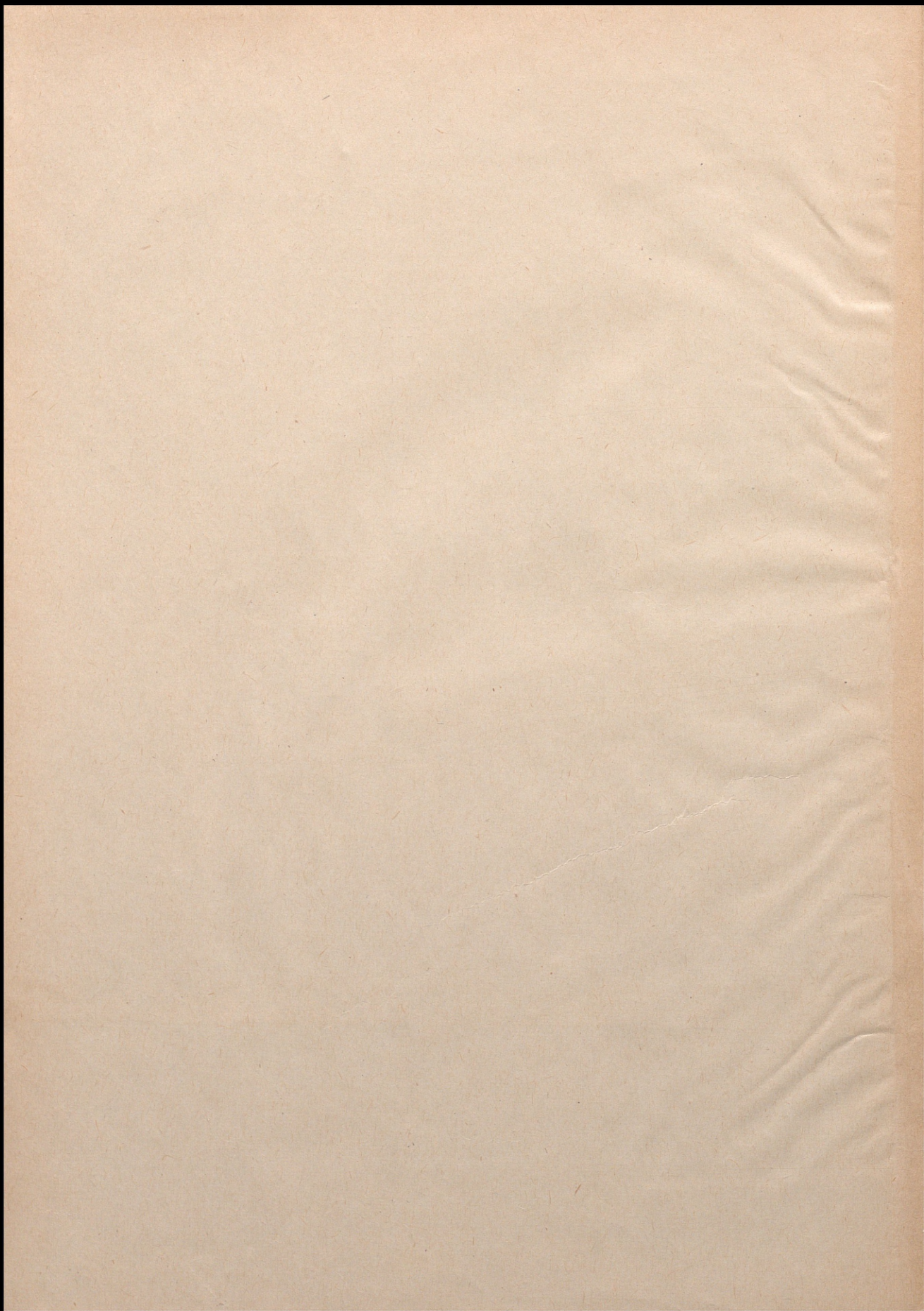


Colour Chart #13





SZTURM BERLINA



S Z T U R M
B E R L I N A

P R A C A Z B I O R O W A

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

WARSZAWA 1951

T y t u ł o r y g i n a ł u
„S Z T U R M B E R L I N A”
P r z e k ł a d z r o s y j s k i e g o

CZYTELNIA

503/3

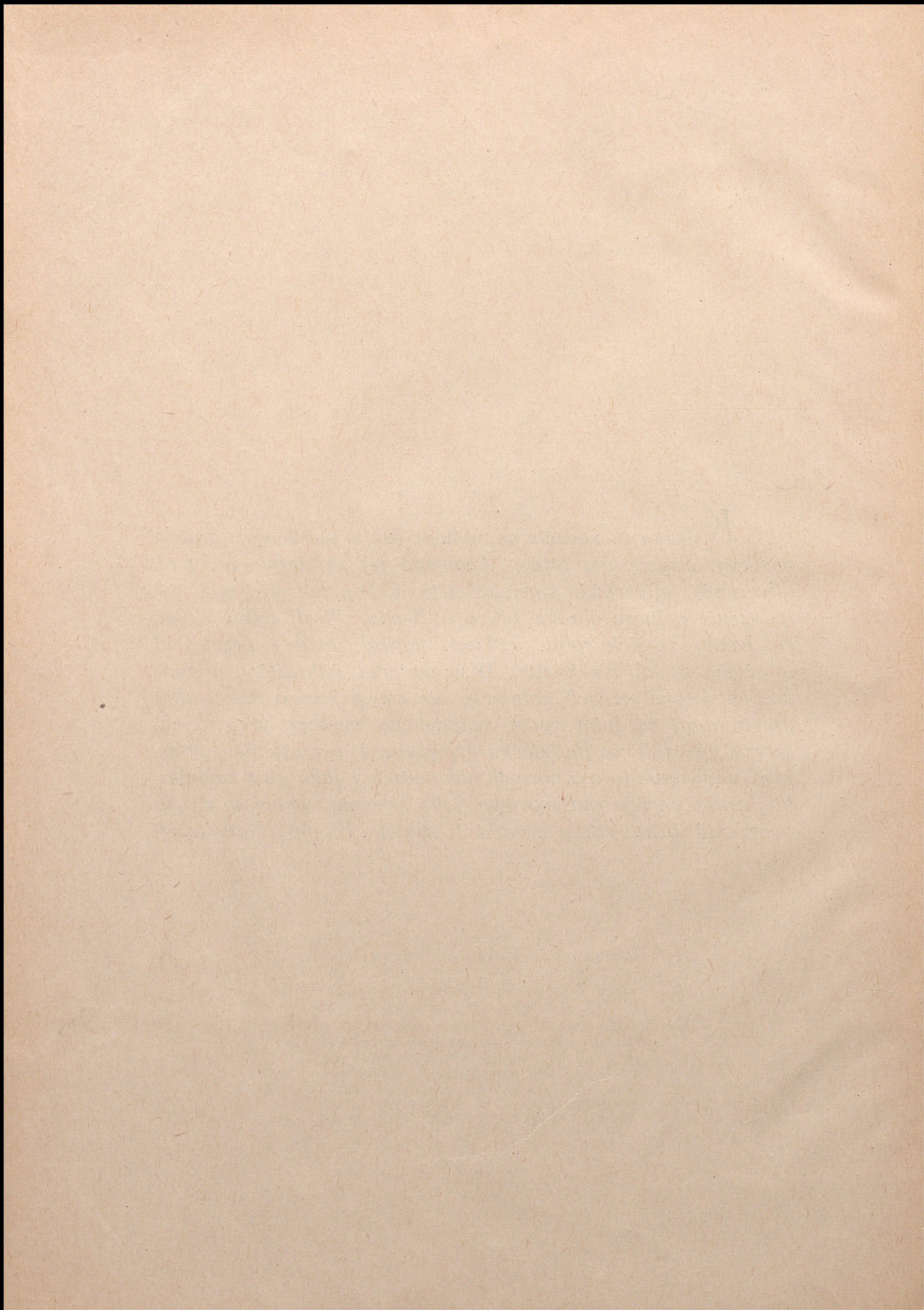


Redaktor L u d w i k D r u s z c z

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1951. Printed in Poland.

Drukowano w nakładzie 7 000 egz. Format A₄, na papierze ilustracyjnym, V kl. 70 g. w drukarni Wydawnictwa MON w Warszawie. Skład 26¼ arkusza wyd. (27¼ ark. druk.) rozpoczęto 5. X. 51. Druk zakończono 20. V. 51. Zam. Nr 1611. B-1-122 156.

*K*siążka ta zaczęła powstawać już w pierwszych dniach wielkiej, zwycięskiej bitwy. Autorami jej są żołnierze, podoficerowie, oficerowie i generałowie. Celem ich nie było odtworzenie pełnego obrazu bitwy o Berlin. Pisali tylko o tym, co każdy z nich robił, widział, myślał, czuł i przeżywał w czasie ataku na Berlin. Wspomnienia nakreślone w tych dniach, gdy w sercach żołnierzy nie ostygł jeszcze żar walki, drogie nam są jako żywe świadectwo wydane przez tych, którzy walczyli za Radziecką Ojczyznę i wyzwolenie ludów, jako wspomnienie o zmarłych bohaterach i jako głos zwycięskiej armii narodu radzieckiego, jako skromny wkład w dzieło tworzenia bohaterskiej kroniki Wielkiej Wojny Narodowej.



BITWA O BERLIN

Bitwa o Berlin była właściwie ostatnią operacją, która uwieńczyła Wielką Wojnę Narodową narodu radzieckiego przeciw niemieckim najeźdźcom faszystowskim.

W bitwie tej wojska radzieckie rozbiły wielkie zgrupowanie strategiczne armii niemieckiej i zdobyły Berlin — stolicę faszystowskich Niemiec.

Po utracie Berlina, głównego ośrodka politycznego, gospodarczego i wojskowego, faszystowskie Niemcy nie mogły stawiać dłużej zbrojnego oporu. 8 maja 1945 roku przedstawiciele niemieckiego naczelnego dowództwa podpisali akt o całkowitej i bezwarunkowej kapitulacji.

Naród radziecki i jego siły zbrojne pod wodzą wielkiego Stalina odniosły wspaniałe zwycięstwo nad faszystowskimi Niemcami i ich sprzymierzeńcami, Czerwony Sztandar Zwycięstwa, wzniesiony przez wojska radzieckie nad gmachem Reichstagu, był symbolem zwycięskiego zakończenia trudnej walki, jaką toczył naród radziecki i jego siły zbrojne w imię wolności, honoru i niepodległości swojej socjalistycznej Ojczyzny, w imię wyzwolenia ludów Europy spod jarzma faszyzmu.

Świetne zwycięstwo wojsk radzieckich w bitwie o Berlin przygotowane zostało przez wszystkie poprzednie operacje ofensywne Armii Radzieckiej, a bezpośrednio przez operacje przeprowadzone zimą 1945 roku.

Jak wiadomo, zimą 1945 roku wojska radzieckie rozbiły największe ugrupowania nieprzyjaciela w Polsce Centralnej, Prusach Wschodnich, na Pomorzu i Śląsku. Wojska radzieckie znalazły się w bezpośrednim pobliżu Berlina. W operacjach tych faszystowskie Niemcy poniosły znów niezwykle ciężkie, niepowetowane straty, dalszemu zwiężeniu uległa ich baza wojenno-ekonomiczna.

Niemcy hitlerowskie znajdowały się na skraju przepaści, konwulsyjnie próbowały odroczyć dzień swej katastrofy.

Zwycięskie wojska radzieckie przygotowywały się do ostatnich decydujących walk, aby wykonać historyczny rozkaz Wodza Naczelnego, towarzysza Stalina — dobić bestię faszystowską w jej własnym gnieździe i zatknąć nad Berlinem Sztandar Zwycięstwa.

Wojska Stanów Zjednoczonych Ameryki i Wielkiej Brytanii dzięki sukcesom Armii Radzieckiej i przerwaniu wielkiej ilości wojsk niemieckich na front radziecko - niemiecki mogły znów posunąć się naprzód. Nie napotykając zorganizowanego oporu wojska anglo-amerykańskie przekroczyły linię Zygfryda, przepawiły się przez Ren i posuwały się na wschód ku centralnym rejonom Niemiec. Trzeba zaznaczyć, że i w tym ostatnim okresie wojny na froncie zachodnio-europejskim znajdowała się nieznaczna ilość sił zbrojnych Niemiec faszystowskich.

Przytłaczająca większość dywizji hitlerowskich, środków technicznych i lotnictwa skoncentrowana była na froncie radziecko-niemieckim.

Niemcy oczekiwali nowego ciosu wojsk radzieckich w kierunku na Berlin. Skoncentrowali tu oni maksimum sił i środków dla uporczywej obrony Berlina, solidnie umocnili zarówno samo miasto jak i jego przedpola.

Przygotowując się do rozpaczliwej walki o stolicę Rzeszy i centralne obszary kraju, dowództwo hitlerowskie dążyło do maksymalnego przedłużenia wojny licząc na możliwość rozłamu w koalicji antyhitlerowskiej.

Faszystowscy wodzireje i przywódcy rozbójniczego imperializmu niemieckiego podejmowali szereg akcji zmierzających do zerwania albo w każdym razie gwałtownego pogorszenia, stosunków między ZSRR z jednej a Anglią i USA z drugiej strony.

W szczególności wysunięto hasło: „Lepiej oddać Berlin Amerykanom niż wpuścić doń Rosjan“. — Jeńcy zeznawali: „Oficerowie twierdzą, że poczynione będą wszelkie wysiłki, aby nie dopuścić do wzięcia Berlina przez Rosjan. Z dwojga złego zostanie wybrane mniejsze zło, tj. jeśli trzeba będzie oddać miasto, to tylko Amerykanom“. „Przeciw Rosjanom trzeba się bić z całą zaciekłością tak, aby Amerykanie przed Rosjanami wkroczyli do Berlina“. Prowokacyjny charakter miały też czynione przez Niemcy próby nawiązania odrębnych rokowań z dowództwem anglo-amerykańskim już podczas bitwy o Berlin. W tym samym wyraźnie prowokacyjnym celu w toku bitwy o Berlin Hitler osobiście rozkazał wycofać dwunastą armię niemiecką z Łaby, gdzie działała ona przeciw wojskom amerykańskim, i skierować ją przeciw wojskom radzieckim.

Rozkaz ten opublikowany został w niemieckich gazetach i nadany przez radio. Manewry hitlerowców nie doprowadziły jednak do niczego, ponieważ od samego początku wyraźnie zostały zrozumiane i zdemaskowane przez radzieckie naczelne dowództwo.

Jeszcze w styczniu 1945 roku, gdy tylko wojska radzieckie przełamały linie obronne nieprzyjaciela nad Wisłą. Hitlerowcy pośpiesznie przystąpili do budowy linii obronnych na terytorium Niemiec.

Szczególnie intensywnie prowadzone były prace fortyfikacyjne w lutym, w związku z osiągnięciem przez wojska radzieckie Odry i Nysy, kiedy bezpośrednio zagrożone zostały centralne obszary Niemiec i sama stolica Niemiec faszystowskich — Berlin.

Niemcy stworzyli silne pod względem saperskim i rozbudowane w głąb pozycje obronne, w pełni wykorzystując sprzyjające obronie warunki terenowe. Wszystkie pasy obrony z reguły biegły wzdłuż rzek, kanałów, jezior, grzbietów wzgórz, masywów leśnych. Te przeszkody naturalne wzmocnione zostały przeszkodami różnego rodzaju.

Istnienie znacznej ilości wielkich skupisk ludności, zakładów przemysłowych, poszczególnych folwarków z murowanymi budowlami pozwoliło nieprzyjacielowi szybko przygotować wiele silnych ośrodków i punktów oporu, które stały się zasadniczym szkieletem systemu obronnego.

Przed rozpoczęciem operacji berlińskiej ogólna głębokość odrzańskounyskiej linii obronnej, z berlińskim rejonem umocnionym włącznie, dochodziła do 100 kilometrów.

Na wszystkich ważniejszych kierunkach stworzono najbardziej zwarte grupowania wojsk. Na kierunkach tych dowództwo hitlerowskie skoncentrowało większą część swych odwodów.

Plan operacji berlińskiej, opracowany według wskazówek i pod kierownictwem towarzysza Stalina, zdumiewa swą dokładnością, celowością i dostosowaniem do warunków, w których miał być wprowadzony w życie. Radzieckie naczelne dowództwo liczyło się z koniecznością zacieklej walk. Skoncentrowano taką ilość sił i środków, która całkowicie zapewniała wykonanie planu operacji. Na kierunkach głównych swych uderzeń wojska radzieckie miały decydującą przewagę nad nieprzyjacielem, zarówno w ludziach jak i w środkach technicznych.

Dowództwo radzieckie poświęciło wiele uwagi rozszerzeniu i odpowiedniemu przygotowaniu przyczółków na zachodnim brzegu Odry, skąd wojska radzieckie miały dokonać uderzenia na Berlin.

Walka wojsk radzieckich o zdobycie i rozszerzenie przyczółków na zachodnim brzegu Odry, która toczyła się w ciągu lutego i marca 1945 roku, przebiegała w bardzo ciężkich warunkach. Nieprzerwanie, jedno za drugim następowały niemieckie przeciwnatarcia z udziałem wielkich grup czołgów i stosowaniem masowych nalotów lotniczych. Wszystkie jednak próby zepchnięcia oddziałów radzieckich z zachodniego brzegu Odry i zlikwidowania radzieckich przyczółków okazały się daremne. Wojska radzieckie nie tylko zwycięsko odparły wszystkie przeciwnatarcia nieprzyjaciela, ale zadały mu ciężkie straty i przed rozpoczęciem bitwy o Berlin znacznie rozszerzyły zdobyte uprzednio przyczółki.

16 kwietnia 1945 roku, po zakończeniu wszystkich przygotowań, wojska radzieckie przeszły do decydującej ofensywy na Berlin. W trudnych, zaciętych walkach złamały one opór wroga, zdruzgotaly cały system jego umocnień i okrążyły Berlin.

Ogólna liczebność okrążonego zgrupowania hitlerowskiego w Berlinie sięgała 200 tys. ludzi, około 3 000 dział i moździerzy oraz około 250 czołgów i dział szturmowych.

Gubińsko-frankfurckie zgrupowanie hitlerowskie, otoczone w lasach na południowy wschód od Berlina, liczyło 200 tys. ludzi, przeszło 2 tys. dział i moździerzy oraz ponad 300 czołgów.

26 kwietnia wojska radzieckie przystąpiły do realizacji ostatniego etapu operacji — do rozbicia i likwidacji obu okrążonych zgrupowań nieprzyjacielskich.

Wszystkie próby przedarcia się z okrążenia na zachód, podejmowane przez gubińsko-frankfurckie zgrupowanie hitlerowskie, zakończyły się zupełnym niepowodzeniem. Daremne okazały się również podejmowane przez dowództwo hitlerowskie próby wyzwolenia tego zgrupowania przy pomocy uderzeń z zachodu siłami 12 armii. Do pierwszego maja zgrupowanie to zostało w znacznej części zlikwidowane w lasach na południowy wschód od Berlina.

Walki w samym Berlinie cechowało wyjątkowe natężenie i zaciekłość. Hitlerowcy walczyli z desperacją skazańców, ponieważ cofać się nie mieli nawet dokąd.

Bezpośredni szturm Berlina przez wojska radzieckie zaczął się faktycznie 21 kwietnia.

Dowództwo hitlerowskie starało się utrzymać Berlin za wszelką cenę, rozumiejąc, że upadek Berlina oznaczać będzie zupełną katastrofę władzy faszystowskiej. „Nie jest konieczne — głosił rozkaz sztabu obrony Berlina — aby każdy, kto broni stolicy Rzeszy, znał szczegółowo technikę sztuki wojσκowej. Znacznie ważniejsze jest, by każdy... wiedział, że walka o Berlin rozstrzygnie losy wojny“.

Przygotowania do obrony Berlina zaczęły się już w styczniu 1945 roku, zaraz po rozgromieniu przez wojska radzieckie obrony niemieckiej nad Wisłą. Berliński rejon obronny składał się z szeregu zamkniętych pierścieni obronnych i samego miasta. Dla stałego kierowania pracami obronnymi stworzony został specjalny sztab. Do prac obronnych zmobilizowano całą zdolną do pracy ludność Berlina, wykorzystano bataliony volkssturmu i jeńców wojennych. Przy pracach fortyfikacyjnych zatrudniano codziennie do 100 000 ludzi.

Berlin podzielony został na kilka wycinków obronnych. Do obrony każdego wycinka prócz wojsk przydzielona była specjalna załoga. Dowództwo nad każdym wycinkiem obronnym powierzono oddanemu władzy faszystowskiej dowódcy.

Wewnątrz wycinków organizowano obronę miasta według zasady tworzenia punktów i ośrodków oporu, współdziałających ze sobą ogniem i manewrem żywej siły, oraz maksymalnej rozbudowy przeszkód zarówno na przedpolach jak na ulicach i placach miasta. Im bliżej centrum, tym bardziej zwarty był system obronny.

W centralnej części Berlina linia obrony była ciągła. Nawet budynki zburzone wskutek nalotów bombowych wykorzystano do obrony. Ulice i zaułki zagrodzono mocnymi barykadami, które z trudem można było zburzyć nawet ogniem dział największych kalibrów.

W walce o Berlin przeciwnik starał się także w maksymalnym stopniu wykorzystać kanały przechodzące przez miasto.

Walka oddziałów radzieckich o Berlin komplikowała się jeszcze tym, że toczyła się ona nie tylko na powierzchni miasta, ale i pod ziemią. Niemcy wykorzystali dla działań bojowych rozległą sieć różnych podziemnych urządzeń miejskich — kolektorów, piwnic, specjalnych schronów podziemnych, linii i stacji kolei podziemnej — metro. Całe, broniące Berlin, zgrupowanie wojsk hitlerowskich znajdowało się na obszarze nie przekraczającym 325 kilometrów kwadratowych. Ogólna zaś długość linii frontu dokoła pierścienia sięgała 100 kilometrów.

Natarcie wojsk radzieckich rozwinęło się koncentrycznie. Potężne ciosy zadawane były równocześnie ze wszystkich stron.

Dowództwo hitlerowskie, organizując obronę Berlina, miało nadzieję, że w uporczywych i długotrwałych walkach ulicznych o każdą poszczególną dzielnicę, o każdą ulicę, o każdy dom, a w domach o piętra i mieszkania, oraz w walce w podziemiach — wojskom niemieckim uda się wykruszyć i wykrwawić wojska radzieckie. Nie udało im się jednak tego osiągnąć.

W rezultacie umiejętnie wykonywanych manewrów wojska radzieckie zajmowały nie poszczególne domy, lecz całe dzielnice miasta. Hitlerowcy próbowali bronić ulic, budowali na nich barykady, przegradzali polami minowymi i utrzymywali pod nieustannym ogniem artylerii i karabinów maszynowych. Radzieckie natomiast wojska, biorąc pod uwagę taktykę Niemców, dokonywały manewrów okrążających. Posuwały się one nie wzdłuż ulic, lecz przez podwórka, piwnice, z domu do domu, przebijając wyłomy w murach. Stawka dowództwa hitlerowskiego na prowadzenie przewlekłych walk w mieście została beznadziejnie przegrana. W ciągu jednego tylko dnia walk, 27 kwietnia, wojska radzieckie zniszczyły nieprzyjaciela w ponad 600 blokach. Tegoż dnia 27 kwietnia wojska radzieckie toczyły już walki w centralnej dzielnicy Berlina.

U schyłku 28 kwietnia położenie broniącego się w Berlinie zgrupowania niemieckiego stało się tak beznadziejne, że dowódca obrony Berlina, gen. Weindling, zameldował Hitlerowi o konieczności podjęcia próby przebicia się resztek załogi berlińskiej z miasta na zachód. Plan ten jednak Hitler odrzucił, wojska otrzymały rozkaz, aby bronić Berlina do ostatnich granic możliwości.

29 i 30 kwietnia rozgorzały zaciekle walki o centralny wycinek obronny i Reichstag, w którego stronę skierowane były ostrza uderzeń wojsk radzieckich.

Bezpośredni szturm Reichstagu zaczął się 30 kwietnia. O godzinie 14,25 tegoż dnia nad Reichstagiem powiewał już czerwony Sztandar Zwycięstwa, choć walka wewnątrz gmachu toczyła się jeszcze z nie słabnącym natężeniem do rana 1 maja, a poszczególne grupy hitlerowców ukryte w różnych zakamarkach piwnic Reichstagu stawiały opór aż do 2 maja.

W rezultacie walk 30 kwietnia położenie berlińskiego zgrupowania hitlerowskiego stało się beznadziejne.

Faktycznie zostało ono rozbite na cztery izolowane od siebie grupy. Przywódcy faszystowscy zupełnie potracili głowy. W drugiej połowie dnia 30 kwietnia sam Hitler zniknął. Rozeszła się pogłoska o jego samobójstwie. Pośpiesznie utworzono nowy „rząd“, który próbował wygrać na czasie drogą pertraktacji o zawieszenie broni.

Dowództwo radzieckie jednak z rozkazu Wodza Naczelnego, towarzysza Stalina, odrzuciło wszelkie propozycje rokowań o zawieszenie broni i zażądało niezwłocznej i bezwarunkowej kapitulacji wojsk niemieckich.

1 maja o godzinie 18,30 wojska radzieckie zadały miażdżące uderzenie ogniowe broniącemu się zgrupowaniu berlińskiemu. Hitlerowcy nie wytrzymali i zgodzili się na bezwarunkową kapitulację. Rankiem 2 maja załoga Berlina złożyła broń i zaczęła w sposób zorganizowany oddawać się do niewoli.

Bitwa o Berlin zakończyła się wspaniałym zwycięstwem wojsk radzieckich. Jak w zwierciadle odbiła się w niej cała dojrzałość i siła Armii Radzieckiej.

Radzieccy szeregowcy, podoficerowie, oficerowie i generałowie wykazali w tej gigantycznej bitwie, że są najlepszymi, najbardziej doświadczonymi żołnierzami świata.

Szturm Berlina pokazał całemu światu olbrzymią siłę Armii Radzieckiej, stworzonej, wychowanej i kierowanej przez wielkiego Stalina. Świadczy o tym każdy wiersz zebranych w tej książce wspomnień uczestników bitwy o Berlin.

NA ODRZAŃSKICH PRZYCZÓŁKACH

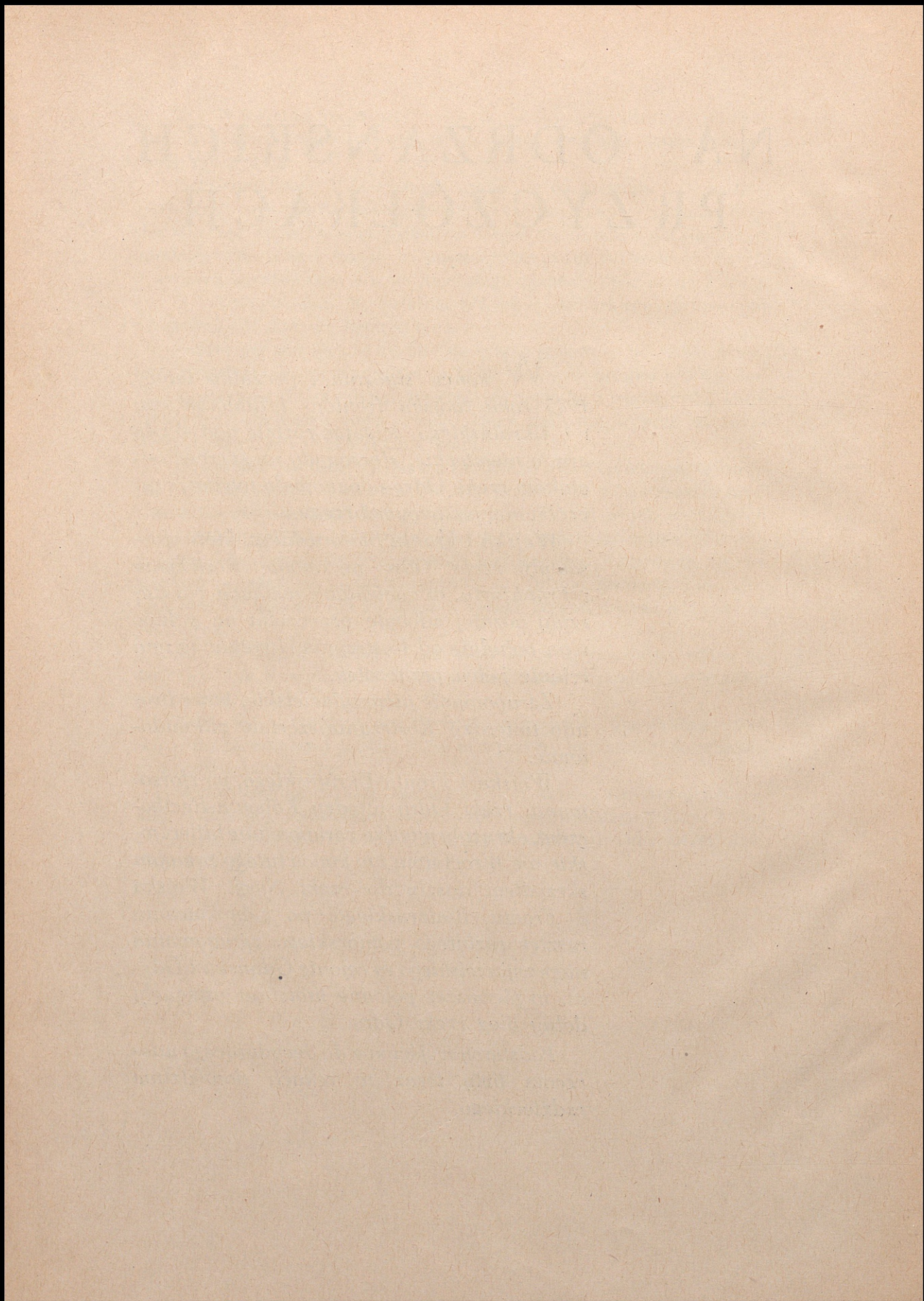
W końcu stycznia i początku lutego 1945 roku wojska frontów 1 Białoruskiego i 1 Ukraińskiego, ścigając rozbite nad Wisłą armie niemieckie, sforsowały na szeregu odcinków rzekę Odrę i opanowały ważne przyczółki na jej lewym brzegu.

Wojska 1 Frontu Białoruskiego, które sforsowały rzekę Odrę w rejonie Kostrzynia i Frankfurtu, w zaciekłych walkach rozszerzyły później zdobyte przyczółki na północ i na południe od Kostrzynia, tworząc w tym rejonie jeden przyczółek.

Zgrupowanie nieprzyjacielskie, które broniło twierdzy Kostrzynia, zostało zlikwidowane.

Wojska 1 Frontu Ukraińskiego, po sforsowaniu rzeki Odry między Köben a Raciborzem, okrążyły wielkie zgrupowanie hitlerowskie we Wrocławiu i w końcu lutego prawym skrzydłem doszły do rzeki Nisy. Wojska 2 Frontu Białoruskiego, po zablokowaniu resztek rozbitego pomorskiego zgrupowania nieprzyjacielskiego w rejonie Gdańska i Gdyni, w pierwszej połowie kwietnia osiągnęły dolny bieg rzeki Odry.

Podstawy wyjściowe do decydującego uderzenia były teraz w rękach dowództwa radzieckiego.



A. KORCZAGIN
SZEREGOWIEC

Koło młyna na brzegu Odry

Pułk w porywie natarcia szedł wciąż naprzód i naprzód, doganiając i niszcząc przeciwnika. Na drogach widzieliśmy rozbite, porzucone maszyny, wysokie niemieckie furgony, zatrzymane w ucieczce ku Berlinowi. Niemcy nie mogli uciekać tak szybko, jak szybko nacierała Armia Radziecka. Żołnierzom śpieszno było do Berlina, o którym jeszcze myśleli podczas obrony Stalingradu. Znużeni, w bezsenne noce, po styczniowym śniegu dokonywaliśmy wielokilometrowych marszów, śpieszyliśmy, aby na karku wroga sforsować Odrę, ostatnią przeszkodę przed skokiem na Berlin.

Hitlerowcy czynili wszystko, aby zatrzymać nasze natarcie. Ale nas nie mogło zatrzymać, jak nie może zima powstrzymać nadchodzącej wiosny. I oto Odra, obca, nieznana. Żołnierze usłyszeli znajomy głos swego nieustraszonego dowódcy, kapitana gwardii Wowczenki: „Naprzód, towarzysze!”. Kompania przeprowiała się po kruchym lodzie, załamywał się on pod ciężarem człowieka.

Na przeciwległym brzegu kompania zajęła obronę. Wróg gromadził siły za torem kolejowym, aby później uderzyć i zepchnąć nas do rzeki. Żołnierze okopywali się.

Noc. W powietrzu rozbłyskują nieprzyjacielskie rakiety i gasną; na minutę rzeka wynurzy się z mroku i zniknie znowu.

Zaskrzypi sześciolufowy moździerz, zagrzmią dalekonośne działa, karabin maszynowy śmiertelnościami ogniem rozerwie ciemności — wszystko zlewa się w znajomy, frontowy zgiełk.

Świta. Ziemia drga od wybuchów pocisków, samoloty nieprzyjacielskie opuszczają się nisko, sypią gęsto ołowiem.

Z lasu wynurzyły się hitlerowskie czołgi. Walily do kamiennego młyna, w którym znajdował się nasz pluton pod dowództwem Niedoboja. Posypały się kamienie, ale ludzie trzymali się twardo.



Niemiecka kompania pod osłoną czołgów przy wsparciu ognia moździerzy i artylerii nacierała na garstkę żołnierzy radzieckich. Cały nasz sprzęt pozostawał jeszcze na drugim brzegu. Przepawy nie było, a każdy rozumiał: jeśli nie utrzymamy się — zginiemy.

Przy erkaemie leżał Filip Czorny, młody chłopiec z okręgu odeskiego. Amunicyjnym był Usmanow z dalekich stepów Kazachstanu.

Ogromny, barczysty Niedobój leżał i podkręcał wąsy, czekając, aż wróg się zbliży.

„Ognia!“ — zagrzmiała komenda. Odezwał się krótkimi seriami kaem. Trzaskały pistolety maszynowe. Ogień był zgodny i gęsty, ale wciąż zdawało się nam, że tego jeszcze mało. Pracowaliśmy ze wszystkich sił. Na czoło występowały kropelki potu. Kaem zamilkł na chwilę — celowniczy zabity. Hitlerowcy już koło grobli. Usmanow zaczyna strzelać, ale jest już ciężko ranny. Kaem znów milknie.

Wtedy podniósł się Niedobój z erkaemem w jednej ręce, z granatem przeciwczołgowym w drugiej — podał komendę: „Naprzód, za mną!“ Zagrzmiało sławne rosyjskie „Hura“, zawrzała walka wręcz. Faszyci po utracie około trzydziestu żołnierzy wycofali się do lasu. Po krótkim jednak czasie ruszyli znowu do natarcia.

Niedobojowi pozostało zaledwie czterech żołnierzy — byli to Kudaka, Wdowin, Kowalewski i Klincew. Znów zaterkotał karabin maszynowy, znów poleciały granaty. Faszyci zbliżają się do stodoły, oto są już przy studni. Daliśmy sygnał czerwoną rakieta. „Żeby też nasi z tamtej strony postrzelali“ — przemknęło przez głowę. I nagle ze wschodniego brzegu zagrała „Katusza“, jej pieśń dobiegła do nas i zakończyła się w lesie, gdzie stały hitlerowskie czołgi. Radośnie załomotało serce. Wzbiły się rakiety czerwona i zielona.

Ruszyliśmy naprzód, ku linii kolejowej. Tamtędy wiodła najbliższa droga do nieprzyjacielskiej stolicy.

Batalion nad Odrą

Przebiliśmy się na wąskim odcinku frontu; z prawej i z lewej strony stał nieprzyjaciel i według wszelkich oznak przygotowywał się do zacieklego oporu. Przed nami była szeroka i głęboka rzeka, za nią wielkie ufortyfikowane miasto — Frankfurt nad Odrą. Na lewym brzegu, równoległe do rzeki, biegła linia kolejowa, niedaleko Frankfurtu przecinała ją druga, prowadząca za rzekę.

Nieustannie ciągnęły tędy transporty wojskowe — nieprzyjaciel ścigał posiłki i do Frankfurtu, i do tych swoich oddziałów, które trzymały się jeszcze na prawym brzegu. Most kolejowy pozostał w rękach wroga.

Dowództwo wyznaczyło mojemu batalionowi zadanie: wprost z marszu przepawić się za Odrę i opanować punkt, gdzie przecinały się linie kolejowe, jednym uderzeniem odciąć i Frankfurt, i te oddziały nieprzyjaciela, które pozostały na prawym brzegu rzeki.

Nocą z 8 na 9 lutego batalion rozpoczął przepawę. Przepawialiśmy się na łódkach, na tratwach. Dokoła było ciemno jak w kominie. Lał gęsty, uporczywy deszcz. Rzeka płynęła z gniewnym szumem. Na nasze łódki i tratwy co chwila wpadała szybko płynąca kra.

W pokojowych warunkach taka przepawa nikogo by nie uradowała, ale wojna zasadniczo zmienia znaczenie zjawisk. Toteż cieszyliśmy się wtedy z ciemności i z deszczu, i z kry. Była to pewna osłona naszych ruchów przed przeciwnikiem.

O świcie batalion był już za Odrą. Niemcy niczym nie zdradzali swej obecności w zaroślach nadbrzeżnych. Ale wiedzieliśmy, że są tu, jeszcze niedawno prowadzili stąd ogień. A teraz nie wiadomo dłaczego zamilkli. Może spostrzegli nas i przygotowują uderzenie?

Skrzyżowanie linii kolejowych, które mieliśmy opanować, znajdowało się w odległości około kilometra od rzeki. Między rzeką a skrzyżowaniem rozciągało się równe, niskie zalewisko. Skraj zalewiska, przylegający do rzeki, porośnięty był zaroślami. Zbyt ryzykowne byłoby iść do skrzyżowania wprost poprzez zalewisko. Wybrałem drogę okrężną, dłuższą, ale bezpieczniejszą: ukrywając się w zaroślach, posunąć się o półtora—dwa kilometry w górę rzeki, gdzie zalewisko staje się węższe, i tam przebiec na nasyp. Po drodze postanowiłem zbadać zarośla. Pomyślałem, że tam mogą być Niemcy i kiedy wyjdziemy na tor kolejowy, zagroziliby nam od tyłu. Przypuszczenia moje sprawdziły się — batalion nawet nie uszedł stu metrów, gdy natknęliśmy się na przeciwnika.

Okazało się, że Niemcy nie spodziewali się nas, najwidoczniej nie mogli sobie wyobrazić, żeby żołnierze radzieccy po ciężkich walkach, wprost z marszu przeprawili się przez taką rzekę jak Odra i to jeszcze w czasie splotu kry.

Kiedy rozległy się nasze strzały, nasze „Hura!“—wśród Niemców powstała panika. Rzucali broń, ekwipunek i uciekali.

Nie napotkaliśmy żadnego zorganizowanego oporu. Opierały się tylko jednostki. Ale zadawały nam wielkie straty, strzelając z „pięści pancernych“.

Po oczyszczeniu zarośli pochowaliśmy naszych poległych towarzyszy i ruszyliśmy ku skrzyżowaniu linii kolejowych. Ani na zalewisku, ani przy skrzyżowaniu Niemców nie było. Nie przyszło nam jednak na myśl, by przyczółek na lewym brzegu Odry uważać już za zdobyty. Pierwsze i stosunkowo łatwe powodzenie osiągnął batalion jedynie dzięki temu, że faszyci przegapili przeprawę, nie spodziewali się jej, nie dopuszczali nawet myśli, że jeden batalion żołnierzy radzieckich odważy się przekroczyć Odrę.

Oczekiwaliśmy, że nieprzyjaciel wkrótce uderzy na nas, i nie tracąc czasu zaczęliśmy budować pozycje obronne.

W ciągu nocy koło nasypu kolejowego, który wznosił się nad zalewiskiem na wysokość dwóch metrów i stanowił niezłą osłonę, wykopaliśmy rowy ciągłe, urządziliśmy gniazda karabinów maszynowych, ustawiliśmy armaty. Hitlerowcy jednak niczego nie przedsiębrali — jakby wszyscy wymarli. Na prawo od nas czerniły się olbrzymie, kamienne bryły Frankfurtu. Miasto było jakby oślepie i oniemiałe — ani wystrzału stamtąd, ani czołwieka. Na lewo wielka fabryka. Ta żyła, dymiała, huczała, pracowała. Za nami i przed nami leżało puste zalewisko. Ale oto trzeciego czy czwartego dnia rankiem nasi obserwatorzy dostrzegli dwadzieścia czołgów i dział szturmowych nieprzyjaciela. Posuwały się one wprost na nas i w ruchu prowadziły ogień.

Kiedy czołgi zbliżyły się na odległość dwustu metrów — podałem naszym armatom komendę. Zagrzmiała salwa — dwa czołgi zatrzymały się

i umilkły. Pozostałe posuwały się dalej. Po drugiej salwie unieszkodliwe zostało nieprzyjacielskie działo pancerne.

Tego dnia przeciwnik nie niepokoił nas więcej. Batalion ulepszał swe umocnienia. Nastąpił ranek 13 lutego. Nareszcie ustał deszcz, chmury rozproszyły się i ukazało się słońce.

Słońce... Słońce... Jakże było ono miłe wówczas dla nas, przemokłych i zziębniętych do kości.

Ale niedługo mogliśmy się radować spotkaniem ze słońcem. Hitlerowcy znów zaczęli przygotowywać się do natarcia, rozpoczęli ogień z ciężkich moździerzy.

Ostrzał z moździerzy trwał około pół godziny. Potem ruszyła na nas nieprzyjacielska piechota. Batalion dopuścił przeciwnika na odległość jakichś stu metrów i otworzył ogień ze wszystkich rodzajów broni.

Wróg poniósł ciężkie straty i cofnął się.

Po natarciu nastąpił nowy ostrzał z ciężkich moździerzy, a po nim drugie natarcie. I tak przez cały dzień: najpierw ogień artylerii a potem natarcie.

Nie minęło nawet pół dnia, gdy wszystkie nasze armaty — było ich cztery — zostały rozbite.

Kiedy nieprzyjaciel ruszył do ostatniego, dziewiątego natarcia — w rowie naszym pozostało tylko trzynastu ludzi zdolnych do walki. Właśnie wtedy zaciął się nagle nasz ostatni karabin maszynowy.

Z pewnością nie pisałbym niniejszych wspomnień, a moi dzielni towarzysze broni nie ujrzeliby wielkiego Święta Zwycięstwa — gdyby nie było wówczas wśród nas sierżanta Batrakowa. Nie opuszczając pola walki naprawił nasz kaem. Kiedy hitlerowcy zbliżali się na odległość rzutu granatem — Batrakow odrywał się na chwilę od karabinu maszynowego i rzucał granaty, zmuszał napastników do odwrotu — i znów zabierał się do kaemu. Poległ w tej ciężkiej walce śmiercią bohatera.

Odparliśmy i ostatnie, dziesiąte natarcie. W rowie pozostało dwunastu ludzi z jednym karabinem maszynowym. Wszyscy natychmiast zabrali się do naprawiania rozbitych schronów, choć ledwie trzymaliśmy się na nogach ze znużenia. Niektórzy zasypiali idąc, zmożeni snem padali i spali dalej. Żeby się ich dobudzić — trzeba było zaciskać usta i nos, bo inne sposoby nie działały. Można było człowieka toczyć po ziemi jak kłodę a on spał nadal.

Wróg postanowił z nami skończyć. Od strony, gdzie znajdowała się fabryka, rozległ się nagle silny wybuch, potem na zalewisko wtargnęła woda, zmieszana z rozbitym w drobne kawałki lodem. Koło fabryki znajdował się wielki staw; hitlerowcy wysadzili tamę i spuścili staw na nas. Woda szybko zalała całe zalewisko między Odrą i nasypem kolejowym, potem znalazła czy też utworowała sobie drogę poprzez nasyp i dotarła na drugą stronę.

Znaleźliśmy się wśród spienionej, lodowatej wody na sterczącym z niej wąziutkim grzbiecie nasypu.

I nagle wśród miotanej przez wodę kry dostrześliśmy czarne punkty. Przyjrzelśmy się lepiej i zrozumieliśmy, że są to łódki. Nadeszły dla nas posiłki — cały batalion. Przybili wprost do nasypu kolejowego. Mieli ze sobą armaty, moździerze. I kiedy nieprzyjaciel znów otworzył ogień, otrzymał taką odpowiedź, że nie podejmował więcej prób odrzucenia nas i przeszedł do obrony.

Nazajutrz woda opadła. Przepawiły się do nas świeże posiłki, umocniłyśmy się solidnie za Odrą i zaczęliśmy oczekiwać dnia ofensywy na Berlin.

W. NORSEJEW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
STARSZY SIERŻANT

Trzy doby

A więc Odra sforsowana. Położenie na przyczółku jest jednak trudne. Naszych tu jeszcze bardzo mało. W pobliskich lasach i wsiach hitlerowcy gromadzą siły i rzucają je do przeciwuderzeń. Chcieliby zepchnąć nas do rzeki. Rozumiemy, że każdy nasz krok na drodze do Berlina budzi wściekłość nieprzyjaciela, zmusza go do kurczowego czepiania się każdego metra ziemi.

— Na wzgórze — rozkazuje dowódca baterii, starszy lejtnant Kokora.

Noc. Policzki mrozi zimny, lutowy wiatr. W ciemności nic nie widać. Macamy rękami zmarzniętą ziemię, żeby nam działo nie utknęło w jakiej dziurze.

Stanowisko ogniowe wybraliśmy pod samym nosem przeciwnika. Pracujemy w pozycji siedzącej. Nie można podnieść głowy; odłamki wyją w różnych tonacjach i ze szczękiem biją w tarczę działa. Nie zdążyliśmy jeszcze okopać dział, gdy z lewej strony rozległy się okrzyki: „Niemcy“. Błysnęła rakietą i oświeciła pochylone głowy żołnierzy niemieckich, przemykających się parowem na nasze tyły. Obok zatętniły końskie kopyta i w ciemności rozległ się nerwowy okrzyk jeźdźca:

— Zabierajcie stąd działa!

Milczę, staram się być spokojny. Moi towarzysze także. Czołgając się docieram do dowódcy baterii. Rozkazuję zwrócić działo w stronę parowu i czekać na komendę. W ciemności nie można się zorientować, gdzie są nasi, gdzie nieprzyjaciel. Dokoła trzask kaemów i pistoletów maszynowych. Nie wiadomo, w jakim kierunku strzelać. Zdejmujemy z ramion pistolety maszynowe i przypadamy do ziemi obok działa. Na prawo ode mnie amuni

cyjny, szeregowiec Judiczew z erkaemem, który znaleźliśmy za dnia koło wzgórza. Wkrótce z ciemności doszły nas głosy Niemców. Głosy zbliżały się ku nam. Stało się jasne, że nieprzyjaciel obszedł nas od tyłu, że postanowił zdobyć wzgórze. Oto głosy słyhać już zupełnie blisko. Nie zdradzamy stanowiska działa. Otwieramy ogień z kaemów i pistoletów maszynowych. Słyszymy krzyki, chaotyczne wystrzały, jęki rannych. Strzelamy znowu. Wszystko milknie. Dowódca baterii nakazuje oszczędzać naboji.

Przed świtem nieprzyjaciel znów próbuje wdrzeć się na wzgórze. Tym razem faszyści posuwają się cicho, chcą zaskoczyć nas niespodziewanie. Słyszymy jednak, jak potykają się i padają w leje po pociskach. Znowu strzelamy z pistoletów maszynowych i kaemów. Na prawo i na lewo od nas prowadzą ogień sąsiednie obsługi. Rankiem okazało się, że hitlerowcy przeniknęli między nas a pozycje piechoty. Do południa przywrócone zostało poprzednie położenie. Dzień minął spokojnie. Nastąpiła druga noc, równie ciemna i zimna. Naszej piechoty na wzgórzu było bardzo mało. Spróbowaliśmy zbudować ziemiankę, ale łopaty nie miały się przemarzłej ziemi. Jako tako skleciłiśmy z leżących tu i ówdzie belek schron i postanowiliśmy odpocząć. Zaledwieśmy się pokładli, gdy zaczęła się nawała ognia artylerii na grzbiet wzgórza. Czekamy. Skoro tylko nieprzyjacielska artyleria zamilkła, wypadamy ze schronu do dział. Starszy lejtnant Kokora wypuszcza raketę. Piechota wroga naciera na całej długości frontu. Próbujemy strzelać ogniem na wprost z dział, ale w ciemności nie widać celu i bierzemy się znów do kaemów i pistoletów maszynowych.

Tej nocy nieprzyjacielskiej tyralierze udaje się obejść wzgórze z obydwu skrzydeł. Łączność z tyłami przerwana.

— Spokojnie, towarzysze — mówi starszy lejtnant Kokora pochyliwszy się nad radiostacją.

Starszy lejtnant wzywa generała-majora. Generałowi nie chce się wierzyć, że jesteśmy na wzgórzu. Mówi, że trzy razy posyłał zwiadowców i za każdym razem zwiad stwierdzał na wzgórzu obecność Niemców. Wreszcie dowódca baterii udaje się dowieść, że na wzgórzu jesteśmy my.

— Teraz rozumiem — mówi generał — to znaczy, że na wzgórzu jesteście i wy, i Niemcy.

Wkrótce szeregowiec Dołgow odkrył rowek, którym można było się przedostać na tyły, i nawiązał łączność z dywizją. Przyniesiono amunicję. Położenie nasze poprawiło się.

W drugiej połowie nocy w parowie zjawily się faszystowskie transportowce pancerne z karabinami maszynowymi wielkiego kalibru.

— Czyżby mieli zdobyć wzgórze? — pyta szeregowiec Judiczew.

A ja mu wymyślam: — Czemu ty panikę siejesz, pierwszy dzień na wojnie jesteś czy co? — wymyślam, a sam sobie w duchu powtarzam: „Byle się utrzymać do świtu, to później już lżej będzie“. Najważniejsze,

że cel stanie się widoczny, a tak to siedzisz jak w kotle, posyłasz serie z pistoletu maszynowego i nie widzisz nawet, jak lecą pociski.

Zaczęło świtać. Patrzymy, tuż obok stoją dwa transportowce pancerne, widocznie albo się zamaskowały, albo też ugrzęzły w parowie.

— Teraz mamy robótkę — mówię chłopcom i wycelowuję działo. Pierwszy pocisk przeleciał, drugi trafił prosto w maszynę. Z drugiego wozu hitlerowcy zaczęli uciekać. Krzyczę: — Rozpryskowe!

Wystrzeliliśmy jeszcze trzy pociski i robota skończona.

Tymczasem nasze „Katusze“ ostrzelały salwą stoki wzgórza, a piechota przeszła do natarcia. Walka była zaciekła i trwała cały dzień. Nocna praca naszej baterii nie poszła na marne.

Nasze działa stały teraz na najwygodniejszych pozycjach i raziły ogniem na wprost faszystowskie baterie artyleryjskie.

Wszystko szło dobrze. Pociski wybuchały dokładnie na stanowiskach nieprzyjaciela. Ale oto wycelowałem w ciężkie działo nieprzyjacielskie, ustawione na specjalnej podstawie. Takich dział wróg miał około trzydzieści. Dowództwo hitlerowskie pokładało w tych działach wielkie nadzieje, kiedy głosiło o niedostępności swoich pozycji na Odrze. Gdy otworzyliśmy ogień do nowego celu, pociski zaczęły zaczepiać o grzbiet wzgórza i wybuchać nie osiągając celu. Patrząc przez kątomierz — cel jest dobrze widoczny, ale pociski nadal przelatują przez wzgórze. Co tu robić? Wysunąć się do przodu nie można, wszystko jest pod ostrzałem. A cel zniszczyć trzeba koniecznie. Postanawiam celować do lufy, która sterczała zza grzbietu wzgórza i była dobrze widoczna bez celownika. Możliwość trafienia bardzo mała, ale nie ma innego wyjścia. Dokładnie obliczam, sprawdzam, starannie celuję i pierwszym pociskiem trafiam prosto w lufę nieprzyjacielskiego działła.

Nagle obok naszego działła wybucha pocisk nieprzyjacielski. Odłamek trafił mnie w rękę. Dowódca baterii zobaczył, że całą bluzę mam we krwi, krzyczy: — Norsejew, możesz iść na punkt opatrunkowy.

Siadłem sobie na boku i myślę: „Czy mam odejść? Tyle trudu kosztowało przeprawienie się przez Odrę, a teraz mam iść z powrotem? Nie, nie pójdę“. Pomacałem rękę, czuję, że kość cała. Oderwałem brzeg koszuli, mocno obwiązałem ranę i znowu do działła.

Przeciwnik wprowadził do akcji średnie czołgi. Trzy czołgi ruszyły prosto na nas. Strzelanie prostopadle do pancerza byłoby bezskuteczne. Poczekałem, aż jeden z czołgów podstawił bok.

Pierwszy pocisk uchylił się w lewo. Uwzględniłem poprawkę i następnym trafiłem najwidoczniej w zbiornik z benzyną albo w amunicję — czołg od razu buchnął płomieniem jak świeca, drugi czołg podpalił piechurzy, a trzeci zawrócił.

Po kilku minutach zza lasu wyłoniło się trzydzieści nieprzyjacielskich czołgów. Posuwały się szosą jeden za drugim.

Było to ostatnie przeciwuderzenie hitlerowców. Nasza artyleria otworzyła do czołgów tak silny ogień, że nie posunęły się nawet o sto metrów. Uciekając spod ognia jeden z czołgów zboczył w stronę naszego wzgórza. Dopuszciliśmy go bliżej i trzecim wystrzałem zmusiliśmy do zatrzymania się po uszkodzeniu wieży i strzaskaniu gąsienicy.

Przed wieczorem kazano nam zająć nowe stanowiska ogniowe. Piechota nasza zdążyła już tymczasem zająć dwie miejscowości i oczyściła z nieprzyjaciela pobliski las.

Te trzy doby na wzgórzu za Odrą były najgorętsze w całym moim wojennym życiu.

Moździerzowcy na linii bojowej

Przeprawiliśmy się nocą przez Odrę po kruchym lodzie i obsadziliśmy groblę oraz kilka odosobnionych domków. Aby odciąć od tyłów nasze oddziały, które już się przeprawiły, nieprzyjaciel utrzymywał przeprawę pod silnym ostrzałem artyleryjskim i w znacznym stopniu uszkodził lód. Pomimo to w ciągu nocy udało się przeprawić na zachodni brzeg całą artylerię pułkową i moździerze, dostarczyć żywność i amunicję. Przeprawiły się także na drugą stronę sztaby wszystkich oddziałów. Stanowiska dowództwa wykopano w grobli na samym brzegu rzeki.

Przyczółek nasz stanowił wąziutkie pasemko ziemi rozciągające się na trzy—cztery kilometry wzdłuż linii frontu i dwieście do tysiąca metrów w głąb. Odra zaczęła wkrótce przybierać. Woda napierała na nas od tyłu, groziła zalaniem. Ani z prawej, ani z lewej strony nie mieliśmy bliskich sąsiadów. Z nastaniem odwilży w rowach ciągłych wystąpiła woda podskórna sięgając po kolana. Przyczółek był niewygodny pod każdym względem. Ale był on potrzebny dla przyszłego uderzenia na Berlin i trzymaliśmy go ze wszystkich sił.

Kiedy z wielkim trudem udało się już wreszcie przeprawić na pontonach czołgi, artylerię szturmową i inne środki techniczne — rozpoczęły się walki o poszerzenie przyczółka. Hitlerowcy nie chcieli puścić nas ani o krok bliżej Berlina i trzeba było desperacko bić się o każdy skrawek ziemi. Szczególnie wryła mi się w pamięć walka o wzgórze 10,3.

My, moździerzowcy, wspieraliśmy natarcie batalionu piechoty. Całą noc przed natarciem ludzie byli na nogach. Jedni podwozili spod grobli pociski moździerzowe, inni pod ostrzałem przeciwnika układali je w niszach. Był wśród nas wtedy świetny dowódca, Sidorow. Przez cały czas podtrzymywał żołnierzy na duchu.

— A no, do ogórków, chłopcy — po-
krzykiwał wesoło, podjeżdżając bryczką na
stanowisko ogniowe. — Szykujcie zakąski
dla faszystów, żeby ich było czym jutro po-
częstować.

Żołnierze siedzą pochyleni, wsłuchują
się w świst kul i wybuchy pocisków arty-
leryjskich, obserwują, skąd kąsa wróg.
Gdy rozlega się głos Sidorowa, natych-
miast zrywają się i rzucają ku bryczce. Ni-
kogo nie trzeba było popędzać, każdy bo-
wiem doprowadziwszy swój zapas amunicji do ustalonej normy starał się
złapać na wszelki wypadek jeszcze z dziesięć—dwadzieścia skrzynek.
Słychać było wciąż:



— Mnie, mnie daj. Mało nam jeszcze.

Zaczęło świtać. Na wschodzie ukazała się jutrzeńka. Ustawiliśmy moż-
dzierze i z niecierpliwością czekamy na sygnał rozpoczęcia ognia. Wszyscy
starają się uzbroić i oczyścić jak najwięcej pocisków. Celowniczy Bratczy-
kowi sam siebie popędza: — no, no, jeszcze. Trzeba im tak dać, żeby
poczuli.

Przygotowanie artyleryjskie wyznaczone było na godzinę 9. Ludzie
nie mogli w żaden sposób doczekać się tej godziny. Wciąż wypytywali tele-
fonistów o czas. Dowódca kompanii, kapitan gwardii Mrozow, uspokajał
nas:

— Już niedługo, niedługo moje zuchy, więcej szykujcie pocisków.

Przeciwnik jakby przejrzał nasze plany i o godzinie 8,30 otworzył hu-
raganowy ogień artyleryjski. Ostrzeliwany był cały przyczółek, ale nam
wydawało się, że cały ogień przeciwnika skupiony jest na naszych stano-
wiskach ogniowych. Leżąc w rowie, wykrzykiwaliśmy:

— Strzelaj, strzelaj, zaraz ci pošlemy odpowiedź.

Wreszcie zagrała „Katusza“ i na przekazaną telefonicznie komendę
dowódcy kompanii rozległ się głos oficera ogniowego baterii: „Obsługi na
miejsca“! — chociaż obsługi i tak leżały już w gotowości przy możdzie-
rzach. Wszyscy jednocześnie z entuzjazmem włożyli pociski do luf. Nagle
koło mojego możdzierza wybuchł nieprzyjacielski pocisk. Przysypany zo-
stałem ziemią. Wygramoliłem się i zobaczyłem, że celowniczego Szykowi
ziemia zasypała zupełnie. Zacząłem szybko rozgrzebywać ziemię rękami,
ażeby go wyciągnąć. Ładowniczy Bartiszew został także zasypany, ale wy-
dostał się sam i skoczył mi do pomocy. We dwójkę wydobyliśmy celowni-
czego, potem możdzierz i podtrzymywaliśmy nadal ogień, dopóki Batisz-
czew nie krzyknął:

— Towarzyszu dowódco, a gdzie amunicyjny?



Na Odrze

Amunicyjnym był Mołosznikow. Rzuciliśmy się do jego rowu. Rów był rozwalony. Zaczęliśmy odkopywać. Mołosznikow wyszedł cało. Ledwośmy go odkopali, już się zerwał i zaczął krzyżeć:

— Ech, niech to diabli! Ledwo mnie nie zabiło! A no dalej, wal więcej! Więcej! — i z jeszcze większym zapalem zabrał się do strzelania.

Rozległy się okrzyki „ura“, z rowów ciągłych ruszyli piechurzy.

Wydano komendę: „Przerwać ogień. Moździerze na plecy“. Wziawszy moździerze na plecy i zabrawszy tyle pocisków, ile się tylko dało unieść, pobieглиśmy naprzód za piechotą i tuż za nią wdarliśmy się do rowów ciągłych przeciwnika. Tu zobaczyliśmy wyniki swych wysiłków.

Bratczykow mówił z radością:

— Dobrześmy im dali, chłopcy.

Cały rów zawalony był trupami wrogów. Było ich tyle, że trzeba je było wyciągać — inaczej nie można było ustawić moździerza.

Na stanowisku dowodzenia batalionu

Po zaciętej walce, podczas której każdy żołnierz miał na ustach hasło: „Na Berlin“ — zajęliśmy na naszym przyczółku niewielkie wzgórze i mimo straszego zmęczenia zaczęliśmy się tu natychmiast umacniać.

W nocy po nieprzyjacielskiej stronie płonąła jeszcze wieś podpalona w czasie dziennej walki i w świetle pożaru widać było biegnących Niemców na przednim skraju ich pozycji. Do naszych rowów dobiegały ich krzyki zmieszane z warkotem czołgów i samochodów. Wszystko wskazywało, że hitlerowcy nie dali za wygraną i będą wykonywali przeciwuderzenie.

O godzinie czwartej nieprzyjaciel rozpoczął ogień artyleryjski. To kierował serie nawałowe na nasze tyły, to przenosił je na przedni skraj, to znów ostrzeliwał stanowiska ogniowe. Potem wróg rzucił na nasz batalion czołgi. Było ich ponad trzydzieści, za nimi posuwała się piechota. Powstrzymaliśmy przeciwnika ogniem, grupa Niemców w sile około 70 ludzi zdołała przedrzeć się do stanowiska dowodzenia batalionu, znajdującego się w odległości 200 metrów od przedniego skraju.

Domek, w którym znajdowało się stanowisko dowodzenia, stał na otwartym miejscu. Z dwóch stron przylegały doń stodoły. W owym momencie obie one płonęły. Koło domu przebiegał płytki rów porośnięty drzewami. Przedarłszy się do SD faszyci obsadzili ten rów i zaczęli ostrzeliwać dom oświetlony łuną pożaru. Położenie nasze było ciężkie, ale kapitan Szynkarenko zapytał spokojnie:

- Łączność z kompaniami jest? — i rozkazał połączyć się z „Czajką“.
- Przy telefonie kapitan Afanasjew.
- Co u was słychać? — zapytał Szynkarenko.
- Wszystko w porządku — odpowiedział kapitan Afanasjew.

Tymczasem Niemcy zaczęli czołgać się pod sam dom i rzucać granaty.
— Wszyscy do obrony! — krzyknął organizator partyjny batalionu, Obuchow.

Szynkarenko wywołał ogień baterii moździerzy. Na oczekaniu kopaliśmy sobie stanowiska strzeleckie i ostrzeliwaliśmy się. Z pomocą przyszedł nam samochód pancerny. Łupnął w rów obsadzony przez hitlerowców. Kiedy dokoła domu zaczęły wybuchać nasze pociski, zastępca dowódcy batalionu, kapitan gwardii Sorokin, podniósł wysoko rękę z pistoletem i krzyknął:

— Naprzód, towarzysze! Chwała Stalinowi!

Kiedy biegłem, wydawało mi się, że mój pistolet maszynowy sam spełnia wolę swego posiadacza, i starałem się tylko dotrzymać kroku swojemu przyjacielowi — Mikołajowi Jakimowowi, który biegł obok.

Ani jeden z hitlerowców, którzy przedarli się na stanowisko dowodzenia, nie wyszedł stąd żywy. Tymczasem na przednim skraju znowu wzmaczał się bój. Do wzgórza, które odtąd powinno być pozostać naszym, znów zbliżały się parowem czołgi. Po napadzie na stanowisko dowództwa łączność telefoniczna z „gospodarstwem“ wyższego szczebla została przerwana. Trzeba było przerzucić się na łączność radiową. Po nawiązaniu łączności i zameldowaniu dowództwu o położeniu, radiotelegrafista odebrał nagle sygnały wywoławcze eskadry „Iljuszynów“.

— To się nazywa pomoc — mówi z zadowoleniem kapitan Szynkarenko.

Między lotnikami a piechotą zawiązuje się przyjacielska rozmowa.

— Mars... Mars... — powtarza kapitan Szynkarenko starając się przekrzywić artylerię. — Podaję cel... Czołgi nieprzyjacielskie w sile do dwudziestu wozów przygotowują się do przeciwuderzenia w parowie, na zachód od wzgórza 10,3. Powtórzcie, czy słyszeliście wyraźnie.

Z powietrza zabrzmiała odpowiedź:

— Zrozumiałem, zrozumiałem, cel widzę, atakuję...

Przy pomocy naszych wspianych sokołów utrzymaliśmy zdobyte wzgórze. Kiedy lotnicy odlatywali znad pola walki, spowitego dymem płonących czołgów nieprzyjacielskich, każdy z nas odprowadzał ich wdzięcznym spojrzaniem.

P. SYSOJEW
STARSZY SIERZANT

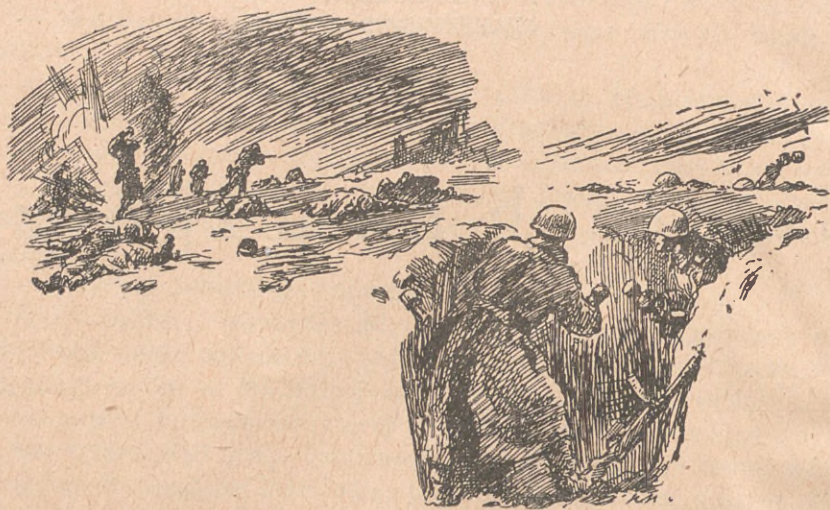
Czterech na wzgórzu

Wzgórze owo, położone w odległości czterech kilometrów na zachód od Odry w pobliżu Gross Neuendorf, jest tak malutkie, że u nas na Uralu nie nazwano by go nawet pagórkiem. Ale tu na nizinie wydawało się ono prawdziwą górą i faszyci bili się o nie ze wściekłym uporem. W połowie marca zlurowaliśmy oddział, który dopiero co odebrał owo wzgórze nieprzyjacielowi i zmusił go do wycofania się na drugą linię rowów ciągłych.

Zbocze, na którym okopał się nasz pluton, całe pokryte było rowami łączącymi, nowymi — wykopanymi przez nas, i starymi — niemieckimi, które łączyły rowy ciągłe pierwszej linii z rowami drugiej. Zaczęliśmy przekopywać niemieckie rowy łączące, ale nie zdążyliśmy skończyć tej roboty, gdy przeciwnik otworzył na wzgórze huraganowy ogień artylerii i wszystkich rodzajów broni piechoty, nie wyłączając „pięści pancernych“, z którymi spotkaliśmy się tutaj po raz pierwszy. Wkrótce nieprzyjaciel ruszył do przeciwuderzenia. Była noc. Przy świetle rakiety wypuszczonej przez sąsiedni pododdział zobaczyliśmy z tyłu za sobą błysk nieprzyjacielskich hełmów. Hitlerowcy rowami łączącymi przedostali się do swoich starych rowów ciągłych na wzgórzu i schodzili z nich już naszymi rowami łączącymi.

Pluton nasz już przedtem poniósł od ognia nieprzyjaciela ciężkie straty. Kiedy zauważyliśmy podchodzących do nas od tyłu hitlerowców, w rowie pozostało pod moim dowództwem zaledwie trzech ludzi: Makruszyn, Kabackich i Nowikow.

Fiedor Makruszyn był moim najlepszym przyjacielem; podobnie jak i ja walczył od pierwszego dnia wojny. Po sforsowaniu Odry, tego samego dnia złożyliśmy podania o przyjęcie do partii, razem też otrzymaliśmy legitymacje kandydackie. Podobała mi się bardzo jego wytrwałość i sta-



nowczość. Co zapowie, to zrobi. O wojnie rozmawiać nie lubił. Mówiliśmy więcej o tym, co będzie po wojnie. Tęsknił bardzo do pracy, do swego zawodu szewskiego. Na wojnie przekładał ponad wszystko granaty; w plecaku swoim nigdy nie nosił nic prócz granatów i naboji. Za jego przykładem wielu naszych żołnierzy wyrzucało z plecaków konserwy, cukier, ażeby wziąć więcej granatów. Miał Makruszyn normę — 18 sztuk. Jeśli w plecaku było mniej, zaczynał się niepokoić.

— Bez jedzenia kilka dni można przeżyć — mówił — a długo przeżyjesz w boju bez granatów?

I słusznie. Właśnie granaty uratowały nas na wzgórzu. Obrzuciliśmy nimi rów łączący, którym biegli Niemcy zaszedłszy nas od tyłu.

Czterej Niemcy zostali zabici, inni wyskoczyli w górę i rzucili się w pance przez odcinek, który sami poprzednio zaminowali.

Zebrałiśmy po nich 4 erkaemy, granatnik z dwiema skrzynkami amunicji i trzy „pięści pancerne“.

Trzeba tu powiedzieć o drugim żołnierzu — Kabackichu. Był on z nas najmłodszy. Skoro tylko usłyszał, że u hitlerowców pojawiły się jakieś „Faustpatrony“, zaczął wszystkich wypytywać co to za broń, jak jest skonstruowana. W cywilu był kołchoźnikiem-traktorzystą z Białorusi. Do armii przybył już w roku czterdziestym czwartym, po wyzwoleniu jego miejscowości. Z początku myślałem o nim: „Szalona pała: w lewej ręce latarka, w prawej granat, na szyi pistolet maszynowy i sam wskakuje przez okno do piwnicy, bronionej przez faszystów, nie zainteresowawszy się nawet, ilu ich tam siedzi“.

Ale okazało się, że ten śmiałek jest równocześnie zadziwiająco rozsądnym chłopcem. Jakakolwiek broń zdobyczna wpadnie mu do ręki, każdą pokręci, rozbierze i już z niej strzela.

Trzeci, Nowikow, najstarszy z nas wiekiem, był typowym wysłużonym żołnierzem rosyjskim, z wielkimi czarnymi wąsami, człowiek charakteru bardzo spokojnego, ale sumienny jak nikt: umrze, a posterunku nie opuści.

Trzy doby we czwórkę broniliśmy naszych rowów. Już pierwszej nocy, aby nie znaleźć się znów pod ogniem nieprzyjacielskiej artylerii, która na początku zadała naszemu plutonowi wielkie straty — posunęliśmy się w dół po zboczu w kierunku faszystów i okopaliśmy się w odległości jakichś czterdziestu metrów od nich. Wskutek tego zostaliśmy niemal odcięci od swoich. Przeciwnik nieustannie ostrzeliwał wzgórze takim ogniem, że przez grzbiet z tamtej strony nikt nie mógł się do nas przedostać. Odpieraliśmy Niemców wyłącznie granatami — naszymi ręcznymi i zdobycznymi granatnikami. Kabackich ze zdobycznego granatnika zużył całe dwie skrzynki granatów, które Niemcy porzucili w czasie pierwszego przeciwuderzenia. Kiedy amunicja była na wyczerpaniu, musiałem powiedzieć, że ktoś z nas musi udać się po granaty. Makruszyn oświadczył, że on powinien iść jako komunista. Myślałem już, że nie zobaczę więcej swego przyjaciela, że posyłam go na pewną śmierć, ale on przyczołgał się z powrotem i przyciągnął ze sobą całą skrzynkę granatów. Odzież miał przestrzeloną w kilku miejscach, pociski przebiły nawet rzemienie plecaka, ale sam wyszedł cało.

Makruszyn czołgał się po granaty jeszcze raz, potem zaczęli nas zaopatrywać w amunicję sierżant-szef kompanii i strzelec Ozierski. Czwartego dnia przynieśli nam prócz granatów chleb, konserwy, herbatę. Poprzednio przez całe trzy doby nikt z nas nie miał w ustach ani okruszynki, ani kropelki wody. Tego samego dnia przysłano uzupełnienie — trzynastu młodych żołnierzy. Nie wierzyli oni z początku, że w ciągu tak długiego czasu utrzymywaliśmy wzgórze we czwórkę, ale gdy przyjrzeni się nam lepiej — uwierzyli.

M. TOŁSTOŁOBOW
STARSZY SIERŻANT

Pod Kostrzyniem

Najtrudniejsze walki na dalekich przedpolach Berlina toczył nasz oddział w widłach rzek Odry i Warty pod twierdzą Kostrzyń.

Z początku zbliżyliśmy się do Kostrzyna od strony, gdzie teren był zatopiony wodą. Jest tam grobla. Na całej długości zajmowały ją ubezpieczenia bojowe przeciwnika. Kiedy w nocnych ciemnościach nagle zjawiliśmy się na sterczącym nad wodą nasypie, siedzących tam Niemców ogarnął taki strach, że nie potrafili stawić oporu i wszyscy poddali się do niewoli. Dotarliśmy do przedmieść Kostrzyna i stoczyliśmy tu ciężkie walki. Od rana do wieczora nad groblą wisały samoloty hitlerowskie i ostrzeliwały z wielokalibrowych karabinów maszynowych jedyną drogę, po której przybywało do nas z tyłów zaopatrzenie i uzupełnienie w ludziach. Mimo wszystko umocniliśmy się na krańcu miasta.

Tymczasem inne nasze oddziały, które walczyły na południe i na północ od Kostrzyna, przepawiły się przez Odrę i poszerzały przyczółki na zachodnim brzegu rzeki w przygotowaniu natarcia na Berlin.

Pod Kostrzyniem faszyci jeszcze się trzymali tylko na wschodnim brzegu Odry. Nazywali oni Kostrzyń „kluczem Berlina“ i bili się o niego zapamiętale.

Kompania, w której byłem organizatorem komsomolskim, nacierała na gmach szkoły oficerskiej, położony na krańcach miasta. Podejście do tego nieprzyjacielskiego bastionu osłaniało kilka drewnianych schronów bojowych. Schron bojowy, który znalazł się na odcinku naszej kompanii, powitał nas z bliskiej odległości ogniem z broni maszynowej. Kompania musiała przypaść do ziemi w odległości około stu metrów od nieprzyjacielskiego schronu.



Na ulicach Kostrzynia

Wzbudziło to w nas straszną zaciekłość. Wciąż niepowstrzymanie parliśmy naprzód, a oto tutaj jakiś przeklęty hitlerowski kaemista przycisnął nas do ziemi. Leżymy i głów nie możemy podnieść. Oczywiście, zmiotlibyśmy z drogi tego kaemistę, gdybyśmy się rzucili całą kompanią naprzód. Ale ilu żołnierzy zginęłoby przy tym, nie dobiegłszy do nieprzyjaciela. Trzeba było coś przedsięwziąć i to niezwłocznie. Leżeliśmy przecie w otwartym polu w odległości stu metrów od wroga pod ogniem kaemu, który raził jednego żołnierza po drugim.

I oto zobaczyliśmy, że ktoś powstał, machnął ręką leżącym obok trzem żołnierzom i ci zerwali się także. Wszyscy czterej pobiegli klucząc zygzakami w stronę nieprzyjacielskiego schronu bojowego, z którego otworu strzelniczego nieustannie błyskał śmiercionośny płomień. Zrozumieliśmy od razu: ci śmiałkowie poszli na pewną śmierć, aby utorować drogę całej kompanii.

Na przedzie lekko pochylony biegł co tchu w piersiach starszy sierżant Wasiljew, zastępca dowódcy plutonu: był to jeden z młodych komunistów naszej kompanii, pochodził z miasta Oczakowa.

Na samym początku wojny ranny Wasiljew dostał się do niewoli, ale uciekł. Od tego czasu strasznie nienawidził hitlerowców, często opowiadał, jak się nad nim znęcali, jak morzyli go głodem. Był to dobry agitator. Słowa jego nie odbiegały od czynów, żołnierze go szanowali. Wasiljew i trzech żołnierzy, którzy ruszyli za nim, padli w niewielkiej odległości od celu.

Myśleliśmy, że wszyscy czterej zostali zabici, ale w tej chwili usłyszeliśmy wybuchy granatów i zrozumieliśmy, że śmiałkowie żyją i walczą. Kilka minut pod schronem bojowym trwała walka na granaty.

Minuty te, które wydawały mi się wiecznością, zachowam w pamięci przez całe życie. Widzieliśmy, jak Wasiljew i jego żołnierze, prawdopodobnie już ranni, leżąc rzucali granaty. Obok nich wybuchały granaty nieprzyjacielskie. Kilka razy spostrzegłszy błysk granatu, wybuchającego o kilka kroków od naszych towarzyszy, myślałem: „Teraz już wszystko skończone, teraz już są martwi“. Ale w następnej sekundzie podnosiła się czyjaś ręka i w kierunku otworu strzelniczego leciał nasz, radziecki granat. Nagle rozległ się wybuch, nad nieprzyjacielskim schronem bojowym uniosł się ciemny kłęb dymu i wszystko ucichło.

Wiedzieliśmy, że na drodze do Berlina nie takie jeszcze będą przeszkody jak ten schron bojowy, ale wydawało się, że teraz już nic nas nie może powstrzymać. Świadomość ta ogarnęła całą kompanię. Żołnierze powstałi i pobiegli naprzód. Kiedy zbliżaliśmy się do rozbitego schronu, zobaczyliśmy karabin maszynowy, który przed kilku minutami przygniatał nas do ziemi z taką siłą, że nie można się było podnieść. Leżał on teraz pod stosem belek rozbity, powalony na bok. Obok niego spod belek i ziemi wystawał hełm jednego z hitlerowców zabitych w czasie wybuchu.

Poniewierała się tu także nie wiadomo w jaki sposób nieuszkodzona „pięść pancerna“.

Ciała naszych bohaterów, którzy zniszczyli ten schron bojowy, leżały w odległości kilku metrów. Były one na w pół przysypane ziemią.



Nie mogliśmy się tutaj zatrzymywać, zdążyłem jednak odkopać ciało Wasiljewa i wydobyć z kieszeni jego bluzy legitymację partyjną. Miałem przyjaciela, starszego sierżanta Mikołaja Miedwiediewa — ziomka z Moskwy. Zobaczył on, że trzymam w rękach legitymację kandydacką Wasiljewa i zapytał, komu ją oddam, a potem nagle rzekł:

— Wiesz, Misza, chcę dziś pomówić z kapitanem Łukaszewem.

Był to zastępca dowódcy batalionu do spraw politycznych. Nie pytałem nawet Mikołaja, o czym pragnie mówić z Łukaszewem. Domyśliłem się sam od razu. Mikołaj walczył od Stalingradu, ale wciąż jeszcze był bezpartyjny. Podobnie jak wszyscy nasi żołnierze chciał on pójść w bój o Berlin już jako komunista, chciał być takim jak Wasiljew. Kapitan Łukaszew nie mógł odżalować straty Wasiljewa. Kiedy Mikołaj powiedział mu o swoim zamiarze, Łukaszew odrzekł z goryczą:

— Dowiedz, że potrafisz zastąpić Wasiljewa.

Mikołaj rzekł:

— Dowiodę, towarzyszu kapitanie.

Właśnie mijaly nas czołgi. Mikołaj poprosił dowódcę o pozwolenie wzięcia udziału w desancie. Z grupą żołnierzy wskoczył na przejeżdżający czołg. Nie zobaczyłem już więcej mego przyjaciela.

Wdarł się do Kostrzynia jako pierwszy z piechurów.

W Kostrzyniu trzeba się było bić tak: dopóki nie zburzysz domu, zdobyć go nie można. Ale po zajęciu Kostrzynia walki stały się jeszcze bardziej zawzięte. Po sforsowaniu Odry z marszu, bez przygotowań, umocniliśmy się na przyczółku. Z początku przyczółek nasz obejmował maleńką powierzchnię. Wezbrane wody rzeki groziły nam zatopieniem. Ruszyliśmy naprzód i poszerzyliśmy przyczółek.

Teraz oddział musiał odpierać desperackie przeciwuderzenia hitlerowców. Szczególnie wryło mi się w pamięć przeciwuderzenie nieprzyjacielskie rozpoczęte o świcie 27 marca.

Czołgi niemieckie posuwały się dwoma rzędami „w szachownicę“ i w pełnym biegu raziły ogniem z dział kaemów. Za czołgami posuwały się samochody szturmowe opancerzone, z piechotą, która także w biegu strzelała.

Ogień nieprzyjacielski był tak gęsty, że w podniesiony nad głowę hełm trafiało od razu kilka pocisków.

Dowódca naszej kompanii, lejttnant Popielkiewicz, uwijał się w rowie ciągłym, podnosząc ludzi na duchu. Przeszkadzała mu torba polowa.

Rzucił ją. Potem zrobiło mu się tak gorąco, że zrzucił także i płaszcz.
— Czekać — rozkazał.

Przed nami w odległości 10—15 metrów rozpościerało się pole minowe. Pierwszy czołg posuwał się wprost na stanowisko, w którym stał strzelec Kuźmin. Hitlerowcy byli już o jakieś dwadzieścia metrów od rowu ciągłego, a Popielkiewicz wciąż jeszcze nie podawał komendy. Rozległ się wybuch. Pierwszy czołg najechał na minę i zatrzymał się. Na mgnienie ogień nieprzyjacielski przycichł. Wtedy lejtnant podał komendę otwarcia ognia i sam pierwszym wystrzałem podpalił czołg niemiecki, który śpieszył na pomoc tamtemu, uszkodzonemu przez minę.

Z powodu porannej mgły i ścielącego się po ziemi dymu z płonących czołgów, nie można było zrazu zorientować się, co się dzieje przed nami. Widać było tylko, że przed rowem ciągłym stoi wiele czołgów, niektóre podpalone, inne uszkodzone wybuchającymi minami.

Znajdując się w odległości 15—20 metrów od nas, załogi uszkodzonych czołgów nie zdecydowały się opuścić swych maszyn. Czekwały na pomoc. Żołnierz Tkaczenko schwycił snopek słomy i pod morderczym ogniem nieprzyjacielskim dotarł do czołgu. Dzielny żołnierz podłożył słomę pod czołg i podpalił ją żapalniczką. Kiedy płomienie ogarnęły wóz, załoga próbowała się ratować.

Jeden z czołgistów nieprzyjacielskich od razu wpadł na minę i rozerwany został na kawałki. Inny zaledwie zdążył wysunąć się przez właz, gdy zamienił się w pochodnię. Widzieliśmy, jak dopalał się koło swego czołgu.

Po powrocie do rowu Tkaczenko zaczął zbierać słomę, aby podpalić następny czołg. Ten sposób podobał się i innym żołnierzom, ale lejtnant Popielkiewicz zabronił go stosować, ponieważ uszkodzone czołgi niemieckie stały na naszym polu minowym. „Wykończenie“ tych czołgów powierzono saperom.

J. PISAREW
SIERŻANT

Zwiadowcy Korola

Z dowódcą naszej kompanii zwiadowców, starszym lejtnantem Korolem spotykali się hitlerowcy jeszcze pod Stalingradem, gdzie wstąpił się po raz pierwszy jako jeden z najśmielszych i najsprytniejszych zwiadowców.

Służył wówczas także w naszej kompanii, był szeregowcem, później podoficerem. Popamiętali także hitlerowcy spotkanie z Korolem na łuku kurskim.

Od tego czasu pod dowództwem Korola szkoliliśmy się w przeprowadzaniu rozpoznawania w najrozmaitszych warunkach terenowych — w bezdrzewnym stepie, w ruinach miast, w lasach i w bagnach.

Ale nigdy jeszcze nie wypadło brać „języka“ w takich warunkach jak nad Odrą.

Było to w końcu marca, po pogromie faszystów na Pomorzu. Oddział nasz osiągnął Odrę w rejonie miasta Schwedt. Wzdłuż rzeki ciągnęły się tu trzy groble. Zostały one wysadzone, woda rozmyła nasyp i zatopiła teren. Wojska nasze obsadziły już część drugiej grobli.

Na pozostałej części, oddzielonej od nas kanałem szerokości jakichś dwustu metrów, siedzieli jeszcze Niemcy. Rozkazano nam wziąć z ich rowów „kontrolnego“ jeńca.

Wykonaliśmy to zadanie pod komendą dowódcy plutonu lejtnanta Sjemionowa, wychowanka Korola; Sjemionow także awansował na wojnie, zaczynał od szeregowca. Podobnie jak i Korol wymyślał on zawsze coś nieoczekiwanego dla przeciwnika. Tym razem postanowił przeciągnąć łódki przez groble, popłynąć z prądem w dół rzeki ukrywając się przed Niemcami pod osłoną zatopionego lasku i wylądować na nieprzyjacielskich tyłach. Miejsce lądowania wybrano po długotrwałej obserwacji przeciwnika, którą

prowadziliśmy z pierwszej grobli. Było nas osiemnastu. Wypłynęliśmy nocą na czterech łódkach. Każdy zwiadowca miał pistolet maszynowy, sześć granatów, kordelas lub nóż fiński. Byliśmy już o trzydzieści metrów od upatrzonego miejsca lądowania, gdy zauważyliśmy sylwetki sześciu Niemców. Jeden z nich natychmiast coś krzyknął do nas. Żołnierze zacisnęli zęby i skupili wszystkie siły w wiosłach. Słysząc już było, jak Niemcy rozmawiają, najwidoczniej spierali się między sobą, jak mają postąpić. Choć z łódki nikt nie odpowiadał na okrzyk, nie zdecydowali się strzelać, widocznie myśleli, że jednak najprawdopodobniej płyną swoi. Zbliżyliśmy się przecież do nich ze strony niemieckiego brzegu. Kiedy Niemcy zawołali na nas powtórnie, byliśmy już w takiej odległości od brzegu, że mogliśmy wyskoczyć z łodzi. Stojąc po pierś w wodzie, otworzyliśmy ogień z pistoletów maszynowych.

Niemcy zostawili na brzegu karabin maszynowy i uciekli. Zwiadowca Hołoweńko rzucił się na jednego z nich, który ukrył się w krzakach. Niemiec strzelił do niego z bliska. Ranny w pierś Hołoweńko uderzył Niemca kolbą po helmie i chwycił go za gardło.

Na pomoc Hołoweńce podbiegli lejtnant Sjemionow i sierżant Akułow, pozostali natychmiast przypadli do ziemi na prawo i lewo od miejsca utarczki, nie dopuszczając nieprzyjaciela. Niemiec, jak się okazało, był tegim chłopem, należał do marynarzy przerzuconych nad Odrę z Bałtyku. Bronił się zaciekle, ale go wreszcie związano i wrzucono do łodzi.

Zadanie zostało wykonane, ale nie mogliśmy wracać wszyscy razem. Faszyci mogliby nas wystrzelać podczas odbijania od brzegu. Toteż lejtnant Sjemionow ulokował na dwóch łodziach jeńca, rannych, wziął ze sobą kilku żołnierzy, a mnie, Akułowowi i pozostałym rozkazał pozostać na brzegu jako osłona.

Odgryzając się hitlerowcom, którzy zaczęli się ku nam podczołgiwać, zużyliśmy wszystkie naboje i granaty, pozostała nam tylko biała broń — noże fińskie i kordelasy. Łodzi ze zwiadowcami, którzy odpłynęli, nie było już widać. Musieliśmy odpłynąć i my, łódki mieliśmy dwie. Stały one przy brzegu w różnych miejscach. Na drodze do jednej z nich zjawili się nagle w pustym rowie Niemcy. Nie dopuszczali oni nas do łódki. Co robić? W jednej łodzi nie mogliśmy się wszyscy zmieścić.

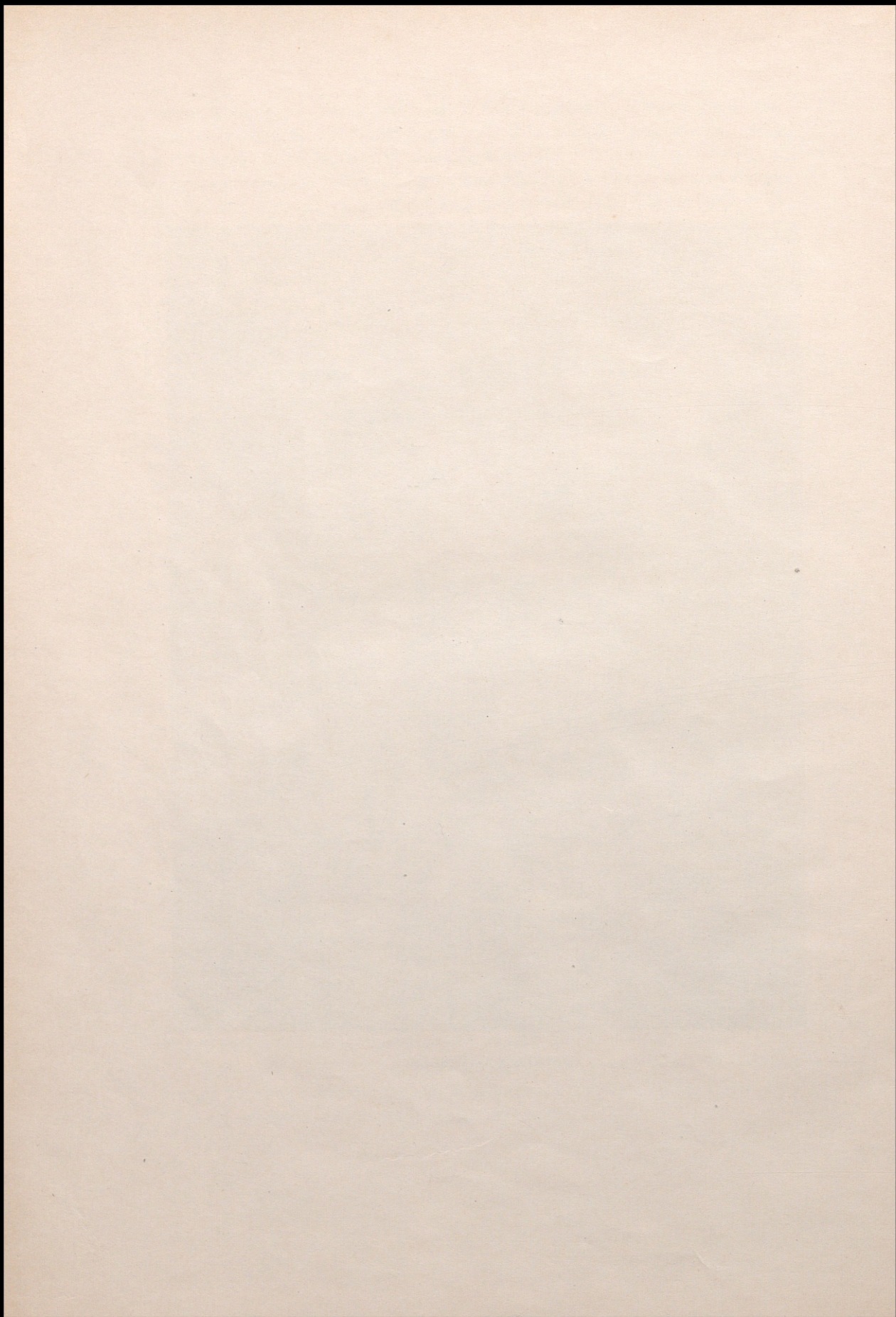
O jakie czterysta metrów od miejsca, gdzie wszystko to się odbywało, po drugiej stronie kanału stała nasza 45 mm armata.

Przed wyjściem na rozpoznanie lejtnant Sjemionow umówił się z artylerzystami, aby w razie czego wsparli nas ogniem. Artylerzyści wstrzelali się uprzednio do nieprzyjacielskiego rowu, przy którym postanowiliśmy wylądować. Teraz pokładaliśmy w nich wszystkie nadzieje.

Nad wodą głos się dobrze rozchodzi. Akułow wyskoczył na urwisty brzeg i krzyknął tak, że artylerzyści od razu zrozumieli, co się dzieje. Dali trzykrotnie ognia do nieprzyjacielskiego rowu.



DZIAŁON W WALCE



Nigdy nie widziałem celniejszych strzałów. Serce mi żywiej zabiło, gdy już pierwszy pocisk trafił w miejsce, gdzie siedzieli faszyci.

Wówczas rzuciliśmy się do rzeki i brodząc po szyję w wodzie dotarliśmy do łódki. Przyciągnęliśmy tę łódkę do pierwszej i grupa nasza szczęśliwie odbiła od grobli, aby śladem lejtnanta Sjemionowa skryć się w zatopionym lasku.

Nie wiem, w jaki sposób, ale hitlerowcy domyślili się, że tej nocy na grobli byli zwiadowcy znanego im jeszcze spod Stalingradu Korola. A o tym, że się domyślili, dowiedzieliśmy się od jeńców, których niemało jeszcze wykradliśmy tam nad Odrą z rowów i schronów, podpływając ku nim cichuteńko łodziami wzdłuż grobli.

P. SINIELNIKOW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
STARSZY LEJTNANT

Bateria na grobli

Opowiem, jak 26 marca bateria moja osłaniała przeprawę piechoty przez Odrę na południe od miasta Schwedt. Była wówczas powódź: rzeka, po rozmyciu wysadzonych w kilku miejscach wałów ochronnych, rozlała się na dwa kilometry. Po obu stronach wału, na którym w myśl rozkazu miałem ustawić działa, rwała nie pokryta lodem woda, spływała kra. Przeciwnik zajmował drugi wał, w odległości 250 metrów od nas, również otoczony wodą z przodu i z tyłu. Za nim w oddali widniał jeszcze jeden wał; stanowił on drugą linię obrony hitlerowskiej. Ażeby wysunąć się z lasu, gdzie staliśmy, na stanowisko ogniowe, bateria miała przejechać dwa kilometry po odsłoniętym wale. Pod wieczór, spodziewając się, że wojska radzieckie rozpoczną przeprawę, nieprzyjaciel zaczął hałasować. Wał cały czas pozostawał pod ogniem artylerii i moździerzy.

Przed wszystkim trzeba było przewieźć pociski. Udało się tego dokonać skrycie, chociaż świecił księżyc.

Pociski przewożone były na łodziach wzdłuż wału, pod jego osłoną. Trwało to od godziny 2,00 w nocy do 5,00 godziny rano.

Przewieziono 600 pocisków. Ułożono je w niszach, wykopanych na zboczu wału.

O godzinie 4,30 księżyc zaczął zachodzić, nad wodą uniosły się opary, niewielka mgła. Był to najciemniejszy czas nocy przed świtem.

Kazałem ustawić działa, przestrzegając odległości 400—500 metrów. Orczyki przodków okręcone zostały szmatami i bandażami, aby nie skrzypiały. Nieprzyjaciel tymczasem przycichł. Linię jego okopów na wale znaczył we mgle tylko lot świetlnych pocisków i błyski ognia z broni maszynowej.

Wszystkie działony wytoczyły swe armaty bez strat. Szczeliny i rowy były już wykopane. Pociski ułożono w niszach. Działa wypadło nam wkopywać w ziemię tylko na trzydzieści centymetrów — gdybyśmy wkopywali głębiej — to nie byłoby widać celów. Tarcze dział pokryliśmy płachtami namiotowymi, które z wierzchu posypaliśmy trawą i wodorostami. O świcie wszystko było już gotowe. Artylerzyści leżeli w szczelinach i w oczekiwaniu na sygnał do przygotowania artyleryjskiego obserwowali przeciwnika, który nie zauważył zmian dokonanych na naszym wale w ciągu nocy. Moje stanowisko dowodzenia i punkt obserwacyjny mieścił się w rowku wykopanym o pięć metrów od pierwszego działa.

Otwarcie ognia wyznaczono na godzinę 7,00, ale później odłożono na wieczór.

Przez cały dzień leżeliśmy na wale, badając gniazda ogniowe nieprzyjaciela. Niemcy ostrzeliwali cały wał z artylerii, moździerzy i karabinów maszynowych. Ich pociski wybuchały nad wałem na wysokości kilku metrów, ale gdzieś z boku od nas. Leżeliśmy bez ruchu. Niemcy też nie zauważyli nas w ciągu całego dnia.

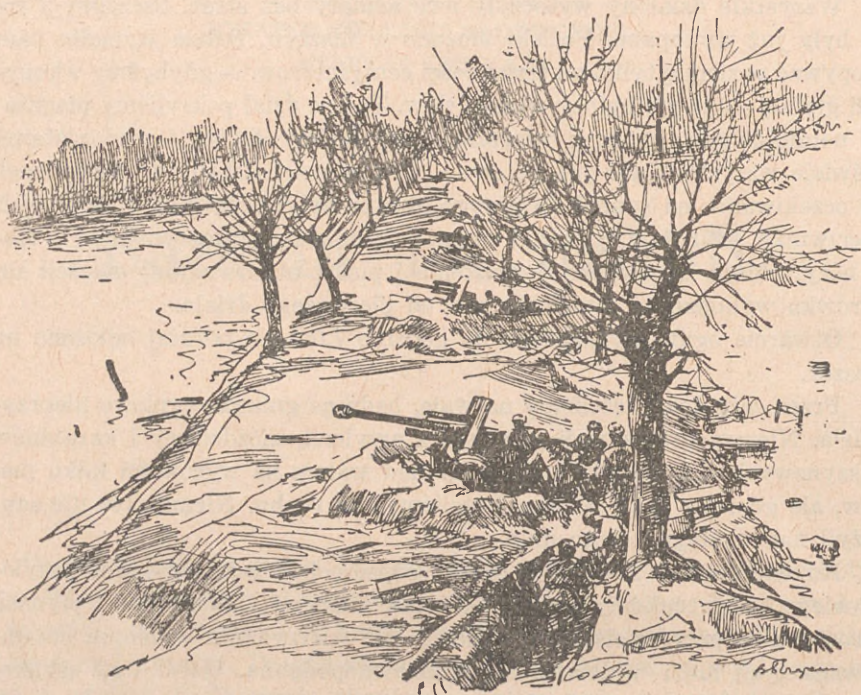
Ku wieczorowi, na krótko przed rozpoczęciem przygotowania artyleryjskiego, dostrzegliśmy łódkę z dwoma naszymi żołnierzami, płynącą wprost ku nieprzyjacielskiemu wałowi. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Odwaga tych ludzi wydawała się nieprawdopodobna. Wiosłowali szybko, ale najzupełniej spokojnie, jak rybacy w cichy wieczór.

Niemcy najwidoczniej byli tak zdumieni, że nie od razu otworzyli ogień do łódki. Zaczęli strzelać dopiero, kiedy zbliżyła się do ich brzegu. Żołnierze wyskoczyli z łódki na ląd i przypadli do ziemi w odległości kilku metrów od nieprzyjacielskich rowów.

— Ale diabły wcielone — wykrzyknąłem bezwiednie, porwany ich męstwem. Śledziliśmy ich ruchy z zapartym tchem. Czołgając się nieustannie z miejsca na miejsce, rzucali do nieprzyjacielskich rowów granaty. Niemcy obrzucali ich również granatami.

Nie znam nazwisk tych ludzi, nie wiem, jakie otrzymali zadanie, być może, działali oni z własnej inicjatywy — ale wiem, że byli to bohaterowie. Dzięki nim poznaliśmy szczegółowo położenie linii rowów nieprzyjacielskich. Wybuchy granatów wyznaczyły ją zupełnie wyraźnie. Obaj bohaterowie polegli, ale ich zuchwałe męstwo natchnęło niezwykłym zapałem zarówno artylerzystów jak i piechurów. Widziałem, jak piechurzy zaczęli już przeciągać łodzie przez wał; gotowi byli płynąć na tamten brzeg nie czekając na przygotowanie artyleryjskie.

Przygotowanie artyleryjskie zaczęło się o godzinie 20,00. Od chwili gdy usunęliśmy maskowanie z naszych dział i otworzyliśmy ogień, upłynęło z dziesięć minut, zanim faszyci, oszołomieni niespodziewanym widokiem dział radzieckich, które zjawiły się niby spod wody, zaczęły odpowiadać nam strzałami. Tymczasem nad wałem nieprzyjaciela powstawało już kłę-



bowisko dymu, uniesionej w powietrze ziemi i rozrzuconych belek. Rozkoszowałem się tym widokiem leżąc na odsłoniętej powierzchni stoku, wykopane bowiem w piasku wgłębienie ochronne szybko obsypywało się od wstrząsów wywołanych kanonadą naszych dział. W ciągu piętnastu minut jedna tylko nasza bateria zużyła dwieście pocisków, później wszystkie strzelające baterie otrzymały rozkaz, aby przenieść ogień na drugi wał. Pierwszy był już tak zrzyty przez artylerię, że wspierany przez nas batalion piechoty przepawił się przez Odrę jednym rzutem na trzydziestu łodziach, tracąc przy tym jednego żołnierza — rannego. Bardzo ucieszył nas piechur-łącznik, który powrócił z meldunkiem z tamtego brzegu. Pierwszego napotkanego artylerzystę chwycił on w objęcia, długo ścisnął i całował w podziękę za skuteczną pomoc.

A. TIAPUSZKIN
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
SIERZANT

Pojedynek artyleryjski

Nasz pierścień dokoła kostrzyńskiego zgrupowania hitlerowskiego zaciskał się coraz bardziej. Wróg podejmował wysiłki starając się połączyć ze swymi głównymi siłami. Za każdym jednak razem udaremnialiśmy te próby. Faszyci gorączkowo przynosili ogień swych baterii z jednego odcinka naszego na drugi, w nadziei wymacania jakiegoś słabego punktu... W ciągu nocy udało się nam posunąć jeszcze trochę naprzód i znaleźliśmy się o pół kilometra bliżej „Pańskiego Dworu” — głównego punktu oporu nieprzyjaciela na tym odcinku. Bateria zmieniła stanowisko ogniowe.

Wczesnym rankiem dowódca baterii wyznaczył kilka celów dla wstrzelania się i uprzedził, abyśmy byli w pogotowiu, bo można oczekiwać niespodziewanego wypadu nieprzyjaciela. Rzeczywiście około południa przeciwnik zaczął przejawiać aktywność. Nagle z punktu obserwacyjnego dowódcy baterii, który wysunął się o sto metrów naprzód, przybiegł do nas zwiadowca. Jeszcze w biegu, zadyszany, zawołał:

— Na miejsca. Są nowe cele — i przysiadłszy u kątomierza, wskazał trudny do zauważenia schron nieprzyjacielski, wysunięty przez hitlerowców o półtora metra przed ich linię obrony, a nie zdradzający niczym swego istnienia.

— Rozkaz brzmi: trzy pociski do otworu strzelniczego — rzekł zwiadowca. — I jeszcze jeden cel: widzicie dom, koło którego stoi obłamany świerk? Tam siedzą faszyci z „pięściami pancernymi”. Tam — dwa pociski.

Podaliśmy komendę.

Madzid Odżachwerdijew, stary mój celowniczy, który przebył szlak od ojczystego dlań podgórze Kaukazu do brzegów Odry, chwycił za pokrętła mechanizmu kierunkowego i wzniesieniowego.

— No cóż — powiedział, gdy wszystko już było gotowe i ładowniczy Melikoszwilli nabił działo — trzeba będzie faszystom dorzucić amunicji, bo im zdaje się brakuje. Tylko nie mogę ręczyć za dostawę w nienaruszonym stanie.

Był to wesoły chłop, nie spuszczał nosa na kwintę w żadnych okolicznościach.

Kilka celnych pocisków zrobiło swoje i kiedy rozwiął się czarny obłok dymu, oczom naszym ukazała się rozwalona ambrazura niemieckiego schronu bojowego, z którego potykając się w biegu zmiotali faszyci, aż się kurzyło. W rezydencję „pięściarzy“ pancernych celowniczy trafił pierwszym pociskiem i wkrótce dom ten zdobyty został przez naszą piechotę. Cieszyliśmy się z powodzenia.

Nagle zaświszczał nad nami lekki pocisk i wybuchł o pół kilometra w tyle, na równym, zarosłym krzakami polu. Fontanna ziemi i dymu wzbijała się ku niebu.

— Czy tym faszystom nie przyszło czasem do głowy na nas zapolować? — zauważył ładowniczy.

Kazałem amunicyjnym usunąć pociski z otwartego miejsca, a potem wszystkim ukryć się. Sam zaś z celowniczym prowadziłem obserwację.

Po pierwszym pocisku przeciął powietrze drugi i wybuchł trochę bliżej. Jasną rzeczą było, że Niemcy wykryli stanowisko naszej armaty. Ale skąd oni strzelają? Od tego, jak szybko to zbadamy, zależy wszystko... Nastąpił trzeci, przygłuszony wystrzał. Strzelało działo pancerne. Słyszałem teraz dobrze, że znajduje się ono gdzieś koło „Pańskiego Dworu“. Za dziesięć — dwadzieścia sekund pocisk wybuchł przed samym okopem, w którym ukryliśmy się. Obsypała nas ziemia.

Tak więc nasz okop znalazł się w strefie ostrzału. Niektórzy w takich wypadkach powiadają: „a może jakoś przeleci bokiem“... ale ja na to „może“ liczyć nie chciałem.

Przeniósłem się szybko do innego okopu, wykopanego z prawej strony działa. To samo kazałem zrobić dwu funkcyjnym, którzy byli razem ze mną. Okop opustoszał, tylko na przedpiersiu pozostał osierocony żołnierski płaszcz...

Zacząłem teraz uważnie obserwować „Pański Dwór“. Po pewnym czasie zauważyłem pod wielkim drzewem owocowym ledwie dostrzegalny, szybko rozpraszający się między gałęziami dymek. Nastąpił daleki wystrzał i ogłuszył nas wybuch pocisku. Grudy ziemi uderzyły nas po plecach, okop został zasnuty dymem. ●

— Na miejsca — podałem komendę i wyskoczyłem z okopu.

Nie było kiedy wskazywać celu celownicemu. Zmarnować chwilę — to znaczy zginąć. Skoczyłem do działa. Celownik 26, skrzyżowanie celownika pod drzewo, pocisk do komory. Wystrzał. Strzał krótki. Celownik 27. Strzał długi. Celować niżej. Ładowniczy, szybko!

Pod drzewem znów zarysował się biały obłoczek.

— Prędeż ognia — przemknęła myśl — kto kogo?

— Padnij!

Pocisk nieprzyjacielski wybuchł w przedpiersiu pod działem. Kurz, ziemia, dym, świst odłamków...

— Ładuj!

I nie czekając, aż dym się rozwieje, poprzez tę zasłonę celuję pod drzewo.

— Ognia — podaję komendę sam sobie.

Kłęb czarnego dymu w pobliżu białych obłoczków.

— Jeszcze ostatni.

— W to samo miejsce.

— Chyba starczy — słyszę głos ładowniczego Melikoszwili.

Tak, rzeczywiście wystarczy. Pod drzewem widać wijącą się smugę dymu. Potem bucha snop płomieni, wybuchają pociski, szaleje ogień.... Faszyci rozbiegają się...

— Dalej jeszcze jeden pocisk!

Gdy trochę ochłoneliśmy, zauważyliśmy brak pozostawionego na przedpiersiu płaszcz. Podeszliśmy bliżej do okopu i zobaczyliśmy w miejscu, gdzie leżał płaszcz — tylko lej po wybuchu pocisku.

S. PANOW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
STARSZY SIERŻANT

Walka wręcz

Po zdobyciu Kostrzyna oddział nasz zaciskał pierścień dokoła resztek wojsk hitlerowskich, które wycofały się z tego miasta. Na spotkanie nasze szły z południa wojska generała Czujkowa. Kostrzyńskie zgrupowanie nieprzyjacielskie wezwano przez radio do poddania się. Hitlerowcy nie chcieli złożyć broni. Liczyli jeszcze, że uda im się przedrzeć na zachód.

Oddziałowi pozostało do przejścia czterysta metrów, ażeby połączyć się z wojskami generała Czujkowa.

Pluton nasz wdarł się klinem w pozycje nieprzyjacielskie i w nocy toczył bój w pobliżu rowu przeciwnika, wykopanego wzdłuż jednego z wałów ochronnych, których wiele jest nad Odrą. My byliśmy na dole, nieprzyjaciel na górze. Dzieliło nas zaledwie 15 — 20 metrów.

Kiedy faszyci ruszyli do przeciwuderzenia, spróbowali obejść nasz pluton z boku. Zagięliśmy skrzydła i granatami odrzuciliśmy ich z powrotem do rowu. Nie pamiętam już, ile razy wyłazili oni ze swego rowu i rzucali się na nas. Walka na granaty trwała całą noc. Księżycą tej nocy nie było. Takie panowały nieprzeniknione ciemności, że Niemcy niepostrzeżenie podchodzili na odległość 6 — 7 metrów, a my mogliśmy ich odróżnić od swoich tylko po ogromnych tornistrach na plecach i „pięściach pancernych“, które nieśli pod pachami. Rankiem, po odparciu ostatniego przeciwuderzenia hitlerowców, wdarliśmy się do ich rowu.

Walczyłem od 1941 r., biłem się pod Leningradem, nad Dnieprem, nad Wisłą, ale bój, który rozegrał się w tym rowie na wale nad Odrą, przechodził zacięłością wszystko, co dotychczas widziałem. Skoro wskoczyłem tylko do rowu, jeden z hitlerowców chwycił mnie za gardło. Ścisnąłem w przegubie jego rękę, którą mnie dusił, i wykręciłem ją. W prawej ręce miałem granat. Uderzyłem go tym granatem w skroń.



W utarczce tej nieraz wypadło mi działać granatem niby młotkiem. Niektórzy hitlerowcy, nie chcąc poddawać się, wcisnęli się w nisze do spania, wykopane w ściankach rowu. Tych zniszczyliśmy rzucając do ich nor granaty.

Zaczęło świtać.

Strzelanina wszędzie ucichła. Po wejściu na wał zobaczyliśmy tłumy Niemców z podniesionymi rękami i białymi chorągwiami. Tak się zakończyła hitlerowska próba przedarcia się z okrążenia pod Kostrzyniem. Jeden tylko nasz pluton wziął tu do niewoli około pięciuset Niemców. Kiedy odsłaliśmy ich na tyły, do wału zaczęły podchodzić tyraliery strzelców generała Czujkowa. Powitaliśmy ich radosnym okrzykiem:

— A teraz razem na Berlin!

A. GOŁUNIENKO
SIERZANT GWARDII

Legitymacja partyjna

Punkt obserwacyjny naszego dywizjonu mieścił się na lewym brzegu Odry. Jako zwiadowca artyleryjski wyszukiwałem gniazda ogniowe przeciwnika. Na rano było wyznaczone natarcie. O świcie artyleria nasza otworzyła ogień, a potem ruszyły do natarcia oddziały piechoty. Opuściłem punkt obserwacyjny i poszedłem razem z piechotą.

Piechurzy jednym zamachem zdobyli pierwszy rów ciągly, następnie po walce wyparli Niemców z drugiego i trzeciego rowu i nie pozwalając nieprzyjacielowi ochłonąć pędzili go aż do wsi Lossow. W gorączce pościgu oddział nasz wysunął się naprzód i odcięty został od sąsiadów.

Dowódca rozkazał zająć obronę okrężną. Znajdowaliśmy się na skraju lasu, w lesie byli Niemcy, w rowie na otwartym polu także byli Niemcy. Postanowiono przebijać się całym oddziałem przez pole.

Z okrzykiem: „Hura!“ za Stalina!“, żołnierze rzucili się ku rowom. Huraganowy ogień nieprzyjaciela przydusił nas do ziemi. Trzeba było wycofać się z powrotem w stronę lasu. Druga próba także nie doprowadziła do niczego; wielu naszych towarzyszy zostało zabitych, a pozostali z trudem doczłgali się do krzaków. Pozostała nas garstka. Postanowiliśmy ruszyć w innym kierunku. Pojedynczo, po dwu zaczęliśmy przebiegać od krzaka do krzaka wzdłuż lasu. Zaledwie spuściliśmy się w parów, gdy spotkały nas tam nieprzyjacielskie samochody pancerne i piechota. Trzeba było przypaść do ziemi. Leżąc zauważyłem w pobliżu niewielki rowek, zsunąłem się tam, uzupełniłem naboje w magazynku pistoletu maszynowego i przygotowałem się do walki. Niemcy zauważyli, jak zeskoczyłem i poczłgali się ku mnie.

Ściemniło się już i trudno było ich dojrzeć, ale głos w ciemności nie ginie, a oni krzyczeli głośno, żebym się poddał dobrowolnie. Dopuściłem ich

bliżej i dałem serię z pistoletu maszynowego, potem następną. Myślę, że nie bez skutku, bo wycofali się ku samochodom pancernym. Nieprzyjaciel nie tracił jednak mnie z oczu i zaraz jeden z samochodów pancernych wystrzelił do mnie dwa razy. Zostałem obsypany ziemią i ogłuszony. Postanowiłem zmienić stanowisko, w nadziei, że dym wybuchów osłoni mnie przed nieprzyjacielem. Nie zdążyłem jednak podczołgać się do drugiego rowka, gdy faszyci spostrzegli mnie i dali serię z karabinu maszynowego. Poczulem, że zostałem poważnie ranny w plecy. Na dobitkę pocisk rozbił mój pistolet maszynowy. Jakoś jednak dotarłem do rowka. Słyszę — faszyci znów zbliżają się. Miałem 4 granaty. Trzy — jeden po drugim — rzuciłem. Czwarty zostawiłem dla siebie. Słyszę, że robi się jakoś bardzo cicho. Z początku pomyślałem, czy aby faszyci nie odeszli stąd w ogóle, potem zrozumiałem, że mąci mi się w głowie, widocznie śmierć już blisko. Cóż, martwe moje ciało niech się dostanie wrogowi; ale miałem przy sobie legitymację partyjną i mapnik z danymi rozpoznania artyleryjskiego i schematy rozmieszczenia kompanij. Dokumentów tych nie mogłem w żaden sposób zostawić hitlerowcom. Resztką sił rozgrzebałem piaszczystą ziemię, do wykopanej jamki włożyłem legitymację partyjną i mapnik, przykryłem ziemią i sam położyłem się na tym miejscu. Potem straciłem przytomność.

Ocknąłem się na wozie wśród martwych ciał. Potem dowiedziałem się, że zabrał mnie z pola nasz oddział pogrzebowy, który wziął mnie za trupa. Przyszedłem do siebie całkowicie już w szpitalu. Słyszę, że mają zamiar ewakuować mnie na tyły. Wtedy pomyślałem od razu o swej legitymacji partyjnej: „Jak to? Jestem przecież żywy i powinienem mieć ją przy sobie. Nie, za nic nie pozwolę się wywieźć, dopóki nie odzyskam mojej legitymacji“. Powiedziałem to siostrze, odesłała mnie do komendanta szpitala. Komendant wysłuchał mnie, ale odparł, że w żadnym wypadku nie pozwoli mi iść dokądkolwiek w takim stanie. Wówczas postanowiłem działać na własną rękę. Dowiedziałem się, że ze szpitala jedzie w stronę Odry samochód po rannych. Wlazłem doń ukradkiem i dojechałem do przeprawy. Nie uszedłem nawet kilkudziesięciu kroków, gdy zobaczono mnie i odstawiono do sztabu obcego oddziału artyleryjskiego. Wyjaśniłem, dokąd idę i po co. Ponieważ zapadał już zmierzch, pozostawiono mnie na nocleg. W nocy starałem się nie zdradzać, że jestem poważnie ranny, choć rana bolała. Bałem się bardzo, że odstawią mnie z powrotem do szpitala. Rano dano mi przewodnika i nie bez trudu dotarliśmy do lasu, gdzie poprzednio uważałem się już za straconego. Faszyci pukali dość energicznie, ale nie czekałem na przerwę w ostrzale. Gdzie było można — biegnąc w pochyłonej pozycji, gdzie było trzeba — czółgając się, przekradłem się do rowka. Mapnik z legitymacją był nienaruszony.

Nacieszywszy się, rozważyłem położenie i zdecydowałem, że skoro mogłem wytrzymać taką drogę, to nie warto mi teraz wracać do szpitala. Dywizjon nasz powinien być tu gdzieś w pobliżu. Wrócę lepiej do oddziału,

podlecę się tam w plutonie sanitarnym i razem z towarzyszami pójdę na faszystowską stolicę. Inaczej nieprędko wypuszczą mnie ze szpitala i można nie trafić z powrotem do swoich. Na moje szczęście napatoczyła się biedka z naszego dywizjonu; poznałem ją po niebieskim kolorze, na jaki była pomalowana. Towarzyszący mi żołnierz okrzykiem wstrzymał woźnicę. Okazało się, że się znamy. Spojrzał na mnie z wielkim zdziwieniem i pomógł mi wsiąść. Podobnie jak wszyscy w dywizji, uważał mnie za zabitego.

Zastępca dowódcy do spraw politycznych, major Kossir, kiedy do niego przyszedłem, nie od razu mnie poznał. Dopiero po kilku minutach zawołał: „To ty, Gołunienko?“ — i zaczął zwoływać wszystkich, żeby obejrzeli zmartwychwstałego nieboszczyka. Kiedy mnie nakarmiono, obmyto i opatrzone ranę, major Kossir polecił mi iść do szpitala. Zacząłem prosić i opowiedziałem szczegółowo, jak i dlaczego rozstałem się ze szpitalem. Major Kossir wysłuchał i rzekł:

— Nie jestem lekarzem... Ale wierzę, że jeśli tak droga ci jest cześć komunisty i twój oddział — to wyżyjesz...

Pozwolono mi leczyć się w oddziale. I w bój o Berlin poszedłem ze swoją starą legitymacją partyjną.

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

P R Z E Ł A M A N I E

*W*ojska I Frontu Białoruskiego, które umocniły się po ciężkich walkach na przyczołkach nadodrzańskich, po zakończeniu przygotowań do ofensywy, 14 i 15 kwietnia przedprowadziły rozpoznanie walką na pasie obronnym przeciwnika. Nocą 16 kwietnia, po potężnym przygotowaniu artyleryjskim, wojska I Frontu Białoruskiego ruszyły z przyczołków nadodrzańskich do szturm na Berlin.

Równocześnie wojska I Frontu Ukraińskiego, po sforsowaniu rzeki Nysy, siłami potężnego, ruchomego zgrupowania nacierały na Berlin od południa i południowego zachodu, posuwając się znaczną częścią sił w głąb Niemiec w kierunku Łaby.

P R E F A C I E

Wzrost i rozwój państwa polskiego
wobec katolickości, do której
przebiegał do dzisiaj, i do której
nieustannie, i zgodnie z jej
dążeniami, przetrwał, i do której
po prostu przetrwał, i do której
wzrost i rozwój państwa polskiego
wobec katolickości, do której
przebiegał do dzisiaj, i do której
nieustannie, i zgodnie z jej
dążeniami, przetrwał, i do której
po prostu przetrwał, i do której

Wzrost i rozwój państwa polskiego
wobec katolickości, do której
przebiegał do dzisiaj, i do której
nieustannie, i zgodnie z jej
dążeniami, przetrwał, i do której
po prostu przetrwał, i do której
wzrost i rozwój państwa polskiego
wobec katolickości, do której
przebiegał do dzisiaj, i do której
nieustannie, i zgodnie z jej
dążeniami, przetrwał, i do której
po prostu przetrwał, i do której

Z pamiętników i listów

16 kwietnia

Noc ciemna, bezksiężycowa. Bateria stoi gotowa do strzału. Siedzimy w schronie bez świateł. Ale nikt nie śpi. Działonowy, starszy sierżant Alekszej Miniajew, opowiada wesoło różne różności, najczęściej o pobitych faszystach. Co chwila wybuch śmiechu zagłusza dosadne słówka działonowego.

Nagle usłyszeliśmy, że ktoś wchodzi.

— Zapalcie światło — powiedział głośno.

Poznaliśmy głos instruktora Komsomołu. Zapaliliśmy świecę.

— Dobra wiadomość, chłopcy — mówił dalej instruktor Komsomołu. — Otrzymaliśmy wezwanie Rady Wojennej Frontu. Towarzysz Stalin w imieniu narodu radzieckiego rozkazał zdobyć Berlin — stolicę faszystowskich Niemiec — i zatknąć nad nim Sztandar Zwycięstwa.

I podał odezwę Miniajewowi. „Nareszcie!“ wykrzyknęli żołnierze zrywając się w radosnym podnieceniu.

St. sierżant W. SUTYRIN

Równocześnie z rozkazem rozpoczęcia ofensywy otrzymaliśmy odezwę Rady Wojennej 1 Frontu Białoruskiego do żołnierzy, podoficerów i oficerów.

W na wpół zrujnowanej piwnicy było zaledwie paru telefonistów. Wydawało mi się jednak, że stoję na wielkim placu wśród tłumu ludzi. Serce zaczęło mi bić gwałtownie. Nadeszła wielka chwila.

Odebraliśmy odezwę i poszliśmy do kompanii, żeby zakomunikować jej treść tym, którzy nie mrużąc ani na chwilę oczu czujnie obserwują przeciwnika.

Była ciemna i wilgotna noc. Gęsta mgła słała się po ziemi.

Nieprzyjaciel strzelał ospale, nasi odpowiadali mu od czasu do czasu.

Zbieraliśmy niewielkie grupy, czołgaliśmy się do poszczególnych stanowisk strzelców wyborowych i wszędzie czytaliśmy żołnierzom odezwę Rady Wojennej.

Przed rowami — dobrze zamaskowane gniazdo dowódcy obsługi karabinu maszynowego Temirbułatowa.

Czołgam się w kierunku obsługi karabinu. Temirbułatow mówi przyciszonego głosem:

— Towarzyszu kapitanie, czołgajcie się prędzej, bo do naszego gniazda wali karabin maszynowy.

W wąskim rowie z trudem mieściła się obsługa ckm i trzech fizylierów, którzy znajdowali się obok.

Po wysłuchaniu odezwy przez żołnierzy Temirbułatow zabrał głos:

— Towarzysz Stalin kazał nam zatknąć nad Berlinem Sztandar Zwycięstwa. Przysięgamy, że wykonamy ten rozkaz... Zakomunikujcie dowództwu, towarzyszu kapitanie, że przysięgamy...

Uścisnąłem mocno dłonie towarzyszy z obsługi ckm i udałem się w dalszą drogę.

W na wpół rozwalonym domku z oknami zasłoniętymi płachtami namiotowymi siedzieli żołnierze pierwszej kompanii strzeleckiej. Niektórzy z nich odpoczywali drzemiąc. Na mój widok wszyscy wstali. Z napiętą uwagą słuchali tekstu odezwy. Po odczytaniu jej zabrał głos organizator partyjny Kiriłow, odważny żołnierz, równocześnie poeta kompanii — i korespondent wojenny. Kiriłow powiedział głosem załamującym się ze wzruszenia:

— Któż spośród nas nie ma swoich porachunków z hitlerowcami? Kogo podli faszyci nie pozbawili tego, co było dlań najdroższe? Kto nie zaznał wszystkich potworności narzuconej nam wojny? Nadeszła godzina zapłaty. Zaczynamy szturm na legowisko bestii — na Berlin. Wykonamy rozkaz towarzysza Stalina. Ruszamy na Berlin. Ojczyzna jest z nami. Z nami jest Stalin.

Kapitan Gwardii A. KULISZ

Wczoraj wieczorem przejechaliśmy ze swoją radiostacją na nowe stanowisko dowodzenia.

Zeszliśmy do piwnicy.

Przed samym naszym przyjściem ciężki pocisk przebił cokol metrowej grubości, zgiął belkę żelazną i ostatnim wysiłkiem upadł na podłogę wraz z kupą cegieł. Zastaliśmy wszystkich wstrząśniętych jeszcze po wrażeniu tego, co przed chwilą przeżyli. Na szczęście towarzysze otrzymali tylko kilka guzów, spowodowanych odłamkami cegieł.

Ściemniło się zupełnie. Wyszedłem na dwór. Przejeżdżały jeden za drugim samochody bez świateł, podobne do czarnych cieni. Niektóre za-



W przeddzień natarcia

miast podwozia miały w tyle coś wysokiego, okrągłego, przypominającego kotły do topienia asfaltu. Wszystko to było przykryte brezentem i starannie zamaskowane gałązkami jedliny.

Zeszedłem do piwnicy i zapytałem podpułkownika, co to może być. Podpułkownik uśmiechnął się i odpowiedział.

— Przecież to reflektory.

Zdziwiliśmy się wszyscy.

— A po co, towarzyszu podpułkowniku, wiozą reflektory na czołowe pozycje?

— Zobaczycie — powiedział podpułkownik.

O trzeciej w nocy przeszliśmy na skraj obrony. Odległość do naszych rowów wynosiła około dwieście metrów. Pod nasypem kolejowym były wykopane stanowiska dla obserwatorów i małe schrony. Ulokowaliśmy się w jednym z nich.

Czołgi i działa pancerne wychodziły już na pozycje wyjściowe. Z drugich rzutów podciągano piechotę.

Wreszcie nadeszła oczekiwana godzina. Zdawało nam się, że nikt nie jest tak przyzwyczajony do kanonady w czasie przygotowania artyleryjskiego jak my — a jednak pootwieraliśmy usta, jak ogłuszone ryby. Gdy się chciało coś powiedzieć towarzyszowi, trzeba było krzyczeć mu w samo ucho, a on kręcił głową i dawał znaki, że nic nie słyszy.

Postanowiłem popatrzeć trochę na świat i wysunąłem się ze schronu, ale muszę się przyznać, zaraz schowałem się z powrotem.

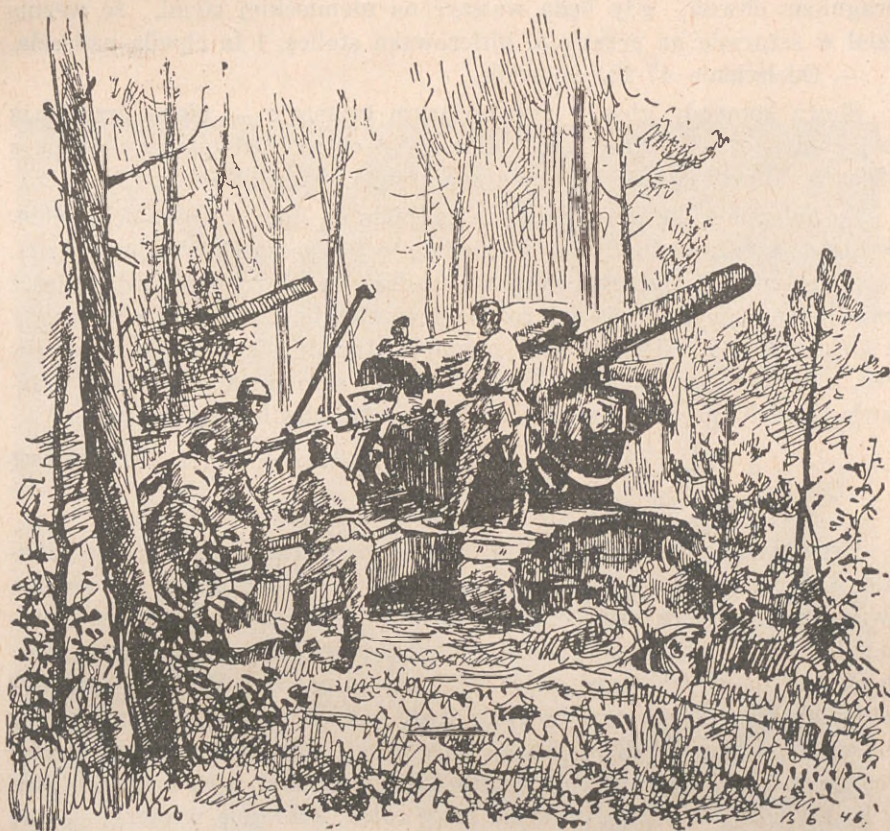
Po pewnym czasie kanonada trochę ucichła. Wyjrzałem znowu i z ust wyrwał mi się okrzyk podziwu.

Co za widok. Przed nami i za nami, wzdłuż całej linii frontu, stoją reflektory kierując swoje światło w stronę nieprzyjaciela.

Efekt był nadzwyczajny.

Szeregowiec Gwardii N. TRACZENKO

Nikt w baterii nie wiedział, że za jakieś osiem — dziewięć godzin nadejdzie długo oczekiwana chwila — szturm na Berlin. Szturm, o którym marzyliśmy od początku wojny, jeszcze podczas walk w obronie Leningu. Ale wszyscy artylerzyści wyczuwali na podstawie zupełnie nieuchwytnych oznak, że nie jest to zwykła noc. Jeszcze nigdy nie czyściliśmy tak starannie haubic, nie wycieraliśmy tak skrupulatnie smarów, nie segregowaliśmy w ten sposób pocisków. Pracowaliśmy w głębokim milczeniu, uroczyście, jakbyśmy robili przygotowania świąteczne. Dowódca baterii, lejtnant Stryżak, przezwany „okiem wszechwidzącym“, tej nocy wyjątkowo dokładnie sprawdzał wykonywane przez nas czynności. Dopiero dobrze po północy w baterii zapanował spokój — artylerzyści ułożyli się do snu.



Cisza w ziemiance, w której mieściło się stanowisko dowodzenia, została nagle przerwana przez ostry dźwięk dzwonka telefonu. „Kuter“ słu-cha — odezwał się dyżurny telefonista, niemłody żołnierz Pasynkow, i mocno przycisnął słuchawkę do ucha.

— Rozkaz, pełnić dyżur czujnie, nie odchodzić od telefonu — rzekł powtarzając widocznie to, co mu powiedziano. Odłożył słuchawkę i mówił, jakby głośno myślał: — Widocznie coś się na rano szykuje, nie dzwoniliby o tej porze bez powodu.

I jakby w odpowiedzi na jego rozważania, znowu rozległ się dźwięk dzwonka. Wszystkie przewody rozbrzmiały jednym rozkazem: Alarm!!

W ciągu paru minut wszyscy byli na nogach. Zdjęto pokrowce z haubic, obsługa każdego działła zajęła swoje miejsca, czeka na rozkaz.

Lejtnant Stryżak spojrział ze wzruszeniem na swoich żołnierzy. Wielu z nich przeszło wraz z nim całą drogę bojową, poczynając od Leningradu. Razem z nimi forsował rzekę Narwę, zdobywał Tallin, wyzwalał Estonię, przeprowadził się przez Odrę. Ileż razy rozmawiali o tym, że przyjdzie

upragniona chwila, gdy będą walczyć na niemieckiej ziemi, że wezmą udział w szturmie na przeklętą, hitlerowską stolicę. I ta chwila nadeszła.

— Odchylenie 47-20, celownik..

Słowa komendy giną w ogłuszającym grzmocie — niebo przecinają tysiące błysków. To „Katusze“ otworzyły ogień. Działonowi obstępują lejtnanta, aby dosłyszeć komendę zagłuszaną przez „Katusze“.

Po upływie kilku sekund ziemia zadrżała od huku tysięcy dział, zbieleła niebo zasnuły kłęby dymu. Wyglądało to jak początek trzęsienia ziemi. Jak z krateru olbrzymiego wulkanu spadała na głowy wrogów z paszcz armat lawina śmiertcionośnego, rozpalonego metalu. Lufy dział nagrzewały się do czerwoności. Twarze artylerzystów stawały się coraz bardziej surowe, a ruchy coraz szybsze. Zdawało się, że sam towarzysz Stalin przemawia do nich: *prędzej, prędzej, nie traćcie ani chwili drogiego czasu.*

Młodszy sierżant I. WOŁOBUJEW

Krew zaczęła żywiej krążyć w żyłach, serce tłukło się w piersi i zdawało się powtarzać: *oto jest, oto jest, oto jest* — ta długo oczekiwana chwila. Pragnąłem czym prędzej iść do walki, która miała zapewnić nowemu pokoleniu świetlaną przyszłość, do walki, dzięki której dzieci będą z dumą patrzeć na swych ojców, dzieci będą się od nas uczyć miłości ojczyzny i odnoszenia zwycięstw nad wrogiem. Będą zawsze z szacunkiem ustępować miejsca inwalidom Wielkiej Wojny Narodowej, będą dbać o to, aby ścieżki wiodące do grobów poległych nie zarastały chwastami, a na mogiłach kwitły róże i leżały wieńce. Nie tylko moje serce tłukło się w piersi — biło równocześnie serce w piersi każdego szeregowego i oficera, biło jedno wielkie serce rosyjskie.

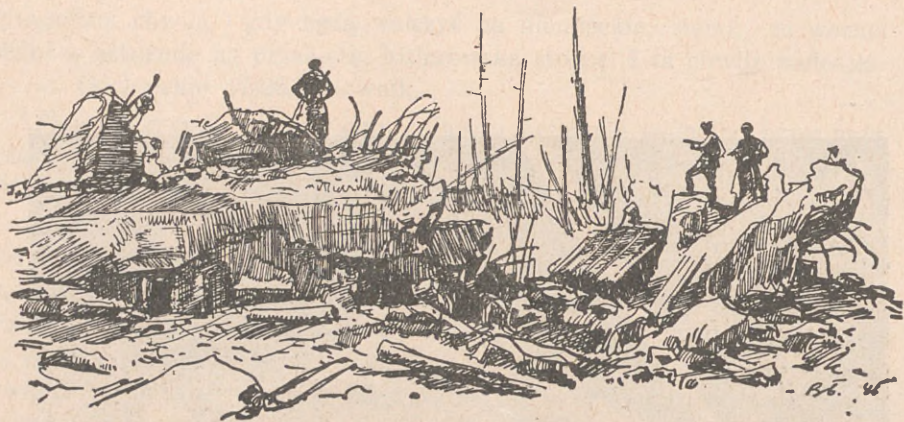
Gdy rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie, stanąłem wyprostowany w rowie i patrzyłem na wybuchy naszych pocisków, które wyrzucały w powietrze ziemię i drzewa. Dzięki wam, towarzysze artylerzyści. Nagle coś huknęło za moimi plecami, zadzwoniło mi w uszach. Byłem tak pochłonięty widokiem tego, co się działo przed nami, że nie zauważyłem, gdy do rowu przetoczono armatę. Musiałem się trochę odsunąć na bok.

Starszy sierżant W. CZEREMUCHIN

Obudził nas huk armat. Zrozumieliśmy od razu, że ten huk oznacza początek szturmie na Berlin. Żołnierze mówili, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszeli takiej kanonady. Gdy padł rozkaz, aby wyskoczyć z rowów i iść do szturmie, huk artyleryjski trwał nadal. Nikt nie zauważył nadejścia dnia, gdyż dym z wybuchających pocisków wciąż gęstniał. Dopiero koło pierwszej osady ludzkiej dojrzeliśmy słońce, prześwitujące przez zasłonę dymów. Przeszliśmy przez trzy rzędy rowów hitlerowskich, obrobionych



Przygotowanie artyleryjskie



już przez naszą artylerię. Wrażenie było wstrząsające. Jeden z pocisków trafił prosto w gniazdo karabinu maszynowego. Po karabinie i jego obsłudze pozostały tylko nieznaczące ślady. Szczątki belek w leju niezwyklego kształtu pozwalały przypuszczać, że tutaj znajdował się schron. W innym miejscu sterczące z ziemi, poskręcane szczątki kabli elektrycznych pozwoliły nam się domyślać, że to resztki transformatora, którego budka służyła faszystom za punkt obserwacyjny. A to co znowu? Z daleka widzimy nieuszkodzone działa hitlerowskie z lufami obróconymi w naszą stronę. Jesteśmy zdziwieni, ale zdziwienie nasze niknie z chwilą, gdy zbliżamy się do ocalałych armat. Okazuje się, że są to pozorne stanowiska baterii nieprzyjacielskich — armaty zrobione są z drzewa. Rozumie się, że nasi artylerzyści nie marnowali pocisków, aby je zniszczyć. Szeregowiec Skorodubcew, gdy zobaczył te fałszywe armaty, powiedział:

— Starego wróbla chcieli wziąć na plewy.

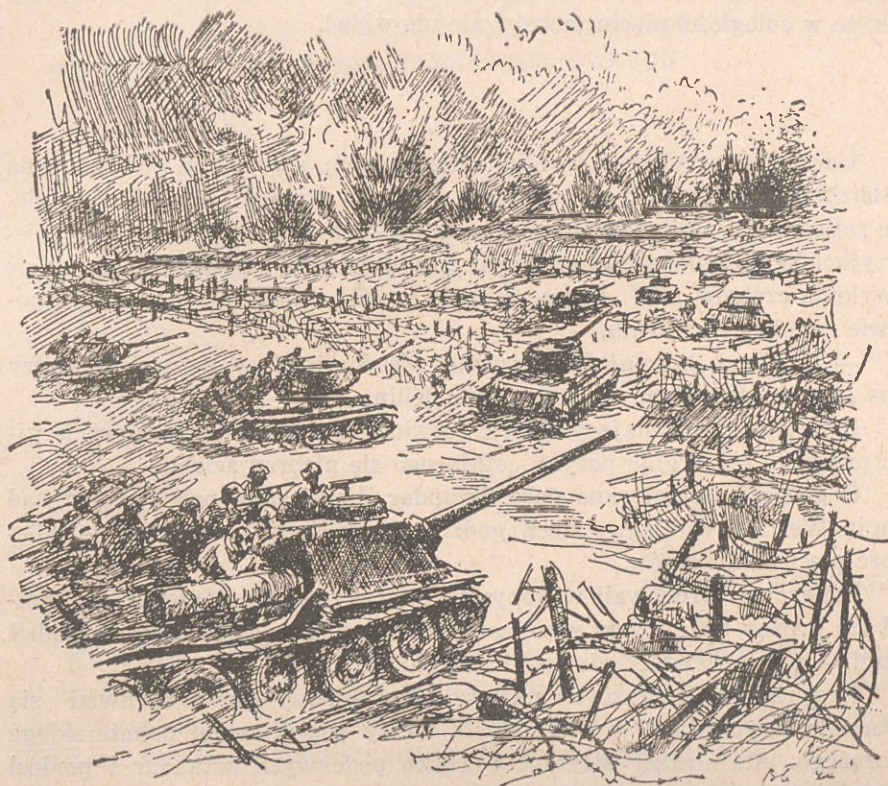
Szeregowiec Gwardii I. SAPRYKIN

Swit. Ziemia nadodrzańska chwieje się jak podczas trzęsienia ziemi. Kapitan Kudiakow znajdował się ze swymi zwiadowcami-artyleryzystami w ugrupowaniu bojowym piechoty. Nieprzyjacielowi udało się wykryć nasz punkt obserwacyjny. Pociski runęły na schron. Dwie górne warstwy ziemi zostały już zerwane, ale kapitan nie zwracał na to uwagi. Patrzył przez lornetę na posuwanie się naszej piechoty.

— Na Berlin! Na Berlin! — krzyczał.

Ogarnęła nas taka radość, jakiej jeszcze nigdy nie doznawaliśmy. Sierżant Barinow, który obserwował wybuchy pocisków z naszych dział, dostrzegł hitlerowską armatę, strzelającą do nas.

— Towarzyszu kapitanie, to ona w nas wali. Słowo daję, że w nas — twierdził z przekonaniem.



— Daj znać, niech do niej kropną — powiedział kapitan nie odrywając lornetki od oczu.

Telefonista nie zdążył wykonać rozkazu — fala powietrza uderzyła nim o ścianę. Pył zasłonił całą widzialność. Pocisk oderwał róg schronu i zdarł trzecią, ostatnią już warstwę belek z ziemią.

— Przebiegamy do tamtego domu — powiedział kapitan.

Ledwo zdołaliśmy wszyscy dobiec do nowego punktu obserwacyjnego, gdy obok niego wybuchnął ciężki pocisk.

— Towarzyszu kapitanie, urwało mi nogę — krzyknął telefonista.

Kapitan Kudiakow był ranny w szyję. Ale widocznie nawet nie poczuł tego w pierwszej chwili. Usłyszał okrzyk telefonisty. Zbliżył się, zobaczył, że ten leży w kałuży krwi i powiedział:

— Przysięgam, że oni nie ujdą z naszych rąk. Zapłacą za wszystko.

Sierżant Gwardii G. CZERNYSZEW

Błyski wystrzałów armatnich, reflektory, które rzucają snopy długich promieni w głąb nieprzyjacielskich linii obronnych, ogniste tory pocisków z „Katiusz“ — sprawiają, że noc staje się widna jak dzień; za to rankiem

gryzący dym prochowy, dławiący oddech w piersiach, zasnuwa wszystko tak, że w odległości pięciu metrów nic nie widać.

Lejtnant A. FRIAZINOW

Uderzenie artyleryjskie miało niesłychaną siłę ognia. Umocnienia hitlerowskie wylatywały w powietrze jedno po drugim. Gdy ostre promienie reflektorów oświetliły zakryty szarą zasłoną przedni skraj obrony nieprzyjaciela, do huków naszej artylerii przyłączył się warkot zbliżających się z wyłomu czołgów „IS”. Nasza piechota wyszła z rowów i w zgodnym porywie runęła do szturm.

— Naprzód, bracia! Za ojczyznę! Za Stalina! — wezwał żołnierzy głos naszego chorążego — szeregowca Kilina.

Pył i dym, zasłaniający słońce, rozwiewa się powoli. Ogień artyleryjski przeniósł się w głąb pozycji cofającego się nieprzyjaciela.

O godzinie ósmej rano nasz Sztandar Zwycięstwa powiewa już nad stacją Werbig. W ciągu trzech godzin przeszliśmy — walcząc — odległość pięciu kilometrów.

Hitlerowcy próbowali wykonywać jeszcze przeciwuderzenia, ale spotkał ich groźny opór; celny wystrzał armatni zapalił jeden czołg, uszkodził drugi — i przeciwuderzenie spaliło na panewce.

W tyralierze biegnących na przód żołnierzy znowu zachwiał się Sztandar Zwycięstwa. W owej chwili wraży pocisk zranił bohaterskiego chorążego. Ale starszy sierżant Szkurko podchwycił sztandar i poniósł go dalej niepowstrzymanie, ścigając oszołomionego nieprzyjaciela.

Kapitan KUZMIENKO

W. CZUJKOW
DWUKROTNY BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
GENERAL - PUŁKOWNIK GWARDII

Sławnym szlakiem

URYWKI WSPOMNIEN

Na jesieni 1944 roku żołnierze 1 Frontu Białoruskiego posłali w darze towarzyszowi Stalinowi wykonany w brązie posąg żołnierza, który kroczy przez Wisłę i Odrę. Żołnierz trzyma w rękach sztandar, który powiewa nad Berlinem. Towarzysz Stalin powiedział przyjmując podarunek:

— Żołnierze 1 Frontu Białoruskiego właściwie rozumieją zadanie, które stoi przed nimi.

Było to dla nas, znajdujących się wówczas na przyczółku wiślanym, wielkim szczęściem. Poczuliśmy, że nasze namiętne pragnienie zostanie spełnione. Wódz Naczelny zamierza nas właśnie skierować na Berlin. Nam właśnie przypadnie w udziale zatknięcie nad Berlinem Sztandaru Zwycięstwa.

Gdy dowiedzieliśmy się o postanowieniu Naczelnego Dowództwa, starzy towarzysze-generałowie, dzieląc się ze mną swoimi uczuciami, powiedzieli mi:

— Twoi gwardziści, Czujkow, przejdą cały najświetniejszy szlak Wojny Narodowej: od Stalingradu do Berlina.

Wiedziałem, że do oczekujących nas działań wojennych trzeba się bardzo poważnie przygotować, gdyż hitlerowcy mogą zgromadzić siły i zatrzymać nas pod Berlinem. Nie uratuje to ich wprawdzie od ostatecznej klęski, ale dla nas, bojowników o Stalingrad, będzie to hańbą.

Mieliśmy wielkie doświadczenie w walkach ulicznych. W Stalingradzie stworzyliśmy grupy szturmowe — było to dla nas wspaniałą szkołą walk w mieście. Na drodze nad Odrę znajdował się Poznań, w którym nasi gwar-

dziści walczyli dwadzieścia pięć dni. Wreszcie, zdobycie twierdzy Kostrzyn nad Odrą było generalną próbą bitwy o Berlin.

W okresie przygotowań do ostatecznej, decydującej ofensywy napisałem artykuł pod tytułem „Jak należy prowadzić walkę o zamieszkałe osiedle“. I szeregowi, i oficerowie naszej armii rozumieli doskonale, że używając skromnej nazwy „zamieszkałe osiedle“ — mam na myśli ni mniej, ni więcej tylko Berlin, stolicę faszystowskich Niemiec.

Stalingradzkie grupy szturmowe wzbogaciły swe doświadczenie bojowe w walkach o zdobycie miast: Zaporozża, Odessy, Lublina, Łodzi, Poznania i wreszcie Kostrzyna.

Stawiałem za przykład żołnierzom z grup szturmowych bohatera walk o Poznań, kawalera dwóch orderów Chwały, młodszego sierżanta gwardii, Wasylego Alejnika, który odznaczył się w walkach niezwykłą szybkością działania. Dzięki jego odwadze i ruchliwości grupa, którą dowodził, zdobyła w Poznaniu silnie umocniony budynek narożny nie ponosząc przy tym żadnych strat.

Gdy odwiedzałem poszczególne oddziały i gawędziłem z żołnierzami, tematem każdej rozmowy stawał się zawsze Berlin.

— Oj sierżancie, buty masz mocno sfatygowane.

— To nic, towarzyszu generale, wytrzymają do Berlina.

Zapytałem pewnego szefa, czy kompania ma dosyć amunicji. Szef mi odpowiedział:

— Melduję, że do Berlina starczy.

Przed frontem naszego przyszłego natarcia ciągnęło się pasmo tak zwanych Wzgórz Seelowskich — poważna przeszkoda naturalna, umocniona przez nieprzyjaciela. Pozycje obronne wśród wzgórz były urzutowane bardzo głęboko, aż do samego Berlina. Prowadziliśmy szczegółowe rozpoznanie tych wzgórz, używając do tego wszelkich możliwych środków. Oficer mego sztabu, podpułkownik gwardii Wielkin, dwukrotnie oblatywał ten teren na samolocie szturmowym, badając pozycje nieprzyjacielskie.

16 kwietnia w nocy znajdowałem się na swoim punkcie obserwacyjnym na przyczółku za Odrą i wsłuchując się w dochodzące do mnie odgłosy walki starałem się odgadnąć na ich podstawie, jak się zachowuje nieprzyjaciel. Początek naszej ofensywy nie mógł być niespodzianką dla Niemców. Schwytyany 14 kwietnia podczas rozpoznania jeńiec, oświadczył: „Dotychczasowe wasze natarcia nie były jeszcze właściwą ofensywą. Właściwa ofensywa rozpocznie się za jakieś dwa dni, wojska wasze przystąpią do przełamywania naszych pozycji obronnych, po czym runą na Berlin. Po upływie mniej więcej siedmiu dni pojedziecie pod Berlin, a za jakieś piętnaście dni wojna skończy się całkowitą klęską Niemiec“.

Gdy dzisiaj przypominam sobie badanie tego żołnierza niemieckiego, dochodzę do wniosku, że ten Niemiec rozumiał sytuację prawdopodobnie trochę lepiej niż generałowie hitlerowskiego sztabu generalnego.

Zdawałem sobie sprawę, że całkowite ukrycie przygotowań do potężnej ofensywy jest niemożliwe. Ta świadomość budziła we mnie obawy, że nieprzyjaciół nas oszuka, cofnie się, zmieni rozpoznane przez nasz wywiad stanowiska ogniowe.

Wówczas przedsięwzięte olbrzymim nakładem sił przygotowanie artyleryjskie pójdzie na marne i na innej linii trzeba będzie wszystko zaczynać od początku.

Parę razy wychodziłem ze schronu. Na przedniej linii obrony panował spokój.

Przedemną, w pobliżu mego punktu obserwacyjnego, żołnierze posilali się, czyli jak się u nas uwarło mówić, „zaprawiali“ się przed walką.

Natarcie artyleryjskie było bardzo krótkie, ale niebywale silne. Nadało ono właściwy ton całej operacji.

Zaszczyt dyrygowania tą potężną orkiestrą artyleryjską przypadł w udziale Bohaterowi Związku Radzieckiego, generałowi-lejtnantowi gwardii, Pożarskiemu. 265 luf artylerii i moździerzy przypadało na każdy kilometr frontu przełamania.

O świcie obserwacja pola walki stała się bardzo utrudniona. Dym z wybuchających pocisków artyleryjskich mieszał się z błękitną mgiełką, ścielącą się nad ziemią. Ta mgiełka doprowadzała do szału dowódców oddziałów lotniczych, którzy mieli swoje stanowiska tuż obok mego punktu obserwacyjnego. Lotnictwo działało w bardzo skomplikowanych warunkach.

Walka była trudna i uporczywa. Jednakże gdy moi zwiadowcy przejęli niemiecki radiogram, w którym jakiś dowódca rozkazywał walić do uciekających żołnierzy pociskami odłamkowymi z czołgów — zrozumiałem, że gwardziści Stalingradu odnieśli już zwycięstwo, że ich wola walki jest niezłomna, a hitlerowcy znajdują się w odwrocie.

Kilkakrotnie wzywano nas w imieniu towarzysza Stalina, abyśmy się nie śpieszyli, aby szturm piechoty zaczął się dopiero po dostatecznym przygotowaniu artyleryjskim.

W tym wezwaniu odzwierciedlała się głęboka Stalinowska troska o ludzi. Przedsięwzięliśmy wszystkie wysiłki, aby zniszczyć wroga oszczędzając jak najbardziej życie naszych żołnierzy, którzy przeszli cały ciężki szlak i dożyli do ostatniego, decydującego etapu Wojny Narodowej.

Po przejściu w zaciętych walkach sześciu czy ośmiu kilometrów podszliśmy bezpośrednio do podnóża Wzgórz Seelowskich. Nieprzyjaciół posiadał tutaj potężne umocnienia i świeże oddziały. Zdobycie tych umocnień było niemożliwe. Rozpoczęły się długotrwałe walki, toczące się dniem i nocą.

O powrocie do walki o Wzgórze Seelowskie zdecydowała umiejętność przeprowadzania przez nasze wojska natarcia pod osłoną nocy. Na wzgórze wdarła się najpierw dywizja generała Szugajewa, a zaraz po niej — dywizja generała Zieleniuka.

Powtórne przygotowanie artyleryjskie, przeprowadzone w nocy, i gwałtowny, zwarty szturm spowodowały zdobycie wszystkich pozycji na Wzgórzach Seelowskich. Wyłom w drodze na Berlin został dokonany.

Hitlerowski sztab generalny zdawał sobie sprawę, że wzmagający się nieustannie napór Armii Radzieckiej, który uniemożliwił zatrzymanie ofensywy naszych wojsk — zniweczył wszystkie plany strategiczne i taktyczne. Ale jak powiadają: „tonący brzytwy się chwyta“. Wróg rzucił przeciw nam wszystkie posiadane odwody.

Codziennie na nowych pozycjach w głębi obrony nieprzyjacielskiej zjawiały się świeże pułki i dywizje: przeciwnatarcia następowały jedno po drugim. Ale nie było na świecie takiej siły, która mogłaby się przeciwstawić potężnym natarciom stalingradzkich gwardzistów, śpieszących wykonać rozkaz wielkiego Stalina i zatknąć nad Berlinem Sztandar Zwycięstwa.

Na przedpolach Münchebergu, miasta znajdującego się w połowie drogi między Odrą a Berlinem, gwardziści stalingradzcy wespół z gwardziściami-czołgistami generała Katukowa złamali ostatni opór hitlerowców. Szala zwycięstwa gwałtownie przechyliła się na naszą stronę.

Nieprzyjaciel, załamany już fizycznie i moralnie na linii Odry, nie przestawał jeszcze kąsać. Wojska nasze przełamały wewnętrzny pierścień obrony Wielkiego Berlina i 23 kwietnia 1945 roku walczyliśmy już w mieście.

Rzekę Szprewę wojska nasze forsowały szturmem, w kilku miejscach jednocześnie. Nasze grupy szturmowe wrzynały się coraz głębiej w ciało Berlina.

Opór wroga wzrastał w miarę naszego zbliżania się do centrum miasta. Zbójce faszystowskie czuli, że zbliża się dzień zapłaty i bronili się zaciekle. Ale były to już drgawki przedśmierne.

Nie zapomnę nigdy nocy przed 1 maja, gdy na moim stanowisku dowodzenia zjawiał się Szef Sztabu Generalnego niemieckich wojsk lądowych, generał piechoty Krebs, z pismem podpisanym przez Goebbelsa i Bormanna. Z twarzy tego generała wyczytałem, że Niemcy faszystowskie, drżąc z trwogi na myśl o swych zbrodniach, padają na kolana przed Armią Radziecką, przed radzieckim narodem.

A. POPOW
PUŁKOWNIK

Noc przed szturmem

Dnia 15 kwietnia o godzinie 8,00 wieczorem wyjechałem ze Sztabu Frontu. Dostałem rozkaz udania się na nasze czołowe pozycje, aby skontrolować gotowość jednostek do przygotowania artyleryjskiego i szturm piechoty.

Późną nocą dotarłem do sztabu korpusu. Dyżurny i oficerowie oddziału operacyjnego ulokowali się w jednym schronie. Przy zaznajamianiu się z operacyjno-bojową dokumentacją sztabu uderzyło mnie przede wszystkim szczegółowe opracowanie całego planu. Miejsce każdego plutonu, dział, czołgu i samochodu pancernego było dokładnie przewidziane.

Punkt obserwacyjny dowódcy jednej z dywizji, generała-majora Bakanowa, znajdował się na zachodnim krańcu Ratstocku. Zjawiłem się tam o drugiej w nocy.

Dowódca dywizji zapoznał mnie z sytuacją. Na pytanie, czy nie ma niebezpieczeństwa, że poszczególne oddziały mogą się przetasować w czasie nocnego szturm, a czołgi i samochody zaczną miażdżyć nasze własne oddziały, generał odpowiedział, że jest to absolutnie wykluczone.

Rozmawialiśmy do trzeciej w nocy. Półtorej godziny dzieliło nas od chwili, w której artyleria miała otworzyć ogień. Postanowiliśmy wykorzystać ten czas i odpocząć. Wszyscy obecni ułożyli się do snu w tym samym schronie. Każdy udawał, że śpi. W rzeczywistości nikt nie spał, wszyscy oczekiwali niecierpliwie początku przygotowania artyleryjskiego. Wielu oficerów dla zabicia czasu wyślizgiwało się po cichutku na powietrze. Gdzieś tam wybuchły pociski niemieckie, a na poszczególnych odcinkach trwał zwykły ogień z broni ręcznej i maszynowej.

O 4,40 wszyscy mieszkańcy punktu obserwacyjnego byli na nogach. Co chwila spoglądali na zegarki. Niektórzy oficerowie w ciągu ostatnich

dwudziestu minut nie mogli w ogóle oderwać oczu od zegarka i powtarzali: „zostało jeszcze 15, 14, 10, 8 minut“. Dowódca dywizji i oficerowie sztabu sprawdzali po raz ostatni gotowość bojową.

O 4,57 któryś z oficerów powiedział z ciężkim westchnieniem:

— Jeszcze trzy minuty.

Z prawej strony rozległa się salwa kilku armat — w tej samej chwili powtórzyły ją tysiące dział. Wszyscy wybiegli ze schronu i skierowali się na punkt obserwacyjny.

Z punktu obserwacyjnego było doskonale widać wybuchy pocisków artyleryjskich. Obraz, który miałem przed oczyma, przedstawiał jedno olbrzymie morze ognia. Powietrze podlegało bezustannym wstrząsom. Po paru minutach zacząłem odczuwać ból w uszach. Zszedłem do schronu, potem wyszedłem znów na powietrze, ale uderzenia w uszach dokuczały mi wszędzie. Musiałem zatkać uszy.

Gdy powróciłem na punkt obserwacyjny, dowódca dywizji zakomunikował mi, że „artyleria nie zahaczyła swoich“. Obecni przy tym artylerzyści wydali westchnienie ulgi.

Prawdziwy ogień huraganowy trwał trzydzieści minut. Później wzniósł się w górę pionowy snop światła reflektorów — sygnał oznaczający, że czas przerwać przygotowanie artyleryjskie — a należy zacząć towarzyszenie piechocie wałem ogniowym.

Reflektory na swoich odcinkach oświetlały teren, ułatwiając orientację piechocie i czołgom. Ale nie można było dojrzeć przeciwnika i zrozumieć jego działania. Nad nieprzyjacielskimi pozycjami i naszymi czołowymi oddziałami rozpościerała się zasłona z dymu i pyłu. W kłębach tego dymu świt nadszedł niepostrzeżenie.

Radosna chwila

W pierwszych dniach kwietnia nasz pułk artyleryjski przekroczył Odrę na północ od Kostrzyna. Przechodziliśmy przez most, który artyleria hitlerowska codziennie rozbijała, a nasi saperzy natychmiast odbudowywali.

W czasie naszego przechodzenia nieprzyjaciel bombardował most. Zanim przeszliśmy na zachodni brzeg, jeden żołnierz z naszego plutonu został zraniony. Było to wieczorem. W ciągu nocy zdążyliśmy urządzić stanowiska ogniowe w odległości czterystu metrów od czołowych pozycji nieprzyjaciela.

Przyczółek utworzony przez wojska radzieckie w tym miejscu na lewym brzegu Odry wynosił wówczas mniej więcej cztery kilometry głębokości. Teren był płaski, otwarty, gdzieniegdzie tylko znajdowały się zarośla. Większość obsług zamaskowała swoje działa w krzakach, a nasz pluton wykorzystał w tym celu dwa stogi zeszłorocznej słomy. Cała bateria zajęła wzdłuż frontu odcinek nie przekraczający siedemdziesięciu metrów. Odległość między poszczególnymi działami wynosiła po kilka metrów.

Ranek zastał nas siedzących w rowach. Jeden z żołnierzy obsługi prowadził obserwację, reszta siedziała w ukryciu, każdy zajmował się swoimi sprawami. Celowniczy Kriwonow, jak zwykle w chwilach wolnych od zajęć, przeglądał swoje listy. Jego ojciec, stary marynarz, zatrudniony w porcie archangielskim, pisywał do niego często, informując szczegółowo o swoim życiu. Prócz ojca do Kriwonowowa pisywali często bracia i siostry, których miał pokaźną ilość. Ładowniczy Buknin czytał gazetę, a młody żołnierz Suszyłow, wieśniak z okręgu kalinińskiego, siedział nad mapą. Mieliśmy wielką mapę Europy zdobytą gdzieś w Warszawie. Suszyłow przy mojej pomocy oznaczał codziennie miasta zajęte przez wojska radzieckie i obliczał odległość, która pozostała jeszcze do Berlina. Traktował tę czyn-

ność bardzo poważnie i wykonywał ją z wielkim przejęciem. Rozpytywał wszystkich o zajęte miasta i sforsowane rzeki, interesował się żywo geografiją. Tego dnia oznajmił uroczyście:

— Towarzysze, do Berlina pozostało tylko 68 kilometrów.

W gazecie było podane, że znajdujemy się w odległości 70 kilometrów od Berlina. Różnica była niewielka, ale zaczęliśmy starannie sprawdzać odległość na mapie. Każdy z nas marzył, żeby pierwszy wejść do Berlina, dlatego też każdy kilometr miał dla nas znaczenie.

Było oczywistą rzeczą, że nie dziś, to jutro, należy oczekiwać rozkazu towarzysza Stalina o rozpoczęciu ofensywy na Berlin.

Nieprzyjaciel nie dostrzegał nas, byliśmy dobrze zamaskowani.

Rankiem 14 kwietnia dowódca baterii rozkazał nam być w pogotowiu, wyjąć pociski z rowu i dokładnie je przetrzeć. Doszliśmy do wniosku, że nadchodzi oczekiwana chwila. Rzeczywiście, wkrótce otrzymaliśmy sygnał, aby rozpocząć przygotowanie artyleryjskie. W ciągu paru sekund rozrzućiliśmy stogi słomy. Niemcy zobaczyli nasze armaty. Nasze pociski spadły na ich głowy, zanim zaskoczony nieprzyjaciel zdołał coś przedsięwziąć. Zniszczyliśmy wszystkie, wykryte przez nas stanowiska ogniowe nieprzyjaciela.

Otrzymaliśmy za to podziękowanie od dowódcy pułku. Natychmiast potem nastąpił rozkaz, abyśmy posunęli się naprzód, za piechotą, która zajęła już pierwsze rowy hitlerowskie. Przy przeciąganiu dział znaleźliśmy się pod nieprzyjacielskim ostrzałem artyleryjskim. Odłamek zranił mnie w rękę. Zmartwiłem się bardzo. Widzę, że trzeba pobiec na punkt opatrunkowy i nie mogę się zdecydować — boję się, że zgubię swój oddział, nie wiem, co robić, miotam się w rozterce. Nagle okazało się, że tego dnia nigdzie dalej nie pójdziemy, że wszystko to było tylko rozpoznanié. Gdy się o tym dowiedziałem, pobiegłem na punkt opatrunkowy. Tam wyciągnięto mi zaraz odłamek z rany, zabandażowano rękę i mogłem od razu wrócić do swego działu.

Wzdłuż rowu, który przechodził pomiędzy zdobytym na Niemcach okopem a stanowiskiem ogniowym naszej baterii, rosły ogromne, wspaniałe wierzby, które już się zaczynały zielenić. Działa stały między drzewami, ukryliśmy się w ich cieniu. Wkrótce za szeregiem naszych armat zjawiała się ciężka artyleria. Urządzali swoje stanowiska ogniowe jedno obok drugiego, tak jak my. Zjawyły się działa przeciwlotnicze — obsługa przeciwlotnicza zaczęła ustawiać swoje działka zaraz za nami. Po nich przywieziono na samochodach reflektory i zaczęto je instalować. Myśleliśmy, że działa przeciwlotnicze i reflektory mają za zadanie obronę powietrzną naszych stanowisk. Ale w powietrzu krążyły bez ustanku tylko nasze samoloty — hitlerowskich ani śladu. Pod wieczór 15 kwietnia do przedniego skraju obrony podeszły czołgi.

Zapadał zmierzch, gdy otrzymałem odezwę Rady Wojennej Frontu do szeregowych i oficerów. W odezwie była mowa o tym, że nadszedł czas

zadania ostatecznego ciosu wrogowi i wtargnięcia do legowiska zwierza faszystowskiego. Przeczytałem ją żołnierzom stojąc w rowku przy swojej armacie. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że front nieprzyjacielski zostanie przełamany. Nigdy dotąd nie widzieliśmy pola walki tak nasyczonego bronią wszelkiego rodzaju, nie wyobrażaliśmy sobie, że na małym odcinku frontu można zgromadzić tyle armat i czołgów. Trudno było poruszać się między nimi.

W nocy wezwano mnie do dowódcy baterii. Dowódca zakomunikował mi, że niedługo nastąpi sygnał do rozpoczęcia przygotowania artyleryjskiego i wyjaśnił, po co zainstalowano reflektory. Dowiedziałem się ze zdumieniem, że reflektory tym razem nie mają chronić nas przed lotnictwem, ale będą miały za zadanie oślepienie przeciwnika na ziemi.

Po raz pierwszy rozpoczynaliśmy przygotowanie artyleryjskie nocą. Gdy „Katusze“ otworzyły ogień, było jeszcze zupełnie ciemno, ale w chwilę potem obok nas zapłonęły światła co najmniej dwudziestu reflektorów i zrobiło się tak widno, że kołki, które wbijaliśmy w dzień, aby oznaczyć kierunek nocnego strzelania, stały się całkiem niepotrzebne. Każdy cel leżał jak na dłoni, wybuchy naszych pocisków były widoczne jak w dzień.

Zasypywaliśmy pociskami przedni skraj obrony nieprzyjaciela. Trwało to dwadzieścia czy trzydzieści minut. Piechota, wyruszająca do natarcia razem z czołgami, niecierpliwie rwała się naprzód. Żołnierze, którzy długo oczekiwali tej radosnej chwili, zbliżali się odważnie do miejsca wybuchów naszych pocisków, podchodząc na odległość około pięćdziesięciu metrów. Otrzymaliśmy rozkaz: przenieść ogień o pół kilometra w głąb, a po upływie dziesięciu, czy piętnastu minut okazało się, że musimy już opuszczać swe stanowisko i posuwać się naprzód, aby dogonić piechotę. Po uzupełnieniu amunicji dla dział i pistoletów maszynowych, ruszyliśmy w wyłom, za czołgami i desantem piechoty.

Obsługa reflektorów zgasła już swoją iluminacją. Słońce wschodziło. Cały teren, który podczas kilkudniowej obserwacji wystudiowaliśmy tak, że znaliśmy każdy pagórek, każdy krzaczek — zmienił się nie do poznania. Tam gdzie poprzednio zieleniły się oziminy, pozostała rozwalona, naga, czarna ziemia. Gdy wyjechaliśmy na szosę, trzeba było oczyszczać ją od zwałów szczap, w którą zamieniły się rosnące dawniej wzdłuż drogi wierzby. Przedzieraliśmy się tą szosą jak przez las, nawiedzony przed chwilą przez potężny huragan. Wszystkie pola dokoła były zavalone rozbitymi działami, czołgami, samochodami i trupami Niemców, którzy uciekali na pola z rowów, szukając ratunku przed straszliwą nawałą ognia i oślepiającymi promieniami światła, które runęły na nich wśród nocy.

Na Nysie

Zapadała noc, gdy nasza kompania przeciwlotniczych karabinów maszynowych na transportowcach pancernych ruszyła w kierunku podstawy wyjściowej — ku rzece Nysie.

Przebijaliśmy się leśnymi drogami, uprzętailiśmy zwały drzew, przedostawaliśmy się przez parowy i jary. Wozy grzęzły w piaszczystym gruncie, wzięły między drzewami.

Tej nocy w kierunku przedniego skraju obrony płynął nieprzerwany potok dział, czołgów, setek samochodów, wiozących różne ładunki.

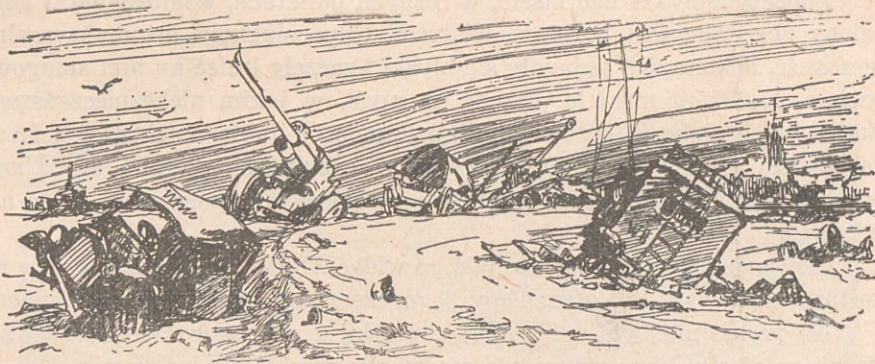
Zdawało się, że te masy sprzętu i ludzi nie zmieszczą się w lesie, w którym koncentrowało się to wszystko, aby uderzyć na nieprzyjaciela, broniącego zachodniego brzegu Nysy.

Nieprzyjaciel, spodziewając się naszego natarcia, umocnił swój brzeg pokrywając go siecią umocnień obronnych. Wzdłuż brzegu ciągnęły się dwie równoległe linie rowów ciągłych. Były tu i przeszkody z drutu kolczastego, i rowy przeciwczołgowe, i pola minowe. Hitlerowcy ściągnęli na ten odcinek wszystkie odwody: bataliony ochronne, brygady policyjne, oddziały volkssturmu.

Nocą w gęstym sosnowym borze było wyjątkowo ciemno. Szliśmy bez świateł — nieprzyjaciel znajdował się w pobliżu.

Po przewyciężeniu przeszkód leśnych, minąwszy puste domy osady Kelke — obsługa przeciwlotniczych karabinów maszynowych wydostała się na polanę, na której miała zainstalować swoje stanowiska ogniowe.

Dokoła polany, na skraju lasu, słychać było ostrożne pobrzękiwanie łopat i oskardów — artylerzyści okopywali się i ustawiali swe działa. W ciemności widać było jedynie długie lufy armatnie, wzniesione w górę, uszeregowane rzędami, bateria obok baterii.



W zaroślach rysowały się niewyraźne kontury ciężarówek, pokrytych brezentem. To nadjechały sławne wyrzutnie raketowe. Pośrodku ich stanowiska sterczał nad schronem maszt antenowy.

Przeciwlotnicze karabiny maszynowe wymagają otwartego miejsca na pewnym wzniesieniu. Dlatego też ulokowaliśmy się na środku polany. Stąd mieliśmy szerokie pole widzenia. Naszym zadaniem była osłona artylerii przed nalotem z powietrza.

Po zajęciu stanowisk ogniowych zaczęliśmy się okopywać i maskować stwarzając dokoła siebie sztuczny zagajnik. Na odpoczynek została zaledwie godzina.

„Katusze“, znajdujące się w odległości stu metrów od naszego stanowiska, rozpoczęły przygotowanie artyleryjskie. Ich szum i zgrzyt momentalnie zlał się z salwą artyleryjską, która gruchnęła z tysięcy luf. Nie podobna opisać potęgi i grozy tego przygotowania artyleryjskiego. Wszystkie dźwięki zlewały się w jeden potężny ryk kanonady. Od czasu do czasu tylko z tego szumu udawało się wyłowić groźny zgrzyt „Katuszy“ i gwałtowną mowę dział dalekonośnych.

Nad lasem przelatywały języki ogniste. Znajdowaliśmy się w centrum tej nawały ogniowej. Ze wszystkich stron leciał rozżarzony ognisty metal.

— To dopiero sprawiają hitlerowcom łaźnię. Gdzie się też oni pójdą suszyć — powiedział drwiąco żołnierz z kompanii łączności przechodząc obok nas ze zwijakiem kabla.

— Temperatura jest dostatecznie wysoka. Widzisz, pali się wszędzie dokoła. Osuszają się z łatwością — odpowiedział mu inny żołnierz, dźwigając ciężki pocisk „Katuszy“.

Wszyscy z naszego pododdziału zajmowali swe stanowiska, chociaż przeciwlotnicze karabiny maszynowe nie miały na razie nic do roboty.

O świcie zjawily się „Ily“. Leciały trójkami i dziewiątkami. Jeden z samolotów wykonał zwrot w głębi obrony nieprzyjaciela i wystrzelił w dół raketę. W tej samej chwili artyleria gruchnęła we wskazany cel.

Zobaczyliśmy, że nad lasem, w różnych punktach, wzniosły się w górę balony obserwacyjne, kołysane wiatrem. Gdy osiągnęły już maksymalną wysokość, dokoła nich pojawiły się błyski i zaczęły lecieć ku nim smugowe pociski. Każdemu musiało przyjść na myśl, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się obserwator na balonie na uwięzi i jakie musi mieć żelazne nerwy, aby wisząc w powietrzu, w postaci nieruchomego celu, wśród wybuchających pocisków mógł spokojnie obserwować i poprawiać ogień artyleryjski.

Słońce już wzeszło, ale nie było go widać. Dopiero gdy wzniosło się na dostateczną wysokość, ujrzeliśmy jego czerwony krąg, zasnuty dymem.

Na niebie nie było ani jednej chmurki, a purpurowe słońce zdawało się nie mieć siły, jego promienie nie mogły przebić się ku ziemi.

Nad ziemią długo jeszcze unosiła się gęsta, sina mgła. Każdy chyba żołnierz radziecki patrzył wówczas z zachwytem na dzieło „naszego boga wojny“ i odczuwał dumę z jego potęgi.

To przygotowanie artyleryjskie zdawało się zwiastować koniec wojny.

Baterie zaczęły strzelać nieco rzadziej — lufy armat były zbyt mocno rozpalone.

W powietrzu patrolowały „Jaki“. Towarzyszyły one również szturmowcom i bombowcom. Nagle zza chmur ukazały się „Messery“ i „Focke Wulfy“. Jednemu z lotników niemieckich udało się zająć korzystną pozycję i otworzyć ogień do naszego szturmowca. Silnik „Ila“ zamilkł, ale samolot leciał dalej i zdołał nawet wykonać zwrot. Planując, leciał ku swoim, tracąc coraz bardziej wysokość, a z boku skradał się do niego „Focke-Wulf“.

Żołnierze obsługujący działa przeciwlotnicze stali tłumiąc oddech w piersi. Czekali na odpowiednią chwilę, aby rozpocząć ogień do „Focke-Wulfa“, który ścigał nasz uszkodzony samolot.

Celowniczy Sadow nacisnął spust i snop pocisków dużego kalibru przeszył samolot nieprzyjacielski. „Focke-Wulf“ stanął w płomieniach i zwałił się w lesie na ziemię.

Uszkodzony „Il“ szybował wprost na nas. Jeszcze chwila i cała obsługa wraz z działem przeciwlotniczym i ciągnikiem opancerzonym zostałyby zmiażdżona. Uratował ich ogień skierowany do nieprzyjacielskiego samolotu. Lotnik uszkodzonego „Ila“ zauważył nas i wylądował na zoranym polu.

Walka powietrzna trwała nadal. Nasza bateria przeciwlotnicza musiała wyczekiwać na chwilę, gdy samoloty nieprzyjacielskie oddalą się od naszych samolotów. Dopiero wtedy można było otworzyć do nich ogień.

Liczba hitlerowskich samolotów w powietrzu zmniejszyła się z każdą chwilą. Wreszcie pozostał tylko jeden. Leciał na wielkiej wysokości i z ziemi wyglądał jak czarny punkcik w błękitnie nieba. Był to zwiadowca-obszernik. Na tej samej wysokości, z ogromną szybkością, zbliżał się do niego



Czołgi ruszyły naprzód

drugi punkcik. Zobaczyliśmy, jak te dwa punkty zderzyły się ze sobą. Wysoko w niebie pozostały tylko kłęby dymu. Lotnicy spadali wraz ze szczątkami maszyn. Dostrzegliśmy ich, gdy rozwinęły się spadochrony. Nasz lotnik opuszczał się za pierwszą linią obrony nieprzyjaciela. Myśleliśmy o jego losie wpatrując się w jego kołyszącą się sylwetkę.

...Kanonada artyleryjska trwała nawet wówczas, gdy nasze wojska forsowały Nysę. Za rzeką, w głębi obrony hitlerowskiej, zobaczyliśmy rezultaty wspaniałej roboty naszej artylerii. Ziemia była gruntownie zryta przez pociski. Wszędzie leje różnej wielkości — i trupy Niemców, trupy końskie, rozbite samochody i działa.

Wszystko było zwęglone. Ziemia tonęła w dymie i popiele. Las wyglądał jak po przejściu potężnego huraganu. Strzaskane, wyrwane z korzeniami drzewa piętrzyły się jedno na drugim. Drzewa, które się utrzymały, były pokaleczone odłamkami.

Po każdym porywie wiatru przewracały się. W lesie panował nieustanny trzask i szum.

Miasteczko koło wysadzonego mostu na autostradzie Wrocław — Berlin, stanowiące punkt oporu hitlerowców na brzegu rzeki, było doszczętnie zburzone. Domy mieszkalne i inne budynki zostały zamienione w kupę gruzów. Pociski naszej lekkiej artylerii polowej wybuchały jeszcze nieopodal brzegu rzeki, a saperzy pod osłoną naszych oddziałów kaemistów i fizylierów zabrali się już do budowania przeprawy dla czołgów i samochodów pancernych.

Natychmiast po uruchomieniu pierwszej przeprawy żelazna lawina runęła naprzód. Były tu wozy wszelkiego rodzaju: czołgi, działa pancerne, samochody pancerne, ciągniki opancerzone i wiele innych.

Jednostki pancerne szły taranem, aby rozciąć na części hitlerowską obronę u wrót Berlina.

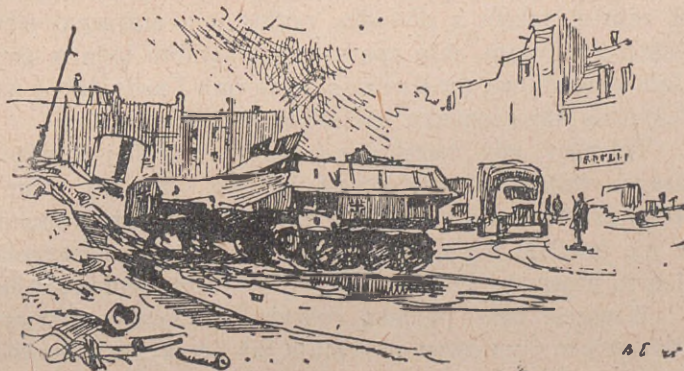
Na polanie, na której zatrzymaliśmy się po sforsowaniu rzeki, widoczne były ślady nagłej ucieczki wojsk hitlerowskich. Na skraju lasu, wśród młodych choinek, leżała wywrócona kuchnia polowa z resztkami grochówki. Dookoła — porozrzucane brudne naczynia.

Na tej samej polanie pozostały trzy działa przeciwlotnicze. Jedno z nich miało przebitą lufę, poharatany mechanizm i przyrządy i leżało na boku, powalone wybuchem bomby, rzuconej z naszego samolotu. Dwa inne były zupełnie nieuszkodzone.

Trafiony przez nasze działo pancerne czołg nie zdołał odjechać daleko. Dopalał się w rowie.

Z rzadka ukazywały się nad nami jeden lub dwa samoloty z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Ale nam się nie nudziło. Przystosowaliśmy się do strzelania do celów naziemnych. Waliliśmy odłamkowymi pociskami do piechoty niemieckiej, prażyliśmy ją seriami z przeciwlotniczych karabinów maszynowych.

W ciągu jednego dnia odparliśmy trzy przeciwuderzenia wojsk nieprzyjacielskich, które rozpaczliwie szukały wyjścia z okrążenia. Udawało im się wydobyć z kotła, ale tylko w charakterze jeńców wojennych, którzy szli ogromnymi, ponurymi gromadami, brudni, z gołymi głowami. Zmienialiśmy nasze stanowiska ogniowe dążąc niecierpliwie naprzód, licząc kilometry dzielące nas jeszcze od Berlina.



W. WŁADIMIROW
STARSZY SIERŻANT GWARDII

W eterze

W przededniu wielkich walk o Berlin formowaliśmy się w niedużej wsi Altensorge, w pobliżu Landsbergu.

Pewnego dnia dowódca kompanii, kapitan gwardii Korablow, powiedział do nas, gdy staliśmy w szeregu:

— Towarzysze, zbliża się dzień ostatniej operacji: ruszymy na Berlin. Musimy wykonać rozkaz towarzysza Stalina, spełnić swój obowiązek wobec ojczyzny. Do tej ostatniej próby musimy być jak najlepiej przygotowani.

Radiotelegrafista, zwłaszcza pracujący w radiostacji wielkiej mocy, nie ma możliwości wykazać się bohaterstwem w bezpośredniej walce. Wymaga się od niego tylko zabezpieczenia stałej łączności. Nieprzerwana łączność pomaga walczącej na przedzie armii.

Postawiłem sobie za zadanie: podnieść swoje kwalifikacje zawodowe. Przygotowywałem się cierpliwie i wytrwale, wreszcie zdałem egzamin na radiotelegrafistę drugiej klasy. W przeddzień natarcia sprawdziliśmy po raz ostatni razem z dowódcą radiostacji, starszym sierżantem gwardii Mieszczeriakowem, całą aparaturę. Wszystko było w porządku: silniczek działał prawidłowo, przetwórnia, odbiornik i nadajnik w najlepszym stanie, odchylenie amperometru maksymalne.

Tej nocy, gdy zaczęło się natarcie, a ściślej mówiąc przesuwanie się naszych wojsk na podstawy wyjściowe, miałem dyżur przy radiostacji sztabu artylerii. Nagromadziło mi się już pięć radiogramów do wysłania, ale nie mogłem ich nadawać, gdyż do chwili rozpoczęcia natarcia wolno mi było pracować tylko na odbiór. W eterze panowała cisza.

Wreszcie nasze wojska ruszyły, przełamały pierwszą linię obronną hitlerowców, i wreszcie otrzymuję tak oczekiwane zezwolenie na nadawa-

nie. Wkrótce usłyszę wesoły głos „Pedagoga“, korespondentki, którą znam tylko z eteru, chociaż pracujemy w tej samej sieci od samego Sandomierza.

Próbuję nawiązać łączność ze sztabem. Ogromne przeszkody. Na dużej przestrzeni są skoncentrowane wielkie ilości wojsk, a co za tym idzie i radiostacji. Na każdej skali słychać głosy naszych radiotelegrafistów i radiotelegrafistek, bądź spokojne, bądź podniecone i zdenerwowane. Wydaje się, że zasięg żadnego nadajnika nie wystarczy, aby każda radiostacja mogła mieć swoją falę. Próbuję pracować na większych obrotach, wzmacniam napięcie, wyłączam reosłat, doprowadzam strzałkę amperomierza do największego odchylenia. Nic nie pomaga — nasza główna radiostacja w sieci nie słyszy mnie. Przeszkody w linii uniemożliwiają nawiązanie łączności. Wówczas radiotelegrafistka Szura Smatochina przychodzi mi z pomocą. Słyszę jej dźwięczny przyjemny głos:

— 08-58. Tu „Pedagog“. Dajcie mi wasz radiogram dla „Burzy“, mam z nią bardzo dobrą łączność.

Prostowniki huczą bez przerwy. Nadajnik wysyła w fale eteru swą niewidzialną energię... W ciągu paru minut nadałem wszystkie radiogramy i przyjąłem od „Burzy“ za pośrednictwem „Pedagoga“ dwie szyfrowane depesze.

W. BIERDYSZEW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
SZEREGOWIEC

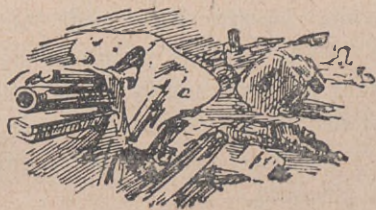
Przez pola minowe

Mój udział w Wielkiej Wojnie Narodowej rozpoczął się w czasie dni grudniowych 1941 roku pod Moskwą. A teraz mam za sobą Okę i Desnę, Soż i Dniepr, Wisłę i Odrę. Byłem trzy razy ranny: podczas przeprawy przez Okę, Soż i Dniepr. Dwa razy leżałem w szpitalu. Ostatni raz po Dnieprze.

W forsowaniu Odry nie brałem udziału. Nasz pułk został przeprawiony przez ostatnią rzekę przed Berlinem na zdobyty już przyczółek. Przed świtem rozległ się huk naszej artylerii. Pierwszą salwę dały „Katiuszki”. Ogniste języki pofrunęły w stronę pozycji nieprzyjacielskich. Nie sposób wypowiedzieć, co nastąpiło potem. Zdawało się, że ziemia rozpada się na części, a niebo, które stało się purpurowe, runie za chwilę na ziemię i zmiążdży na niej wszystko, co żyje.

W wyznaczonym czasie my, saperzy, zaczęliśmy czołgać się naprzód. Któryż to już raz czołgaliśmy się pierwsi. Na naszej drodze znajduje się pole minowe: sześć rzędów min — przeciwczołgowych i przeciw piechocie. Niemcy nie ostrzeliwali nas — nie mieli do tego głowy. Nad nami przelatywały odłamki naszych pocisków — wysunęliśmy się trochę zanadto naprzód. Ale nikt o tym nie pomyślał, nikt nie słuchał świstu odłamków. Ręce wprawnymi ruchami wynajdywały miny, wykręcały zapalniki, wstawiały wtyczki. Każdy z nas wiedział, że to ostatnie natarcie, że przed nami — Berlin. Ileż tysięcy min unieszkodliwiłem na drodze do Berlina. Ileż dróg zdołałem oczyścić. A teraz unicestwiałem ostatnie miny. Teraz oczyszczałem ostatnią drogę — drogę na Berlin. O tym samym myśleli moi towarzysze minery: Czeriomkim, Salimow, Andrijewski. Droga na Berlin musi być wolna. Od Berlina droga nasza skieruje się na wszystkie strony — na zachód i na wschód — do naszych żon, do naszych dzieci, których życiu zagrażał Berlin.

Przekroczyliśmy szósty rząd pola minowego. Przejście wyznaczyliśmy drutem. Sto czterdzieści min, nie przedstawiających już żadnego niebezpieczeństwa, zostało po obu stronach przejścia. Nasza artyleria biła w dalszym ciągu. Ogień jej przeniósł się w głąb. Szliśmy razem z piechotą. Ale na pierwszych metrach ziemi, zdobytej przed chwilą na nieprzyjacielu, saperzy nie mieli nic do roboty. Wszystko było już zrobione przez artylerię. Nigdy dotąd przez cały czas mojej praktyki bojowej nie widziałem nic podobnego. Pociski artyleryjskie tak przeorały obronę hitlerowską, że nie zostało ani jednego skrawka nietkniętej ziemi. Co prawda wzywano nas czasem na pomoc. Ale była to pomoc zupełnie innego rodzaju niż zwykle. Nie potrzebowaliśmy niszczyć przeszkód — były one już dokładnie zniszczone przez ogień artyleryjski — ale pomagaliśmy naszym oddziałom przeprowadzać sprzęt bojowy przez leje, wryte pociskami naszej artylerii.



Razem z piechotą

Ponure niebo, pokryte czarnymi chmurami, wylewało na nas potoki deszczu. Noc nadchodziła — zbliżała się oczekiwana chwila — przygotowaliśmy się do ostatniego, decydującego natarcia.

Wszystko gotowe. Wkrótce rozpocznie się przygotowanie artyleryjskie. Dowódcy baterii sprawdzają po raz ostatni stan swoich pododdziałów. Podchodzi do mnie mój dowódca, starszy sierżant gwardii Kurtaszow i pyta:

— No jak tam, Czybisow, wszystko w porządku, amunicja na miejscu?

— Wszystko w porządku, towarzyszu dowódcu.

— Dobra, zapalmy w takim razie, mamy jeszcze dziesięć minut czasu.

Czas płynie. Jeszcze trzy minuty. Obsługa dział zajęte swoje miejsca, skrzynie z pociskami są otwarte. Zameldowałem:

— Działo gotowe do walki — ale dowódca nie usłyszał już moich słów. Gruchnęła salwa „Katiusz“, potem zagrzmiały działa różnego kalibru i moje niewielkie działo włączyło się w tę potężną orkiestrę.

Gdy przygotowanie artyleryjskie dobiegało końca, zauważyłem, że moje działo przesunęło się prawie o metr; pomyślałem, że to i tak niedużo, gdyż grunt błotnisty i musieliśmy ciężko pracować nocami, żeby przystosować chwiejny teren pod stanowisko ogniowe.

I oto piechota podniosła się i poszła naprzód. Potężne czołgi ze szczękiem gąsienic sunęły przez pole, strzelając do uciekających w popłochu Niemców i wyplaszając ich celnym ogniem z rowów i kryjówek.

Nadeszły przodki, przyczepiliśmy do nich działa i ruszyliśmy naprzód za piechotą.



Nasze samoloty nie dawały wrogowi spokoju: zrzucały bomby, z broni pokładowej wyrzucały snopy smugowych pocisków i oświetlały rakietami teren, aby ułatwić nam kierowanie ognia na cofającego się nieprzyjaciela.

Zbliżyliśmy się do płonącego budynku, na prawo od toru kolejowego. Wzdłuż toru przebiegał niemiecki rów ciągły, na w pół zatopiony wodą. Nasz oddział został przydzielony do kompanii kapitana Nowikowa, który zajął pozycje wzdłuż toru.

Było jeszcze ciemno, ale w świetle pożaru można było wybrać miejsce na stanowisko działa. Armaty odprzodkowano, przodki ukryto. Zaczęliśmy wyrównywać stanowisko dla armaty.

Gdy zaczęła się rozwiewać gęsta poranna mgła, zobaczyłem cztery domy w odległości czterystu metrów od naszego stanowiska. W domach tych jeszcze bronili się hitlerowcy.

Dowódca baterii zawołał do mnie:

— Celowniczy!

— Jestem.

— Widzicie biały dom przed wami?

— Widzę.

— Tam na strychu znajduje się karabin maszynowy — obezwładnić.

Dojrzałem w oknie trzech Niemców, ustawiających karabin maszynowy. Ładowniczy Sadczykow załadował pocisk, wycelowałem armatę i zameldowałem:

— Gotowe.

Komenda:

— Ognia!

Pierwszy pocisk uchylił się w prawo. Nie czekając na poprawkę sam wycelowałem dokładniej. Po drugim wystrzale okno zniknęło w kłębach dymu i pyłu ze zgruchotanej dachówki. Gdy dym rozwiął się nieco, zobaczyliśmy, że nie ma już ani okna, ani karabinu maszynowego. Na komendę: „Po pięć ognia“ — wystrzeliłem jeszcze pięć pocisków. Przypuszczałem, że któryś hitlerowiec mógł się ukryć w jakimś kącie na strychu i nie chciałem pozwolić, aby stamtąd wylazł.

Nagle spoza drewnianej stodoły zaczął walić w kierunku mego działa niemiecki karabin maszynowy, z furią, długimi seriami. Byliśmy ukryci za wysokim wałem ziemnym i zasłoną z żerdzi, więc pociski nie wyrządziły nam żadnej szkody.

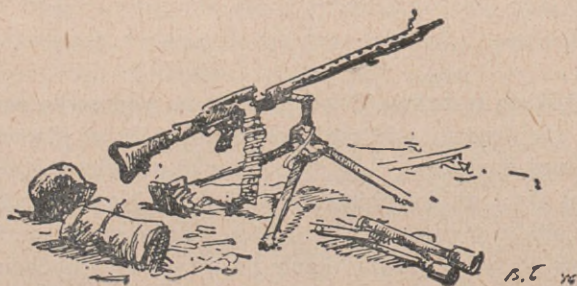
Zobaczyłem w celowniku za prawym skrajem stodoły świeżo usypany wał ziemi. Spoza wału wyglądało dwóch Niemców. Wycelowałem działo dokładnie i nacisnąłem mechanizm spustowy. Grudy ziemi wzniosły się ponad dach stodoły. Z naszego rowu rozległy się głosy:

— Dobrze, zuch Czybisow.

To mówili żołnierze z kompanii strzeleckiej. Organizator partyjny batalionu, Denisow, który obserwował mój pojedynek z karabinem maszynowym, pochwalił mnie również.

Nasze czołgi poszły naprzód, za nimi ruszyła piechota, a ja znalazłem się obok domu, do którego niedawno strzelałem. Całe podwórze zawalone było odłamkami dachówek i cegieł — jeden z moich pocisków trafił w lewy narożnik budynku. Byłem ciekawy rezultatów swojej roboty i wdrapałem się na strych. Leżały tam dwa trupy w mundurach ubielonych pyłem z wapna. Głowy ich były zmasakrowane odłamkami. Trzeciego Niemca nie mogłem znaleźć. Musiało go rozerwać na kawałki.

Potem znów ruszyliśmy z naszymi działami naprzód, zbliżając się wcięż do Berlina.



E. CYTOWSKI
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
MAJOR GWARDII

Na Wzgórzach Seelowskich

Nasze rowy ciągnęły się obok szosy prowadzącej do Frankfurtu wzdłuż Odry. Nocami widzieliśmy reflektory i wybuchy nad Berlinem.

W nocy przyszedł do ziemianki lejtnant Griebcow, mój zastępca do spraw politycznych. Wracał ze sztabu pułku. Miał tak uroczysty wyraz twarzy, że odgadłem od razu: zaczyna się... Griebcow wyciągnął paczkę ulotek. Były to odezwy Rady Wojennej Frontu. Gdy przeczytałem, że towarzysz Stalin w imieniu Ojczyzny nakazuje zdobycie Berlina, poczułem się tak, jakby te słowa skierowane były bezpośrednio, osobiście do nas, właśnie do nas, stojących na wprost Berlina. My pierwsi powinniśmy wejść do stolicy wroga. Powiedziałem do Griebcowa, że w rozmowach z żołnierzami powinien wyjaśnić, że weźmiemy udział w największej historycznej bitwie i zwycięstwie.

Po sprawdzeniu stanu przygotowań do natarcia w całym batalionie poszedłem do rowów moich gwardzistów. O czwartej nad ranem w rowach zjawili się zastępca dowódcy pułku i oficer ze sztabu, niosąc gwardyjski sztandar pułku z przypiętym doń orderem Czerwonego Sztandaru. Na sztandarze był wyhaftowany portret Lenina. Gdy sztandar niesiono wzdłuż rowu, muskał on twarze żołnierzy, jakby błogosławiąc ich i zachęcając do bohaterskich czynów.

Ten sztandar otrzymaliśmy w Stalingradzie. Donieśliśmy go nad Odrę. Teraz mieliśmy pójść z nim na Berlin. Chcieliśmy zawołać „Hura“, ale nie wolno było krzyczeć.

W płytkim rowie chlupała woda, ludzie stali w błocie, trzymając w rękach pistolety maszynowe. Karabiny były ustawione na stanowiskach. Nad same rowy podjeżdżały ogromne ciężarówki — na przedni skraj

obrony wysuwano reflektory. Nigdy jeszcze nie widzieliśmy reflektorów na przednim skraju i nie wiedzieliśmy, jaką rolę mają one odegrać.

Kazałem podciągnąć kabel telefoniczny do pierwszej linii i ulokowałem się przy aparacie. Miałem rozkaz wybrać grupę fizylierów do desantu czołgowego. Pięćdziesięciu gwardzistów wsiadło na czołgi i odłączyło się od batalionu.

Nagle zapłonęły światła reflektorów. W ciągu paru sekund widzieliśmy przed sobą rowy nieprzyjacielskie i Wzgórza Seelowskie za nimi. Ale równocześnie huknęła artyleria i wszystko osnuł gęsty dym, wśród którego było widać tylko błyski wybuchów.

Ta chwila, której tak długo oczekiwaliśmy, nastąpiła — a ja z dwiema kompaniami stałem wciąż na miejscu. Mieliśmy rozkaz pozostać w drugim rzucie. Zaczynało świtać. Wśród huku dział nie słyszałem, kiedy pierwsze tyraliery ruszyły do natarcia. Czekałem, aż zostaniemy włączeni do walki. Przez nasze ugrupowanie bojowe wracali już pierwsi ranni. Dowiedzieliśmy się od nich, że nieprzyjaciel stawia zaciekły opór.

Cały ranek spędziłem w oczekiwaniu, starając się zachować cierpliwość. Wreszcie o jedenastej przed południem zatelefonował do mnie dowódca pułku, Bohater Związku Radzieckiego, podpułkownik Warzenin.

— Nieprzyjaciel podciągnął czołgi, nie puszcza dalej. Rozkazuję wyruszyć do podnóża Wzgórz Seelowskich, tam walczą nasi. Razem z nimi należy uderzyć i zdobyć stację Dolhelin, która znajduje się na szczycie wzgórz.

Poprowadziłem batalion w rozwiniętym szyku przez teren zryty na wskroś przez naszą artylerię. Tu i owdzie spotykało się porzucone przez Niemców armaty i moździerze, samochody, wozy z różnymi gratami. Na jednym z wozów grał patefon, nakręcony przez naszego żołnierza.

Batalion miał do przebycia odległość dwóch kilometrów. Była to wyjątkowo ciężka droga. Szliśmy nie strzelając, a artyleria nieprzyjacielska waliła w nas bez przerwy. Obok nas posuwały się czołgi, mające zrobić wyłom. Ogromne, zryte pola, przed nami wzgórza. Na polu olbrzymie czołgi i małe figurki ludzkie. Ludzie szli nie pochylając się, ręczne karabiny maszynowe nieśli na pasach, a ciężkie ciągnęli. Spotkałem paru swoich żołnierzy z grupy desantowej. Byli ranni i zostali skierowani na tyły. Zakomunikowali, że nasi wdzierają się już na wzgórza.

Wkrótce i my dotarliśmy do stoków wzgórz. Dowiedziałem się, że nasi znajdują się w odległości ośmiuset metrów od szczytu, o kilometr od stacji Dolhelin. Poprowadziłem swoich gwardzistów do natarcia. Nacieraliśmy tyralierą. Posunęliśmy się czterysta metrów. Wspinaliśmy się po obnażonym, bezleśnym stoku. Nieprzyjaciel zajmował znakomite pozycje. Artyleria była jeszcze zbyt oddalona i nie mogła strzelać na nasze wezwanie. Mimo to batalion posuwał się naprzód. Griebcow, mój zastępca,

dostał postrzał w głowę, a organizator komsomolski batalionu został ciężko ranny.

O zmroku znaleźliśmy się na szczycie wzgórza, w odległości pięćdziesięciu kroków od rowów przeciwnika, wykopanych wzdłuż toru kolejowego.

Wydawało się, że dostarczenie tu amunicji i wyżywienia jest niemożliwe. A jednak wszystko było jak należy. Szef plutonu gospodarczego Potieszyn dowiózł nam gorącej zupy, mięsa i po sto gramów wódki. Luda Tamochina i Wala Okułowa, nasze sanitariuszki, wyciągały rannych, leżących tuż przy rowach nieprzyjacielskich. Podciągnęły się i nasze tyły. Ich obecność zdawała się stwierdzać, że skoro my zajmujemy pozycje w tym miejscu, to znaczy, że przedni skraj jest gdzieś na przedzie. Było to dla nas prawdziwym podtrzymaniem.

Powzięłem decyzję obrzucenia przeciwnika granatami i wdarcia się do jego rowów. Na sygnał dany czerwoną rakietą żołnierze podnieśli się z granatami w rękach i w milczeniu pobiegli naprzód. Wydali okrzyk „Hurra“ dopiero, gdy znaleźli się w rowach nieprzyjacielskich. Zdobyliśmy około dziesięciu karabinów maszynowych i dwie szybkostrzelne armaty przeciwpancerne. Ci Niemcy, którym udało się ująć z życiem, uciekli za tor kolejowy.

Połowa zadania została wykonana. Ale dopiero połowa. Stacja kolejowa znajdowała się jeszcze w rękach nieprzyjaciela. Prócz tego mieliśmy uzasadnione powody do przypuszczeń, że Niemcy będą się starali zrzucić nas ze wzgórza. Żołnierze w ciągu całej nocy budowali umocnienia, pogłębiali rowy. O świcie dostrzegliśmy lufy dział czołgowych, sterzące spoza toru kolejowego. Trzysta metrów, które dzieliły nas od stacji Dolhelin, stanowiło zupełnie otwarte pole. Ale nie wolno zwłóczyć. Po pierwszej salwie „Katusz“ ruszyliśmy do natarcia. Ani jeden faszystowski czołg nie zdążył wystrzelić. W rowach było pełno trupów. Żywi Niemcy klęczeli i modlili się.

Nasze czołgi, artyleria, samochody wdzierały się na wzgórze i szły naprzód przez wyłom. Obok stacyjnego budynku, zajętego przez hitlerowców, rozgorzała walka na granaty. Zostałem zraniony, upadłem, nie mogłem się podnieść. Leżałem i patrzyłem, jak nasze wojska prą naprzód. Serce miałem przepełnione taką radością, że nie czułem prawie bólu. Gdy Niemcy zostali wypchnięci z piwnic stacyjnych, mój ordynans, Baszkir Bakej Jazarow, przeciągnął mnie do wnętrza budynku. Z jego pomocą dotarłem następnie do sztabu pułku. Tutaj mój wierny ordynans zginął ugodzony odłamkiem pocisku. Ciężko jest myśleć o nim i o wszystkich, którzy nie doczekali Dnia Zwycięstwa.

Na stanowisku dowodzenia wyrzutni raketowych

Dowódca dywizjonu wyrzutni raketowych, major gwardii Druganow, stoi przy lornecie nożycowej. Obok niego na podłodze my, radiotelegrafisci, sprawdzamy naszą połowę radiostację. W kącie drzemie łącznik.

Stanowisko dowodzenia znajduje się w narożnym pokoju na pierwszym piętrze na wpół rozwalonego niemieckiego domu. Na podłodze pełno stłuczonego szkła, jakieś szmaty, połamane meble. Ściany noszą ślady pocisków karabinów maszynowych. Między oknem a drzwiami na balkon zieje dziura, wybita przez pocisk niemieckiego „Tygrysa“. Na placu stoi sam „Tygrys“ — na wpół spalony, ze strzaskaną wieżyczką i bezradnie podniesioną w górę lufą armatnią. Wszystko razem stanowi ślady niedawnych walk ulicznych, po których faszyci opuścili miasteczko i okopali się na pobliskich wzgórzach.

Walka na dalekich przedpolach Berlina toczy się bez przerwy drugą dobę. Majorowi straszliwie chce się spać; co chwila przeciera zaognioną z powodu bezsenności oczy i znowu patrzy przez lornetę.

Czasem odrywa wzrok od lornety, ostrożnie podchodzi do okna (odległość stąd do przedniego skraju wynosi zaledwie czterysta metrów) i sprawdza swoje spostrzeżenia gołym okiem.

Nad stanowiskiem dowodzenia coraz to świszczą niemieckie pociski artyleryjskie i moździerzowe. Murami wstrząsa fala powietrza, tynk sypie się ze ścian. Od czasu do czasu w powietrzu zjawiają się samoloty nieprzyjacielskie. Wówczas z różnych stron zaczynają walić zajadłe działa przeciwlotnicze, dom wstrząsa się mocniej wskutek potężnych wybuchów, na niebie zaczynają terkotać karabiny maszynowe naszych myśliwców. Walka powietrzna jest krótkotrwała; po upływie paru minut na ziemię wałą się z hukiem płonące pochodnie faszystowskich samolotów, zostawia-

jąc za sobą smugę ciemnego dymu. Pozostałe samoloty wyrzucają bezładnie bomby i śpiesznie uciekają do swoich...

Huk i łoskot trwa dzień i noc. Nocą ciemne niebo rozbłyskuje wybuchami pocisków armatnich, huczą niemieckie samoloty, różnokolorowe tony smugowych pocisków fantastycznie przeplatają się między sobą, rakiety oślepiają gwałtownym, ostrym światłem.

Major odrywa na chwilę oczy od lornety i pyta niespokojnie:

— Co z łącznością?

— W porządku, towarzyszu majorze.

— Z brygady nie ma nic?

— Nie ma, towarzyszu majorze.

— Zwiadowcy, stanowiska ogniowe?

— Bez zmian.

— Dajcie znać Popowowi, żeby częściej informował.

Nadajemy rozkaz majora. Ostrzał wzmagą się wyraźnie. Do akcji wchodzi wciąż nowe baterie nieprzyjacielskie. Nasza artyleria zaczyna odpowiadać częściej. Huk potęguje się. Pociski artyleryjskie i moździerzowe wybuchają zupełnie blisko. W górze rozlega się warkot silników, słychać ryk samolotów nurkujących i ohydny, wyjący świst bomb lotniczych. Bomby wybuchają tuż obok, tam gdzie jest skoncentrowany nasz sprzęt bojowy. Przedni kraj zasnuwa gęsty dym. Mury dygocą, jak w febrze. Odłamki zaczynają się sypać gęściej.

Major podchodzi do radiostacji i przykuca obok niej.

— Spytajcie Popowa, co się u niego dzieje. Zawiadomcie stanowisko ogniowe: być w pogotowiu.

Nadajemy rozkaz i przechodzimy na odbiór. Dowódca grupy zwiadowczej, lejttnant gwardii Popow, melduje:

— Obserwuję wzmożone ruchy wojsk na tyłach przeciwnika, czołgi i działa pancerne nieprzyjacielskie koncentrują się na skraju zagajnika...— Popow wymienia współrzędne.

— Należy przypuszczać, że nieprzyjaciel zajmuje podstawę wyjściową do natarcia...

Major zadaje pytania i z niepokojem spogląda przez lornetę.

Rozkłada mapę, coś oblicza i podaje nam dane do przekazania na stanowiska ogniowe.

— Nadajcie, żeby bateria Bukowskiego wyjechała — rozkazuje. — Zameldować o wykonaniu.

Obserwuję majora. Otrząsnął się zupełnie z senności i zmęczenia. Twarz jego przybiera surowy, prawie groźny wyraz. Ruchy stają się pewne i zdecydowane. Odzyskał wreszcie stracony spokój. Tak zachowuje się zawsze podczas walki.

Nasilenie ognia nieprzyjacielskiego osiąga swój punkt szczytowy. Chwilami nie można już rozróżnić poszczególnych strzałów. Wszystkie dźwięki zlewają się w jeden nieustanny huk.

Nie podobna zorientować się, kiedy strzela nasza, a kiedy nieprzyjacielska artyleria. Przedni skraj ginie w kłębach dymu. Ściany stanowiska dowodzenia kołuszą się i chwieją, resztki szyb brzęczą przeraźliwie.

Major patrzy przez lornetę, nie odrywając oczu. Musiał coś zauważyć. Wnioskuje to z ostrego skrzywienia warg i głuchego przekleństwa, które mu się wyrywa. Rozumiem go bez słów i gdy major rzuca krótko: „Popowa“, lejtnant gwardii jest już przy mikrofonie.

— Czołgi i działa pancerne nieprzyjaciela wychodzą z zagajnika, strzelając w ruchu — melduje majorowi Popow. — Widzę wyraźnie: za nimi fizylierzy i piechota w sile około batalionu... Kierunek na skrzyżowanie dróg...

— Bukowskiego — niecierpliwie rozkazuje major.

Bukowski melduje, że działa są gotowe do otwarcia ognia. Pył i dym rozwiewają się odstawiając pole walki. Gołym okiem widać, jak czołgi i działa pancerne zgrzytając gąsienicami i waląc z armat, zbliżają się do naszego przedniego skraju... Za nimi posuwają się grupy ludzi. Jest ich dużo; idą szybko, wyprostowani. Bukowski melduje ponownie, że jego działa są gotowe do otwarcia ognia. Powtarzamy to majorowi, ale zdaje się nas nie słyszeć. Nagle krzyczy, jakby radiotelegrafiści znajdowali się gdzieś daleko, za oknem:

— Ognia!

Mijają sekundy. Ile? Trudno powiedzieć. Wreszcie z ulgą słyszę, a raczej odgaduję, odpowiedź: „Wystrzał“. Jeszcze chwila i przez straszliwy huk walki odróżnimy z prawej strony od stanowiska dowodzenia znajomy pomruk i odgłos „Katiusz“. W kierunku nieprzyjaciela lecą w powietrzu ogniste strzały...

Sekunda, jedna, druga — i tam, skąd przed chwilą strzelały opancerzone maszyny z czarnymi krzyżami, ukazują się nagle grzmiące błyskawice, słupy ziemi wznoszą się w górę, a dym i pył zasłaniają wszystko.

Gdy kłęby dymu opadły, ujrzeliśmy olbrzymie, płonące pochodnie. Było ich cztery. To paliły się czołgi hitlerowskie. Za nimi czerniały tu i ówdzie trupy fizylierów. Ocalałe wozy zawracały szybko, ale nasze armaty i stojące w ukryciu czołgi i działa pancerne strzelały już do nich celnie.

Czołg na wzgórzach

Podczas walk na Białorusi i w Polsce nasze czołgi przechodziły przez lasy i grząskie topieliska. Mówiono, że przez bagna te może przejść tylko człowiek. Ale nasi czołgiści potrafili przeprowadzić radzieckie „trzydziestki czwórki“ wszędzie tam, gdzie zdołał przejść żołnierz radziecki.

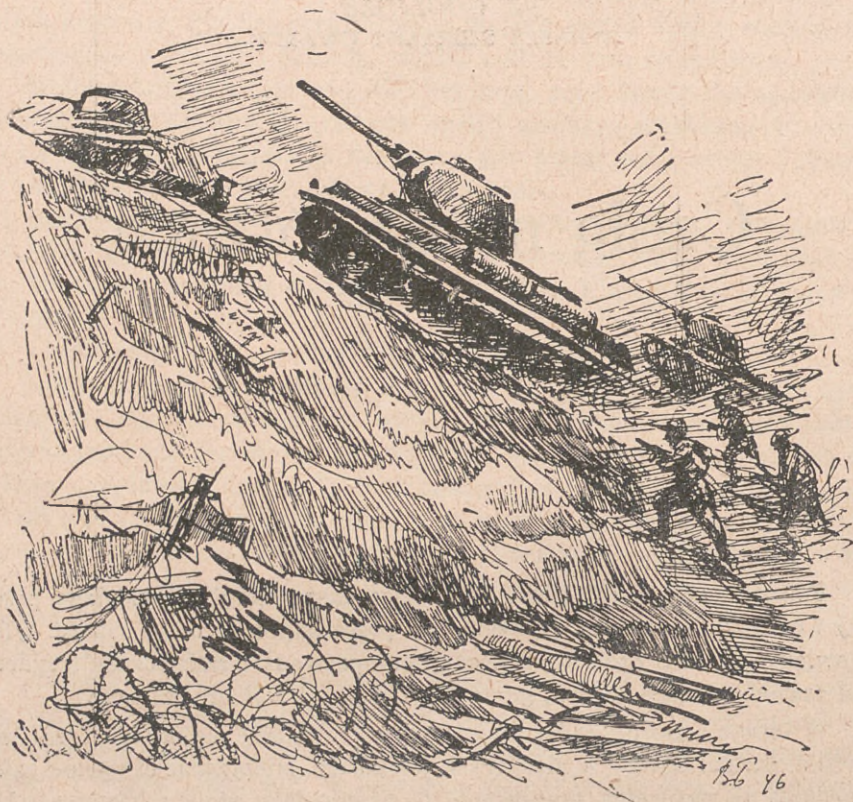
W bitwie o Berlin nasze czołgi musiały wdzierać się na Wzgórza Seelowskie, bardzo strome w niektórych miejscach. Nieprzyjaciel wykorzystał doskonale tę naturalną przeszkodę na przedpolach stolicy Niemiec. Na szczycie pasma wzgórz hitlerowcy zgromadzili dużą ilość artylerii, okopali czołgi i działa pancerne. Wszystkie pochyłości były pokryte rowami ciągłymi i wzmocnione drewnianymi schronami bojowymi. Dojścia do wzgórz były na wielu odcinkach pokryte zasiekami z drutu i polami minowymi.

W natarciu na Wzgórza Seelowskie wzięły udział wszystkie rodzaje broni: artyleria i lotnictwo, piechota i saperzy, artyleria pancerna i czołgi. Po potężnym przygotowaniu artyleryjskim piechota i czołgi ruszyły naprzód. Czołgi były niezbędne piechocie — gniazda ogniowe nieprzyjaciela w wielu miejscach wracały do życia.

Przeźren, dzielącą mnie od podnóża wzgórz, przejechałem z dużą szybkością. Ale oto zaczyna się wzniesienie. Pomimo to mój czołg zdecydowanie posuwa się naprzód. Dokoła wybuchają pociski. Pociski karabinowe i odłamki uderzają o opancerzenie. Bez względu na to muszę otworzyć właz, aby wybrać możliwą drogę.

— Naprzód! Naprzód! — rozkazuje dowódca czołgu, lejtnant gwardii Drionin.

Wszyscy niepowstrzymanie posuwamy się naprzód. Po stromym zboczu wdrapuje się piechota, dźwigają się nasze czołgi, podciąga artyleria.



W wieżyczce za moimi plecami starszy sierżant Wasiluk i ładowniczy sierżant Tkaczenko bez ustanku walą do wroga z armaty. Obok nich radiotelegrafista Pietuchow praży seriami z karabinu maszynowego.

Wzniesienie jest coraz bardziej strome. Powiększam obroty. Silnik pracuje z trudem, ale równo, bez przerwy, jak przedtem. Manewruję czołgiem, wybieram jak najłagodniejsze zbocza. Ale tych „łagodnych“ miejsc jest coraz mniej. A do szczytu wzgórz wciąż jeszcze daleko.

Potężne uderzenie wstrząsa naszym czołgiem. Pocisk nieprzyjacielski trafił w prawą stronę wieżyczki. Ale nie zdołał przebić pancerza, ześliznął się po nim. Ładowniczy Tkaczenko został ogłuszony, po chwili jednak powrócił do walki.

Spostrzegam z prawej strony, w małym rowku, dwóch hitlerowców, z „pięściami pancernymi“. Celują nie do nas, ale do sąsiedniego czołgu. Skręcam na lewo, zwiększam szybkość — i Niemcy giną pod gąsienicami czołgu.

Wzniesienie staje się coraz trudniejsze. Silnik wyje z natężenia. Czołg przyjmuje prawie pionową pozycję. Próbuję prowadzić go nie wprost, w kierunku szczytu, ale po przekątnej zakosami. Przynosi to dużą ulgę

pracy silnika, ale zwiększa bardzo nacisk na prawą gąsienicę. To nic, wytrzyma. Mechanizm ruchowy w naszej „trzydziestce czwórce“ jest tak samo pewny i mocny jak silnik.

Załoga naszego czołgu zwróciła wieżyczkę na lewo i prowadzi ogień w tamtym kierunku. Widzę, jak po jednym z naszych wystrzałów armata nieprzyjacielska wylatuje w powietrze.

Bardzo długo trwa przewyciężanie tego trudnego wzniesienia, dokonywanego pod wściekłym ostrzałem. Ale nasza radziecka maszyna wychodzi z tej próby z honorem. Czołg osiąga szczyt wzgórza. Silnik ryczy z wielką ulgą.

Maszynie zrobiło się lżej, ale załoga znalazła się w jeszcze gorszej sytuacji. Wielka siła ognia nieprzyjacielskiego kieruje się na czołg. Nasza armata grzmi w odpowiedzi bez przerwy, karabiny maszynowe pracują ostro. Pomagam załodze niszczyć maszyny i siły żywe nieprzyjaciela za pomocą gąsienic, całym ciężarem czołgu. Miałem strzelających z „pięści pancernych“, przejeżdżam czołgiem przez karabin maszynowy i działko nieprzyjacielskie.

Coraz nowe czołgi docierają na szczyt wzgórza. Piechota wdziera się nieprzerwaną falą. Artyleria przenosi ogień w głąb pozycji nieprzyjacielskich.

— Naprzód! Naprzód! — brzmi nieustannie w moich słuchawkach.

Z pamiętników i listów

18 kwietnia

Spoglądam na posuwanie się niezliczonej ilości armat i czołgów — i myślę: „Ileż tego mamy“. Najpierw artyleria oczyszczała drogę dla piechoty i czołgów, potem czołgi i piechota rzuciły się gwałtownie naprzód, a artyleria ruszyła za nimi na nowe stanowiska ogniowe. Nie ma czasu na właściwe rozwinięcie armat, połowa obsługa jeszcze je okopuje, a druga połowa już śle pociski do wroga, znowu oczyszczając drogę piechocie, czołgom i nowym oddziałom artylerii. Myślę o tym, ile pracy włożyły w te maszyny ręce, które je wykonały, i napełnia mnie uczucie zachwytu na widok materialnego ucieleśnienia wielkiej woli zwycięstwa narodu radzieckiego, wielkiej woli zwycięstwa partii Lenina-Stalina.

Kapitan Gwardii A. BRONSZTEJN

Trudno opisać, jak podnosi na duchu każdego żołnierza muzyka naszych „Katiusz“. Na ich dźwięk ogarnia pragnienie, by mknąć naprzód jak na skrzydłach. Ale dokoła jest otwarte pole, nieprzyjacieli praży ogniem, trzeba wciąż manewrować to na lewo, to na prawo. Jestem niewielkiego wzrostu, ale mimo to nachylam się biegnąc. Szkoda byłoby nie dotrzeć do Berlina, kiedy już jest tak blisko.

Podczas dnia trwały ostre walki na ziemi i w powietrzu. Niebo zrobiło się czarne. Leżałem w leju i spoglądałem w górę. Uwagę moją przykuł niezwykle widok: na wielkim samolocie siedział na wierzchu mały samolocik. Patrzyłem zdumiony: w jaki sposób jeden samolot wlaź na drugi? Czekam, co będzie dalej. Te dwa szepione samoloty zaczęły pikować prosto na nas. Nagle górny samolot poderwał się do góry, a dolny, wielki runął w korkociąg na dół. Dosięgnął ziemi i rozległ się wybuch

o takiej sile, że zobaczyłem wszystkie gwiazdy. Powstał taki lej, że mój dom zmieściłby się w nim cały. Co prawda mój dom został spalony przez hitlerowców, gdy grasowali u nas, w okolicy Dniepropietrowska. Okazało się, że to nic strasznego — po prostu „samolot - bomba“.*

Szeregowiec T. KOWAL

Nasz batalion dotarł walcząc nad brzeg głębokiej, zimnej rzeki Alte-Oder. Po klęsce nad Odrą hitlerowcy podjęli tu jeszcze jedną rozpaczliwą próbę zatrzymania nas.

Batalion otrzymał rozkaz przezwyciężenia tej wodnej przeszkody bez zatrzymania się. W pobliżu nie było łodzi ani promów. Trzeba było przedostawać się wpław lub za pomocą przypadkowych belek i desek, które znalazły się pod ręką. A nieprzyjaciel walił bez przerwy w rzekę i w oba brzegi z artylerii i karabinów maszynowych. Pod tym wściekłym ogniem batalion zaległ.

Wówczas starszy lejtnant Horodniczy, organizator partyjny batalionu, podniósł się na całą wysokość wzrostu. Wszyscy, którzy znajdowali się nie-daleko, usłyszeli jego dźwięczny głos:

— Za naszą słuszną sprawę, za ukochanego Stalina, za zwycięstwo, komuniści naprzód, za mną! — i skoczył do rzeki.

Natychmiast za nim komuniści rzucili się pierwsi do wody. Przepłynąwszy na przeciwległy brzeg grupa pod wodzą organizatora partyjnego wzięła do niewoli załogę nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego. Gdy śmiałowie przepływali przez rzekę, żołnierze, którzy zalegli na brzegu, zaczęli się podnosić. Jedni wpław, inni na deskach i belkach dążyli przez rzekę na pomoc towarzyszom.

Niemcy przeciwuderzyli gwałtownie na śmiałków, którzy dotarli do przeciwległego brzegu. Horodniczy został wtedy ciężko ranny. Wówczas komendę objął młodszy sierżant Sterligow, komunista. Okrzykami: „Za naszego drogiego organizatora partyjnego. Bijcie faszystów, przyjaciele! Nie oddamy zdobytego odcinka!“ — zachęcał żołnierzy. Przeciwuderzenie było odparte.

*Bohater Związku Radzieckiego
Starszy lejtnant K. USENBEKOW*

* Mowa tu o niemieckim samolocie „Ju-88“, którego hitlerowcy używali czasem jako bomby, napełniając materiałem wybuchowym i przymocowując do samolotu „Me-109“.

ŚMIERĆ NIEMIECKIM OKUPANTOM

Towarzysze, szeregowcy, podoficerowie i oficerowie!

Armia Radziecka posuwa się krokami olbrzyma, pewnie i bez zatrzymania coraz dalej i dalej po ziemi nieprzyjacielskiej, gromiąc bezlitośnie jego wojska. Zwierz faszystowski przedsięwzięcie wściekle wysiłki, aby odsunąć ostateczną godzinę klęski.

Żołnierze Armii Radzieckiej, uniesieni świadomością swej wielkiej misji wyzwolicielskiej, nie znają przeszkód nie do przewyciężenia, niewykonalnych zadań na polach walk. Zahartowani w ogniu wojny, zbrojni w wiedzę i doświadczenie biją wroga niezawodnie i pewnie.

Dzielni żołnierze!

Nasze oddziały po rozpoczęciu ofensywy, w ciągu dwóch dni uporczywych i okrutnych walk przełamały trzy potężne umocnione pasy obrony nieprzyjacielskiej, przerżnięte licznymi liniami rowów ciągłych, i otworzyły drogę na Berlin. Niemcy stracili ponad 5 000 zabitych żołnierzy. Wzięto do niewoli 1 500 ludzi. Zdobyto wiele sprzętu i uzbrojenia.

W tych ciężkich walkach nasze jednostki spisały się dobrze. Cały skład osobowy wykazał bohaterską wytrwałość, żelazną wolę zwycięstwa i dojrzałą sztukę bojową.

Towarzysze broni!

Rada wojenna wzywa was, abyście jeszcze pręcej posuwali się naprzód i wyczerzyli wszystkie siły, wolę, wiedzę i stanowczość, męstwo i odwagę, aby z pełnym samozaparciem wykonać rozkaz naszego wodza, towarzysza Stalina, o szturmie na Berlin.

Za naszą radziecką ojczyznę, z imieniem Stalina — naprzód — na Berlin!

Śmierć zaborcom niemieckim!

RADA WOJENNA FRONTU.

17 IV 45 r.

W. NOSOK
SZEREGOWIEC

Przed stacją Schönfluss

19 kwietnia nasza kompania wyszła na rozkaz dowódcy pułku, podpułkownika Dudnika, aby wzmocnić batalion piechoty, który zajął hitlerowskie rowy ciągłe. Nocą dotarliśmy do tych rowów i umocniliśmy się. Oczywiście nie było mowy o spaniu. Niemcy próbowali odrzucić kompanię z zajętych stanowisk. Walka toczyła się całą noc.

Okolo trzeciej nad ranem granaty ręczne były na wyczerpaniu. Dowódca kompanii, starszy lejtnant gwardii Lewin (byłem jego łącznikiem) dał mi następujący rozkaz: za wszelką cenę dostarczyć przed świtem granatów. Wylazłem z rowów i poszedłem. Noc ciemna, okolica nieznana, co pięć minut nawały ogniowe artylerii hitlerowskiej, po których pył i dym wyżera oczy. Wyziewy po wybuchach pocisków, woń spalonego prochu tamuje oddech — odczuwałem brak powietrza. Trudno było posuwać się naprzód.

Nie mogłem znaleźć naszego polowego składu zaopatrzenia w sprzęt i amunicję. Bez granatów powrócić nie mogłem. Gdy wychodziłem, był już na wyczerpaniu, a teraz z pewnością zupełnie ich zabrakło. Zacząłem prosić o granaty w pododdziałach, które brały udział w walce. Pewien starszy sierżant (nie znam nawet jego nazwiska) dał mi skrzynkę granatów. Ruszyłem w drogę powrotną. Dojście do naszych stanowisk było otwarte i znajdowało się pod nieprzyjacielskim ostrzałem. Gdy byłem w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów od rowu ciągłego, którego broniła nasza kompania, faszyci zauważyli mnie i otworzyli ogień z karabinów maszynowych i „pięści pancernych“. Padłem na ziemię obok swojej skrzynki i udałem zabitego. Gdy Niemcy nie widząc nikogo żywego przerwali ostrzeliwanie tego miejsca, porwałem skrzynkę prawą ręką i pozostałe pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów przebiegłem, jak mi się

zdawało w trzech czy czterech skokach. Wpadłem prosto na stanowisko dowodzenia. Dowódca nie poznał mnie w zamieszaniu i zapytał:

— Co się stało?

Odpowiedziałem:

— Melduje się szeregowiec Nosok z granatami.

— Rozbijajcie natychmiast skrzynkę, dajcie granaty.

W tej chwili nadbiegł szeregowiec Czerkas wołając:

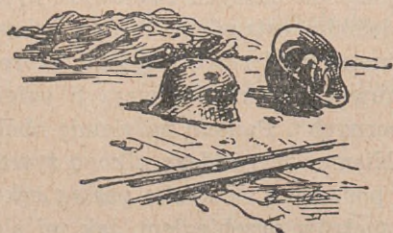
— Pomóżcie, Niemcy idą przez rów łącznikowy do naszego okopu.

Przez ten czas zdążyłem już rozbić skrzynkę i otworzyć jedną puszkę z zapalnikami. Dziesięć pierwszych granatów było gotowych do rzutu. Strzelcy porwali je natychmiast i odeszli. Z tym samym pośpiechem otworzyłem drugą puszkę, ciąłem nożem tak szybko, jakby to nie była blacha, tylko kartofel. Zgarnąłem granaty i zapalniki w połę płaszcza i pobiegłem w kierunku rowu łącznikowego. Stali tam starszy lejtnant Lewin, lejtnant Murtazin, strzelcy Mierodiew i Iwancow. Każdy z nich miał w rękę po jednym granacie (z mojej pierwszej serii), przygotowanym do rzutu. Wychyliłem się z rowu i zobaczyłem, że wzdłuż rowu łącznikowego, w odległości około piętnastu metrów od nas, idą zgięci w pół hitlerowcy, rzucając przed siebie granaty. Starszy lejtnant Lewin wyskoczył z rowu i rzucił granat. Spoza kłębow dymu rozległy się krzyki rannych Niemców. Niemcy po stracie kilku ludzi nie poszli dalej, lecz wybrali sobie wygodne, niedostępne do ostrzału przez nas miejsce i zaczęli stamtąd zarzucać nasz rów „pięściami pancernymi“ tak, że nie można było podnieść głowy. Instruktor sanitarny Merinin, wracając od rannego, zauważył jednego z rzucających „pięści“.

— Ty dobrze strzelasz, chodź ze mną, to ci pokażę — powiedział do mnie.

Rzeczywiście po przejściu paru kroków zobaczyłem faszystę, który siedział w małym parowie i zamierzał właśnie rzucić granat do naszego okopu. Nie udało mi się sprętnąć go za pomocą pierwszego strzału. Zorientował się, że strzelają do niego i zsunął się niżej. Musiałem czekać, aż się podniesie, wycelowałem dokładnie i zabiłem.

W piętnaście czy dwadzieścia minut potem rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Ruszyliśmy do natarcia i zdobyliśmy stację Schönfluss.



Trzecia noc

Znajdowaliśmy się już w odległości trzydziestu kilometrów od Berlina, gdy otrzymałem polecenie udania się z grupą zwiadowców na tyły nieprzyjaciela. Nie po raz pierwszy zdarzało mi się przedzierać na tyły nieprzyjacielskie — ale tym razem te „tyły“ miały szczególny charakter — zadanie polegało na tym, aby dotrzeć do samego Berlina.

Grupa moja składała się z sześćdziesięciu ludzi. W tej liczbie było zaledwie dwunastu, których znałem i z którymi chodziłem już na rozpoznanie, reszta rekrutowała się z uzupełnienia. Dlatego na wstępie obszedłem wszystkich zwiadowców i zawarłem z nimi znajomość.

Wyruszyliśmy przez bagna, spodziewając się, że tu nie będzie rowów ciągłych i łatwiej da się przejść. Młodszy sierżant Iwanow i Kowalow, idący na przedzie usłyszeli rozmowę, prowadzoną po niemiecku i odkryli obsługę karabinu maszynowego, która siedziała w zasadzce. Zabili Niemców bez hałasu i poszliśmy dalej. W ciemności wzięliśmy słupy przeciwzołgowe za grupę Niemców posuwających się w naszym kierunku. Nie otworzyliśmy jednak ognia i wkrótce zorientowaliśmy się, że to było zwykłe złudzenie optyczne. Przy słupach przeciwzołgowych poprosiłem towarzyszy, aby osłonili mnie płachtą namiotową, zapaliłem latarkę i próbowałem ustalić kierunek za pomocą kompasu i mapy. Nie zdążyłem się jeszcze zorientować, gdy towarzysze uprzedzili szeptem: „Słysząc rozmowę — po niemiecku“. Po upływie kilku minut zbliżyli się żołnierze hitlerowscy dźwigający jakieś pudełka. Jak się później okazało, był to trotyl do zaminowania słupów. Policzyliśmy Niemców. Było ich trzydziestu pięciu — mniej niż nas. Postanowiliśmy ich otoczyć. Podzieliłem siły. Młodszy lejtnant Szestniew miał odciąć nieprzyjacielowi odwrót, lejtnant Kowalenko ze swą grupą obejść prawe skrzydło, młodszy lejtnant Dumandzorow — lewe.



Miałem ze sobą gwizdek, taki sam jak sędzia na meczu piłki nożnej. Dałem sygnał, zwiadowcy cisnęli granatami i natychmiast po ich wybuchu rzucili się na Niemców. Mój uczeń, młodszy sierżant Kowalów, kawaler czterech orderów, miał ze sobą zdobyczny sztylet z napisem na klingie: „Wszystko dla Niemiec“. Ten sztylet poszedł również w ruch. Niemcy nie zdążyli dać ani jednego strzału. Szesnastu wzięliśmy do niewoli, reszta zginęła. Wśród jeńców byli szeregowcy z poznańskiej szkoły podoficerskiej, z którymi walczyliśmy jeszcze w Poznaniu.

Ponieważ nie mieliśmy możliwości ewakuować jeńców na tyły, popędziliśmy ich ze sobą naprzód, do Berlina.

W ciągu nocy przeszliśmy osiem kilometrów i nad ranem rozbiliśmy dzienny obóz. Znaleźliśmy bardzo wygodne miejsce, z leśnej gęstwiny obserwowaliśmy nieprzyjaciela. Na szosie działo się nie wiadomo co: jedne czołgi faszystowskie jechały do Berlina, inne z Berlina, samochody ciężarowe pędziły w obu kierunkach.

Do lasu dolatywały pociski naszej artylerii. Myśleliśmy ze strachem „byle nasze „Katusze“ nie otworzyły ognia na ten las“.

Należało wysłać meldunek do sztabu. Ale aparat radiowy zamókł i nie można było z niego skorzystać. Przypomniałem sobie, jak w 1942 roku żołnierze naszego partyzanckiego oddziału na Smoleńszczyźnie musieli cały dzień przeleżeć zakopani w miękkiej zoranej ziemi. Kazałem więc sierżantowi Iwanowowi, którego postanowiłem wysłać z meldunkiem, wygrzebać norę w ziemi. Ukryty w tej norze Iwanow miał czekać, póki nie nadej-

dą straże przednie naszych błyskawicznie posuwających się naprzód wojsk. Zamaskowaliśmy tak dobrze tę norę, że Niemcy chodzili po niej, nic nie podejrzewając. Druga noc była wyjątkowo denerwująca. Bez ustanku obliczaliśmy odległość — 22, 20, 18, 15, 10 kilometrów do miasta. Szliśmy od jednego zagajnika do drugiego. W jednym lasku znaleźliśmy czołg i wysadziliśmy go w powietrze. Przecinaliśmy nieprzyjacielskie przewody telefoniczne; niszczyliśmy drobne oddziały nieprzyjaciela. W jednym z lotniskowych osiedli podmiejskich byliśmy zmuszeni przyjąć poważniejszą walkę. Faszyci mieli tutaj sześć samochodów z najcięższymi karabinami maszynowymi, umieszczonymi w wieżach obrotowych. Rozgromiliśmy grupę nieprzyjacielską biorąc do niewoli jeszcze około dwudziestu jeńców.

Gdy znowu nadszedł dzień, ukryliśmy się w bagniskach razem z jeńcami. Jeńcy utrudniali jeszcze bardzo nasz pochód, dlatego też, gdy zapadł wieczór, zdecydowałem zostawić ich w lesie pod strażą sześciu strzelców. Mieli oni doczekać nadejścia naszych oddziałów.

Trzeciej nocy wkroczyliśmy w granice Wielkiego Berlina. Tutaj doścignęły nas przednie oddziały naszych wojsk, jadące na terenowych samochodach opancerzonych.

Z pamiętników i listów

19 kwietnia

Niepowstrzymany potok nacierających wojsk prze gwałtownie naprzód — w kierunku, który wskazują przed chwilą przygotowane tablice orientacyjne: „Do Berlina“, w kierunku, w którym wzywają rozwieszono wzdłuż drogi na drzewach, na murach, na stosach gruzów odezwy: „Naprzód, naprzód gwardziści!“, „Z imieniem wielkiego Stalina naprzód, na Berlin!“, „Do Berlina pozostało 40 kilometrów“.

A. FOKIN

Młodszy lejtnant gwardii

Sierżant Korobcow jest oburzony, że czas płynie zbyt wolno.

— Jak to może być — powiada. — Wciąż się śpieszymy, szarpiemy się, żeby jak najprędzej dotrzeć do tego Berlina, a czas płynie wciąż jednakowo, dzień jest krótki, a tyle czasu trwa.

Przez kilka dni i nocy posuwamy się naprzód bez odpoczynku, ale gdy się zatrzymujemy, nikt nie jest zadowolony, wszyscy się denerwują.

Na jakimś skrzyżowaniu dróg powstał korek, każdy oddział chciał przedrzeć się pierwszy, jedni krzyczeli na drugich:

— Ty co? Musisz być pierwaj niż inni?

Pewien niemłody już gwardzista zapytał kierowcę, który próbował wyprzedzić nasze pojazdy z moździerzami:

— Dokąd się pchasz bez kolejki?

— Mnie się śpieszy, wiozę amunicję — odparł kierowca.

— Spójrzcie tylko na tego zucha! — wykrzyknął gwardzista. — Amunicję wiezie! A ja co? Może jajka wiozę na targ do Berlina?

Kapral gwardii N. POŁOWINCZENKO

Wyszliliśmy na główną szosę — bezpośredni szlak na Berlin. Kolumny maszyn posuwają się pięcioma rzędami. Zaprzęgi konne mkną galopem. Rozlegają się okrzyki:

— Ej, Frau, wieviel kilometr do Berlina?

Patrzącym z samolotu wydaje się pewnie, że droga sama płynie naprzód — pokryta zwartym potokiem ludzi, koni i pojazdów.

Młodszy sierżant M. SAFONOW

Starszy wiekiem strzelec, torując drogę swemu pojazdowi krzyczał:

— Na bok! Na bok! Nie zatrzymuj!

— Dokąd ci tak pilno, ojczulku? — zapytał go ktoś.

— Ojczulku... Co ja jestem za ojczulek dla ciebie! — rozżłościł się powożący — Dokąd mi pilno? Nie widzisz, czy co? — i strzelec pokazał palcem tabliczkę z dykty, przybitą do pojazdu. Na tabliczce było napisane: „Bierzemy Berlin!“

Major SMIRNYCH

Nocowaliśmy w lesie. Rankiem we wszystkich oddziałach odbyły się zebrania partyjne. Na porządku dziennym: zadania komunistów w szturmie na Berlin. Organizator partyjny kompanii, szeregowiec gwardii Sołogubow, powiedział na zebraniu: „Daję słowo komunisty, że pierwszy wedrę się ze swoją kompanią do legowiska zwierza faszystowskiego“. Zebranie partyjne postanowiło powierzyć komuniście Sołogubowi przygotowanie czerwonego sztandaru i zatknięcie go na pierwszym zdobytym budynku w Berlinie.

Podpułkownik gwardii KACZTOW

E. LISICYN
GENERAL-MAJOR

Nasze odezwy, hasła i sztandary

(Ze wspomnień pracownika politycznego)

Podczas walk na przyczółku nad Odrą, przed rozpoczęciem natarcia na Berlin, młody strzelec naszej armii, komsomolec Alek Alekszejew, dokonał bohaterskiego czynu, podobnego do czynu Aleksandra Matrosowa. Żołnierze, idący do szturmu na Berlin, czytali ulotkę poświęconą pamięci Aleka Alekszejewa. Przytoczę tę ulotkę w całości jako przykład odezw wydawanych w owym czasie.

„NIEŚMIERTELNY CZYN ALEKA ALEKSJEJEWĄ“

Alek Alekszejew był bardzo młodym chłopcem — i bardzo młodym, niedoświadczonym żołnierzem. Armia Radziecka uwolniła go niedawno z faszystowskiej katorgi. Hitlerowcy przemocą oderwali Aleka od rodziny, wepchnęli do brudnego, bydłowego wagonu i wywieźli do siebie. Armia Radziecka wyzwoliła go z niewoli. Alek został fizylierem. W okresie poprzedzającym natarcie na Berlin opowiadał swoim towarzyszom broni:

— Ja już byłem w Berlinie — mówił. — W tym mieście przebywają na ciężkich robotach tysiące Francuzów i Rosjan, Belgów i Polaków, Czechów i Jugosłowian...

Na krótko przed walką Alek został przyjęty do Komsomołu.

Kompania starszego lejtnanta Kulikowa, w której Alek był fizylierem, dostała trudne, ale zaszczytne zadanie: rozszerzyć przyczółek za Odrą, sforsować mocno broniony przez faszystów strumień i wyrzucić nieprzyjaciela z rowów ciągłych.

Kompania dotarła skrycie do strumienia, strzelcy przerzucili mostki. O świcie, na sygnał do szturm, Alekszejew przebiegł pierwszy przez mostek. Nagle tuż obok zaterkotał nieprzyjacielski ciężki karabin maszynowy. Alek rzucił granat w jego kierunku. Karabin nie przestawał strzelać... Alekszejew wyskoczył zza pagórka i własnym ciałem zakrył lufę karabinu. Kompania błyskawicznie sforsowała strumień. Wróg został wyrzucony z rowów ciągłych, zadanie bojowe było wykonane...

Towarzysze pochowali z honorami dziewiętnastoletniego żołnierza radzieckiego Aleka Alekszejewa, który bez namysłu oddał swe życie za szczęście matki-Ojczyzny, w imię zwycięstwa nad znieprawionym wrogiem.

Towarzyszu-żołnierzu! Zachowaj w pamięci czyn młodego bohatera!

Idź śmiało naprzód, żołnierzu! Zuchwale i pewnie szturmuj berlińskie umocnienia! Jak najprędzej zatknij nad Berlinem Sztandar Zwycięstwa!

ZARZĄD POLITYCZNY ARMII

Wielu żołnierzy pieczołowicie przechowywało tę ulotkę jako pamiątkę po towarzyszu-bohaterze. Nieraz to krótkie imię „Alek“ — brzmiało podczas walki równie pobudzająco jak hasło — „Naprzód, na Berlin!“

Przed rozpoczęciem natarcia przygotowaliśmy wiele arkusików na błyskawiczne ulotki, tak zwane: „Podaj dalej“. Agitatorzy pisali te ulotki ołówkiem, w marszu sporządzając króciutkie notatki o bohaterskich czynach żołnierzy. Okoliczności nie zawsze pozwalały agitatorom posługiwać się ołówkiem. W warunkach zawziętych walk o Berlin wiadomości o czynach bohaterskich były niejednokrotnie przekazywane ustnie, wzdłuż szeregów.

Pięciu strzelców z kompanii starszego lejtnanta Kulikowa na drodze do Berlina zdobyło wioskę niemiecką i wzięło do niewoli ośmiu hitlerowców. Znajdujący się na prawym skrzydle tyraliery agitator Andrianow zakomunikował o tym swemu sąsiadowi, wymienił nazwiska bohaterów i krzyknął:

— Chwała odważnym! Naprzód, przyjaciele!

Słowa agitatora przechodziły od jednego strzelca do drugiego. Po upływie dwóch czy trzech minut cała kompania wiedziała o wspaniałym czynie pięciu śmiałków.

W miarę zbliżania się naszych wojsk do Berlina coraz większy zapal ogarniał żołnierzy armii generała pułkownika Kuzniecowa. Wszystkie ich pragnienia i myśli zmierzały do jednego celu: jak najprędzej zatknąć Sztandar Zwycięstwa nad stolicą faszystowskich Niemiec.

„Przyśpiesz kroku, Berlin przed tobą!“ — czytali nasi żołnierze w gazetach i ulotkach. „Jedna jest droga przed nami — na Berlin!“ — mówili żołnierze na masówkach. „Szybko, naprzód, prędzej do Berlina!“ — wzywali agitatorzy.

Tysiące żołnierzy walczyło o prawo dania pierwszego strzału armatniego do Berlina, o prawo pierwszeństwa w przekroczeniu linii granicznej Wielkiego Berlina, o prawo zatknięcia w mieście pierwszego czerwonego sztandaru. Cały skład osobowy naszej armii był napełniony dumą, że jemu właśnie przypadł w udziale wielki zaszczyt — szturm na Berlin. Cała nasza praca partyjno-polityczna była podporządkowana temu jednemu celowi — szturmowi na Berlin.

Czerwony sztandar miał wielkie znaczenie mobilizujące.

— Towarzysz Stalin oznacza na mapie naszą drogę czerwonymi chorągiewkami! — mówili strzelcy. — A my będziemy oznaczać naszą drogę czerwonymi sztandarami, zatykanymi wprost w terenie, na niemieckiej ziemi, od krańca do krańca, póki nie zatknemy nad Berlinem ostatniego sztandaru — Sztandaru Zwycięstwa.

Podczas natarcia na hitlerowskie linie obronne nad Odrą, organizator partyjny kompanii starszy sierżant Plikin wdarł się razem z plutonem jako pierwszy do rowu ciągłego nieprzyjaciela i zatknął na przedpiersiu czerwoną chorągiewkę. Na ten widok cała kompania z nieopisanym zapałem runęła naprzód.

Strzelec Mieleńczuk z obsługi karabinu maszynowego był śmiertelnie ranny na przedpolach Berlina. Zanurzył chustkę we własnej krwi i dał ją strzelcowi Achmetilinowi:

— Donieś, bracie, ten sztandar do Berlina i zatknij go na jego murach — powiedział.

Achmetilin spełnił życzenie swego towarzysza walki. Zalana krwią chustka Mieleńczuka migotała wciąż na czele oddziału i widok jej pobudzał żołnierzy do szybszego posuwania się naprzód.

Każdy etap wielkiej bitwy wysuwał własne hasła. Gdy zostały przerwane hitlerowskie linie obronne za Odrą i decydujące znaczenie dalszej walki polegało na nieustannym towarzyszeniu piechocie przez artylerię, pracownicy polityczni, agitatorzy, prasa, zaczęli propagować hasło: „Cześć tym, którzy pierwsi otworzą ogień do legowiska zwierza faszystowskiego!“. Faszyci wysadzali w powietrze mosty, niszczyli szosy. Drogę przegradzały rzeki i kanały. Ale artyleria nie odrywała się od piechoty. 21 kwietnia pierwsza salwa artyleryjska dosięgnęła Berlina.

Nowy etap. Nowe hasło: „Cześć tym, którzy pierwsi wedrą się do Berlina!“

Żołnierze piechoty spoglądali na drogowskazy, obliczali, ile kilometrów pozostało jeszcze do środka miasta, i pędzili naprzód, zmiatając wszystkie przeszkody.

Triumf gwardzistów generała majora Kozina, żołnierzy pułkownika Niegoda i innych wielkich jednostek nie miał granic, gdy się okazało, że to oni pierwsi weszli w granice Wielkiego Berlina. Gdy radio podało wiadomość o słowach wdzięczności, wyrażonych przez towarzysza Stalina dla wojsk naszej wielkiej jednostki, która wdarła się w granice miasta — agitatorzy: Papyszew, Gliński, Smietanin i inni przedostawali się przez zaułki, podwórza i piwnice, pod ogniem nieprzyjaciela, aby móc jak najprędzej dotrzeć do kompanii strzeleckich, do obsługi karabinów maszynowych i dział i zakomunikować im niezwłocznie tę radosną wieść.

Agitatorzy pisali na murach i parkanach kredą, farbą lub węglem: „Moskwa pozdrawia gwardzistów, którzy wkroczyli do Berlina!“, „Naprzód, do Reichstagu!“, „Stalin nam dziękuje!“, „Bij faszystów w piwnicach granatami!“, „Fizylier Junikow zabił siedmiu hitlerowców, bierz przykład z bohatera Junikowa!“ — i tak dalej.

Na murze jednego z domów było napisane hasło hitlerowskie: „Berlin nigdy się nie podda“. Nasz strzelec przekreślił je i dopisał: „A ja jestem w Berlinie. Z poważaniem — Sidorow“.

Przywódcy

Serca czołgistów-gwardzistów napełniała najwyższa duma żołnierska. Mieli za sobą sławną, legendarną drogę od Moskwy do Berlina. Przypadł im w udziale wielki zaszczyt zadania ostatniego, obmyślonego genialnie przez towarzysza Stalina, miażdżącego ciosu wrogowi — szturm na twierdzę podlegaczy wojennych. Obrońcy Moskwy, którzy wyzwolili Ukrainę, Północną Bukowinę i Polskę — mieli zatknąć Sztandar Zwycięstwa nad Berlinem.

Natarcie oddziałów czołgów generała-pułkownika Katukowa na Berlin zaczęło się od ciężkich walk o Wzgórza Seelowskie. Przed nimi znajdowały się długie rzędy potężnych hitlerowskich umocnień obronnych, dochodzące do samego miasta. Pola minowe, rowy przeciwczołgowe i ciągłe, otoczone zasiekami z drutu kolczastego, biegły na przemian z liniami betonowych i drewnianych schronów bojowych, z kanałami, z bagnistymi odcinkami trudnymi do przejścia dla czołgów i artylerii pancernej. Wróg bronił się zjadale. Każdy metr terenu podlegał wściekłemu ostrzałowi.

Wszyscy pracownicy oddziału politycznego znajdowali się w ugrupowaniu bojowym oddziałów przednich, pomagając partyjnym i komsomolskim organizacjom oraz pracownikom politycznym jednostek zapewnić pomyślne wykonanie rozkazu zdobycia Wzgórz Seelowskich. Komuniści kroczyli na czele.

Czołg Bohatera Związku Radzieckiego, mechanika-kierowcy Tichomirowa, został uszkodzony przez ogień artylerii. Sam kierowca był ciężko ranny. Radiotelegrafista, obsługujący również karabin maszynowy, komsomolec Krajew naprawił czołg pod ostrzałem, przyszedł z pomocą sąsiadnemu czołgowi, który ugrzązł w błocie i ruszył na wroga razem z nim.

Organizator partyjny batalionu, starszy lejtnant gwardii Piataczkow, napisał natychmiast podczas walki ulotkę o bohaterskim czynie Krajewa.

Po upływie godziny wszyscy czołgiści już o tym wiedzieli.

Równie bohatersko walczyli sierżanci gwardii Własow i Szczukin. Za pomocą ulotki „Podaj dalej“ ich czyny stały się natychmiast znane wszystkim żołnierzom.

Ulotki podnosiły żołnierzy na duchu, zachęcały do marszu naprzód, podniecały zapał natarcia. Oddziały szturmowe przecinały druty kolczaste, „wykurzały“ z rowów ciągłych obsługę „pięści pancernych“; saperzy pod ogniem gacili przejścia przez bagna, zasypywali rowy — i nasze czołgi oraz działa pancerne mogły bez przerwy posuwać się naprzód.

Czołgi komsomolców Wasyljewa i Zołotowa dotarły na wzgórze, górujące nad całym pasmem Seelowskim. Nieprzyjaciel podciągnął artylerię i otworzył huraganowy ogień do odważnych gwardzistów-czołgistów. Czołg Zołotowa zaczął się palić; zaraz po nim zapłonął drugi czołg, Wasyljewa. Bohaterscy komsomolcy tłumili pożar piaskiem, płaszczami, brezentem i nie przestawali walczyć z wrogiem.

W tym samym czasie inna nasza zmotoryzowana jednostka gwardii za pomocą szybkiego i śmiałego manewru okrążyła wzgórza i miasto Seelow, uderzyła od tyłu i zdobyła Seelow, otwierając drogę naszym czołgom i artylerii pancernej.

Pierwsza hitlerowska linia obronna na przedpolach Berlina została opanowana. Ale przed nami było jeszcze wiele przeszkód do przewyciężenia. Wróg robił wszystko, aby zatrzymać, zahamować natarcie wojsk radzieckich. Niejednokrotnie próbował odciąć nasze czołowe oddziały przy pomocy przeciwuderzeń na skrzydło. Wysadzał mosty na kanałach, budował zawały i barykady na ulicach osiedli. Nie mając pewności co do skuteczności pól minowych, które wykrywaliśmy i okrążaliśmy, Niemcy zaczęli zakładać zamaskowane miny na skrajach dróg, podciągając je za pomocą drutu do drogi, pod gąsienice naszych czołgów. Jeżeli w ten sposób udałoby się wysadzić w powietrze chociaż jeden czołowy czołg — to oznaczałoby stworzenie zatoru wraz z możliwością obrzucenia kolumny z bliska „pięściami pancernymi“.

W tych skomplikowanych warunkach nasi komuniści i komsomolcy okazali się prawdziwymi przywódcami mas żołnierskich. W tych walkach nie podobna wymienić nazwisk bohaterów. Wszyscy byli bohaterami.

Trzeba odbudować most na kanale — saperzy komuniści idą pierwsi. Trzeba zablokować betonowy schron bojowy znajdujący się na drodze naszych czołgów — oddział szturmowy z komunistami na czele wykonuje wspaniale to zadanie. Trzeba dotrzeć na nieprzyjacielskie tyły, wywołać popłoch, zbadać kolejną linię obronną — natychmiast grupy śmiałków pod wodzą komunistów i komsomolców przenikają do legowiska wroga w ciemnościach nocy.

Gorące słowo bolszewickie i osobisty przykład stanowiły niezwyciężoną siłę, która potrafiła złamać każdą przeszkodę, tworzyła cuda.

Komsomolec lejtnant Konnow, dowódca dział pancernego, wysunął się ze swym działem naprzód, niszcząc po drodze dwie armaty nieprzyjacielskie. Agitator, młodszy sierżant Kuprianow, krzyknął natychmiast do obsługi sąsiedniego działu: „Podaj dalej: równaj na działu komsomolca Konnowa“. Te słowa obleciały wszystkie jednostki. Dział Konnowa dotarło już do wsi, leżącej pod Berlinem, gdy trafił je pocisk nieprzyjacielski. Bohaterski dowódca Konnow zginął również. Jego brat, komsomolski organizator baterii, powiedział: „Pomszczę śmierć brata!!“. I z pistoletem maszynowym w rękę poszedł na czoło grupy szturmowej. Agitator fizylier Pawłow krzyknął: „Podaj dalej: komsomolec Konnow zabity, otwierajcie rachunek zemsty za jego życie. Naprzód!“. Wezwanie agitatora popłynęło od jednego fizyliera do drugiego, od jednego działu pancernego do drugiego. Wojsko runęło z taką furją, że Niemcy uciekli, pozostawiając we wsi cztery nieuszkodzone armaty. Natychmiast po zdobyciu wsi wydano ulotki o bohaterach zakończonej przed chwilą walki. Żołnierze, którzy się w niej wyróżnili, otrzymali od dowództwa karty z wyrazami uznania.

Koło wsi Tarsdorf zagroził czołgom drogę kanał, łączący dwa jeziora. Most na kanale stał, ale hitlerowcy przygotowywali się do wysadzenia go w powietrze. Sześciu saperów z członkiem partii, lejtnantem gwardii Bielajewem, na czele postanowiło uratować most. Dotarli do niego podczas przygotowania artyleryjskiego, posuwając się za wałem ogniowym. Korzystając z tego, że osłona mostu ukryła się przed naszym ogniem w rowie ciągłym, odważni saperzy rozminowali most, wytłukli granatami około dziesięciu Niemców z osłony, a resztę zabrali do niewoli.

Oddziały naszej wielkiej jednostki, natchnione przykładem komunistów, niepowstrzymanie zbliżały się do Berlina, zdobywając jedną po drugiej hitlerowskie linie obronne, okrążając i blokując punkty umocnione, odpierając zażarte przeciwdzierzenia na skrzydła.

Pierwsza noc w powietrzu

(Ze wspomnień lotnika)

Minęła pierwsza noc natarcia. Cóż to była za noc! Po takiej nocy patrzy się na ludzi i myśli się: czego mają więcej — siły, doświadczenia, pewności siebie czy męstwa? Wszyscy są dumni, że latają w warunkach, o których nie ma mowy w żadnych przepisach albo wskazówkach dla lotnika — i loty odbywają się pomyślnie. Weźmy na przykład naszego „Wanieczkę“, jak nazywamy lejtnanta Iwana Orłowa. Ma czerwone oczy, bo wiatr mu je wysmagał. Latał i myślał tylko, tak samo jak my wszyscy, aby się nie zderzyć z towarzyszem w tej przeklętej mgle. Zdjął okulary, żeby lepiej widzieć. Deszcz, który zamienia się w śnieg, chmury na wysokości czterystu metrów — a w dole mgła — ale trzeba lecieć, trzeba lecieć za wszelką cenę. Boleśnie tną w oczy — niech to diabli, dziś jest dzień wyjątkowy, dziś zaczynamy szturm, ostatni szturm na faszystowskie Niemcy!

Kto potrafi zrozumieć grozę tego słowa „mgła“? Cóż to za głupia śmierć — rozbić się we mgle! Każdy z nas ma wielką żądzę życia. W śmiertelny bój idziemy dla życia — walczymy o swoje wolne życie. Tak, być może, że i ja, i wielu mych towarzyszy nie wróci z ostatniego szturmu, zginiemy — ale za to ci, którzy dziś jeszcze nie rozumieją słowa „wojna“ — dzieci moich towarzyszy, przyjaciół, krewnych — będą mogły żyć spokojnie. Niech wiedzą, że jeżeli ojcowie ich szli na śmierć, to nie dlatego, żeby lekceważyli życie, nie czynili tego z lekkim sercem. Życie! Życie! Warto umrzeć za ciebie!

Tej nocy i ja pracowałem z nawigatorem, młodszym lejtnantem Miagkich.

Gorące słowo bolszewickie i osobisty przykład stanowiły niezwyciężoną siłę, która potrafiła złamać każdą przeszkodę, tworzyła cuda.

Komsomolec lejtnant Konnow, dowódca dział pancernego, wysunął się ze swym działem naprzód, niszcząc po drodze dwie armaty nieprzyjacielskie. Agitator, młodszy sierżant Kuprianow, krzyknął natychmiast do obsługi sąsiedniego dział: „Podaj dalej: równaj na dział komsomolca Konnowa“. Te słowa obleciały wszystkie jednostki. Dział Konnowa dotarło już do wsi, leżącej pod Berlinem, gdy trafił je pocisk nieprzyjacielski. Bohaterski dowódca Konnow zginął również. Jego brat, komsomolski organizator baterii, powiedział: „Pomszczę śmierć brata!!“. I z pistoletem maszynowym w ręku poszedł na czoło grupy szturmowej. Agitator fizylier Pawłow krzyknął: „Podaj dalej: komsomolec Konnow zabity, otwierajcie rachunek zemsty za jego życie. Naprzód!“. Wezwanie agitatora popłynęło od jednego fizyliera do drugiego, od jednego dział pancernego do drugiego. Wojsko runęło z taką furją, że Niemcy uciekli, pozostawiając we wsi cztery nieuszkodzone armaty. Natychmiast po zdobyciu wsi wydano ulotki o bohaterach zakończonej przed chwilą walki. Żołnierze, którzy się w niej wyróżnili, otrzymali od dowództwa karty z wyrazami uznania.

Koło wsi Tarsdorf zagroził czołgom drogę kanał, łączący dwa jeziora. Most na kanale stał, ale hitlerowcy przygotowywali się do wysadzenia go w powietrze. Sześciu saperów z członkiem partii, lejtnantem gwardii Bielajewem, na czele postanowiło uratować most. Dotarli do niego podczas przygotowania artyleryjskiego, posuwając się za wałem ogniowym. Korzystając z tego, że osłona mostu ukryła się przed naszym ogniem w rowie ciągłym, odważni saperzy rozminowali most, wytłukli granatami około dziesięciu Niemców z osłony, a resztę zabrali do niewoli.

Oddziały naszej wielkiej jednostki, natchnione przykładem komunistów, niepowstrzymanie zbliżały się do Berlina, zdobywając jedną po drugiej hitlerowskie linie obronne, okrążając i blokując punkty umocnione, odpierając zażarte przeciwdzierzenia na skrzydła.

I. DUSZKA
STARSZY LEJTNANT

Pierwsza noc w powietrzu

(Ze wspomnień lotnika)

Minęła pierwsza noc natarcia. Cóż to była za noc! Po takiej nocy patrzy się na ludzi i myśli się: czego mają więcej — siły, doświadczenia, pewności siebie czy męstwa? Wszyscy są dumni, że latają w warunkach, o których nie ma mowy w żadnych przepisach albo wskazówkach dla lotnika — i loty odbywają się pomyślnie. Weźmy na przykład naszego „Wanieczkę“, jak nazywamy lejtanta Iwana Orłowa. Ma czerwone oczy, bo wiatr mu je wysmażał. Latał i myślał tylko, tak samo jak my wszyscy, aby się nie zderzyć z towarzyszem w tej przeklętej mgle. Zdjął okulary, żeby lepiej widzieć. Deszcz, który zamienia się w śnieg, chmury na wysokości czterystu metrów — a w dole mgła — ale trzeba lecieć, trzeba lecieć za wszelką cenę. Boleśnie tnie w oczy — niech to diabli, dziś jest dzień wyjątkowy, dziś zaczynamy szturm, ostatni szturm na faszystowskie Niemcy!

Kto potrafi zrozumieć grozę tego słowa „mgła“? Cóż to za głupia śmierć — rozbić się we mgle! Każdy z nas ma wielką żądzę życia. W śmiertelny bój idziemy dla życia — walczymy o swoje wolne życie. Tak, być może, że i ja, i wielu mych towarzyszy nie wróci z ostatniego szturmu, zginiemy — ale za to ci, którzy dziś jeszcze nie rozumieją słowa „wojna“ — dzieci moich towarzyszy, przyjaciół, krewnych — będą mogli żyć spokojnie. Niech wiedzą, że jeżeli ojcowie ich szli na śmierć, to nie dlatego, żeby lekceważyli życie, nie czynili tego z lekkim sercem. Życie! Życie! Warto umrzeć za ciebie!

Tej nocy i ja pracowałem z nawigatorem, młodszym lejtantem Miagkich.

Dowódca powiedział:

— Macie za zadanie sfotografować Kottbus. Cztery loty, pierwszy z bombardowaniem — obejrzyjcie cel.

Tak też zrobiliśmy. Pierwszy lot wykonaliśmy prawie za dnia.

Obejrzelśmy dokładnie cel, wybraliśmy najlepsze podejście do robienia zdjęć, zrzuciliśmy bomby i wróciliśmy do domu. Przygotowaliśmy się do fotografowania. Ostatnie załogi meldowały, że pogoda się pogarsza. Skomunikowaliśmy się ze stacją meteorologiczną. Odpowiedź brzmiała: za dwie do trzech godzin należy spodziewać się mgły. Trzeba się śpieszyć: „Oglądaj się na boga meteorologii, ale licz tylko na siebie“ — jak u nas mówiono.

Wylecieliśmy. Nie zataczając koła biorę kurs na wielkie jezioro, leżące w odległości dziesięciu kilometrów od celu. Ogień artyleryjski za linią frontu ucichł, natomiast zwiększyła się liczba pożarów. Przed nami miasto Forst. Stoi całe w płomieniach.



Z prawej strony przeleciało kilka serii z „erlikonu“*. Miagkich powiedział:

— Słuchaj, Wania. temu faszyście widocznie sprzykrzyło się życie, trzeba mu pomóc.

Zrozumiałem od razu, co ma na myśli, i zdecydowałem, że jeżeli taki małowówny człowiek jak Miagkich wypowiedział się, to już na pewno nie odstąpi od swego zamiaru.

Gdy dolatywaliśmy do celu, zboczyliśmy na północ-zachód, żeby przeczekać bombardowanie. Mimo zrzucanych rakiet oświetlających, widoczność miasta była słaba — dym poza-

* 20 mm działko przeciwlotnicze (przyp. tłumacza).

rów zasnuwał całe dzielnice. W południowej części miasta pracowało kilka „erlikonów“. Załogi bratniego pułku uspokoiły je szybko, puszczając serię z czterech półsetek.

Usłyszałem głos swego nawigatora:

— Bojowy 155.

Trzymam samolot ściśle na kursie. Zdaję sobie doskonale sprawę, że wszystko wymaga tylko minuty czasu. Ale ta minuta jest znacznie trudniejsza niż cała godzina lotu.

Zadanie wykonaliśmy. Lecimy z powrotem. Znow słyszę głos nawigatora:

— Zejdź na wysokość sześciuset metrów.

Rozumiem, o co chodzi: Miagkich chce pomóc faszystie, któremu sprzykrzyło się życie. Ha, cóż, słusznie, trzeba pomóc.

Wypuściliśmy cztery magazynki. Nie podejmuję się sądzić o wynikach, ale faszysta już więcej nie strzelał, przestał nas „straszyć“.

Nie zdążyliśmy wysiąść z kabiny, gdy podbiegł puszkarz, sierżant Klimienko, i zapytał:

— Ile potrzebujecie SAB-15?

— Bo co?

— Lecicie na rozpoznanie.

— Dobrze. Sześć sztuk. Sierżancie Mazur, zbiornik do pełna!

Wstępuję na stanowisko dowodzenia. Szef sztabu wyznacza zadanie:

— Ustalić kierunek wojsk nieprzyjacielskich na linii Kottbus-Lubben-Luckau-Finsterwalde-Hogerswerde. Czas lotu — trzy godziny dwadzieścia minut.

Polecieliśmy. Pogoda się popsowała. Lekkie pasma oparów, zgęszczając się powoli, zamieniały się w zwartą mgłę. Zadał słaby wiatr zachodni, dym z płonących lasów pociągnął na wschód. Samolot lekko wzniósł się w górę. Z wysokości trzystu metrów zarysy lasów były już trudne do oznaczenia. Na wysokości 700 metrów ziemia zniknęła z oczu w gęstej osłonie z mgły. Nad nami świeci księżyc, kłębią się wysokie, pierzaste chmury, a w dole widać tylko srebrzysty, czarodziejski ocean; tylko przebłyski pożarów i smugi czarnego dymu, przebijającego się miejscami przez mgłę, mówiły, że tam jest ziemia, na której toczy się śmiertelny bój.

Co będzie, jeżeli tam, za Szprewą, taka sama pogoda? Ale nie, minęliśmy Kottbus, Lubben, Luckau i pogoda się poprawiła. Słyszę głos nawigatora:

— Bierz kurs!

Myślę sobie, po co? Ja jestem dowódcą załogi. Ale nie należy nigdy przeszkadzać nawigatorowi podczas lotu rozpoznawczego. Nie zadawałem żadnych pytań.

— Trzymaj się autostrady.

Wszystko się wyjaśniło.

Nawigator postanowił zbadać liczbę wozów i kierunek ruchu na berlińskiej autostradzie. No tak: wojska hitlerowskie nie cofają się w kierunku zachodnim, ku Łabie, ale na północ, w stronę Berlina. Wystarczyło pięć minut, aby to stwierdzić.

Lecimy na południe, potem na południo-wschód, na północo-wschód. O co chodzi? Jesteśmy daleko za pierwszą linią, a w miastach pod nami toczą się walki. Odgaduję, że nasze czołgi weszły w wyłom i posuwają się na Berlin.

Gdy mineliśmy miasto Spremberg i skierowaliśmy się do domu, uderzyło mnie nagle, że nie widać pożarów. Było ich tyle — i raptem zniknęły. Zrozumiałe — gęsta mgła. Znaleźliśmy jednak miasto Forst. Szalał w nim taki pożar, że żadna mgła nie była w stanie go zasłonić. Zniżyłem lot do trzystu metrów. Samolot zaczął się kołysać, uderzyły weń fale gorącego powietrza, ziemi nie widać. Prowadzę samolot za pomocą przyrządów, traktując górną warstwę mgły jako horyzont ziemny.

Nie widać sygnałowego reflektora. Rzucamy raketę „swój“, potem czerwoną — nie ma odpowiedzi. Czyżbyśmy się pomylili w obliczeniach? Zawracamy w kierunku łuny Forstu. Nawigator sprawdza obliczenia — wszystko zgadza się. Znowu zawracamy w stronę lotniska. Znowu rzucamy rakietę. I wciąż nie dostajemy zezwolenia na lądowanie. Okazało się później, że znajdowaliśmy się w odległości dwóch kilometrów od lotniska, nasze rakiety widziano na startowym polu, ale lądowanie było zabronione. Nasze lotnisko znajdowało się wśród lasów, w kotlinie, i lądowanie we mgle groziło katastrofą.

Usiłuję dojrzeć ziemię, opuszczam się do stu metrów — ziemi nie widać. Wzbijam się w górę, spoglądam na benzynomierz — paliwa mamy jeszcze na godzinę lotu. Orientując się na podstawie czasu lotu, kierujemy się do rejonu latarni lotniskowych. Nie widać ich. Zataczam koło. Benzyny wystarczy jeszcze na trzydzieści minut. A jeżeli trzeba będzie skakać? Dobrze jeszcze, jeżeli do lasu, ale jeżeli na przewody wysokiego napięcia, które oplątują całe Niemcy? Słyszę głos nawigatora:

— Na lewo biała plama. Latarnia.

Kieruję się na tę plamę. Obok jest lotnisko sąsiadujące z nami pułku. Za pomocą raket proszę o zezwolenie na lądowanie i wypatruję. Ledwo dostrzegalny punkcik — włączono czerwone światło zamiast białego. Zachodzę od strony latarni, przechodzę do planowania i przygotowuję się do lądowania przy użyciu przyrządów: wysokość sto metrów, 50, 30 — dalej nie można już wierzyć przyrządom. Spoglądam na wysokościomierz. Dojrzałem znak lądowania. Wygląda, że jest daleko. Nie wierz oczom: we mgle ziemia zdaje się być daleko, gdy znajduje się tuż obok.

W. BIEŁOUSOW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
PUŁKOWNIK GWARDII

Nad polem walki

Nad ranem, gdy widzialność poprawiła się cokolwiek, pięć grup „Iljuszynów“ wystartowało z lotniska jedna za drugą. Na czele grup stali mistrzowie uderzeń szturmowych, kapitanowie Bondarienko, Kiriłow, Skorik, Gridin, lejtnant Kowalenko. W owym czasie nieprzyjaciel, zepchnięty ze swoich linii obronnych, wyciągał się w kolumny na drogach do Berlina. Zadanie lotnictwa szturmowego polegało na tym, aby powstrzymać cofanie się wojsk nieprzyjacielskich, nie pozwolić im na oderwanie się od naszych czołgów.

O godzinie 9,30 nad główną radiostacją naprowadzenia zjawia się pierwsza szóstka „Iljuszynów“.

Prowadzący grupę zapytuje przez radio:

— Proszę o cel. Proszę o cel. Tu — Bondarienko.

Podpułkownik Szewczenko rozkazuje:

— Nacierajcie na kolumny na drodze Guzow-Wulkow.

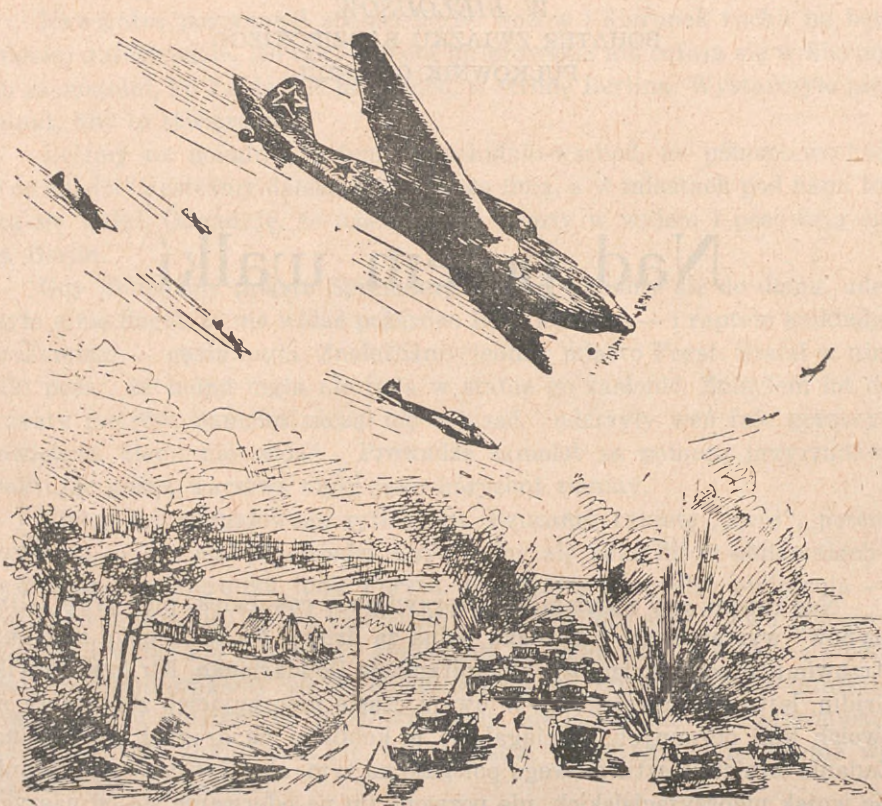
Rozkaz powtarza się kilkakrotnie.

— Zrozumiałem — odpowiada Bondarienko.

Pięć grup szturmowców uderza na wskazany cel.

Przez cały dzień, aż do zmroku wciąż nowe i nowe grupy „Iljuszynów“ wylatują na pole walki. Palą czołgi i samochody, wpędzają do lasu nieprzyjacielską piechotę. Nasze czołgi i zmotoryzowana piechota wykańcza do reszty dzieło lotników.

Dowództwo hitlerowskie dla ratowania sytuacji zaczęło w ciągu nocy podrzucać posiłki z rejonu Berlina i z samego miasta. Rankiem Niemcy w wielu miejscach na odcinku korpusu przeszli do przeciwuderzeń przy pomocy czołgów i piechoty. Jeden z naszych oddziałów czołgów przy prze-



prawie przez przeszkodę wodną był zatrzymany przez silny ogień artylerii i moździerzy.

— Dajcie tam szturmowce — zażądał dowódca korpusu.

W tym właśnie czasie nad polem walki ukazały się trzy szóstki „Iljuzynów“ prowadzone przez Bohatera Związku Radzieckiego, majora gwardii Chochłaczowa. Leciwały one zwalczać inne obiekty.

— Zmienić cel — rozkazał generał czołgistów.

— Synku, synku — popłynęło po falach eteru — czy słyszysz mnie? — i generał-lotnik, znajdujący się przy radiostacji, wymienił swoje nazwisko.

— Słyszę, ojezulku — odpowiedział po chwili Chochłaczow.

— Kropnij w artylerię i moździerze w lesie, na południe od punktu B.

— Zrozumiałem — zameldował Chochłaczow.

Po nalocie szturmowców na hitlerowskie stanowiska ogniowe artylerii i moździerzy czołgiści przeprowadzili się przez przeszkodę wodną bez strat.

Pozostałe radiostacje naprowadzenia miały tego dnia również wiele do roboty. Dyżurujący przy radiostacjach kapitan Mitin, starsi lejtanci Aleksandrow i Sjelezniov zakomunikowali podpułkownikowi Szewczenko o silnym ogniu artylerii i moździerzy nieprzyjaciela zagrażającym drogę czołgom. Czołgiści zewsząd domagali się pomocy samolotów szturmowych.

O 11,30 Szewczenko wysłał z punktu obserwacyjnego do wielkiej jednostki telegram następującej treści: „Wysyłajcie grupy „Ilów“ obliczone na bezustanne oddziaływanie na nieprzyjaciela w kwadratach... Pogoda doskonała, działać energicznie“.

Po upływie dwudziestu minut zjawily się „Iljuszyny“.

— Chodźcie, chodźcie, braciszkanie — powitali radośnie czołgiści swych bojowych przyjaciół.

Szturmowce leciały grupami, zagłuszając rykiem swych silników kanonadę artyleryjską. Grupa Leusjenki, grupa Rieszotniaka, grupa Łukianowa... Za nimi grupa Bondarienki, Gridina, Kondaurowa i innych. Setki samolotów raz po raz uderzały na wroga z powietrza. Naloty szturmowców trwały około dwóch godzin, po czym czołgi runęły naprzód.

Im dalej posuwały się nasze wojska, tym silniejszy stawał się opór wroga. Na gęsto zaludnionych przedmieściach Berlina hitlerowcy bronili się z szaleńczym uporem. Olbrzymia koncentracja wojsk i różnego rodzaju sprzętu posuwającego się na Berlin coraz bardziej utrudniała działalność szturmowców. W tych warunkach rola radiostacji naprowadzenia stawała się dosłownie nieoceniona.

Na odcinku Klasseldorf - Ilau czołówki jednego oddziału czołgów napotkały duże skupienie faszystowskich czołgów i samochodów. Czołgiści zakomunikowali o tym podpułkownikowi Szewczenko, ten zaś wysłał parę zwiadowców. Druga para zwiadowców potwierdziła dane dostarczone przez pierwszych zwiadowców z tego odcinka. Sytuacja była całkowicie wyjaśniona. Po kilku minutach kapitan Bondarienko przyprowadził dwadzieścia dwie załogi i naprowadzony dokładnie nad cel z ziemi przy pomocy tych załóg zniszczył kilka czołgów i kilkadziesiąt samochodów. Focke-Wulfy, które przyleciały nad pole walki, nie były w stanie przeszkodzić naszym szturmowcom nadlatywać nad cel po siedem razy.

Czołgi płynęły jak żelazny potok, wciąż naprzód, w kierunku Berlina, druzgocąc żywe siły i sprzęt techniczny wroga. Osiedle podmiejskie Friedrichsfelde. Przejazd kolejowy. Przed przejazdem most, wysadzony w powietrze. Podpułkownik Szewczenko z radiostacją dotarł do tego osiedla. Obok niego wybuchł pocisk, radiostacja przestała działać, radiotelegrafista został zraniony. Ale podpułkownik miał przy sobie drugą, zapasową radiostację. Po moście, zreperowanym dla ruchu kołowego, obsługa radiostacji dotarła prawie do samej stacji kolejowej. Nad stacją krążyła już para zwiadowców-szturmowców. Nawiązanie łączności z prowadzącym było sprawą jednej chwili. Lejtnant Rieszotniak zameldował, że widzi na torach ponad dwadzieścia pięć załadowanych pociągów.

Po upływie dwudziestu minut kapitan Leusjenko przyleciał nad ten cel z szóstką „Iljuszynów“. Zaraz po nim nadleciały grupy Kiriłowa, Łukianowa, Rieszotniaka. Siedem grup „Iljuszynów“ zniszczyło tory, wiodące ze stacji, wywołało kilka potężnych wybuchów i ponad dziesięć ognisk po-

zaru. Pociągi zostały zagwożdżone i zdobyli je czołgiści, którzy wdarli się na stację.

Jeszcze jeden skok naprzód i nasze czołgi zatrzymały się na odcinku potężnych umocnień Dworca Szczecińskiego. W półkolu podjazdu do dworca rozgorzała walka ogniowa artylerii i czołgów. To zatrzymanie groziło zwolnieniem tempa natarcia. Wówczas nadleciały szturmowce.

W czasie gdy przednie oddziały czołgów wymacały dopiero obronę Dworca Szczecińskiego, trzy pary szturmowców dokonywały już rozpoznania lotniczego. Faszyci przywitani zwiadowców potężnym ogniem artylerii przeciwlotniczej. W samolocie prowadzącego pierwszą parę lejtanta Łukianowa uszkodzono silnik i Łukianow ze swym towarzyszem wrócili do bazy. Ale dwie pozostałe pary, z lejtantami Własowem i Kindinowem na czele, zrobiły, co do nich należało: udało im się nie tylko dostarczyć cennych wiadomości uzyskanych przez wzrokową obserwację, ale nawet sfotografować cały odcinek, przylegający do Dworca Szczecińskiego.

W ciągu następnych dwóch godzin, w czasie gdy czołgi przeprowadzały koncentrację przed natarciem, dziewięć grup szturmowców bombardowało pociągi na dworcu szczecińskim. Podpułkownik Turowski, kapitanowie Gridin, Kondaurow, Bondarienko, starszy lejtant Kowalenko, lejtanci Rieszotniak i Łukianow nadlecieli na czele swoich orłów. Gdy czołgi ruszyły do natarcia, wróg był już zdruzgotany przez uderzenie z powietrza. Czołgi posuwały się od Dworca Szczecińskiego w kierunku zachodnim, wzdłuż północnej granicy miasta, po czym skręciły nagle na południe, zamykając w stalowej pułapce załogę hitlerowską, siedzącą w śródmieściu Berlina.



A. OWIECZKIN
KAPITAN

W chmurach nad Szprewą

Samoloty wylaniały się z ukrycia jeden za drugim. Kołysząc się z boku na bok, strząsały jak kaczki wielkie krople deszczu ze swych skrzydeł.

Ostatnie przygotowania były ukończone. Technicy uzbrojenia sprawdzają zawieszenie bomb. Mechanicy przecierają silniki i spoglądają co chwila w górę, czy nie błysnie gwiazdka na ciemniejącym niebie. Jeden z mechaników w świetle latarki elektrycznej kaligrafuje kredą na powierzchni bomby: „dla Hitlera“. Na sąsiedniej bombie jest już gotowy napis: „dla Goeringa“.

Zainteresowany pracą mechanika zapytałem:

— A która dla Goebbelsa?

— A ta mniejsza — odpowiedział mechanik, wskazując pięćdziesięciokilogramówkę. I dodał: — Dla niego starczy.

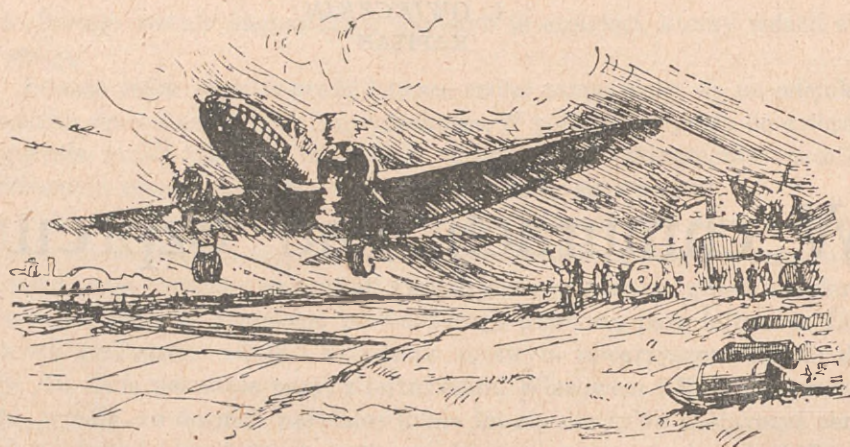
W ziemiance panowała cisza. Wszyscy spoglądali na aparat telefoniczny i czekali na rozkaz odlotu. Potem rozpoczęły się rozmowy, które szybko zamieniły się w zażarty spór na temat terminu upadku Berlina i co za tym idzie — zakończenia wojny.

Ostry dźwięk dzwonka przerwał dyskusję. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu.

Nadszedł rozkaz. Serce każdego lotnika drży z niepokoju: „czy aby nie zapomniano o mnie?“.

— Dowódcy eskadr mają puścić w powietrze silne i doświadczone załogi. Cel — Berlin. Odlot — natychmiast! — rozkazał krótko dowódca.

Padał drobny deszcz. Reflektor sygnałowy w równych odstępach czasu rozbłyskiwał błękitnawym światłem i obracając się wolno, opisywał koło na mętnych chmurach. Z rzadka to tu, to tam ukazywały się różno-



barwne światelka na skrzydłach samolotów, a koło rur wydechowych migotały błękitne płomyki.

Mocno obciążone samoloty startowały jeden za drugim w ciemność dżdżystej nocy i światła ich znikwały na zachodzie. Podeszło do mnie dwóch lotników: Mylnikow i Drapak.

— O co chodzi?

— Czy pozwolicie nam lecieć na Berlin?

— Widzicie, jaka pogoda? — zapytałem.

— To nic! Damy sobie radę! — odpowiedzieli.

Musiałem im uwierzyć. Zezwoliłem. Nie zdążyłem jeszcze powiedzieć: „Lećcie wykonać zadanie“, gdy lotników już koło mnie nie było. Z ciemności, w której się roztopili, usłyszałem tylko okrzyk: „...jest, wykonać!“.

— To dopiero ludzie! — pomyślałem śledząc wzrokiem wznoszące się w powietrze światelka.

Wyleciałem sam po wyprawieniu ostatniego samolotu.

Zanim doleciałem do Odry, wzbiłem się na wysokość 500 metrów i od razu utknąłem w chmurach. Do Berlina było daleko i leciałem poniżej chmur, które coraz bardziej przyciskały mnie do ziemi. Z lewej strony samolotu płonął Frankfurt jak ogromne ognisko. Jaskrawe języki groźnych płomieni wznosiły się wysoko w górę, zabarwiając chmury na barwę brudnoliliwą.

Pożary ciągnęły się wzdłuż całej trasy lotu. Niektóre już przygasały. Wpatrywałem się w ciemności na zachodzie, w nadziei, że zobaczę pożar Berlina, ale na razie widziałem tylko świetlne punkty.

Ukazał się księżyc i wszystko stało się bliższe i żywsze. Zacząłem nabierać wysokości.

Coraz częściej zjawiały się pod nami małe obłoczki.

— Berlin będzie za piętnaście minut — zameldował nawigator, starszy lejtnant Rappaport.

Dostrzegaliśmy wyraźnie przed nami rakiety, wybuchające w powietrzu i rozsypujące się na pięć różnobarwnych gwiazdek. Były to sygnały nieprzyjacielskich myśliwców, patrolujących w powietrzu. Zaczęliśmy bardzo uważnie obserwować przestrzeń.

Białe baranki obłoków, oświetlone przez księżyc, prawie zupełnie zasłaniały ziemię przed naszymi oczami. Utrudniało to bardzo orientację. Baliśmy się, że nad Berlinem mogą być również chmury, co mogło spowodować omyłkę przy bombardowaniu. Mogliśmy trafić w nasze wojska, które znajdowały się już na przedmieściach.

Na lewo od nas przeszył niebo snop iskier lecących z serii świetlnych pocisków i ujrzeliśmy przez chwilę na tle oświetlonych obłoków mknący błyskawicznie „Po-2“. Za nim, niżej niż my, przeleciał myśliwiec „Me-110“. „Po-2“ w mgnieniu oka dał nurka w chmury i zniknął. „To był zręczny manewr“ — pomyślałem.

Sądząc po czasie powinniśmy już znajdować się nad przedmieściami Berlina, ale nie widzieliśmy nic prócz kłębiastych warstw płynących pod nami obłoków. Wreszcie w wąskiej jak okno przerwie w chmurach ujrzeliśmy pod sobą stalowy odbłask jeziora, otoczonego kłębem wijących się jak żmije dopływów.

— Szprewa pod nami — zameldował nawigator.

Chmury znów, jak na złość, zasłoniły szczelnie ziemię.

Pod samolotem zabłysła biała plama reflektora i wolno popęzła po obłokach. Drgnąłem mimo woli. Działa przeciwlotnicze milczały. Obok pierwszej białej plamy zjawiła się druga, potem trzecia, czwarta i wiele innych. Reflektory sunęły po chmurach, jak macki pragnąc przyssać się do naszego samolotu. Na razie jednak byliśmy dla nich nieosiągalni.

Z dołu nie można nas było dostrzec, za to z góry byliśmy widoczni jak na dłoni. Nieprzyjaciel skorzystał z tego niezwłocznie. Z lewej strony przeleciała smuga pocisków świetlnych. Nie podobna było odgadnąć, do kogo strzelają, ale druga seria zagwizdała nam dokładnie nad głowami.

— To do nas — powiedział Rappaport.

— Widzę — odpowiedziałem.

Nie uśmiechała nam się perspektywa strącenia nas nad samym środkiem Berlina. Dałem nurka w chmury.

Warstwa chmur była cienka i gdy tylko przebiliśmy się przez nią, ujrzeliśmy pod sobą panoramę Berlina. Nigdy tego nie zapomnę.

Olbrzymia przestrzeń gigantycznego miasta była zasnuta dymem, który szerokim, grubym słupem pełzył wolno na północo-wschód. Gorzki swąd docierał do wysokości dziewięciuset metrów drażniąc oczy i gardło. Pożary wewnątrz budynków były doskonale widoczne. Niezliczone macki jasnoszarych dróg, słabo oświetlonych księżycowym światłem, rozbiegały się wąziutkimi pasemkami na zachód i na południe i ginęły daleko na horyzoncie.

Miasto wyglądało jak wymarłe. Ale oczy nocnych lotników potrafią dostrzec życie na ziemi, nawet gdy ukrywają je ciemności nocy. Zdawali sobie sprawę, że w Berlinie panuje zamęt.

Mimo że studiowaliśmy dokładnie plan Berlina, nie mogliśmy się teraz zorientować, gdzie co leży. Mieliśmy rozkaz bombardowania śródmieścia. Wznieśliśmy się w górę Szprewy. Próbowaliśmy starannie wypatrzeć Reichstag. Ale nie dojrzeliliśmy go.

— Zaczynam bombardować — powiedział nawigator.

Poczułem, że bomby, jedna za drugą, poleciały w dół. Odciążony samolot zakolysał się w powietrzu.

Po wybuchu naszych bomb samotna seria z karabinu maszynowego wzbila się wolno ku nam barwną smugą, jakby namyślając się, czy nas zabić, czy nie. I znów wszystko ucichło. Przechyliłem samolot i patrzyłem na to płonące miasto. Żrący, chydny dym wznosił się z pogorzelniska i wypełniał kabinę samolotu wywołując mdłości i zawrót głowy.

Zawróciłem ostro i Berlin zaczął powoli pozostawać w tyle. W tej samej chwili otworzyła ogień nasza ciężka artyleria.

Księżyc nie był już w stanie przebić się przez warstwę chmur. Po daszku kabiny zabębniły grube krople deszczu. Zrobiło się zupełnie ciemno.

Pogoda pogarszała się z każdą chwilą, ale mętne blaski przedświtę rozjaśniały już na ziemi zarysy lasu, linie dróg i to ułatwiało orientację i pilotowanie.

Światła startowe zamigotały przed nami. Ostatni zwrot — i cisza z całą siłą nacisnęła bębenki uszne.

Wyskoczyłem z samolotu i zacząłem sprawdzać, czy wszyscy powrócili. Nie było Drapaka i Mylnikowa.

Już świta. „Czy to możliwe, że nie wrócą?“ — pomyślałem. „Czyżbym się omylił pozwalając im lecieć?“. Nie, wszystko w porządku. Zza mglistej chmury świtu wyłonił się samolot. To oni.

Ciężkie chmury deszczowe szczelnie zasłaniały niebo, ale w naszych sercach było ciepło i jasno, jak w pogodny, piękny słoneczny dzień.

I. WŁASOW
MAJOR

Natarcie na lotnisko Neu Ruppin

Nasz pułk myśliwski wzniósł się w powietrze i wziął kurs na berlińskie lotnisko Neu Ruppin. Jedną grupę prowadził doświadczony mistrz walk powietrznych i zuchwałych napadów na lotniska nieprzyjacielskie — nawigator pułku, kapitan Tiszczenko.

Drugą grupą kierował kapitan Mielnikow, lotnik o wyjątkowej sile fizycznej i nadzwyczajnej odwadze.

Leciałem ponad tymi grupami z czwórką osłony. Trzeba było przelizgiwać się wśród chmur lub pod samymi chmurami.

Jeszcze wyżej — wśród strzępów obłoków i ponad nimi, unosiła się para sławnych myśliwych powietrznych — Bohater Związku Radzieckiego kapitan Fiodorow i lejtnant Suchorukow.

Lecieliśmy w szyku „zwartych schodów“ prawie frontalnie. Przelatując nad Berlinem rzuciłem okiem w dół. Ujrzałem błyski wybuchów i kłęby czarnego dymu.

Przed nami podłużne jezioro, znane dobrze z mapy. Na prawo — miasto. Jeszcze bardziej na prawo stałe lotnisko, otoczone podkową lasu. W północno-wschodniej części lotniska widać było około setki samolotów najróżnorodniejszych typów.

Prowadzący Tiszczenko wydał rozkaz:

— Przejść w szyk „prawe schody“ — i sam zrobił zwrot na prawo.

Lotnicy jeden za drugim rzucają się błyskawicznie w lot nurkowy. Każdy wybiera sobie cel, w który kieruje ogień.

Stwierdziwszy, że z góry nikt nie zagraża naszym myśliwcom, poprowadziłem również grupę osłaniającą do natarcia. W górze pozostała tylko para myśliwych.

Wszyscy lotnicy równocześnie natarli na lotnisko. Około stu dział i karabinów maszynowych waliło z powietrza do stojących na ziemi samolotów faszystowskich.

Dwa samoloty nieprzyjacielskie wyleciały w powietrze. Dym kłębił się nad wieloma innymi. Jeszcze dwa samoloty stanęły w płomieniach. Pożary ogarnęły wszystkie miejsca postoju, a my wciąż jeszcze raziliśmy ogniem.

— Bez hazardu! Wyprowadzać! — rozkazałem.

Po zużyciu wszystkich pocisków lotnicy wyprowadzili samoloty z lotu nurkowego dosłownie w locie koszącym, omal nie zawadzając o wierzchołki drzew. Obawiałem się nawet, że dwóch młodych lotników, podnieconych natarciem, nie zdąży wyprowadzić samolotów z lotu nurkowego. Okazało się jednak, że nawet w uniesieniu bojowym potrafili oni zachować zimną krew w stopniu niezbędnym do przeprowadzenia ścisłego obliczenia.

Gdy wychodziłem z lotu nurkowego, zauważyłem, że działa przeciwlotnicze otworzyły ogień do ogonów naszych samolotów. Była to spóźniona i bezcelowa odpowiedź.

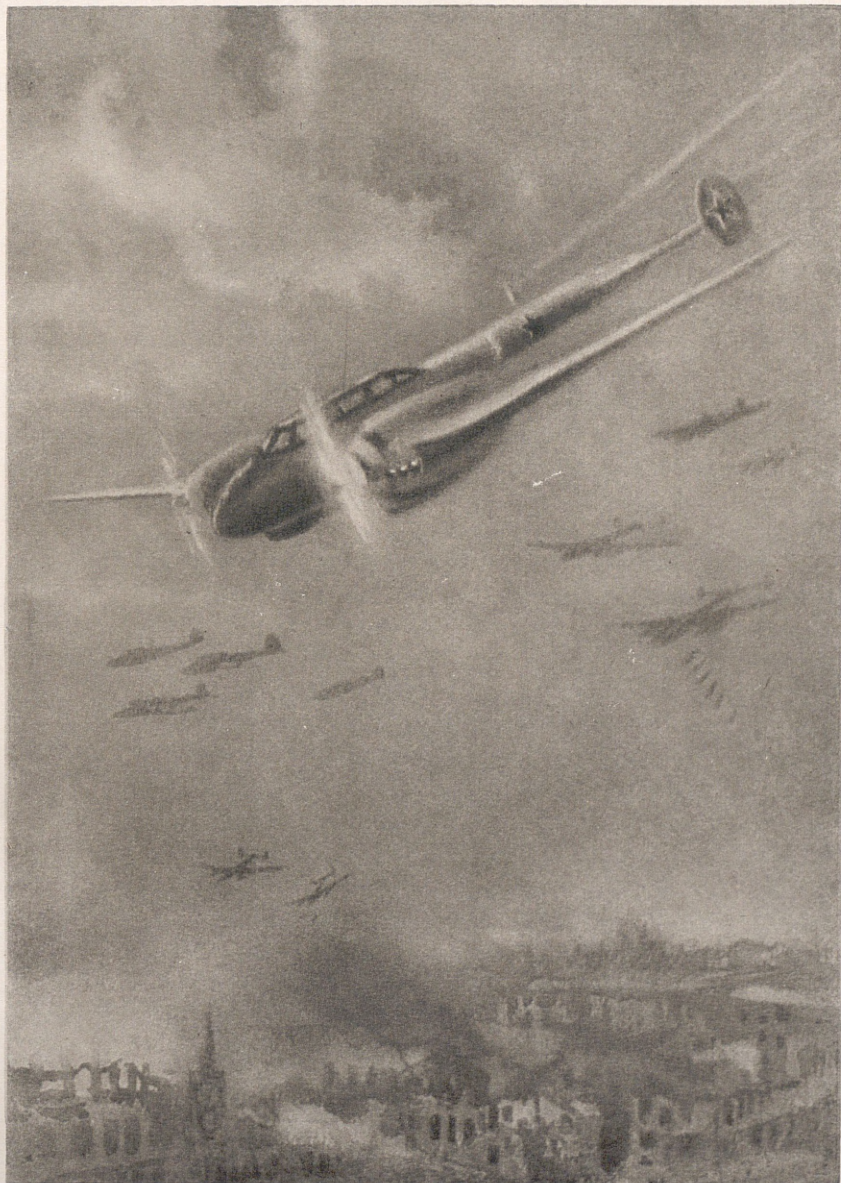
Gdy odlatywaliśmy od lotniska, nad lasem zjawił się nieprzyjacielski samolot transportowy. Nacisnąłem spust — ale działło milczało — pociski i naboje były całkowicie wyczerpane.

Rozzłościłem się i chciałem natrzeć na wroga własnym samolotem. Inni moi towarzysze, znajdujący się w takim samym jak ja położeniu — bez amunicji — zaczęli symulować natarcie. Wystraszony faszysta rzucił się z samolotem wprost w zarośla leśne.

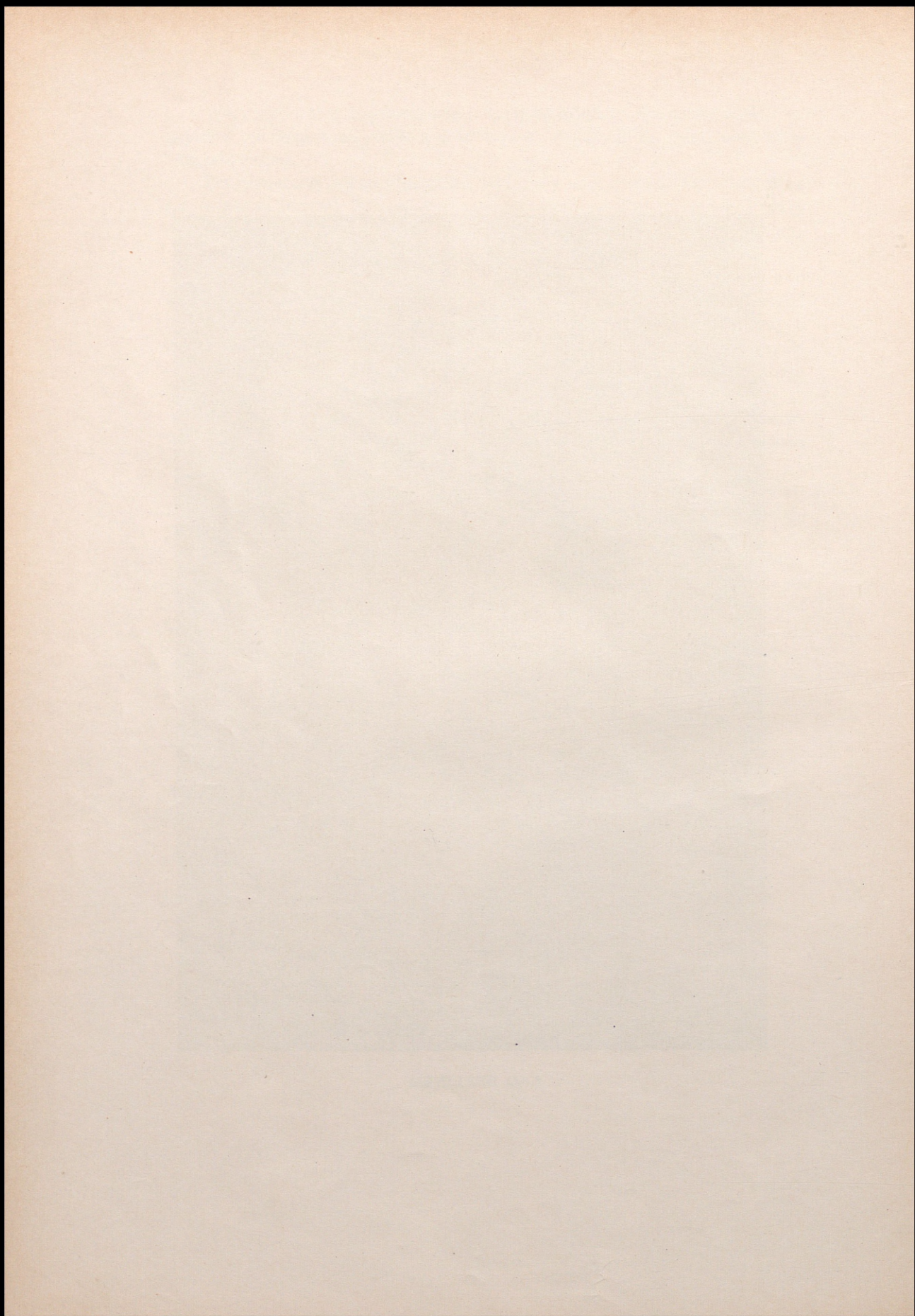
Później nie widzieliśmy Niemców w powietrzu, aż do chwili lądowania, gdy osłaniający Szczegłow zauważył w bok od naszego lotniska parę „Messerschmittów“, lawirujących pośród chmur. Piraci faszystowscy postanowili zapolować na nasze myśliwce przy lądowaniu i chociaż w ten sposób wyrzucić złość za swoje straszne klęski.

Lejtnant Szczegłow ze swoją parą przypuścił do nich natarcie czołowe. Nastąpiła krótka, ale bardzo gwałtowna walka. Postrzelony samolot niemiecki runął na ziemię, a drugi szybko ukrył się w chmurach.

Po naszym uderzeniu, z lotniska Neu Ruppın nie wzniósł się więcej ani jeden samolot nieprzyjacielski.



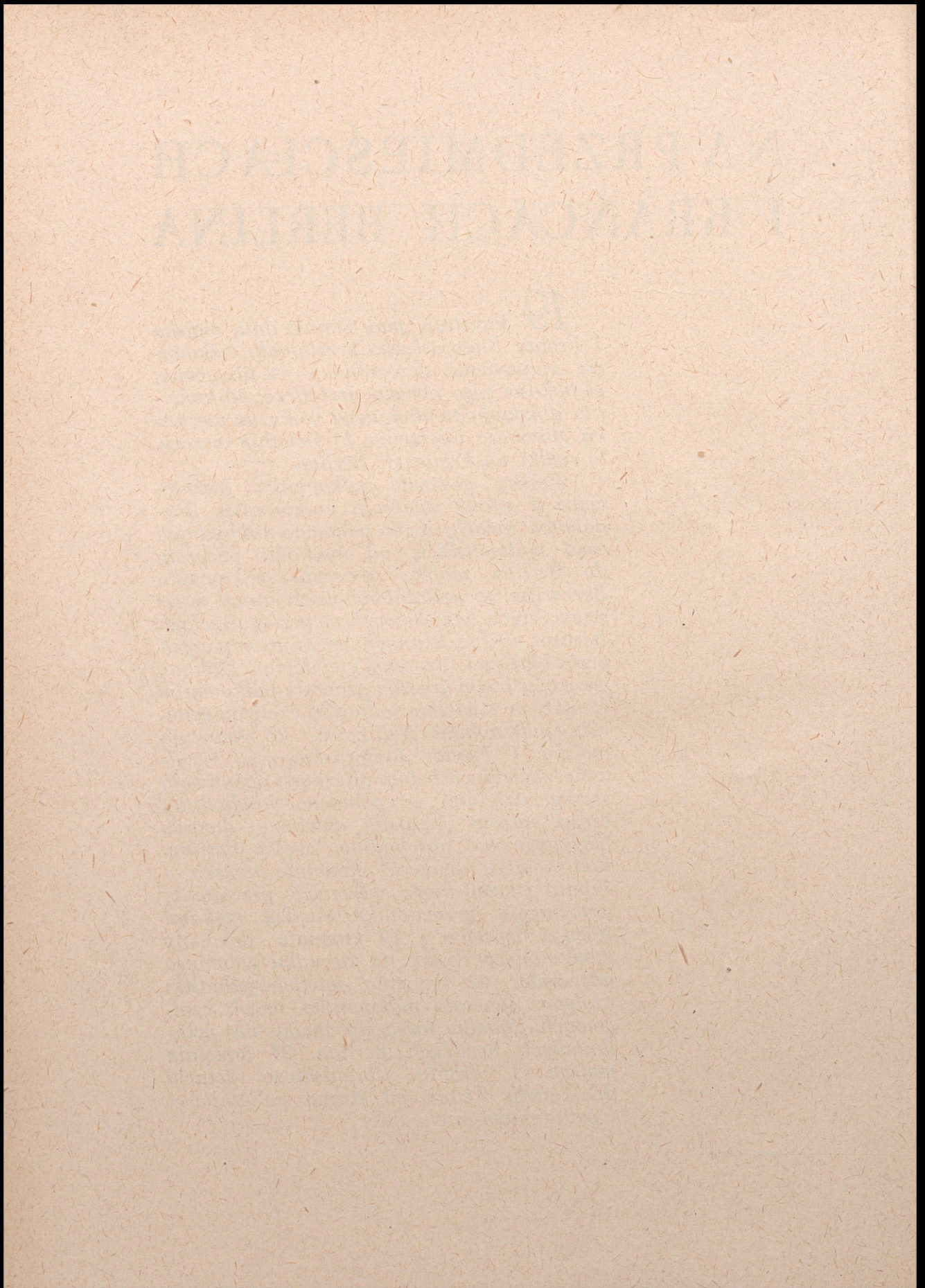
NAD BERLINEM



NA PRZEDMIEŚCIACH I KRAŃCACH BERLINA

19 kwietnia pod koniec dnia wojska 1 Frontu Białoruskiego przełamały całkowicie umocnienia przeciwnika na taktycznej głębokości jego obrony na Odrze; 20 kwietnia dokonały gwałtownego skoku na kierunku głównego uderzenia, 21 kwietnia wszczęły walki na krańcach Berlina.

Wojska generała-pułkownika Kuźniecowa i czołgi generała-pułkownika Bogdanowa wdarły się do północno-wschodnich osad podmiejskich, od wschodu podeszły do Berlina wojska generała-pułkownika Berzarina, w południowo-wschodnich miejscowościach lotniskowych na przedmieściach Berlina, wśród licznych jezior utworzonych przez bieg rzeki Szprewy i jej dopływ Dahme, wszczęły walki wojska generała-pułkownika Czujkowa i wielkie jednostki czołgów generała-pułkownika Katukowa. 25 kwietnia wojska 1 Frontu Białoruskiego w rezultacie zaciętych bojów ulicznych opanowały szereg dzielnic w północno-wschodniej części miasta i zajęły dzielnicę dworca Śląskiego we wschodniej części Berlina. Pod koniec dnia 18 kwietnia wojska 1 Frontu Ukraińskiego całkowicie przełamały umocnienia przeciwnika między rzekami Nysą i Szprewą i 19 kwietnia dokonały gwałtownego skoku na kierunku głównego uderzenia. 22 kwietnia wielkie jednostki czołgów generała-pułkownika wojsk czołgowych Rybalko wszczęły walki na południowych krańcach Berlina. 23 kwietnia wojska 1 Frontu Ukraińskiego dotarły do kanału Telton od strony południowej i południowo-wschodniej.



Z pamiętników i listów

21 kwietnia

Pochmurny dzień, deszcz mży, niewesoła pogoda, ale w duszy wesoło. O ósmej dowódca pułku podpułkownik Żerebcow dał telefonicznie rozkaz:

— Naciągnąć sznury! Za Ojczyznę! Za Stalina! Na stolicę wroga, na Berlin — ognia!

Bateria kapitana gwardii Skorostiańskiego strzelała z zachodniego krańca Marzann do rejonu Richtenberga. Na pociskach umieszczono napisy: „Na Berlin — za poległych przyjaciół“, „Na faszystowskie gniazdo — za cierpienia ludu!“. Do wszystkich baterii doszła ulotka:

„Pierwszy strzał na Berlin“.

Major Gwardii WORJABINSKI

22 kwietnia

Gdy nad batalionem wleciała rakieta „Do natarcia“, sierżant-komunisty Osipow podniósł czerwony proporczyk i krzyknął:

— Stalinowcy, do szturm! Na Berlin! Do zwycięstwa! Naprzód! Za mną!

Batalion wdarł się do dzielnicy Friedrichsfelde i wkrótce nad dachami domów powiewały czerwone chorągiewki.

*Bohater Związku Radzieckiego
lejtant K. USENBEKOW*

Jesteśmy w Berlinie! My, liniowcy, czekaliśmy na ten dzień przez cztery lata wojny. Nie wiedzieliśmy komu przypadnie honor i szczęście bezpośredniego udziału w szturmie na Berlin, ale każdy z nas marzył o tym. I gdy przed natarciem przeczytano nam odezwę Rady Wojennej Armii, w której zupełnie wyraźnie było powiedziane, że idziemy najkrótszą drogą na Berlin i że nasze bataliony mają pierwsze wejść w jego zachodnie przedmieścia — cóż to była za radość, co za duma! Niepokoilo nas każde najmniejsze zboczenie z drogi. Co będzie, jeżeli nas skierują na skrzydło? Ale nie, szliśmy prostą drogą i oto — dochodzimy do Dworca Śląskiego, a gdzieś tuż, tuż, niedaleko za Szprewą — Unter den Linden, Reichstag...

Kapitan gwardii A. BRONSZTEJN

Nasze moździerze stały na stanowisku ogniowym obok szosy, po której przechodziły czołgi i samochody. Hitlerowcy spostrzegli je i skierowali silny ogień na szosę.

Podczas ostrzału Maksimow, ładowniczy drugiego działonu, wyładowywał z samochodu skrzynki z amunicją. Odłamek pocisku zranił go w czoło. — Złaząc z samochodu Maksimow powiedział do towarzyszy:

— Czego się zląkłeś, Cukanow? Nic strasznego, zrób mi opatrunek.

Zaledwie Cukanow zaczął zakładać przyjacielowi opatrunek, gdy sanitariusz Jefremow był już przy rannym. Okazało się, że rana jest niebezpieczna i dowódca rozkazał odesłać Maksimowa natychmiast na punkt opatrunkowy.

Nagle dyżurny telefonista, Nikitin, przekazał komendę: „Bateria do dział”. Maksimow pobiegł do swego moździerza, sanitariusz za nim.

— Dokąd, dokąd? — krzyczał. — Rana poważna. Będzie źle.

Działonowi zameldowali już oficerowi ogniowemu, lejtnantowi Mysinowi, gotowość. Lejtnant Mysin przekazał telefonicznie: „Gotowe”. Telefonista przekazał z punktu obserwacyjnego: „Na Berlin, salwa, ognia!”.

A sanitariusz wciąż namawia Maksimowa, by poszedł z nim.

Maksimow rozgniewał się.

— Odczep się ode mnie — powiedział. — Widzisz, nawet kierowcy chcą wypuścić granat. Żaden ładowniczy nie ustąpi swych praw. Przecież cel to — Berlin!

Szeregowiec N. KONDYRIEW

Marzenie spełnione — jesteśmy w Berlinie. Na podwórzu, zasypanym potłuczoną cegłą, widziałem strzelca, wysyłającego w pośpiechu list z radosną nowiną do domu. Przyciskając kawałek papieru do ściany zburzo-

nego domu, rysował na nim dużymi literami: „Pozdrowienia z Berlina“ i nie wiedząc że wzruszenia, co więcej napisać, zwinął arkusz w trójkąt i zaadresował.

Lejtnant A. FRIAZINOW

Przez kilka godzin toczyła się na krańcu Berlina walka o fabrykę aparatów radiowych.

Gdy wyrzucono stamtąd hitlerowców, z piwnic fabryki zaczęli wychodzić ludzie. Chwyтали nas za ręce, po policzkach płynęły im łzy. To byli nasi, radzieccy ludzie; jeszcze przed kilkoma minutami śledzili oni walkę z zamierającym sercem.

Całowali i obejmowali nas.

Jakiś starzec drżącą ręką pogłaskał mój mundur.

— Ja też mam takiego syna — szepnął.

Wybiegali jeden za drugim, w łachmanach, chudzi, wynędzniali, ale ze łzami radości w oczach.

Nieprzyjaciel ostrzeliwał jeszcze podwórze, a niedawni jeńcy skupiali się w grupkach dokoła strzelców i wypytywali z ciekawością o ojczyznę.

Prosimi, by pozwolono im w jakikolwiek sposób pomóc Armii Radzieckiej. I wielu spośród nich nieustraszenie wynosiło pod ostrzałem naszych rannych i zakładało im opatrunki. Inni wskazywali miejsca, gdzie ukryli się hitlerowcy, pomagali nam znaleźć wszystko, co mogło natychmiast przydać się do walki. Dzięki ich pomocy znaleźliśmy ukryte przez faszystów samochody.

Pamiętam pewną wysoką, siwą Ukrainkę. Wychodząc z obozu na drogę, za drut kolczasty, przeżegnała się i prędko poszła, wyprzedzając innych.

Jak silnie bije serce w takich chwilach. Jak rwiesz się naprzód! Już niedługo wszyscy nasi ludzie będą wyrwani z brudnych, faszystowskich rąk, znowu będą wolni. Niech żyje towarzysz Stalin!

Szeregowiec F. CZARUPA

Pewien strzelec opowiedział nam swoją historię. Pochodzi on z miasta Jefremowa. W r. 1941 poszedł do Armii Czerwonej razem z ojcem, starszym strzelcem. Razem chodzili do szturmów i na rozpoznanie. Ojciec uczył go wojować. Pewnego dnia syn został ranny w nogę. Ojciec wyniósł go z pola walki na plecach. Gdy forsowali Dniepr, płynęli obok siebie w gumowych łódkach. Na rzece ojciec został trafiony odłamkiem granatu

moździerzowego i utonął, a syn dopłynął do brzegu i doszedł do Warszawy. W bitwie pod Warszawą znów był ranny i dogonił swój oddział przed kilkoma dniami aż pod samym Berlinem.

Opowiedział swą historię i zakończył:

— Nie ma już ojca, a chce mi się krzycheć: Ojczulku, ojczulku — jestem w Berlinie!

Szeregowiec A. KOZŁOW



A. ROMANOW
LEJTNANT

Czołgi wdzierają się na przedmieścia Berlina

Szóstego dnia bitwy za Odrą, 21 kwietnia, jak i dni poprzednich, mój pluton czołgów był na rozpoznaniu i miał zadanie zbadać przydatność do marszu wyznaczonej drogi i mostów, oraz ustalić ilość środków ogniowych nieprzyjaciela.

W okolicy miasta Buch opór wroga był bardzo słaby. Porzucone w dobrym stanie samochody i inny sprzęt techniczny świadczyły o tym, że wróg uciekał w pośpiechu, a trupy nieprzyjacielskie i rozbita artyleria na stanowiskach ogniowych dobitnie mówiły, że nasze lotnictwo szturmowe i bombardujące nieźle tu pracowało.

Pierwszy z moich czołgów swobodnie zbliżał się do wschodniego krańca miasta. Za nim posuwała się reszta oddziału. W przeciwnym kierunku wlekli się pojedynczo hitlerowscy żołnierze. Podnosząc ręce wrzeszczeli: „Hitler kaput!“.

Przedostaliśmy się do środka miasta. Wiadomość o przybyciu czołgów radzieckich obiegła dzielnicę. Z piwnic, kryjówek i schronów zaczęli wychodzić Rosjanie, Francuzi, Polacy, przemocą wywiezieni przez faszystów. Z początku ostrożnie, później coraz śmielej podchodzili do naszych czołgów z czerwonymi gwiazdami na wieżach.

— Nasi przyszli, nasi przyszli! — słyszało się ze wszystkich stron.

Wiatr wolności powiał przez miasto. Ludzie, oswobodzeni z niewoli, szli na główną ulicę. Wielu z nich miało w rękach bukiety bzu. Raz po raz nawiązywały się radosne rozmowy.

Ale nie mogliśmy się zatrzymywać. Dowódca brygady rozkazał dojść pod wieczór do północno-zachodniego krańca berlińskiego przedmieścia Karrow i zająć stację.



Wypytyjąc mieszkańców dowiedziałem się, że na naszej drodze nieprzyjaciel zbudował cztery barykady, każda trzymetrowej grubości. Są to szyny głęboko wkopane w ziemię, przełożone podkładami i zasypane kamieniami i piaskiem. Nie udało im się zaminować dojścia do barykad — nasze przyjscie było dla nich nieoczekiwane.

Dowiedzieliśmy się także, że godzinę przed naszym przyjsciem nieprzyjaciel wycofał w kierunku na Karrow około 18 czołgów i dział pancernych. Zdecydowałem się sprawdzić osobiście dokładność tych danych.

O godzinie 16 wyjechałem na zachodni kraniec miasta i przekonałem się, że dwie barykady można łatwo obejść. Tak też zrobiliśmy. Nasz czołg rozpoznawczy doszedł do mostu kolejowego, przerzuconego nad szosą. Dalej jednak nie mogliśmy iść. Przejście pod mostem zamykała trzecia barykada. Nie było tam min, ale nie było też możliwości obejścia barykady: na prawo — błoto, na lewo — nasyp kolejowy, niedostępny dla czołgów. W dodatku barykada była dobrze obsadzona przez strzelców wyborowych i hitlerowców uzbrojonych w pistolety maszynowe i „pięci pancernie“. Jeden z czołgistów, który na sekundę wychylił się z wieży, został zabity wystrzałem z sąsiedniego domu.



Na przedmieściach Berlina

Faszyści uzbrojeni w „pięści pancerne“ również otworzyli ogień do rozpoznawczego czołgu, ale na szczęście odległość była zbyt wielka i pociski nie dolatywały do nas.

Dałem plutonowi rozkaz rozwinięcia się i zniszczenia barykady. Walka trwała kilka minut. Zasadzka została rozbita i uzyskaliśmy dostęp do barykady. Wezwani saperzy oczyścili drogę i rozebrali następną, czwartą barykadę, która znajdowała się o trzysta metrów za mostem.

Czołgi ruszyły naprzód. Na szosie Buch-Karrow spostrzegliśmy świeże ślady faszystowskich czołgów. Od rana padał deszcz i odciski gąsienic były wyraźnie widoczne na mokrej ziemi. Zbadaliśmy dokładnie ślady i obliczyliśmy, że rzeczywiście było około osiemnastu czołgów, tak jak nas uprzedzono. Było widoczne, że hitlerowcy wycofują środki techniczne dla wzmocnienia obrony Berlina.

Posuwaliśmy się dalej stosownie do wyznaczonej marszruty, napotykając bardzo słaby opór. Gdziekolwiek ukazywali się strzelcy wyborowi i fizylierzy, ale przy naszym zbliżeniu rozbiegali się po okolicznych sadach i ogrodach.

O godzinie 18,30 dotarliśmy do północno-zachodnich krańców przedmieścia Karrow. Znajdował się tu obóz koncentracyjny, w którym trzymano około 2 000 dziewcząt radzieckich i polskich. Hitlerowcy zamierzali ewakuować je w głąb Niemiec, na południe. Zdążyliśmy w samą porę. Zamiary faszystowskie spaliły na panewce, strażę obozu dostały się do niewoli. Nie zdążył umknąć nawet komendant obozu, niemiecki generał. Zwiadowcy piechoty ujeli go w ostatniej chwili, gdy w pełnym rynsztunku siadał do samochodu.

O 19 zajęliśmy dworzec. Jednych czołgów użyto do obrony okolicy, inne zaopatrywały się w benzynę i amunicję.

W ten sposób zadanie, wyznaczone na ten dzień przez dowództwo, zostało całkowicie wykonane.

Na drugi dzień — 22 kwietnia o 5 nad ranem — wezwał mnie dowódca kompanii, starszy lejtnant Nużdin, i zawiadomił, że zostaliśmy przydzieleni do pułku piechoty, że wchodzimy w skład grupy szturmowej i że w obecnej chwili pułk piechoty prowadzi rozpoznanie walką.

Padał drobny deszcz, z daleka było słychać grzmot salw artyleryjskich i terkotanie karabinów maszynowych i pistoletów maszynowych.

O 6,45 nasze czołgi były już na podstawach wyjściowych do natarcia, na przedmieście Pankow. Rozstawiliśmy czołgi na wyznaczone z góry miejsca, zorganizowaliśmy ochronę i obserwację, wykonaliśmy rozpoznanie w kierunku natarcia. Główna przeszkoda polegała na tym, że pokryte wiosennymi kwiatami sady i parki tej miejscowości lotniskowej przeszkadzały w obserwacji i całkowicie zakrywały cel. Sąsiedni czołg, w odległości 15 metrów, był niewidoczny. Miejsce, gdzie się znajdował, można było określić tylko na podstawie warkotu silnika.

Hitlerowcy dobrze wyzyskali to naturalne maskowanie. Nieprzyjacielska artyleria przeciwpancerna i przeciwlotnicza była skoncentrowana do walki z czołgami na skrzyżowaniach dróg, w alejach, na ulicach. Niemcy uzbrojeni w pistolety maszynowe, w „pięści pancerne“ i strzelcy wyborowi byli w ten sposób ustawieni, że mogli dopuszczać nasze czołgi i piechotę na bliską odległość i strzelać, sami pozostając niewidoczni.

Poszliśmy do natarcia strzelając w ruchu. Uwzględniając rozmieszczenie środków ogniowych nieprzyjaciela na skrzyżowaniach, zdecydowaliśmy, że natarcie nasze powinno odbyć się wzdłuż linii prostej. Orientowaliśmy się za pomocą przedmiotów terenowych: kominów fabrycznych, słupów linii wysokiego napięcia itp.

W większości wypadków czołgi nasze znajdowały się w ugrupowaniu bojowym piechoty, która z powodzeniem polowała na faszystów, uzbrojonych w „pięści pancerne“, likwidując ich w piwnicach, rowach ciągłych i innych kryjówkach.

Po przejściu przez tor kolejowy wyszliśmy na północny skraj przedmieścia Pankow. Nieprzyjaciel wycofał się w pośpiechu, porzucając samochody z mieniem wojskowym i artylerię. Nasze czołgi niszczyły ogniem i gąsienicami działa i samochody, zamieniając je w stosy żelastwa.

Na skrzyżowaniach centralnych ulic Pankowa Niemcy, obawiając się obejścia przez czołgi, porzucili dziesięć armat przeciwlotniczych i przeciwpancernych. Wszystkie były załadowane i w pełnym porządku. Część obsługi dział zginęła, część została wzięta do niewoli. Zbiec nie udało się nikomu.

Dużą rolę przy zajęciu przedmieścia Pankow odegrało nasze lotnictwo. Od rana do wieczora nie milknął warkot silników.

Grupy samolotów, liczące każda około 50 maszyn, zmieniały się stale. Lotnictwa nieprzyjacielskiego nie było, tylko pojedyncze samoloty patrolowały na dużej wysokości.

Tak więc został przez nas wzięty ostatni węzeł oporu hitlerowców na drodze do Berlina. Dotarliśmy do północno-wschodnich krańców miasta.

M. TOŁKACZOW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
KAPITAN

Raid na autostradę

W nocy nasz dywizjon dział przeciwpancernych pod dowództwem kapitana Marynkiewicza załadował się na samochody i ruszył w kierunku północno-zachodnim, by obejść hitlerowskie umocnienia. Zadaniem naszym było dotrzeć niepostrzeżenie do autostrady idącej z Berlina na północ i utrzymać ją aż do nadejścia piechoty.

Autostrada miała dla nieprzyjaciela ogromne znaczenie i była jedną z nielicznych dróg, łączących na wpół okrążony Berlin ze światem zewnętrznym.

Do autostrady było osiemnaście kilometrów. Liczyliśmy, że dojdziemy przed świtem. Wiedzieliśmy na podstawie rozpoznania, że faszyci nie mieli w tej lesistej okolicy ciągłej linii obronnej, lecz tylko oddziały osłonowe. Jechaliśmy polnymi drogami ze zgaszonymi światłami, z przytłumionymi silnikami. Wszyscy żołnierze i oficerowie mieli pistolety maszynowe i granaty, na samochodach ustawiono ręczne karabiny maszynowe. Jechałem na czołowym samochodzie z plutonem lejtnanta Kalendia, wesołego i odważnego Gruzina. Pluton ten był patrolem rozpoznawczym. Silniki pracowały równo. Gąsienice naszych samochodów lekko się ślizgały po wiosennym błocie, pewnie pokonując wykroty i wyboje. W ciemności można było dostrzec gęste szeregi drzew i niskie zarośla. Przypomniała mi się niedawna przeszłość: walki na północno-zachodnim froncie. Tam też walczyliśmy w lesie i na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo. Ale wówczas było nam trudniej, nie mieliśmy takiego sprzętu i dostatecznego doświadczenia bojowego. Teraz posiadamy doskonałe zmotoryzowane działa, nie mówiąc już o ludziach. Oto oni: Żadan, Morozow, Żigałow, Nigmatullin, Kosołapow, Kordiuk, Łuczko — weterani baterii; przeszli długą drogę wojenną i opanowali sztukę artyleryjską tak, jak tego żądał



W walce o płonące ulice

towarzysz Stalin. Kiwając się z lekka siedzą spokojnie w samochodach, ściskają w dłoniach pistolety maszynowe, w każdej chwili gotowi do walki.

Nie minęła godzina, gdy natknęliśmy się na nieprzyjaciela. Była to nieduża grupa osłonowa, którą zepchnęliśmy bez trudu. Zaledwie wysunąłem się naprzód, by zbadać drogę, gdy mój samochód ostrzelano z karabinu maszynowego. Faszyci strzelali z głębi lasu po prawej stronie.

— Działa — przygotowanie do boju, karabiny maszynowe — ognia! — zakomenderowałem.

Sierżant Morozow, obsługujący karabin maszynowy, stoczył się na łeb na szyję z samochodu i ustawivszy się za drzewem otworzył ogień. Do terkotania jego „Diegtiariewa“ przyłączyły się głosy innych karabinów maszynowych.

Lejtnant Kalendija biegał od działa do działa i przynaglał obsługę. Ale obsługa dział i bez tego pracowała zwinnie. Zwrócili działa tam, skąd posypały się faszystowskie pociski, i dali ognia zgodnie z komendą.

Nasz ogień armatni natychmiast podziałał; hitlerowcy ucichli. Przejeżdżając obok nieprzyjacielskich rowów strzeleckich ujrzelśmy kilkanaście trupów w mundurach volkssturmu oraz porzucone i rozbite wozy.

Nieco dalej wypadło nam walczyć z większymi siłami nieprzyjacielskimi. Faszyci odgryzali się zawzięcie, ostrzeliwując drogę z obu stron artylerią i karabinami maszynowymi. Sprzyjała im lesista okolica, utrudniając nam akcję i uniemożliwiając manewrowanie. Część naszych dział ustawiliśmy wzdłuż drogi, resztę na polanie w lewo od drogi.

Noc miała się ku końcowi i widoczność poprawiała się. Dowódca dywizjonu wywnioskował na podstawie strzałów, że nieprzyjaciel ma w lesie zamaskowany czołg. Ześrodkował ogień w kierunku, gdzie znajdował się czołg, i kilkoma salwami zmusił go do milczenia.

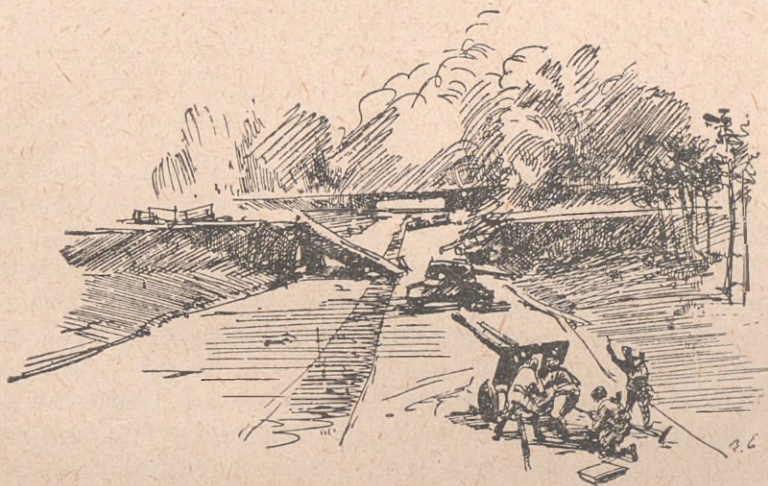
Nie należało się zatrzymywać. Postanowiliśmy skrócić z leśnej drogi w lewo, zbaczając nieco z wyznaczonej trasy marszu. Ale hitlerowcy odkryli nasz manewr. Zaledwie wyjechaliśmy z lasu, otworzyli na nas silny ogień z karabinów maszynowych, przy czym strzały padały w kierunku, w którym mieliśmy się posuwać. Kolumna zatrzymała się. Działon starszego sierżanta Żadana otrzymał rozkaz zniszczenia karabinu maszynowego. Wspaniale spełnił to zadanie. Pełnym chodem pod ostrzałem wyrwał się naprzód o 400 metrów, ustawił działo w zagajniku na wzgórzu i otworzył ogień na wroga. Niewielki pocisk karabinowy zranił w rękę celowniczego Kraszewilnikowa. Mimo to nie opuścił swego posterunku. Działon Żadana skończył kilkoma strzałami z nieprzyjacielskim karabinem maszynowym. Nasza kolumna mogła ruszyć w drogę.

Kiedy doszliśmy do autostrady, było już zupełnie jasno. Padał deszcz i przez jego strugi ujrzelśmy wysokie domy — zaczynały się północne przedmieścia Berlina. Nad miastem kłębił się dym. Zdaje się, że w tym momencie nikt nie potrafił zachować spokoju. Świadczyły o tym podnie-

cone twarze żołnierzy. Wszyscy patrzyli na Berlin. Ale nie było czasu na przyglądanie się. Z lasu wychodziła na autostradę hitlerowska kolumna.

Na komendę kapitana Marinkiewicza dywizjon przyjął ugrupowanie bojowe. Jeszcze chwila, i pierwsze pociski poleciały w kierunku nieprzyjaciela. Niemcy stracili głowę ze strachu i rozbiegli się, próbując uciec przed naszym ogniem. Byli niewątpliwie zaskoczeni naszym pojawieniem się. Dziesiątki trupów hitlerowskich zasłały skraj lasu, co chwila następowały wybuchy terenowych samochodów opancerzonych, a wozy rozlatywały się w drzazgi.

Rozumieliśmy, że nieprzyjaciel nie omieszka ściągnąć tu znacznych sił, ażeby nas odrzucić od autostrady. Ustawiłem karabiny maszynowe na skrzydłach baterii i pomiędzy działami i poleciłem kanonierom mieć w pogotowiu pistolety maszynowe i granaty.



W południe nieprzyjaciel przypuścił do naszych stanowisk szturm pod osłoną ognia artyleryjskiego. Moja bateria stała tuż obok autostrady. Dlatego też musieliśmy wytrzymać szczególnie zaciekle natarcie. Hitlerowcy posuwali się schyleni, oddzielnymi grupami. Był tam prawie jeden batalion. Gdy podeszli na 500 metrów, zakomenderowałem „Ognia!”. Działa i karabiny maszynowe otworzyły ogień.

Było widoczne, że nieprzyjaciel usiłuje przedostać się między baterie. Ale wszystkie jego próby zbliżenia się do naszych stanowisk załamywały się. Szeregi nieprzyjacielskie topniały i zostały zmuszone do odwrotu.

Po upływie pół godziny faszyci ponownie ruszyli do natarcia. Tym razem piechocie towarzyszyły samochody opancerzone, które ostrzeliwały nas ogniem karabinów maszynowych. Nieprzyjaciel posuwał się teraz w luźnym szyku, szerokim frontem. Nasi artylerzyści zrobili krótką przerwę, po czym ponownie skierowali na nieprzyjaciela całą siłę swego ognia. Trzeba było zobaczyć, w jakim podnieceniu pracowała obsługa dział. Sal-

wy następowały miarowo, jedna po drugiej. Oto zapalił się jeden samochód opancerzony, drugi trafiony zatrzymał się bezsilnie. Ale hitlerowcy nacierali, starali się obejść nasze skrzydła. Jednej grupie udało się podejść do naszej baterii dość blisko z prawej strony. Dałem rozkaz działonowi Kordiuka odwrócić działo o dziewięćdziesiąt stopni i dać ognia kartaczami, sam zaś przylgnąłem do ręcznego karabinu maszynowego.

To natarcie skończyło się również klęską dla hitlerowców, którzy, pozostawiając zabitych, cofnęli się na podstawę wyjściową.

Tak utrzymywaliśmy autostradę w naszym ręku aż do nadejścia piechoty.

A. *LEBIEDIEW*
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
KAPITAN

U wrót Berlina

22 kwietnia, ścigając nieprzyjaciela cofającego się do Berlina, batalion mój natknął się na przygotowaną z góry przez hitlerowców obronę, obok fabryki korków w rejonie Pankowa. Są to już przedmieścia Berlina. Przedni skraj obrony hitlerowskiej, opierając się jednym skrzydłem o muryrowane budynki fabryki, przechodził przez ogród zarośnięty gęstymi krzakami. Prześwitywały tam tylko alejki — zejdziesz z nich i o kilka kroków nic nie widać.

Jak się później okazało, ogród przecinały trzy rowy przeciwczołgowe o pełnym profilu i trzy linie rowów ciągłych obłożonych tarcicą. Hitlerowcy mieli tu prawie batalion piechoty, baterię moździerzy i dwie baterie ciężkiej artylerii.

Gdy natknęliśmy się w tym ogrodzie na nieprzyjaciela, zaczynało się już zmierzchać. Batalion zajął pozycję o 200 metrów od Niemców.

O 7 rano otrzymałem rozkaz przejścia do natarcia. Pierwsze zadanie — zająć fabrykę, następnie miasteczko i stację Pankow. Batalion mój był wspierany przez dywizjon artylerii lekkiej, baterię 120 mm moździerzy, siedem czołgów „IS“ i cztery działa pancerne. Natarcie rozpoczęło się o 9,30 po dziesięciominutowej nawale ogniowej ze wszystkich rodzajów dział. Czołgi poszły w jednej linii z piechotą, a nawet cokolwiek z tyłu, gdyż spoza każdego krzaku można było oczekiwać strzału „pięści pancernych“. Jednocześnie z podejściem piechoty do pierwszej linii hitlerowskich rowów ciągłych artyleria miała przesunąć się do przodu i otworzyć ogień na wprost do gniazd ogniowych w głębi obrony nieprzyjaciela. Nie wiedzieliśmy jednakże o rowach przeciwczołgowych. Doszedłszy do nich czołgi, a następnie artyleria skupiły się w alejach. Pchnąłem na pomoc kompanię odwodową. Strzelcy zarzucili rów meblami z sąsiednich domów,

opuszczonych przez mieszkańców, i rozebranymi płotami, zasypali ziemią. Zajęło to trzydzieści minut. Przez ten czas 1 kompania pod dowództwem młodszego lejtnanta Sumarokowa, młodego oficera, świeżo przybyłego ze szkoły, podeszła już do drugiej linii rowów ciągłych i zawiązała walkę granatami. Gdy po ciężkiej walce wręcz linia rowów była zdobyta, czołgi i artyleria przechodziły dopiero pierwszą linię. Tak samo było i z dalszymi: cały ciężar walki spadł na piechotę. Znalazła się ona już przy trzeciej linii rowów, gdy tymczasem czołgi i artyleria, skupione przed drugą linią, czekały, aż załogi i obsługi przy pomocy kompanii odwodowej zapelnia drugi rów przeciwczołgowy ziemią i gratami.

Do godziny 13 batalion zdobył wszystkie linie rowów ciągłych i doszedł do stacji. Artyleria i czołgi stały wówczas przed trzecim rowem przeciwczołgowym.

Przy stacji napotkaliśmy nowe nieoczekiwane przeszkody. Wszystkie tory były zastawione wagonami z tarcicą. By zepchnąć wagony z przejazdów, należało przede wszystkim odrzucić nieprzyjaciela, który zajął pozycję obronną po drugiej stronie torów i trzymał je pod ostrzałem. Batalion poniósł tu duże straty. Podczas przełazenia pod wagonem strzelec stanowił doskonały cel dla nieprzyjaciela i nie zdążył jeszcze zsunąć się na nasyp, gdy trafiał go pocisk.

Odrzuciliśmy Niemców i tutaj, ale dla rozwinięcia natarcia musiałem rzucić do walki kompanię odwodową, natychmiast gdy rozepchnęła wagony na przejeździe i przepuściła artylerię i czołgi.

Była już 3 po południu, gdy batalion doszedł do środka rejonu Pan-kow. W ciągu sześciu godzin przeszliśmy, walcząc bez przerwy, trzy kilometry podmiejskiej okolicy.

Było tu więcej sadów, ogrodów i pustkowi niż budynków. A za torami rozpoczynał się już jednolity masyw miejski. Za małymi domkami o stromych dachach, krytych dachówką, wznosiły się wielopiętrowe kamienice.

Do śródmieścia Berlina pozostało kilka kilometrów, ale przeszkody, które przewyciężyliśmy, wydawały się drobnostką w porównaniu z tymi, jakie mieliśmy przed sobą w tym ogromnym, na wpół zburzonym mieście.

Wyobrażałem sobie wszystkie trudności walk ulicznych w tym faszystowskim gnieździe, ale to, co nas czekało na zawalonych gruzem ulicach



Berlina, nie daje się opisać. Przedstawcie sobie olbrzymi czworobok na pustkowiu lub w parku, ponury, podobny do więzienia pięcio lub sześciopiętrowy gmach o dwu i półmetrowych ścianach z żelbetonu, z oknami zabitymi masywnymi płytami pancernymi zaopatrzonymi w strzelnice. To nadziemny schron przeciwlotniczy, przystosowany do obrony. Takie oto fortece, w połączeniu z liniami obrony w parkach, rowami ciągłymi, zasiekami z drutu i barykadami na ulicach, tworzyły węzły oporu, zamykające wszystkie wejścia do Berlina.

P. SINIELNIKOW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
STARSZY LEJTNANT

Pierwsza noc w Berlinie

Było to w dzielnicy Pankow. Moja bateria wspierała batalion piechoty. Batalion wysunął się naprzód i okazało się, że skrzydła jego są odsłonięte. Korzystając z tego hitlerowcy przedostali się w nocy podwórzami i zaułkami na nasze tyły. W tym czasie wszystkie trzy działa zeszyły właśnie z pozycji i były w pogotowiu marszowym. W oczekiwaniu rozkazu jedno działo ustawiliśmy na dużym podwórzu, między dwupiętrowymi domami, a dwa na skrzyżowaniu ulic.

Artylerzyści stojący na skrzyżowaniu usłyszeli nagle okrzyki: „Halt“. W tej samej chwili młodszy sierżant Nielubow i szeregowi Awtajkin i Gaponow ścięli z pistoletów maszynowych dwóch hitlerowców, którzy wyskoczyli zza węgła. Z drugiej strony wzdłuż ściany podkradała się do dział grupa nieprzyjacielska. Artylerzyści rozproszyli tę grupę ogniem pistoletów maszynowych. Na jezdni i chodniku obok dział zostało piętnaście niemieckich trupów. W chwili gdy wydałem dowódcy dział stojącego na podwórzu, starszemu sierżantowi Żelobajowi, rozkaz: „Galopem do mostu kolejowego“, zaczęto nas ostrzeliwać z „pięści pancernych“. Jedna „pięść“ rozerwała się o kilka kroków od dział Sackkowa i zabiła konie. Przy wybuchu Sackkow dostał kamieniem w głowę i w moich oczach padł zabity na miejscu. Zza węgła i z bramy sąsiedniego domu z krzykiem wyskakiwali Niemcy. Obsługa dział Sackkowa zdążyła odprzodkować działo i nie rozwierając ogonów łoża dała do biegnących hitlerowców dwa strzały granatami z zapalnikiem natychmiastowym. Zatrzymało ich to na kilka minut, potem ponownie rzucili się na nas z krzykiem. Wywiązała się walka wręcz. Po naszej stronie było osiemnastu ludzi, Niemców było kilkakrotnie



Armaty oczyszczają drogę...

więcej. Puściliśmy w ruch wszelką broń ręczną. Niektórzy bronili się kolbami.

Nie wiem, jak to się stało: obejrzawszy się, spostrzegłem nagle, że stoję na jezdni koło działa sam, obok leży trup Saczkowa, naokoło strzelanina, ale ludzi nie widać. Okazało się, że jak to później często bywało w Berlinie, potyczka rozpoczęta na ulicy przeniosła się do bram i piwnic, gdyż ludzie instynktownie garnęli się do ścian. Zdecydowałem, że przede wszystkim muszę się dostać do działa Żelobaja, który zdołał wycofać się z okrażeń. Musiałem się czołgać pod domami, z których strzelano. Pociski karabinowe w kilku miejscach przebiły mi mundur, ale ani jeden mnie nie ranił. Działo Żelobaja stało pod mostem kolejowym w pogotowiu marszowym. Dałem rozkaz zajęcia stanowiska i skierowania ognia na skrzyżowanie, by nie dopuścić nieprzyjaciela do naszych dział, które tam pozostały. Po kilku wystrzałach dwóch kanonierów poszło zbadać sytuację; wróciwszy powiedzieli, że wróg został przepędzony i że można podejść do naszych dział. Wziąłem od Żelobaja jezdnych z końmi i poszliśmy po działa. Gdy wywieźliśmy je szczęśliwie jedno po drugim, nadbiegł łącznik od dowódcy jednostki z rozkazem przewiezienia jednego z nich na sąsiednie podwórze, by stamtąd ostrzeliwać ulicę. Wjazd na to podwórze prowadził przez sklepioną bramę. Za ledwie wytoczyliśmy działą spod bramy, gdy dostaliśmy się pod ogień hitlerowców, strzelających z poddaszy. Musieliśmy skryć się pod sklepieniem.

Działo zostało na podwórzu. Zostawiwszy kilku ludzi w bramie, posłałem resztę artylerzystów na pierwsze i drugie piętro, by trzymali podwórze pod ostrzałem i nie dopuszczali hitlerowców do działa. Z piwnic i bramy przeciwnego domu faszyci rzucali się kilkakrotnie do naszego działa, lecz odrzucaliśmy ich granatami i ogniem karabinowym. Wkrótce z drugiego piętra przybiegł dowódca drużyny, zwiadowca Bielakow, i powiedział, że jego podwładni nie mają już nabożów.

— Brońcie się, czym możecie — powiedziałem.

Ściana trzeciego piętra była rozwalona. Zwiadowcy zaczęli rzucać cegły na hitlerowców, próbujących dostać się do działa. Szeregowcy strzelający razem ze mną spod sklepienia bramy mieli już także mało amunicji. Wysłałem szeregowca Gaponowa na ulicę, by zobaczył, czy nie znajdzie gdzieś w pobliżu nabożów. Zebrał ich sporo, przyniósł i znowu pobiegł zbierać. Ponieważ walka przeciągała się, postanowiliśmy spróbować wciągnąć działą pod bramę. Żołnierze zdjęli wszystkie sznury z trzech uprzęży i związali je. Demenkow i Gorelski zgłosili się ochotniczo; doczołgali się do działa i przymocowali sznury do zaczepy. Udało im się to pod osłoną ognia pozostałych artylerzystów. Ale gdy zaczęto wciągać działą pod bramę, lemiesz wrył się w ziemię. Demenkow i Gorelski znowu musieli czołgać się. Podnieśli lemiesz. Przyciągnęliśmy działą jeszcze o kilka metrów i lemiesz ponownie wbił się w ziemię. Śmiałkowie musieli raz jeszcze podleźć pod

działo pod ogniem nieprzyjaciela, strzelającego z piwnic i strychów sąsiednich domów. W końcu udało się wciągnąć działo pod bramę i ustawić na stanowisku. Artylerzyści rzucili się do pocisków i wszystko poszło normalnie.

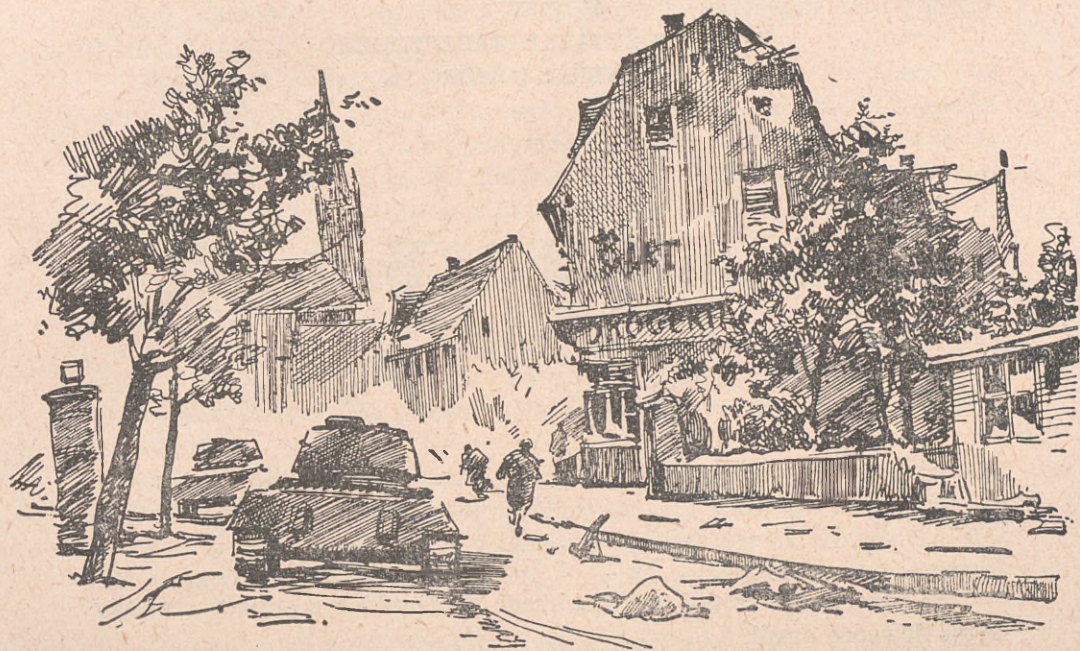
Nad ranem bateria została przerzucona do innej dzielnicy. Po drodze, w ogrodzie obok mostu kolejowego, pochowaliśmy naszego pierwszego bohatera, padłego w walce o Berlin — starszego sierżanta Saczkowa. Wszyscy w baterii bardzo go szanowali. Był to leningradczyk — walczyć zaczął pod swym rodzinnym miastem, był ciężko ranny, wyzdrowiał i znów poszedł się bić. Jeden z artylerzystów trafnie o nim powiedział „To człowiek, który wszystko robi tak, jak trzeba, tak służy, jak należy“. Wszyscy przemawiający na jego mogile przysięgli, że pokonają faszystów w ich gnieździe i zatkną nad Berlinem Sztandar Zwycięstwa na cześć Armii Radzieckiej i naszego Naczelnego Wodza, towarzysza Stalina.

A. IGNATIEW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
PUŁKOWNIK GWARDII

Czerwony sztandar nad Marzahn

21 kwietnia w nocy jednostka nasza podeszła do wschodnich krańców Berlina — do przedmieścia Marzahn, przekształconego przez hitlerowców w poważny węzeł obrony. Gdy byliśmy o półtora kilometra od niego, wezwałem dowódcę przydzielonego do nas pułku czołgów i dałem rozkaz przedarcia się z marszu do Marzahn. Po trzech minutach grupa czołgów minęła ugrupowanie bojowe naszej piechoty i ruszyła naprzód szeroką, asfaltową szosą. Prawie jednocześnie od strony Marzahn zważyło się na nas mnóstwo pocisków. Nasze czołgi posuwały się nadal w kierunku Berlina, lecz wkrótce pocisk nieprzyjacielski trafił w pierwszy czołg, a w ślad za nim zapłonął i drugi. Postanowiłem nie narażać ludzi i wstrzymałem czołgowe posuwanie się szosą, skupiłem czołgi pomiędzy murami domów pobliskiej osady i wydałem rozkaz rozpoznania okrzężnych dróg.

Dwie grupy strzelców wyruszyły na obejście Marzahn. Wkrótce łącznik grupy, która poszła w lewo, wrócił z meldunkiem: z tej strony przechodzi głęboki rów przeciwczołgowy, napełniony wodą. Postanowiłem zaczekać na meldunek drugiej grupy. Nadszedł wkrótce — z prawej strony znaleziono głęboki, zarośnięty jar. Skierowałem tam bataliony piechoty majora gwardii Jelsakowa i Mojsjena. Za nimi wtoczyły swe działa w wysokie zarośla działony dywizjonu artylerii przeciwpancernej. By odwrócić od nich uwagę nieprzyjaciela, wydałem rozkaz wzmocnienia ognia artyleryjskiego i moździerzowego na odcinkach wzdłuż głównej drogi, prowadzącej do Marzahn. Podstęp udał się. Hitlerowcy doszli do przekonania, że główne uderzenie nastąpi wzdłuż szosy, i tam też skoncentrowali wszystkie siły. Wywiązała się silna kanonada. W ogniu walki Niemcy nie zauważyli (a być może nie zrozumieli) sygnału decydującego uderzenia, w powietrzu wzbłął się pocisk smugowy, a za nim seria czerwonych, zielonych



i białych rakiet. Po minucie batalion majora Jelsakowa, który przybliżył się już był do samego Marzahn i zajął pozycję wypadową, ruszył do natarcia. Kilka minut później zmotoryzowany działon 76 mm wdarł się przez nieprzyjacielski ogień pełnym biegiem do Marzahn. Pułk otoczył przedmieście półkolem i ruszył szerokim frontem, blokując domy, w których siedzieli hitlerowcy.

Nad ostatnim domem Marzahn zatrzepotał, w dymie i ogniu Berli-
na, ukochany czerwony sztandar. Była to pierwsza nasza flaga na wschod-
nich krańcach Berlina. Zatknął ją młodszy sierżant Anatolij Pogriebniak.

M. DUKA
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
GENERAL-MAJOR

Łódkami przez Szprewę

Po przerwaniu frontu na Wzgórzach Seelowskich zostałem wezwany przez dowódcę armii.

— Dacie sobie, Duka, radę z dywizją? — zapytał generał-pułkownik Czujkow.

Przypomniały mi się lata, gdy dowodziłem oddziałem partyzanckim, przypomniła mi się nauka w akademii wojskowej i czułem, że nadchodzi najważniejsza chwila w moim życiu.

— Poradzę sobie, towarzyszu dowódcu armii — odpowiedziałem.

— Dywizja jest dobra, właśnie wzięła Münchberg, trzeba przejąć ją w akcji i pójść na Berlin. Oto rozkaz. Życzę powodzenia.

Natychmiast wyjechałem do dywizji i zastałem moich gwardzistów gotowych do walki. Była to ostatnia linia obronna hitlerowców przed Szprewą. Przypomniałem sobie słowa Aleksandra Sjergiejewicza Szczerbakowa z przemówienia poświęconego pamięci Lenina: „Hitlerowcy skrócą do tego stopnia front, że jego najkrótsza linia będzie przechodziła nad Szprewą...”

Na mój punkt obserwacyjny na strychu przyprowadzono kilku jeńców. Jeden z nich, oficer, rzucił się do ucieczki. Schwycono go i przyprowadzono z powrotem.

Dowiedzieliśmy się od jeńców o siłach i pozycjach hitlerowców.

Po dobrym przygotowaniu artyleryjskim gwardziści ruszyli biegiem przez las i zepchnęli wroga z ostatniej jego linii obronnej przed Szprewą.

Wśród Niemców wybuchła panika. Posuwaliśmy się naprzód przez całą dobę, obchodząc hitlerowskie punkty oporu, przecięliśmy berlińską

okreżną autostradę i weszliśmy na południowo-wschodnie przedmieście Berlina.

Wieczorem gwardziści wdarli się do fabryki Kodaka. Wlazłem na strych, a gwardziści zajęli kilka pięt. W piwnicach fabryki byli jeszcze Niemcy, około trzystu. Na strychu ustawiono lornetę nożycową. Zacząłem obserwować. Przede mną był Berlin, a tuż pod nami kamienne brzegi Szprewy i przystań z kajakiem i sportowymi łodziami. Łódki leżały na brzegu do góry dnem. Od razu dojrzało postanowienie przepłynięcia się przez Szprewę na tych łódkach. Zobaczyłem dwa nietknięte mosty, ale nie były one na naszym odcinku i mogłem tylko zazdrościć sąsiadom.

Noc była księżycowa. Szprewą płynęły błękitne fale. Zwołałem dowódców pułków. Wyszliśmy na rozpoznanie. Nie — „wyszliśmy“ to zbyt ładnie powiedziane. Po prostu czołgaliśmy się na brzuchach do domów nad Szprewą.

Forsowanie Szprewy zostało wyznaczone na dziesiątą rano. Poszedłem do czołowego pułku. Przygotowanie artyleryjskie ograniczyliśmy do zachodniego brzegu, mimo, że hitlerowcy byli jeszcze na wschodnim. Baliśmy się zniszczyć pociskami łódki, którymi zamierzaliśmy się przepłynąć.

Po drodze do rzeki stoczyliśmy straszną walkę. Padło tylu nieprzyjaciół, że nie wiadomo było gdzie stąpnąć.

Gdy podeszliśmy do Szprewy, powiedziałem strzelcom:

— Szczęśliwej drogi!

Woda wrzała od pocisków karabinowych. W tej chwili na brzeg nadjechało pełnym biegiem kilka samochodów z działami na przyczepach. Były to działony przeciwpancerne, którymi dowodził major gwardii Riepin, który siedział przy kierownicy pierwszego samochodu. Rozwinął dywizjon i podbiegł do mnie.

— Dokąd strzelać, towarzyszu generale?

Wskazałem mu wodę, po której siekły kule karabinów maszynowych.

Riepin otworzył ogień na domy, z których strzelały nieprzyjacielskie karabiny maszynowe.

Pierwsi przepłynęli się, wpływ przez Szprewę, czterej strzelcy. Dotarli do drugiego brzegu i zniszczywszy obsługę dwóch nieprzyjacielskich karabinów maszynowych, zapalili papierosy i ta zwłoka w walce kosztowała ich życie.

Wkrótce przepłynęło się na drugi brzeg kilka batalionów. Ale strzelcy nie posuwali się naprzód — zalegli. Była to bardzo niebezpieczna chwila.

Nie mogłem wytrzymać. Kazałem podać sobie łódkę i wsiadłem do niej z dowódcą pułku artylerii, podpułkownikiem gwardii Zotowem. Odepchnęliśmy się od brzegu i popłynęliśmy w poprzek Szprewy. Na rzece wybuchały pociski, fale rzucały łódkę. Pokonaliśmy już dwie trzecie rzeki, gdy pocisk uderzył tuż obok. Łódka rozsypała się i znaleźliśmy się w wo-

dzie. Nie wiem dlaczego woda wydała mi się gorąca. Zrzuciłem płaszcz i popłynąłem. Było trudno płynąć, wokoło padały pociski, fale zalewały. Jakimś cudem generalska czapka utrzymała się na mojej głowie. Żołnierze zobaczyli ją i ktoś krzyknął:

— Chłopcy, generał płynie!

Żołnierze rzucili się naprzód i kiedy wyleźliśmy na brzeg, nie było tam już nikogo. Pierwsze bataliony poszły dalej.

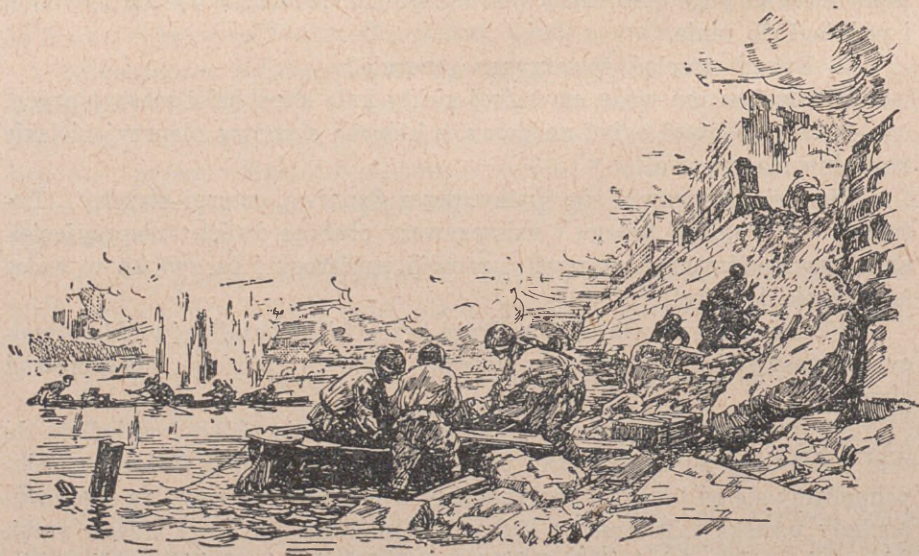
Jeszcze nie ociekłem z wody, gdy przyjąłem raport radiotelegrafisty.

— Stacja nadawczo-odbiorcza przeprawiła się, mamy łączność z dowódcą korpusu.

Dowódca korpusu przekazał mi przez radio:

— Trzymać i rozszerzać przyczółek.

Po kwietniowej kąpeli było mi bardzo zimno. Rozpalono ognisko na brzegu. Łącznicy zebrali do kociołka ryby, ogłuszone pociskami, i zaczęli gotować zupę. Przypomniały mi się dni partyzantki, tylko że teraz nie siedzieliśmy w lasach Rosji, nad brzegami jej rzek, lecz nad niemiecką Szprewą. Saperzy zdobyli kuter z promem i przewieźli przez Szprewę cztery działa. Szprewą pędziły nasze „amfibie“.



Saperzy przy barykadzie

Oto wreszcie między ruinami zniszczonych domów mignął błękitny pas wody. Szprewa! Ostatnia przegroda wodna na drodze do zwycięstwa.

Saper gwardii, starszy sierżant Anatolij Łogunow, i jego szeregowcy przeprawili się z pierwszymi piechurami. Rozkaz dowódcy brzmiał: „Faszyści zabarykadowali główną ulicę, przez którą mają przejść nasze czołgi. Polecam oczyścić drogę, rozebrać barykadę!”

Zaledwie nasze łódki odbiły od brzegu, gdy z kilku stron jednocześnie odezwały się hitlerowskie gniazda ogniowe. Zdawało się, że gwardziści nie wytrzymają tego ciągłego ognia, który potęgował się z minuty na minutę. Woda kipiała od serii karabinów maszynowych. Wybuchające pociski podnosiły słupy pyłu wodnego. Z pobliskich domów zaczęły strzelać „pięści pancerne”.

Lecz nasze łódzie posuwały się naprzód.

Coraz bliżej do brzegu błyskającego światełkami wystrzałów.

Pozostało już tylko kilka metrów. Starszy sierżant Łogunow pierwszy wyskoczył na brzeg i strzelając ze swego pistoletu maszynowego rzucał się naprzód. Za nim poszła reszta strzelców. Udało im się wdrzeć do jednego z domów i zniszczyć załogę.

Pod ogniem wroga szybko budowano mosty. Jedna za drugą przybywały nowe łódzie, inne oddziały gwardii lądowały i szły naprzód oczyszczając dzielnicę za dzielnicą.

Przeszli już połowę ulicy i wzięli barykadę. Saperzy Łogunowa przewiesili pistolety maszynowe przez plecy i wzięli się do roboty. Nagle z piwnicy narożnego domu zaterkotał karabin maszynowy. Przyłączyło się do niego kilka pistoletów maszynowych. Strzelano także z okien poddasza.

Trzeba było ukryć się. A z drugiego brzegu nadchodziły jeden za drugim radiogramy: „Zaczynamy przeprawę czołgów. Śpieszcie się!“ „Zabezpieczcie przedź przejście dla czołgów“.

Mimo nieprzyjacielskiego ognia starszy sierżant Łogunow polecił podjąć robotę. Spojrzał na granaty wiszące u pasa i pobiegł w stronę domu, z którego padały strzały.

Hitlerowcy spostrzegli odważnego żołnierza i otworzyli ogień. Gwardzista biegł kryjąc się pod ścianami domów, padał i znowu się zrywał.

Minęło zaledwie kilka minut, lecz wydawało się, że przeszły godziny, zanim Łogunow przebiegł kilka ostatnich metrów. Dwa granaty poleciały w okno piwnicy. Nieprzyjacielski karabin maszynowy zamilkł.

Wśród saperów zawrzała jeszcze raźniej robota. Z poddasza rozlegały się wystrzały pistoletów maszynowych, ale nikt na nie nie zwracał uwagi. Było już słyhać warkot silników na naszym brzegu.

Razem z saperami pracował ich dowódca. W czasie pojedynku z niemieckim karabinem maszynowym Łogunow został ranny w nogę. Trzeba było jednak jak najprędzej rozebrać barykadę, toteż starszy sierżant zapomniał o ranie.

Przejście zostało w porę otwarte. Przeprawione czołgi radzieckie ruszyły naprzód niepowstrzymaną lawiną w szeroką ulicę do śródmieścia Berlina, do zwycięstwa.

Na pancerzach razem z fizylierami siedzieli odważni saperzy gwardii starszego sierżanta Łogunowa. Przed nimi było jeszcze dużo ulic i dużo barykad.



Szturm barykady

Pierwsza salwa na Berlin

Przeszliśmy Wzgórza Seelowskie, w tyle pozostał Müncheberg. Szybko posuwamy się na drodze do Berlina...

Na przystankach kanonierzy zeskakiwali z samochodów, z niecierpliwością podbiegali do tablic i drogowskazów, by się dowiedzieć, jak daleko jeszcze do miasta, i obliczali kiedy dywizjon wejdzie do niego. Nikt nie wątpił, że będziemy w Berlinie. Pozostawało tylko pytanie — kiedy? Jutro czy pojutrze? Zdawało się nam wówczas, że opór nieprzyjaciela będzie coraz słabszy. W powietrzu nie latało już tyle nieprzyjacielskich samolotów, ogień artylerii stawał się coraz rzadszy, coraz częściej i pokorniej podnosili ręce „totalni faszyci“ w zbyt obszernych płaszczach i ogromnych furazerkach, spadających im na oczy.

W miarę zbliżania się do miasta w pułku wszczynały się sprzeczki: kto da pierwszą salwę na nieprzyjacielską jaskinię?

I jak zwykle, gwardziści każdego dywizjonu byli przekonani, że to oni właśnie dadzą pierwszą salwę.

Obawę wywoływała myśl, że inne pułki mogą nas wyprzedzić, ale odpędzała ją pewność, że czołgiści, którzy szli przed nami, nie zawiodą, a my nie zostaniemy w tyle za nimi. Wszyscy byli w podniosłym nastroju. Wielu wspominało bitwę pod Stalingradem, bohaterską drogę, którą pułk przeszedł od tej pory, wspominali prorocze słowa towarzysza Stalina i z dumą mówili: „O, i u nas święto“.

Nareszcie zaczęły się ukazywać pierwsze miejscowości lotniskowe. Rozpoczynały się południowo-wschodnie przedmieścia Berlina z ich małymi domkami i ogródkami urządzonymi na pruski wzór. Obok domów stali Niemcy i Niemki.

Do Berlina pozostało nie więcej niż 10—12 kilometrów. Mnie i moich towarzyszy dręczył niepokój: czy któryś z naszych dywizjonów nie podejdzie wcześniej od nas na odległość salwy? Lecz nie, wszystkie trzy dywizjony pułku były mniej więcej w jednakowej odległości od celu.

Pod wieczór 22 kwietnia zatrzymaliśmy się w lesie obok przedmieścia Berlina, Uhlenhorst. Na ulicach i placach trwały jeszcze gorące walki. Przez całą noc gwardziści Katukowa wykurzali z piwnic i strychów faszystów, uzbrojonych w „pięści pancerne“ i pistolety maszynowe.

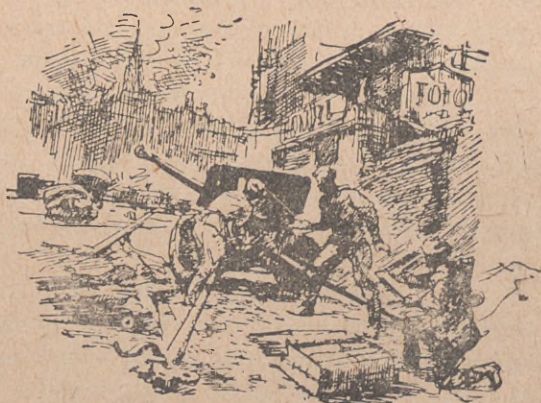
O ósmej rano, gdy dywizjon już był na północno-zachodnim krańcu Uhlenhorstu, dowódca dywizjonu, kapitan Ukraiński, wezwał mnie i dowódcę 2 baterii, starszego lejtnanta Pastuchowa. Sądząc po niezwykle wyglądzie kapitana od razu domyśliliśmy się, jakie otrzymamy polecenie.

— Przygotujcie dane do strzelania na Berlin! — powiedział. — Strzelać do Dworca Śląskiego. Poprowadzić ogień z dwóch wyrzutni po jednej z każdej baterii. Salwę dać punktualnie o 8,30... Jasne?

— Tak jest, towarzyszu kapitanie! — powiedzieliśmy jednym głosem. — Czy możemy odejść?

Otrzymaawszy niezbędne wyjaśnienia pobiegliśmy do baterii, by zakomunikować radosną nowinę i przygotować dane. Radość kanonierów była bez granic. Ludzie omal nie tańczyli. Każdy prosił o wyznaczenie jego wyrzutni na stanowisko ogniowe. Wybrałem pierwszy działon sierżanta gwardii Donczenki. Odznaczył się on ze swą wyrzutnią jeszcze podczas walk pod Biełgorodem, a dał od tego czasu ponad 100 salw i zachował wyrzutnię w zupełnym porządku, choć na jej żelaznym ciele było dużo dziur i zadraśnień. Pastuchow wyznaczył działon starszego sierżanta Siłajewa.

Dziesięć minut przed terminem obie wyrzutnie zajęły stanowiska ogniowe. Nieprzyjaciel ostrzeliwał nas zaciekle z artylerii i moździerzy. Lecz dane do strzelania były już gotowe i dowódcy baterii i plutonów zajęli miejsca w wyrzutniach, by osobiście prowadzić ogień. Wyrzutnie z ciężkimi pociskami rakietowymi skierowały się w stronę Dworca Śląskiego. Wszyscy zamarli patrząc na dowódcę dywizjonu, który stał obok z zegarkiem w ręku. Te ostatnie minuty były najbardziej męczące. Ogień nieprzyjacielski stawał się coraz zacieklejszy. Odłamki pocisków pruły powietrze, lecz wszyscy patrzyli tylko na dowódcę i jego zegarek.



Nie odrywając oczu od wskazówki, otwiera on futerał, wyjmując pistolet i podnosi go w górę.

— Do faszystowskiego gniazda, salwa... — gromko dźwięczy komenda — pal!

Razem z ostatnim słowem huknął wystrzał z pistoletu. „Katusze“ groźnie zgrzytają i w kierunku niemieckiego dworca wznoszą się ognistodymne błyskawice ciężkich pocisków raketowych...

— Hura! — krzyczą radośnie kanonierzy. Pierwsza salwa na Berlin została oddana.

A. WOŁKOW
STARSZY SIERŻANT

Barykada pod mostem

Działo się to, gdy nasz pułk artylerii wkroczył na przedmieścia Berlina.

Bateria wspierała natarcie czołgów.

Nie można było wyprowadzić dział na stanowisko ogniowe przy użyciu samochodów, gdyż z przodu i na skrzydłach strzelały hitlerowskie czołgi i „pięści pancerne“. Zdecydowałem się wyłamać płot i przetoczyć przy pomocy obsługi działo przez podwórze. Już po trzydziestu minutach wybraliśmy stanowisko ogniowe w szopie. Zrobiliśmy wyłom w ścianie, tak że na zewnątrz wyglądała tylko lufa. Można było stąd ostrzeliwać dwie ulice.

Przyszedł rozkaz ruszenia naprzód. Czołg, wspierany przez moje działo, ruszył, lecz już obok następnego domu poleciała w jego kierunku „pięść pancerna“, na szczęście nie wyrządzając żadnej szkody. Zdażyłem spostrzec, skąd wyszedł strzał „pięści pancernej“, i w czasie gdy wróg przygotowywał drugi strzał, zniszczyłem go jednym pociskiem. Zajęliśmy jeszcze jeden dom. Faszyci, strzelając z okien tego domu z pistoletów maszynowych i karabinów maszynowych, również zostali wybici.

Przesunęliśmy się jeszcze o dwieście metrów, gdy zostaliśmy zmuszeni do zatrzymania się. Szosa, wzdłuż której nacieraliśmy, przechodziła pod mostem kolejowym; w tym miejscu zbudowano barykadę, spoza której biło niemieckie działo przeciwpancerne. Poza tym strzelali stamtąd fizylierzy i „pięści pancerne“.

Była to pierwsza barykada, jaką spotkaliśmy w Berlinie.

Pocisk mego działa nie przebijał jej czterdziestocentymetrowych bali. Zdecydowałem się wówczas wspiać na tor kolejowy i działać stamtąd.

Przez ogród i przez rów przetoczyliśmy działo, ale nie udawało się nam wciągnąć go na tor: skądś strzelał niemiecki strzelec wyborowy.

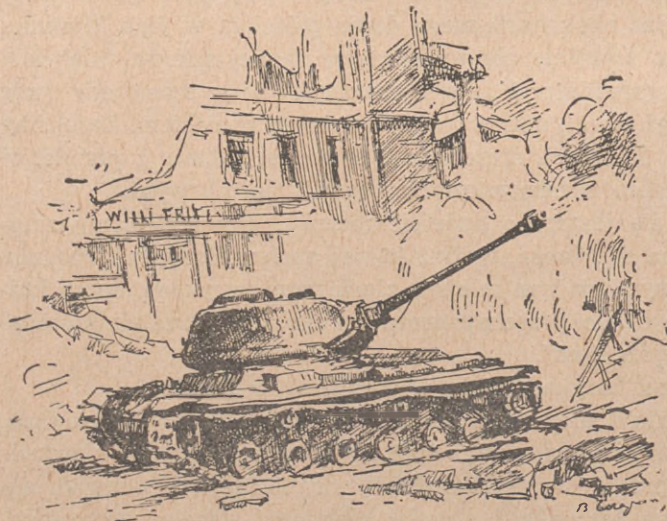
Trzeba było wykryć jego kryjówkę. Wysuwając kilka razy hełm, spostrzeżliśmy, że strzały padają spoza komina na dachu trzypiętrowego domu. Zwróciwszy tam działo zlikwidowałem go pierwszym strzałem. Lecz tor ostrzeliwano także z pistoletów maszynowych, tak że musieliśmy toczyć działo lufą naprzód, zasłaniając się przed pociskami karabinowymi tarczą działa.

Ładowniczy zaczął przygotowywać pociski. Nagle z boku zaterkotał pistolet maszynowy. Musieliśmy się ukryć, przy czym jedyną osłoną były szyny.

Na szczęście nie trzeba było długo leżeć — czołgiści od razu spostrzegli fizylera i sprzątnęli go wystrzałem z działa. Można było działać. I muszę powiedzieć, że obsługa działała błyskawicznie. Nikogo nie trzeba było popędzać, każdy rozumiał, że jeśli spóźni się o sekundę, to pozostanie tu na zawsze. W czasie, gdy działo przygotowywano do strzału, ja wykrywałem cele: dwie „pięści pancerne“ strzelające ze szczelin barykady, najcięższy karabin maszynowy w piwnicy domu odległego o dwieście metrów od barykady i jeden faszysta od czasu do czasu dający krótkie serie z pistoletu maszynowego z balkonu tego domu.

Wskazałem cele celownicemu sierżantowi Czurikowi i dałem rozkaz zniszczenia najpierw „pięści pancernej“ i hitlerowca z pistoletem maszynowym — mógł on w każdej chwili ostrzelać nas — a dopiero potem nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego z piwnicy.

Działo otworzyło ogień. Pracował tylko celowniczy i ładowniczy, sierżant Kuklin, reszta załogi pozostawała w ukryciu. W ciągu dwóch minut zostały zniszczone wszystkie cztery cele, a ja skinąłem furażerką na czołgistów: Naprzód! Wspierany przez moje działo czołg ruszył dalej.



Przy aparacie i na linii

Kończył się dzień walki 21 kwietnia. Dowódca pułku, Bohater Związku Radzieckiego, major gwardii Kuzow, rozkazał nakarmić żołnierzy i być w pogotowiu, gdyż nieprzyjaciel znajdował się w odległości trzystu metrów od nas.

Artyleria strzelała z rzadka, w sztabie pułku studiowano mapę, omawiano wyniki dzisiejszej walki i opracowywano plan na jutro.

Nadszedł 22 kwietnia. 7 rano. Po nocnym odpoczynku wszyscy czekają na rozkaz natarcia. Ulica, którą mamy się posuwać, jest zasypana szczątkami budynków, zavalona cegłami. Na środku stoi długa kolumna czołgów i rozgrzewa silniki.

Major gwardii Kuzow spytał jednego z czołgistów, który przyszedł do sztabu:

— No cóż, jesteście gotowi do natarcia?

— Tak jest, gotowi, towarzyszu majorze... tylko już uprzedźcie swych orłów, bo już czas — sami wiecie...

— O co chodzi?

— O to, że podobno jednostki generała Kuzniecowa już nadchodzą, a do Reichstagu pozostało tylko trzy kilometry.

Dowódca pułku uśmiechnął się i powiedział:

— Rozumie się, boicie się, by generał Kuzniecowa nas nie wyprzedził... A więc cóż, walcie w gniazda nieprzyjacielskie tak jak wczoraj, a przez moich chłopców zwłoki nie będzie...

Nie dosłyszałem końca rozmowy. Starszy strzelec gwardii Sjerdieczny, który siedział przy telefonie, krzyknął do mnie:

— Towarzyszu sierżancie Cziornieński, do telefonu!

Wziąłem z jego rąk słuchawkę i mówię:

— Słucham.

Przy telefonie był mój dowódca batalionu, major gwardii Demidenko. Nakazał utrzymać łączność między dowódcą pułku a generałem, nie zwracając uwagi na żadne trudności. Powtórzyłem rozkaz, oddałem słuchawkę telefoniście i skierowałem się do drugiego pokoju.

W drzwiach spotkał mnie dowódca pułku. I on o tym samym:

— Jak tam łączność?

— Łączność jest, towarzyszu majorze — melduję.

A sam pomyślałem: „Gorąco będzie dzisiaj“.

Dowódca pułku poszedł do siebie i zasiadł z trzema oficerami do śniadania.

Jeszcze pół godziny obserwowałem, jak nasi artylerzyści walili wprost w domy, z których nieprzyjacielscy strzelcy wyborowi strzelali do pojedynczych oficerów i żołnierzy, przebiegających od drzwi do drzwi, by dobrać się bliżej do nieprzyjaciela.

Nagle słyszę, że dowódcę pułku wzywają do telefonu.

— Kto? — pyta major Kuzow podchodząc.

— Generał — po cichu odpowiada łącznik.

Kuzow wziął słuchawkę i powiedział swym spokojnym, z lekka zachrypniętym głosem:

— Słucham, towarzyszu generale.

Widocznie sprawdzali zegarki, gdyż major Kuzow powiedział:

— Na moim zegarku jest dziewiąta.

Jak się później dowiedziałem, generał wyjaśniał majorowi zadanie wyznaczone dla pułku. Generał uprzedził, że przygotowanie artyleryjskie rozpocznie się o 9,50 i będzie trwało do 10.

— Rozkaz, towarzyszu generale. Zadanie będzie wykonane. Rozkaz.

Z tymi słowy oddał słuchawkę, odkasznął i podszedł do stołu, by skończyć śniadanie. Za stołem (była to pusta beczka postawiona do góry dnem) toczyła się ożywiona rozmowa, jak gdyby nic nie zaszło.

Czas mijał. Major Kuzow skończył śniadanie, zapalił papierosa i podszedł do telefonu.

9,45 — dzwonek. Łącznik bierze słuchawkę i natychmiast melduje:

— Generał.

Kuzow zaciągnął się mocno papierosem i wziął słuchawkę.

— Tak jest, jestem gotów — odpowiedział na pytanie generała. — Ostatnie minuty...

I oto uderzyły „Katusze“, przemówiła nasza artyleria, która stała obok mostu w odległości 150—200 metrów od nas. Most był przerzucony nad ulicą, a pod nim stały nasze działa. W tej chwili zaryczały silniki czołgów, które stały obok naszego domu.

Dowódca pułku podszedł do drzwi i powiedział:

— No, trzymajcie się. Zaczynamy!



Na jednej z ulic Berlina

Każdy umieścił się, jak mógł, by obserwować walkę i błyski strzałów z okien, gdzie ulokowali się hitlerowcy, uzbrojeni w karabiny i „pięści pancerne“.

Głośnie rozmowa artylerii trwała dziesięć minut.

Dowódca pułku wzywał przez ten czas do telefonu dowódców batalionów.

Wydawał rozkazy:

— O dziesiątej zero zero — naprzód! O dziesiątej zero zero — naprzód!

Przygotowanie artyleryjskie skończyło się i grmiący głos armat przeszedł w gęsty trzask karabinów.

Nasi fizylierzy ruszyli naprzód, skokami, po zasypanej cegłami ulicy.

Pierwszy czołg ruszył. Reszta zamknęła włazy i stała na miejscu, odwracając wieże to w prawo, to w lewo, przygotowując się do ognia na domy, z których okien strzelali faszyci.

Nagle pierwszy czołg stanął. Buchnął z niego dym. Pocisk „pięści pancernej“ trafił w cel. Czołg palił się. Trzej czołgiści wyskoczyli z niego, padli koło gąsienic. Po chwili dwóch podniosło się, podbiegło do domu i ukryło się w bramie. Trzeci pozostał. Zobaczyliśmy, że porusza rękami. To kierowca. Został oparzony. Przyczółgali się do niego dwaj piechurzy, wzięli go i szybko przenieśli do domu.

Czołg, stojący pod naszym oknem, wystrzelił z działa. Zadźwięczało w uszach, zaparło dech od gazów prochowych.

Słyszę krzyki „hura“. To nasi fizylierzy wspólnie z piechurami szturmują narożny dwupiętrowy dom.

W tej chwili wezwał mnie mój pomocnik, starszy sierżant Cjelych.

— Towarzyszu dowódcu plutonu — powiedział — nie ma łączności. Kogo poślecie, żeby sprawdził linię?

Wskutek szumu w uszach ledwie go słyszałem. Wysłałem Sjerdiecznego.

Kapral Sjerdieczny chwycił aparat, pól bębna kabla, i wybiegł na ulicę. Przy tak silnym ruchu czołgów można było wpaść pod gąsienicę. Lecz Sjerdieczny nie zwracał uwagi na świst pocisków i odłamków, stosował się do ruchu czołgów, przebiegał od czołgu do czołgu, od domu do domu, dopóki nie zginął nam z oczu.

A na ulicy nie widać nic oprócz czołgów „JS“, które powoli posuwają się naprzód i ze swych dział o długich lufach strzelają, specjalnie do domu na rogu Holzmarktstrasse i Markusstrasse. Hitlerowcy biją się wściekle o ten dom; w tym kierunku poszedł Sjerdieczny.

Telefon ożył. Łączność została przywrócona w ciągu dziesięciu minut. Czas mija, a Sjerdiecznego ciągle nie ma. Zginął — myślę.

W tej samej chwili słyszę dzwonek. Schwyciłem słuchawkę i krzyczę:

— Tu Zanr!

— Czy to Zanr? — słyszę przez słuchawkę.

— Tak, Zanr.

— Ja z linii. Jak tam łączność?

— Jest. Wracajcie natychmiast.

Nagle słyszę, że ktoś krzyczy:

— Dowódca plutonu łączności!

Oglądam się: dowódca pułku. Podbiegam do niego i melduję głośno:

— Słucham, towarzyszu majorze.

A on odpowiada:

— Sztab pułku musi się przenieść do tamtego domu. Trzeba nawiązać łączność. Ale pilnuj się — ostrożnie, z tamtego domu strzela karabin maszynowy.

— Tak — mówię — widzę. Ale jeśli trzeba, to się zrobi. Cjelych! — zawołałem swego pomocnika. — Nawiążecie łączność z tamtym domem. Biercie ze sobą dwa bębny kabla i jeden aparat, daję do pomocy dwóch szeregowców. Termin ze względu na ciężką sytuację — czterdzieści minut.

— Rozkaz — odpowiedział starszy sierżant Cjelych i poszedł po sprzęt.

Po pięciu minutach zgięty pod ciężarem bębnów, wybiegł za drzwi. Za nim poszli sierżanci Alekszejew i Sjerdieczny, który dopiero co wrócił po wykonaniu zadania.

Nieprzyjaciel spostrzegł ich, dał serię z karabinu maszynowego i zranił piechura, który jednocześnie przebiegał ulicę. No, myślę, nie zdecydują się moi chłopcy ciągnąć drutu dalej, i wybiegłem sam. Dotarłem do rogu domu, gdzie się zatrzymali i widzę, że Cjelycha nie ma. Gdzie jest zastępca dowódcy plutonu? — pytam. Mówią mi, że Cjelych poszedł na poszukiwanie drogi okrężnej. Cjelych wrócił z niczym — inna droga nie istnieje.

Powziąłem decyzję.

— Pociągniemy wprost po drodze. — Cjelych wziął bęben i poczołgał się po ceglach. Ja z aparatem za nim.

Łączność została nawiązana w ciągu czterdziestu pięciu minut. Za nami, także przebiegając, przyszedł major gwardii Kuzow, a za nim cały sztab pułku.

Sztab pozostał w tym miejscu do następnego dnia. Walka trwała bez przerwy, a dowódca pułku miał przez cały czas nieprzerwaną łączność z dowódcą dywizji.

P. RYBAŁKO
DWUKROTNY BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
MARSZAŁEK WOJSK PANCERNYCH

Uderzenie z południa

Ze wspomnień

Siedziałem w wielkim gabinecie w mieszkaniu jakiegoś esesowskiego pułkownika. Żona jego zapukała do drzwi, uśmiechając się usłużnie położyła przede mną „Atlas dowódcy RKKK“. Zapewne chciała w ten sposób zyskać moją sympatię.

Na książce była pieczętka biblioteki Połtawskiego DKA. Atlas ten zrabował mąż Niemki i przywiózł do swej berlińskiej willi jako trofeum.

Mimowolnie otworzyłem stronę z mapą Niemiec i odnalazłem Berlin. Oto on, czarny pająk, który ze wszystkimi swymi drogami, autostradami i cmentarzami nawet na mapie wygląda jak pająk.

Gdy podchodziliśmy dopiero do Wisły, w moim stanowisku dowodzenia wisiała już mapa Wielkiego Berlina. Utrwalałem w pamięci nazwy ulic niemieckiej stolicy, rozmieszczenie fabryk, parków i placów, badałem podejścia do Berlina.

Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś Marszałek Koniew, nachylając się do mnie, jak gdyby w „tajemnicy“ powiedział po cichu:

— Miej na uwadze, że będziemy zdobywać Berlin.

I ja także zacząłem „cichaczem“ przyzwyczajając moich generałów, oficerów, podoficerów i szeregowców do myśli, że będziemy zdobywali Berlin.

Co prawda, myślałem, że będziemy go zdobywali od wschodu. Okazało się inaczej.

Kiedy wyszliśmy na pozycje wyjściowe u rzeki Nysy, stało się jasną rzeczą, że droga nasza prowadzi znacznie bardziej na południe — na miasto Brandenburg.

Czyżby wszystkie moje wysiłki zbadania Berlina poszły na marne? Przyznaję, że chociaż zrozumiałem dobrze, że i w tym kierunku idąc, uczestniczymy w operacji berlińskiej, wiadomość ta oszołomiła mnie. Ale tylko na chwilę. Tak czy inaczej byłem przekonany, że gdzieś jednakże „skręcimy“ do Berlina.

Od pierwszego dnia operacji wszystkie nasze działania można określić jednym słowem — dynamizm. Na rzece Nysie czołgi rozbijały obronę nieprzyjacielską idąc w pierwszych szeregach piechoty. Nie czekaliśmy na urządzenie przeprawy przez rzekę. Czołgiści uszczelniali starannie włązy i przechodzili czołgami w bród.

Nigdy nie zapomnę napisu na jednym czołgu: „Jestem zaopatrzony do samego Berlina“.

18 kwietnia o godz. 3,10, gdy byliśmy w odległości dwóch kilometrów od Szprewy i kierowaliśmy się na Brandenburg, otrzymałem dyspozycję od dowódcy frontu, by forsować Szprewę i rozwinąć gwałtowne natarcie w kierunku Fetschau, Halseck, Barut, Teltow — południowe krańce Berlina.

A więc gwałtownie na Berlin. Jakże nas uskrzydlił ten rozkaz.

Rozpoczął się marsz—manewr jednostek 1 Frontu Ukraińskiego na Berlin.

W nocy 18 kwietnia oddziały doszły odludnymi leśnymi drogami do rzeki Szprewy. Tu nieprzyjaciel najmniej nas oczekiwał.

W okolicy Brensichen czołgiści wymacali słabe miejsce w obronie hitlerowców. Korytarzem, zrobionym przez przednie oddziały, wdarły się wszystkie jednostki pancerne na wolny teren operacyjny. Setki czołgów skierowały się do przeprawy. Na Szprewie oddziały czołgów oderwały się od piechoty.

Hitlerowcy nie zdążyli zająć pozycji obronnych, przygotowanych na zachodnim brzegu Szprewy. Wyrzedziliśmy nieprzyjaciela.

Rzeka szybko pozostała za nami i dalsze zdarzenia następowały z taką samą gwałtownością.

Wszystko brało się szturmem. Trwożyło mnie cokolwiek, że nie napotykalimy poważnego oporu. Broniły się tylko niewielkie załogi. Miało się wrażenie, że nieprzyjaciel trzyma gdzieś podniesioną pięść gotową do uderzenia. Jeńcy zeznawali bezczelnie. Niektórzy z nich mówili: „No i cóż, jesteście pod Berlinem, a myśmy także byli pod Moskwą“.

Toteż gdy w zosseńskich błotach i lasach natknęliśmy się na poważniejszy opór, ucieszyło mnie to poniekąd.

Na północ od Zossen przechodziło zewnętrzne koło obrony Berlina, osłonięte zasiekami, rowami i polami minowymi. Zossen było otoczone betonowymi schronami bojowymi z bardzo silnymi załogami. Znajdowała się tam kwatera główna hitlerowskiego dowództwa. Przebijając się przez dziesięciokilometrowy pas pozycji w okolicy Zossen, zatrzymaliśmy się na dwa dni. 22 kwietnia wojska nasze zajęły Zossen.

Nie mieliśmy czasu na łażenie po schronach podziemnych, w których mieściły się gabinety generałów hitlerowskich. Sztab Hitlera uciekł, ale mieliśmy nadzieję spotkania się w Berlinie.

Szliśmy naprzód, a za nami pozostawały rozbite hitlerowskie dywizje. Nie baliśmy się o nasze drogi komunikacyjne, gdyż wiedzieliśmy, że wyższe dowództwo wydało wszystkie zarządzenia dla likwidacji tych niedobitków. Skrzydła i tyły były podczas całej operacji dobrze osłonięte.

Generałowie hitlerowscy wzięci do niewoli przyznawali, że nikt w Berlinie nie spodziewał się czołgów rosyjskich z południa i że pozycje obronne na południowych krańcach Berlina zostały zajęte przez niemieckie oddziały dopiero wtedy, gdy rosyjskie czołgi wdarły się do Zossen.

I tu przeliczył się hitlerowski sztab generalny nie doceniając operacyjnych możliwości radzieckich wielkich jednostek pancernych.

Manewr wielkich mas czołgów radzieckich pomieszał wszystkie szyki niemieckiej obrony.

Niechaj ludzie, którzy mało znają nasz kraj i nie rozumieją natury człowieka radzieckiego, mówią o cudzie, wyjaśniając nasze zwycięstwo. My zaś, ludzie radzieccy, znamy naturę naszych cudów. Cudowny dynamizm naszych wojsk w marszu na Berlin ma mocne i realne podstawy. Ten dynamizm wychowała w nas partia Lenina — Stalina. Dynamizm ten wykuwało się w bitwach Wojny Narodowej. Dynamizm ten był oparty na wielkim mistrzostwie wojskowym i na pragnieniu jak najszybszego zakończenia wojny i zniszczenia faszyzmu.

Jesteśmy ludźmi stalinowskiego natarcia.

Nigdy przez całą drogę bojową Wojny Narodowej nie pamiętam tak jednolitego, druzgocącego uderzenia jak to, które spadło z południa na oszołomiony Berlin.

Nieprzyjaciel zrobił wszystko, by nas nie przepuścić przez kanał Teltow. Wyszadzone trzydzieści mostów.

Kanał stanowił ogromny rów przeciwczołgowy, zapełniony wodą. Była to poważna przeszkoda nie tylko dla czołgów, ale nawet dla piechoty.

Przerwanie obrony na kanale Teltow jest triumfem współdziałania wszystkich rodzajów broni. Wspólnie z czołgami i zmotoryzowaną piechotą pracowali artylerzyści i nasze słynne lotnictwo.

24 kwietnia mój punkt obserwacyjny na brzegu kanału Teltow odwiedził dowódca frontu, marszałek Koniew.

Marszałek wdrapał się na strych pięciopiętrowego domu, z którego widoczna była południowa część Berlina. Ale okazało się, że z mojego punktu obserwacyjnego nie było widać wszystkiego, co chciał zobaczyć marszałek.

Przeszliśmy na punkt obserwacyjny dowódcy wielkiej jednostki lotniczej, generała-majora Nikiszowa. Z płaskiego dachu rozpościerała się ogromna panorama — Las Grunnewaldzki i Ogród Botaniczny, a za nimi — szerokie ulice zabudowane wielopiętrowymi domami.

Przez stosy gruzów przełaziły czołgi. Nieprzyjacielscy żołnierze, brońący kanału Teltow, byli uzbrojeni w „pięści pancerne“. Siedzieli oni we wszystkich szczelinach, bramach i sieniach... Ale razem z naszymi czołgami szli nasi fizylierzy i strzelcy wyborowi. Wynajdywali oni i niszczyli wrogów. Żołnierz z pistoletem maszynowym w ręku, obok czołgu, odegrał w tych walkach ulicznych ogromną rolę.

Czołgi zagłębiały się metr za metrem w śródmieście Berlina. Widać było, gdzie walka gasła, a gdzie się rozpalala.

Generałowie i oficerowie, którzy okrążyli marszałka, patrzyli z dachu na Berlin przesłonięty dymem, na wybuchy i ogień pożarów.

Dowódca frontu rozkazał wysunąć naprzód ciężką artylerię.

Wszystko posuwało się naprzód, wspierając się nawzajem i współdziałając ze sobą.

Radzieckie czołgi w Berlinie! Czyż nie jest to klasyczna odpowiedź na okrzyk niemieckiego generała Guderiana: „U w a g a czołgi!“?

Podejście do kanału Teltow

W Niemczech była wiosna. Płonęły podpalone przez hitlerowców lasy i ostry wiatr wiosenny gnał na nas zapach spalenizny i wrzącej w ogniu żywicy. Na szosę padały zwęglone świerki. Na twarzach osiadała sadza i dym, i każdy metr drogi, każdy kamień oplacaliśmy krwią. Tego niezapomnianego dnia przyszliliśmy pod Berlin, by zdobyć, by zwyciężyć. Tego dnia radowałem się jak nigdy. Mimo że od czterech dni nie odpoczywaliśmy, czułem się rześko i świeżo jak przy święcie. Nie tylko ja — wszyscy.

Wychodzimy z lasu. Dowódca dywizjonu moździerzy, kapitan Sjery, patrzy na zegarek, potem na mapę i mówi: — Do przedmieścia trzy i pół kilometra, a na prawo jeszcze bliżej, tylko osiemset metrów. Widać już przedmieście Berlina — Lichtenrade.

Stałem na błotniku samochodu i patrzyłem przed siebie. Za laskiem wznosiły się wysokie fabryczne kominy i trochę murowanych domów, bez okien, pomalowanych na żółto. Daleko na przedzie paliły się wagony kolejowe — podnosił się z nich gęsty, czarny dym, który zlewał się z chmurami. Las, kominy fabryczne, żółte domy, pożar — wszystko to były znane obrazy, często spotykane na wojnie. Wcale nie myślałem, że to już przedmieście Berlina. Gdy kapitan Sjery powiedział, że do Berlina pozostało tylko osiemset metrów, spojrzałem na mapę, by się upewnić. Tak, w przybliżeniu tak jest. Idziemy z południa na północ. Oto skraj lasu, polna droga. O trzysta metrów od nas mała niemiecka wieś Birkholz. Od Birkholz do Lichtenrade jest 800—900 metrów, autostradą trzy kilometry do przedmieścia Berlina — Marienfelde. Tam prowadzi nasza droga.

Wjeżdżamy do Birkholz. Ludności nie ma. Pusto. Na drodze leżą niemieckie hełmy, płaszcze, obuwie. Wszystkie ulice zasypane nabojami do



karabinów, wszędzie rozrzucone karabiny, granaty, „pięści pancerne“. Co sto metrów zawały z belek i ziemi z dwumetrowymi przejściami, barykady z wozów, bryczek, skrzynek, młocarni, kół, stołów i krzeseł. Przy przejściach przez barykady leżą trupy niemieckich żołnierzy, zgniecionych przez gąsienice naszych czołgów, które przeszły tędy zaledwie pół godziny temu — widzimy ich świeże ślady.

Tę małą wieś chcieli hitlerowcy zamienić w węzeł oporu. Naokoło wsi wykopane są rowy ciągłe, zbudowano mnóstwo betonowych i drewnianych schronów bojowych. Nagłe uderzenie naszych czołgów oszołomiło Niemców, uciekli pozostawiając wszystko, co przygotowali do obrony, nie zdążywszy nawet zamknąć otworów w zawałach i barykadach.

W powietrzu panują nasze myśliwce. Machają skrzydłami, witają nas.

Przejechaliśmy Birkholz. Za nami niekończące się szeregi samochodów z piechurami, amunicją, benzyną i żywnością. Jedne skręcają na prawo, na Lichtenrade, drugie na lewo, do Teltow. My jedziemy nie zmieniając kierunku, prosto na północ. Droga zryta jest przez bomby lotnicze.

Pogoda zmieniła się nagle. Zachmurzyło się. Deszcz będzie — jest nam to na rękę.

— Daj gazu, towarzyszu — mówi kapitan Sjery do kierowcy komsolca Kriwienko.

Przeszliśmy pierwszy most, droga szła pod górę. Samochód Kriwienki poderwał się i wyskoczył na pagórek. Widać stąd żółte i czerwone domki z dachami krytymi dachówką.

— To Berlin? — pyta się siedzący w samochodzie kanonier Kisjeljow.

— Tak, to południowe przedmieście Berlina — mówi kapitan Sjery.

Widoczność jest tak słaba, że na pierwszy rzut oka nie można rozpoznać nic oprócz domów. Wiemy, że są tam faszyci. Jeszcze w odległości dwudziestu kilometrów od Berlina kapitan Sjery otrzymał marszrutę i zadanie bojowe. Ma na mapie zaznaczone ołówkiem — dużą, czarną kropką — miejsce zatrzymania samochodu obok tych domów.

Będziemy tam za 10—15 minut. Nagle domy znikają — przed nami gęsta mgła. Drobne, ciepłe, gęste krople deszczu obmywają nam twarze i ręce.

Kapitan Sjery zaznacza na mapie drugi punkt.

Nie dojeżdżając do krańca Marienfelde zawraca dywizjon na prawo z polnej drogi, by korzystając z deszczu, dojść przez ogrody i cieplarnie do płotu obok domów, stojących samotnie — do nowej kropki, zaznaczonej na mapie.

Kriwienko dodał gazu i samochód poderwał się. Za Kriwienką jechał Roman Skałozub na zdobycznym samochodzie pancernym. Za Romanem szła bateria starszego lejtnanta Pietrowa, bateria starszego lejtnanta Fazłyjewa, potem reszta.

Nasze nagłe zjawienie się w ogrodzie podczas silnego deszczu oszołomiło faszystów. Podjeżdżając do płotu, oczekiwaliśmy, że nieprzyjaciel przywita nas ogniem, ale nikt nie strzelał. Zwiadowca Baranow, wspominając tę chwilę mówi:

— Przez kilka sekund było nawet nudno.

Hitlerowcy nie zdążyli jeszcze odwrócić luf karabinów maszynowych w naszym kierunku, gdy nasi żołnierze zeskoczyli już z samochodów i zaczęli bić w nich granatami i z pistoletów maszynowych. Z domu na prawo wybiegło trzech Niemców, a z domu na lewo czterech.

— Nigdzie nie uciekniecie, dogonię — głośno krzyknął zwiadowca Baranow i pobiegł, by przeciąć im drogę.

Za nim pobiegli, strzelając z pistoletów maszynowych, celowniczy kanonier Zaborow i młodszy sierżant Gołyszew. Gołyszew dogonił jednego z Niemców i zbił go z nóg uderzeniem kolby. Baranow przeciął drogę następnemu i zmusił go do podniesienia rąk. Reszta została wybita.

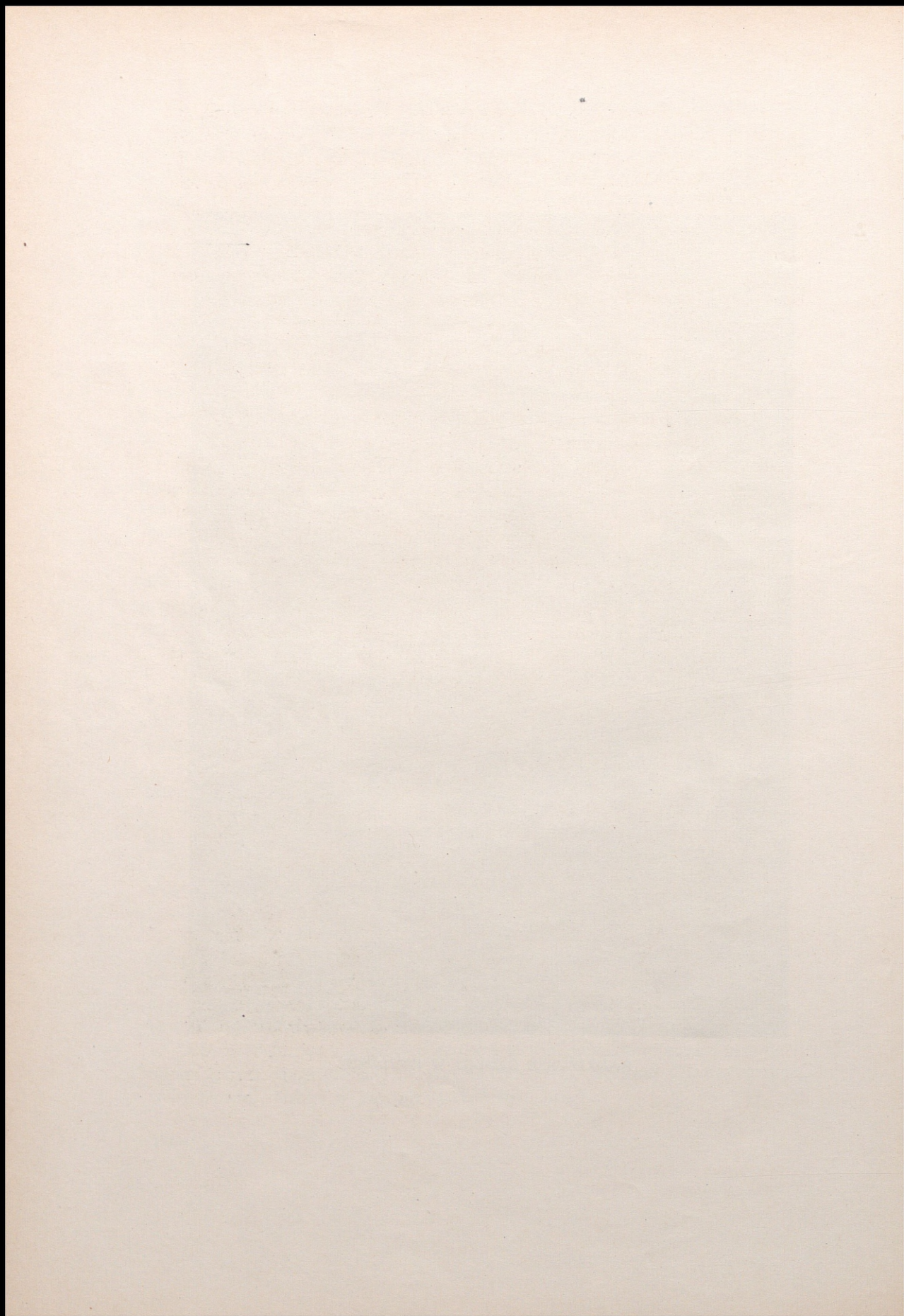
Zajęliśmy w ten sposób dwa domy na krańcu Marienfelde.

Strzelanina na ulicy nie kończyła się. Niemieckie działa przeciwlotnicze zaczęły ostrzeliwać Marienfelde szrapnelami, a przyłączyły się do nich moździerze i inne armaty. Wyszliśmy na ulicę. Deszcz już przeszedł, a chmury schowały się gdzieś daleko za wielkimi domami i kominami fabrycznymi.

Patrzyło na nas zachodzące słońce i swymi jasnoczerwonymi promieniami witało nasze wejście w granice Wielkiego Berlina. Chociaż przed chwilą padał deszcz, w powietrzu czuć było proch.



RADZIECKIE CZOŁGI W BERLINIE

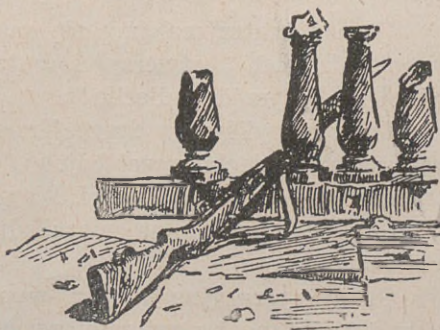


Poszliśmy razem z pisarzem dywizjonu, sierżantem Janowskim, do sąsiedniego domu, w którym ulokował się już sztab dywizjonu. Dom był rozbity, bez dachu, bez sufitów. Okna bez ram. Łóżka i inne sprzęty domowe — w piwnicy. Na środku podwórza była mała komórka, przerobiona na mieszkanie. Niemcy dopiero co je porzucili. W piecu kuchennym palił się jeszcze ogień. Znalazłem tu świeże numery gazety berlińskiej. W gazecie wydrukowano wczorajszą mowę radiową Goebbelsa. Goebbels zapewnia Niemców, że nie przegrali oni jeszcze wojny, wzywa, by przekształcali każdy dom, każde mieszkanie w punkt oporu i oddali się pod opiekę opatrności.

Starszy lejtnant Zaremba zameldował ze stanowiska ogniowego: „Niemcy rozpoczęli przeciwuderzenie na prawym skrzydle“. Wkrótce słychać wesole głosy: „Odparliśmy“, „Uciekają“.

Pod wieczór bateria Zaremby posunęła się o sto metrów naprzód i zajęła nowe stanowisko ogniowe w oczyszczonych z hitlerowców rowach ciągłych na prawym skrzydle. Na lewym skrzydle bateria starszego lejtnanta Pietrowa obezwładniła hitlerowskie gniazda ogniowe w klasztorze, gdzie ostatnio był szpital niemiecki. Bateria starszego lejtnanta Fazyjewa także posunęła się naprzód. Tak oczyściliśmy pierwsze dzielnice Marienfelde. O północy mieliśmy w swoim ręku dostateczną podstawę wyjściową do dalszego natarcia na miasto.

„Posuwamy się kanałem Teltow. Faszyci bronią się zaciekle, ale nic im to nie pomoże. Na próżno machasz rękami psychopato i kłamco. Twoje sprawy, doktorze Goebbels, są beznadziejne“ — pisałem w swym pamiętniku 22 kwietnia 1945 roku, pierwszego dnia walk w samym Berlinie.



M. SINOCZKIN
KAPITAN

Rozkaz — na Berlin

Rozkaz przegrupowania jednostek artylerii w kierunku Berlina otrzymaliśmy, gdy nasze brygady spieszyły śladem piechoty ku Łabie. Wszystko było w ruchu. Nieprzyjaciel bronił się słabo i szykowaliśmy się już do spotkania z Amerykanami i Anglikami. Berlin pozostawał gdzieś na uboczu.

— Zwinne samochody sztabu wyprzedziły kolumny: „Stój! Pismo do dowódcy brygady“.

— Rozkaz — na Berlin! — orzekli żołnierze obserwując, jak kierowcy zawracają bojowe samochody na wschód. Wkrótce wszyscy już wiedzieli, dlaczego kolumna zawróciła. Żywiołowo organizowały się mityngi.

Marsz—manewr został rozpoczęty. Posuwaliśmy się aż do Lückau na spotkanie głównego potoku wojsk. Na północ od Lückau marszruta prowadziła przez niedawne miejsca walk gwardzistów - czołgistów.

Zdjęto brezenty z samochodów, sprawdzono pistolety maszynowe. Jechaliśmy mając się na baczności. Z prawa i z lewa ogarnęły nas lasy Forst Barut, a w lasach było pełno błakających się Niemców.

W nocy zatrzymaliśmy się za Barutem. Krótki odpoczynek. Rano w pododdziałach artylerzyści czytali świeży numer dywizyjnej gazety z hasłem „Naprzód na Berlin!“.

Znów ruszyliśmy w drogę. Trzema kolumnami posuwał się na Berlin wspaniały, radziecki sprzęt bojowy. Ciągniki z przyczepionymi potężnymi działami szły po bokach drogi. Wyprzedzały je lekkie ZIS-2 z przyczepionymi moździerzami. Silne samochody ciężarowe ciągnęły haubice i ciężkie moździerze.

Grupy operacyjne brygad, wyprzedzając swe kolumny — nawiązywały już styczność z czołgami generała - pułkownika Rybałki.

Czołgiści czekali na nasz ogień, by forsować kanał Teltow.

Terminów właściwie nie było. Wszystko musiało być zrobione natychmiast.

Podczas operacji zimowych i wiosennych 1945 r. sztaby nasze nauczyły się szybko organizować pracę pododdziałów w przygotowaniu natarcia artyleryjskiego. Czasami wypadało zrobić wszystko w ciągu trzech dni. Ale tu nie było ani trzech, ani dwóch dni. Rozporządzaliśmy tylko dwudziestoma godzinami.

W tym terminie należało przygotować i zająć ugrupowanie bojowe, zorganizować obserwację i rozpoznanie, opracować plan przygotowania artyleryjskiego i zorganizować współdziałanie.

W czasie gdy dowódcy robili rozpoznanie, nadchodził sprzęt. Na stanowiskach ogniowych działa ustawiano obok czołgów.

Nadeszła noc. Na stanowiskach ogniowych artylerzyści kapitana Gurianowa i Bendera pracowali w podnieceniu. W ciągu pięciu godzin wykopano rowy strzeleckie o pełnym profilu. Na stanowisku dowodzenia Teltow przygotowywano plan, zgodnie z którym tony metalu spadną rano na Berlin. Podstawą był scentralizowany i zmasowany ogień. Ostrzał będzie skierowany na obiekty wojskowe, węzły oporu, skrzyżowania ulic, stacje metro i koleje.

Nad ranem plany doszły do działonów. Amunicja jest już wyłożona i posegregowana odpowiednio do tabeli ognia. Na pociskach artyleryjskich i moździerzowych umieszczono napisy: „Do Berlina — za Leningrad!“, „Za Stalina!“, „Za Ojczyznę!“.

Przygotowania skończone.

— Na Berlin — ognia! — zakomenderował generał-major artylerii Krasnokutski, patrząc na zegarek.

Była 10 rano 24 kwietnia. Setki dowódców powtórzyło komendę. Dawno już czekali na ten rozkaz żołnierze przybywający spod Moskwy i Leningradu, znad Wołgi i z Kaukazu. Doczekali się.

Pociski przecięły powietrze, zagrzmiały „Katiusze“ — przygotowanie artyleryjskie rozpoczęło się.

W sadach Teltowa i Rulsdorfu stały haubico-armaty. Wojna doszła do serca Niemiec. Straszny dla wroga był jej wzrastający impet. Zastraszeni cywile niemieccy patrzyli z podziwem na nasze działa, coś mówili pomiędzy sobą, pochlebco uśmiechali się do naszych żołnierzy: „Starke Artillerie“, a artylerzyści ocierając pot z rozpalonych twarzy odpowiadali: „Tak — tak“.

Salwy artylerii stalinowskiej wstrząsały hitlerowskim legowiskiem. Wystarczyło 85 minut ognia artyleryjskiego, by nasza zmotoryzowana piechota mogła rozpocząć walkę na północnym brzegu kanału. Razem ze strzelcami posuwali się oficerowie artylerii. Na podstawie ich sygnałów ześrodkowywano ogień. Trzy—cztery dywizjony dział rozmaitego kali-

bru ześrodkowywały ogień na tych dzielnicach, gdzie nieprzyjaciół jeszcze się bronili. W czasie gdy jedni strzelali, inni przygotowywali dane.

Walka przesuwała się dalej. Czołgi weszły na ulice Zehlendorfu i Lichterfelde, podeszły do linii kolejowej Brandenburg—Berlin. Przyczółek był uchwycony.

Zbliżał się koniec pierwszego dnia natarcia. Niekończący się potok artylerii, doganiającej czołgi, przechodził przez przeprawę. W chwilach przerwy, wśród bitwy, słychać spokojne żołnierskie rozmowy:

— Zdaje się, że Berlin dobrze dostał od nas.

— Szkoda gadać!

— A wiesz, że Stalin powiedział: „Artyleria to bóg wojny“.

Ściągano siły na przyczółek. W ciągu niewielu nocnych godzin nakreślano na nowo sprężynę natarcia.

Rano znowu do walki. Z rąk do rąk przechodzą ulotki: „Jesteśmy w Berlinie! Zwycięstwo już bliskie! Mocniej uderzaj na wroga!“.

O wschodzie słońca

Naszemu gwałtownemu natarciu na Berlin przegrodził drogę kanał Teltow.

Tę ostatnią przeszkodę wodną u wrót swej stolicy hitlerowcy umocnili szczególnie mocno, osłaniając ją silnym ogniem.

Wszyscy rozumieli, że wynik bitwy o Berlin decyduje o wyniku całej wojny i że każda godzina jest droga. Żołnierze patrzyli w milczeniu na północny brzeg kanału, na wielkie murowane domy, z których faszyci strzelali z dział na wprost, zasypując południowy brzeg kanału gradem pocisków i odłamków.

Kanał jak kanał, nawet nie jest zbyt szeroki, lecz przebiega przez sam środek miasta i ma betonowe brzegi. Hitlerowcy wysadzili wszystkie mosty i wstrzelali się do wszystkich dojsć.

A jednakże wszyscy mieliśmy tę pewność, że kanał nie na długo nas zatrzyma i że w najbliższych godzinach przeprawa będzie zorganizowana.

Mimo zmęczenia jakoś nie można było spać w te noce kwietniowe. Wszyscy byli w podniosłym nastroju. Nie powiedziano jeszcze, kiedy rozpocznie się szturm, ale wszystko było już przygotowane.

Zajęliśmy stanowiska ogniowe na południowo-wschodnim krańcu Rulsdorfu o trzy kilometry od kanału.

Ciemne ulice przedmieścia pełne były niemilknącego warkotu silników i szczęku broni. Promienie reflektora szukały czegoś na niebie, po czym nagłym błyskiem padały na miasto, jak gdyby chciały je zniszczyć jednym uderzeniem.

W nocy wezwał mnie dowódca baterii, kapitan Kuźniecowa.

Przekazał mi rozkaz, który powtórzyłem ze szczególną radością.

Dziś o wschodzie słońca nasza bateria ma dać salwę na nieprzyjacielską baterię moździerz, która ostrzeliwuje dojścia do kanału. Droga na stanowisko ogniowe jest pod ostrzałem, przejedziemy bez świateł. Odległość między samochodami pięćdziesiąt metrów.

Oto nadeszła ta godzina.

— Na miejsca! Wyprowadzać!

— Silniki!

Obsługa szybko zajęła miejsca bojowe i samochody warcząc porzuciły ukrycie.

„Katusze“ ze zdjętymi pokrowcami pomknęły jak wichur na stanowisko ogniowe.

Zbliżał się świt. W powietrzu czuć było wilgoć i chłód. Kanał już niedaleko.

Mknęliśmy po drodze, obsadzonej z obydwu stron drzewami. Tuż obok stały czołgi. Na razie przyczały się.

Słyszeliśmy wołania czołgistów:

— Gwardziści, uspokójcie ich! — krzyczeli do nas.

Hitlerowcy raz po raz ostrzeliwali brzeg pociskami artyleryjskimi i moździerzowymi — zupełnie blisko, ale nic nie mogło nas zatrzymać.

Na pierwszym samochodzie znajdował się nasz dowódca.

Przed nami cmentarz. Przejeżdżając obok niego, pierwszy samochód zahamował i stanął. Dowódca baterii dał znak do rozwinięcia szyku; zrozumieliśmy, że tu jest nasze stanowisko ogniowe.

Ładowanie wyrzutni odbywało się z jakąś szczególną sprawnością, dzwignie działały szybko jak nigdy, prowadnice ustawiło się półpionowo. Dowódcy zameldowali gotowość do strzału.

Kapitan sam sprawdzał wycelowanie. Szybko chodził od jednej wyrzutni do drugiej, poprawiając błędy.

Ze skowytem przeleciały trzy nieprzyjacielskie pociski moździerzowe i wybuchły o trzydzieści metrów od nas.

— Spokojnie, spokojnie, towarzysze, wkrótce zamilkną.

Pierwszy promień słońca padł na stanowisko ogniowe. Przed nami przemówiła długa seria karabinu maszynowego. Znów przeleciało kilka nieprzyjacielskich pocisków. Nużąc mijał czas. Kapitan kilka razy przybliżył zegarek do ucha, sprawdzając, czy nie stanął.

Nareszcie nadeszła długo oczekiwana chwila. O godzinie 6,30 rozległa się komenda:

— Do faszystowskich potworów — pal!

Jak gdyby rzucone jedną ręką, mnóstwo ognistych pocisków wzbilo się w niebo. Zaczęło się. Wszystko wokoło oświetliła luna.

Salwa naszych „Katiusz“ była sygnałem do huraganowego ognia artylerii. Zagrzmiały działa radzieckie, tysiące pocisków wybuchało za kanałem. Wszystko pokrył dym i pył.

W powietrzu zjawilo się nasze lotnictwo, leciały zgrupowania szturmowe i bombardujące.

Ze wszystkich stron słyhać było:

— No, faszyci, teraz trzymajcie się!

— Ech, bracia, damy bobu Berlinowi.



J. PADORIN
SIERŻANT GWARDII

Do zwycięstwa

Nasza jednostka po wejściu w wyłom ścigała cofającego się nieprzyjaciela. Pod Mittenwalde i w samym mieście byliśmy zmuszeni przełamywać nową hitlerowską linię obronną.

Każdy dom był tu zamieniony w betonowy schron bojowy, ulice zabarykadowane, zamknięte podwójnymi płotami z grubych klocków, wypełnionymi kamieniami.

Nieprzyjaciel zaczął się w dużym murowanym domu. Strzelały stamtąd dwa karabiny maszynowe. Nasi strzelcy nie mogli się posunąć. Wtedy siedmiu z nas, pod dowództwem młodszego lejtnanta Kraśnickiego, otrzymało rozkaz otoczenia domu i zniszczenia jego załogi.

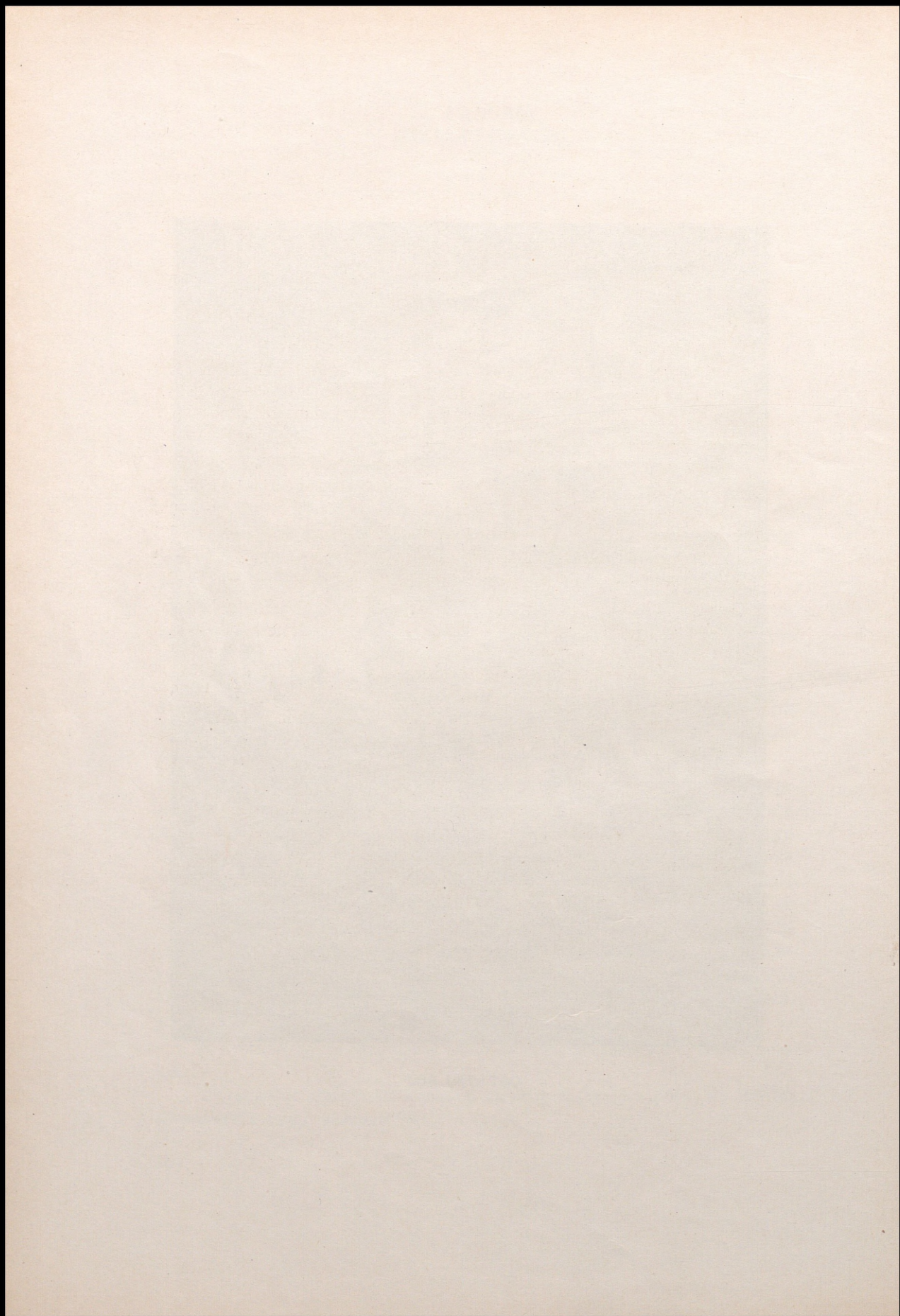
Spróbowaliśmy przedostać się w jednym, drugim miejscu — niespóź: strzelają. Musieliśmy wezwać na pomoc działą pancerne. Działą stańęło na stanowisku, dało strzał, pocisk zrobił wyrwę w murowanym ogrodzeniu. Przeszliśmy przez wyłom i dostaliśmy się na tyły nieprzyjaciela, który prowadził ogień przed swoim frontem. Uderzyliśmy nieoczekiwanie. Zniszczywszy obsługę dwóch karabinów maszynowych przedostaliśmy się do następnego domu. Wkrótec dom ten okrążyła grupa złożona z około 25 faszystów. Musieliśmy się bronić z okien na wszystkie strony. Hitlerowcy, kryjąc się wśród gruzów, czołgali się ku domowi. Byli zupełnie blisko, ale milczeliśmy czekając, aż się zbiją w większą gromadę. Nagle wrzasnęli i rzucili się na dom.

W krótkiej walce wybiliśmy około dwudziestu faszystów, reszta uciekła.

Mittenwalde wzięte. Za miastem na drogowskazie napis: „Do Berlina dwadzieścia osiem kilometrów“.



OSTATNI BÓJ



Od dwóch dni pada deszcz. Płaszcz napeężniały. Nieustanne walki i bezsenne noce zmęczyły ludzi, ale o odpoczynku nie można było nawet myśleć. Autostradą szły kilkoma rzędami czołgi i artyleria pancerna, samochody, wozy, piechota. Jak daleko sięgało oko, wszystko było wypełnione naszym wojskiem i naszym sprzętem; wszystko posuwało się do Berlina, do zwycięstwa.

Przypomniałem sobie „Niepokonanych“ Gorbatowa, starego robotnika Tarasa, i chciało mi się krzyknąć: „Patrz, stary Tarasie, jak się czasy zmieniły!“

Niskie chmury zmniejszały widoczność. Strzelcom zdawało się, że do Berlina jeszcze daleko, i przyśpieszali kroku.

W nocy podeszliśmy do kanału Teltow. Hitlerowcy wysadzili wszystkie mosty na kanale, wstrzelali się do każdego metra najbliższego podejścia, nadbrzeżne ulice zamienili w obronną linię umocnioną. Z tamtej strony wysoko podniosła się łuna płonącego Berlina, skutkiem czego urwisty brzeg rzucał na wodę czarny cień, co utrudniało nieprzyjacielowi obserwację. Wymacaliśmy wiązania wysadzonego mostu. Zanurzyły się one pod wodę, ale swobodnie wytrzymały ciężar kilku ludzi. Krył nas cień, cicho przeszliśmy na tamten brzeg i wdarliśmy się do jednego z nadbrzeżnych domów. Granatami i ogniem pistoletów maszynowych wybiliśmy obsługę nieprzyjacielskich karabinów maszynowych, opanowaliśmy parter i zajęliśmy stanowiska obronne.

Z dwoma towarzyszami stałem przy oknie z prawej strony, lewej strony bronił sierżant Gajmanow i dwóch strzelców. Starszy sierżant Didienko, starszy sierżant Babajanc i młodszy sierżant Saweljew zajęli się pierwszym piętrzem, a starszy sierżant Rezniczenko rzucił granaty do piwnicy.

Za zburzonym domem ukryła się grupa hitlerowców, ostrzeliwujących przeprawę z „pięści pancernych“. Gdy trafiliśmy dwóch z nich serią z pistoletów maszynowych, wróg skierował karabiny maszynowe na nasze piętro; jednocześnie Niemcy znajdujący się na pierwszym piętrze rzucili kilka granatów i z krzykiem ruszyli do szturmowania po schodach; spotkaliśmy ich ogniem pistoletów maszynowych i wybiliśmy co do jednego.

Zaczęła się masowa przeprawa naszych pododdziałów i strzelcy zalewali ulice tak, jak wezbrana woda po przerwaniu tamy zalewa nizinę.

Przez kanał

Ciemny błękit nocy lizały ogniste języki pożarów. Płomień ponuro oświetlał ruiny budynków. Tam za kanałem — Berlin...

Pamiętam, siedzieliśmy wówczas obok spalonej przybudówki. Zgliszcza dyszały jeszcze żarem. Błękitne ogniki gasnących węgla drżały od lekkiego wiatru. Słyszeć było, jak gdzieś obok trzeszczy dachówka. Naprzeciw mnie na wpół leżał na ceglach zwałonej ściany piechur. Zmrużył oczy. O czymś myślał i uśmiechał się do samego siebie, wypuszczając kłęby dymu tytoniowego.

— Cóż, towarzyszu lejtnancie, czy prawda, że nasi byli już kiedyś w Berlinie? — spytał siedzący tuż obok młody strzelec, uderzając kijem po dymiącej głowni.

— Byli, i my będziemy — odpowiedziałem. Piechur, odganiając ręką lecący z góry popiół przemówił głośno:

— Będziemy jutro. Berlin — jest tuż za kanałem, doszedłem do niego na własnych nogach od Moskwy. Ranili mnie nad Wołgą, a ja znów do szeregów i aż do Dniepru doszedłem. Także nie chcieli puszczać — oni nie chcieli, ale my chcieliśmy...

W gęstej mgłę ukazała się blada smuga świtu. Kilka czerwonych rakiet wzbijało się w niebo. Od strony kanału padły strzały. Ziemia zadrżała od grzmotu dział.

Mgła poruszyła się i na dymiące ruiny domów spłynął popiół.

Biły jeszcze działa, gdy ze spadzistego brzegu zaczęto spuszczać na wodę płaskodenną łódkę.

— Ee — raz!

— Ee — raz!

Łódka opuszczała się powoli. Kilku ludzi stało po pas w zimnej wodzie. Ja i moi zwiadowcy rzuciliśmy się do pomocy. Opierając się ze wszystkich sił rękami o smolistą burtę, stałem po kolana w rzadkim błocie i także krzychałem: Ee — raz! Ee — raz! Nasza ciężka artyleria toczyła nadal pojedynkę z dalekoosnymi działami wroga. Ta praca pod ogniem miała w sobie coś niezwykłego. Nagle nie znany mi starszy sierżant zachwiał się i upadł na łódkę.

— Wania, Wania! — zawołał wysoki, chudy sierżant i dotknął pleców tamtego. — Nie dożył!

Wyprostował się, zwrócił się twarzą do nieprzyjaciela. Po jego policzkach spływały duże łzy.

W końcu spuściliśmy łódkę na wodę. Skądś znalazły się deski i długie żerdzie. Chwytając za burtę żołnierze wleźli do łódki, która zanurzyła się głęboko. Przy każdym nieoczekiwanym pchnięciu zdawało się, że zaczerpnie wody, albo, że się przewróci. Opierając się żerdziami o dno i wiosłując deskami dwunastu strzelców odbiło od brzegu i powoli popłynęło w mgłę.

— Odejdźcie od brzegu! Wszyscy, wszyscy! Tam na górze są rowy strzeleckie, tam kazano iść! — krzychał szeregowiec służby porządkowej

Wszyscy powoli wleźli po stromym brzegu, odprowadzając wzrokiem oddalającą się łódkę.

Poszedłem z moimi zwiadowcami wzdłuż brzegu. Nogi grzęzły w bagnistym mule.

Huk armat cichł.

Zorza poranna bladła w światłach pożarów. Łódka była już na środku kanału. Zasypał ją grad pocisków karabinowych i odłamków. Woda jak gdyby gotowała się obok niej. Jedni wiosłowali, inni strzelali z łódki. Z naszego brzegu krzyczano do nich:

— Prędzej, prędzej!

— Jeszcze troszkę...

— Trzymajcie się, chłopcy, trzymajcie się.

Łódka była coraz bliżej tamtego brzegu — ktoś z siedzących w niej wypuścił deskę, którą wiosłował.

— Ranilo go.

— Cóż ty, oszalałeś, czy co? Gębę otwierasz? Nie widzisz! — Nieprzyjaciel tam, tam! — krzyknął nagle mój zwiadowca Bułosow i wyrwawszy ręczny karabin maszynowy z rąk piechura, otworzył ogień w kierunku tamtego brzegu.

Nie spuszczaaliśmy z oczu łódki. Była ona już o kilka metrów od tamtego brzegu. Wysoki sierżant skoczył po pas w wodę. Podali mu żerdź. Jeszcze ktoś wyskoczył. Przyciągnęli łódkę do brzegu. Kilku ludzi pociągnęło ciężką linę i przymocowało ją do drzewa. Drugi koniec liny był umocowany na naszym brzegu. Przeprawa była gotowa. Dwóch strzelców przebierając rękami po linie gnało łódkę z powrotem, reszta pełzła po tamtym

brzegu kanału Teltow. Widać było, jak deszcz pocisków przycisnął czołgających się do ziemi.

Podszedł do nas major, dowódca batalionu.

— Zaczepili się — to najważniejsze — powiedział patrząc na ludzi leżących na tamtym brzegu, na ziemi.

Mgła szybko się rozwiewała. Promienie porannego słońca ślizgały się po wodzie. Huk prawie ucichł. Wszędzie w oddali szalały pożary. Szare kłęby dymu unosiły się nad budynkami.

Spuszczono na wodę drugą łódkę. Przepelniona ludźmi powoli odbiła od brzegu. Za nią po raz drugi płynęła pierwsza łódka.

Hitlerowcy jeszcze się odgryzali. Wysokie słupy wody podnosiły się obok łódek. Rannych ostrożnie układano na poprzecznych deskach i posuwano się dalej, nie zmniejszając szybkości. Na brzegu wszyscy od razu wyskakiwali, wdrapywali na nasyp i czołgali się przypadając do ziemi. Teraz już i na tamtym brzegu strzelały nasze karabiny maszynowe.

Puste łódki przybiły do naszego brzegu. Rzuciliśmy się do nich. Chciało się jak najprędzej przeprowić na tamten brzeg. Odepchnęliśmy się od brzegu żerdzią. Łódka chwiejąc się szła naprzód. Na środku kanału wprost nad głową coś zagwizdało. Woda chlusnęła w twarz i nieprzyjemnie zabrzęczały odłamki.

— Ale prysznic!

Odwrociłem się. Mówił strzelec o rudych wąsach. Wycierał rękawem mokrą twarz i uśmiechał się. Odłamek przebił burtę. Woda lunęła przez otwór. Szybko zatkaliśmy go furazerkami i zaczęliśmy garściami wylewać z łódki mętną wodę. Do brzegu było już niedaleko. Zaświstały pociski wpadając do wody, tworzyły na niej rozchodzące się kręgi. Jeden ze strzelców oderwał nagle rękę od liny, a po wodzie czerwonymi krążkami spływała krew. Łódka uderzyła o brzeg. Wszyscy zachwiali się i wyskoczyli na ziemię z uczuciem ulgi. Strzelcy czołgali się w górę, a ja siadłem twarzą do kanału. Teraz można uważać, że jesteśmy w Berlinie.

Jakoś nagle stanęła przede mną cała ciężka droga od Orła, szeroki Dniepr. To wszystko jest już daleko, daleko poza mną. Przypomnieli mi się przyjaciele. Gdzie oni są? Co się z nimi stało? Wielu z nich na pewno już nie żyje. A ja jestem tu, w Berlinie. Gdyby moja matka wiedziała, że jej syn wkroczył do Berlina!

Przybiła i druga łódka. Na brzeg wyskoczyli szeregowcy służby łączności i zwiadowcy. Przysunawszy się do nas czekali na rozkazy.

Usłyszałem głos dowódcy naszej baterii mózdzierzy.

— Telefon ustawcie tu. Skripniczenko, przekazuj rozkazy telefoniście.

Zwracając się do mnie dowódca baterii odezwał się:

— No cóż, wystrzelimy?

Podniosłem się i pochyleni zaczęliśmy się wspinać na stromy nasyp. Pociski zagwizdały nad głowami. Musieliśmy się położyć.

Na prawo i na lewo leżeli strzelcy przylgnąwszy do ziemi.

Faszyści byli gdzieś niedaleko. Ale dokąd skierować ogień?

Jednym skokiem znalazłem się na górze, rzuciłem okiem na okolicę przed nami i upadłem jak kamień na ziemię. Dziesiątki pocisków przeleciało obok mnie. Jedno spojrzenie wystarczyło: nieprzyjaciel jest w rowach strzeleckich, osiemdziesiąt metrów od nas.

Rozkazałem zwiadowcom Sziszkinowi i Bułusowi poczołgać się w przeciwną stronę i przy wybuchach pocisków podnosić się na mgnienie oka i patrzeć, gdzie ukaże się dymek.

Dano komendę. Granat przeleciał nad głową. Sziszkin krzyknął:

— Plus 100 metrów.

Poleciał drugi granat z gwizdem i gdzieś tuż obok.

— Dobrze — krzyknęli jednocześnie obydwaj zwiadowcy.

— Bateria, po cztery, ognia!

Sekundy naprężonego oczekiwania dłużyły się. Jedna, druga, po czym zaczęły następować wybuchy. Dym zmieszał się z ziemią. Czuć było zapach prochu. Głowa pękała, szumiało w uszach. W skroniach pulsowała krew.

— Naprzód na Berlin, Hura...a!... — krzyknął ktoś tuż obok. — „Za Ojczyznę, za Stalina!“ Wszyscy podchwycili hasło bojowe i rzucili się naprzód w dym.

Nasi strzelcy wdarli się do rowów ciągłych, bili się wręcz. Saperzy rozminowywali pola minowe, metr za metrem rozszerzał się nasz przyczółek na północnym brzegu, a tymczasem przez kanał przerzucano już mosty.

Hitlerowcy wyskakiwali w panice z rowów strzeleckich, rozsypali się po polu i uciekali w kierunku domów. Ten, kto nie zdążył wyskoczyć, podnosił do góry trzęsące się ręce. Kazaliśmy natychmiast wyleźć Niemcom pozostałym w rowach strzeleckich.

Strzelcy byli już przy pierwszych domach. Słyszać było stamtąd strzelaninę z pistoletów maszynowych.

Pobiegliliśmy naprzód po płytkim wyłobieniu, pochylając się przed pociskami.

— Patrz! Patrz!

Na komin wysokiego domu wciągano wielką, jasnoczerwoną flagę.

R. SZARIKOW
MŁODSZY LEJTNANT

Duma

Artyleria zakończyła ostrzeliwanie pierwszej linii i przeniosła ogień w głąb pozycji obronnych nieprzyjaciela. Wówczas poderwali się do szturm nasi fizylierzy. Hitlerowcy, którzy ocaleli w rowach ciągłych, przywitani ich ogniem karabinów i broni samoczynnej. Fizylierzy przywarowali na brzegu kanału. Oczekiwali naszej pomocy.

Nasze moździerze nie kazały długo na siebie czekać. Pierwszy granat padł niedaleko od celu. Mała poprawka — i nieprzyjacielski karabin maszynowy umilkł.

Nasi zwiadowcy otworzyli ogień z pistoletów maszynowych z okien punktu obserwacyjnego. To także pomogło. Piechurzy płynęli już łódkami przez kanał. Niemcy wyskakiwali z rowów ciągłych i uciekali w stronę stosu bali drewnianych, ale i tam nie mogli się ukryć przed naszymi pociskami moździerzowymi. Uciekli do ogrodów, lecz i tam pociski ich wyprzedziły. Jeden z Niemców wyjął białą chusteczkę i machał nią nad głową.

Z krzykiem „hura“ przybiegli nasi fizylierzy przez rowy ciągłe i ogrody i wdarli się do pierwszych domów. Saperzy rzucili się do budowy mostów. My, by nie pozostać w tyle za piechotą, bieglśmy do przeprawy. Nad naszymi głowami wybuchały nieprzyjacielskie granaty. Nie zwracaliśmy na to uwagi. Każdy z nas wiedział, że przed nami są nasi fizylierzy, potrzebujący naszej pomocy. Wspinając się po szczątkach wysadzonego mostu, pluton dowodzenia przedostał się przez kanał, ale tam, zupełnie nieoczekiwanie przywitał nas ogień ocalałych hitlerowców.

Razem ze zwiadowcami, kanonierem Kuczerem i młodszym sierżantem Waginem, pobiegłem naprzód. Dobrnawszy do wału ziemnego padliśmy na ziemię. Podtrzymywani naszym ogniem fizylierzy już dawno bili się na ulicach miasta, gdzieś daleko na przedzie. Słyszeliśmy odgłosy walki. Głosy



Faszystowscy czołgiści kapitulują...

te wołały nas naprzód, kazały nam nie pozostawać w tyle — fizylierzy potrzebowali naszej pomocy.

Młodszy sierżant Wagin podniósł się i rzucił się do rowu strzeleckiego, za nim poszli wszyscy. Niemcy z twarzami pełnymi przerażenia podnieśli ręce. Wyrwałem podoficerowi pistolet, z którego celował do mnie.

Przybyliśmy na czas. Nasi fizylierzy zatrzymali się przed zawałą, spoza której faszyci strzelali z karabinów maszynowych i pistoletów maszynowych.

Szybka komenda telefoniczna — i nasze pociski moździerzowe wybuchają już za barykadą.

Fizylierzy rzucili się do szturmu, barykada została zdobyta.

Na stanowiskach ogniowych wszyscy rozumieli doniosłość tego dnia. Oficer ogniowy z przejęciem podawał komendy, notując je na kartce. Jego zapał i entuzjazm udzielał się obsłudze.

— Dalej, poślij im jeszcze jeden! — krzyczy amunicyjny, kanonier Wieliczko, podając uzbrojony granat ładownicemu.

— Do hitlerowskich gadów! — Komenderujący młodszy lejtnant Dubownicki i obsługa żegna swe granaty głośnym „hura“. Na minach napisy „Dla Hitlera od moździerzystów“, „Dla Goebbelsa od 1 baterii“.

— Patrzcie, jak szybko nasi się posuwają! — krzyczy działowy sierżant Maniedow. — Jak szybko oddała się cel!

— Wkrótce nie będziemy mogli go osiągnąć!

— Tak też być powinno — odpowiada sierżant Fiedołow. — Jak nie osiągniemy, to podjedziemy bliżej.

Pada komenda Dubownickiego.

Moździerze przyczepiono natychmiast do samochodów. Amunicję załadowano. Pod silnym, nieprzyjacielskim ogniem bateria podjeżdża do przeprawy.

Jeden za drugim pędzą przez most samochody z moździerzami.

Zdawało mi się, że serce Berlina kurczy się w konwulsjach, nie wytrzymując piorunujących uderzeń stalinowskiej artylerii. Tak, słyszałem jęk hitlerowskiego Berlina.

Byłem dumny z mego kraju, z mego narodu, z partii Lenina-Stalina. Powiem nawet — dumny z mej baterii.

Zdobycie stacji towarowej

Trudno wyrazić uczucia, które przeżyliśmy, gdy nasza zmechanizowana brygada gwardii przeprawiła się po moście, zbudowanym przez naszych saperów na kanale Teltow i gdy wkroczyła do Berlina. Właśnie tutaj odbyła się walka o stację towarową, która utkwiała mi w pamięci.

Na stacji tej krzyżowało się wiele linii kolejowych. Jedna z nich na stromym nasypie zagradzała nam drogę. Z nasypu leciały granaty móżdziejowe, były długimi seriami nieprzyjacielskie karabiny maszynowe. Stojąc w sieniach domów, sprawdzaliśmy broń, uzupełnialiśmy zapasy amunicji i czekaliśmy na sygnał do natarcia. Pomknęły ogniste strzały wyrzutni raketowych, rozległy się ogłuszające salwy naszej artylerii.

— Przygotowanie artyleryjskie, szepnął zwracając się do mnie młodszy lejtnant Szitiakow, dowódca naszego plutonu rusznic przeciwpancernych.

Dlaczego nasz młody dowódca mówi takim głosem, jak gdyby coś ukrywał — pomyślałem. Patrzyłem w kierunku, gdzie wybuchały nasze pociski.

— O czym myślisz? — zapytał mnie dowódca plutonu.

— O Uralu — odpowiedziałem. — Dziwne, patrzę na ogień i myślę o Uralu.

— Nieprawda, sam siebie oszukujesz. Nie myślisz o Uralu — powiedział i podbiegł do dowódcy kompanii, do której nasz pluton był przydzielony.

Gdy powrócił, wyjaśnił nam krótko zadanie i powiedział, że sygnałem do natarcia będą dwie białe rakiety. Wszystko było wyraźne — własne zadanie i zadanie jednostki. Pod osłoną ognia artyleryjskiego przyjęliśmy ugrupowanie bojowe i przywarliśmy całym ciałem do murowanej ściany do-

mu, rozbitego przez niedawne bombardowanie, patrzyliśmy na piekło przed nami. „Wiadomo, tam jest ciężko, na pewno zobaczysz naszego dowódcę brygady, pułkownika Gawriłowa“ — pomyślałem. Przechodził wzdłuż ściany i starał się spojrzeć w oczy każdemu strzelcowi, by sprawdzić, jak się czują towarzysze walki. I nagle przysłała mi myśl: przecież z nami jest nie tylko dowódca brygady, jest też dowódca armii, dowódca frontu, z nami jest sam wielki Stalin, wszyscy oni teraz myślą o nas, o szturmie na Berlin.

— Sygnał — powiedział stojący obok mnie szeregowiec Łowiagin.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem dwie białe rakiety wylatujące z sykiem w kierunku nieprzyjaciela.

— Naprzód, orły, do zwycięstwa! — usłyszeliśmy głos dowódcy brygady, wszyscy dowódcy podchwycili hasło.

Z okrzykiem — „Do zwycięstwa, za Stalina!“ — oderwaliśmy się od ściany i naprawdę jak orły poleciliśmy ku stacji. Zaczęły się minuty, które dzielą życie od śmierci.

Ogień nieprzyjacielskich karabinów maszynowych był bardzo silny. Zdawało się, że nie można głowy wysunąć, lecz ludzie biegli naprzód nie zwracając uwagi na ogień, padali, podnosili się i znów biegli. Przed nami ukazał się murowany budynek parterowy z platformą wyladunkową. Zatrzymaliśmy się tu na chwilę. Trzeba było przechodzić pod palącymi się wagonami, w których bez przerwy wybuchała amunicja. Innej drogi nie było. Za wagonami widać remizę parowozową i dwupiętrowy budynek, z którego strzelały niemieckie karabiny maszynowe trzymając pod ostrzałem platformę wyladunkową. Przez tę platformę przebiegliśmy pojedynczo i drobnymi grupami przedostawaliśmy się do remizy. Ja z moją drużyną wtargnąłem z lewej strony. Widać było stąd nieprzyjacielskie karabiny maszynowe, strzelające z okien dwupiętrowego domu. Wskazałem obsłudze cel i wydałem rozkaz otwarcia ognia na te okna. Gdy niemieckie karabiny maszynowe umilkły, rzuciliśmy się do remizy i rozpoczęliśmy walkę z hitlerowcami, którzy strzelali spod kół parowozów, z tendrów, ze wszystkich kątów. Tu już musieliśmy puścić w ruch granaty. Faszyci nie wytrzymali; ścigając ich, wyszliśmy na drugą stronę stacji. Tu podszedł do nas dowódca brygady. Powinszował nam pomyślnego wyniku walki i powiedział:

— Stację wzięliśmy. Wkrótce, chłopcy, i Berlin będzie nasz.

A. RADZIEJOWSKI
STARSZY SIERZANT

W czołgu Nr 376

Było nas czterech. Piąty, radiotelegrafista, został ranny i odszedł na punkt opatrunkowy.

Zapadał zmierzch. Wiatr i drobne kropelki deszczu biły nas po twarzy.

Dowódca czołgu nr 376, młodszy lejtnant Demyszew, zeskokczył z wieżyczki i pobiegł szukać objazdu. Przed nami na drodze był ogromny lej od bomby lotniczej. Zaczynał się Berlin.

— A więc? Jak tam? — pytaliśmy niecierpliwie dowódcy.

— Objechać z lewej strony — odpowiedział, licząc, że przeprowadzi czołg pomiędzy dwoma grubymi pniami powalonych drzew.

Włączyłem silnik. Czołg posłusznie skręcił, a za nami ruszyła reszta czołgów rozpoznawczych.

Z prawej strony było pole, a po lewej droga wciśnięta między dwa szeregi jedno i dwupiętrowych domów; droga prowadziła prosto do śródmieścia faszystowskiej stolicy.

Dodaję gazu. Przez warkot silnika słyszę spokojny głos dowódcy:

— Tu wypadnie szybko przeskoczyć jakieś osiemset metrów.

Czołg nabiera szybkości. Gdzieś przed nami błysnął wybuch i obok nas, ze świstem, pozostawiając za sobą ognistą smugę, przeleciał pocisk.

— Działo na wprost — zdążyłem krzyknąć, ale moja uwaga była zbyt cenna. Dowódca działa, starszy sierżant Wasiljenko, już wycelował swe działo i huk wystrzału zagłuszył moje słowa.

Czołg pędził z szaloną szybkością. Karabin maszynowy wyrzucał snopy pocisków, pozostawiających za sobą różnobarwne smugi.

Mimo zmroku udało się nam dojrzeć wynik strzału Wasiljenki: hitlerowskie działo leżało do góry kołami, obok niego dwa trupy. Serie kara-

binu maszynowego z naszego czołgu sypały się na prawo i lewo w okna piwnic.

Nie można było posuwać się dalej. Zmniejszyłem szybkość i wprowadziłem czołg pod osłonę domu. Musieliśmy wyjaśnić, co się dzieje za wągłem.

Fizylierzy zeszli do piwnicy, usłyszeliśmy stamtąd wystrzały i wybuchy granatów.

Wkrótce drużynowy, fizylier Blin, uśmiechając się, przyniósł jako trofeum „pięść pancerną“. Hitlerowca chcącego wysadzić nasz czołg za pomocą tej „pięści“, zabił w walce wręcz.

Okazało się, że w odległości trzech bloków od nas, na skrzyżowaniu, hitlerowcy wkopali czołg. Zdecydowaliśmy przeskoczyć ulicę i plac za nią, i zniszczyć nieprzyjacielski czołg, lecz w tej samej chwili cztery pociski wybuchły obok nas. W odchylony właz powietrze wdarło się z taką siłą, że hełm zleciał mi z głowy.

— Świecę dymną! — krzyknął dowódca czołgu.

Po omacku schwyciłem świecę i oddałem ją ładownicemu, sierżantowi Żukowowi. Za chwilę rozległ się syk i kłęby czarnego dymu okryły czołg. Udawaliśmy, że płonie.

Nagle z domu, z którego strzelały „pięści pancerne“, wypadł fizylier i tracąc dech z pośpiechu krzyknął:

— Nasi są na pierwszym piętrze, Niemcy na drugim i na poddaszu. Trzeba ognia.

Wieżyczka obróciła się i trzy pociski uspokoiły „lokatorów“ drugiego piętra. W strych trafiono z następnego czołgu. Wkrótce z okną wywieszono białą szmatę — „lokatorzy“ nie wytrzymali i wybiegli z domu z podniesionymi rękami.

Było już zupełnie ciemno, gdy nadeszły nasze główne siły. Przelatujące nad ulicą pociski pozostawiały smugi ciągnące się we wszystkich kierunkach. Walka rozgorzała.

Teraz naszym zadaniem było, pozostając na miejscu, pomagać na dany sygnał piechocie i fizylierom.

Nagle za mgłą znów rozległ się wystrzał. Gąsienica czołgu stojącego obok nas została rozbita, lecz jego załoga zwróciła działo w kierunku strzału i otworzyła ogień. My dodaliśmy. Dwa pociski przedziurawiły hitlerowski czołg, wkopany na skrzyżowaniu ulic.

Dla bezpieczeństwa zmieniliśmy miejsce postoju, gdyż można nas było wciąć kierując się błyskiem wystrzałów.

— Oto dostaliśmy się do Berlina — powiedział ładowniczy.

Teraz to już koniec dla nich.

— Koniec jest bliski — odpowiedział ktoś — ale wypadnie im dodać i „gołego“, i „z paseczkiem“.

W języku czołgistów „goły“ jest to pocisk z zapalnikiem natychmiastowym, a „z paseczkiem“ — przeciwpancerny.



Zwiad

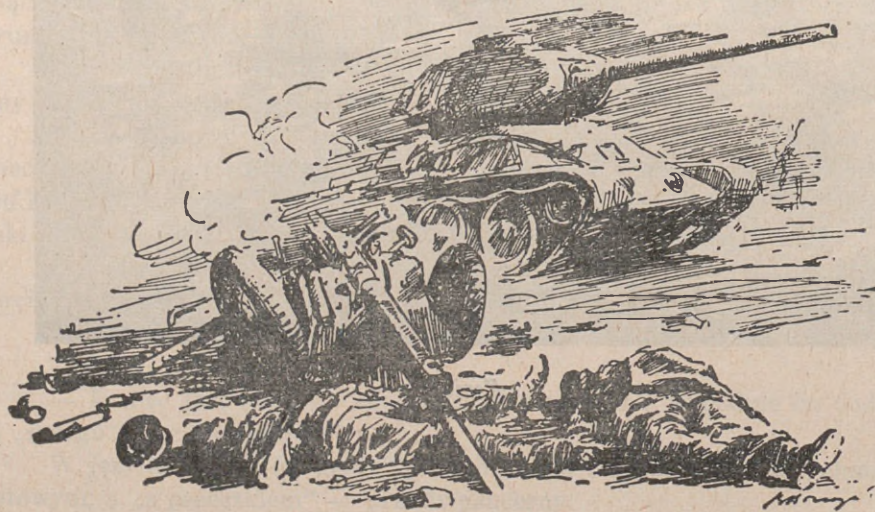
Do świtu pozostało około półtorej godziny.

Szarzało zaledwie, gdy puściliśmy w ruch silniki i posunęliśmy się dalej.

W tej chwili ze strychu jakiegoś domu otworzono ogień z „pięści pancernych“.

Nasz czołg zapalił się. Cofnąłem go; towarzysze zaczęli dusić płomień płaszczami i kocami. Coraz trudniej było oddychać. Oderwałem się na kilka chwil od kierownicy i podałem w górę gaśnicę. Po chwili udało się ugasić płomień, ale silnik zaczął „kichać“, gdyż benzyna źle dochodziła. Silnik podjął należyłą pracę dopiero wówczas, gdy połączyliśmy go z zapasowym zbiornikiem.

W czasie, gdy gasiliśmy pożar, reszta czołgów posunęła się o sto metrów, a nasze miejsce natychmiast zajął inny czołg.



W. TAGANCEW
MŁODSZY LEJTNANT

Spotkanie w tunelu

23 kwietnia pułk, w którego składzie działał nasz batalion pod dowództwem kapitana gwardii Wołoszczuka, przerwał kilka hitlerowskich linii obronnych tuż u wejścia do Berlina i wdarł się do miasta. Tu trzeba było rozbić się na drobne grupy szturmowe, złożone z dwóch do dziesięciu ludzi. Byłem organizatorem partyjnym batalionu, lecz wszedłem również do jednej z grup.

Moja grupa składająca się z pięciu ludzi wszczęła jako jedna z pierwszych walkę na Dworcu Śląskim. Podczas pierwszych dni walki w Berlinie opór, który napotkaliśmy na Dworcu Śląskim, był, powiedziałbym, najsilniejszy. Faszyci zaczęli się w gmachu dworca, w oknach ustawili ciężkie karabiny maszynowe, na strychach ukryli strzelców wyborowych.

Zdecydowałem wdrzeć się do tego budynku od tyłu, przez jedno z okien wychodzących na peron. Wleźliśmy przez okno, znaleźliśmy się w korytarzu i weszliśmy na schody, prowadzące do pokoi, z których Niemcy strzelali na ulicę. W niektórych pokojach hitlerowcy bronili się już przed naszymi strzelcami, którzy wdarli się do budynku. Starszy sierżant Bykowski zapędził nieprzyjacielską grupę do ostatniego pokoju. Zamknęli się tam. Bykowski zawołał mnie do pomocy. Schwyciłem topór przeciwpożarowy i zacząłem wylaamywać drzwi. Po wyłamaniu drzwi zarzuciliśmy faszystów granatami. W pokoju było ich dwunastu. Ani jeden z nich nie wyszedł. Gdy skończyliśmy z nimi, pobiegliśmy na pomoc towarzyszący walczącym na drugim piętrze. Usłyszałem, że w jednym z pokoi za żelaznymi drzwiami strzela karabin maszynowy. Próbowałem wylaamywać drzwi, ale nie udało się. Wówczas poleciłem mojej grupie pozostać i pilnować, by żaden z hitlerowców nie uciekł, a sam zszedłem na dół, wyskoczyłem przez okno, pobiegłem do majora Wołoszczuka i zameldowałem,

że potrzebna jest pomoc artylerii; ale wykryty przez nas karabin maszynowy był tak dobrze zamaskowany od zewnątrz, że artylerzyści nie mogli go odkryć. Major Wołoszczuk bierze słuchawkę telefoniczną i wzywa dowódcę czołgów. Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy nadszedł czołg „IS”. Pobieglem, by pokazać czołgistom miejsce, skąd strzelał karabin maszynowy. Nagle mnie ogłuszyło. Obok rozerwał się pocisk „pięści pancernej”. „Spostrzegli przekłęci” — pomyślałem i krzyknąłem z całych się do czołgistów:

— Towarzysze, widzicie na drugim piętrze okno z roletą, tam jest karabin maszynowy.

Czołg pierwszym pociskiem zniszczył karabin maszynowy.

Wróciłem biegiem do mojej grupy i nadal walczyłem w budynku. Wdarliśmy się do tunelu, którym przechodziły szyny kolejki wąskotorowej. Światła nie było; ścigając nieprzyjaciela oświetlaliśmy kieszonkowymi latarkami szyny, wagoniki, kabiny dźwigów i rozmaite ciemne zakątki. W jakiejś małej budce paliła się przyćmiona lampka. Gdy zbliżyliśmy się, z budki wyjrzały dwie młodziutkie dziewczyny. Nie zdążyłem pomyśleć: „jakie podobne do naszych”, kiedy krzyknęły po rosyjsku i rzuciły się ku nam obejmując nas i całując. Były to naprawdę rosyjskie dziewczyny. Powiedziały nam od razu swoje imiona. Jednej było na imię Raja, drugiej Marusia. Były wywiezione z okolic Stalingradu.

— Ach, kochani — doczekałyśmy się końca naszej katorgi — mówiły ze łzami w oczach i dokądś nas ciągnęły.

Chciały nas koniecznie ugościć piwem. Weszliśmy do piwnicy, która, jak się okazało, była restauracją. Niemcy dopiero co stąd uciekli. Wypiliśmy z dziewczynami po kuflu piwa i poprosiliśmy je, by służyły nam jako przewodniczki. Poszły naprzód, pokazując wszystkie nory podziemne, w których mogli się jeszcze ukrywać hitlerowcy. Pożegnaliśmy się potem z nimi i obiecaliśmy sobie spotkać się w ojczyźnie.



Szturm dworca

List instruktorki sanitarnej*

Nasz pułk artylerii pancерnej nacierał razem z czołgami. Pędziliśmy naprzód, opierając się o ściany pancerza, rozgrzanego od słońca i ognia. O swoim wyglądzie nie będę mówiła — cały kurz i błoto z gąsienic leciały na mnie. Nieprzyjaciel otworzył ogień z kilku dział na nasze lewe skrzydło, lecz nasze działa szczęśliwie przemknęły się pod ogniem i ustawione na stanowisku ogniowym dały ognia do nieprzyjacielskiej artylerii. Nieprzyjaciel otworzył ogień także na nasze prawe skrzydło. Co się tam działo! Artylerzystów i czołgistów jest dużo, a ze służby sanitarnej ja byłam jedyną sanitariuszką. Ranni padali i ze wszystkich stron rozbrzmiewały głosy: „Nina pomóż mi, odciągnij mnie“. Zupełnie zapomniałam, że sama mogę być ranna, zeskoczyłam z opancerzenia i starałam się jak najprędzej opatrywać wszystkich rannych i odciągnąć ich w bezpieczne miejsca. Dowództwo zastanawiało się nad tym, jaki manewr będzie najdogodniejszy i najkorzystniejszy. Jeżeli się cofniemy, nieprzyjaciel będzie strzelał do żaluzji i zbiorników z benzyną, a zostać na miejscu nie można — dwa działa pancerne już się zapaliły, opatrywałam oparzonych kierowców. Zdecydowano zjechać w bok z drogi i zająć na tyły hitlerowców. Lekko rannych wsadzono na działa, a ciężko rannych pozostawiono ze mną. Innego wyjścia nie było.

Przeniosłam piętnastu rannych do piwnicy jakiejś szopy. Opatrywałam ich. Robiąc zastrzyki uprzytomniłam sobie, że działa odeszły i że ze mną nie pozostał ani jeden zdrowy żołnierz, a nieprzyjaciel jest w odległości

* List ten, otrzymany przez redakcję pocztą, nie ma podpisu. Zamiast podpisu autorka podpisała: „Służę jako sanitariuszka w pułku artylerii pancерnej: za udział w szturmie na Berlin odznaczono mnie orderem „Sławy“ 3 stopnia i medalem „Za Odwagę“.



*Uczestniczka walk o Berlin, instruktor sanitarny, starszy sierżant Matja
Nieczuporczykowa, odznaczona trzykrotnie orderem „Sławy“.*

trzystu metrów. Pomyślałam, że jednakże należy prowadzić obserwację, wzięłam lornetkę od jednego z rannych i wybiegłam z szopy, zabierając pistolet maszynowy. Naprzeciw mnie był jakiś schron. Nie wiedziałam, czy jest tam ktoś, i postanowiłam na wszelki wypadek sprawdzić.

Cóż to była za chwila, gdy schodziłam do schronu! Serce biło mi rozpaczliwie, a w głowie — tysiące myśli. A jeżeli mnie zabiją, co będzie z rannymi? Pozostaną sami i też zostaną zabici. Wiele przemyślałam przez te sekundy. Ale iść trzeba było. Okazało się, że nie było niebezpieczeństwa. W schronie ukrywało się przed strzałami trzech Niemców — cywilów i dwie Niemki. Gdy mnie zobaczyli, podnieśli ręce. Sprawdziłam tylko, czy nie mają broni. Nie znalazłam nic i pobiegłam z powrotem. Niemiecki strzelec wyborowy na pewno mnie już przedtem spostrzegł. Gdy przebiegałam przez ulicę, zaczął strzelać do mnie spoza kamienia. Zanim byłam ranna, służyłam w piechocie i wiedziałam, jak i kiedy należy się maskować, gdzie przebiec, gdzie paść i poleżeć przez cztery minuty, a potem biec w przeciwnym kierunku. Sama byłam dawniej strzelcem wyborowym, tak że łatwo było mi oszukać tego strzelca. W końcu dostałam się do piwnicy. Z rannymi wszystko było w porządku.

Czekałam na zmrok i na nadejście pod osłoną nocy samochodu sanitarnego. Maskując się na podwórzu za szopą, obserwowałam nieprzyjaciela, który każdej chwili mógł tu nadejść. Potem wlałam na dach i obserwowałam spoza komina. Drogą niedaleko od nas cofali się hitlerowcy. Biegli oni nie pochylając się nawet, a ja nie miałam z czego strzelać na taką odległość — nie miałam ani „Maksima“ ani „Diegtiariewa“. Nagle widzę, z prawej strony poza mną ktoś łązi. Zeskoczyłam z dachu i ukryłam się, ale widząc, że to nasz żołnierz, podeszłam do niego. Był to zwiadowca piechoty z ręcznym karabinem maszynowym. Prosiłam go, by przejechał się serią po drodze, którą cofali się hitlerowcy. On nie zgadzał się mówiąc, że ma specjalne zadanie i nie może tracić czasu na głupstwa... Widzę, że udaje zbyt ważnego i żal mi się robi, że faszyci uciekną. Mówię do niego:

— Słuchaj, dziewczyna cię prosi.

Zgodził się wówczas przez grzeczność. Ustawił w krzakach karabin maszynowy i wypuścił pół dysku. Potem ja sama przylgnęłam do „Diegtiariewa“. Od 1943 r. nie strzelałam z karabinu maszynowego, byłam sanitariuszką w artylerii pancerniej, ale ręka legła po dawnemu i karabin maszynowy zagrał. Jednakże pół dysku „Diegtiariewa“ to nie jest pas „Maksima“. Nie było więcej nabojów. Hitlerowcy padli na chwilę, ale gdy przestałam strzelać, pobiegli na nowo, co prawda niektórzy kuleli, a niektórzy pozostali na miejscu. Jednakże oburzenie moje nie prowadziło do niczego. Zawsze miałam ze sobą granat, lecz na taką odległość był beзуżyteczny. Zmuszona byłam stać bezradnie z opuszczonymi rękami i patrzeć z dachu szopy, jak faszyci bezkarnie uciekają drogą. Jedną miałam tylko nadzieję, że gdzieś na drodze natkną się na nasze działo pancerne. Tak też się stało.

Z lasu słyhać było wystrzały i podskoczyłam z radości zobaczywszy, jak na drogę wyrwały się nasze czołgi i hitlerowcy rzucili się do ucieczki.

Wróciwszy do rannych, napiłam ich, otuliłam, uspokoiłam, sama jednakże nie byłam spokojna, a jeżeli w zamieszaniu zapomnę, że mnie tu zostawili z rannymi i nie wyślą sanitarki? Niepokoiłam się także, że tam toczy się walka, a przy działach nie ma opieki sanitarnej.

Gdy zapadł mrok, przechodziło obok nas jedno działo po naprawie, doganiając pułk. Zatrzymałam je, połączyłam się przez radio z dowództwem i zameldowałam, że samochód sanitarny jeszcze nie przyjechał. Zameldowano o tym pułkownikowi i ten polecił natychmiast wysłać samochód po rannych. Nie czekaliśmy długo.

Nad ranem odnalazłam swój pułk. Pośród dział czułam się ponownie na właściwym miejscu. Tu wszystko było w porządku.

Byłam bardzo zmęczona, gdyż nie spałam przez kilka nocy; zasnęłam w piwnicy jakiegoś domu na krańcu Berlina. Zbudził mnie łącznik. Powiedział, że działa już poszły. Prędko zerwałam się z miejsca i pobiegłam. Lecz dokąd biec? Szłam śladem gąsienic, ledwie widocznym na jezdni. Biegłam niedługo, potem zaczęłam się przekradać wzdłuż domów, by nie wpaść pod pociski strzelców wyborowych strzelających z różnych stron. Do dział było już niedaleko, trzeba tylko przebiec przez ulicę. Ale jak przebiec, skoro na drugim piętrze narożnego domu zasiadł jakiś przekłety faszysta z karabinem maszynowym. Zauważyłam, że w miejscach, gdzie nasi padają zabici lub ranni, cywile Niemcy swobodnie przechodzą przez ulicę i zdecydowałam się na mały podstęp. Obok bramy leżał jakiś stary koszyk. Włożyłam do niego torbę sanitarną i furażerkę, zdjęłam płaszcz, odwróciłam go na lewą stronę, narzuciłam na siebie, wzięłam do ręki laskę i przeszłam przez ulicę powoli jak staruszka. Nasi towarzysze, którzy stali za domem, obserwowali mnie z napiętą uwagą. Dużo przeżyłam, gdy tak szłam, różne myśli tłukły się po głowie. Ale wszystko skończyło się dobrze. Hitlerowiec uważał mnie za swoją i nie wypuścił ani jednego pocisku. Przybrałam z powrotem wygląd bojowy i pobiegłam do dział.

Pierwszego spotkałam mechanika — kierowcę, poszukującego miejsca, gdzie można by postawić działo, żeby móc strzelać, a nie być trafionym. Zaledwie podeszłam do niego i zapytałam czy są ranni, gdy obok wybuchł pocisk. Poczulałam, że coś mnie uderzyło w nogę. Oparłam się o gąsienicę i dotknęłam nogi, by sprawdzić, czy nie ma krwi, lecz spostrzegłam, że inni potrzebują pomocy sanitarnej. Pomyślałam, że moja rana w porównaniu z innymi to głupstwo i nie traciłam czasu na opatrunek. Wdrapałam się na działo pancerne, na jego część bojową i zaczęłam wyciągać odłamki z rany kierowcy. Jednakże po mojej nodze sączyła się krew.

Po zrobieniu opatrunku kierowcy zdecydowałam się opatrzyć własną ranę. Ale nie zdążyłam — znów wybuchł pocisk i znów potrzebna była pomoc sanitarna. Schodząc z dział zaledwie mogłam stąpać, bolało tak, że

chciało mi się krzyżeć. Nagle widzę inne działa skreca, a pod nim leży nasz ranny. Ogarnęło mnie przerażenie, pomyślałam, że zginię rannego. Ból w nodze przeszedł od razu, nie pobiegłam, lecz podleciałam do działa i zamachałam rękami, gdyż panował straszny hałas i głosu mego nikt by nie usłyszał. Nic się nie stało, działa przejechało nie tknąwszy rannego. Schwyciłam go i przeniosłam do sieni jednego z domów. W tej chwili przybył samochód sanitarny z lekarzem. Lekarz zajął się rannymi, a ja usiadłam w sieni i zaczęłam opatrywać swoją ranę. Lekarz zapytał, co robię. Powiedziałam, że wyciągam z nogi odłamki, które są widoczne. Zapytał: „A te których nie widać“? i kazał mi jechać do batalionu sanitarnego. Pomógł mi wsiąść do samochodu. Dojechaliśmy do batalionu sanitarnego. Tam było mnóstwo rannych. Nie miałam wówczas czasu czekać. Pojechałam z powrotem, zdecydowałam się leczyć sama. Wyglądałam strasznie, cała we krwi i kurzu, ale gwiazda na furażerze i legitymacja partyjna w kieszeni mówiły mi, że nie tylko ja jedną znoszę te trudy, braki i cierpienia.

Oto jest cała króciutka historia, najzwyczajniejsza w Berlinie, milionowa może, część całego szturmu.

J. NORECKO
ST. STRZELEC

Na moście

Miejsce, na którym trzeba było zbudować przeprawę przez pierwszy kanał, było pod silnym ostrzałem nieprzyjacielskim. Skok do brzegu, obok zniszczonego mostu, wykonaliśmy pod ogniem huraganowym. Błyskawicznie wyładowaliśmy łódki i przystąpiliśmy do pracy.

Każdy saper wiedział, że tysiące żołnierzy radzieckich czeka na przeprawę. Wiedzieliśmy, że od nas wiele zależy, i postanowiliśmy skończyć budowę przeprawy w wyznaczonym terminie, bez względu na ostrzał i wszelkie inne trudności. Saperzy, którzy pracowali wraz ze mną, patrzyli śmierci prosto w oczy i nie żalowali życia i krwi, wiedząc, że walczą o szczęście przyszłych pokoleń. Dowódca batalionu, major Czernyszew Wiktor Sjergiejewicz, którego szanowaliśmy jak ojca, śledząc postępy roboty, mówił:

— Drodzy przyjaciele, walczyście jak lwy, dzięki wam za to!

Gdy skończyliśmy budowę przeprawy, gdy przeszły po niej pierwsze oddziały artylerii i moździerzy, serca nasze napełniły się uczuciem wielkiej radości.

Nasz bohaterski dowódca batalionu patrzył na przejeżdżające przez most armaty i samochody z uśmiechem szczęścia. Przeprowadzające się wojska wprawiały go w zachwyt.

Ostrzał nieprzyjacielski trwał nadal, mimo że przeprawa była skończona, a fala wojska płynęła na drugi brzeg. Pocisk nieprzyjacielski wybuchł koło budynku, obok którego stał Wiktor Sjergiejewicz Czernyszew. Major otrzymał śmiertelną ranę odłamkiem w bok i tegoż wieczora zakończył życie w szpitalu.

Był z nami zawsze razem w samym piekle. Pod jego kierunkiem bojowym nasz batalion niemało przyczynił się do zwycięstwa, otrzymał order Czerwonego Sztandaru, później Aleksandra Newskiego, otrzymał siedem

podziękowań od naszego Wodza Naczelnego, towarzysza Stalina, i nazwę „łódzkiego“, a teraz, po śmierci dowódcy batalionu również i „berlińskiego“.

Gdy żegnaliśmy zwłoki naszego dowódcy, nikt z nas nie mógł powstrzymać się od łez. „Rzadko się zdarza spotkać młodego człowieka, tak wszechstronnie utalentowanego, jak nasz dowódca batalionu“ — mówili nad jego trumną towarzysze. To była prawda. Przemawiał zastępca dowódcy do spraw politycznych i nie mógł skończyć — machnął ręką i zapłakał jak dziecko. Później zabrał głos nasz organizator partyjny, mężczyzna żołnierz i łzy przerwały mu ostatnie słowa. Kochaliśmy swego dowódcę i dziś czcimy święcie jego pamięć. Daliśmy salwę honorową i samochód ze zwłokami odjechał.

Zaczęliśmy posuwać się w kierunku śródmieścia Berlina.

Dopiero nad drugim kanałem udało się nieprzyjacielowi zatrzymać trochę tempo naszego marszu.

Przez kanał prowadziły cztery mosty. Trzy były zniszczone, czwarty ocalał. Był to wielki, szeroki most z dwoma torami kolejowymi. Hitlerowcy nie zdążyli go wysadzić, ale skoncentrowali przy nim masę swoich wojsk.

Nasi czołgiści wdarli się pierwsi na most. Spotkał ich grad pocisków artyleryjskich i moździerzowych oraz „pięści pancernych“. Dwa nasze czołgi stanęły w płomieniach. Ale czołgiści przebojem szli naprzód. Artyleria wdarła się również na most. Niemcom udało się celnym rzutem granatu uszkodzić jedną z armat, akurat pośrodku mostu. Dwóch kanonierów z obsługi działa padło martwych, zabite były również dwa konie. Armata z martwymi końmi zatarasowała drogę i wstrzymała ruch wojsk, które powinny były za wszelką cenę przedostać się na drugi brzeg, na pomoc czołgistom i oddziałom, które przeprowiły się przed nimi.

Dostaliśmy rozkaz, aby jak najprędzej zrzucić z mostu armatę wraz z końmi. Trudność polegała na tym, że most z obu stron był ogrodzony balustradą, wysokości około trzydziestu centymetrów. Przez tę balustradę trzeba było przerzucić armatę.

Część saperów pod ogniem wszelkiego rodzaju broni rzuciła się ku armacie — część do koni.

Znalazłem się przy armacie. Było nas czterech: prócz mnie starszy sierżant Donskow, młodszy sierżant Łomocnow i st. saper Wania Jeremienko. Dwóch chwyciło za przód, a Donskow i ja — za tylną część działa.

Zapomniałem powiedzieć, że już dawno zapadł mrok — zauważyliśmy, że to noc dopiero wówczas, gdy koło nas zagwizdały świecące pociski. Skąd wzięliśmy tyle sił! Chwyciliśmy armatę i postawiliśmy ją na balustradzie. O siedem metrów od nas wybuchł granat i musieliśmy na sekundę paść na ziemię. Andrzej Donskow powiedział do mnie:

— No, Jasza, zadanie jest prawie wykonane. Jeszcze chwila i armata zleci!

I dał sygnał:

— Hej, brać — razem!

Ale w tej chwili nieprzyjacielski pocisk karabinowy trafił go w plecy, w stos pacierzowy, podchwyciłem go i chciałem wynieść z pola ostrzału, ale Donskow wyrwał mi się z rąk i krzyknął:

— Chłopcy, kochani, nie zajmujcie się mną, kończcie zadanie, ze mnie i tak nic nie będzie!

Armatę zwaliliśmy za jednym zamachem — i tak kołysała się już, wisząc na balustradzie. Natychmiast potem wziąłem przyjaciela na plecy i przy pomocy innych żołnierzy wyniosłem spod ostrzału. Sam miałem nogę przestreloną pod kolanem, mój drugi towarzysz był ranny w rękę. Gdy zeszliśmy z mostu, mieliśmy zupełnie mokre koszule, jakbyśmy pracowali pod ulewnym deszczem. Dopiero teraz spostrześliśmy, że patrzyło na nas tysiące żołnierzy, śledząc każdy nasz ruch tak, jakby od nas zależały ich losy.

Cheę jeszcze poświęcić parę słów pamięci mego drogiego towarzysza, Andrzeja Donskova. Umarł, gdy tylko przynieśliśmy go na punkt opatrunkowy. Zachowaliśmy o nim serdeczne wspomnienie. Nasz bohaterski przyjaciel miał order Czerwonej Gwiazdy, Wojny Narodowej drugiego stopnia, Sławy trzeciego stopnia, medal „Za Odwagę“ i odznaki „Saper Wyborowy“ i „Miner Wyborowy“.

Niech wiedzą nasze dzieci radzieckie, jak ich ojcowie i starsi bracia walczyli w Berlinie za ojczyznę, za naszego Stalina. Można by jeszcze dużo napisać — i o tym, jak niebo po drugiej stronie kanału paliło się pod ogniem naszych „Katiusz“ i jak runęły mury wielkich gmachów, z których strzelały hitlerowskie karabiny maszynowe — ale jestem zanadto wzruszony, piszę całym sercem i jeszcze nigdy tyle nie napisałem.

Z pamiętników i listów

23 kwietnia

Most przez kanał Teltow miał 16 ton wytrzymałości, a haubica i ciągnik ważą ponad 25 ton. Duże ryzyko, ale nie można zwlekać.

Pierwszy ruszył na przeprawę kierowca Adiejew. Belki i szyny żelazne ugięły się pod ciężarem do samej wody. Woda przelewała się górą na wysokość 20—25 centymetrów. Mimo to przeprawił się szybko na północny brzeg kanału i bez zatrzymania zajął stanowisko ogniowe na drugim brzegu. W godzinę później ciężka artyleria była gotowa do otwarcia ognia na Reichstag. Trudno było przeprowadzić łączność ze stanowiska ogniowego na punkt obserwacyjny — strzelcy wyborowi i fizylierzy nieprzyjacielscy, siedzący na dachach i strychach ostrzeliwali bez przerwy ulicę. Mimo to starsi sierżanci Demczenko i Zajnulin oraz kanonier Chidaszeli przeciągnęli przewód.

Dziesiąta minut pięćdziesiąt. Celowniczy Sokołow trzyma za ciężki. Ładowniczy Kutosiewicz mówi zdenerwowany:

— A jeżeli dowódca dywizjonu spóźni się z rozkazem i będziemy ostatni, którzy dadzą ognia do Reichstagu?

Przy telefonie oficer ogniowy baterii czeka z zapartym tchem. Wreszcie nadchodzi długo oczekiwana komenda: „Do serca legowiska zwierza faszystowskiego — Reichstagu — dywizjon ognia!”. Ciężkie pociski poleciały jeden za drugim w samo serce imperializmu niemieckiego.

Obsługa dział pracuje z potrójną energią. W biegu, z pociskiem w rękach, kanonier Panczuk mówi do kanoniera Szelestuna:

— O ten dzień, o tę chwilę walczyliśmy cztery lata.

Major ŁADYNIN

O godzinie 9,00 komsomolcy z batalionu Bohatera Związku Radzieckiego majora Aleksiejewa przedarli się na wieżę ciśnień koło Dworca Śląskiego i zatknęli na niej sztandar z napisem: „Chwała Armii Czerwonej!”. Hitlerowcy, na widok czerwonego sztandaru na wieży, otworzyli doń ogień z karabinów maszynowych i dział. Dwa razy udało im się strącić sztandar, ale za każdym razem po pięciu minutach powiewał on z powrotem na wieży.

Młodszy lejtnant K. GROMOW

Pułk nasz zakwaterowano w jednym z największych szpitali dziecięcych w Berlinie. W głębokich piwnicach tego budynku znaleźliśmy mnóstwo chorych dzieci, przeważnie w wieku poniżej trzech lat. Rodzice ich w większości wypadków byli tam, gdzie hitlerowskie wojska trwają jeszcze w swym bezcelowym oporze. Linia frontu przechodzi przez ulice i place miasta. Chore dzieci od kilku dni nie otrzymywały posiłków, groziła im śmierć głodowa. Nasz dowódca rozkazał zapewnić szpitalowi zapasy żywności na przeciąg dwóch, trzech tygodni. Dyrektor szpitala otrzymał natychmiast dla swoich pupilów ryż, cukier, mięso, chleb i nawet cztery dojne krowy. Cóż za przejścia od złowieszczej propagandy Goebbelsa, która zapewniała całe szpalty opisem okrucieństw, popełnianych jakoby przez rosyjską armię w stosunku do ludności niemieckiej! Zmieszanie i zdumienie personelu sanitarnego były nie do opisania.

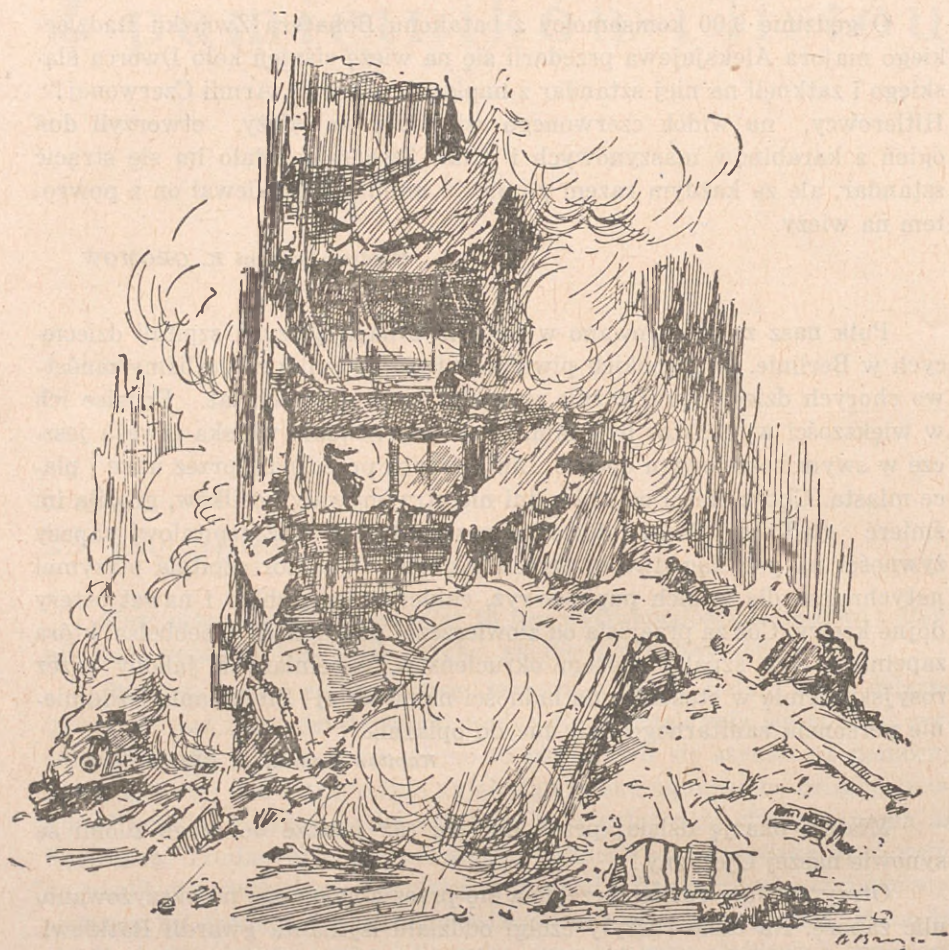
Kapitan gwardii A. BRONSTEIN

Miałem okazję dzisiaj przekonać się raz jeszcze do czego zdolni są synowie naszej Ojczyzny!

Otrzymaliśmy rozkaz przebicia się przez zbudowaną na skrzyżowaniu ulic zaporę. Na czele ruszyły czołgi oddziału lejtnanta gwardii Ratkiewicza. Za nim, w odległości pięćdziesięciu metrów — mój oddział. Ratkiewicz prowadził ogień do fizylierów i obsługi „pięści pancernych“. Wtem zauważyłem, że do domu, na który posuwał się oddział Ratkiewicza, przebiegają hitlerowcy, chcący przepuścić nas i uderzyć z tyłu.

Kazałem radiotelegrafiście zameldować dowódcy kompanii kapitanowi gwardii Archangielskiemu o wynikłej sytuacji, a sam z całym oddziałem otworzyłem ogień ze wszystkich rodzajów broni. Z okna piwnicy w kierunku naszej piechoty zaszczekał karabin maszynowy. Na czołgi posypał się deszcz granatów przeciwpancernych. Jeden z czołgów zaczął się palić.

Dwóch członków załogi tego czołgu poległo. Dowódca i jeden z załogi wydobyli się z czołgu pokrwawieni i poparzeni. W czołgu pozostał tylko kierowca, starszy sierżant gwardii Anatol Iwanow. Kierowca wyjrzał z włązu, krzyknął: „Za Ojczyznę! Za Stalina!“ i ruszył szalonym pędem na płonącym czołgu prosto na zaporę. W naszych oczach nastąpił straszliwy wybuch. Czołg musiał wpaść na minę koło samej zapory.



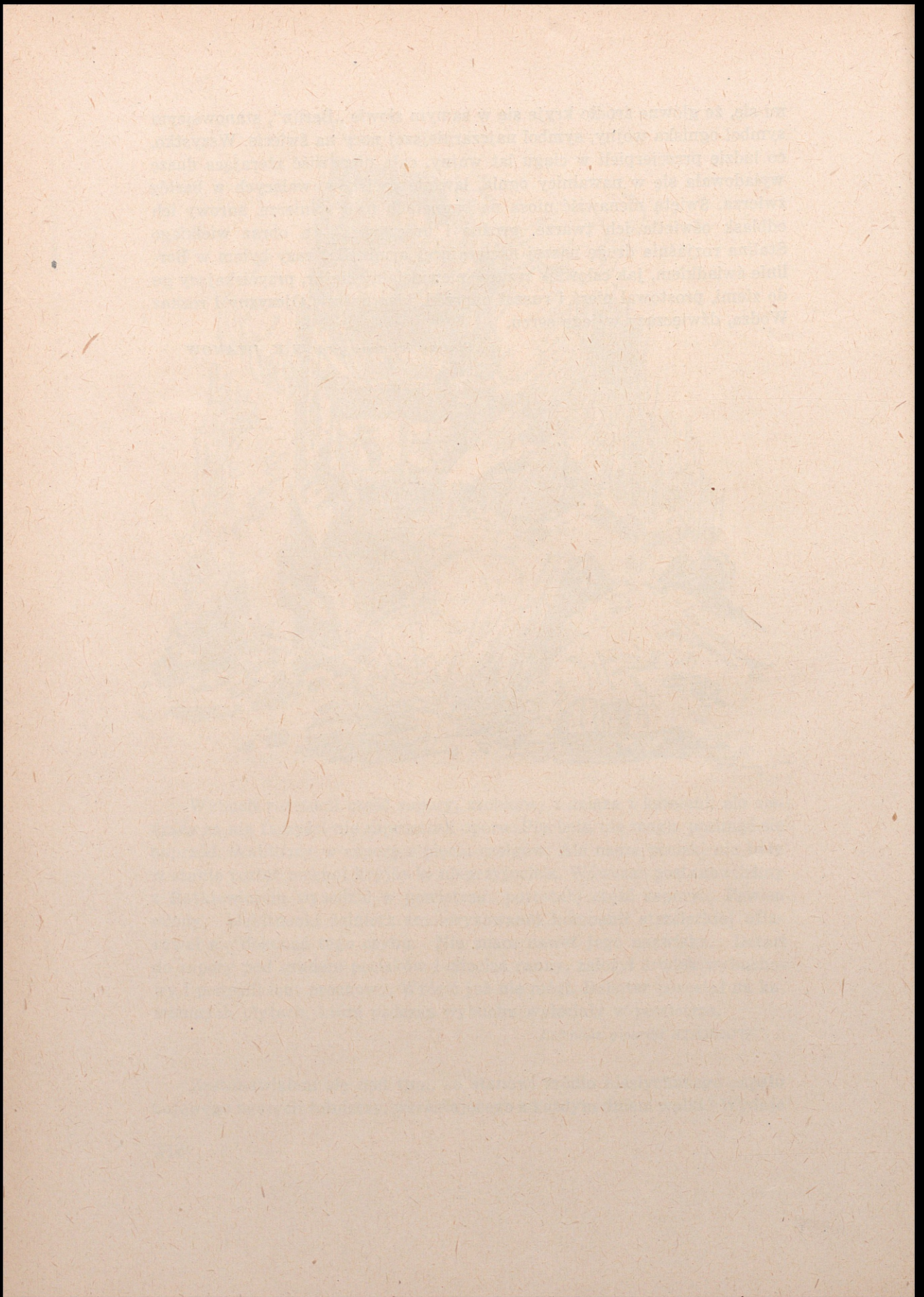
Wybuch rozrucił część zapory, zrobionej z żelaza i kamieni, ale siedzący za nią faszyci nie zaprzestali oporu. Piechota nie mogła posunąć się naprzód. Waliliśmy w zaporę z pięciu czołgów. Ale nasze pociski nie były w stanie rozbić mocnej kryjówki nieprzyjaciela. Wówczas postanowiliśmy z Ratkiewiczem wysadzić w powietrze pozostałą część zapory. Pewien młody, błękitnooki żołnierz zmotoryzowanej kompanii strzeleckiej ofiarował się dokonać tego czynu. Nie znam nawet jego nazwiska. Dotarł do zapory pod gradem pocisków i chociaż ranny, założył środek wybuchowy i podpalił lont prochowy. Wrócić już nie mógł. Bohater pozostał na kamiennych płytach, które podczas wybuchu wyleciały w powietrze.

Lejtnant gwardii SZABROW

Zastanawiałem się nad tym, co stanowi źródło niesłychanego zapалу bojowego naszych żołnierzy, wzrastającego z każdym dniem walki? Wydaje

mi się, że główne źródło kryje się w samym słowie „Berlin“, stanowiącym symbol ogniska wojny, symbol najczarniejszej nocy na świecie. Wszystko, co ludzie przecierpieli w ciągu lat wojny, cała nienawiść zżerająca duszę wyładowała się w nawałnicy ognia, lawinie pocisków, walących w barłóg zwierza. Świętą nienawiść niosą na bagnietach nasi żołnierze, surowy ich odblask oświetla ich twarze, groźne i uroczyste — a obraz wielkiego Stalina rozjaśnia drogę naszej nacierającej armii. Ileż razy byłem w Berlinie świadkiem, jak człowiek zrzucał niewidzialny ciężar, przyciskający go do ziemi, prostował pierś i ruszał naprzód, idąc na zew Ojczyzny i rozkaz Wodza, dźwięczący w jego sercu.

Starszy lejtnant gwardii K. IWANOW



FORSOWANIE SZPREWY

Rzeka Szprewa o wysokich kamiennych brzegach przecina Berlin od jego południowo-wschodnich krańców do północno-zachodnich i przechodzi przez środek miasta. W granicach miasta Szprewę musiały forsować zarówno wojska nacierające od północy jak i wojska nacierające od wschodu. Jako pierwsze dotarły do Szprewy w obrębie Berlina wojska generała-pulkownika Berzarina.

FORSSOWANIE SZPREWY

W tym miejscu o wysoce cennej
opiece drzewnej, która jest od
ludziom niepodobna, krajem do
niezależności i trwałości, przez
mieszkańców, którzy w tym
inżynierów, którzy w tym
podczas i w tym czasie, od
dużo czasu, który do
w tym czasie, który do
w tym czasie.

Zwiadowcy na Szprewie

Sztab naszej dywizji był jeszcze w podmiejskiej wiosce Bisdorf, gdy dowództwo wyznaczyło naszej grupie zadanie: przeniknąć do środka miasta, do rzeki Szprewy, i ustalić, które mosty są jeszcze całe, a które wysadzone w powietrze. Wzięliśmy ze sobą stację radiową. Podczas wykonywania zadania mieliśmy równocześnie informować dowództwo o wszystkim, co dzieje się w Berlinie.

Dużo już razy byłem na tyłach wroga, ale gdy wyznaczono mnie do tej grupy i powiedziano, jakie otrzymała zadanie, to prawdę mówiąc, pomyślałem: czy aby damy radę? Ryzyko było wielkie, ale cóż za zaszczyt — jako pierwsi przeniknąć do legowiska faszystów! Do pierwszej linii Niemców przyczołgaliśmy się nocą wzdłuż przydrożnych rowów. Przed nami, koło domu, błysnął płomyk i natychmiast zgasł. Nasz dowódca wysłał czterech zwiadowców, by ustalili, co to był za płomyk. Wrócili i przywlekli za sobą niemieckiego szeregowca. Stał na ulicy i najspokojniej palił papierosa. Był to folksszturmowiec. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy zwiadowcy zatkali mu usta. Zaprowadziliśmy go do małego pustego domku i zaczęliśmy wypytywać. Początkowo mamrotał tylko jak nieprzytomny, nie mógł zrozumieć, co się z nim stało, ale potem zaczął mówić z ożywieniem. Dowiedzieliśmy się od niego, że linia nieprzyjacielskiej obrony nie jest tu zwarta. Wskazał, które domy wykorzystano do obrony, gdzie znajdują się karabiny maszynowe.

Z domku tego zawiadomiliśmy drogą radiową dowódcę rozpoznania, gdzie się znajdujemy, i po wysłaniu jeńca na tyły, ruszyliśmy naprzód, posuwając się wzdłuż ścian. Nagle usłyszeliśmy warkot silnika. Zbliżał się ku nam samochód osobowy ze zgaszonymi światłami. Siedziało w nim czterech hitlerowców. Przepuściliśmy wóz i zatrzymaliśmy się, by sprawdzić, do-

kąd się kieruje. Przejechał około sześciuset metrów w kierunku naszej przedniej linii i zatrzymał się przy moście kolejowym. Tu nasi powitali go ogniem. Zrozumieliśmy, że hitlerowcy mają zamiar wysadzić w powietrze most, zawróciliśmy i otworzyliśmy ogień do samochodu od tyłu. Całą czwórkę znajdującą się w samochodzie zabito. Odbiegliśmy szybko, by nie ściągnąć na siebie uwagi faszystów, i znaleźliśmy się wśród jakichś ruin. Postanowiliśmy przedostać się przez te ruiny posuwając się wzdłuż ulicy. Im bliżej śródmieścia, tym więcej było ruin. Bardzo nam to było pomocne. Częściowo czołgając się, częściowo zgięci w pół, częściowo wyprostowani, przedzieraliśmy się przez rozwalone ściany domów, przez podwórza zasypane cegłą, wspinaliśmy się na ogrodzenia, włączaliśmy do piwnic; powoli, ale w całkowitym ukryciu, pokonywaliśmy jedną dzielnicę za drugą, nie spuszczać ulicy z oka. O kilka kroków od nas chodnikiem i jezdnią przechodziły niewielkie grupy nieprzyjacielskich żołnierzy, od czasu do czasu przejeżdżały tankietki.

Świt zastał nas w piwnicy jakiegoś rozwalonego domu niedaleko Szprewy. Górne piętra tworzyły tylko kupę gruzów, ale piwnica ocalała. Dostaliśmy się do niej przez okno, gdyż wejście zawałone było rozkruszoną cegłą. Piwnica była olbrzymia i całkowicie pusta. Rozłożyliśmy się w niej grupkami w czterech kątach. Orientując się na podstawie planu miasta Berlina, który mieliśmy przy sobie, nadaliśmy do sztabu współrzędne i przez okna piwnicy rozpoczęliśmy rozpoznanie i obserwację dojsć do Szprewy.

Siedzieliśmy w piwnicy przez cały dzień, nadając kilkakrotnie nasze obserwacje do sztabu. Mimo strasznego huk przybliżającej się bitwy, słyszeliśmy nie tylko turkot każdego przejeżdżającego ulicą wozu, nie tylko kroki przechodzących żołnierzy, lecz i rozmowy niemieckich żołnierzy, z których wynikało, że hitlerowcy odchodzą na drugi brzeg Szprewy.

Wieczorem rozległy się niedaleko od nas dwa silne wybuchy. Ulicą przeszło ku przeprawie jeszcze kilka grup żołnierzy, po czym nastąpiła cisza.

Gdy zapadły ciemności, wydostaliśmy się z piwnicy i zaczęliśmy posuwać się ku rzece. Most, do którego prowadziła ulica, był cały, a dwa, wylaniające się w świetle pożarów z lewej i prawej strony, były wysadzone. Lecz ledwie zdążyliśmy położyć się wśród ruin, nadszedł szybkim krokiem oddział nieprzyjacielski, prawie kompania. Hitlerowcy przebiegli przez most i po kilku minutach most wyleciał w powietrze. Do rzeki zbliżały się czołowe grupy naszych wojsk.

WIELKI WIECZNIK



Bohater walk o Berlin, szeregowiec Trajbukow

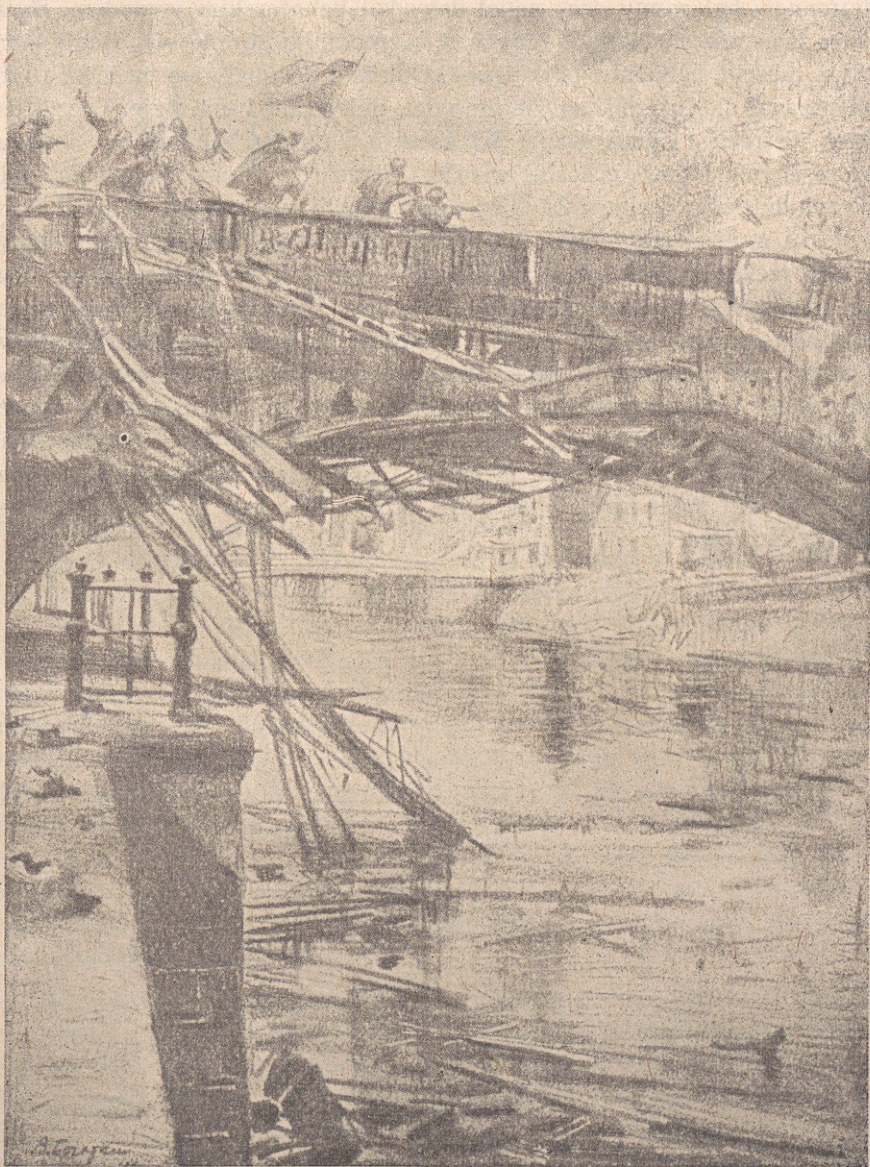
Chorażowie

Nasz batalion, po opanowaniu Dworca Śląskiego i fabryki obuwia, wyruszył do rzeki Szprewy, w kierunku mostu.

Most był piętrowy, dolna jezdnia przeznaczona dla samochodów, po górnej przebiegał tor kolejowy. Nieprzyjaciel skierował cały swój ogień na dolną jezdnię mostu, przypuszczając, że z tej strony należy oczekiwać naszego natarcia. Nasze dowództwo zaś postanowiło przeprawiać się przez Szprewę wykorzystując do tego celu górny pomost.

Batalion przystąpił do natarcia na most 24 kwietnia około dwunastej w południe. Natarcie rozpoczęła nasza kompania. W czasie gdy ciężka artyleria ostrzeliwała pierwszą linię nieprzyjaciela, dowódca drugiego plutonu, starszy sierżant gwardii Husseinow Sardar, przyniósł sztandar i przed frontem plutonu wręczył go uroczyście sierżantowi gwardii Korżinowi. Korżin, przyjmując sztandar, przysiągł przenieść go na drugi brzeg Szprewy. Husseinow poprowadził strzelców na most. Do górnej jezdni pluton dotarł bez strat. Lecz wkrótce faszyci zauważyli naszych żołnierzy i otworzyli do nich ogień ze wszystkich rodzajów broni. Most utonął w ogniu i w dymie, wielu padło, wielu zraniono. Lecz żołnierze drugiego rzutu, z biciem serca śledzący ruchy swoich towarzyszy na moście, widzieli czerwony sztandar na przedzie — oznaczało to, że natarcia nie zdławiono.

Mnie więcej w połowie drogi spotkał nacierających huraganowy ogień moździerzy i „pięści pancernych“, tak że pluton zmuszony był jednak położyć się na moście. Na pomoc śmiałkom ruszył pierwszy pluton 7 kompanii piechoty pod dowództwem lejtnanta gwardii Sulejmanowa. Widząc posiłki, Husseinow rzucił się do natarcia i wszyscy, kto żyw, rzucili się śladem dowódcy. Lecz Korżin po przebiegnięciu dziesięciu metrów upadł i nie mógł się już podnieść. Był ciężko ranny. Wtedy skoczył ku niemu



Czerwone sztandary na Szprewie

Husseinow, wyrwał sztandar z jego słabnących rąk i uniósł go wysoko, by wszyscy idący za nim strzelcy mogli widzieć czerwony znak. Postępowaliśmy naprzód. Wielu strzelców padło śmiercią walecznych na tym moście. Sulejmanow był ranny, lecz nadal dowodził bohaterskim wypadem. Sanitariusz Korniew odciągnął rannych w bezpieczniejsze miejsca. Nagle przy samym moście wybuchł ciężki pocisk. Odłamki posypały się na most i gdy dym rozwiął się, ujrzeliśmy, że dowódca Sulejmanow nie żyje. Lecz Husseinow i strzelcy Chmil, Gudz, Matuszajtis i Gyrbu byli już na brzegu. Jeszcze chwila i most pozostał w tyle. Strzelcy z Husseinowem na czele z okrzykiem: „Za Stalina! Za Ojczyznę!“ rzucili się naprzód. Z lewej strony mostu wznosił się wysoki murowany dom — pierwszy z brzegu budynek nad rzeką. Husseinow ze strzelcami natychmiast runęli na dom i wyrzucili z niego nieprzyjaciela. Śmiałkowie wspięli się na drugie piętro i tam Husseinow, raniony w tym czasie, zatknął na balkonie sztandar. Hitlerowcy jednak nie zaprzestali walki. Wznowili przeciwnatarcie, ostrzeliwując jednocześnie i dom, i most, tak że nie można było przyjść z pomocą odważnej piątce. Aż do wieczora pięciu walecznych przyjaciół trzymało się w gmachu, fizylierzy seriami strzałów i pistoletów maszynowych i granatami bronili sztandaru. Wieczorem wszystkie nasze pododdziały przekroczyły Szprewę.

Walka o przyczółek

W huku armat, terkocie karabinów maszynowych, szerniali od prochu i pożarów zbliżaliśmy się do legowiska faszystów. Wśród dymu i ognia błysnęła wstęga wody. To Szprewa. Dwa czołowe bataliony zatrzymują się w niepewności. Most przerzucony przez rzekę jest w najlepszym porządku. Czy to przypadkiem nie zasadzka? Lecz już czterech śmiałków wychodzi z szeregu i szybko przebiega przez most. Byli to: starszy sierżant Kudaszew, sierżant Kalota, st. strzelec Bielakowski i strzelec Abramian. Za nimi ruszyły natychmiast oba bataliony i wkrótce umocniły się na drugim brzegu, zajęły garaż i dom. Trzeba jak najprędzej przeprowadzić na drugi brzeg sprzęt techniczny, a następnie cały pułk. Daję saperom rozkaz zbudowania mostu. W huraganowym ogniu nieprzyjaciela saperzy nie mogą dokładnie go obejrzeć, lecz zewnętrznych oznak zaminowania nie znaleźli. Sygnał — i do mostu zbliżają się ciężkie czołgi. Z niepokojem śledzimy, jak wtacza się pierwszy czołg. Zaledwie zdążył wejść na most, gdy rozległ się ogłuszający huk i most runął.

Krytyczne położenie. Przyczółek w niebezpieczeństwie, w niebezpieczeństwie również nasze bataliony. Pozbawione pomocy technicznej, odcięte od nas, mogą być zmiażdżone przez wroga. Jedyne wyjście — odgrodzić gęstym ogniem przyczółek od wroga. Nasi artylerzyści szybko przyciągają działa do brzegu, wysuwają lufy przez wylomy w ścianach nadbrzeżnych domów. Stanowisko dowodzenia przenoszą do piwnicy zburzonego domu, tuż przy brzegu. Oddziela go teraz od nieprzyjaciela jedynie szerokość rzeki. Wyraźnie słychać gęste strzały pistoletów maszynowych. To nasi odpierają hitlerowców, którzy przeszli do przeciwuderzenia... Lecz ogień naszej artylerii zamyka drogę nieprzyjacielowi.

Wróg naciera z coraz większą zaciętością. Widocznie faszyci postanowili za wszelką cenę zepchnąć naszych do wody. Napięcie walki wzrasta. Przerzywa się łączność — druty przerwane w kilkudziesięciu miejscach. I jak zwykle znajdują się odważni. Na lichym czólnie, pod nieustannym ostrzałem, przeprowia się przez rzekę dowódca łączności, kapitan Dubowiecki i szeregowiec Dawydow, aby założyć nowe przewody. Milczący telefon znowu ożył.

— Towarzyszu pułkowniku — melduje radosnym głosem dyżurny telefonista — na „Małej Ziemi“ wszystko w porządku. Przeciwuderzenia odparte. Wskazano cele artylerii.

Nasi artylerzyści dobrze pracowali. „Mała Ziemia“ poprosiła o powtórzenie — „bo koncert brzmi przepięknie“.

W ciągu dnia natarcia wroga nie ustają ani na chwilę. Na „Małej Ziemi“ nasi muszą jednocześnie odpierać uderzenia i gasić pożary w zajęтым domu. Wieczorem dowiaduję się, że pierścień zamknął się wokół przyczółka. Faszyci zajęli wszystkie przybrzeżne domy. Jedyne wyjście — „Mała Ziemia“ musi przejść do natarcia i przede wszystkim zdobyć dom panujący nad polem bitwy. Dają artylerii rozkaz przeniesienia ognia na ten dom. Walka o dom nie ustaje nawet wtedy, gdy nasi zajmują dolne piętro. Artylerzyści przenoszą ogień na górne piętro. Niezwykły wypadek: dolne piętro ostrzeliwuje nieprzyjaciel, górne my.

Wkrótce przyszła radosna wiadomość — zadanie wykonane, cały dom jest w naszych rękach. Lecz wróg nie zaprzestaje walki. Na obydwu brzegach zapłonęły domy, pali się nasze stanowisko dowodzenia. Pod ogniem nieprzyjaciela przenosimy się na inne miejsce. Zapaliły się przewody telefoniczne i znów „Mała Ziemia“ zamilkła.

Ogarnia nas coraz większy niepokój. Wiem, że ich zapasy amunicji nie są wielkie. Czy aby utrzymają się? Nie mogę wysłać do nich łączników, nieprzyjaciel trzyma obydwie brzegi pod nieustannym ogniem. Gdyby choć prędej zapadła noc.

Nareszcie przychodzi noc. Pod osłoną ciemności nasi przedostają się na drugi brzeg — jedni przez ocalałe wiązania mostu, inni na łódkach — w tamtą stronę wiozą amunicję, z powrotem rannych. Okazało się że „Mała Ziemia“ trzyma się dobrze, ani jednej piędzi nie ustąpiła nieprzyjacielowi.

Tymczasem saperzy przystępują do odbudowania mostu. O świcie most zaczął „pracować“. „Mała Ziemia“ połączyła się z „Dużą“. Współdziałając z sąsiadem z lewej strony, zmusiliśmy nieprzyjaciela do ucieczki. Droga do Reichstagu stała otworem. A przybrzeżny dom, w którym prawie przez całą dobę nasi ludzie odpierali przeważające siły wroga, ozdobiono napisem: „Tu dzielnie walczyli i mężnie ginęli bohaterowie walki o Berlin“.

I. KUŹMIN
PUŁKOWNIK

Przeprawa w rejonie Warschauerstrasse

Nad Szprewę wyszliśmy w rejonie Warschauerstrasse po zaciętych walkach, które pozostawiły długotrwałe ślady na ulicach Berlina. Most nad rzeką był wysadzony. Nieprzyjaciel, umocniwszy się na przeciwległym brzegu, puścił w ruch wszystkie środki ogniowe, aby zatrzymać nas przy tej ostatniej przeszkodzie wodnej, osłaniającej środkową część Berlina.

Było to w dzień, lecz dzień ten nie odpowiadał naszym zwykłym pojęciom o świetle dziennym. Takie dni widzieli tylko ci, którzy brali udział w szturmie Berlina, kiedy to nie można było rozpoznać, czy świeci słońce, czy niebo jest zasnuwane chmurami, i gdyby nie zegarek moglibyśmy w południe przypuszczać, że zapadł już zmierzch. Wszystko spowite było gęstą zasłoną dymu, unoszącego się z płonących gmachów i zlewającego się z kurzem walących się domów. Tej mglistej, mrocznej ściany nie mógł przebić ani jeden słoneczny promień. Trujący kurz, przesiąknięty spalenizną, gryzł oczy i tylko z wielkim wysiłkiem można je było utrzymać otwarte.

Przede wszystkim trzeba było wybrać miejsce i sposób przeprawy. Wzdłuż brzegu, przykryty płachtą namiotową, czołgał się nasz inżynier, podpułkownik Spicyn z dwoma oficerami. Wyniki ich rozpoznania nie były pocieszające. Brzegi Szprewy, zakute w kamień na całej długości, stromymi zboczami spadają do rzeki. Przeprować się bez pomocniczych środków będzie bardzo trudno.

Postanowiliśmy wykorzystać wysadzony most. Widocznie faszyci wysadzili most w ostatniej chwili, w pośpiechu, i zniszczyli tylko górne wiązania, które runęły i zasypały ocalałą część mostu. Saperzy Jelickiego i Blinowa z największym wysiłkiem zsuwali jedną bryłę gruzów po drugiej. Nieprzyjaciel, zauważywszy ruch na moście, otworzył zaciekle ogień z karabinów maszynowych i moździerzy. Na moście zaczęły wybuchać

„pięści pancerne“. Szeregi saperów przerzedzały się, niejednego już znie-
siono z mostu. Mimo to saperzy ostatnim wysiłkiem spełniali w dalszym
ciągu bohaterską pracę. Lecz im bliżej do brzegu, zajętego przez nieprzy-
jaciela, tym gęstszy i silniejszy ogień. Było jasną rzeczą, że dalsze oczysz-
czanie mostu jest bezcelowe, gdyż przy takim ostrzale nie można będzie
puścić piechoty.

Przenosimy wszystkich saperów do przeprawy desantowej. Na brzeg
zwieziono tymczasem gumowane i składane łodzie. Pozostawało spuścić
łodzie na wodę ze spadzistego, kamiennego brzegu. W pośpiechu przygo-
towano trapy, sznury przymocowano do łodzi. Jedna łódź jest już gotowa.
Zanosi ją sześciu saperów i zaczyna spuszczać na wodę, trzymając końce
sznurów. Łódka, ocierając się gumowym dnem o kamień, powoli zbliża się
do wody. Nagle rozlega się ogłuszający wybuch — saperzy zostają odrzu-
ceni w bok. Łódka wśród srebrzystej fontanny pogrąża się na dno, z sy-
kiem, jakby ze złością, wypuszczając powietrze. Los ten spotyka niejedną
łódkę. Ale nie ma takich „pięści pancernych“, które mogłyby powstrzy-
mać przeprawę. Jedna po drugiej zdążają ku przeciwnemu brzegowi ło-
dzie ze strzelcami pułkownika Kurnaciszwili. Wybuchające pociski moż-
dziejzowe i „pięści pancerne“ wzbijają wokół strzelców wysokie słupy wod-
ne i mamy wrażenie, że łódki płyną w kipiącym kotle. Nerwy nasze napię-
te są do ostatecznych granic. Serce bije z taką siłą, że zdaje się, iż przebije
za chwilę klatkę piersiową. Głowa jakby ściśnięta obręczą. Ale już łodzie
jedna za drugą osiągną brzeg. Widzimy, jak strzelcy szybko wspinają się
na spadzisty brzeg i w biegu prowadzą ogień z pistoletów maszynowych
i z karabinów maszynowych. Z każdą przybywającą łódką ogień staje się
silniejszy i głośniejszy. Serce bije równiej, spokojniej. Przeprawa udała
się.



Zdobyto przyczółek

Na „Małej Ziemi“

Batalion kapitana Reszetniowa posuwał się w straży przedniej pułku toczącego walki na ulicach Berlina. Miał zadanie dojść do Szprewy, sforsować rzekę w rejonie wielkiej chłodni i po opanowaniu przyczółka na lewym brzegu, utrzymać go do nadejścia sił głównych.

Przednie grupy bojowe posuwały się naprzód, zostawiając poza sobą zablokowane punkty oporu wroga, z którymi rozprawiły się idące ich śladem inne pododdziały batalionu. Przetrzęsając ulice, piwnice i górne piętra domów, gdzie trzymali się jeszcze hitlerowcy, szybko zbliżali się do rzeki. Wkrótce wyjaśniło się, że wróg porzucił myśl utrzymania się na tym brzegu, że chce on ukryć się przed naszymi pododdziałami i prześliznąć się przez most na drugą stronę, gdzie przygotował nową linię obronną.

Dowódca batalionu wydał rozkaz zdobycia mostu z marszu. Nasze grupy bojowe deptały Niemcom po piętach.

Z błyskawiczną szybkością posuwała się grupa pościgowa starszego sierżanta Skorobogatowa. Nie oglądając się na sąsiadów wysunęła się daleko naprzód.

— Naprzód, orły, naprzód! — przynaglał strzelców dowódca przebiegając ostrzeliwaną ulicę.

I już z tyłu pozostała szara budowla ogromnej chłodni. Lada chwila powinna ukazać się rzeka, most, a za nimi przeciwny brzeg — cel batalionu.

Pierwszy wbiegł na nadbrzeże młodszy sierżant Jemieljanow. Za nim, krzycząc coś zapalczywie, strzelec Fajzulin. W tym samym prawie czasie zjawiają się na nadbrzeżu i inni strzelcy. Dyszą ciężko wybiegając z bram szarego domu. Fajzulin wymachując pistoletem maszynowym wbiega na

most. Lecz w tej chwili powietrzem wstrząsa potężny wybuch, strzelają do góry olbrzymie słupy wody i przeszła mostu przy przeciwległym brzegu osuwają się ciężko do wody...

Po kilku minutach ukazali się strzelcy lejtnanta Akimkina, toczący przed sobą ciężkie karabiny maszynowe. Otwierają ogień do faszystów, usadowionych po drugiej stronie rzeki. W odpowiedzi rozlega się terkot serii karabinów maszynowych. Na moście i na nadbrzeżu zaczynają wybuchać „pięści pancerne“...

Gdy nadciągnęły inne pododdziały pułku, spróbowano sforsować rzekę na pontonach pod osłoną dymną, ale wskutek silnego nieprzyjacielskiego ognia artylerii i moździerzy, próba ta nie powiodła się. Postanowiono sforsować rzekę w nocy, pod osłoną ciemności. W tym celu nasze dowództwo przygotowało szturmowe grupy i ich osłonę.

W nocy na 24 kwietnia grupa szturmowa starszego sierżanta Skorobogatowa, posługując się materiałem podręcznym, przeszła rzekę przez zburzony most i nieoczekiwanie dla wroga wdarła się do najbliższego domu po drugiej stronie rzeki. Jej śladem przepawiła się szturmowa grupa starszego lejtnanta Mołodiakowa i moja grupa wsparcia. Wśród Niemców powstał popłoch. Wystrzeliły rakiety. Zagrział ogień z dział i moździerzy, lecz było już za późno, w oknie na trzecim piętrze dużego domu na przeciwległym brzegu ukazała się czerwona chorągiew wywieszona przez starszego sierżanta Skorobogatowa — na znak, że wszystko w porządku i że dom jest zajęty.

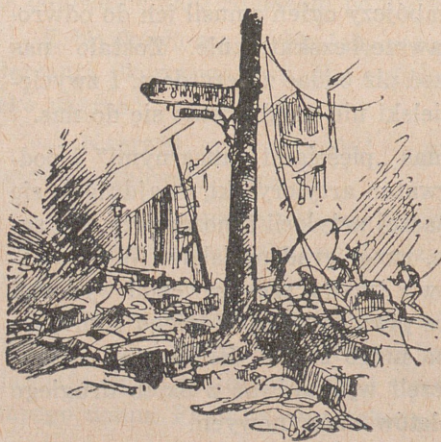
Aby zabezpieczyć się przed dalszymi niespodziankami, hitlerowcy podpalili sąsiedni dom i przy świetle pożaru zaciekle ostrzeliwali dom zajęty przez nasze grupy.

Z rana faszyci, pod osłoną artylerii i karabinów maszynowych, przystąpili do przeciwwuderzenia. Liczba ich kilkakrotnie przewyższała naszą. Strzelając z karabinów maszynowych i rzucając przez okna granaty usiłowali wdrzeć się do domu, lecz nasz zabójczy ogień zmusił ich do odwrotu. Powtarzali kilka razy próby, lecz zawsze bezskutecznie. Zostało nas piętnastu i postanowiliśmy raczej umrzeć niż oddać zajęty dom. I zwyciężyliśmy. Ani jeden żołnierz nieprzyjacielski nie mógł dostać się do nas.

Wieczorem nieprzyjaciel obrzucił nas „pięściami pancernymi“ i podпалиł dom. Wówczas wysunięty obserwator artyleryjski, znajdujący się w domu razem z nami, wywołał ogień naszej artylerii i moździerzy. Na sąsiednie domy, zajęte przez hitlerowców, runął grad pocisków. W tym samym czasie starszy lejtnant Mołodiakow z trzema szeregowcami wy dostał się z płonącego gmachu, przeszedł przez piwnicę do sąsiedniego domu, zajętego przez nieprzyjaciela, i napadł na niego z tyłu. Hitlerowcy, oszołomieni nieoczekiwanym uderzeniem, zaczęli wyskakiwać z okien drugiego piętra wprost pod ogień naszych pistoletów maszynowych.

Śladem Mołodiakowa my również rzuciliśmy się do natarcia. Udało się nam wyrzucić nieprzyjaciela z trzech następnych domów. W ten sposób stopniowo powiększała się nasza „Mała Ziemia“.

W nocy przepawiły się do nas pierwsze posiłki z „Dużej Ziemi“.



S. GUSARIN
MAJOR GWARDII

Na Szprewie przy Parku Treptowa

Nasz oddział zmotoryzowanej piechoty gwardii, po przejściu Karlhorst i północnego skraju Schöneweide, wyszedł na brzeg Szprewy. Odwody nieprzyjaciela skupiły się na przeciwległym brzegu w Parku Treptowa. Tu, na ostatniej przeszkodzie wodnej przed śródmieściem Berlina, Niemcy zajęli przygotowaną linię obronną. Lecz my nie mieliśmy zamiaru zatrzymywać się długo na brzegu. Przeprowadzono szybko rozpoznanie dojsć do przeprawy, saperzy zaczęli przygotowywać przywiezione łodzie i przed nadejściem nocy wszystko było gotowe.

A dokoła rozpętała się burza; wszystko huczy i grzmi. Nasza artyleria potężnymi salwami kruszy gniazda ogniowe i siły żywe hitlerowców. Nieprzyjaciel odpowiada okresowymi nawałami ogniowymi...

Dowódca oddziału gwardii, pułkownik Fiedorowicz, osobiście kieruje przeprawą. Batalion pod komendą majora gwardii Biezmatiernych pierwszy forsował rzekę. Do sześciu łódek — cały nasz ówczesny tabor — wsiada szybko druga kompania piechoty zmotoryzowanej i drużyna łączności. Nieprzyjaciel, nękany przez naszą artylerię, nie widząc, w jakim miejscu będziemy się przeprawiać, bezplanowo ostrzeliwał wybrzeże. Pierwszy oddział śmiazków szybko i cichuteńko przeprowił się przez rzekę i spadając nagle na wroga zniszczył prawie cały pluton broniących się hitlerowców.

Dalsze rejsy były coraz zacieklej ostrzeliwane przez nieprzyjaciela ogniem artylerii i moździerzy oraz karabinów maszynowych. Mimo to cały batalion przeprowił się poniósłszy niewielkie straty. Jego śladem rozpoczął przeprowę na zdobyty przyczółek batalion starszego lejtnanta Rudakowa, którego zadaniem było rozszerzyć przyczółek w prawo. Po 40 minutach na zachodnim brzegu Szprewy były już trzy bataliony. Nawiązano trwałą łączność z drugim brzegiem — telefoniczną i radiową. Niemcy zaczęli ścia-

gać odwody. W ciągu nocy nieprzyjaciel trzykrotnie próbował przeciwnać, lecz strzelcy z honorem utrzymali przyczółek.

Przez resztę nocy saperzy przygotowywali tratwy do przeprawienia artylerii. Gdy zaczęło świtać, nieprzyjaciel mógł dokładnie obserwować skupienie naszych wojsk na miejscu przeprawy. Wtedy kapitan Strojow rozpoczął zadymianie. Gęste pasmo dymu zasłało całą rzekę. Pod osłoną dymu w ciągu dwóch godzin przeprowadzono na przyczółek dywizjon artylerii i kompanię przeciwlotniczych karabinów maszynowych.

Nie było to łatwe zadanie. We wszystkich domach na strychach i w piwnicach Treptowa zaczęli się hitlerowcy i gdy łodzie i tratwy wychylały się spoza zasłony dymnej, wpadały natychmiast pod ogień nieprzyjaciela. Nasi ludzie wykazywali wyjątkowe bohaterstwo. Dowódca baterii, obecnie Bohater Związku Radzieckiego, Ażarow, znajdował się przez cały czas przy obsługach, które wytaczały działa — jedno po drugim — do strzelania na wprost i niszczyły z bliska nieprzyjacielskie gniazda ogniowe.

W ciągu dnia aktywność hitlerowców wzrosła jeszcze bardziej. Ściągnęli oni czołgi i artylerię pancerną i przystąpili do zaciekłych przeciwnatarć. Cały ciężar tych przeciwnatarć spadł na dywizjon artylerii i przeprowadzoną w ciągu nocy piechotę, wspieraną potężnymi salwami artylerii korpuśnej. Nasze oddziały poniosły w tym boju wielkie straty. Na każde działo zostało zaledwie dwóch — trzech ludzi, lecz mimo to szybkość ognia nie słabła i trzy silne przeciwnatarcia zostały dzielnie odparte.

Nie wszystko poszło gładko na prawym skrzydle: podczas drugiego hitlerowskiego przeciwnatarcia raniono dowódcę batalionu, starszego lejtnanta Rodakowa. To wywołało pewnego rodzaju zamieszanie i prawe skrzydło cofnęło się nieco. Sytuacja jednak szybko uległa poprawie. Wprowadzono do walki kompanie fizyliarów i rusznic przeciwpancernych z odwodu. Hitlerowskie przeciwnatarcie zostało zdławione.

Wieczorem przyczółek był już całkowicie umocniony.

Śmierć bohatera

Po okopaniu się na wschodnim brzegu Szprewy batalion Bohatera Związku Radzieckiego, kapitana Oberemczenki, przygotował się do wypadu na Park Treptowa, znajdujący się po drugiej stronie rzeki. W nocy kapitan obchodził kompanie. Umiał rozmawiać ze strzelcami serdecznie jak ojciec. I wszystko, co mówił, było jakieś proste i bezpośrednie. Ludzie rozumieli każdy jego gest. A gdy padnie rozkaz — uczynią wszystko, by go wykonać!

O drugiej w nocy pod osłoną ciemności starszy lejtnant Zotow przeprowadził szybko, nie ponosząc strat, swoją kompanię na drugi brzeg Szprewy i po szybkim przejściu 250 metrów zaczął się umacniać.

Z miejsca rozgorzał bój. Starsi sierżanci Gerasimow i Matwiejenko i ich ludzie otworzyli na hitlerowców nawałowy ogień z karabinów i pistoletów maszynowych. Pod osłoną ognia przeprowadzały się pozostałe kompanie i zaczęły zajmować stanowiska.

Batalion zabezpieczył przeprawę pozostałych pododdziałów i z rana pierwszy przyjął uderzenie wroga, który rzucił do przeciwnatarcia dwa bataliony wspierane przez pięć dział pancernych i cztery terenowe samochody opancerzone.

Kapitan Oberemczenko podał hasło kompaniom:
„Stalinowcy nie cofają się!“.

Strzelcy przygotowali granaty i czekali na zbliżenie się wozów nieprzyjaciela. Wśród krzaków zamaskował się z rusznicą przeciwpancerną strzelec Bierdnikow. Działa pancerne są już w odległości dwustu metrów. Za nimi w odległości stu metrów kroczy prosto piechota nieprzyjacielska.

Dowódca batalionu wystrzelił dwie czerwone rakiety, nasza artyleria na drugim brzegu przyjęła sygnał i zmusiła Niemców do położenia się. Je-

den niemiecki wóz stanął w płomieniach, kilka zawróciło, lecz jedno działo-pancerne i dwa opancerzone samochody posuwały się wciąż naprzód.

W tej chwili uderzył siedzący w zasadzce Bierdnikow. Trafił w gąsienicę i maszyna wroga zaczęła kręcić się w miejscu. W chwili gdy działo obróciło się bokiem, wystrzelił jeszcze dwa razy. Działo zaczęło dymić. Samochody opancerzone zawróciły.

Żołnierze usłyszeli głos kapitana Oberemczenki:

— Za mną, orły, naprzód! — i wszyscy ruszyli za dowódcą. W tej chwili nieprzyjacielski pocisk karabinowy ugodził kapitana. Padł na otwartej przestrzeni Parku Treptowa. Do ranionego kapitana podbiegł będący w pobliżu szeregowiec Pelipenko. Hitlerowcy siedzący w jednym z domów skierowali w to miejsce silny ogień, lecz Pelipenko, nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo, wyniósł rannego dowódcę i ukrył go w bezpiecznym miejscu. Rana była śmiertelna.

Wiść o bohaterskiej śmierci kapitana Oberemczenki głęboko wstrząsnęła całym batalionem. Strzelcy i oficerowie, którzy niejednokrotnie widzieli śmierć swoich towarzyszy, którzy wiele znieść musieli podczas długich, okrutnych lat wojny, ze łzami w oczach mówili o zgonie swego dowódcy.

Wtem rozległ się głos zastępcy dowódcy do spraw politycznych kapitana Dawidowa:

— Pomścimy śmierć dowódcy — naprzód!

Trudno opisać, z jaką zawziętością rzucili się strzelcy na wroga. Batalion natychmiast wysunął się daleko do przodu, zostawiając w tyle resztę oddziałów.

Działo na strychu

Tego dnia byłem na punkcie obserwacyjnym. Moją baterię moździerzy przydzielono piechocie. Przed nami przepływała Szprewa. W nocy przyszedł rozkaz forsowania rzeki.

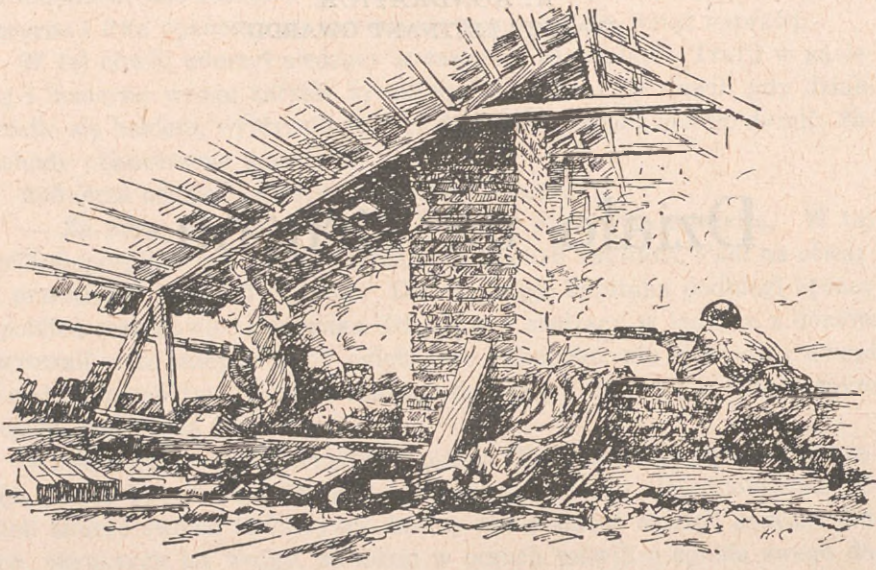
Gdy nasza bohaterska piechota rzuciła się ku rzece z okrzykiem „zdobędziemy Berlin“, hitlerowcy otworzyli morderczy ogień. Setki pocisków artyleryjskich i moździerzowych podnosiły na rzece fontanny wody, lecz nic nie mogło powstrzymać naszych bohaterów. Oto już pierwsi śmiałkowicie są na drugim brzegu, jest ich coraz więcej i więcej, jakaś grupa wdarała się już do pobliskiego domu...

Obserwując przeciwny brzeg zauważyliśmy, że ze strychu jednego z domów wali w naszą piechotę działo przeciwlotnicze. Dom ten stał o jakieś sześćset metrów od brzegu i nie byłoby nic trudnego w ostrzeleniu armaty dokładnym ogniem moździerzy; było to jednak ryzykowne. Nasi strzelcy umacniali się już na brzegu. W pobliżu tego domu a nawet w nim samym mogli już być nasi. Mimo to szybko przygotowaliśmy dane do strzelania i nawet wykonaliśmy wstrzeliwanie. Chciałem już podać komendę „Ognia!“, gdy nagle nieprzyjacielskie działo umilkło. Byliśmy zdumieni — co to mogło oznaczać? Może to był zwykły podstęp: Hitlerowcy czekają, by nasza piechota się zbliżyła i będą strzelać z bliska.

I rzeczywiście po kilku minutach działo na strychu znów się odezwało. Lecz co to? Pociski padają nie tam, gdzie działa nasza piechota, lecz tam, gdzie są hitlerowcy.

Nie wiedziałem co robić, gdy wezwał mnie do telefonu dowódca batalionu. Śmiejąc się mówił do słuchawki:

— Tylko niech wam nie wpadnie na myśl ostrzelać nasze działo...



— Jak to wasze? — zapytałem ze zdumieniem. — Przecież to faszystowskie.

— Słusznie — mówi dowódca batalionu — było faszystowskie, teraz jest radzieckie....

O tym, co się stało, dowiedziałem się dopiero, gdy bój się skończył. Pluton naszej piechoty okrążył dom, w którym stało na strychu hitlerowskie działo. Starszy sierżant Bielkin, uzbrojony w ręczny karabin maszynowy, przedostał się na strych. Grupa niemieckich kanonierów, przebranych w stroje cywilne, operowała przy dziale. Zanim zdążyli oprzytomnieć, Bielkin już się z nimi rozprawił. Następnie starszy sierżant, nie czekając na pomoc towarzyszy, ustawił działo, wybił dachówkę z przeciwległej strony dachu i począł ostrzeliwać hitlerowców.

W ten sposób nie potrzebowaliśmy ostrzeliwać z moździerzy wykrytego przez nas niemieckiego działa....

Z pamiętników i listów

24 kwietnia

Przed batalionem rzeka Szprewa — ostatnia przeszkoda, która dzieli nas od śródmieścia Berlina.

Nocą, pod osłoną ciemności, cicho przybiły do brzegu dwa kutry. Pierwsza zajęła miejsce drużyna starszego sierżanta Szkurki. Stojący przy kole sterowym marynarz Floty Bałtyckiej spojrzął na Szkurkę, trzymającego w ręku rozwinięty sztandar, i rzekł szeptem:

— W mig przeprowadzę was na drugi brzeg.

Gdy pierwszy kuter był już na środku rzeki, nieprzyjaciół otworzył ogień. Pocisk karabinowy zranił Szkurkę, lecz on jeszcze mocniej ścisnął obydwiema rękami drzewce sztandaru.

Uderzenie o brzeg — i strzelcy zeskakują wprost do wody. Już zaczął pracować ręczny karabin maszynowy, zaterkotały pistolety maszynowe i w czasie gdy batalion przeprowadzał się przez rzekę, garsteczka strzelców, zatknąwszy sztandar na budynku przystani wodnej, rozszerza mały przyczółek do dwustu metrów wszerz i o sto metrów w głąb.

O świcie nieprzyjaciół próbował zepchnąć nas do wody — lecz bezskutecznie. Batalion wdarł się do śródmieścia Berlina. Nad miastem stały słupy ognia; luna oświecała drogę batalionu. Nie pozostając w tyle za piechotą, idą czołgi i artyleria. Czarni od sadzy czołgiści z szacunkiem spoglądają na Szkurkę, który ze sztandarem w ręku przebiega od jednego budynku do drugiego.

Kapitan KUŻMIENKO

Nasi saperzy przygotowywali przeprowadę dla przeprowadzenia na drugi brzeg czołgów, dział pancernych i samochodów z amunicją.

Nieprzyjaciel skierował ogień na odcinek przeprawy. Co 3 — 5 minut wybuchał pocisk, a ze strychów oddalonych budynków ostrzeliwano brzeg z najcięższych karabinów maszynowych.

W chwili gdy podjechałem do rzeki, droga zapchana była wozami bojowymi, oczekującymi przeprawy. Czołgiści i obsługa dział pancernych pokpiwali ze mnie.

— Tylko ciebie tu brak! Twój barszcz długo będzie musiał czekać na przeprawę, jeszcze ci skwaśnieje!

Oczywiście sam rozumiałem, że moją kuchnię przepuszczą na drugi brzeg w ostatniej kolejności. No, jeżeli tak — to nie ma co liczyć na przeprawę, trzeba liczyć na własne siły.

Wraz ze swym pomocnikiem, st. strzelcem Gorinowem, związałem parę belek, opuściłem je na wodę i załadowałem na nie termosy z jedzeniem. Przeprowiłem się wpław na drugi brzeg i dotarłem do moździerzystów. Dowódca kompanii, lejtnant Korniuszyn, spojrzął na mnie ze zdumieniem:

— A ty jak się tu dostałeś, przecież przeprawa jeszcze nie gotowa?

— Tak samo jak wy — odpowiedziałem. — To przecież moja praca — ludzi trzeba karmić.

St. strzelec N. TERENCEW

Mętne wody Szprewy przypomniały mi rosyjską rzekę Łowat. Na brzegu tej rzeki, w mieście Staraja Russa, zagadnęła mnie w lipcu 1941 roku szesnastoletnia dziewczyna o falistych włosach. Przerażona była tym, że się cofamy.

— Towarzyszu sierżancie, co to będzie? — zapytała.

Zapytałem, jak się nazywa.

— Nadia.

Wyprostowałem się przed nią jak żołnierz przed dowódcą:

— Nie trzeba się bać, Nadiu, wszystko będzie dobrze, będziemy w Berlinie.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem, gdyż szedłem ze swą haubicą na wschód.

A teraz z naszą haubicą jesteśmy w Berlinie. Gdy nasze działa dały pierwszą salwę do Reichstagu, przypomniałem sobie wieże Kremlu, obok których przejeżdżałem ze swą haubicą w jesieni 1941 roku.

Lejtnant E. KAKASZWILI

— Którego mamy dzisiaj? — zapytał zwiadowca Aleksander Basjenko dowódcę zwiadu, starszego sierżanta gwardii Charitonowa.

— Dziś mamy 24 kwietnia — odpowiedział Charitonow — i nagle krzyknął:

— Popatrz, nasze czołgi, a tam na drodze zalegli Niemcy z „pięściami pancernymi“.

Basjenko, nie powiedziawszy ani słowa, pobiegł przecinając czołgom drogę.

— Stój, stój! — krzyknął wymachując rękami.

Nie zdążył dobiec do pierwszego czołgu — w odległości sześciu metrów od czołgu upadł, trafiony przez niemiecki pocisk karabinowy. Czołgiści zauważyli, że coś jest nie w porządku, rozejrzeli się uważnie i dostrzegli hitlerowców z „pięściami pancernymi“. Szybko się z nimi rozprawali.

Gdy Charitonow podbiegł, Basjenko był jeszcze przytomny.

— Słuchaj, Charitonow — rzekł Basjenko — napisz do domu, że życie moje drogo faszystów kosztowało i że padłem w samym Berlinie.

Były to jego ostatnie słowa.

Szeregowiec L. GERASIMOW

Należało przeprowadzić rozpoznanie sąsiedniej ulicy, zajętej przez nieprzyjaciela, i ustalić stan i rodzaj umocnień saperskich, ażeby w następnym czasie oczyścić ulicę i utarować przejście dla czołgów.

Zadanie to otrzymał organizator komsomolski naszej kompanii saperów, sierżant Rodionow. Zabráł ze sobą dwóch komsomolców — saperów, Pankowa i mnie.

Przedzieraliśmy się przez gruzy, pomiędzy ocalałymi ścianami. Szliśmy tak długo, aż grad pocisków zmusił nas do położenia się. Dalej mogliśmy posuwać się tylko czołgając się. I w ten sposób, czołgając się, kalecząc do krwi twarz, ręce i nogi o ostre kamienie i żelazo, dotarliśmy do barykady. Prócz barykady nie było żadnych innych umocnień na całej długości ulicy. Niewielkie stopy cegły nie odgrywały roli.

Sierżant Rodionow szybko sporządził schemat umocnienia, dokonał obliczeń dla wysadzenia, zbadał wraz z nami sposoby podejścia i odejścia przy wybuchu.

Po dokonaniu rozpoznania trzeba było jak najprędzej zawiadomić o wynikach dowódcę kompanii.

I tu zaczęło się najtrudniejsze.

Powrotna droga była odcięta przez nieprzyjaciela. Musieliśmy go obejść. Odczołgaliśmy się szczęśliwie od barykady i znaleźliśmy się w ciemnym zaułku. Dochodziły nas odgłosy tylko pojedynczych strzałów. Podeszliśmy do Szprewy. Przeszliśmy przez dwa mosty. Strzelanina wzmogła się. Przy trzecim moście zauważył nas nieprzyjaciel.

Położyliśmy się. Był to niewielki placyk z kamienną budką. Postanowiliśmy przedostać się do budki w pojedynkę, ale rozmyśliliśmy się — zerwali się wszyscy trzej i jednocześnie w kilku susach dopadliśmy do



budki. Od budki musieliśmy przebiec jeszcze porządny kawałek, by schować się za węglem fabryki, której ściany ciągnęły się wzdłuż Szprewy.

Co robić? Obsługa karabinów maszynowych i nieprzyjacielscy strzelcy wyborowi wzięli nas już na muszkę. Czy czekać do wieczora? Nie, to niemożliwe. Trzeba jednak spróbować przebiec.

Pierwszy rzucił się naprzód Pankow. Skok jeden, drugi — i już jest w leju po pocisku.

Zostałem ja z Rodionowem.

Rodionow ruszył naprzód.

Lecz tu pocisk hitlerowskiego strzelca wyborowego na zawsze przeciął nić młodego życia naszego komsomolskiego przywódcy. Ostry ból ścisnął mi serce. Ale czas nie czekał. Musiałem powziąć decyzję. Rodionow zabity, Pankow prawdopodobnie ranny. Oznacza to, że o wyniku rozpoznania tylko ja mogę zameldować — cała odpowiedzialność spoczywa na mnie.

Wyskoczyłem z budki. Posypał się na mnie grad pocisków. Musiałem wskoczyć do leja. Położyłem się obok Pankowa. Rzeczywiście Pankow był ranny.

— Pomogę ci — powiedziałem — przedostaniemy się razem. A on na to:

— Jesteś komsomolcem czy nie?

Nie rozumiałem tego pytania. Pankow rozgniewał się.

— Jak śmiesz marnować dla mnie czas, zanim zameldowałeś o wyni-

kach rozpoznania? Idź sam! Zrobiłem sobie opatrunek i poczekam do wieczora.

Przygotowałem się do skoku. Do rogu fabryki brakowały trzy metry. Natężyłem wszystkie siły i jednym susem byłem za węglem.

W ten sposób wydostałem się z ognia. Meldunek został dostarczony dowództwu na czas.

Pankowa wyratowaliśmy potem, a drugiego towarzysza, Rodionowa, musieliśmy pochować. Był to odważny zwiadowca, jeden z najlepszych dowódców drużyny.

St. saper D. KATKOW

Nasze stanowisko ogniowe znajdowało się na samej granicy środkowej części Berlina, przy niewielkim kanale, wypływającym ze Szprewy. Za kanałem patrzył wprost na nas martwymi kwadratami okien długi, szary pięciopiętrowy dom. Dowiedzieliśmy się, że poprzedniej nocy przed naszym przybyciem z domu tego strzelano ze wszystkich okien, hamując ruch naszej piechoty.

Tu znaleźliśmy zwłoki szeregowca, których towarzysze, walczący wówczas w śródmieściu Berlina, nie zdążyli złożyć do ziemi. Taką miało się ochotę dać salwę do tego domu.

Na prawo od nas żelazobetonowy most, przerzucony przez kanał, prowadził do szerokiej ulicy. Do niego ściągali cywilni Niemcy, uciekinierzy ze środkowej części Berlina. Kierowali się wprost na nasze stanowiska.

Kapitan gwardii Lwowicz stał na środku mostu, groźnie wymachiwał rękami i krzychał:

— Stać! — Z powrotem! — Z powrotem mówię!

Berlińczycy, nie rozumiejąc, czego chce od nich ten zakurzony od stóp do głów człowiek, parli naprzód. Gdy udało mi się zatrzymać pierwszych dziesięć osób, reszta stanęła. Lecz kilku ludziom, znajdującym się na skraju, udało się prześliznąć. Wlekli ze sobą dobytek domowy — jedni w workach, inni w wózkach dzieciennych. Byli to przeważnie starsi mężczyźni i kobiety, były też dzieci.

Niebo było czyste, bez jednej chmurki, lecz przez dym i wyziewy spalonego prochu słońce wyzierało mglistoczerwone. Widzieliśmy wyraźnie długie języki, liżące ściany jednego z domów z drugiej strony kanału.

— Ogień na moją komendę! — krzychał na całe gardło kapitan Lwowicz, zagradzając uciekinierom drogę do naszych dział.

Wszystkie przygotowania były już ukończone. Nasze wyrzutnie stały w równym szeregu. Czarne głowy pocisków skierowane do góry gotowe były na głos komendy runąć na śródmieście Berlina.

Nie odrywałem oczu od kapitana. Już podniósł rękę. Usłyszałem:

— Ognia!...

Gwałtowny wstrząs zagłuszył słowa kapitana. To przemówiły na całej linii stojące poza nami działa.



— Pal! — zabrzmiała komenda tuż przy mnie.

Pociski nasze wyleciały, wlokąc za sobą ogony ognia. Wszystko unosiło się w powietrze — piasek, kurz, kamienie — tworząc gęstą, szarą chmurę, przez którą nic nie było widać.

Pociski raketowe wylatywały jeden po drugim, przecinając ścianę kurzu i dymu, i znikwały gdzieś wysoko ponad nią.

Zasypał mnie piasek. Wydostając się ze swego „podkopu“ poczułem, jak zadrżała ziemia, i usłyszałem straszliwy huk. To nasze pociski burzyły środkowe dzielnice miasta.

Wytrząsałem piasek zza kołnierza i spojrzałem w kierunku mostu. Cała pstra masa ludzi, która przed chwilą starała się przedostać przez most, leżała teraz wśród kurzu na jezdni. Dobytek porzucono.

Ludzie leżeli szczerze przytuleni jeden do drugiego. Od czasu do czasu niektórzy śmiałkowie unosili głowy, lecz natychmiast chowali je z przerażeniem.

Po raz pierwszy naocznie ujrzeli wtedy berlińczycy naszą groźną, wspaniałą broń. Stały przed nimi legendarne „Katusze“, o których szepciem szły słuchy od jednego niemieckiego mieszczucha do drugiego, słuchy budzące grozę...

Nie wiem, jak długo leżeliby jeszcze Niemcy w odrętwieniu, gdyby nie kanonierzy, którzy podnosili ich z trudem, mówiąc:

— Wstawajcie! Salwa skończona. Możecie przejść..

Takie było pierwsze spotkanie berlińczyków z „Katuszami“, w chwili gdy dawaliśmy naszą gwardyjską salwę z wyrzutni raketowych, salwę skierowaną w samo serce faszystowskiego Berlina — w Reichstag.

Starszy lejtnant gwardii S. BARYSZNIKOW



Na pozycji ogniowej w Berlinie

W dzień po zajęciu przez nasze wojska przedmieścia Berlina — Adlershof, wybraliśmy tam pomieszczenie na szpital. Szpital nasz szedł razem z wojskami od Moskwy. W ciągu ostatnich dni nasze samochody sanitarne mknęły równoległe z czołgami i działami pancernymi.

Znajomi czołgiści często wysuwali głowy z włazów, żeby się z nami przywitać.

— Do zobaczenia w Berlinie! — wołali — tylko nie zatrzymujcie się! Pozdróćcie Iwana Anatoljewicza i Sofię Chrystoforownę!

Czterdzieści sześć razy rozwijaliśmy nasz szpital w celu przyjęcia rannych. Pierwszy raz byli to obrońcy Moskwy. Teraz przyjmujemy rannych w walkach o Berlin, w walkach kończących Wielką Wojnę Narodową. Cały personel pracuje z dziesięciokrotnie większą energią... Zanim upłynęła doba, szpital był całkowicie gotów. Sala operacyjna błyszczy bielą, równe rzędy łóżek są starannie zasłane.

Ranni przybywają do nas wprost z ulic Berlina. Są podnieceni, błyszczą im oczy. Tylko rzadko usłyszeć można jęk. Prawie każdy uważa za swój obowiązek zameldować o sytuacji, oficerowie wymieniają ulice i dzielnice zajęte przez nasze wojsko. Do punktu zbornego podjeżdżają samochody z rannymi. W tej samej chwili przyskakują do samochodów sanitariusze i wraz z kierowcami wnoszą i wprowadzają rannych do budynku. Wewnątrz już bardzo ciasno, ale nie odczuwa się nerwowości, powstającej zazwyczaj przy wielkim skupieniu rannych.

Z łaźni już dochodzi śmiech. Kierownik, ładny, młody sierżant Czencykow, w celu „udoskonalenia pracy w łaźni“ zawiesił lustro nie tylko w ubieralni, ale i wewnątrz samej łaźni. Ranni dowcipkują na ten temat, a Czencykow uśmiecha się pobłaźliwie, zadowolony, że jego inicjatywa spotkała się z takim uznaniem.

Podpułkownik służby zdrowia W. WOŁKOW

Towarzysząc przednim pododdziałom piechoty nasze bataliony wysuwały swoje ugrupowania bojowe do rejonu Ullenhorst. W drodze przesywały kolumnę krótkimi seriami z pistoletów maszynowych niedobite grupy wrogów; z górnych pięter nierzadko sypały się granaty. Ale kolumna szła zagłuszając warkotem silników huk wybuchów i terkot karabinów maszynowych. Na drodze spotykaliśmy duże grupy ludzi z tłumoczkami na plecach. To są nasi — Rosjanie. Dokąd idziecie, drodzy? Do Czernihowa, Żytomierza, do Kijowa czy Woroneża? Razem z naszymi radzieckimi ludźmi idą Francuzi w zniszczonych ubraniach, Polacy, Grecy, Duńczycy, Anglicy. Wszyscy dążą na wschód, na ziemię wyzwolone przez Armię Radziecką. Berlińczycy też są na ulicach. Zdziwionymi oczyma oglądają niekończący się pochód sprzętu radzieckiego. Nauczyli się już rozpoznawać marki naszych czołgów i dział pancernych i niekiedy zajmują miejsce w kolejkach do naszych kuchni.

Kapitan I. SENCZA

W STAŁOWYCH KLESZCZACH NASZYCH WOJSK

23 kwietnia wojska I Frontu Białoruskiego po dokonaniu błyskawicznego manewru obeszły Berlin z północnego zachodu i w rejonie Poczdamu spotkały się z wojskami I Frontu Ukraińskiego.

W ten sposób hitlerowskie ugrupowanie w Berlinie zostało całkowicie okrążone.

Jednocześnie na południowy wschód od Berlina wojska tych samych frontów okrążyły w rejonie leśnym przy Wendisch-Buchholz większe ugrupowanie nieprzyjacielskich wojsk, które nie zdążyło wycofać się z Berlina. Po kilku dniach zaciętej walki okrążone ugrupowanie nieprzyjaciela zostało zlikwidowane.

W. STALOWICZ
KLEPACZ
KLEPACZ

W. NAZAROW
MAJOR

Okrażenie Berlina

z pamiętnika

21 kwietnia, 24.00.

Zamiast iść w kierunku śródmieścia Berlina, robimy nieoczekiwanie zwrot i idziemy w kierunku zachodnim.

O 14.00 wyszły z Bernau nasze czołgi z desantem piechoty na własnym opancerzeniu. Czołgi te wysunęły zagon na tyły wroga, aby zdeorganizować jego obronę i utorować dywizji drogę na zachód celem okrażenia Berlina.

Jednocześnie przygotowuje się piechota, artyleria, parki, sztaby. Zbliżają się oddziały idące w drugim rzucie.

Przy końcu dnia czołowe oddziały dywizji zajęły Schoenau i opanowały północny skraj Schildov, przecinając tym samym autostradę i linię kolejową Berlin — Gross-Schoenebeck, jedną z najważniejszych linii komunikacyjnych stolicy faszystowskich Niemiec.

22 kwietnia, 12.00.

Kapitan F. Bielous, uczestnik zagonu czołgowego, opowiada: O 14.00 czołgi i piechota na czołgach skierowały się na południe, na drogę do Zepernick. Po przejściu tego punktu wdarliśmy się do Buch i po krótkim uderzeniu na oszołomionych faszystów ostro skręciliśmy na zachód.

Pierwszy zorganizowany opór wrogów spotkaliśmy dopiero na 10 kilometrów po wyjściu z Bernau. Wozy bojowe wyszły właśnie z Buch, gdy naprzeciw nas z rzadkiego sosnowego lasu na prawo od drogi wyjechało pięć nieprzyjacielskich czołgów z fizylierami.

Nasze czołgi szybko przyjęły szyk bojowy. Piechota zeskoczyła z czołgów i przywarła do ziemi. Rozgorzała walka.

Część czołgów otworzyła ogień na piechotę nieprzyjaciela, reszta rozpoczęła walkę z czołgami. Był to bój błyskawiczny. Po kilku minutach stanęły w płomieniach dwa trafione przez nas wozy bojowe. Reszta czołgów, nie wytrzymawszy sypiących się na nie pocisków, szybko zawróciła i skryła się w lesie. Za nimi panicznie rzuciła się do ucieczki nieprzyjacielska piechota.

W takim samym błyskawicznym tempie odbywał się dalszy marsz kolumny. Poruszała się skokami od jednej miejscowości do drugiej, niekiedy ostro zawracała na północ, niekiedy kierowała się na zachód.

Mimo to w ciągu dnia kilka razy ścigały nas niemieckie samoloty, ostrzeliwały, zrzucały bomby. Nocą nie groziło nam niebezpieczeństwo z powietrza, ale trudniej było się posuwać.

My, piechota, coraz to musieliśmy zeskakiwać z czołgów i ostrzeliwać z pistoletów maszynowych lasy, niszcząc usiłującego zbliżyć się do naszych czołgów nieprzyjaciela uzbrojonego w granaty i „pięści pancerne“. Z kolei czołgiści ratowali nas w niebezpieczeństwie, zmiatając ogniem dział nieprzyjacielskie karabiny maszynowe.

Po północy rozproszyliśmy załogę nieprzyjacielską we Fronau i nie zatrzymując się, skierowaliśmy się do końcowego celu — ku przeprawie przez kanał Hohenzollernów. Lecz zaledwie pierwszy czołg zbliżył się do kanału, gdy potężny wybuch oznajmił nam, że most wyleciał w powietrze. W tej samej chwili z zachodniej strony kanału hitlerowcy otworzyli wściekły ogień ze wszystkich rodzajów broni.

Zajęliśmy obronę na wschodnim wybrzeżu. Z rana zaczęła ścigać nasza piechota, która przedarła się za nami przez letniskowe przedmieścia Berlina — Glinicke i Fronau.

22 kwietnia, 10.00.

Dowódca naszej jednostki, generał-major Wydrigan, postanowił przy pomocy dwóch batalionów forsować kanał z prawej i lewej strony wysadzzonego mostu i opanować na zachodnim brzegu przyczółek, który by osłaniał saperów, budujących mosty dla przeprawy naszej dywizji, czołgów i artylerii. Kompania lejtnanta Nowikowa otrzymała rozkaz przedarcia się przez płonący most na drugi brzeg i osłaniania ogniem miejsca desantu z naszych łodzi. Piechota skupiła skrycie w lesie łodzi, saperzy przygotowywali drzewo i wszystko konieczne do budowy mostów, artylerzyści i moździerzyści rozpoznawali gniazda ogniowe przeciwnika...

O 16.30 artyleria i moździerze otworzyły ześrodkowany ogień na ugrupowanie bojowe wroga. Bataliony przygotowały się do skoku przez kanał. Poczekawszy, aż ogień przeszedł w nawalę, lejtnant Nowikow podał komendę i pierwszy rzucił się ku płonącemu mostowi na czele swych ludzi...

I już żołnierze wbiegają na płonący most. Ogień parzy im twarze, dym i iskry oślepiają oczy, lecz biegną dalej. Nieprzyjacielskie pociski



gwizdzą dokola, lecz żołnierze, to znikając, to wychylając się z kłębow dymu, nie ustają w biegu. Już są przy wysadzonym przęsle. Zastępca dowódcy plutonu, sierżant Jakuszko, pod ogniem wroga bierze długie, grube deski i buduje z nich pierwsze pomosty między poskręcanymi wybuchem belkami. Żołnierze przebiegają po nich, wspinają się po zwałonej kratownicy i pomagają ułożyć drugi pomost. Ogień nieprzyjaciela wzmaga się. Na moście i obok niego bezustannie wybuchają pociski artyleryjskie i moździerzowe. Wzbijają się olbrzymie fontanny wody. Fale i przelewająca się woda zmywają ludzi, lecz towarzysze chwytają ich za wyciągnięte ręce i wciągają na belki zburzonych kratownic mostu...

— Naprzód, towarzysze! — krzyczy dowódca kompanii wymachując pistoletem maszynowym.

Wraz z szeregowcem Bezzubką znika w kłębach dymu i przebiegając po płonącym pomoście, dociera do przeciwległego brzegu, skąd Niemcy strzelają z pistoletów maszynowych. Za nim biegną inni.

W tym samym czasie pojawiają się na moście żołnierze starszego lejtnanta Ponomarenki, uzbrojeni w karabiny maszynowe. Zasłaniając twarze od buchającego żaru, obsługi karabinów maszynowych sierżantów Gałkina i Żurawki z trudem przekraczają wysadzone przęsło. Przedostają się przez pomosty i wciągają ciężkie karabiny maszynowe na drugą stronę mostu. Ledwie zdążyli przebiec przez palący się pomost, gdy resztki jego od wybuchu nieprzyjacielskiego pocisku walą się do wody. Za chwilę grzmia już na przeciwległym brzegu serie naszych karabinów maszyno-

wych, słycać okrzyki: „hura“ i poprzez kłęby dymu widać uciekających Niemców. Ostrzeliwując się z pistoletów maszynowych, giną oni za nasypem drogowym i w domach. Na brzegu, z lewej i prawej strony wysadzonego mostu pojawiają się pierwsze pododdziały. Dźwigają na rękach łodzie i szybko opuszczają je na wodę. Wróg otwiera do nich huraganowy ogień z karabinów maszynowych i moździerzy, ale już pierwsze grupy desantowe wskakują do łodzi i płyną ku nieprzyjacielskiemu brzegowi. Nieprzyjaciel ześrodkowuje ogień artyleryjski na płynące łodzie. Dokoła bulgocze w kaskadach i wzdyma się woda, świszczą odłamki. Żołnierze wiosłują z całych sił, aby jak najprędzej wyjść spod ostrzału. Każdy z nich wie, że nawet sekunda jest droga, i łodzie mkną ku brzegowi z niezwykłą szybkością. Brzeg już blisko. Nie czekając, aż łodzie przybiją, żołnierze wyskakują i przez wodę biegną ku brzegowi. Przybywające łodzie opróżniają się jedna po drugiej. Olbrzymia fala, wzniesiona wybuchami, przewraca ostatnią łódź, lecz żołnierze, jedni wpław, inni brodząc w wodzie — przedostają się na brzeg i biegną ku nasypowi.

Po upływie dwu godzin obydwaj bataliony całkowicie przeprowadzają się na nieprzyjacielski brzeg. Po odparciu zacieklego przeciwuderzenia batalion, depcząc po piętach nieprzyjaciela, wdziera się na wschodni kraniec Henningsdorfu. Pod osłoną ciemności saperzy przystępują do budowy przepraw. Całą noc wre praca pod nie słabnącym ostrzałem artylerii i moździerzy.

O 6.00 oba mosty są gotowe i pierwsze oddziały dywizji rozpoczynają przeprawę...

Za nimi ciągną na przestrzeni kilometra dwie kolumny naszych czołgów, dział pancernych, baterii artyleryjskich, moździerzy i karabinów maszynowych. Za tą groźną lawiną sprzętu bojowego skoncentrowały się już w pobliskich lasach oddziały drugiego rzutu przeznaczone do rozwinięcia natarcia.

Hitlerowskie lotnictwo kilka razy usiłowało bombardować mosty i podejścia do nich zatłoczone sprzętem bojowym, lecz gęsty, wielowarstwowy ogień naszych dział przeciwlotniczych szybko rozpędzał faszystowskich lotników i przeprawa odbywała się bez przeszkód.

O 7.00 nasze czołowe oddziały oczyściły ostatecznie Renningsdorf od nieprzyjaciela. Pułk majora Sjergiejew, który miał osłaniać nasze prawe skrzydło, ruszył dalej na zachód. Reszta oddziałów wraz z przeprowadzonymi czołgami, działami pancernymi i artylerią ostro skrzyła na zachód i skierowała się wzdłuż łańcucha jezior Havel, by okrążyć Berlin od zachodu.

Nadeszła historyczna chwila: wojska 1 Frontu Białoruskiego ruszyły na spotkanie wojsk 1 Frontu Ukraińskiego, które zaczęły już okrążanie Berlina od południa...

23 kwietnia, 18.00.

Wypadki rozwijają się coraz szybciej. Dziś oddziały jednostki, kontynuując natarcie, osiągnęły północno-zachodni kraniec Wielkiego Berlina.

Generał rozkazał towarzyszącej nam baterii haubic pułku artylerii dać salwę do śródmieścia Berlina.

Działa rozwijają się szybko. Krótka komenda! I śmiercionośne salwy radzieckich dział uderzają w Reichstag i kancelarię cesarską.

Przed chwilą przyszedł rozkaz bojowy. Zadanie — dotrzeć do miasta Poczdamu, opanować je i zamknąć pierścień okrążający Berlin..

Ogarnięci zapalem wykonania zaszczytnego zadania, jakie otrzymała jednostka, wszyscy rwą się naprzód.

Każdy ocenia wagę chwili: faszyzm wydaje już ostatnie tchnienie. Jeszcze jeden, ostatni wysilek i koniec wojny...

25 kwietnia, 12.00.

W nocy oddziały, po obejściu Spandau od północnego zachodu, przecięły najważniejsze kolejowe linie komunikacyjne hitlerowców, linie prowadzące od Berlina na zachód. Rano wdarły się do Dalgow i natychmiast skierowały się dalej na południe, ku Poczdamowi.

Dziś odczytano rozkaz Wodza Naczelnego, towarzysza Stalina, nr 342 z 25 kwietnia. Szeregowcy, podoficerowie i oficerowie z zachwytem wysłuchali przejmujących słów rozkazu:

„Wojska 1 Frontu Białoruskiego przecięły wszystkie drogi prowadzące z Berlina na zachód i dziś 25 kwietnia połączyły się z wojskami 1 Frontu Ukraińskiego na północny zachód od Poczdamu, dokonując w ten sposób pełnego okrążenia Berlina“.

Wśród innych było też podziękowanie Wodza Naczelnego dla nas — szeregowców, podoficerów, i oficerów jednostki generała-majora Wydri-gana.

27 kwietnia, 10.00.

Poczdam otoczony jest od północy, wschodu i południa gęstą siecią kanałów i szerokich jezior. Na drodze naszej dywizji najwęższą przeszkodą wodną był kanał na północ od jeziora Jungfern. Niemcy spodziewali się oczywiście, że nasze natarcie na miasto nastąpi z tej strony.

Generał-major Wydrigan rozkazał saperom rozpocząć natychmiast usilne przygotowania do budowy przeprawy właśnie przez ten kanał. Saperzy przystąpili do pracy na oczach Niemców. Tymczasem pułki otrzymały rozkaz natarcia nie przez wąski kanał od północy, gdzie hitlerowcy skupili swoje siły, lecz przez szerokie jezioro Jungfern od wschodu. 26 kwietnia w ciągu całego dnia i następnej nocy przewożono tam w ukryciu środki

przeprawowe. Dla zapewnienia powodzenia przy forsowaniu jeziora przydzielono specjalny batalion z samochodami typu „amfibia“.

W nocy na 27 kwietnia pod osłoną ciemności przewieziono na tych amfibiach jeden z batalionów podpułkownika Łazebnikowa na południowo-zachodni brzeg jeziora. Batalion wysiadł na brzeg po kryjomu i niespodziewanym natarciem rozbił grupę hitlerowców, osłaniających od tej strony Poczdam. Następnie umocnił się na zajętych przyczółku.

Bezpośrednio potem rozpoczęła się przeprawa reszty batalionów podpułkownika Łazebnikowa i pułku majora Wodołazowa. Przeprowadzono się na specjalnych tratwach zbitych z pontonów. Do 10.00 przerzucono w ten sposób, prócz obydwu pułków, także samodzielny dywizjon artylerii przeciwpancernej i dywizjon dział pułku artylerii.

Na południowo-zachodnim brzegu jeziora skoncentrowała się potężna grupa uderzeniowa, gotowa do rozpoczęcia natarcia na miasto...

27 kwietnia, 13.00.

Natarcie na miasto rozpoczęło się o 10.30, to znaczy w pół godziny po tym, jak przepłynęły przez jezioro Jungfern ostatnie działa pułku artylerii.

Po krótkiej, lecz intensywnej nawale artyleryjskiej pododdziały podpułkownika Łazebnikowa i majora Wodowozowa uderzyły na miasto. Na skutek dobrze przygotowanego i błyskawicznie przeprowadzonego manewru broniące Poczdamu od północy i południa zgrupowania wroga zostały rozdzielone i straciwszy łączność zaczęły cofać się w pośpiechu. Cała droga odwrotu usłana była setkami trupów żołnierzy niemieckich.

Depcząc po piętach cofającego się wroga obydwie pułki wdarły się do północnych i zachodnich krańców miasta. Rozgorzały walki uliczne. Hitlerowcy bronili się zaciekle, trzymali się kurczowo każdego domu. Otworzyli silny ogień z dział strzelając na wprost.

Używali w ogromnej ilości „pięści pancernych“, bez przerwy przechodzili wciąż do nowych przeciwnatarć. Mimo to już w południe cała środkowa część miasta była w naszym ręku.

O 12.00 przeniesiono punkt obserwacyjny do obszernego rodowego zamku cesarzy niemieckich. Nad zamkiem powiewała już radziecka flaga państwa.

Klucze zamku wręczono naszemu dowódcy, generałowi-majorowi Wydriganowi.

N. MIESZKOW
KAPITAN GWARDII

Na linii Freidorfu

Były to dni najbardziej zaciętych walk z hitlerowskim ugrupowaniem, okrążonym na południowy wschód od Berlina. Nieprzyjaciel czynił rozpaczliwe wysiłki, aby wyrwać się z pierścienia.

Za cenę wielkich strat udało się kilku batalionom nieprzyjaciela wbić klin w nasze ugrupowanie bojowe i wieczorem dnia 26 kwietnia wyjść na linię Freidorfu. Nasz pułk przeciwpancerny otrzymał rozkaz śpiesznie wysunąć się do rejonu przełamania i zagrozić drogę nieprzyjacielowi. Po upływie pół godziny czołowa bateria pułku podchodziła już do północnych krańców Freidorfu. Nagle z ciemności nocnych spadła na baterię silna nawała ogniowa. Kolumna zatrzymała się...

Jako pierwsze, zajęło stanowisko ogniowe i otworzyło ogień seriami nawałowymi działo starszego sierżanta gwardii Dorochowa. Hitlerowcy w pierwszej chwili byli zaskoczeni, ale wnet powrócili do równowagi. Wielka ich grupa zaczęła okrążyć baterię od lewej strony. Strzelając z pistoletów maszynowych pierwsi żołnierze hitlerowscy podbiegli już do domków wsi. Jeszcze chwila, a znaleźliby się na naszych tyłach.

Ale zwiadowcy Troszkin i Jeliszejew uprzedzili ich. Szybko ustawili w oknie domu karabin maszynowy, otworzyli silny ogień wzdłuż ulicy do podbiegających Niemców. Ci przywarli do ziemi. Czołowa tyraliera nieprzyjaciela przypadła do ziemi pod ogniem dział. W tej chwili otworzyły ogień pozostałe działa drugiej baterii. Nieomal natychmiast zagrzmiały salwy pierwszej baterii. Zapłonęły zapalone pociskami domy. Sytuacja zmieniła się natychmiast. Hitlerowcy bezładnie miotali się po polu, usiłując ratować się przed śmiertelnie miotającym ogniem dwóch baterii. Baterie ścigają ich ogniem i zaczynają działaniami posuwać się naprzód.

Wysłano zwiadowców bateryjnych, aby ścigali nieprzyjaciela. Wspólnie z żołnierzami batalionu piechoty, którzy właśnie nadeszli, wdarli się oni tuż na karkach nieprzyjaciela do pobliskiej wsi Tehrow i opanowali ją. Nad ranem nadeszły tam nasze baterie i zajęły stanowiska ogniowe na krańcach. Niemcy wycofali się do lasu i zajęli stanowiska obronne na skraju.

Widoczne było przez cały dzień, że nieprzyjaciel denerwował się, ostrzeliwał bezładnie nasze baterie. Po zapadnięciu zmroku ogień artyleryjski nieprzyjaciela wzmógł się. Coraz silniejszy był trzask karabinów maszynowych i karabinów. Nieprzyjaciel prawdopodobnie przygotowywał się do przeciwuderzenia. Rzeczywiście, ledwie zapadły ciemności, a już wielkie grupy Niemców ruszyły od północy do natarcia na wieś. W ciemnościach tyraliery nieprzyjaciela można było rozpoznać na podstawie sepek błysków wystrzałów. Nie odpowiadaliśmy, czekając na sygnał. Obsługi zamarły w bezruchu przy działach i karabinach maszynowych. Wreszcie z punktu obserwacyjnego dowódcy pułku wzbiła się w górę zielona rakietka. Momentalnie zapaliły się dziesiątki rakiet świetlnych. Zrobiło się jasno jak w dzień. Tyraliery nieprzyjacielskie nacierały w kilku szeregach. Ale oto powietrzem wstrząsają salwy dział, trzaskają serie z karabinów maszynowych i pistoletów maszynowych. Celny ogień baterii od razu otrzeźwił nieprzyjaciela. Niemcy przywierają do ziemi, rozkładają się w różne strony, potem uciekają.

W ciągu nocy wróg jeszcze trzykrotnie usiłował nacierać na nasze ugrupowanie bojowe, ale za każdym razem cofał się do lasu z olbrzymimi stratami. Przed świtem walka wreszcie ucichła.

Wyczerpani walką, która trwała bez przerwy dwa dni i dwie noce, obsługi dział baterii i piechurzy zdrzemnęli się przy swoich działach i karabinach maszynowych. Nagle w ciszy przedświt rozległy się krzyki. Pośpiesznie, jakby przez sen, zaterkotał karabin maszynowy, zagrzmiała bezładna strzelanina z karabinów. Wzbiły się rakiety. W ich nierównym jaskrawym świetle ukazały się zwarte masy hitlerowców, posuwających się bez jednego wystrzału gęstymi równymi tyralierami na północno-zachodni kraniec wsi. Ze wzgórza cofały się ostrzeliwując się drobne grupy naszych piechurów. Stamtąd też wycofywał się zaprząg z 45 mm działem bez pocisków.

Na tyłach hitlerowskich słychać było warkot silników...

Wielka grupa przeciwnika przedarła się do dział starszego sierżanta gwardii Sokołowa. Odważni gwardziści ostrzeliwują się, obrzucają nieprzyjaciela ręcznymi granatami. Od wybuchu „pięści pancерnej“ ginie działonowy i cała obsługa.

Koło dział poniewiera się oderwana lufa. Kaemista Sawczenko czołga się ze swoim karabinem maszynowym w tył i z okna piwnicy dalej kosi hitlerowców, którzy wdarli się na stanowisko ogniowe. Jego serie przygniatają nieprzyjaciela do ziemi. Ale oto karabin maszynowy umilkł.

Skończyły się naboje. Hitlerowcy poruszyli się. Nie zdążyli jednak podnieść głów, gdy Sawczenko znów otwiera ogień, tym razem ze znalezionej pistoletu maszynowego...

Do działła Safajewa hitlerowcy podczołgali się zupełnie blisko. Zza domów sunie na baterię nieprzyjacielski terenowy samochód opancerzony. Safajew, który zastąpił zabitego przed chwilą celowniczego, przywarł do celownika i wycelowuje działło do nieprzyjacielskiego wozu. Ale w tej chwili rzuca się na niego pięciu faszystów. Strzelec gwardii Popandopuł widzi to, zrywa się na nogi i krótką serią z pistoletu maszynowego z bliskiej odległości ścina ich. W tej chwili rozlega się wystrzał działła i trafiony samochód terenowy zapala się.

Zacięta walka zawrzała jednocześnie w sąsiedniej, drugiej baterii. W najgorętszej chwili walki, na drodze, z tyłu baterii zjawiał się niemiecki terenowy samochód opancerzony. Mknął w stronę wsi. W tym czasie czerwonoarmista Sajer zaminowywał drogę. Nie rozpoznał w zmroku porannym znaków faszystowskich, wziął go za swój i szybko rzucił się na jego spotkanie.

— Stać — zawołał wymachując rękami. — Dokąd jedziesz, tam miny.

Samochód terenowy gwałtownie zahamował, zatrzymał się w odległości dwudziestu kroków od działła dowódcy plutonu, lejtnanta gwardii Dolinina. Ten odwrócił się. Jeden rzut oka wystarczył mu, aby zrozumieć, o co chodzi. Lejtnant szybko podał komendę. Obsługa natychmiast obróciła działło. Samochód terenowy otworzył ogień do działła, dał gazu i usiłował skryć się. Ale już zagrzmiął wystrzał z naszego działła. Trafiony samochód terenowy zapalił się jaskrawym snopem płomieni i zamarł zasnuty gęstym czarnym dymem...

Pomimo olbrzymich strat hitlerowcy przedarli się do centrum wsi, udało im się przeciąć obronę pułku na dwie części. Na wschodnim skraju walczyły dalej czwarta i druga bateria. Na zachodnim skraju toczyły nierówną walkę z olbrzymimi masami Niemców pierwsza i piąta bateria.

Do stanowisk ogniowych pierwszej i piątej baterii hitlerowcy podeszli, kiedy było jeszcze ciemno. Ponosząc olbrzymie straty dosłownie napierali na lufy dział. Jednocześnie całe ich grupy, po sto pięćdziesiąt do dwustu ludzi każda, zaczęły, czołgając się, otaczać skrzydła baterii od wchodu i zachodu. Oświetlając pole walki rakietami gwardziści prowadzili bezustanny ogień na czołgających się zewsząd faszystów. Ich celny ogień kosił wroga, przygniatał go do ziemi. Ale pociski kończą się. Kończą się też i rakiety. Niemcy zbliżają się coraz bardziej.

Działło lejtnanta gwardii Braźnikowa umilkło pierwsze — skończyły się pociski. Lejtnant posłał po nie do najbliższego działła, a sam ze zwiadowcami ostrzeliwał się dalej z pistoletów maszynowych przed czołgającymi się Niemcami. Rozległ się okrzyk:

— Towarzyszu lejtnancie, hitlerowcy z tyłu!

Brażnikow obejrzał się. Z ciemności tuż obok niego wyrosła postać faszysty. Zanim lejtnant zdążył wykonać jakiś ruch, raptem tamten z bliska wystrzelił z pistoletu. Ranny oficer, padając, silnym szarpnięciem za nogę obalił wroga na ziemię. Zwiadowca Rudat, który właśnie nadbiegł, zabił nieprzyjaciela serią z pistoletu maszynowego.

Na piątej baterii wyczerpują się pociski. Hitlerowcy odcięli drogę do wozu, opanowali drogę na tyły. Dowódca plutonu dowodzenia, starszy lejtnant gwardii Tichonrawow, zbiera swój pluton i prowadzi go do przeciwdzierzenia. Działo młodszego sierżanta Oniszczyka otwiera ogień seriami nawałowymi na krzaki koło drogi, gdzie usadowiła się wielka grupa hitlerowców. Z drugiej strony na Niemców napada znienacka na samochodzie sierżant Andropow ze zwiadowcami. Ostrzeliwują nieprzyjaciela z karabinu maszynowego, obrzucając granatami ręcznymi. Niemcy uciekają. Za nimi na drogę wdzierają się samochód i razem z żołnierzami. Tichonrawowa zwiadowcy Andropowa uderzają na drugą grupę Niemców, broniących drogi. Przeciwnik nie wytrzymuje silnego i nagłego uderzenia i ostrzeliwując się wycofuje się z szosy. Droga jest wolna. Pluton Tichonrawowa zajmuje ją. Po upływie pół godziny do baterii przywożą pociski.

O świcie baterie pierwsza i piąta otworzyły silny ogień na zachodni kraniec wsi, gdzie trzymała się duża grupa nieprzyjaciela. Jednocześnie rozpoczynają ostrzał również baterie znajdujące się na wschodnim skraju, a dwa nasze terenowe samochody opancerzone, na których znajdowali się dowódca pułku i pomocnik szefa sztabu, w pełnym biegu wdzierają się do wsi. Niemcy próbują stawiać opór, ale nie trwa to długo i grupami oddają się do niewoli.

Koło Halbe

Było wiadomo, że hitlerowskie dowództwo wyznaczyło swoim okrążonym koło Wendisch-Buchholz wojskom zadanie, aby przerwały pierścień w rejonie Halbe i przedarły się do Berlina. Według zeznań jeńców zadanie to miało być wykonane bez względu na wysokość poniesionych strat.

Dnia 28 kwietnia nasz pułk przeciwpancerny otrzymał rozkaz zajęcia stanowiska ogniowego w Halbe. Po wykonaniu forsownego marszu przez las, w którym roło się od błąkających się grup niemieckich, i po odparciu napadu fizylierów nieprzyjaciela, pułk przybył do oznaczonego rejonu. Tutaj w lesie na południe od Halbe toczyły się już zacięte walki.

Nie było czasu na przeprowadzenie rozpoznania terenu i pułk rozwinął się w ciemności pod ogniem nieprzyjaciela, z marszu zajął stanowiska ogniowe na skraju lasu i na zachodnim krańcu wsi.

Pozycyjny rejon Halbe był bardzo trudny do obrony. Ta miejscowość znajduje się w południowo - zachodniej części dużej polany, otoczonej z trzech stron zwartym masywem leśnym. Na przodzie, na przeciwległym skraju lasu znajdował się kościół, stacja kolejowa i cegielnia. Zarosła leśna i budynki były świetnymi podejściami dla przeciwnika, dając możliwość jego drobnym grupom zbliżyć się niepostrzeżenie i ostrzeliwać nasze obsługi dział ogniem z pistoletów maszynowych. Działa miały ograniczony wycinek ostrzału. Niemniej jednak wszystkie baterie pułku były rozmieszczone w taki sposób, aby na hitlerowców, zbliżających się z jakiegokolwiek bądź strony, mogła spaść cała potęga ogniowych środków baterii.

Pierwszą próbę przedarcia się przez Halbe podjął przeciwnik prawie natychmiast po naszym przybyciu. Uderzenie było wykonane siłą około ośmiuset piechurów przy wsparciu dwóch czołgów, dwóch dział pancernych

nych i pięciu terenowych samochodów opancerzonych z rejonu stacji kolejowej, cegielni i lasu, znajdujących się na północ od nich. Główne uderzenie wykonała trzecia bateria prawoskrzydłowa, która zajmowała zachodni kraniec wsi.

Dopuszczono hitlerowców na czterysta metrów i dowódca baterii, starszy lejtnant gwardii Kalitwiański, rozkazał kaemistom i działu starszego sierżanta gwardii Fominych otworzyć ogień. Po pierwszym wystrzale z działa zapaliły się posuwające się na przodzie terenowe samochody opancerzone. Kaemiści kosili nieprzyjacielską piechotę, która gęsto oblepiała czołgi i terenowe samochody opancerzone. Hitlerowcy nie wytrzymują ognia i zaczynają rzucać broń. Dowódca działa przenosi ogień na czołgi. Pocisk burzy wieżyczkę pierwszego czołgu nieprzyjacielskiego. Drugi czołg i działa pancerne rozwinęły się i wycofały. Piechota, porzucona przez własne czołgi, zaczyna miotać się po polu pod śmiertelnie ostrym ogniem naszych baterii. Jeszcze trochę i część Niemców biegnie z powrotem do lasu. Większość natomiast rzuca broń i z podniesionymi rękami idzie ku baterii. Jest to pierwsza grupa składająca się z dwustu trzydziestu jeńców, wzięta tutaj przez nas do niewoli.

Punktualnie o północy przeciwnik rozpoczął drugie natarcie znacznie większymi siłami piechoty z terenowymi samochodami opancerzonymi. Zwarte kolumny hitlerowców rzuciły się do natarcia z lasu, położonego na północ od Halbe, zamierzając przedrzeć się poprzez baterie do zachodniego masywu lasu. Ostrzeliwaliśmy ich ogniem nawałowym z wszystkich dział, karabinów maszynowych i pistoletów maszynowych. Hitlerowcy ponieśli wielkie straty, ale w dalszym ciągu zajadłe parli naprzód. W oślepiającym świetle palących się rakiet widzieliśmy ich wykrzywione twarze. Poszły w ruch granaty ręczne...

Duża grupa niemieckich fizylierów przedarła się na odcinek pomiędzy bateriami i nacierała na punkt obserwacyjny pułku, który mieścił się w małym domku przy szosie. Garstka szeregowców i oficerów ostrzeliwała się setkom Niemców, którzy otoczyli dom z trzech stron.

Sytuację uratowały dwa terenowe samochody opancerzone drugiej baterii, które zostały wezwane na pomoc przez radio.

Do rana przeciwnik cztery razy jeszcze wznawiał natarcie, ale bezskutecznie; stracił przy tym jedynie wiele setek swoich żołnierzy.

Szczególnie silne było ostatecznie natarcie, szóste z rzędu. Zaczęło się o 6.30. Wykonując główne uderzenie siłą dwunastu czołgów, dwudziestu siedmiu terenowych samochodów opancerzonych i około 2 500 piechurów przeciwnikowi udało się zniszczyć pułk artylerii dywizyjnej, który stał na prawo od nas oraz przedrzeć się w rejonie kościoła do lasu. W ten sposób prawe skrzydło naszego pułku zostało odsłonięte i przeciwnik uzyskał możliwość wyjścia z okrążenia prawie bez przeszkód. Hitlerowcy rzucili się do tego wyłomu.

Dowódca prawoskrzydłowej baterii, starszy lejtnant gwardii Kali-

twiański, powziął śmiałą decyzję; szybko wysunął na miejsce wyłomu pluton lejtnanta gwardii Borysowa, rozkazując mu pokryć ogniem powstałe przejście.

Pod silnym ostrzałem przeciwnika pluton szybko zajął nowe stanowisko i z bliskiej odległości zaczął ostrzeliwać posuwające się kolumny hitlerowców. W miejscu wyłomu utworzył się z palących się wozów i samochodów zator nie do przebycia...

W tym czasie dwa czołgi nieprzyjacielskie i działko pancerne osłony rzuciły się na stanowiska ogniowe dział Borysowa strzelając w ruchu. Lejtnant gwardii z zimną krwią przeczekał, aż czołgi się zbliżą. Od pierwszego wystrzału jednego z dział prawy czołg zakreślił się w miejscu na skutek przerwania gąsienicy. Drugim pociskiem celowniczy dobił go i na rozkaz dowódcy przeniósł ogień na działko. Drugie działko rozprawiło się trzema pociskami z drugim czołgiem i także przeniosło ogień na działko pancerne.

Jeszcze chwila i od pocisków, wystrzelonych jednocześnie z obu dział, z samochodu pancernego wybuchają płomienie i pali się...

Po rozprawieniu się z czołgami pluton znowu skierował ogień na piechotę. Gdy zjawiała się osłona, piechota nabrała otuchy, ale szybkie rozbicie czołgów i wznowiony śmiertelny ogień dział ostatecznie zdeorganizowały ją. Hitlerowcy w nieładzie rzucali się po polu, padając od ognia dział i karabinów maszynowych.

W chwili kiedy walka była najbardziej zacięta, z lasu, znajdującego się na północ od stacji kolejowej, nadjechał nieprzyjacielski terenowy samochód opancerzony, któremu towarzyszyło stu pięćdziesięciu fizylierów, i zaczął posuwać się w kierunku drugiej baterii. Na samochodzie powiewała biała flaga. Pierwszy szereg fizylierów szedł bez broni, także z białą flagą. Obsługa baterii zamarła przy działach. Dowódca baterii, starszy lejtnant gwardii Taran, nie dowierzając pokojowym zamiarom nieprzyjaciela, rozkazał sierżantowi gwardii Waśkinowi trzymać samochód w polu widzenia celownika. Kiedy samochód zbliżył się na odległość pięćdziesięciu metrów od stanowiska ogniowego, dowódca baterii wyszedł mu naprzeciw. Nagle biała flaga znikła, lufa karabinu maszynowego szybko zniżyła się i nad głową oficera gwizdnęła seria. Taran upadł i krzyknął „Ognia!”. W mgnieniu oka rozległ się wystrzał i samochód zapłonął. Cała wyskakująca z płonącej maszyny załoga została zniszczona. W liczbie zabitych znajdował się jeden generał i ośmiu starszych oficerów...

Tego samego dnia wielkie zgrupowanie przeciwnika, skoncentrowane w południowym lesie, uległo silnemu naciskowi naszych wojsk od południa. Faszyci nie wytrzymali go, zaczęli cofać się na północ i wyszli do szosy, na tyły naszej drugiej baterii. Dowódca baterii, starszy lejtnant Taran, szybko zmienił ugrupowanie bojowe i przywitał cofającego się wroga gęstym ogniem dział i karabinów maszynowych.

Hitlerowcy, rozwścieczeni tą nową nieoczekiwaną przeszkodą, rzucili się ogromną masą na baterię. Jak szaleni parli na strzelające do nich z bliska działa i karabiny maszynowe. Stosy trupów pokrywały podejścia do naszych stanowisk ogniowych, a coraz to nowe tłumy żołnierzy wroga, ogarnięte jakąś psychozą, szły na pewną śmierć. Wreszcie lawina wojsk nieprzyjacielskich zaczęła rzednąć—setki Niemców oddały się do niewoli, pozostali cofnęli się. Jeszcze dwa razy tego dnia, pod nieustającym naciśnięciem naszych wojsk od południa, hitlerowcy podejmowali podobne rozpaczliwe próby przedarcia się na północ, ale i one skończyły się całkowitym niepowodzeniem.

Okrażone zgrupowanie wroga nie przejawiało do wieczora żadnej aktywności. Z zapadnięciem zmroku zaczęły się krótkie starcia z drobnymi grupami zwiadowczymi przeciwnika. O godzinie 23,00 wielka grupa niemieckiej piechoty, licząca około 1 500 ludzi, z czołgami, samochodami i terenowymi samochodami opancerzonymi znowu nacierała na baterie usiłując przedrzeć się szosą przez Halbe na zachód.

Pomimo olbrzymich strat Niemcy dotarli do stanowisk ogniowych i w kilku punktach wbili klin w nasze ugrupowania bojowe. Sytuacja stała się bardzo naprężona. Baterie zostały faktycznie odcięte jedna od drugiej. Łączność utrzymywano w głównej mierze drogą radiową. Telefoniczna łączność nie działała pomimo cudów odwagi i bohaterstwa, jakie wykazywali telefoniści.

Artylerzyści już prawie całkowicie zużyli swój zapas amunicji. W tej krytycznej chwili pomagała bardzo umiejętność korzystania z broni zdobytecznej. Pułk wykorzystał w tej walce wiele zdobytych na wrogu karabinów maszynowych, pistoletów maszynowych i granatów ręcznych.

Obsługa działa starszego sierżanta gwardii Breźniowa została całkowicie unieszkodliwiona. Pozostał jedynie sam dowódca z jednym kanonierem obsługi. Działo było uszkodzone. Zabrakło ręcznych granatów i „pięści pancernych“. Hitlerowcy nacierają coraz bliżej i bliżej, a artylerzyści mają w rękach tylko pistolety maszynowe. Niemiecki terenowy samochód opancerzony posuwał się prosto na umilkłe działo, aby zgnieść ocalałych ludzi. Zuchy zasypywali nieprzyjacielski samochód gradem pocisków, ale ten nie strzelając zbliżał się do dział. Jeszcze sekunda — i samochód najeżdża swym opancerzonym brzuchem na stanowisko ogniowe. Ranny gwardzista Breźniow stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, samochód powoli oddalał się ulicą. Nienawiść do wroga postawiła Breźniowa na nogi. Skacząc poprzez leje i trupy, Breźniow pobiegł pod gradem pocisków do swego terenowego samochodu opancerzonego, który walczył za domem. Kilka susów — i oto już siedzi na samochodzie.

— Naprzód! — podaje komendę.

Radziecki samochód, rycząc silnikiem, rzucił się w pogoń za nieprzyjacielskim terenowym samochodem opancerzonym. Ten nie zdążył daleko odejść. Szybkobieźny „M-9“ omal nie werznął się w niemiecki „Hanno-

mag". Breżniew dał długą serię z najcięższego karabinu maszynowego, która przebiła tył samochodu. Ten zapalił się i okrył kłębamii gęstego czarnego dymu.

W tym samym czasie w rejonie stanowiska dowodzenia pułku toczyła się jeszcze bardziej zażarta walka. Kilkunastu szeregowców i oficerów z dwoma terenowymi samochodami opancerzonymi pod dowództwem majora gwardii Tichonowa odpierało wielką grupę hitlerowców. Nasze wozy bojowe masakrowały hitlerowców swoimi gaśnicami, kaemióci i fizylierzy strzelali do nich z bliska.

W dymie walki sierżant Plechow dojrzał faszystę, biorącego na muszkę majora Tichonowa. Silnym szarpnięciem sierżant obala majora na ziemię i nieprzyjacielskie pociski przelatują obok. W następnej chwili seria z karabinu maszynowego przeszywa wroga. Wszystko to stało się tak szybko, że major nie od razu pojął, o co chodzi, a kiedy zrozumiał, nie miał komu dziękować za ocalenie — sierżant Plechow walczył już daleko.

Walka osiągnęła swój punkt kulminacyjny. I nagle hitlerowcy, jak gdyby na dany im sygnał, zaczęli prawie jednocześnie rzucać broń na ziemię i podnosić ręce.

Na lotnisku w Juterbog

W zaciętych walkach toczonych przez nas, od podgórzy Kaukazu do centrum Niemiec, lotnicy mojej jednostki przebyli w powietrzu tysiące godzin i przelecieli około 12 milionów kilometrów. Trzydziestu lotników jednostki zostało odznaczonych tytułem Bohatera Związku Radzieckiego za wspaniałe czyny bohaterskie; każdy z lotników miał na swoim koncie bojowym setki lotów, dziesiątki strąconych samolotów nieprzyjacielskich. Zbliżali się do granicy Berlina jako doświadczeni żołnierze, jako zdolni dowódcy o silnej woli, którzy doskonale opanowali technikę. Byliśmy wszyscy przekonani, że za kilka dni będziemy w Berlinie.

W przededniu rozpoczęcia natarcia opuściliśmy nasze prowizoryczne lotnisko na autostradzie i przelecieliśmy na lądowiska w pobliżu rzeki Nysy. Kiedy nasze oddziały rozpoczęły szturm Berlina, przenieśliśmy się jeszcze bliżej przedniego skraju — na lotnisko miasta Juterbog — na południe od Berlina. Znajdowaliśmy się teraz tuż obok naszych wojsk, toczących walki o nieznanym dotąd w dziejach ludzkości natężeniu.

Ciekawa jest historia opanowania tego lotniska. Miasto Juterbog z dwoma lotniskami, położonymi w sąsiedztwie granicy miasta, było zajęte w wyniku błyskawicznego natarcia czołgistów generała-pułkownika Leluszki, z którymi współdziałała moja jednostka. Uderzenie czołgistów było tak oszałamiające, że dowództwo hitlerowskich oddziałów lotniczych częściowo tylko zdążyło uszkodzić sprzęt na jednym z lotnisk. Na drugim — centralnym lotnisku niemieckiego lotnictwa myśliwskiego OPL całych Niemiec — zagarnęliśmy bogatą zdobycz. Wszystkie hangary, samoloty, w tej liczbie i odrzutowe, wszystkie budynki na lotnisku i ich urządzenia, zapasy materiałów pędnych, amunicji — były nieuszkodzone.



Nad płonącym Berlinem

Opanowawszy lotnisko czołgiści natychmiast zawiadomili nas o tym i mój zastępca poleciał do Juterbog. Zbadał skrupulatnie razem z inżynierami lotnisko i przygotował je do przyjęcia naszych samolotów. Okazało się, że jeden skraj lotniska jest zaminowany, ale czołgiści szybko je rozminowali. Batalion obsługi lotniska rozplanował i przygotował miejsca dla pododdziałów lotniczych. Jednocześnie ze starych naszych lotnisk przybyły produkty żywnościowe, urządzenia, sprzęt lotniczo-techniczny i wszystko to, co jest niezbędne do normalnej pracy bojowej.

I oto zbliżając się do nowego lotniska ujrzałem zarysy tego nadzwyczaj dogodnego pola wzlotu, jego zabudowania i miasto Juterbog z nieuniknionym kościołem, sterzącym pośrodku placu miejskiego. Minęło kilka godzin i nowe lotnisko zaczęło żyć zwykłym ruchliwym życiem. Wkrótce przybył do nas generał-pułkownik Krasowski i otrzymałem od niego wskazówki co do organizacji pracy bojowej na nowym miejscu.

W odległości dziesięciu — piętnastu kilometrów od nas — na zachodzie i na wschodzie — w lasach toczyły się zacięte walki. Na wschodzie tuż koło lotniska, w dużym lesie, znajdowało się okrążone przez nasze wojska znaczne zgrupowanie hitlerowskie. Usiłowało ono wyrwać się z pierścienia i jedyna droga na zachód prowadziła przez nasze lotnisko koło miasta Juterbog.

W tych warunkach bardzo ważną rzeczą było zorganizować regularne rozpoznanie powietrzne, aby śledzić każde przesunięcie się wojsk hitlerowskich w lasach. W każdą pogodę, w deszcz, w mgłę, często lotem koszącym, lecieli lotnicy-zwiadowcy ponad zieleniejącymi lasami, dokładnie podzielonymi przesiekami na kwadraty. Trudno było wykrywać wroga ukrywającego się w lesie. Rozpoznanie i następujące po nim szturmowanie komplikowało się przez to, że przeciwnik miał do dyspozycji duże środki ogniowe. Mimo to tacy lotnicy, jak Bohater Związku Radzieckiego kapitan Komelkow, lejtnant Woroszyłow i inni wywiadowcy, donosili nam o najdrobniejszych przesunięciach wroga. Ustalali umiejętnie przejścia, nawet najmniejszych grup wroga, z jednego kwadratu do drugiego.

Samoloty wylatywały na bombardowanie natychmiast po otrzymaniu wiadomości, przy czym dzięki dobrze zorganizowanej łączności radiowej dążyliśmy dosięgać wroga na otwartych miejscach. Od rana do wieczora grupy myśliwców szturmowały wojska nieprzyjacielskie zrzucając na nie bomby, ostrzeliwując je ogniem z działek i karabinów maszynowych. Przeciwnik ponosił wielkie straty od tych naszych nalotów — i nie tylko w zabitych i rannych. Dowódca korpusu piechoty, z którym współdziałaliśmy, powiedział mi: „Po każdym nalocie Niemcy oddają się do niewoli całymi grupami“.

Ja także latałem bombardować okrążonych hitlerowców. Otrzymałem pewnego razu radiogram, że wróg zamierza przerzucić swoje siły w kierunku na zachód i ja wraz z Bohaterem Związku Radzieckiego, kapitanem Trudem, wylecieliśmy, aby zbombardować nieprzyjaciela. Dosięgliśmy ko-

lumny samochodów nieprzyjacielskich w chwili, kiedy posuwały się przez siekaj. Wróg nie miał gdzie się ukryć i pięć naszych zajęć na samochody i ludzi zmusiły Niemców, którzy ponieśli wielkie straty, do rozsypania się po lesie.

Innym razem na bombardowanie wroga wyleciały dwie ósemki samolotów: jedna pod moim dowództwem, druga pod dowództwem lotnika Trofimowa. Podczas pierwszego zajęcia w moim karabinie maszynowym wybuchł nabój i trzeba było powrócić na lotnisko. Po powrocie towarzyszy znowu rzuciliśmy się do szturmowania.

Już zapadał zmrok i w ciemności widać było palące się samochody i las; paliło się wszystko, co oko ludzkie mogło dojrzeć w dole, ale wróg w dalszym ciągu stawiał opór. Nurkując razem z lotnikiem Gołubowem, zaatakowaliśmy niemieckie działa przeciwlotnicze i zmusiliśmy je do milczenia.

Poszczególne grupy hitlerowców, usiłujących przedrzeć się na zachód, ukazywały się często na wschodniej części lotniska, na skraju lasu, co zakłócało nieco uregulowany tryb życia na lotnisku. Cały wolny od zajęć personel latający, łącznie z technikami i innymi członkami obsługi, uzbrojony w pistolety i karabiny maszynowe, odpierał natarcie wroga. Faszyci szli na nas tyralierami i nawet zwartymi szeregami. Strzelali, padali, ale kierowani rozpaczą, jedna fala za drugą, na nowo wynurzali się z lasu.

Lecz nawet podczas tych walk, toczących się na lotnisku, nie przerwano bojowej pracy lotniczej. Samoloty w dalszym ciągu szły na wykonanie zadania bojowego, wracały, lądowały na lotnisku, na którego skraju toczyły się zacięte walki. Pewnego dnia sytuacja stała się tak naprężona, że trzeba było wezwać do pomocy kompanię porządkowo-ochronną z Juterbog. Innym razem znów uratowały nas w ciężkiej chwili walki na ziemi działa pancerne, które przypadkowo znajdowały się w okolicy lotniska. Ostrzeliwując wroga z bliska, zadecydowały o wyniku starcia.

Nie zwracając uwagi na pogarszającą się pogodę, mgłę, deszcz, bombardowaliśmy w dalszym ciągu wroga w lesie, obok lotniska. Im intensywniejszy był przebieg tych bombardowań, tym mniej usiłowań robili hitlerowcy, aby przedrzeć się na lotnisko. Wreszcie w ostatnich dniach kwietnia okrążone oddziały hitlerowskie, energicznie przyciśnięte przez nasze wojska, zaczęły wychodzić grupami z lasu i oddawać się do niewoli. Okrążone przez nas zgrupowanie wroga zostało całkowicie zlikwidowane. Samoloty naszej jednostki, według oświadczenia dowódcy korpusu piechoty, zniszczyły około 8 000 żołnierzy, dziesiątki samochodów i dużo broni. Na lotnisku zapanował ten względny spokój, jaki panować może na lotnisku bojowym w pobliżu przedniego skraju obrony.

Bezustannie dochodziła nas ogłuszająca kanonada z północy, gdzie armia 1 Frontu Białoruskiego i 1 Frontu Ukraińskiego stalowym pierścieniem ścisnęła centrum faszystowskiego legowiska. Nasi lotnicy żyli w tych

dniach w nieustannym napięciu. Wszyscy rwali się do walki, w zasnutym niebem Berlina.

Każdy dzień przynosił nam radosne wieści o bohaterskiej walce stalinowskich sokołów. Tak na przykład starszy lejtnant Suchow i Bohater Związku Radzieckiego, starszy lejtnant Bondarenko, na czele dwóch czwórek naszych samolotów, tocząc walkę nad przeprawą na Szprewie, spotkali się z dwudziestoma samolotami nieprzyjacielskimi. W wyniku walki koło stacji naprowadzenia strącono dziewięć samolotów faszystowskich, a reszta uciekła. Nasza grupa i czołgi na przeprawie nie miały strat.

Szczególnie uradowała mnie nadzwyczaj piękna walka, stoczona przez młodszego lejtnanta Bieriozkinę na południe od Berlina; sam jeden, Bieriozkin walczył przeciwko dwunastu „Focke-Wulfom-190“ i trzy strącił. Był to rezultat umiejętnego wykorzystania chmur i zastosowania całego szeregu zręcznych manewrów.

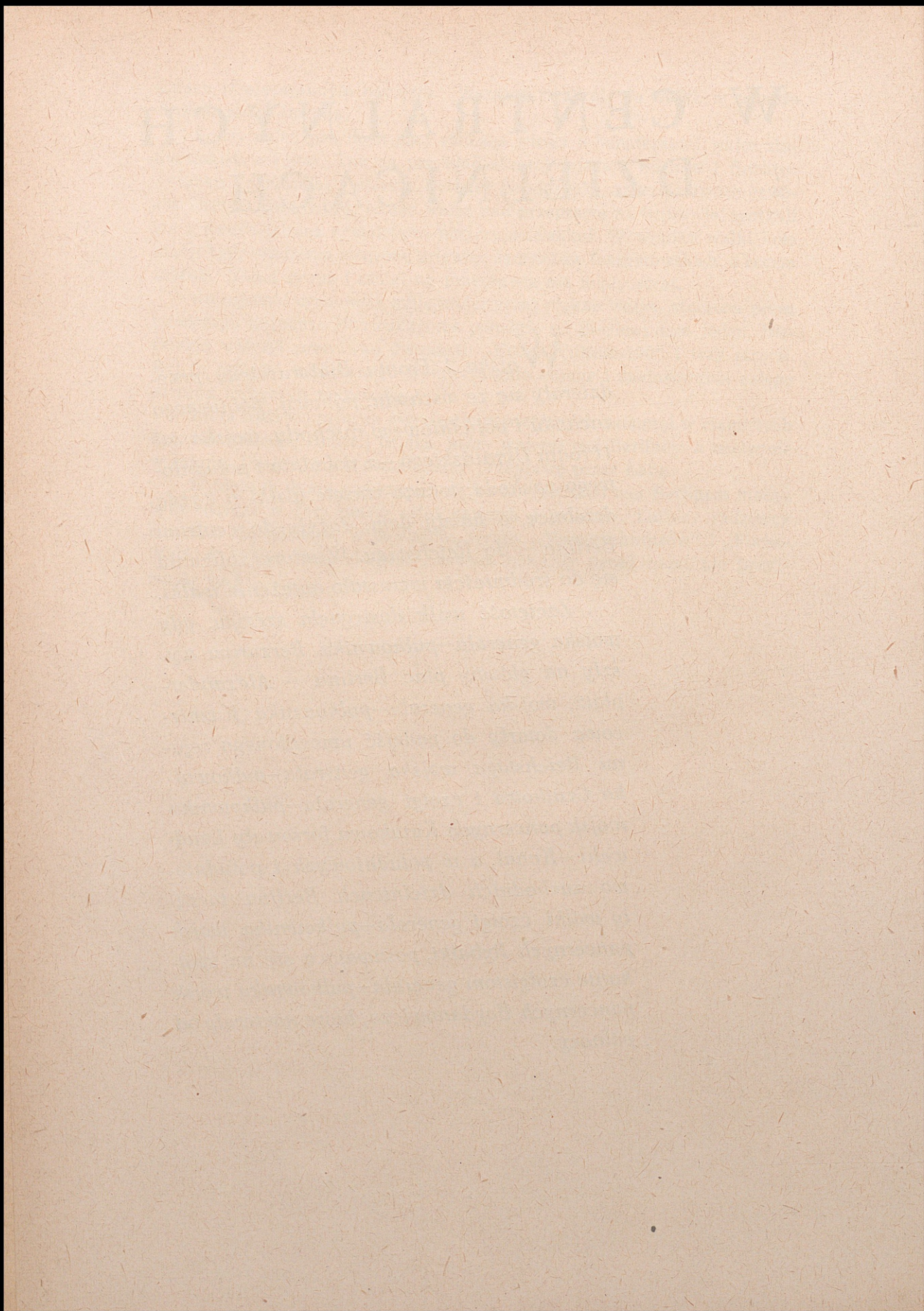
Kilka nadzwyczajnych zwycięstw powietrznych osiągnął w ciągu tych dni osławiony as, Dmitrij Glinka, który walczył pod Berlinem a następnie w rejonie Drezna, gdzie osłanialiśmy przeprawę przez Łabę.

W kłębach dymu unoszącego się ku horyzontowi nad Berlinem można było spotkać w tym czasie setki naszych samolotów. Lotnicy radzieccy panowali niepodzielnie w powietrzu. Grupy „Messerschmittów“ i „Focke-Wulfów“, które napotykaliliśmy, zawsze uciekały przed nami nie przyjmując walki.

W CENTRALNYCH DZIELNICACH

Wojska 1 Frontu Białoruskiego przedzierały się ze wschodu, północy, północnego zachodu i południowego wschodu, wojska zaś 1 Frontu Ukraińskiego – z południa i południowego zachodu; tocząc zacięte walki o każdą dzielnicę, o każdy dom, dążyły do centrum Berlina – do Reichstagu. W miarę zbliżania się do śródmieścia wzrastało natężenie walki.

Zaciętość walk dosięgnęła szczytu, gdy wojska generała–pułkownika Berzarina wyszły na główny plac Berlina – Alexanderplatz, wojska generała–pułkownika Kuzniecowa dotarły do podejść umocnionego rejonu Reichstagu, wojska generała–pułkownika Czujkowa i czołgi generała–pułkownika wojsk pancernych Katukowa forsowały Landwehr–Kanal, a w południowych i południowo zachodnich dzielnicach Berlina toczyły walki czołgi generała–pułkownika wojsk pancernych Rybalki, posuwające się na spotkanie czołgistom generała–pułkownika wojsk pancernych Bogdanowicza, które nacierały od północy.



Balon na uwięzi nad Berlinem

Nasz pododdział balonowy został przydzielony do gwardyjskiej jednostki artyleryjskiej. Razem z tą brygadą szliśmy od Odry, aby kierować ogniem dział na Berlin.

O wiele łatwiej i szybciej byłoby prowadzić balon w powietrzu na 75-metrowej linie dźwigarki, ale ponieważ musieliśmy się maskować, nieśliśmy go w rękach do samego Berlina.

Zatrzymywaliśmy się rzadko na postojach. Spaliśmy po dwie — trzy godziny na dobę. Po dojściu do wyznaczonego punktu otrzymywaliśmy niezwłocznie rozkaz posuwania się dalej. Szliśmy tylko drogami polnymi.

Nogi grzęzły w wilgotnej ziemi. Wiatr wyrywał z rąk wielki balon. Samochody, obładowane sprzętem, zapadały się w błocie. Żołnierze podważali je, wyciągali na twardy grunt i pododdział posuwał się dalej. Bojowa obsługa balonu nie odczuwała zmęczenia. Berlin, o którym myśleliśmy z nienawiścią podczas ciężkich dni pod Moskwą, pod Wielkimi Łukami, pod Warszawą i Łodzią — to miasto, które kiedyś wydawało się tak dalekie, było teraz przed nami. I każdy wyteżał wszystkie siły. Wiedzieliśmy, że będzie to ostatnia walka.

Dnia 25 kwietnia pododdział wkroczył na przedmieście Berlina — Friedrichshafen. Tutaj, koło przeprawy przez Szprewę, zgromadziła się masa sprzętu posuwającego się na Berlin. Dudnią po jezdni czołgi, huczą silniki ciężarówek ciężko naładowanych amunicją i bronią; przejeżdżają gwardyjskie wyrzutnie raketowe, z których zdjęto już brezentowe pokrowce; pełzną ciągniki, wlokąc za sobą potężne działa artylerii wielkiego kalibru; pomiędzy ciężkimi maszynami przesuwają się zwinnie samochody osobowe, kolumny piechoty nieprzerwanym potokiem zdążają ku przeprawie.

Zdumieni jesteśmy ilością i różnorodnością sprzętu rzuconego do szturm na Berlin.

Pomiędzy samochodami przeciskają się uciekinierzy — Niemcy i wyzwoleni z niewoli hitlerowskiej Rosjanie, Francuzi, Włosi i Czesi. Na rękawach przechodniów widzi się najróżnorodniejsze opaski, niemal wszystkich barw narodowych Europy. Z białymi opaskami, znakiem kapitulacji, idą posępni, przygnębieni Niemcy ze swoimi rowerami, walizami, dziecinnymi wózkami. Tuż obok z ożywieniem żartują Francuzi, wesoło połyskują oczyma smagli, szczupli Włosi, śmieją się rosyjskie dziewczyny — cieszą się ze swego wyzwolenia z niewoli, cieszą się, że są wreszcie znów pomiędzy swoimi — Rosjanami.

I oto jesteśmy w Berlinie. Szare domy, podobne do kamiennych pudeł, patrzą na nas stłuczonymi szybami okien, z których zwisają białe flagi. Posępni Niemcy - cywile wylażą ze swoich piwnic i otepiąłym spojrzeniem patrzą na nasz balon. Na ścianach domów zachowały się jeszcze hasła faszystowskie. Koło zburzonych budynków wśród stosów cegły i kamieni ugrzęzły rozbite czołgi niemieckie, działa i samochody, obok — trupy żołnierzy hitlerowskich. Nasze baterie strzelają wprost z ulic do centrum miasta. Huczą samochody, dudnią czołgi, z hałasem przelatują nad dachami samoloty.

Około południa balon przybył do oznaczonego punktu — Parku Koenera. Kapitan Gramotiejew nie omylił się. Wybrał bardzo wygodne miejsce do pracy i postoju balonu. Park położony jest na nizinie, osłaniają go betonowane ściany — tu można bezpiecznie ukryć balon.

Obsługa ustawia się w szeregu. Kapitan Gramotiejew wyznacza jej zadanie bojowe.

— Za dwie godziny rozpoczynamy pracę bojową — powiada — a teraz trzeba koniecznie urządzić stały biwak.

Praca zawrzała. Zastukały siekiery, zadzwoniły piły.

Pod doświadczonego kierownictwem starszego lejtnanta Agljullina obsługa szybko urządziła biwak. Balon ustawiono wśród wysokich drzew, które dobrze maskowały go od góry.

Radiotelegrafista, sierżant Popow, połączył się z brygadą. Kapitan Gramotiejew zameldował przez radio swoje przybycie na miejsce i gotowość do pracy bojowej. W odpowiedzi na to otrzymano rozkaz: podnieść się w powietrze i obserwować przeciwnika, o wszystkim, co się zauważy, meldować do sztabu oddziału.

— Obsługa do balonu!

Żołnierze wyprowadzają balon z ukrycia. Do gondoli wchodzi lejtnant Truchan z lotniczym aparatem fotograficznym. Zahuczała dźwigarka, balon wzbił się nad Berlinem. Lejtnant fotografuje środkową część miasta, gdzie znajdują się jeszcze hitlerowcy. Te zdjęcia po dokładnej analizie dadzą cenne wiadomości o przeciwniku.

W powietrzu zjawiają się samoloty nieprzyjacielskie. Jest ich siedem. Jeden za drugim lecą w kierunku balonu. Oto pierwszy przelatuje nad balonem i daje z karabinu maszynowego serię pocisków zapalających. Lejtnant usłyszał, jak obok niego przeleciały pociski, ogląda srebrzysty brzuch balonu. Nie, nie widać ani dymu, ani ognia, więc nieprzyjaciel chybił. Drugi samolot kieruje się w stronę balonu...

— Opuścić was? — pytają lejtnanta przez telefon z ziemi.

— Nie, jeszcze nie skończyłem — odpowiada.

Do szyku nieprzyjacielskich samolotów wdarło się już kilka radzieckich myśliwców. Niemcy rozpierzchli się w różne strony jak gromada wróbli, w które ciśnięto kamieniem, i zaczęli pojedynczo wycofywać się z walki, uciekać na zachód. Z ziemi zaczęły strzelać działa przeciwlotnicze.

Nagle lejtnant usłyszał nad głową jakieś syczenie. Przebito powłokę, gaz wydostaje się na zewnątrz. Lejtnant zawołał przez telefon:

— Spuszczajcie szybko balon!

Powłoka była przebita w dwóch miejscach. Widać, trafił w nią odłamek pocisku przeciwlotniczego. Starszy sierżant Aleksiejew szybko zakleja dziury, obsługa dodaje gazu do powłoki z zapasowego zbiornika i balon znów jest gotów do wzniesienia się.

Tym razem wzniosł się starszy lejtnant Dowżenko. Długo patrzy przez lornetę nożycową, patrzy na mapę Berlina i wreszcie melduje na ziemię: „Kwadrat 2062 — 86960 trzydziałowa bateria przeciwlotnicza. W rejonie Charlottenburga wybuch o wielkiej sile — widać hitlerowcy wysadzili most. Po Berlinestrasse dwustronny ruch samochodów, naliczyłem ich sześćdziesiąt“.

Lejtnant Dowżenko opuszcza się na ziemię. Wkrótce potem kapitan Gramotiejew otrzymał radiogram z rozkazem niezwłocznego podniesienia balonu w celu poprawiania ognia artyleryjskiego na skupienie przeciwnika w rejonie Koenigsplatzu i Reichstagu.

W gondoli znajduje się starszy lejtnant Jegupow. Raz jeszcze sprawdził połączenie z ziemią, obejrzał wszystkie przyrządy, powiesił na widocznym miejscu mapnik z planem Berlina i obejrzał się. Przed lejtnantem rozpościerał się Berlin podobny do Berlina w mapniku. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, dachy i dachy, poprzecinane liniami ulic geometryczne figury dzielnic. Tu i tam nad dachami unoszą się kominy fabryczne. Błyszczy wijąca się wstęga Szprewy, jasnymi pasmami ciągną się proste kanały. W oddali, wśród kłębow czarnego dymu, rysują się, jak chaotyczna masa, zburzone dzielnice środkowej części miasta. Wielkie pole lotniska Tempelhof odcina się wyraźnie jako szare półkole. Tam stały baterie, których ogniem ma kierować obecnie lejtnant Jegupow.

Balon zamarł. Lejtnant spojrzął na strzałkę wysokościomierza — 900 metrów. Teraz czas zabrać się do roboty. Orientuje mapę za pomocą kompasu, porównuje plan Berlina z tym, co widzi w dole. Przyłożywszy do oczu



lornetkę lejtnant szybko orientuje się w tym olbrzymim drugim planie rozpościerającego się pod nim Berlina, odnajduje Koenigsplatz i uważnie bada ten punkt. Potem wzrok obserwatora ślizga się wzdłuż wstęgi: tutaj na brzegu powinien być gmach Reichstagu... Oto on.

— Przekażcie — mówi przez telefon — że w dzielnicach Koenigsplatzu i Reichstagu widzę skupienie sprzętu. Przygotować się do strzelania.

— Przygotować się do strzelania! — powtarza radiotelegrafista.

Poprawiający ogień szybko przygotowuje dane do strzelania na Koenigsplatz i po krótkim

wstrzeleniu się jednym działem daje komendę:

— Salwa!

Huknęły działa. Z wyciem poleciały pociski na Koenigsplatz.

Poprawiający ogień spojrzął przez lornetkę: na placu wzniosły się słupy wybuchów. Dobrze!

— Seria nawałowa!

Dym zasłonił cały plac. Starszy lejtnant nie widział już wybuchów za zasłoną dymu, ale wiedział, że pociski trafiają dokładnie w cel, i w dalszym ciągu podawał komendę:

— Ognia! Ognia!

Na niebie zjawiły się samoloty. Dwa nieprzyjacielskie bombowce w towarzystwie czterech „Focke-Wulfów“ krążyły nad miastem — szukały widać celu do bombardowania. Oto para samolotów odłączyła się od innych i skierowała się na balon. Ale kiedy zaczęły się właśnie przygotowywać do natarcia, zjawiła się piątka naszych myśliwców. Samoloty nieprzyjacielskie uciekają.

— Opuście mnie niżej — rozkazuje starszy lejtnant i przenosi ogień na Reichstag.

Z ziemi podają:

— Generał zadowolony jest z waszej pracy. Balon można opuścić.

W drugim rzucie

Pamiętnej nocy 26 kwietnia nasz batalion przekroczył Szprewę i zajął pozycje przy gmachu berlińskiego obserwatorium. Huk artylerii dochodził z daleka. Oznaczało to, że walki toczą się już w centrum Berlina. Przykro nam było, że nie jesteśmy tam, a drepczemy u progu miasta — w drugim rzucie, i że może w ogóle nie uda się nam wziąć udziału w tych walkach. A przecież wielu żołnierzy w batalionie chowało pod połą płaszcza nie wiadomo skąd zdobyty kawałek czerwonego materiału w skrytej nadziei, że jako pierwsi wdrapią się na dach Reichstagu. Zazdrość wobec pierwszego rzutu wkrada się do naszych dusz i wypoczynek spędzamy w dość ponurym nastroju.

Ale oto rozpoczyna się ruch. Przyszedł rozkaz przygotowania się i sprawdzenia gotowości bojowej. Szef kompanii Maroczkin kręci się jak bąk, aby jak najszybciej rozdać amunicję. Moi telefoniści krzątają się koło aparatów — jedni starannie wypróbują je, przecierają wkładki mikrofonowe, inni wyładowują z bryczki żelazny zapas najlepszego kabla, który specjalnie chowaliśmy na Berlin.

Batalion otrzymał zadanie, aby, posuwając się w kierunku północno zachodnim między Szprewą i Landwehr-Kanal, oczyszczać dzielnice, przez które przeszedł już pierwszy rzut. Wyruszyliśmy w nocy. Ale płonące gmachy jak gigantyczne pochodnie oświetlały nam drogę i światła było tyle, że mogłem bez trudu przeczytać tabliczkę na jednym ze skrzyżowań: Neue Jakobstrasse.

Nacieramy bez przerwy. Mamy już duże doświadczenie w walkach ulicznych. Szczególnie wiele nauczyła nas zwycięska walka nad Odrą w miasteczku Gross-Neuendorf. Żołnierze idą szybko, pewnie, umiejętnie

manewrują, gdy z zięjących gruzów domów nagle zaczynają gwizdać pociski.

Utrzymanie w tym nieprzerwanym natarciu stałej łączności pomiędzy dowódcą batalionu a kompaniami wymaga od nas, telefonistów, wielkiego wysiłku fizycznego. Dwa oddziały rozwijają przewód za dowódcą kompanii nacierającej, trzeci zwiija zwolniony koniec linii. Całą tę noc dowódca batalionu, major Kowalewski, nie wypuszczał z rąk słuchawki telefonicznej: albo musiał powstrzymywać zapał rwącego się naprzód dowódcy kompanii, starszego lejtnanta Toradze, albo też, na odwrót, należało popchnąć trochę powolnego dowódcę drugiej kompanii, kapitana Pugacza.

Okolo godziny 12,00 dnia następnego dowódca batalionu zachrypniętym głosem meldował do sztabu pułku, że zadanie zostało wykonane, batalion przeszukał na swojej drodze każdy dom — od piwnicy do strychu — i umocnił się w dzielnicy Ritterstrasse. W tym czasie stanowisko dowodzenia batalionu umieściło się pod łukami bramy jakiejś fabryki, której górne piętra paliły się. Kompanie natomiast w dalszym ciągu posuwały się naprzód do centrum miasta i telefonista coraz meldował, że Pugacz i Toradze „zmienili mieszkanie“.

Im bliżej centrum, tym silniejszy stawał się opór nieprzyjaciela. Gospodarstwo Kowalewskiego rozrasta się. Batalionowi przydzielono prawie wszystkie rodzaje sprzętu bojowego: działa pancerne, potężne czołgi, moździerze, działa takich kalibrów, jakich nigdy przedtem w batalionie nie widzieliśmy. Nasza praca telefonistów również znacznie się skomplikowała. Wszystkie przydzielone oddziały ciągnęły za sobą kabel i tylko doświadczony telefonista mógł orientować się w tej gęstej różnokolorowej pajęczynie przewodów, łączących sztab batalionu z ugrupowaniami bojowymi piechoty, stanowiskami artylerii, wyższymi sztabami, sąsiadami itp. Przez całą dobę telefoniści nawoływali się, poprawiali ogień, pytali i meldowali o sytuacji, żądali amunicji, sprawdzali stan linii.

Podczas tych dni przekonaliśmy się naocznie, jak ważna jest nieprzerwana łączność telefoniczna, kiedy walki toczą się na ulicach zabudowanych olbrzymimi domami. Tutaj nie pomoże dowódcy żadna lornetka; poprzez ruiny i dymy pogorzeliisk nie można zobaczyć nawet na bliską odległość swoich ugrupowań bojowych. Jeśli chodzi o współdziałanie piechoty z przydzielonymi oddziałami, to posługiwano się rakietami, ale do dowodzenia grupami szturmowymi najpewniejszym środkiem łączności był telefon. Dlatego też cała nasza uwaga skierowana była na to, żeby ani na chwilę nie przerywała się łączność telefoniczna. Było nas niewiele i od wszystkich nas wymagano szczególnej zręczności, umiejętności, męstwa i wreszcie wytrzymałości. Telefoniści musieli nieraz po kilka dni i nocy bez przerwy siedzieć przy telefonie, nawiązywać łączność pod ostrzałem.

Utkwił mi w pamięci jeden z moich żołnierzy, pełen życia Ukrainiec Wania Angielów. Ze wszystkich domów strzelają karabiny maszynowe, a Wania Angielów ze zwijakiem na plecach idzie ulicą berlińską, jak gdy-

by nie słyszał świstu pocisków, jak gdyby nie był na polu walki, lecz w swojej wsi i śpieszył się na wieczornicę.

Podczas przeszkolenia w obozie dokładnie przerabialiśmy wszystkie tematy programu szkoleniowego, dotyczącego organizacji łączności w natarciu, zastanawialiśmy się nad wszystkimi możliwymi wariantami. Pokpiwano nawet ze mnie w batalionie: „No, jaki dziś wariant przerabiacie — chyba numer siedem, co?”.

Tymczasem „warianty“ te przydały się nam bardzo tu, w Berlinie. Jako dowódca cieszyłem się, że moi żołnierze tak szybko orientowali się w różnych skomplikowanych sytuacjach, wynajdowali nowe „warianty“.

Pewnego razu, w pełnej napięcia chwili walki, kiedy nasza piechota pod osłoną czołgów przebiegała przez ostrzeliwane skrzyżowanie do następnej dzielnicy, łączność telefoniczna nagle przestała działać. Na linię wybiegł szybko sierżant Władimir Abaza i po kilku minutach w słuchawce słychać było szmery — stacja kompanii odpowiedziała na wezwanie. Zaspapany Abaza zameldował mi:

— Nasz czołg wykonał obrót na skrzyżowaniu, zerwał przewód i pociągnął za sobą na gąsienicach ze sto metrów kabla.

Wracać po kabel, żeby wstawić brakujący kawał — na to zmarnowano by zbyt wiele czasu. Abaza ujrzał przewód, zwisający ze słupów miejskiej sieci telefonicznej, i szybko naprawił naszą linię.

W innym miejscu faszysta celował z „pięści pancерnej“ do czołgu, ale trafił obok, wybuch porwał na kawałki przewód, leżący w poprzek ulicy. Na linię do miejsca uszkodzenia przybiegło z dwóch stron dwóch telefonistów. Jak połączyć końce kabla, pozostałe po obydwu stronach chodnika, jeżeli nawet mysz nie prześlizgnie się żywa przez ulicę pod tą ulewą ognia, jak przechytrzyć nieprzyjaciela?

Abaza szybko rozwinął wiszący u pasa kłębek kabla, przywiązał do niego kawałek cegły i dał znak towarzyszowi, który był po drugiej stronie ulicy: „Chwytaj“. Po chwili linia łączności była naprawiona. Metoda ta wkrótce rozpowszechniła się wśród telefonistów.

Zasłynął u nas starszy sierżant Jarulin Karim, kawaler orderu Chwały, który lepiej od innych potrafił wynajdować przejścia przez niekończące się labirynty piwnic i chodników podziemnych, ciągnących się całymi dzielnicami. Kiedy Jarulin nawiązywał łączność, prowadząc oddział sprawdzonymi przejściami, byliśmy spokojni o linię.

Dobrym egzaminem dla batalionu i dla nas, telefonistów, był jeden z ostatnich dni szturm — 29 kwietnia.

Piwnica, gdzie rozmieścił się sztab batalionu, aż drżała od wybuchów. Na ulicy panowało istne piekło; huk wystrzałów dział pancernych, wybuchy „pięści pancernych“, trzaskanie rozrywających się w ogniu naboju pozostawionych w domach skąd Niemcy wyszli...

Łączność z kompaniami i sztabem pułku przerywała się prawie co dziesięć minut. Przewody naszych linii paliły się, rwały je gąsienice czoł-

gów, fale wybuchów... Setki metrów kabla poszły na usunięcie uszkodzeń, na wstawki, na urządzenie linii okrężnych...

Nagle runęła z ogłuszającym łomotem górna część domu, w którego piwnicy ulokował się dowódca batalionu i jego sztab. Z powodu dymu i żrącego czadu trudno było oddychać, języki płomieni lizały już drewniane obicie wejścia do piwnicy. Sufit przepalił się grożąc zawaleniem.

Major Kowalewski rozkazał swemu sztabowi i znajdującym się w odwodzie moździerzystom wydostać się z piwnicy. Telefoniści musieli wyjść ostatni. Nie mogliśmy odejść, zanim nie zdjęliśmy przewodu, ponieważ cały jego zapas wyczerpał się. Każdy metr kabla był dla nas cenny. Jednocześnie trzeba było niezwłocznie urządzić nowe stanowisko dowodzenia... A ludzi było mało... Teraz wydaje się to po prostu nieprawdopodobne, w jaki sposób zdążyliśmy to wszystko zrobić i piwnica nie stała się dla nas krematorium. Kiedy ostatni telefonista wyczołgał się z bębniem przewodu z piwnicy, zasłaniając oczy od nieznośnego gorąca, dom runął i do nieba wznosił się olbrzymi słup dymu z ogniem.

Tak mijały dni w bezustannym ruchu, w zażartych walkach. Batalion nasz oczyścił z hitlerowców już sporo centralnych ulic Berlina. Od dawna nikt już nie myślał, że jesteśmy w drugim rzucie.



N. ALEKSANDROWSKI
STARSZY LEJTNANT

Wśród ruin

Dowódca nasz, starszy lejtnant Teleżenko, rozkazał, aby wraz z grupą żołnierzy sprawdzić dwie dzielnice. Przez te dzielnice przeszła dopiero co, nie zatrzymując się, nasza piechota i wyszła na jedną z głównych ulic.

Ruszyliśmy.

Sprawdziliśmy jedną dzielnicę i nie wykryliśmy nic.

Potem w pojedynkę przecięliśmy szybko uliczkę i spotkaliśmy się u wejścia zburzonego domu drugiej dzielnicy.

Szedłem pierwszy. Za mną w pewnej odległości szli żołnierze. Z przodu sterczały stopy cegieł. To tu, to tam wznosiły się puste ściany, gotowe runąć od najmniejszego drgania powietrza. Tak niedawno były to jeszcze olbrzymie domy — i oto wszystko, co z nich pozostało!

Nad nami przeszła szóstka „Hów“. Od razu wzbilo się w powietrze kilka rakiet. To nasza piechota wskazywała samolotom cel.

Promienie słońca z rzadka przedzierały się przez gęstą chmurę dymu i kurzu, ślizgając się po stosach gruzu. Wysunąłem przed siebie pistolet maszynowy i zacząłem posuwać się dalej.

Z lewej strony stał dom, na który zwróciłem uwagę dlatego, że ocalał na nim dach. Jedna ściana runęła i odsłoniła schody od pierwszego do ostatniego piętra. Szukając, gdzie postawić nogi, wypatrując nor zasypanych kupami cegieł, przejść w piwnicach i kryjówek, skierowaliśmy się do tego na wpół rozwalonego domu.

Rozejrzeliśmy się i postanowiliśmy podejść do jedynego wejścia, które widzieliśmy. Pozostało tylko przejść przez niewielki stos cegieł.

Nachyliłem się, pomagając sobie jedną ręką, a drugą przytrzymując pistolet maszynowy, i nie odwracałem oczu od wejścia do domu. Cegła usu-

nęła mi się spod nogi i na chwilę straciłem z oka obiekt obserwacji. Kiedy spojrzałem ponownie, zobaczyłem, że koło wejścia stoi Niemiec.

Chwyciłem za rączkę zamka, ale Niemiec znikł — jak gdyby rozplynął się w ciemnym kwadracie wejścia. Dobrze go sobie zapamiętałem. Był w granatowym płaszczu, mocno zakurzone — widać zasypało go. Na małej głowie miał wysoką granatową czapkę z białą odznaką. Spod czapki sterczał ostry nos, upodobniający go do szczura.

Był to oficer. Więc jest tam ktoś jeszcze.

— Biegiem za mną — rozkazałem, pobiegłem do wejścia, rzuciłem granat i po chwili ruszyłem naprzód. Od wybuchu powstał gęsty kłęb kurzu i prawie że koziołkując zleciałem na dół po schodach. Gdy podniosłem się, zobaczyłem obok siebie swoich zuchów: trafili tutaj w ten sam sposób — na przedzie starszy sierżant Grigorij Iwanowicz Kostyria, młody Domnasowiec.

Rozejrzeliśmy się naprędce. Okazało się, że wpadliśmy do niewielkiego podwórka-studni, ściśle otoczonego domami z trzech stron.

Kazałem, aby nie schodzić do piwnic, lecz obejrzeć mieszkania. Ludzie rozeszli się.

W tej chwili pocisk gwizdnął mi nad głową i uderzył o ścianę. Ukryłem się w jakimś pokoju. Zastanawiałem się, gdzie mogą być hitlerowcy i skąd do mnie strzelali.

Wrócili żołnierze i zameldowali, że w mieszkaniach nikogo nie ma, ale w piwnicy słychać tupot podkutych butów.

Wejście do piwnicy ostrzeliwał hitlerowski strzelec wyborowy przez sklepiony łuk, on też strzelał do mnie. Nie upłynęło nawet pięciu minut, a już trzech hitlerowskich strzelców wyborowych ostrzeliwało podwórze przez ten łuk. Zranili sierżanta Połtawca i starszego sierżanta Aleksiejewa.

Powierzyłem nieprzyjacielskich strzelców wyborowych starszemu strzelcowi Romaniencie. Wziął dwie „pięści pancerne“ i wszedł na drugie piętro. Rozległy się dwa wystrzały i wybuchy dwóch naboju „pięści pancernych“ zwały się w jeden przeciągły huk. W tej samej chwili obrzuciłem piwnicę granatami. I oto w kłębach kurzu zarysowała się znajoma postać Niemca — szczura. Za nim — jeden po drugim — wyszło dziesięciu Niemców i rzuciło nam pod nogi swoje nawet dość silne uzbrojenie: „pięści pancerne“, granaty przeciwczołgowe, pistolety, karabiny i pistolety maszynowe.

Nie pytaliśmy ich, po co pozostali w piwnicy: wysłaliśmy ich do sztabu batalionu i zameldowaliśmy, że zadanie zostało wykonane — dzielnica dokładnie sprawdzona.

Z pilnikiem na linii ognia

W nocy hitlerowcy wykonali nawałę artyleryjską na nasze stanowiska ogniowe. Zapalił się dom — jeden z dwóch, które tu jakimś cudem jeszcze ocalały. Właśnie miałem zamiar przespać się w piwnicy tego domu! Jako szef warsztatów naszej baterii mózdzierzy musiałem ostatnio dużo pracować i chciało mi się straszliwie spać.

Ale czyż można było spać? Wyszedłem z piwnicy. Na drugim piętrze już hulał ogień. Stojący w bramie samochód również się zapalił. Szofer Kaljagin nie zdążył nawet odciągnąć go na bok. Drugi pocisk trafił prosto w stojącą na samochodzie beczkę z benzyną, która stanęła w płomieniach.

Trzeba było stąd odejść. Ale właśnie teraz w samochodzie zaczęły wybuchać pociski mózdzierzowe. Ja i dwóch żołnierzy musieliśmy znowu zejść do piwnicy i przesiedzieć tam około pół godziny, póki trwały wybuchy. Potem wyszliśmy na podwórze. Teraz płonął już cały dom. Nigdy przedtem nie wyobrażałem sobie, że murowany dom może tak palić się! Jak wydostać się z tego piekła? Dom palił się z trzech stron, z czwartej była wysoka szczytowa ściana bez jednej szparki.

Nagle zobaczyłem, że żołnierz, który odbiegł w bok, macha do nas energicznie ręką. Głosu jego nie było słyhać w huku pożaru. Podbiegliśmy do niego i zobaczyliśmy, że jeden pokój na parterze, choć pełen dymu, ale się jeszcze nie palił. Sądząc, że za tym pokojem jest następny, z wyjściem na ulicę, nie zastanawialiśmy się długo i wleźliśmy przez okno. Po omacku brnąc w gorącym popiele wydostaliśmy się przez korytarz rzeczywiście na ulicę właśnie w chwili, gdy nad naszymi głowami zapaliły się stropy i zaczął walić się sufit.

Świeże powietrze, wiatr — jak dobrze oddychać... Ale trzeba szukać nowego schronienia. Zburzonych domów było, ile dusza zapragnie. Więc

zanocowałem w jednym z nich. Myślałem, że teraz nie zbudzą mnie nawet armaty, jednakże obudziłem się z rana bez huku dział. Jak gdyby mnie ktoś szturchnął.

Wstałem, wyszedłem na ulicę i skierowałem się na stanowisko ogniowe ciężkich moździerzy. Tam panował całkowity spokój. Wczorajsze nasze schronisko już się dopalało. Moździerze strzelały co dwie-trzy minuty. Obok słyhać było trzaskanie pistoletów maszynowych. Od czasu do czasu przelatywał nad głową, wstrząsając powietrzem, pocisk nieprzyjacielski i wybuchał w pobliżu z ogłuszającym hukiem.

Po obejrzeniu moździerzy chciałem zabrać się do śniadania. Ale właśnie przybiegł żołnierz z pierwszej, lekkiej baterii. Stała o jakieś trzy bloki przed nami, obok batalionu piechoty, który wspieraliśmy.

Wzburzony, rozgorączkowany biegiem żołnierz zameldował:

— Towarzyszu starszy lejtnancie, moździerz nam nie działa.

I dodał:

— Proszę was, chodźmy prędzej!

Ponieważ moi majstrowie zostali rozesłani, musiałem iść sam. Szybko wybrałem się, wziąłem torbę z narzędziami i poszliśmy. Bez szczególnych przeszkód przedostaliśmy się do baterii. W moździerzu nie działał mechanizm podniesieniowy. Z pomocą działonowego rozebrałem moździerz. Okazało się, że tulejka wodząca śruby była z lekka zgięta. Trzeba ją było trochę podpiłować.

W tej chwili podszedł do mnie dowódca drugiego plutonu, lejtnant Ignatiew.

— Wkrótce ruszymy do natarcia — powiedział. — Przecież wspieramy piechotę. Postarajcie się jakoś... prędzej...

Żelazo stawiało opór. Pod pilnikiem nie było słyhać zgrzytu, jednak wyczuwałem opór przy każdym ruchu pilnika. A naprawić trzeba było jak najszybciej, przecież nawet myśleć nie można, że rozpocznie się natarcie, a moździerz nie będzie gotów.

Gdy myśl taka gnębi mózg, nie widzi się nic dokoła. Obok wybuchł pocisk, rzuciło mnie na ziemię, podnoszę się, a mam wciąż tę samą myśl: „Byleby tylko zdążyć“.

Znów ziemia drgnęła, znów ścigając się przelatują odłamki. I znów, i znów wybuchy, odłamki — wyraźna nawała ogniowa, którą odczuwam, ale nie uprzytamniam sobie, ponieważ pochłonięty jestem pracą.

Nawała ustała. Zakrzętnęła się obsługa moździerzy. I natychmiast komenda:

— Ognia!

Ryknęło pięć moździerzy. „Ech, nie zdążyłem! — przemknęło mi przez głowę. — Ale oto koniec. Gotowe. Teraz tylko jak najprędzej złożyć“.

— Ognia!

Nakrętki zakręcone, gwint porusza się swobodnie.

— Obsługa — do działa!

— Ognia!

Tym razem strzela cała szóstka. Tempo ognia wzrasta. Gdzieś tam za domami grzmi „hura“, wdzierając się do chóru moździerzy.

Piechota ruszyła. Kiedy wróciłem do ciężkich moździerzy, przygotowano się tam już do opuszczenia stanowiska ogniowego.

— Nasi zajęli jeszcze dwa bloki — powiedział mi adiutant biegnący do sztabu.



W drodze do baterii

Było to w Berlinie, ale którego dnia nie pamiętam, ponieważ dziennik mi się spalił. Działa nasze znajdowały się na stanowisku odkrytym. Gdzie były — o tym wiedział tylko nasz dowódca, sierżant Bołdyrew. On też poprowadził nas do baterii. Po drodze przecięliśmy kanał, których jest tu mnóstwo, i zatrzymaliśmy się przed olbrzymim gmachem. Górne piętro paliło się oświetlając wszystko dokoła.

Było to o wpół do pierwszej w nocy. Naszą uwagę zwróciła grupa czerwonoarmistów, stojąca koło bramy gmachu. Podeszliśmy bliżej. Było ich niewiele więcej niż nas. Sami artylerzyści. Działo ich stało na rogu uliczki. Artylerzyści gorąco rozprawiali nad tym, co robić z siedzącą w gmachu załogą hitlerowską.

W grupie artylerzystów zobaczyliśmy młodą Niemkę, miała na oko jakieś dwadzieścia lat. Była bardzo przestraszona, bladość jej twarzy prze-rażała przy świetle pożaru. Od artylerzystów dowiedzieliśmy się, że w płonącym domu siedzi cały oddział, który nie chce się poddać. Zajmuje pomieszczenia piwniczne. Ze słów Niemki, którą badał kapitan, dowiedzieliśmy się, że oddział liczy czterdziestu ludzi, uzbrojonych w „pięści pancerne“ i karabiny maszynowe. Na pierwszym piętrze leży stu dwudziestu rannych Niemców.

Załoga ta stawiała silny opór naszej piechocie i została ominięta. Nasze karabiny maszynowe terkotały już gdzieś daleko na przedzie. Ponieważ załoga zagrażała naszym tyłom, postanowiliśmy zniszczyć ją.

Jedno nas tylko krępowało. W piwnicy razem z hitlerowcami było dużo niemieckich kobiet z dziećmi. W jaki sposób tam się znalazły — nie wiem, wówczas nie interesowało to nas.

Młoda Niemka, która powiedziała o tym kapitanowi, sama też była w tym domu.

Zaproponowaliśmy Niemce, żeby wróciła do domu, wyprowadziła stamtąd kobiety i dzieci i uprzedziła załogę, że jeśli się nie podda natychmiast, zburzymy gmach.

Zgodziła się i doprowadziliśmy ją do domu. Koło wejścia do piwnicy stało dwóch naszych żołnierzy z pistoletami maszynowymi. Kapitan rozkazał im przepuścić Niemkę, a nam wszystkim zalecił czujność. Niemka znikła w drzwiach.

Nagle z głębi piwnicy rozległ się hałas. Ktoś krzyczał -- był to głos kobiety, dzieci płakały. Hałas zbliżał się. Na dole otworzyły się drzwi i po schodach zaczęły iść w górę kobiety i dzieci. Obserwowaliśmy je uważnie i mieszkawszy się z tłumem schodziliśmy po schodach. Na górze wartownicy dokładnie oglądali kobiety i wskazywali drogę na tyły. Razem z kobietami wyszło i zostało zatrzymanych dziesięciu niemieckich żołnierzy.

Działo się to na górze. Tymczasem na dole weszliśmy do piwnicy i posuwaliśmy się długim korytarzem. Na przedzie szedł kapitan z pistoletem w rękę, a za nim nasza grupa z pistoletami maszynowymi w pogotowiu. Było nas około piętnastu ludzi.

W otwartych drzwiach ujrzelśmy wysokiego hitlerowca z karabinem. Patrzył na nas błędnym wzrokiem, nagle jakby oprzytomniał, chwycił za karabin. Ale było już za późno. Czterech naszych żołnierzy rzuciło się na niego. Wciąż jeszcze stawiał opór. W tej chwili z bocznych drzwi zagrzmiął strzał. Nasz kapitan z wykrzywioną bólem twarzą chwycił się za rękę. Jeden z naszych żołnierzy rzucił się na pomoc kapitanowi. Hitlerowiec skorzystał z tego i wybiegł na korytarz, pragnąc widać ukryć się w jednych z bocznych drzwi. Ale stojący obok mnie żołnierz Daniłow wystrzelił i hitlerowiec upadł.

Kapitan rozkazał niezwłocznie opuścić pomieszczenie, ponieważ hitlerowcy mogli nas obrzucić granatami z pierwszych lepszych drzwi. My zaś granatów nie mieliśmy.

Widać faszyci byli zaskoczeni naszym wtargnięciem. Skądś, z głębi piwnicy rozległ się tupot i krzyki. Nasz mały oddział wchodził powoli po schodach. Ja zamykałem pochód.

Zapomniałem powiedzieć, że pomieszczenie było jaskrawo oświetlone elektrycznością, gdzieś w pobliżu pracował silnik.

Nagle krzyki i tupot zbliżyły się. Ujrzałem, jak ze wszystkich drzwi zaczęli wybiegać pijani hitlerowcy. Ja i jeszcze kilku żołnierzy przejechałiśmy się po nich serią z pistoletów maszynowych. Hitlerowcy zaczęli krzyczeć. Niektórzy z nich upadli, reszta ukryła się w piwnicy.

Wyszliśmy na dwór. Rannego kapitana zastąpił starszy lejtnant. Postanowiono zaproponować faszystom po raz ostatni, żeby się poddali. Misji

tej podjął się jeden z jeńców. Ale nim zdążył wejść do piwnicy rozległa się seria z pistoletu maszynowego i już parlamentariusza nie zobaczyliśmy.

Nasza decyzja zapadła niezwłocznie. Zgodnie z rozkazem starszego lejtnanta pomogliśmy obsłudze przetoczyć działo, lufę działa skierowaliśmy w róg gmachu, pod sam fundament. Starszy lejtnant podał komendę:

— Przeciwpancernym... po pięć... Ognia!

Wystrzały nastąpiły jeden po drugim.

Głos dział od razu otrzeźwił faszystów. Na schodach ukazał się dowódca załogi, major z podniesionymi rękami, otoczony całą swoją pijaną bandą. Rozpoczęło się przejmowanie jeńców.

Widząc, że towarzyszom nie potrzebna już nasza pomoc, poszliśmy do swojej baterii.



Po piwnicach i dachach

Od Wielkich Łuków wojowałem wraz z dwoma żołnierzami Gałkinem i Gruszewem. Obaj nazywali mnie ojcem, a ja ich — synkami. Byli to jeszcze młodzi chłopcy, urodzeni w r. 1920.

I choć sam jeszcze nie jestem stary, ale w 1920 roku walczyłem już na Kaukazie. Nie sądziłem, że będę musiał w Berlinie przypomnieć sobie, jak przedostawałem się na Kaukazie podczas wojny domowej po sznurze z jednej skały na drugą. Przydało mi się to doświadczenie w Berlinie; gdyby nie to, nieraz dostałbym zawrotu głowy i spadłbym w przepaść....

Wraz ze swoimi synkami zapewniałem w Berlinie łączność dowódcy dywizjonu, kapitanowi Minajewowi, który znajdował się zawsze na punkcie Malchow, Heinersdorf, Pankow, a dalej już różnymi „strassami“ i „platzami“, których nazw nie zapamiętałem. Początkowo synkowie stale pytali mnie:

— Dlaczego to, ojeze: miasto duże, a dachy z łupku, ściany — goła cegła — takie ponure.

Potem już nie zważaliśmy na architekturę, ponieważ trzeba było walczyć w piwnicach, pod ziemią. Przez ulice nie da się przeciągnąć linii, zawalona jest ruinami domów, gdzie okno ocalało, strzelają z niego w plecy, a jeżeli nawet się przeczołgasz — musisz natychmiast wracać i łączyć przewód, bo już go przerwał pocisk lub odłamek.

Od razu więc daliśmy nura do piwnic. Siedzieli tam wówczas wszyscy cywilni Niemcy, kobiety i dzieci. Tyle ich ponałaziło do piwnic, że nie było gdzie nogi postawić. Ale kiedy przeciskaliśmy się z naszymi bębnami, cywilni Niemcy starali się usunąć na bok.

Już w pierwszych dniach walk w Berlinie któryś z naszych chłopaków-telefonistów, zauważył na ścianach jakiejś piwnicy tajemniczy znak, zro-



biony białą farbą — koło, a w nim krzyż. Przebiliśmy ścianę w miejscu, gdzie był ten znak i okazało się, że jest tam podziemne przejście do sąsiedniego domu. W piwnicy sąsiedniego domu zaczęliśmy szukać takiego samego znaku i znaleźliśmy. Wszystkie pomieszczenia piwniczne łączyły się ze sobą podziemnymi przejściami. Nie wiem, po co Niemcy urządzili je, ale nam się bardzo przydały do przeprowadzenia linii łączności wzdłuż ulic. A kiedy trzeba było przeprowadzić linię przez ulicę, szukaliśmy w podwórzu otworu kanalizacyjnego i przeprowadzaliśmy ją przez rury.

Jednakże nie w każdym podwórzu był otwór. Pewnego razu musieliśmy przerzucić przewód przez uliczkę, po której strzelano z dwóch stron. W podwórzu otworu nie znaleźliśmy, ale zobaczyłem drabinkę strażacką, wiszącą na ścianie domu, i pomyślałem, że może zastąpić nam rurę kanalizacyjną. Gruszew został koło aparatu, a ja z Gałkinem zaczęliśmy wciągać drabinę na dach. Drabina była tak długa, że nie mogliśmy dać sobie z nią we dwójkę rady. Wówczas zawołaliśmy naszych zwiadowców i przy ich pomocy wciągnęliśmy drabinę na dach, przywiązaliśmy sznur do ostatniego szczebla i podtrzymując za sznur przerzuciliśmy drabinę przez uliczkę na dach przeciwnego domu. Otrzymaliśmy w ten sposób wiszący most. Przeczłogałem się po nim, za mną moi synkowie, a za nimi dywizyjny zwiad z lejtnantem Karbaszjanem na czele. Hitlerowcy całą uwagę skupili na ulicy, nikt z nich nie pomyślał, żeby spojrzeć do góry. Nad ich głowami przedostaliśmy się szczęśliwie przez uliczkę z przewodem i aparatem. Na dachu sąsiedniego domu szybko zdjęliśmy dachówkę, urządziliśmy na strychu punkt obserwacyjny i zaraz zacząłem przekazywać rozkazy Karbaszjana do baterii. Hitlerowcy zauważyli nasz most wiszący dopiero wówczas, kiedy pociski moździerzowe już leciały ponad dachem do ich rowów wykopanych w ogrodzie. Otworzyli ogień na drabinę, zrzucili ją, ale przewód ocalał, a most nie był już nam potrzebny.

Potem jeszcze niejednokrotnie przełaziliśmy w ten sposób przez uliczki i przeprowadzaliśmy linie po dachach domów. Zdarzało się, że na dolnych piętrach siedzą jeszcze hitlerowcy, a my ze zwiadowcami wlazimy po drabinie strażackiej na strych i ciągniemy za sobą przewód. Na dole toczy się bój, a my łazimy po dachach, przeprawiając ogień naszych baterii moździerzy. Tutaj znów nie spodobała się moim synkom niemiecka architektura, a szczególnie te strome dachy, po których trudniej jest łązić niż po skałach na Kaukazie.

Z notatek radiotelegrafistów

1

W pamięci mojej na zawsze utkwiał dzień 23 kwietnia, kiedy to wkroczyliśmy do Berlina. Miasto objęte było pożarem. Waliły się płonące gmachy. W powietrzu latały olbrzymie głownie. Zapadła noc, ale prawie nie zauważyliśmy tego. Wszystko było oświetlone płomieniami ognia i otulone gęstym dymem.

Wąskie ulice berlińskie były zasypane stosami cegieł, odłamkami mebli, wśród których poniewierały się trupy nieprzyjacielskie.

Sztab, który obsługiwała nasza stacja radiowa, posuwał się w odległości 600 — 800 metrów od przedniej linii. Stacja radiowa zmontowana na samochodzie szła ze stanowiskiem dowodzenia, które w ciągu doby przenosiło się po kilka razy z ulicy na ulicę. Przy każdej takiej zmianie radiotelegrafista musi dać sygnał — „kończę łączność“, zwinąć radiostację, aby wkrótce, po przybyciu na nowe miejsce, rozlokować się i zacząć nawiązywać straconą podczas przejazdu łączność z odbiorcą, który w tej chwili może sam przeprowadza się z płonącego domu....

Takie naprężenie trwało przez wszystkie dni szturmów. Kilka dni i nocy z rzędu nie spaliśmy — sen stał się nieosiągalną rozkoszą. Ale nikt nie myślał o sobie. Troszczono się tylko o łączność. Trzeba było pokonać trudności, które wydawały się nie do przewyciężenia, aby ocalić stację radiową.

Przyjeżdżając na nowe miejsce, przede wszystkim trzeba było szukać schronienia dla stacji radiowej. Ukryć ją mniej lub więcej bezpiecznie przed odłamkami, pociskami i ogniem można było tylko pod bramami lub w dostatecznie obszernych halach gmachów. Po wyszukaniu odpowiedniego na szerokość i wysokość miejsca pod bramą wtaczaliśmy samochód i rozlokowywaliśmy stację. Tylko jeszcze antenę umocowywano na górze

domu i dyżurny radiotelegrafista po włączeniu źródła prądu już wsłuchiwał się w eter.

Na ulicach roilo się od samochodów i czołgów. Od huku silników w słuchawce straszliwie trzeszczało. Ale wyostrzony słuch doświadczonego radiotelegrafisty wylawiał jednakże wśród tego szumu, spotęgowanego pracą tysięcy stacji radiowych, słaby pisk swego korespondenta.

Trzeba było widzieć, z jakim napięciem siedział w takich chwilach radiotelegrafista ze słuchawkami i jaki radosny uśmiech opromieniał jego twarz, gdy udawało mu się uchwycić „uciekającą“ falę. Wydawało mu się, że całe życie uzależnione jest od tych ledwo dosłyszalnych dźwięków. Zresztą, nie było to dalekie od prawdy. Przecież czasem życie nie tylko radiotelegrafisty, ale życie tysięcy takich samych jak on żołnierzy zależyło od dokładności odbioru kilku grup cyfrowych.

Szczególnie mocno utkwiała mi w pamięci jedna noc bojowa. Rozlokowaliśmy się, jak zwykle, pod łukiem bramy i po nawiązaniu łączności ze swym korespondentem postanowiliśmy pierwszy raz w ciągu tej doby coś zjeść. Nagle przybiega wartownik:

— Dom się pali!

Za wartownikiem zjawił się dowódca kompanii, kapitan Mechedko. W chwilach niebezpieczeństwa momentalnie zjawiał się na stacji radiowej, jakby spod ziemi wyrastał. Kapitan rozkazał zwinąć stację i przenieść ją na inne miejsce. Radiotelegrafiści pomknęli szukać nowej kryjówki. Doprowadzili stację radiową do innej bramy, spróbowali wjechać — ale mowy nie ma — strop za niski. Trzeba było jechać na drugi koniec bloku domów, ale tu brama okazała się za wąska. Dowódca kompanii rozkazał nam rozszerzyć przejście. Wyjęliśmy bramę z zawiasów, rozbiliśmy granitowe ściany i wtoczyliśmy wóz, a po rozlokowaniu stacji radiowej postanowiliśmy zabrać się do przerwanej kolacji. Jednak tej nocy nie sądzono nam było odsapnąć. Po upływie pół godziny do pomieszczenia, w którym znajdowaliśmy się, zaczął napływać dym, a więc w pięć—dziesięć minut później już krzątaaliśmy się na nowym miejscu...

Tak było przez całą noc. I dopiero nad ranem, po zmianie siódmego miejsca postoju, udało się nam urządzić mniej lub więcej bezpiecznie.

Szeregowiec Z. MILMAN

2

Podczas walk w Berlinie z powodu olbrzymiego skupienia stacji radiowych na stosunkowo niewielkiej przestrzeni cały diapazon fal był mocno obciążony. Nie pozostało chyba ani jednego stopnia skali, na którym można byłoby pracować bez przeszkód. Trzeba było na wszelki sposób kombinować, natężyć słuch, aby zabezpieczyć dowódcy oddziału łączność ze swymi pododdziałami.

Nadszedł rozkaz forsowania Szprewy i zajęcia przyczółka na lewym brzegu. Dowódca oddziału wybrał nowy punkt obserwacyjny. Mieliśmy umieścić tam naszą stację radiową.

Grupa rozpoznawcza, posłana w celu zbadania drogi do tego nowego punktu obserwacyjnego, ustaliła, że na całej długości droga ostrzeliwana jest przez nieprzyjacielskich strzelców wyborowych i silnym ogniem artyleryjskim.

Ruszyliśmy. Drogę zagradał nam płonący blok domów. Wszystko było otulone żrącym, czarnym dymem, z góry często gęsto padały głownie i rozżarzone kamienie... Podtrzymując się nawzajem jakoś wydostaliśmy się z tych ciemności. Ale w następnym bloku nie było lepiej. Wprawdzie nie było tu pożaru, ale cała przestrzeń znajdowała się pod silnym ostrzałem artyleryjskim.

Dowódca naszej grupy, kapitan gwardii Łobcew, podał komendę: „Biegiem“. Zresztą nie biegliśmy długo. Wściekły ogień artyleryjski zmusił nas do przywarcia do ziemi i znaczną część drogi czołgaliśmy się. Przez cały ten czas uwaga nasza skupiała się tylko na jednym: Byleby nie uszkodzić stacji radiowej. Cenniejsza teraz była nad życie! W tym szalejącym morzu ognia jedynym środkiem gwarantującym dowódcy oddziału łączność ze swoimi pododdziałami i współdziałającymi oddziałami było radio. I od tego, czy doniesiemy swoją stację w całości, zależał może wynik walki na naszym odcinku. Tymczasem jeden nieostrożny ruch mógł stację uszkodzić.

Oto wreszcie ruiny domu, w którym umieścił się punkt obserwacyjny dowódcy oddziału. Momentalnie założyliśmy antenę i już po upływie dwóch — trzech minut zaczęliśmy odbierać meldunki od naszych pododdziałów. Rozpoczęło się forsowanie. Hitlerowcy wzmoogli ostrzał artyleryjski. Odłamki pocisków i fale wybuchów coraz zrywały antenę, ale naprawialiśmy ją szybko.

Wkrótce z radiostacji naszych pododdziałów zaczęły napływać sygnały, że zwijają się, żeby przejść na nowe miejsce. Dla nas, radiotelegrafistów, jest to niezwykle odpowiedzialny moment. Trzeba śledzić ze szczególną uwagą stacje zmieniające miejsce postoju. Długo ciągną się chwile pełne naprężonego oczekiwania. Jak dotarł radiotelegrafista do swego nowego punktu? Czy nie ugodził go odłamek, czy doniósł w całości swoją stację?...

Dowódca oddziału denerwuje się. Nie odchodzi od lornety nożycowej i co chwila pyta:

— Jest łączność z synami?

„Synami“ nazywa dowódca swe pododdziały. Z goryczą trzeba odpowiedzieć, że łączności jeszcze nie ma.

Nagle w słuchawkach rozlega się znajomy głos radiotelegrafisty. Wymienia moje i swoje kryptonimy.

— Melduję dowódcy radośnie:

— Jest łączność!

Dowódca oddziału przyjmuje meldunek:

— Zadanie zostało wykonane. Prowadzę walkę o poszerzenie przyczółka.

Starszy sierżant gwardii W. BARANOW

G. ROSZCZYN
STARSZY SIERŻANT

W batalionie Makojewa

Było to późnym wieczorem na Lindenstrasse, w pobliżu Muenzhofu. Nasz batalion od kilku już dni nie przerywał walki. Dostawa zaopatrzenia była bardzo utrudniona: ulice zawałone bryłami i odłamkami, dokoła palące się domy, a oprócz tego każdy placyk, każde przejście ostrzeliwane było przez hitlerowskich strzelców wyborowych i kaemistów.

Wspólnie z grupą szefów kompanii miałem dostarczyć do batalionu żywność i amunicję, ale nie mogliśmy go znaleźć. Odszukaliśmy stanowisko dowodzenia pułku i tam powiedziano nam, że nie ma łączności z batalionem, a znajduje się on „ot tam, w tamtym domu“.

— Widzicie ten dom, co się pali, i tamten drugi, a w trzecim jest batalion majora Makojewa. Tylko nie wysuwajcie się za bardzo na ulicę, bo ostrzeliwują.

Wzięliśmy na plecy nasze termosy i torby, wyszliśmy na ulicę i pojedynczo, kryjąc się za występami gmachu, dotarliśmy do podjazdu, gdzie nas uprzedzono, że dalej ulicą iść nie można. Droga, którą nam tu wskazano, prowadziła przez sień na podwórze, z podwórza do piwnicy, potem przez dziurę w ścianie do następnego domu. W tym domu droga podnosiła się — po schodach na strych, tam na drugim końcu zaczynało się zejście ze schodów do sieni. Po zejściu do sieni sąsiedniego domu zatrzymaliśmy się, żeby odsapnąć i rozejrzeć się. Przed nami — skrzyżowanie ulic. Na prawo i na lewo ulica zawałona gruzami domów, nie podobna przez nią przejść. Na wprost — Lindenstrasse, tutaj mniej zniszczeń, ale po obu stronach palą się domy, na ulicy widno jak w dzień i hitlerowcy ostrzeliwują ją z piwnic. Musimy koniecznie przeskoczyć przez tę ulicę. Stałem za rogiem, spojrzałem na wszystkie strony, nabrałem w płuca powietrza

jak przed skokiem do wody i całym pędem, do jakiego byłem zdolny, rzuciłem się przez ulicę prosto w otwarte przede mną drzwi domu.

Kiedy byłem już po tamtej stronie, czyjeś silne ręce schwyły mnie za ramiona; odwróciłem głowę i ujrzałem śmiejącą się twarz naszego 22-letniego dowódcy batalionu, majora Makojewa.

— Wolniej, wolniej — powiedział — bo przy takiej szybkości jeszcze ostatnią ścianę głową przebijesz.

Głupio mi się zrobiło, jeszcze pomyśli, że stchórzyłem.

— Towarzyszu majorze — zapytałem — dokąd rozkażecie dostarczyć żywność i amunicję, są tam, w tamtej sieni.

— Tutaj, do piwnicy tego domu, tylko nie tą ulicą, bo jeszcze was tu grzmotną, bierzcie bardziej na prawo, koło palącego się domu, jakieś trzydzieści-czterdzieści metrów przejdziecie przez podwórze, a potem przez ulicę do naszego domu. I spieszcie się: za godzinę rozpoczynamy robotę.

— Rozkaz, towarzyszu majorze — odpowiedziałem i poszedłem we wskazanym kierunku.

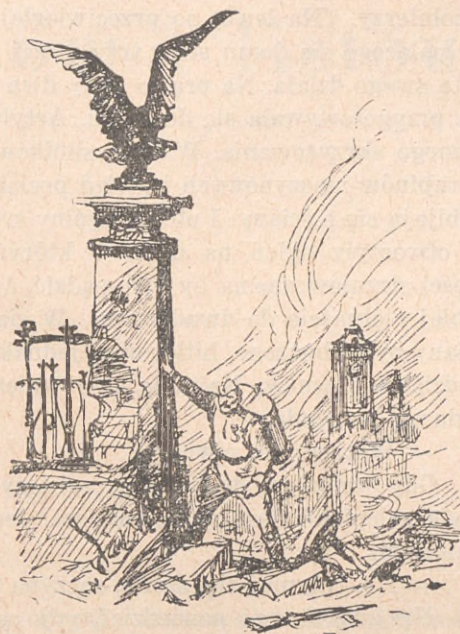
Mniej więcej po upływie pół godziny żołnierze batalionu jedli już gorącą strawę: tłusty barszcz z mięsem, gotowany makaron z masłem śmietankowym, potem wypili po kubku słodzonej herbaty. Najważniejsze — to herbata, o nią najbardziej prosili wówczas i szeregowi, i oficerowie. Przyjemnie mi było usłyszeć: „dziękuję, szefie, dobrześmy sobie podjedli i popili“.

Po zaspokojeniu głodu żołnierze położyli się i natychmiast zasnęli mocnym snem, przed robotą, do której pozostało około dwudziestu minut.

Na progu zjawił się major Makojew, za nim do piwnicy weszli dowódcy kompanii, przydzielonych do wsparcia batalionu. Batalion miał zdobyć dom, z którego hitlerowcy ostrzeliwali skrzyżowanie ulic. Major wyznaczył zadanie każdemu oficerowi. Na dziesięć minut przed rozpoczęciem szturmowania major wstał i wychodząc z piwnicy zawołał mnie:

— Chodźmy, szefie, zobaczymy, jak nasi pracują.

Wyszedłem za nim i nie mogłem własnym oczom uwierzyć: bezludna ulica, którą przed godziną pędziłem, pełna była teraz samochodów, dział



i żołnierzy. Na lewo, po przeciwległej stronie ulicy, o dwa—trzy metry od palącego się domu stały trzy czołgi „IS“; przedni czołg groźnie kręcił lufą swego działa. Na prawo stały dwa działa pancerne, za którymi obsługa przygotowywała się do walki. Artylerzyści wytoczyli ręcznie działą do samego skrzyżowania. Warkot silników zagłuszył terkotanie niemieckich karabinów maszynowych i gwizd pocisków; widać było tylko, jak pociski odbijają się o ściany. I oto na ogólny sygnał czołgi, działa pancerne i działą otworzyły ogień na dom, w którym siedzieli faszyci. Z częstotliwości strzałów można by było sądzić, że strzela nie sześć luf, lecz co najmniej piętnaście do dwudziestu. W ciągu kilku minut dom już się palił, ściany były zburzone, hitlerowcy jednakże strzelali z niego. Nieprzyjaciel siedział w piwnicy. Należało go również stamtąd wykurzyć. Za mną rozległa się komenda:

— Wszyscy do piwnicy.

Gdy wbiegłem do piwnicy, zobaczyłem, że wszyscy szukają miejsca, gdzie sklepienie jest najmocniejsze. Jeden telegrafista mówi do mnie ze śmiechem:

— No, trzymaj się, szefie, zaczyna się.

Nie zdążył tego powiedzieć, gdy cały dom zatrzęsł się, wszystko się zachwiało, posypał się tynk. Rozległy się silne wybuchy, jeden po drugim.

— Teraz można nacierać, moździerzyści dobrze wykonali swoją robotę — powiedział starszy adiutant, kapitan Worobiew.

Batalion otrzymuje rozkaz: „Naprzód!“. Wskoczyliśmy z piwnicy. Z ponurego wielopiętrowego domu, który przed kilku minutami jeszcze stał jak groźna twierdza, pozostały tylko objęte płomieniem gruzy. Wykorzystując wszystkie zasłonięte miejsca, poprzez dziury w ścianach posuwała się ku niemu piechota, za nią jezdnią czołgi i działa pancerne. Dom milczał. Hitlerowcy prowadzili ogień z innych punktów.

Z dzienników i listów

28 kwietnia

Posłano mnie na przedni skraj obrony; kazano dostarczyć żywność do pierwszego plutonu ogniowego, który pojechał do Berlina, aby strzelać na wprost. Gdy przejeżdżałem przez peryferie miasta, nie było słońca. Myślałem, że będzie deszcz i żałowałem, że nie wziąłem płaszcza. Było mi zimno; ale gdy zbliżyłem się do śródmieścia, zrobiło mi się gorąco. Po obydwu stronach ulicy paliły się czteropiętrowe gmachy, Słońce ukazało się ale wyglądało jak mała czerwona plamka, ponieważ nad miastem wisiała gruba warstwa dymu. Nasza haubica stała pośrodku ulicy. Spojrzałem na nią, kochaną, i serce ścisnęło się z żalu. Na polu wygląda tak groźnie, a tu, w kurzu, wśród stosów rozbitej cegły i olbrzymich całych jeszcze domów wydaje się malutka.

Szeregowiec T. KOWAL

*
* *
*

Zanim jeszcze doszliśmy do Wisły, marzyłem o tym, aby zrobić artyleryjską fotopanoramę Berlina.

Na Wiśle udało mi się dokładnie sfotografować przedni skraj obrony nieprzyjaciela i rozszyfrować wszystkie cele. Gdy obrona przeciwnika została przełamana, sprawdziłem podane przeze mnie cele i ustaliłem, że były dokładnie obezwładnione. Na Odrze pięć fotopanoram frontu. Rezultat zachęcił mnie jeszcze bardziej. Pragnąłem bardzo dać taką panoramę, która pomagałaby zniszczyć wszystkie podstawowe środki ogniowe przeciwnika.

Nasz dowódca plutonu uprzedził mnie:

— Pamiętajcie, towarzyszu Puzyriew, zachowajcie na Berlin najlepszy materiał. Tam będzie bardzo gorąco.

— Rozkaz! — odpowiedziałem, a sam pomyślałem, że niepotrzebnie mnie uprzedza. Ze starszym sierżantem Myskinem już zawczasu odłożyliśmy na Berlin najlepsze materiały fotograficzne i chemikalia i doprowadziliśmy do największego porządku aparaturę.

I oto jesteśmy na peryferiach Berlina.

Przed decydującym uderzeniem na nieprzyjaciela zwołano komunistów. Na pytanie, kto pragnie walczyć na ulicach Berlina w pierwszych szeregach, wszyscy komuniści wyrazili to pragnienie. Powiadam do dowódcy plutonu:

— Jeśli chodzi o rozpoznanie, to czekam na zadanie.

Odpowiada:

— Przecież nie pójdziecie robić zdjęcia w nocy.

— Dobrze by było — powiadam — ukradkiem przedostać się w nocy, a o świcie zabrać się do roboty.

Ale dowódca plutonu postanowił wpierw pomówić o tym z szefem zwiadu.

Tymczasem na stanowiskach ustawiono już baterie i wstrzeliwano się. Zainteresowało mnie, dokąd strzelają nasze działa. Dowódca plutonu wyjaśnił sytuację i zrozumieliśmy, że nasza artyleria ostrzeliwuje już centrum Berlina, skąd hitlerowcy prowadzą silny ogień. Byłby to właśnie dogodny moment do rozpoznania przez sfotografowanie środków ogniowych i umocnień przeciwnika. I taki moment trzeba było zmarnować...

Ale następnego dnia dowódca plutonu zmartwił mnie jeszcze bardziej. Nie spałem całą noc, stale kombinowałem, skąd i w jaki sposób najlepiej zrobić zdjęcie. A tu mówią mi, że nasze ugrupowania bojowe zmieniają stanowiska, przechodzą bliżej centrum. Tak że nie ma potrzeby już robić stąd zdjęć. „No cóż — myślę — bliżej — to bliżej, jeszcze lepiej będziemy fotografować“. Ale o 12,00 dowódca plutonu oświadczył, że nasze baterie strzelają do celów, które podano już z nowej linii. Zdjęć robić nie można, ponieważ posuwają się naprzód i lotnictwo krąży w powietrzu. Cały Berlin jest w ogniu i dymie zasłaniającym obiekty zdjęć.

Co miałem robić?

— Byłeś w Berlinie? — zapytają mnie.

— Byłem — odpowiem.

— W jaki sposób brałeś udział w walce?

I w tym miejscu nic nie będę mógł odpowiedzieć... Nagle zjawia się dowódca plutonu i poleca mi oraz dwu innym starszym sierżantom zbadać dopiero co zdobyte przez nas linie obrony przeciwnika i dać ocenę pracy naszych baterii.

Poszliśmy. Byłem rad chociaż z tej roboty. Przychodzimy — i widzimy, że nasze baterie ustawiają już działa na opanowanej linii. To dopiero robota! Przeciwnik mocno niepokoił żołnierzy z baterii, ale czy można

wstrzymać naszą gwardię. Jeszcześmy wykonywali nasze zadanie, a bohaterowie artylerzyści już wstrzelowali się.

Co wykryliśmy? Z każdego domu hitlerowcy usiłowali zrobić niedostępną twierdzę. Trzeba powiedzieć, że umocnili domy bardzo dokładnie. Ale precyzja i siła naszego ognia okazały się takie, że domy te rozniesione zostały dosłownie na kawałki, środki ogniowe przeciwnika rozbito i to nie tylko na stanowiskach, ale i na drogach odwrotu. Obok dział leżała zabita obsługa.

Teraz dopiero złagodniał mój żal. Chociaż nie mogłem zrobić zdjęcia Berlina — jednakże hitlerowcom nie było przez to lżej.

Starszy sierżant gwardii I. PUZYRIEW

*

* *

Toczmy bardzo ciężką walkę o drukarnię. W pewnej pełnej napięcia chwili organizator partyjny piątej kompanii, starszy sierżant Sanżarow, porwał za sobą żołnierzy, wołając:

— Towarzysze, Stalin rozkazał nam zdobyć Berlin! — i pierwszy rzucił się do szturm.

Sanżarow zginął, ale kompania wdarła się do gmachu. Śmierć Sanżarowa była dla nas wszystkich ciężkim ciosem. Kompania lubiła go bardzo. Każdy z nas pragnąłby wziąć na przechowanie zawiniętą w chustkę garść ziemi, którą Sanżarow przeniósł do Niemiec przez całą Polskę. Ileż to razy rozwijał swoją chustkę i mówił do żołnierzy:

— Popatrzecie, czy w jakimkolwiek innym kraju znajdziecie taką ziemię jak nasza, porównajcie i pamiętajcie, o jaką ziemię walczyacie tutaj, w Niemczech.

Obecnie ta przepojona krwią Sanżarowa garść ziemi stała się dla żołnierzy jeszcze droższa.

Starszy lejtnant P. BOGOMIACZKOW

*

* *

Strzelec Zitkow otrzymał dziś list, który dotarł do niego, kiedy był w najgorszym piekle. Chociaż powietrze zmieszało się z popiołem, ale wszyscyśmy przeczytali ten list — wiadomość przesłaną z powiatu tambowskiego od dziewczyny Niny Mironowej. Pisała: „Kochany przyjacielu, z godziny na godzinę oczekujemy, że weźmiecie Berlin. Wojna powinna się wkrótce skończyć. Kiedy przyjedziesz, nasza przyjaźń będzie jeszcze mocniejsza. A jak ciebie powitamy, gdy wrócisz ze zwycięstwem“.

Najzwyczajniejsze to słowa, ale pamiętać je będziemy przez całe życie, ponieważ tu w Berlinie, jak nigdy, czujemy przy sobie naszych krewnych, przyjaciół, naszych ukochanych.

Strzelec. A. JANIENKOW

*
* *

Niekończącym się potokiem mijali nas ludzie różnych narodów Europy, wyzwoleni przez Armię Radziecką z niewoli faszystowskiej. Zaczęliśmy rozmawiać z grupą Rosjan. Jak się okazało, byli wśród nich Francuzi. Zapytałem jednego Francuza:

— Dlaczego idziesz razem z Rosjanami, czy wasza ojczyzna jest na wschodzie?

Przetłumaczono mu moje pytanie. Odpowiedział:

— Moja ojczyzna znajduje się na zachodzie, ale życie wróciło do mnie ze wschodu.

Starszy sierżant I. ŻWANCZYK

*
* *

Na zachodnim krańcu lasu berlińskiego przedmieścia Adlershorst znaleźliśmy zniekształcone trupy czerwoarmistów, zamordowanych przez cofających się hitlerowców. Ręce ich były powykręcane, oczy wykłute, pięty spalone. Opalone strzepy dokumentów zachowały dla nas nazwiska bohaterów, którzy mężnie znieśli tortury hitlerowskich katów — Zaganszyn i Gedrowiec. Byli to szeregowcy pułku piechoty gwardii. Nasi żołnierze wykopali groby i pochowali bohaterów. Gdy major Buzik przerywanym ze wzruszenia głosem wypowiadał słowa pożegnania, wielu żołnierzy płakało ciężkimi, gorzkimi żołnierskimi łzami. Po upływie kilku minut rozległy się groźne salwy — to kapitan Martynienko otworzył ogień do hitlerowców, którzy siedzieli w gmachu Dworca Poczdamskiego.

Kapitan I. SJENCZA

*
* *

Gdy wdarliśmy się do dzielnicy Zehlendorf, zza węgła murowanego domu wysunął się Niemiec w cywilnym ubraniu. Ręce trzymał za plecami.

Podąłem komendę:

— Granat, zapalnik natychmiastowy, cel — narożnik domu. Ognia!
W ogródku, niedaleko od miejsca wybuchu, zaczęli biegać Niemcy.

Krótkimi seriami przemówił karabin maszynowy, ustawiony na wieży mojego czołgu.

Podjeżdżamy bliżej. Patrę, w ogródku obok zabitych hitlerowców w ubraniach cywilnych — cała skrzynia „pięści pancernych“.

Wkrótce, przejeżdżając przez wąskie uliczki, spotkałem jeszcze jednego takiego „cywila“. Wysoki, w płaszczu, stał naprzeciw mojego czołgu w odległości dwudziestu pięciu - trzydziestu metrów i celował „pięścią pancerną“ prosto we wąż. Chwyciłem za karabin maszynowy. Hitlerowiec wystrzelił. Od uderzenia silnik stanął, ale nie zapalił się, pogięły się tylko ogniwa gąsienicy, a odłamki podrapały działo i skrzydło. Z załogi nikogo nie raniło. Krótka seria z mojego karabinu maszynowego poszatkowała faszystę.

Na każdym kroku można tu było spotkać takich „cywilów“.

Młodszy lejtnant SZ. ŻUŁMAGAMBETOW

*

* * *

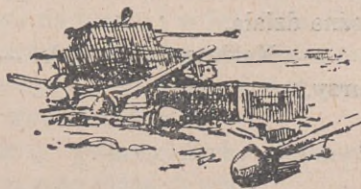
Na punkcie obserwacyjnym w pokoju na drugim piętrze, dużego na wpół rozwalonego domu nad brzegiem Szprewy obejrzałem się i ujrzałem siebie w olbrzymim lustrze. „Kto to przyszedł — pomyślałem — jaki straszny!“ Nie poznałem siebie. Twarz była zupełnie czarna od kurzu i sadzy. Żeby tak choć z godzinkę pospać, ale czy to możliwe!

Telefonista, przekazujący rozkazy do baterii, usiadł na miękkiej kanapie. Po twarzy jego widać było, jaką odczuwa przyjemność, że urządził się tak wygodnie. Nieprzyjaciel zaczął strzelać prosto w nasz dom. Kurz pokrył cały pokój. Zeszedłem do piwnicy. Było tam ponuro, cuchnęło. Zapaliłem zapałkę. Tuląc się do ścian Niemki z dziećmi patrzyły na mnie z przestraszonym wyrazem twarzy. Było tu nieprzyjemnie, więc wyszedłem i udałem się na stanowisko ogniowe.

Trudno było odnaleźć swoich wśród masy artylerii i ludzi. Ale oto widzę starszego sierżanta, Sybiraka Popowa. Stoi przy moździerzu, szeroko rozkraczywszy swoje duże, silne nogi. „No — myślę — Popow zdobył Berlin, stąd już go nie wykurzą“. Przypomniałem sobie jeden krótki postój w drodze do Berlina. Żołnierze, mrużąc oczy w kwietniowym słońcu, skręcali papierosy. Podszedłem do nich i powiedziałem:

— No, będziemy brali Berlin!

— O tym właśnie mówimy — odpowiedział Popow, uśmiechnął się i skinął głową w stronę siwego Ukraińca, skręcającego niezwykle rozmiarów papierosa. — Marzymy już ze Szczerbinem o tym, jak wykurzymy hitlerowców z tego gniazda i otrzymamy od Stalina dokument z podpisem: że tych oto dwóch starców bohaterów, którzy obronili ojczyznę, zwalniam do domu, do ich żon i dzieci.



Przypomniałem sobie tę rozmowę żołnierską na postoju i obejrzałem się — gdzie jest Szczerbin? Właśnie rozległ się wybuch. Baterię zasłonił złowrogi dym. Odłamkiem raniło mego przyjaciela, starszego lejtnanta Anikiejewa. Obok niego leżał śmiertelnie ranny Szczerbin. Z trudem poruszając wargami szeptał: „No, teraz koniec, a Berlin...“. Nie mógł dokończyć. Ale każdy z nas sobie za niego dokończył: Berlin zostanie wzięty.

Starszy lejtnant gwardii P. RACHMANIN.

* * *

Za wszelką cenę trzeba było zawładnąć domem, z którego hitlerowcy kontrolowali trzy drogi, prowadzące do dworca. Strzelający z „pięści pancernych“ faszyci nie dawali spokoju. Wówczas Szkurko z granatem przeciwzołgowym w jednym ręku i ze sztandarem w drugim przebiegł przez ulicę prosto do okna, skąd strzelał niemiecki karabin maszynowy. Rozległ się wybuch, z okien zaczął walić dym i karabin maszynowy umilkł. Żołnierze wdarli się do domu i szybko rozprawili się z siedzącymi tam hitlerowcami. Tutaj znów ujrzeli Szkurkę. Usiłował umocować na parapecie drzewce sztandaru. Głowę miał całą we krwi, krew zalewała mu oczy. Kiedy towarzysze podbiegli do niego, stracił przytomność. Za odwagę i męstwo Szkurkę przedstawiono do tytułu Bohatera Związku Radzieckiego.

Kapitan KUZMIENKO

* * *

Kiedy po zburzonych ulicach Berlina przejeżdżały nasze zakryte brezentem samochody-ślicznotki, tysiące ludzi zatrzymywało się i patrzyło za nimi.

— „Katusze“! — szeptali z przerażeniem cywilni Niemcy i Niemki, wyglądając zza bram i sieni.

— „Katusze“! — mruzcili jency niemieccy, przechodzący koło naszych kolumn.

— „Katusze“! — mówili z szacunkiem Anglicy, Amerykanie, Francuzi, wyzwoleni przez Armię Radziecką.

— „Katusza“! — wołali radośnie ludzie radzieccy, którzy wyszli na wolność z obozów koncentracyjnych i więzień. Zarzucali kwiatami nasze groźne działa.

— „Katusza“ przybyła — więc będzie koncert — mówili nasi piechurzy.

Starszy strzelec T. CULUKIDZE

Wczoraj, w chwili najbardziej zaciętej walki o jedną dzielnicę, bateria nasza otrzymała polecenie otworzyć ogień na wprost do okien domu, który umocnili hitlerowcy nie pozwalający posuwać się naprzód grupie szturmowej. Aby wykonać rozkaz, trzeba było przeciągnąć działa przez ostrzeliwaną ulicę. Postanowiono przetaczać działa w pojedynkę ręcznie. Po ześrodkowaniu na przeciwniku ognia ze wszystkich rodzajów broni, jakie mieliśmy, przeczekaliśmy chwilę, kiedy nieprzyjacielski ogień stał się rzadszy, i pędem przetoczyliśmy działa jedno po drugim.

Przy każdym działem było dziesięć pocisków. Zużyto je szybko. A jak dostarczyć nowej amunicji? Ciągnąć jeszcze raz przez ostrzeliwaną ulicę — to pewna śmierć, a w dodatku i tak nie dostarczy się pocisków.

Wymyśliliśmy taki sposób: Przez ulicę przerzucono długi sznur, przywiązano do niego skrzynie z pociskami, i żołnierze, siedzący w ukryciu po drugiej stronie ulicy, ciągnęli sznur ku sobie. W ten sposób zaopatrywaliśmy baterię przez cały czas walki.

Dziś musieliśmy znów powtórzyć eksperyment ze sznurem.

Drogę do stanowisk ogniowych zagradzał nasyp kolejowy, do którego hitlerowcy prowadzili zaciekły ogień. Można było wprawdzie usiłować przeskoczyć przez tor na samochodach, ale nasyp był zbyt stromy, żeby ryzykować samochody i działa.

Wówczas właśnie przypomnieliśmy sobie, jak w przeddzień ciągnęliśmy na sznurze pociski przez ulicę. Dlaczegooby nie przeciągnąć w taki sam sposób również i działa? Tak też zrobiliśmy. Końce sznura, do którego było przywiązane działo, przerzucono przez nasyp, a strzelcy, wzięwszy drugi koniec, przeciągnęli działo na swoją stronę.

Starszy sierżant F. ZURAWLEW

* * *

Okrągłe oko lornety nożycowej zwolna porusza się z prawa na lewo.

Widać, jak purpurowe języki płomieni liżą resztki szarych kolosów, wydostają się z ciemnych wyrw ścian, tańczą na schodach obnażonych klatek schodowych. Kolejno zarysowują się opalone siatki parków, zwalone drzewa, rozszczerzone i powalone przez pociski słupy telegraficzne z wiszącymi strzępami przewodów.

A nad tym wszystkim zwisają ciężkie, czarnoszare chmury dymu i kurzu.

Lorneta nożycowa kręci się znów z lewa na prawo i w jej szklach zjawiają się na chwilę zasłonięte przedtem kurzem i dymem wybuchów małe szare postacie. Przebiegają, padają, ukrywają się za występy domów, za kamienie, czołgają się i znów ukrywają w wyrwach domów.

Dowódca oddziału ciężkich moździerzy gwardyjskich, pułkownik gwardii Tołmaczew, rozmawia przez telefon z dowódcą dywizji.

Odłożył słuchawkę, oznaczył coś czerwonym ołówkiem na planie Berlina i powiada do mnie:

— Kisjelow, ustalcie niezwłocznie sytuację w rejonie skrzyżowania i każcie Kabulnikowowi, aby przygotował w to miejsce salwę baterijną.

Z lekkim trzaskiem pracuje stacja radiowa.

Nie upłynęło dziesięć minut, a szerokie pasma ogniowe wydobywają się z charakterystycznym dźwiękiem ze spalonego skweru. Ognisty łuk przecina kłęby dymu i kurzu i opuszcza się na skrzyżowanie, które oznaczył na swoim planie dowódca.

Kiedy rozplynęła się chmura wybuchów, w soczewkach przyrządu znów zamigły małe szare postacie. Oto przebiegły koło domów, które osiadły i rozwalily się od salwy, przecięły skrzyżowanie, zaczęły wspinać się na barykadę, przegradzającą ulicę. Nagle jedna postać upadła, potem druga, trzecia i wszystkie zatrzymały się i przywarły do ziemi.

Dowódca baterii bierze słuchawkę telefoniczną. Po upływie kilku minut z tyłu, zza domów, znów wydzierają się ogniste łuki. Znów zasłona kurzu i dymu przesłoniła barykady i postacie ludzkie.

Gdy dym się rozwiął, nikogo nie było widać. Wszyscy nasi żołnierze byli już za barykadą.

Kapitan gwardii KISJELEW

A. TER-AKOPIAN

KAPITAN

Na Kommandantenstrasse

Dnia 29 kwietnia batalion nasz, tocząc walki uliczne już na lewym brzegu Szprewy, posuwał się po Kommandantenstrasse. Wieczorem, kiedyś się zbliżali do Jakobstrasse, przeciwnik powitał nas huraganowym ogniem z okien czteropiętrowego narożnego domu.

Gdybyśmy tutaj zwlekali, batalion nasz poniósłby olbrzymie straty. Zajęcie tymczasowej obrony w tym punkcie było niemożliwe. Dlatego też dowódca batalionu, major Romanienko, rozkazał pomimo ognia nieprzyjaciela, strzelającego z pistoletów maszynowych, karabinów maszynowych, „pięści pancernych“ i rzucającego granaty ze wszystkich pięter, niezwłocznie wdrzeć się do tego domu.

Batalion poszedł naprzód i z okrzykiem „hura“ wdarł się przez okna i wejścia do pokoi parterowych. Każdy pokój trzeba było zdobywać w walce wręcz. Kiedy parter został oczyszczony z nieprzyjaciela, pluton lejtnanta Frołowa zeszedł do piwnicy i rozpoczął walkę z siedzącymi tam hitlerowcami. Po piętnastominutowym zaciekłym starciu wszyscy faszysci w piwnicy byli zniszczeni. Rozpoczęła się walka z nieprzyjacielem zajmującym górne piętra. To było najtrudniejsze.

Hitlerowcy obrzucili nas granatami z pierwszego piętra przez otwory przebite wcześniej w podłogach i sufitach. Ale wkrótce, pod wpływem silnego ognia z naszej strony, hitlerowcy zaczęli skakać z pierwszego piętra na podwórze. Tam oczekiwali ich kaemiści Sztyrkow i Gałkin jak również strzelec wyborowy Sanin. Swym celnym ogniem położył pod oknami domu około pół setki hitlerowców.

Pozostali na pierwszym piętrze Niemcy przeszli na drugie i trzecie piętra. Wdarliśmy się na pierwsze piętro i znów rozpoczęła się strzelanina, przez podziurawiony sufit padały na nas granaty. Ale oto zjawiała się na-

sza gwardyjska obsługa moździerza. Weszli na pierwsze piętro, niosąc na rękach dziesięć ciężkich pocisków.

Na propozycję artylerzystów batalion wyprowadzono z domu nieopstrzeżenie dla nieprzyjaciela.

Salwa dziesięciu pocisków wyrzuciła w powietrze trzy górne piętra ze znajdującymi się tam hitlerowcami.

Nie wracaliśmy tu więcej, posuwaliśmy się dalej. W odległości około trzydzieści metrów od tego budynku hitlerowcy przygotowali drugi dom do obrony. Wysłane do tego domu rozpoznanie nie wykryło nieprzyjaciela i kiedy zbliżaliśmy się do niego, nikt z okien nie strzelał. Żołnierze wbiegli do sieni bez przeszkód, telefoniści przeciągnęli przewód, ale zaledwie weszliśmy do pokojów i postawiliśmy aparat w jednym z nich, nie wiadomo skąd posypał się grad pocisków. Okazało się, że we wszystkich ścianach wewnętrznych tego domu były urządzone niewidoczne strzelnice, przez które faszyci strzelali z sąsiednich pokojów. Gdy dowódca pułku, podpułkownik Czajka, dowiedział się od nas o tym przez telefon, wydał rozkaz: „wyprowadzić żołnierzy, a budynek rozbić artylerią“. Ale wyjść z budynku było już niemożliwe. Hitlerowcy zdołali już otoczyć trzy pokoje, w których zgromadziło się około pięćdziesięciu naszych ludzi, szeregowców i oficerów. Tylko jedno przejście było wolne — wąski korytarzyk, wychodzący na podwórze, ale ostrzeliwany był przez nieprzyjacielskich kaemistów ze strzelnic w suficie, przez strzelców wyborowych z pierwszego piętra. Kilku żołnierzy usiłowało wyskoczyć przez ten korytarzyk, ale wszyscy zostali w drodze zabici.

Oto jak wyglądała nasza sytuacja: jedni leżeli na podłodze i nie mieli możliwości podnieść się, ponieważ nad głową gwizdały pociski, inni stali przytuleni plecami do ściany z boku od strzelnicy, z której prażył nieprzyjacielski karabin maszynowy, i nie spuszczała oczu ze strzelnic w przeciwległej ścianie, z której błyskał ogień. Czuliśmy się jak skuci, nic nie mogliśmy przedsięwziąć. Ale mieliśmy łączność i to dodawało nam otuchy. Wszystkie nasze nadzieje pokładaliśmy w przewodzie łączącym nas z dowódcą pułku. I nagle widzimy przez otwarte drzwi w sieni, jak nasz przewód podnosi się w górę do sufitu. Hitlerowcy podczepili go hakiem i ciągną do siebie, aby go przerwać. Szef kompanii, sierżant Jemaszew, jak kot rzucił się do podniesionego przewodu. Został zabity, ale w ostatniej chwili zdążył zdjąć przewód z haczyka. Potem hitlerowcy jeszcze raz usiłowali podnieść przewód, ale im się to już więcej nie udało.

Dowódca kompanii, starszy lejtnant Mikaeljan, powiedział do żołnierzy, którzy byli z nim w jednym pokoju, że wyjść nie można, artyleria powinna jednak otworzyć ogień. Chciał wywołać ogień na siebie. Żołnierze jednogłośnie odpowiedzieli: Niech artyleria daje ognia. Decyzję Mikaeljana i jego pododdziału przekazano dowódcy pułku, ale nadszedł taki rozkaz: Na razie nie otwierać ognia artyleryjskiego.



Grupa szturmowa opanowuje dom

Już sześć godzin siedzieliśmy okrążeni w trzech pokojach. Hitlerowcy, widząc, że wystrzelać nas z karabinów maszynowych jest trudno, zaczęli wyciągać lufy karabinów maszynowych z otworów w ścianach i wrzucać do naszych pokojów granaty; przed odłamkami nie mieliśmy się gdzie ukryć. Prawie jednocześnie padli ciężko ranni dowódca kompanii strzeleckiej, lejtnant Kryłow, dowódca kompanii moździerzy, lejtnant Smiertin, dowódca plutonu, lejtnant Frołow. Ze wszystkich szpar i dziur rozlegał się krzyk w łamanym języku rosyjskim: „Rus poddaj się, kaput“ Nasi żołnierze odpowiadali „Wam kaput, Berlin kaput!“.

Z pokoju, w którym znajdowali się żołnierze Mikaeljana, buchnął nagle gęsty dym. To żołnierze Sanin i Kołmagorow na rozkaz swego dowódcy obleli płynem zapalającym meble i podpalili je. Potem rozległ się głos Mikaeljana:

— Towarzysze, teraz koniec z faszystami, podłożyliśmy trotyl, za dwie minuty wybuchnie.

Dym, który zaczął przenikać do wszystkich pokojów i to groźne ostrzeżenie Mikaeljana, wypowiedziane w taki sposób, aby usłyszeli go Niemcy, wywołało wśród nich panikę. Nie mieli już głowy do nas. Rzucili broń koło swoich strzelnic, pędzili do wszystkich przejść w domu, aby się ratować. Ale nasi żołnierze byli już wcześniej na podwórzu. Wyskakujących z okien i wybiegających z sieni hitlerowców witał ze wszystkich stron ogień z broni ręcznej i maszynowej.

Jedna walka mojej kompanii

Hitlerowcy zahaczyli się o Wallnertheaterstrasse i przecinającą ją z północy na południe Alexanderstrasse. Skrzyżowanie tych ulic miało dla nieprzyjaciela szczególne znaczenie. Na Alexanderplatz hitlerowcy skoncentrowali uzupełnienie swoich volkssturmwowców, których ilość stale malała, i przez Alexanderstrasse kierowali ich na południe w bezskutecznym poszukiwaniu wyjść ku rzece.

O godzinie 14,00 wezwał mnie na stanowisko dowodzenia dowódca batalionu, major Lipodajew, i wyznaczył zadanie: wypędzić hitlerowców z Wallnertheaterstrasse, opanować skrzyżowanie, potem wyjść na Stralauerstrasse, przedrzeć się przez przebiegający tu tor kolejowy i umocnić się na skrzyżowaniu Klosterstrasse i Stralauerstrasse.

Mieliśmy przejść w walkach dwie stacje kolei podziemnej, trzy skrzyżowania ulic i co najtrudniejsze, zdobyć nasyp kolejowy.

— Pamiętajcie — powiedział nam na drogę dowódca batalionu — zwycięstwo w takiej walce wymaga od waszych ludzi wielkiej uporczywości i szybkości. Jeżeli będziecie zwlekać — poniesiecie zbędne straty i spowodujecie, że ogólne zadanie na tym odcinku nie zostanie wykonane.

Major Lipodajew uścisnął mi rękę i życzył powodzenia.

Byłem pewny siebie, a co najważniejsze — swych wspaniałych żołnierzy. W tych dniach walk na ulicach Berlina ogarnęło ich wszystkich pragnienie zwycięstwa i nie istniała na świecie taka siła, która mogłaby ich powstrzymać.

Przyszedłszy do kompanii, naprędce zebrałem mój aktyw bojowy. Dowódcy plutonów i organizator komsomolski pomogli mi odpowiednio rozmieścić ludzi. W walkach ostatnich dwóch dni kompania poniosła znaczne straty. Kilku żołnierzy, którzy walczyli bohatercko poprzedniego dnia, by-

ło rannych. Należało zastąpić tych, którzy ubyli z szeregów kaemistów i fizylierów.

W tym czasie wrócili z rozpoznania starszy sierżant Burda, sierżant Czupichin i szeregowiec Lisogor. Zameldowali, że skrzyżowanie ostrzeliwane jest ze stacji metro, a na podejściach do toru kolejowego zbudowano barykadę.

Postanowiłem rozpocząć natarcie na zachodnią stronę Wallnertheaterstrasse. Pluton lejtnanta Fedorenki zaczął posuwać się w kierunku, który ciągnął się wzdłuż całego bloku, pluton lejtnanta Antonowa przygotowywał się do rozwinięcia powodzenia i zaopatrzył się na ten wypadek w granaty jak również w zdobyte na faszystach „pięści pancerne“. Po zaczepieniu się o narożną część domu żołnierze Fedorenki wleźli na strych. W celu odwrócenia uwagi nieprzyjaciela pluton Antonowa przystąpił do oczyszczania z nieprzyjaciela górnych pięter. Tymczasem pluton Fedorenki przedostał się przez strych na drugi koniec domu i zaczął przebijać ścianę, aby wyjść na skrzyżowanie Alexanderstrasse i Wallnertheaterstrasse.

Poszło w ruch wszystko, co znalazło się pod ręką — siekiery, tasaki, młoty, oskardy, łomy, łopaty. Mimo to dopiero po upływie czterdziestu minut udało się zrobić wyłom.

W pobliżu wyłomu, na ulicy, był spory lej od bomby i pluton zaczął się tam niepostrzeżenie przedostawać. Po ustawieniu na skrzyżowaniu ręcznych karabinów maszynowych, rusznic przeciwpancernych i umieszczeniu strzelców, pluton otworzył ogień do niemieckiego kaemisty, strzelającego wzdłuż Wallnertheaterstrasse i do okien budynku, w którym siedzieli żołnierze Antonowa. Wkrótce hitlerowcy umilkli. Wówczas, stojąc na dachu, kaemista Jeanyszew, zaczął strzelać do cofających się hitlerowców i ani jeden z nich nie uszedł z życiem. Oczyszcziliśmy ulicę i dom przy skrzyżowaniu i przez to umożliwiliśmy dwóm naszym działom pancernym, znajdującym się w pobliżu, by podjechały bliżej. Zgodnie z moimi wskazówkami działa otworzyły ogień i po kilku strzałach zniszczyły dwa gniazda ogniowe na stacjach metro oraz zburzyły znajdującą się tam barykadę.

Po skoncentrowaniu kompanii przeciąłem jednym skokiem Alexanderstrasse i rozkazałem Antonowowi opanować dom, który dzielił nas od barykady i kolei. Pluton Fedorenki, ukrywając się w na wpół zburzonym domu, trzymał pod ostrzałem Alexanderstrasse i skrzyżowanie, a działa pancerne przeniosły ogień na kolej i w głąb Stralauerstrasse.

I teraz zaszło coś nieprzewidzianego. Od wstrząsu, wywołanego salwami ciężkich dział, runęła ściana, pod którą leżeli żołnierze Fedorenki. Kilku ludzi zostało potłuczonych, czterech żołnierzy ciężko rannych trzeba było ewakuować. Wszystko to zajęło sporo czasu. W dalszych walkach na ulicach Berlina zawsze pamiętałem o tym wypadku i chronilem żołnierzy od takich niespodzianek.



Fizylierzy nacierają

Pluton Antonowa stosunkowo szybko owładnął wskazanym domem, rzucając przez okna cztery zdobyczne „pięści pancerne“, i podpalił zbudowaną z belek barykadę. Pod osłoną ognia i dział pancernych i przy wsparciu naszych ciężkich karabinów maszynowych drugi rzut batalionu, który właśnie nadszedł, zajął to ważne skrzyżowanie.

W tym czasie kompania przygotowała się do natarcia na tor kolejowy. Barykada płonęła w dalszym ciągu i ukrywając się za dymną zasłoną pożaru, jedna z drużyn wraz z kaemistą dotarła do nasypu na odległość trzydziestu metrów. Po ostrzelaniu siedzących tam hitlerowców ogniem z karabinów i z karabinów maszynowych, drużyna sierżanta Łymaria szybko przedarła się na drugą stronę toru kolejowego. Nasze działania wywołały zamieszanie wśród Niemców, którzy zaczęli się cofać bezładnie w głąb Stralauerstrasse. Żołnierze Biriukow i Kulikowski z ręcznymi karabinami maszynowymi ścigali ogniem uciekającego nieprzyjaciela.

Za drużyną Łymaria ruszyła natychmiast cała kompania. Ścigając nieprzyjaciela i przeszukując domy wyszliśmy do wskazanego nam punktu na skrzyżowanie Klosterstrasse i Stralauerstrasse.

Wkrótce już meldowałem przez telefon dowódcy batalionu, że wyznaczone kompanii zadanie bojowe zostało wykonane.

I. SJENCZA
KAPITAN

Zdobywanie Dworca Anhaltskiego

W nocy na 28 kwietnia baterie skoncentrowały się na stadionie koło lotniska Tempelhof. Stamtąd ruszyliśmy do szturm na Dworzec Anhaltski. Dokoła palił się Berlin.

To tu, to tam ulice były przegrodzone barykadami, saperzy nie nadawali rozbierać ich i artylerzyści w osmalonych płaszczach z popękanymi od gorąca wargami coraz schodzili z dział i burzyli zawały.

Nasze kompanie blokowały Dworzec Anhaltski.

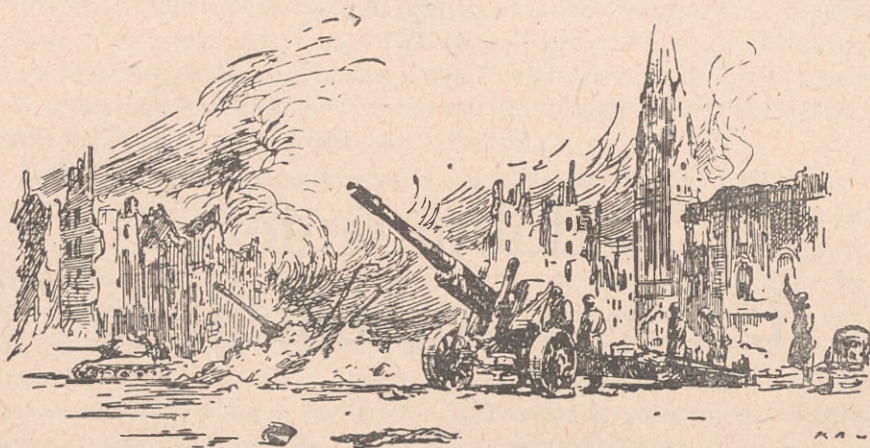
Hitlerowcy, ukryci w mocnych piwnicach budynku dworcowego, bronili się zaciekle.

Małokalibrowa artyleria, ostrzeliwująca dworzec na wprost, nie mogła przebić jego grubych murów. Wówczas pułkownik Turowierow podszedł do telefonu i po połączeniu się z generałem poprosił o ostrzelanie dworca z ciężkich dział. Generał zezwolił.

W nocy na 29 kwietnia działa piątej i siódmej baterii ruszyły naprzód w celu ostrzelania dworca. Padał deszcz, pożary powoli gasły i niski czarny dym gęsto zaścielał jezdnie. Ale kierowcy znajdowali drogę również przez dym i nocną ciemność i zręcznie lawirowali wśród gruzów i rozbitych samochodów.

Na przedzie każdej „kolumny“ szli dowódcy baterii. Póki jest noc, należy wszystko ustawić na właściwe miejsce, żeby z nastaniem świtu przystąpić do rozgromienia gniazda oporu nieprzyjacielskiego.

Dowódcy dywizjonów, major Kudriawcew i major Kiriczenko, przyszedli na stanowiska ogniowe. Nastal świt i groźne salwy wstrząsnęły skrzyżowaniem, zagłuszając wszystkie inne odgłosy walki. Sypał się tynk, wylaływały ramy okienne, zwały cegiel leciały w górę.



— Ognia! — daje komendę lejtnant Głatow.

— Rozkaz! Ognia! — i znów wpadają do piwnic potężne pociski, i kłęby dymu podnoszą się do chmur. Hitlerowcy zaczęli wściekle strzelać do artylerzystów. Działowego Dersalja raniło odłamkiem, w milczeniu zastąpił go starszy strzelec Goca. Padli żołnierze Iwanow, Kutumbajew, Turchanow. Działo zostało uszkodzone, ale puszkarz Czajnikow szybko je naprawił.

Nieprzyjacielscy żołnierze ostrzeliwali z „pięści pancernych“ szczególnie zawzięcie działo starszego sierżanta Pronina.

Został on zabity. Jego miejsce zajął zamkowy Bagniuk. Odłamek pocisku mózdzierzowego przerwał jego bohaterskie życie. Jeden po drugim stawali do działo starszy strzelec Asarjan, starszy strzelec Szłapak, starszy strzelec Sołowiew i jeden po drugim padali na ziemię, oblewając się krwią. Do działo rzucił się lejtnant Kożuszko.

Dym oślepił oczy, ale lejtnant zdołał dojrzeć strzelnicę w budynku Dworca Anhaltskiego. — Ognia! — i poleciał tam rozżarzony metal.

Wreszcie z dworca uniosła się do góry czerwona rakietka. Był to sygnał przerwania ognia, podany przez zwiadowców Woroncewa i Iwanowa, którzy razem z grupami szturmowymi wdarli się do gmachu dworca.

Kiedyśmy chowali naszych towarzyszy, poległych w tej zaciętej walce, major Buzik, stając nad świeżo wykopanym dołem, rzekł:

— Towarzysze! Przyjaciele bojowi! Żołnierze wielkiej armii Stalina! Oddajemy ziemi poległych bohaterów...

Nie mógł mówić dłużej. Rzucił do grobu dwie garści ziemi i zakończył:

— Wieczna chwała wam, bohaterowie ziemi radzieckiej.

Desant czołgowy na Kurfuerstenstrasse

Posuwając się na czołgach po Kurfuerstenstrasse nie spotkaliśmy poważnego oporu. Tak było aż do skrzyżowania Kurfuerstenstrasse i Keitstrasse. Tutaj trzymała się wielka grupa hitlerowców i prowadziła taki ogień z różnych rodzajów broni, że desant musiał zejść z czołgów i toczyć walkę o każdy dom, o każdy pokój aż do wyjścia na Keitstrasse. Na ulicę wyszliśmy z niewielkimi stratami, ale w żaden sposób nie mogliśmy przedostać się przez ulicę. Nie pomagało nawet to, że ulica po stronie nieprzyjaciela była zupełnie zburzona przez bombardowanie.

Tę dzielnicę hitlerowcy przygotowali do długotrwałej obrony. Dotychczas widzę przed sobą bramy i drzwi wejściowe zabarykadowane od wewnątrz. Pamiętam również narożny dom po lewej stronie, z którego ostrzeliwano ulicę z dział przeciwlotniczych i ogniem z karabinów ręcznych i maszynowych. We wszystkich domach siedzieli strzelcy wyborowi. Dowództwo wyznaczyło nam zadanie: za wszelką cenę zająć to skrzyżowanie i całkowicie opanować Kurfuerstenstrasse do Ogrodu Zoologicznego, aby później wyjść przez Keitstrasse do Landwehr Kanału i Tiergarten. Po dokładnym rozpoznaniu ustaliliśmy, że obrona nieprzyjacielska jest mocna tylko na przestrzeni 100—150 metrów, a dalej nie ma już tak wielu hitlerowców. Tak więc, pokonawszy tę linię można było szybko wykonać zadanie. Dowódca batalionu czołgów, kapitan Kabanow, powziął wówczas śmiałą decyzję.

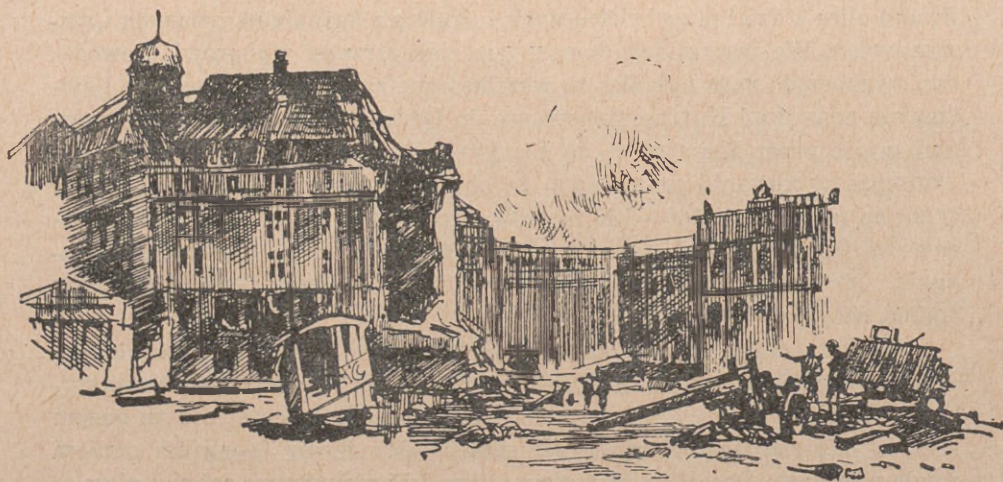
Większa część pododdziału została ponownie wsadzona na czołgi. Przede wszystkim wzięto tych, którzy uzbrojeni byli w pistolety maszynowe. Kilka czołgów cofnęło się nabierając rozpędu i nagle pełnym gazem ruszyło naprzód do niebezpiecznej strefy. Wspierały je swoim ogniem działa pancerne. Desant miał rozkaz prowadzić nieustanny ogień z pistole-

tów maszynowych, kiedy czołgi będą przechodziły przez skrzyżowanie i ulicę opanowaną przez wroga. Kazano również obrzucić nieprzyjaciela granatami ręcznymi.

Wśród huku dział pancernych i nieustannego trzaskania z pistoletów maszynowych czołgi pędzą z największą szybkością. Walą się ściany, rozpaczliwie dzwoni szkło, kamienie i tynk lecą zewsząd, kurz i dym zasłaniają ulicę. Wszystko to wywarło na hitlerowcach tak silne wrażenie, że jedni uciekali porzucając broń, inni nie mogli podnieść głowy.

Rzucili kilka „pięści pancernych“. Ale silny ogień desantu trzymał ich w oddali; „pięści pancerne“ nie dolatywały... Jeden nieprzyjacielski kaemista zaczął nawet strzelać, ale szybko zmuszono go do milczenia. Desant, po przekroczeniu niebezpiecznego skrzyżowania, otoczył grupę hitlerowców. Część ich wybito, część poddała się.

Droga do Landwehr-Kanal była wolna.



A. KURASOW
SIERŻANT GWARDII

P. PAJUSOW
STARSZY STRZELEC GWARDII

Wyrzutnie raketowe oczyszczają drogę

Na jednej z ulic w dzielnicy Landwehr-Kanal Niemcy usadowili się w dużym trzypiętrowym budynku policji. Prowadzą z niego ogień ze wszystkich rodzajów broni. Strzelając z „pięści pancernych“ nie pozwalają czołgom posuwać się naprzód. Artyleria usiłuje rozbić ten szary kolos, ale pociski albo wcale nie przebijają grubych murów, albo tworzą w nich tylko niewielkie wyrwy.

Dowódca dywizjonu wyrzutni raketowych, major gwardii Druganow, znajdował się w tym czasie na swoim stanowisku dowodzenia w sąsiedztwie stanowiska dowodzenia oddziału pancernego pułkownika gwardii Morgunowa, który to oddział wspierał. Oba stanowiska znajdowały się w największym piekło walki. Sąsiedni dom jest jeszcze zajęty przez hitlerowców. Prowadzą stamtąd gęsty ogień. Ogień jest tak silny, że nie można pokazać się przy oknie.

Pułkownik gwardii Morgunow siedzi nad mapą. Serdecznie wita majora i prosi do stołu.

— Terminowa robótka, Druganow — powiada. — Ot, popatrz. — Nachyla się nad mapą i pokazuje:

— Tutaj jest gmach policji, siedzą w nim hitlerowcy i nie możemy ich stamtąd wykurzyć... Trzeba ten dom zburzyć. Od tego zależy powodzenie dalszego natarcia. Rozumiesz?

— Rozumiem, towarzyszu pułkowniku.

— Czy uda się nam szybko z tym załatwić?

— Postaram się, towarzyszu pułkowniku.

Po upływie kilku minut po dokładnym sprecyzowaniu sytuacji major

wychodzi. Szybko przebiega ostrzeliwany odcinek, wskakuje do swojego wozu i mknie do ugrupowania bojowego dywizjonu.

Krótkie rozpoznanie podejść, jeszcze krótsza rozmowa z dowódcą baterii — i wyrzutnia sierżanta gwardii Waganowa błyskawicznie wyjeżdża z podwórza. Wzbijając tumany kurzu mknie przez zawałoną gruzem ulicę i zwalnia bieg koło zawałów. Szara masa domu — twierdzy jest już widoczna. W ścianach zieją czarne dziury od ostrzału. Widoczne są zaprawione cementem okna-strzelnice, z których wróg prowadzi ogień. Wyrzutnia z leżącymi na nich pociskami zjeżdża ostrożnie z zawałów i znów niknie w kurzu. W odległości 100 metrów od domu zatrzymuje się, aby strzelać na wprost.

Zwiadowca, komsomolec Samuiłow, w porę spostrzega pierwszego żołnierza z „pięścią pancerną“. Krótka seria z pistoletu maszynowego uprzedza wystrzał wroga, ale jednocześnie też pada raniony pociskiem komsomolec. Leżąc na asfalcie w dalszym ciągu strzela w okna z pistoletu maszynowego, nie dając nieprzyjacielowi prowadzić ognia.

Wyrzutnia gotowa już jest do salwy. Dowódca wyrzutni i kierowca śpiesznie zajmują miejsca. Sierżant Wagazow ujmuje mechanizmy naprowadzenia, i ciężkie pociski ze zgrzytem lecą w powietrzu. Wóz bojowy otaczają chmury kurzu. Na przedzie zjawiają się błyskawice, grzmia ciężkie wybuchy. Wyrzutnia zaczyna strzelać. Znów kłęby kurzu i po szczęśliwym pokonaniu zawałów wyrzutnia mknie ulicą.

Zadanie zostało wykonane: na wpół zburzony dom, który osiadł od strasznych wybuchów, zasłonięty jest dymem i płomieniem. Po chwili z podziemnych kazamatów wychodzą z podniesionymi rękoma nieliczni pozostali przy życiu hitlerowcy.

Luetzowstrasse to zwykła ulica berlińska; szkielety zburzonych domów, obnażone klatki schodowe, góry gruzów, leje, wykoślawione wagony tramwajowe. Jest to ostatnia ulica przez Landwehr Kanal, za którym ciągnie się Tiergarten, wznosi się Reichstag; dokoła tej ulicy rozgorzały zacięte walki.

Siedzący w ocalałych domach Niemcy urządzili przeszkody i barykady z zawałonych ścian i przegrodzili drogę naszej brygadzie pancernej. Pozostałe wąskie przejścia zostały zaminowane i ostrzeliwane ogniem z dział skądś z głębi obrony. Usiłowania czołgistów, by przedrzeć się lub znaleźć drogę okrężną, nie powiodły się. Trzeba było coś przedsięwziąć.

Dowódca czołowego batalionu pancernego poszedł z kilku żołnierzami na rozpoznanie. Gdy przedostał się naprzód, zrozumiał wszystko: za pniami stuletnich dębów ukryty był duży ponury gmach z wąskimi strzelnicami zamiast okien. Z tego gmachu hitlerowcy trzymali pod ogniem wszystkie zawały i przejścia. Masywne betonowe ściany czyniły go odpornym na ogień artylerii. Prócz tego dom ten był ledwo widoczny zza drzew. Stało się jasną rzeczą, że po pokonaniu zawał czołgi wpadną pod ogień tej groźnej twierdzy.

— Potrzeba by tutaj „Katuszy“ — pomyślał głośno sierżant Iwanow.

— A rzeczywiście! — powiedział dowódca batalionu. — Idźcie do baterii i przekażcie dowódcy moją prośbę, aby wsparł natarcie czołgów swoim ogniem.

Sierżant poczołgał się w kierunku baterii. Ale zaledwie zjawił się na otwartym miejscu, kiedy martwy dom ożył i seria z karabinu maszynowego przycisnęła go do ziemi.

— Na prawo, na prawo, do ścieku! — zawołał dowódca batalionu. — Tam niedosięgnie...

— Rozkaz, na prawo! — odezwał się sierżant.

Zerwał się szybko i jak pocisk pomknął we wskazanym kierunku.

Wkrótce skrył się za rogiem.

Tam stały wyrzutnie raketowe starszego lejtnanta Bykowskiego.

Gwardyjska obsługa wyrzutni nie dała na siebie czekać.

Nim szef zwiadu, starszy lejtnant Popow, razem z pancerniakami rozejrzał się w terenie i czołgi zajęły podstawę wyjściową do natarcia, dowódca baterii rozkazał ruszyć wyrzutni.

Kierowca, starszy strzelec gwardii Bereżny, musiał tym razem pełnić obowiązki dowódcy wyrzutni i celowniczego. Po otrzymaniu rozkazu wyruszenia pokonał rozminowane przez saperów zawały i z biegu zajął stanowisko ogniowe o 50 metrów od celu. Czy to dlatego, że zjawienie się wyrzutni raketowej zaskoczyło hitlerowców, czy też, że nasze czołgi i fizylierzy nie pozwolili im celnie strzelać, dość, że obsługa wyrzutni potrafiła przygotować się do otwarcia ognia. Bereżny sam podłożył belki pod tylne koła, sam wycelował wyrzutnię. Seria z pistoletu maszynowego przebiła szybę budki kierowcy, ale Bereżny stanął na błotniku, z zimną krwią zakrył szybę tarczą i wlażł do budki.

Wziął się do mechanizmów naprowadzenia w momencie, kiedy koło wyrzutni zaczęły wybuchać pociski. Straszne wybuchy wstrząsały powietrzem. Dom-twierdzą otoczyły kłęby dymu. Oczekujący tej chwili czołgiści już pokonywali zawały. A maszyny opancerzone, w biegu prowadząc ogień, podążyły w kierunku domu...

Z domu czołgi powitano rzadkimi pojedynczymi strzałami, poleciały „pięści pancerne“. Ożyło jedno z dział nieprzyjacielskich. „Katusza“ dała salwę. Dym i płomień ponownie okryły dom.

Dowódca batalionu pancernego podjechał do wychodzącego z kabiny szofera i uścisnął go.

— Dziękuję, przyjacielu! — powiedział. — Dziękuję w imieniu wszystkich czołgistów... Znów go uścisnął i dodał: — Nigdy ciebie nie zapomnimy.

Wzruszony Bereżny uśmiechnął się i zamiast odpowiedzi machnął tylko ręką.

Wówczas milczali. Ale kiedy przebrzmiały ostatnie walki, kiedyśmy przeczytali rozkaz Naczelnego Wodza o nadaniu naszemu oddziałowi na-

zwy Berlińskiego, sierżant gwardii Bereźny wystąpił na wiecu i powiedział:

— Drogami zwycięstw bojowych, przez burze ognia i ulewy śmiertelności metalu szliśmy do Berlina. Szliśmy naprzód z imieniem Stalina w sercu, nie myśląc o sławie, nie żałując życia. Zdobyliśmy sobie i sławę i życie!



Na Landwehr — Kanal

Podchodzimy z zachodu do śródmieścia Berlina. Czołgi zatrzymały się na Spandauerstrasse. Z przodu — Landwehr-Kanal, za nim Tiergarten.

Czekając na sygnał do nowego natarcia wyszedłem z wozu, aby trochę wyprostować kości na świeżym powietrzu. Przed moimi oczyma rozwarł się potężny obraz walki w stolicy hitlerowskiej. Na Berlinerstrasse płoną domy. W szalejącym morzu ognia walą się ściany budynków. Łomot setek dział zlewa się w jeden ogólny niemilknący huk. Przez dym i kurz ledwo prześwituje ciemna tarcza słońca.

Przybiega starszy sierżant Plutow:

— Dowódca was wzywa....

Dlaczego dowódca nie wzywa przez radio, lecz przez łącznika. Widać jest gdzieś w pobliżu. Zawsze włazi w najgorsze piekło!

Oczywiście, tak jest. Dowódca batalionu, bohater Związku Radzieckiego, major gwardii Bijma, stoi koło przedniego czołgu, prawie że pod samym ogniem niemieckich fizylierów.

— Chodźmy trochę w bok — powiedział cicho i po przyjacielsku ujął mnie za rękaw kombinezonu.

Dobrze znaliśmy naszego dowódcę. Jeżeli ten zawsze powściągliwy oficer w ten sposób zwraca się do swych podwładnych, to rozmowa będzie jakaś niezwykła.

— Słuchaj, Iliuchin — zaczął. — Rozmawiam teraz z tobą jak komunistą z komunistą. — Umilkł na chwilę i ciągnął dalej: — Trzeba przedrzeć się do przeprawy na Franklinstrasse i utrzymać ją nie pozwalając faszystom na wysadzenie mostów. Trudne to, ale konieczne.

Dotrzeć do przeprawy... Oznaczało to wyprzec osłonę nieprzyjaciela, składającą się z dobrej setki żołnierzy uzbrojonych w „pięści pancerne“,

kilka dział i grupy fizylierów. Potem należało przejść około dziesięciu bloków, w każdym z nich było prawdopodobieństwo dostania się pod ostrzał artylerii nieprzyjacielskiej. Rzeczywiście, trudne...

Ale nie było czasu na zastanowienie się. Należało bez zwłoki wykonać zadanie bojowe.

Biegnę do swoich czołgów. Po drodze kombinuję: od „pięści pancernych“ osłonimy się karabinami maszynowymi, a co robić z artylerią, zobaczymy w zależności od sytuacji.

Tak więc kompania moja ruszyła jako pierwsza. Postanowiłem utworzyć grupę szturmową z plutonu czołgów, baterii dział pancernych i plutonu fizylierów. Po upływie kilku minut oddział nasz był wśród dymu i płomieni palących się ulic.

Na Uferstrasse rozpoczęła się zacięta walka. Lufy dział rozgrzały się, zlana potem odzież przyklepała się do ciała, twarze szerniały od dymu prochowego.

Posuwanie się sąsiadów z prawej strony zatrzymywało się często, i to nasze skrzydło w okolicy Berlinerstrasse okazało się osłonięte. Hitlerowcy rzucili tu prawie kompanię fizylierów i żołnierzy z „pięściami pancernymi“. Zajęli górne piętra na jednym ze skrzyżowań Kauerstrasse.

Na pomoc mojej grupie szturmowej przyszła większa część kompanii, która osłoniła nam ogień.

Wychodzę z czołgu. Z plutonem fizylierów wdzieramy się na górne piętra budynków i zaczynamy walkę wręcz. Czołgiści, widząc, że ich dowódca działa razem z piechotą, ruszyli nam na pomoc z granatami i pistoletami maszynowymi. Mechanik — kierowca Gachusawin schwycił jednego żołnierza z „pięścią pancerną“ za kołnierz i wyrzucił przez okno z drugiego piętra. Innego hitlerowca, który podwinął mi się pod nogi, kopnąłem z całej siły butem w brzuch. Ten wrzasnął jak opętany i leżąc podniósł ręce do góry.

Wkrótce pluton fizylierów niszczył faszystów z pierwszego piętra. Czołgiści młodszych lejtnantów Pawlenki i Lebediewa, osłaniając fizylierów, obezwładnili ogniem hitlerowców, siedzących w sąsiednim budynku. Uniósł się słup dymu i kurzu. Skorzystawszy z tego, czołgiści wdarli się na Scharlottenstrasse, biegnącą brzegiem kanału Landwehr.

Jeszcze dwieście metrów i będziemy u celu.

W ostatnim bloku natknęliśmy się na ogień dział i moździerzy brojących przeprawy. Zapytuję dowódcę plutonu, lejtnanta gwardii Pawłowa:

— Potraficie zdusić te działa?

— Zduszę — odpowiada komunista Pawłow.

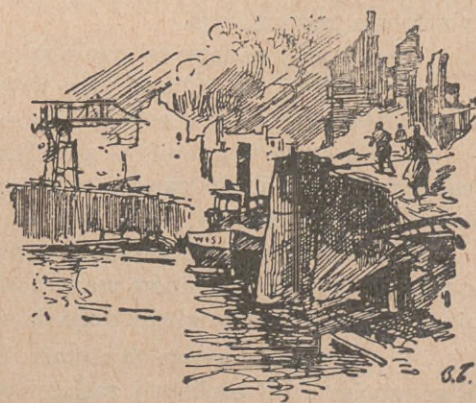
Daję komendę:

— Osłonimy was ogniem, a wy pełnym gazem naprzód!

Otwieramy huraganowy ogień do nieprzyjacielskich baterii. „Trzydziestki czwórki” lejtantów Pawłowa, Surowa i Dielanowa skierowały się ku przeprawie. Broniący jej hitlerowcy zaczęli się rozbiegać. Jeszcze chwila i potężne gąsienice czołgów radzieckich zamieniły działa niemieckie i moździerze w stosy złomu.

Po upływie kilku minut przybyły dalsze czołgi naszej kompanii, a potem główne siły majora gwardii Bijma.

Przeprawa została zdobyta.



Przez zawałę

Nacierając od północy na dzielnicę Wedding, czołgi nasze przedierały się do centrum Berlina, do Tiergarten, na spotkanie nacierających od południa czołgów generała Katukowa. 29 kwietnia, kiedyśmy wyszli na Schulzstrasse, kazano nam przemknąć się przez Triftstrasse, wdrzeć się na Tegelerstrasse i w końcu dnia przeciąć linię kolejową biegnącą przez kanał rzeki Szprewy.

Wezwałem do siebie niezwłocznie dowódców plutonów, żeby razem z nimi przeprowadzić rozpoznanie terenu. Zginając się nisko do ziemi, pobiegliśmy sadem znajdującym się na tyłach domów, zawalonym ściętymi kwitnącymi wiśniami i jabłoniami, i przekonaliśmy się, że czołgi należy prowadzić drogą okrężną, omijając Triftstrasse, którą hitlerowcy mocno ostrzeliwują i gdzie musielibyśmy wykonywać zbędne zwroty. Przez parkan z desek było dobrze widać Tegelerstrasse. Drogę do niej przegradzały urządzone przez Niemców zawały i ustawiona przed nimi w poprzek jezdni platforma tramwajowa.

Na prawo i na lewo od nas rozgorzała walka.

Do czołgów na Schulzstrasse wróciliśmy tą samą drogą przez sad, który Niemcy wycięli w celu zwiększenia wycinka ostrzału.

— Za mną, naprzód! — podałem komendę i znów pobiegłem przez sad, przeciąłem Triftstrasse i przyczałem się koło narożnego domu, żeby lepiej obejrzeć zawały, spoza których nieprzyjaciół prowadził ogień.

Kiedy podszedł przedni czołg młodszego lejtnanta Szirszowa, kazałem otworzyć ogień z karabinów maszynowych do narożnych domów stojących po bokach zawałów i ogień z dział do samych zawałów.

Rozległy się pierwsze wystrzały. Pył z cegieł zasłonił ulicę gęstą mgłą. Korzystając z tej osobliwej zasłony podprowadziłem czołg Szirszowa do

zawałów, kazałem fizylierom zdjąć linę, przyczepić ją do prawej strony platformy tramwajowej i odciągnąć ją na bok. Zrobili to wszystko. Zgrzytając o jezdnię platforma poddała się. W utworzonym w ten sposób przejściu zobaczyłem wkopane w ziemię trzy żelazne sztaby. Czołgi nie mogły przez nie przejść. Wówczas odszukałem minerów — znajdowali się wśród fizylierów — i kazałem wysadzić sztaby.

Trzy razy minery próbowali wykonać pod ogniem nieprzyjacielskim tę trudną robotę. Wreszcie udało nam się dwie belki wysadzić, trzecia zaś, zwrócona wolnym końcem w stronę Niemców, stała w dalszym ciągu na naszej drodze.

Ale czołgistów nie można już było utrzymać. Byli stanowczo zdecydowani zdobyć te przekłete zawały.

Czołg Szirszowa ruszył na pierwszej szybkości. Oto doszedł do belki i podnosząc się na niej stanął dęba. Trudno opisać moje zdenerwowanie w tym czasie. Przecież Niemcy mogli z łatwością zniszczyć czołg. Ale w następnej chwili zobaczyłem, że przednia część czołgu zaczęła się opuszczać, a tylna podniosła się i nie dotykała już asfaltu. Pod ciężarem wozu bojowego belka zgięła się i czołg ruszył naprzód. Za czołgiem Szirszowa zawałę pokonały czołgi młodszego lejtnanta Barkowa i pozostałych.

Na ulicy zawrzała gorąca walka. Ogień nieprzyjacielski był tak silny, że zatrzymał posuwanie się fizylierów do kanału przez Tegelerstrasse. Szczególnie silny ostrzał prowadzili hitlerowcy z prawego narożnego domu, stojącego koło toru kolejowego, zza nasypu kolejowego i spoza zawałów wzniesionych pod mostem kolejowym.

Przez łącznika wydałem rozkaz, aby podciągnąć ciężkie działa pancerne i rozpocząć ogień do punktów, skąd strzelali hitlerowcy. Czołgi natomiast w dalszym ciągu toczyły walkę z oddziałem żołnierzy uzbrojonych w „pięści pancerne“ a ukrywających się na strychach i w piwnicach domów.

Niemcy nie zdołali oprzeć się naszemu naciskowi. Wkrótce fizylierzy mogli posunąć się naprzód. Wydałem im rozkaz, aby dokładnie przeszukiwali domy, podwórza i piwnice. Posuwaliśmy się naprzód przy wsparciu dział pancernych. Za nimi szli artylerzyści.

Ku końcowi dnia Tegelerstrasse została zajęta, a tor kolejowy przecięty.

Przeprawa koło parku Charlottenburskiego

Nasza jednostka pancerna wykonywała uderzenie z północnego zachodu. Przecięliśmy kanał Berlin - Spandauer i ominęliśmy Siemensstadt.

Hitlerowcy trzymali się kurczowo każdego domu, każdego narożnika. Wydawało się, że nie ma okna, skądby nie strzelali fizylierzy, skądby Niemcy nie rzucali „pięści pancernych“. Zmotoryzowany batalion piechoty zajmował w walkach ulicę za ulicą.

W nocy dotarliśmy do północnego brzegu Szprewy. Przed nami leżała w granitowym łożysku czarna rzeka.

Jeszcze niedawno wznosił się tutaj łuk olbrzymiego mostu, którego drugi koniec sięgał do parku w Charlottenburgu. Obecnie most był wysadzony. Kawalki przęsła mostu leżały w wodzie. Szerokość rzeki wynosi w tym miejscu około sześćdziesiąt metrów.

Dowódca batalionu, kapitan gwardii Kosow, przysiadł koło ruin muru i zagłębił się w rozłożony przed nim plan Berlina.

Z zadumy wyrwał kapitana głos starszego sierżanta Szewczenko.

— O co chodzi?

— Proszę o zezwolenie przepłynięcia na tamten brzeg i przyprowadzenia łódki. Już wszystko wypatrzyłem.

— No cóż — zgodził się Kosow — dobry pomysł.

Kapitan wezwał do siebie kaemistę Zajnutdinowa.

— Szewczenko popłynie zaraz na tamten brzeg. Ulokujcie się z ręcznym karabinem maszynowym jak najdogodniej i czekajcie. Gdy tylko Niemcy zaczną strzelać, walcie do ich gniazd ogniowych. Tylko pamiętajcie, zamaskujcie się dobrze, bo inaczej i was zabiją, i Szewczenkę zgubicie.

Szewczenko przedostał się na brzeg, rozebrał się, wskoczył do rzeki i szybko popłynął. Na powierzchni widać było tylko głowę, czasami w ogóle ukrywał się pod wodą. Śmiałek był już na środku rzeki, kiedy w odległości około trzech metrów od niego zaczęły unosić się małe fontanny. Zajnutdinow wycelował do gniazda ogniowego przeciwnika i zmusił je do milczenia.

Niemcy zaczęli ostrzeliwać starszego sierżanta z innego punktu, ale Zajnutdinow wykrył również i ten punkt i zasypał go ogniem.

Szewczenko był już na brzegu i szybko odwiązywał łódkę, gdy hitlerowcy namacali Zajnutdinowa. Dokoła kaemisty zaczęły padać pociski, trzeba było natychmiast zmienić stanowisko. Zajnutdinow zaczął się już czoięcać, gdy nagle poczuł silne uderzenie w lewe ramię. Z rany szła krew, koszula nasiękała nią i przylepięła się do ciała. Męczył go ostry ból, ale nie można było odejść. Szewczenko plynęł już z powrotem, ciągnęć za sobą łódkę, i należało go osłaniać. Zajnutdinow zapomnięł o ranie, przywarł mocno do ziemi i otworzył ogień do okien, skęd strzelali fizylierzy nieprzyjacielscy.

Szewczenke ciężko było plynęć. Dokoła niego bez przerwy gwizdały pociski, ale widzięł on, że karabin maszynowy, przy którym leżał broczęcy krwię Zajnutdinow, stale prowadzi ogień i to dodawało mu siłę. Wreszcie fizylierzy niemieccy umilkli.

Oto już brzeg. Szewczenko umocował łańcuch łódki i dał nura w gruzy murowanego domu. Towarzysze szybko otulili go płaszczami i napoili spirtusem. Kapitan mocno uściskał bohatera.

Po upływie godziny — półtorej, dwie kompanie fizylierów, którzy przeprawili się na przycięgniętej przez Szewczenkę łódcę, były już na drugim brzegu Szprewy w Parku Charlottenburskim.

A. FOMIENKO
KAPITAN

Na Breslauerstrasse

Pośpiesznie schodzę, prawie że zbiegam do na wpół ciemnej piwnicy, ledwo oświetlonej świecą.

— Towarzyszu majorze! Melduję się jako dowódca baterii artylerii dywizyjnej, wyznaczonej do wspierania waszego batalionu.

Nie tracąc czasu major Jakowlew zaznajamia mnie z sytuacją i wyznacza zadanie na podstawie mapy.

— Batalion naciera wzdłuż Szprewy przez Breslauerstrasse... Pod koniec dnia 29 kwietnia powinien on dotrzeć do rejonu Alexanderplatz... O tutaj! — Oznacza ołówkiem kilka prostokątów na mapie i ciągnie dalej: — Waszym zadaniem jest posuwać się za dziewiątą kompanią i wspierać ją ogniem... Łączność telefoniczna.

Po powtórzeniu zadania żegnam się z majorem i idę szybko do wyjścia. Na ulicy strzelanina. Hitlerowcy obsadzili kilka dużych domów i ostrzeliwują Breslauerstrasse z karabinów maszynowych.

„Roboty będzie sporo“! — pomyślałem i z przyzwyczajenia ustaliłem najbliższe gniazda ogniowe nieprzyjaciela.

Strasznie było, wychodzić na ostrzeliwaną ulicę, ale nie było czasu na zastanawianie się — pobiegłem. Natychmiast tuż koło mnie zażyły niemieckie pociski. Nachyliłem się, biegnąc dalej. Byłem już zupełnie blisko ciemnego sklepienia, kiedy w odległości pięciu metrów nastąpił wybuch „pięści pancernej“. Fala wybuchu rzuciła mnie o ścianę i na krótki czas straciłem przytomność. Gdy ocknąłem się, zacząłem się obmacywać. Twarz i ręce były we krwi, ale zdaje się nic poważnego. Podniosłem głowę, seria z karabinu maszynowego znów przycisnęła mnie do asfaltu.

„Trzeba biec — pomyślałem — inaczej nie zdążę wyznaczyć zadania baterii“.

Zerwałem się i znów pobiegłem. Teraz posuwałem się krótkimi skokami, to ukrywając się na chwilę za występem ściany, to wpadając do sieni zburzonych domów, żeby odsapnąć. Bateria stała koło mostu kolejowego. Po zaznajomieniu ludzi z położeniem wydałem rozkaz przetoczenia dwóch dział za róg wprost na ulicę i porządnego oczyszczenia domów, skąd strzelali hitlerowcy.

Pierwsze otworzyło ogień działo Bohatera Związku Radzieckiego, sierżanta Tiapuszkina. Trzeba było widzieć, jak pracowali artylerzyści. Pociśki gwizdały koło nich, ale to jakby jeszcze bardziej ich podniecało. Wskazałem im zauważone przeze mnie gniazdo ogniowe i po chwili już go nie było. Dali jeszcze kilka wystrzałów i jedno po drugim milkły cztery gniazda ogniowe wroga, aż wkrótce zupełnie ucichło. Nad domami, do których strzelały działa, podniosły się kłęby dymu, jak deszcz spadały cegły, sypał się tynk... Jeszcze kilka minut i ujrzelśmy, jak w różnych punktach ulicy zaczęli się podnosić żołnierze dziewiątej kompanii. Szli nie kryjąc się prawie, w biegu dając serie z pistoletów maszynowych do okien domów. Ogień nieprzyjaciela milkł. Tylko gdzieś bardziej na prawo, tam gdzie stały nasze czołgi, słychać było wybuchy „pięści pancernych“...

Zadanie było wykonane. Piechota poszła naprzód.

Podbiegłem do odważnej obsługi dział, nieprzytomny z radości. Miałem ochotę (i byłem gotów to zrobić) wycalować ich za precyzyjną i dobrze wykonaną robotę. Przecież to byli moi żołnierze! W tej chwili odnosiłem zwycięstwo razem z nimi. Rozumiałem, że mamy przed sobą jeszcze dużo roboty. Ale teraz zwycięstwo było nasze.

Właśnie w tej chwili, kiedy byłem już koło dział, ujrzelśmy jakiegoś żołnierza. Biegł po ulicy nie zwracając uwagi na pociski. Był to czołgista — wysoki, silny, cały wymazany smarem. Ciężko dyszał, ale jeszcze w biegu zaczął tłumaczyć, że z trzeciego piętra już zajętego przez nas domu hitlerowcy rzucają „pięści pancerne“ i nie pozwalają posuwać się naszym czołgom.

Wskazał mi to miejsce. Płonął tam już jeden z naszych czołgów, zapalony przez „pięść pancerną“. Całe nieszczęście, powiada, polega na tym, że ani jeden wóz bojowy nie może przejść pod łukiem przez wąską bramę, aby dostać się do gniazda os. Sytuacja była trudna. Żeby wysunąć tam działo, trzeba zniszczyć ocalałe gniazda ogniowe wroga. Ale jak to zrobić? W tej chwili zobaczyłem, że drugi czołg wystrzelił z działa. Na chwilę wszystko dokoła niego znikło w kłębach białego kurzu, który podniósł się na skutek wybuchu. I nagle jakby mnie coś olśniło.

— Ot, żeby wasi chłopcy dali jeszcze z pięć takich strzałów w stopy gruzu — powiedziałem — wówczas można byłoby przetoczyć działo...

— Zaraz się robi — powiedział ucieszony czołgista — nie pięć, dziesięć razy hukniemy.

I zadowolony pobiegł do czołgów.

Wydałem rozkaz obsłudze, żeby się przygotowała. Żołnierze rzucili się do dział. Po dwóch minutach czołg otworzył ogień do stosów gruzu. Nad wylotem ulicy, gdzie znajdował się nieprzyjaciel, podniosły się olbrzymie kłęby pyłu tynkowego, które zasłoniły domy i całą ulicę. Dałem znak i obsługa szybko przetoczyła działo do łuku sklepienia. Jeszcze chwila, i działo znikło w jego ciemnym otworze. Wykrycie celu nie było długą sprawą. Jednocześnie z hukiem kolejnego pocisku „pięści pancерnej“ gruchnął pierwszy strzał z mojego działła. Z okna trzeciego piętra poleciały cegły, posypał się tynk. Jeszcze kilka strzałów i obok, w ocalałym oknie, ukazała się ręka wymachująca czymś białym. Kazałem przerwać ogień.

Hitlerowscy żołnierze wyszli z domu z podniesionymi wysoko rękami.



E p i z o d y w a l k o A l e x a n d e r p l a t z

WALKA O SKRZYŻOWANIE

Przedzieramy się do głównego placu Berlina — Alexanderplatz. Hitlerowcy umocnili się na skrzyżowaniu dwóch dużych ulic. Otoczyli je barykadą, przegradzając drogę naszym czołgom i piechocie. Nie widać gniazd ogniowych nieprzyjaciela, ale czuje się, że przyczał się gdzieś tu, w otworach piwnic, koło wybitych okien na dachach i strychach przylegających domów.

Rzeczywiście, zaledwie nasza piechota ukazała się na szerokiej ulicy, gdy nagle ożyła barykada i przylegające do niej domy. Zewsząd zagrzmiały serie z karabinów maszynowych i pistoletów maszynowych, zagwizdały pociski moździerzowe i „pięści pancerne“. W oka mgnieniu cała ulica osłonięta była kłębamii dymu i kurzu z tynku.

Zadanie zlikwidowania gniazd ogniowych nieprzyjaciela i ubezpieczenia dalszego posuwania się piechoty otrzymał dowódca baterii, starszy lejtnant gwardii Jaszyn. Wzywa do siebie działowych, starszych sierżantów Gonczarenkę i Zykina. Ci dwaj to doświadczeni żołnierze, uczestnicy walk ulicznych w Stalingradzie, rozumieją dowódcę z pierwszego słowa. Przez pewien czas obserwują w milczeniu przycichłą barykadę i ulicę — coś sobie kombinując.

— Pozwólcie zameldować, towarzyszu starszy lejtnancie — powiada wreszcie Gonczarenko. — Stąd faszystów nie dosięgniemy, trzeba będzie zmienić stanowisko... Za dnia, nie dadzą nam przetoczyć dział. Pozwólcie rozpocząć po zapadnięciu mroku.

— Cała noc jest do waszej dyspozycji, ale z rana piechota musi przejść. Zrozumiano?

— Zrozumiano, towarzyszu starszy lejtnancie! Z rana piechota przejdzie...

O północy zwiadowca Lipczewski dostarczył dane o rozmieszczeniu gniazd ogniowych nieprzyjaciela i oświadczył, że znalazł odpowiednie miejsce dla stanowisk ogniowych. Działa odczepiono od samochodów i obsługa ostrożnie przetoczyła je po ulicy za zwiadowcą. Przetaczano je około dwudziestu minut, póki Lipczewski nie dał znaku, aby się zatrzymać.

— Tutaj — powiedział cicho. — Miejsce jest dobre, można strzelać w dwóch kierunkach.

Obsługa cichuteńko zabrała się do urządzenia stanowiska ogniowego. Jeszcze na długo przed świtem wszystko było gotowe. Obsługa zajęła swoje miejsce. Nagle z lewej strony rozległa się krótka seria z pistoletu maszynowego. Pociski uderzyły po tarczy działa Gonczarenki. Sądząc po strzałach odbitkowych Niemcy strzelali z czteropiętrowego domu, który był przed nami w odległości dwustu metrów, stamtąd też nastąpiła druga, jeszcze dłuższa seria. Hitlerowcy strzelali pociskami smugowymi.

— Widzisz go, gadzina — zaklął Gonczarenko.

Rzeczywiście, z tej samej strony grzmotnął najcięższy karabin maszynowy. Pociski nieprzyjacielskie zaczęły odbijać się od jezdni w odległości dwóch metrów od dział. Doświadczone oko zwiadowcy już określiło miejsce, gdzie znajdował się nieprzyjacielski karabin maszynowy. Jeszcze dwie serie i został całkowicie wcięty: karabin maszynowy strzela z okna pierwszego piętra prawego narożnego domu. W przedświtowej mgłę widać nawet błyski ognia. Krótka komenda Gonczarenki i jeden za drugim grzmią trzy strzały. Dym otacza narożny dom, lecą cegły i ramy okienne, nieprzyjacielskie gniazdo ogniowe milknie. Jeszcze jakiś czas obsługa wyczekuje, ale karabin maszynowy nie daje już o sobie znać.

— Z jednym skończyliśmy — mówi Gonczarenko zadowolony -- pokaz, gdzie ten sprzężony karabin maszynowy — mówi do zwiadowcy.

Lipczewski wskazuje, Gonczarenko podaje komendę i działo otwiera ogień do nowego celu. Drugie działo starszego sierżanta Zykina milczy na razie: nie zostało przez faszystów wykryte i pozostawia się je na bardziej odpowiedni moment. Wkrótce niszczymy jeszcze dwa gniazda ogniowe Niemców. Ale czy to dlatego, że hitlerowcy obawiali się przedwcześnie zdradzić swoje gniazda ogniowe, czy też oszczędzali naboju — odpowiadali bardzo rzadko. Rozjaśniło się zupełnie. Wkrótce ukazały się z tyłu nasze czołgi i działa pancerne. Obsługa przygotowała się do otwarcia ognia. Obserwatorzy i zwiadowcy wpili się oczami w skrzyżowanie, aby szybko wciąć gniazda ogniowe, gdy tylko nieprzyjaciel otworzy ogień. Ale hitlerowcy milczeli. Jeden czołg prowadząc w biegu ogień do barykady, szybko poszedł naprzód. Minął już nasze działa i zaczął zbliżać się do skrzyżowania, kiedy nagle ożyło od razu kilka gniazd nieprzyjaciela. Z lewej strony odezwał się drugi najcięższy karabin maszynowy. Ze strychu tego samego domu posyłały się „pięści pancerne“. Huknęły wybuchy granatów, zaterkotały ręczne

karabiny maszynowe. Czołg natychmiast znikł w kłębach czarnego dymu i kurzu....

Starszy lejtnant Jaszyn szybko wyznaczał obsłudgom do zniszczenia wykryte cele i po przekonaniu się, że obsługi wycelowały działa, podał komendę:

— Pierwsze i drugie działo do wyznaczonych celów... po 4, Ognia!

Działa strzeliły jednocześnie. Barykadę i przylegające domy otoczyły kłęby kurzu. Leciały w powietrzu cegły, kawałki drzewa, tynk. W dwóch miejscach od razu zwałił się róg domu, pojawiły się języki płomieni:

Działa strzelają dalej. Ożywają coraz to nowe nieprzyjacielskie gniazda ogniowe. Zgrzytając gąsienicami przemknął obok obsługi z powrotem nasz czołg rozpoznawczy. Był cały. Jak gdyby ucieszone z tego powrotu otworzyły ogień również nasze obydwa działa pancerne.

W ciągu pięćdziesięciu minut nie milkną działa Gonczarenki i Zykina. Gwiżdżą nieprzyjacielskie pociski, wybuchają „pięści pancerne“, ale nikt, nawet ranni, ani na chwilę nie opuszcza stanowisk. Jeden po drugim milkną nieprzyjacielskie gniazda ogniowe. Palą się zapalone przez artylerzystów narożne domy. Dwa nasze czołgi, z towarzyszącą im piechotą i działami pancernymi, mkną obok zakopconych artylerzystów i pokonawszy nieprzyjacielskie barykady, zaczynają szturmować palące się domy. Artylerzyści przerywają ogień.

Za działami, przytulony do ściany, stoi zwiadowca Lipczewski, obok niego rosły Niemiec.

— Skąd go wytrzasnąłeś? — pyta celowniczy Dołgoberidow, wycierając z twarzy pot rękawem bluzy.

— Siedział w piwnicy, usiłował dosięgnąć was z pistoletu maszynowego, ale zaszedłem go od tyłu, huknąłem po łbie i zaprosiłem tu — powiada Lipczewski.

Starszy sierżant gwardii A. BANDROWSKI

NIEMY DOM

Na jednej z ulic wychodzących na Alexanderplatz dowódca naszego plutonu, kapitan Nowochatko, wezwał do siebie dowódcę plutonu zwiadowców, starszego lejtnanta Sereda.

— Musimy sprawdzić tamten niemy dom — powiedział.

Dom ten znajdował się na drodze natarcia batalionu. Nikt z niego nie strzelał, ale dowódca podejrzewał, że hitlerowcy przyczaili się w tym domu, aby uderzyć na nas od tyłu.

W kilka minut po zapoznaniu zwiadowców z zadaniem starszy lejtnant skrycie wyprowadził pluton na ulicę, którą trzeba było przebiec pod ogniem nieprzyjaciela, aby dotrzeć do podejrzanego domu.

Na rozpoznanie poszło dziesięć osób, w tej liczbie byłem i ja. Pierwszy ruszył starszy sierżant Szaposznikow. Nachylił się, jednym skokiem przebiegł przez ulicę i znikł w wyrwie ściany. Mimo silnego ognia faszystów za Szaposznikowem pobiegli wszyscy zwiadowcy. Zaledwie rozpoczęliśmy przeszukiwanie parteru, gdy z tyłu rozległ się silny wybuch i huk walącej się ściany. Nie przerywając przeszukiwania starszy sierżant posłał dwóch żołnierzy, aby zobaczyli, co się stało. Wkrótce wrócili i zameldowali, że pocisk trafił w ścianę, która zawaliła wyjście z budynku. Ale to nikogo nie przygnębiło i pluton po rozbiciu się na dwie grupy kontynuował przeszukiwanie. W narożnym pokoju schwytano faszystę z „pięścią pancerną”. Koło niego leżał stos pocisków. Przyznał się, że na pierwszym piętrze jest zasadzka. Rzeczywiście, ledwo zaczęliśmy się tam przedostawać, kiedy z góry stoczyły się po schodach dwa granaty ręczne. Starszy sierżant Akinin spokojnym ruchem nogi odrzucił je w bok, wybuchły nie wyrządzając nam szkody.

Tutaj koło schodów zajęliśmy stanowisko obronne. Trzeba było szybko zameldować dowódcy batalionu o wykrytej zasadzce, tymczasem wyjście z domu na ulicę było zavalone. Postanowiliśmy spróbować wydostać się przez żelazną bramę, która wychodziła na przyległą ulicę. Wprawdzie była zamknięta i znajdowała się pod ostrzałem nieprzyjacielskiej barykady, ale nie mieliśmy innego wyjścia.

Przekazanie meldunku polecono żołnierzowi Diesiatkinowi. Zabrał ze sobą długi sznur, dwa granaty ręczne, jeden przeciwzołgowy i poczołgał się do bramy. Żołnierz Suczkow poczołgał się z nim, aby mu pomóc. Umocowali granaty do wiszącej na bramie kłódki, połączyli sznur z kółkiem i wrócili. Po chwili rozległ się wybuch. Brama została otwarta. Diesiatkin znów poczołgał się, potem jednym susem przeskoczył ulicę i znikł w gruzach domu po tamtej stronie.

Kilka razy hitlerowcy usiłowali wykurzyć nas z domu, ale odrzucaliśmy ich ogniem pistoletów maszynowych. Potem zjawił się z powrotem od dowódcy batalionu Diesiatkin i powiedział, że do szturm na ten dom idzie pododdział piechoty, a zwiadowcy otrzymali nowe zadanie.

Sierżant gwardii W. SOROKIN

BOHATERSTWO KIEROWCY

Dowódca baterii, kapitan Demidow, otrzymał rozkaz wspierania ogniem na wprost ruchów piechoty. Obsługa dział szybko przyczepia działa do samochodów i bateria mknie po głównej ulicy do Alexanderplatz.

Na przedzie samochód szofera Nastenki. Na skrzyżowaniach ulic i w poszczególnych domach, obok których pędzą samochody, jeszcze grzmi strzelanina. Ale doświadczony kierowca, który walczył w Stalingradzie,

pewną ręką prowadzi wóz. Obsługi ostrzeliwują się z pistoletów maszynowych.

Robi się gorąco. Wszędzie dymią pożary. Gdzieś tutaj winna być linia naszych wojsk. Wozy stają. Nagle zostaliśmy ostrzelani gęstym ogniem z moździerzy. Koło samochodów wybuchają pociski.

Kapitan orientuje się szybko. Okazuje się, że są tu hitlerowcy, którzy przedarli się z sąsiedniego bloku. Kapitan podaje komendę i samochody zaczynają wycofywać się szybko w tył. Pierwszy cofa się samochód sierżanta gwardii Jakowienki. Część żołnierzy na rozkaz kapitana już zeskoczyła na ziemię i ostrzeliwuje się z najbliższego ukrycia. Za nią jadą pozostałe samochody. Nagle samochód Jakowienki zatrzymuje się tarasując wąskie przejście. Kierowca jest ciężko ranny. Ostrzał hitlerowców wzmagą się. Pozostałe samochody zatrzymują się również. Ich kierowcy są także ranni. Koło nich wybuchają granaty ręczne i „pięści pancerne“.

Do wozu Jakowienki biegnie Nastenko. Nie zwracając uwagi na morderczy ogień nieprzyjaciela Nastenko uruchamia silnik, wskakuje do kabiny i siada za kierownicą. Obok, koło ściany, wybuchają „pięści pancerne“. Wóz otoczony jest dymem. W chwili kiedy ruszył naprzód, druga „pięść pancerna“ trafia w sam wóz. Siła wybuchu wyrzuca kierowcę z kabiny, ogłuszony pada na jezdnię...

Nastenko z trudem podnosi się, biegnie do drugiego wozu i daje pełny gaz. Wóz zrywa się z miejsca i wkrótce niknie za rogiem. Tam też biegnie szybko jego obsługa działowa... Po dwóch minutach znów ukazuje się Nastenka. Podbiega do trzeciego samochodu i pod ogniem nieprzyjacielskim wyprowadza go na ukryte stanowisko ogniowe. Po chwili słychać stamtąd pierwsze strzały naszych dział. Wybuchy pocisków wprowadzają zamieszanie w szeregach nieprzyjaciela. Korzystając z tego odważny Nastenka przedziera się do swego samochodu i wyprowadza go spod ognia razem z działem. Działo Jakowienki przetacza obsługa.

Wkrótce morderczy ogień czterech dział robi swoje: hitlerowcy cofają się. Bateria posuwa się naprzód na nowe stanowiska i kontynuuje serie nawałowe.

Całą noc dzielny kierowca sam jeden obsługiwał kolejno trzy samochody, przerzucał działa z jednych stanowisk na drugie.

Sierżant gwardii A. LESZCZUKOW

NA PODEJŚCIACH DO POLIZEI-PRÄSIDIUM

Coraz szczelniej zaciska się pierścień dokoła hitlerowców, broniących się w centrum miasta. Oto już ponury kolos Polizei-Präsidentium. Jego masywne pawilony łączące się ze znajdującym się wewnątrz więzieniem z du-

żymi przybudówkami i podwórzami-studniami zajmują cały blok dokoła Alexanderplatz.

Moja kompania otrzymała rozkaz szturmowania tego gmachu, ale duża grupa nieprzyjaciela siedziała w piwnicy jednego z domów i ogniem karabinów maszynowych i „pięści pancernych“ uniemożliwiła nam wysunięcie się na linię szturmową. Sytuacja skomplikowała się tym bardziej, że domu, a szczególnie piwnicy, nie można osiągnąć nawet przy pomocy artylerii.

Na krótko przed rozpoczęciem szturmego zwrócił się do mnie starszy sierżant Iwanow z prośbą o przydzielenie mu trzech żołnierzy, z którymi spróbuje zlikwidować strzelających z piwnicy hitlerowców. Po zapoznaniu się z planem, zgodziłem się.

Starszy sierżant z trzema fizylierami przedostali się przez wyrwę w ścianie i znikli w sąsiednim domu. Wkrótce potem zjawili się wśród gruzów i czołgając się zmięli do domu, gdzie znajdowali się hitlerowcy strzelający z „pięści pancernych“. Wróg zauważył ich z gmachu policji i otworzył ogień. Ale odważni żołnierze czołgają się dalej. Oto są już blisko celu. W tej chwili pocisk rani starszego sierżanta. Zatrzymuje się tylko na kilka minut, żeby opatrzyć ranę, i znów czołga się dalej, natężając siły... Jeszcze chwila, i cała grupa znika za zawaaloną ścianą.

Przewyciężając ból Iwanow podnosi się pierwszy i rzuca granaty w okno piwnicy, z którego dopiero co grzmiała seria karabinu maszynowego. Za nim rzucają granaty fizylierzy Tabuniak, Gonczaruk i Jewczenko. Jednocześnie wdzierają się oni do piwnicy przez okno i z bliskiej odległości strzelają do hitlerowców. Krótka utarczka i jedenastu ocalałych hitlerowskich żołnierzy rzuca broń i podnosi ręce.

Kapitan gwardii M. DAWYDOWICZ

PRZED SZTURMEM

Dowódca kompanii, starszy lejtnant gwardii Bałabkin, przed szturmem na gmach policji otrzymał rozkaz zajęcia sąsiedniego domu, z którego hitlerowcy ostrzeliwali wszystkie podejścia do głównych budynków. Dla osłony kompanii wyznaczono moją obsługę karabinu maszynowego. Wykonując zadanie przedostałem się razem z obsługą do sąsiedniego domu i po zajęciu stanowiska w oknie pierwszego piętra, otworzyliśmy ogień na dom, gdzie siedzieli faszyci. Niszczyliśmy ich gniazda ogniowe nie tylko z ciężkiego karabinu maszynowego, ale także z pistoletów maszynowych. W tym czasie kompania, ze starszym lejtnantem Bałabkinem na czele, biegiem pokonała niebezpieczny odcinek i wdarła się do domu.

Nieprzyjaciel otworzył ogień do mego karabinu maszynowego wówczas, kiedy nasi byli już w domu naprzeciw. Kazałem celownicemu Kon-



Walki uliczne

drowowi szybko zmienić stanowisko, przenieść karabin maszynowy na pierwsze piętro. Zaledwie wykonał mój rozkaz, gdy faszyci ujrzeli nas, i wielką grupą rzucili się na karabin maszynowy.

Przeczekalem kilka sekund i podałem komendę: „Ognia!”.

Kondrow z małej odległości wystrzelił z karabinu maszynowego do nieprzyjaciela. Pomocnik jego, żołnierz Szepiło, i ja jednocześnie otworzyliśmy ogień z pistoletów maszynowych. Faszyci zaczęli się miotać padając pod naszymi pociskami.

Sierżant gwardii I. PIESZCZAŃSKI

SZTURMOWANIE POLIZEI-PRÄSIDIUM

Gdy pododdział majora Gwardii IIsakowa ruszył do natarcia na gmach Polizei-Präsidentium, znalazł się pod gęstym ogniem. Był to po prostu huragan ołowiu i stali, który groził zmieceniem wszystkiego co żywe. Wydawało się, że natarcie załamie się, nim się rozpoczęło. Ale w tej krytycznej chwili na jezdni ukazuje się haubica naszego dywizjonu, wspierającego batalion. Działowym był starszy sierżant gwardii, komunista Liogkich. Lekceważąc śmiertelne niebezpieczeństwo obsługa wytoczyła działo na odkryte stanowisko i z bliska daje serię nawałową na gmach policji. Jednocześnie zaczynają strzelać ciężkie karabiny maszynowe. Ogień faszystów słabnie natychmiast. Jeden po drugim, bez przerwy grzmia strzały odważnej obsługi. W powietrzu unoszą się stosy cegieł, wyrwane belki, ziemia, grzebiąc pod sobą hitlerowców.

Za chwilę piechota, która przypadła do ziemi, podnosi się do natarcia. Żołnierze biegną wyprostowani. Minęli już niebezpieczny odcinek. Do sieni i okien lecą granaty ręczne. Jeszcze chwila, i żołnierze wdierają się do gmachu...

Rozpoczyna się walka wręcz na korytarzach i schodach.

Na sąsiednim odcinku, koło głównego gmachu więzienia, nieprzyjaciel stawiał jeszcze bardziej zaciekle opór. Ten masywny budynek był bardzo dogodny do obrony całego gmachu policji. Z niego ostrzeliwano wszystkie podejścia do gmachu od strony Alexanderplatz. Piechota nie wytrzymała mordeczego ognia i przypadła do ziemi.

W tym czasie do naszego dywizjonu przybył zastępca dowódcy pułku, major gwardii Oriabiański. Po wyznaczeniu nam zadania udał się razem ze mną, z organizatorem partyjnym Riabkoniem i organizatorem komsoolskim Morozowem do baterii.

Po rozmowach, które przeprowadziliśmy z członkami i kandydatami partii, komunista, dowódca baterii, starszy lejtnant gwardii Diergunow powziął odważną decyzję. Bierze ze sobą dowódcę drużyny zwiadowczej, komunistę Popowa, dwóch żołnierzy i przedostaje się do domu znajdują-

cego się naprzeciwko okien budynku więziennego. Siedzi w nim jeszcze grupa Niemców strzelających z „pięści pancernych“. W utarczce, która nastąpiła, śmiało pokonują hitlerowców. Diergunow jest ranny, ale to nie powstrzymuje go od wykonania zadania. Odważny oficer wdiera się razem ze swoimi żołnierzami na trzecie piętro i zaczyna strzelać z okien do gniazd ogniowych w więzieniu.

Korzystając z tego obsługa działa starszego sierżanta gwardii Liogkich wytoczyła na ulicę zawczasu przygotowaną haubicę, dała serię nawałową do gmachu więzienia. W ciągu kilku minut gniazda ogniowe nieprzyjaciela, przeszkadzające posuwaniu się naprzód, zostały zniszczone, piechota ponownie rzuca się do natarcia i tym razem wdiera się do gmachu.

Major gwardii STRATULOT

KOMPANIE SPOTYKAJĄ SIĘ WEWNĄTRZ GMACHU

Szturmowanie gmachu Polizei-Präsidium odbyło się w nocy z różnych stron. Na sygnał dowódcy batalionu, kapitana Nowochatki, nasza kompania, pod dowództwem lejtnanta Alfierowa, pierwsza zaczęła wysuwać się na linię szturmową. Ulica była jaskrawo oświetlona płomieniami palących się czołgów, toteż hitlerowcy od razu wykryli przebiegających żołnierzy i otworzyli silny ogień z karabinów maszynowych. Pomimo to dowódcy kompanii z dziesięcioma żołnierzami udało się wdrzeć na podwórze przez bramę. Pozostali, z lejtnantem Simochinem na czele, przedostali się pod osłoną parkanu do gmachu, obrzucili granatami okna i weszli przez nie do gmachu. Pierwszy przedostał się sierżant Gonczarow, za nim lejtnant Simochin z pozostałymi żołnierzami. W pokojach i korytarzach zagrzmiały natychmiast wybuchy ręcznych granatów i serie z pistoletów maszynowych...

Niemcy cofali się na górne piętra. Część z nich ukryła się w piwnicach. Pozostawiając przy wejściach do piwnic fizylierów jako ochronę, kompania przeszukiwała dalej gmach. Nagle usłyszeliśmy, że ktoś przed nami zawołał po rosyjsku: „Niemcy, Niemcy!...“ Zatrzymaliśmy się stropieni, przygotowując pistolety maszynowe i granaty.

Lejtnant Simochin zawołał:

— Kto idzie?

W odpowiedzi usłyszeliśmy.

— Swoi!... Alfierow.

Był to dowódca kompanii, lejtnant Alfierow, ze swoją grupą. Udało im się wdrzeć do gmachu od strony podwórza...

Po pewnym czasie, posuwając się dalej, połączyliśmy się z kompanią starszego lejtnanta gwardii Bałabkina, która wdarła się do gmachu nieco

później od nas, z przeciwnej strony. Dowódca batalionu, kapitan Nowo-
chatko, powiedział do nas:

— Świetnie, towarzysze. Jedną robotę skończyliśmy!

Starszy sierżant gwardii K. BEKABU

NA ALEXANDERPLATZ

Pomimo, że dnia 28 kwietnia piechota zajęła po uporczywych walkach południową część Alexanderplatz i padła ostatnia twierdza nieprzyjaciela w tej dzielnicy — gmach Polizei-Präsidium, hitlerowcy stawiali w dalszym ciągu opór w północnej części placu. Umocnili się w metro i przylegających do niego domach i trzymali pod ostrzałem cały plac, nie pozwalając naszym pododdziałom posuwać się w kierunku dworca koło Alexanderplatz. Stacja metro stała się dla nich punktem oporu. W podziemiach metro ukrywały się znaczne zgrupowania nieprzyjaciela z silnymi środkami ogniowymi.

Dnia 29 kwietnia otrzymałem rozkaz przygotowania ogniem swoich dział szturmowych na ten punkt oporu. Strzelać można było tylko na wprost, znajdując się pod ogniem nieprzyjaciela.

Dla wykonania zadania wyznaczyłem działon starszego sierżanta gwardii Kuźmowa. Jeszcze przed wytoczeniem haubicy na stanowisko zorganizowałem, jak zwykle, własnymi środkami pewną osłonę ogniową. W tym celu wolni żołnierze innych obsług byli wysunięci do ukrytych miejsc niedaleko od haubicy. Każdy żołnierz otrzymał do ostrzału określone gniazda ogniowe, zagrażające działu.

Na mój sygnał żołnierze otworzyli silny ogień z pistoletów i karabinów maszynowych. Pod tą osłoną obsługa starszego sierżanta Kuźmowa wytoczyła działo i zaczęła strzelać do nieprzyjaciela.

Przez półtorej godziny haubica Kuźmowa prowadziła bez przerwy ogień. Lufa i części ruchome nagrzały się do tego stopnia, że parzyły ręce. Kroplisty pot spływał z żołnierzy. Amunicyjni ledwo nadążali z podawaniem pocisków.

O oznaczonej godzinie rozległ się na naszych tyłach warkot uruchomionych silników. Artylerzyści wzmocnili ogień do granic możliwości. Z prawej strony zaczęły strzelać inne działa. Zza ruin domu ukazały się nasze czołgi z fizylierami na pancerzach. Szybko przekroczyły ulicę i skierowały się na plac prowadząc w ruchu ogień. Nie zdążyły przejść nawet połowy drogi, kiedy z na wpół rozwalonych gmachów i od strony metro spadła na nich nawała ogniowa hitlerowców, strzelających z nowych stanowisk. W jednej chwili plac pograżył się w kłębach dymu. Czołgi zmuszone były cofnąć się. Jeden z nich holuje palący się wóz, rozbity celnym strzałem.



W śródmieściu Berlina

Artylerzyści z jeszcze większą zawziętością zaczynają strzelać do gniazd ogniowych nieprzyjaciela ożyłych na nowych stanowiskach.

Starszy lejtnant gwardii A. PADUNOW

BOHATERSKI CZYN KOMSOMOLCA JASZAGASZWILI

Po nieudanym natarciu naszych czołgów i piechoty stało się jasną rzeczą, że zdobyć pozostałą część Alexanderplatz można będzie dopiero wówczas, kiedy zlikwidowana zostanie podstawowa twierdza nieprzyjaciela — stacja metro.

Komsomolec, młodszy sierżant Jaszagaszwili, ordynans dowódcy batalionu Iszbułatowa, ciężko przeżywający — jak wszyscy żołnierze — każde zahamowanie w posuwaniu się naprzód, szuka sposobu zdobycia na wpół zrujnowanej stacji metro. Trzeba zaskoczyć hitlerowców bezczelnością — postanawia. Jaszagaszwili obmyśla swój plan, melduje o nim dowódcy batalionu i prosi o zezwolenie na wykonanie go. Plan był rzeczywiście bardzo prosty i śmiały. Dowódca akceptuje go z małymi poprawkami. Zna dobrze młodszego sierżanta Jaszagaszwili i jest pewny, że jeżeli ten postanowił, to na pewno wykona zadanie, które wziął na siebie.

Jaszagaszwili zrzucił z siebie wszystko zbędne, wziął pistolet maszynowy, zapasowe magazynki, wypchał sobie kieszenie granatami i szybko pobiegł do żelaznego ogrodzenia, oddzielającego tor kolei miejskiej od jezdni ulicy. Za nim biegnie sierżant Maskarian i jeszcze jeden żołnierz. Z tyłu stoi w pogotowiu telefonista ze zwijakiem i aparatem. Komsomolec przeskoczył przez ogrodzenie i rzucił się do wyjścia metro. Jeszcze w biegu rzuca tam kilka granatów ręcznych. Wybuchają wewnątrz. Prawie natychmiast Jaszagaszwili wdziera się do metro. Stojąc w dymie rzuca jeszcze kilka granatów w głąb i otwiera ogień z pistoletu maszynowego. Za nim wpadają sierżant Maskarian ze swoim towarzyszem. Oni również rzucają granaty i, biegnąc za zaskoczonymi hitlerowcami, strzelają z bliska do nieprzyjaciela z pistoletów maszynowych.

Telefonista z aparatem i zwijakiem został raniony na ulicy w odległości kilku kroków od stacji. Ujrawszy to Jaszagaszwili przybiegł do niego. Nie zwracając uwagi na ogień z sąsiednich domów wciągnął ranego do metro, sam włączył aparat telefonu do przewodu i zameldował dowódcy batalionu o opanowaniu stacji...

Podpułkownik gwardii KACZTOW

DOM KOŁO MOSTU

Nasza piechota przygotowała się do natarcia na dworzec koło Alexanderplatz, a tymczasem kończył mi się zapas pocisków do dział. Razem

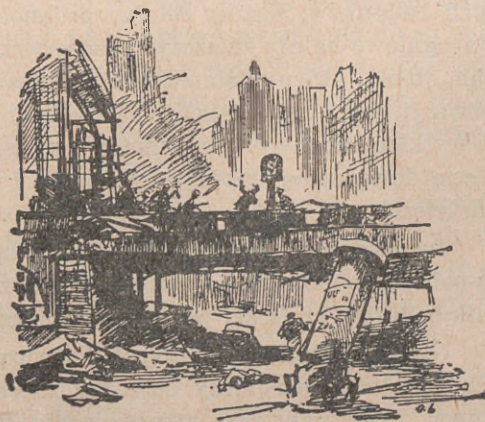
z organizatorem komsomolskim Morozowem poszliśmy, aby zorganizować przeniesienie ich z samochodu. Ledwo dobiegliśmy do mostu kolejowego, gdzie stał samochód, gdy wpadliśmy pod ogień pistoletów maszynowych. Obejrzelśmy się i zobaczyliśmy dwóch Niemców, którzy po ostrzeleniu nas dobiegli do domu koło mostu i ukryli się w nim. Dom otoczony był barykadą. W pobliżu niego widać było rozbite działo 76 mm i trupy zabitych żołnierzy. Jeszcze dalej stała 122 mm haubica z ogromnym otworem w tarczy. Jasną rzeczą było, że jest to sprawa hitlerowców, którzy ukryli się w tym domu. Wkrótce potem wystrzałem z tego domu zabici zostali dwaj moi żołnierze donoszący pociski do działa. Należało coś przedsięwziąć, aby przygotowanie artyleryjskie doszło do skutku.

Zebrałem kilku żołnierzy i po ostrzeleniu okien domu wdarliśmy się na parter. Ku mojemu zdziwieniu nie było tam nikogo, pomimo że koło okna poniewierały się stopy wystrzelonych łusek i rączek od „pięści pancernych“. Dopiero po skrupulatnym przeszukaniu izb wykryłem w sieni wejście do piwnicy. Przyjrzałem się i zobaczyłem światło. Kazałem żołnierzom rzucić tam kilka granatów, po czym wdarliśmy się do piwnicy.

Piwnica była olbrzymia, przedzielona niskim murem na dwie części. Jedna część była ciemna, druga oświetlona. W oświetlonej części zobaczyliśmy kilkudziesięciu żołnierzy hitlerowskich. Byli na wpół ogłuszeni wybuchami. Zażądałem, żeby się poddali, lecz oni zaczęli szczekać zamkami karabinów. Rzuciliśmy w nich granaty ręczne i wyskoczyliśmy z powrotem. Za nami poleciały pociski...

Zostawiłem celowniczego Andrejewa i jeszcze jednego kanoniera obsługi przy wejściu do piwnicy, nakazując, aby pilnowali hitlerowców, a sam pobiegłem do samochodu. Podjechałem nim do działa, wziąłem je na buks i postawiłem armatę naprzeciwko domu. Dałem sygnał Andrejewowi, aby wracał do działa, i otworzyliśmy ogień na dom. Po kilku strzałach z piwnicy wyszli Niemcy z podniesionymi do góry rękami. Było ich około stu...

Starszy sierżant gwardii M. LIOGKICH



Epizody walk o ratusz

POD OSŁONĄ CZOŁGÓW

Dnia 28 kwietnia o godzinie 22,00 jednocześnie z dowódcą grupy szturmowej otrzymałem rozkaz: jutro z samego rana rozpocząć szturm ratusza, wieczorem wyjść na rzekę Szprewę, zdobyć dwa mosty i utrzymać je aż do nadejścia naszych oddziałów.

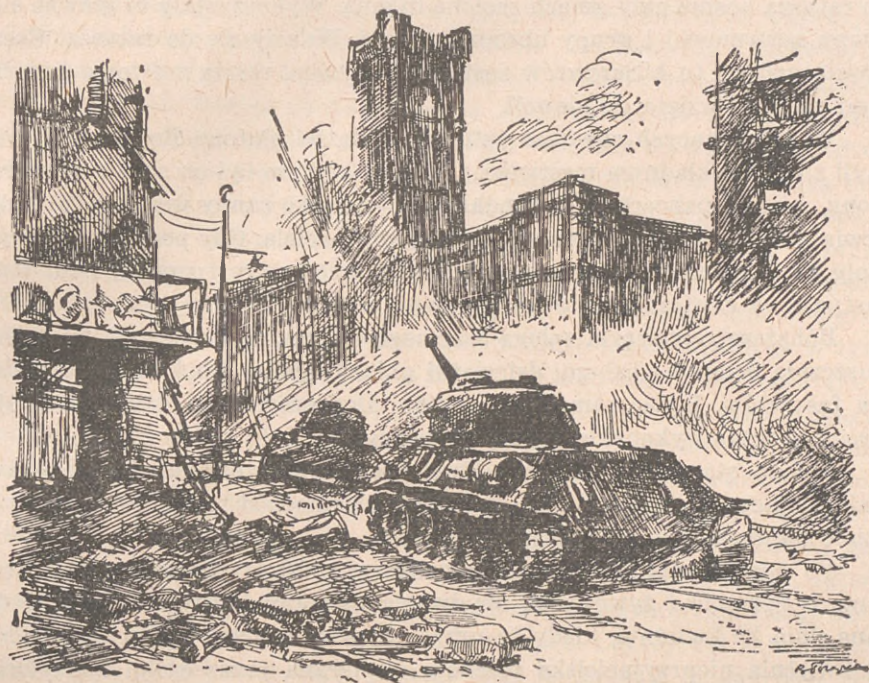
Batalion czołgów, którym dowodziłem, zdążył już podczas działań w Berlinie zdobyć duże doświadczenie w organizowaniu i prowadzeniu walk ulicznych.

Od gmachu ratusza, zajmującego przestrzeń całego bloku, dzieliły nas dwa bloki, a od mostów — trzy.

Oficerskie rozpoznanie, w którym brali udział wszyscy dowódcy czołgów, sprecyzowało położenia środków ogniowych nieprzyjaciela w tych blokach, na które mieliśmy nacierać, i określiło podejścia do poszczególnych budynków. Każdej załodze podano kierunek i wskazano, jakie gniazda ogniowe należy zniszczyć przede wszystkim; każda załoga przestudowała obiekt, który miała szturmować, zarówno na podstawie osobistej obserwacji, jak i na podstawie specjalnych szkiców. Podczas rozpatrywania wszystkich możliwych wariantów walki, oficerowie dokładnie przerobili tabele dowodzenia wewnątrz oddziału i tabele współdziałania z piechotą i artylerią.

Jednocześnie przeprowadzono wielką uświadamiającą robotę partyjno-polityczną: znaczenie, jakie miały przeprawy dla ogólnego powodzenia walk o Berlin, stało się jasne dla każdego żołnierza.

Grupą szturmową dowodził dowódca kompanii czołgów, lejtnant Nowikow, młody, energiczny, odważny oficer, którego pierś ozdabiała już trzy ordery. Przez cały czas szturmowania był na czele swojej grupy, osobi-



stym przykładem porywając do czynów bohaterskich wszystkich czołgistów i działających razem z nimi piechurów.

Posuwając się naprzód, czołgi zajmowały wygodne stanowiska koło domów i całym swym potężnym uzbrojeniem niszczyły gniazda ogniowe i żywą siłę wroga. Dostosowując się do sytuacji, piechota grupy szturmowej dzieliła się na kilka drobnych oddziałów. Jedni zajmowali wyjścia na podwórze i klatki schodowe, inni wchodzili na górne piętra, inni znów zstępowali do piwnic. W ten sposób oczyszczano każdy dom.

W miarę naszego zbliżania się do ratusza opór wroga stawał się coraz bardziej zaciekle. Sam gmach ratusza i najbliższe podejścia do niego były niezwykle gęsto nasycone środkami ogniowymi, w szczególności „pięciami pancernymi“ i najcięższymi karabinami maszynowymi. Prócz tego rozpoznał się artyleryjski ostrzał ze skrzydeł, w szczególności z Friedrichstrasse, skąd prowadziły ogień artyleria i czołgi nieprzyjaciela.

Nastąpiły chwile takiego naprężenia, że dalsze posuwanie się naprzód wydawało się niemożliwe. Wówczas wyznaczono dowódcy plutonu pancernego, młodszemu lejtnantowi Bondarence, następujące zadanie: dotrzeć z trzema czołgami na maksymalnej szybkości do gmachu ratusza i zapewnić opanowanie go.

Pod osłoną intensywnego ognia artylerii i czołgów pluton Bondarenki, prowadząc ogień w ruchu, wysunął się naprzód, podszedł zupełnie blisko

do ratusza i osnuł cały gmach zasłoną dymną. Wykorzystały to główne siły grupy szturmowej i grupy ubezpieczającej. Wdarły się do ratusza. Część broniących się tu hitlerowców została zniszczona, reszta z dwoma generałami na czele wzięta do niewoli.

W decydujących chwilach szturm czołgiści plutonu Bondarenki walczyli z bezprzykładnym męstwem. Czołg, w którym był on sam, został trafiony „pięścią pancerną“, a Bondarenko — ciężko ranny w głowę. Brocząc krwią niszczył dalej gniazda ogniowe nieprzyjaciela. Gdy pocisk trafił jego czołg po raz drugi, bohater został śmiertelnie ranny i zginął; ręka jego zastężyła na dźwigni spustowej karabinu maszynowego.

Bohatersko walczyła załoga starszego sierżanta Doguszewa. W ruchu zniszczyła działo z obsługą, dziesiątki gniazd ogniowych i około dwudziestu faszystów. Będąc sam ciężko ranny, Doguszew dalej dowodził swoją załogą podczas wykonania zadania bojowego.

Załoga starszego sierżanta Polakowa również odznaczyła się w tej walce: unieruchomiła z bliska opancerzony samochód terenowy, zniszczyła działo pancerne i kilka gniazd ogniowych.

Po opanowaniu gmachu o władnęliśmy szybko, z nieznacznymi stratami w sprzęcie i żywej sile, obydwoma mostami i utrzymaliśmy je do rana dnia 30 kwietnia, kiedy to przyszły nasze oddziały. Wieczorem dnia 29 kwietnia nieprzyjacielska piechota wspierana przez czołgi i artylerię dwukrotnie usiłowała przeciwuderzyć na naszą grupę, ale oba przeciwuderzenia zostały odparte z wielkimi dla nieprzyjaciela stratami.

Major D. SKWORCOW

NA STANOWISKACH OGNIOWYCH

Wspieraliśmy batalion majora Szewczenki, który otrzymał rozkaz zajęcia bloku domów na przejściach do ratusza.

Byłem ładowniczym moździerza starszego sierżanta Usmanowa, który nacierał w składzie grupy szturmowej. Ustawiliśmy moździerz koło skrzyżowania ulic, szybko urządziliśmy stanowisko ogniowe i przygotowaliśmy się do otwarcia ognia. Leżąc koło moździerza, widzieliśmy na przedzie przed naszą piechotą przebiegających Niemców.

— No cóż, towarzyszu starszy sierżancie — powiedziałem do dowódcy obsługi moździerza, kiedy wszystko było gotowe — teraz można by zapalić!..

Ale nie udało nam się już zapalić.

Usmanow podał komendę, aby dać serię nawałową.

Pocisk za pociskiem leciały z lufy. Cele były dobrze widoczne i dokładnie trafialiśmy w hitlerowców. Pod osłoną naszego ognia piechota zaczęła posuwać się naprzód.

Prowadziliśmy ogień w dalszym ciągu, aby nie dać ożyć nieprzyjacielskim gniazdom karabinów maszynowych. Amunicyjny Makarenko ledwo nadąży przynosić z ukrycia i podawać pociski. Dowódca batalionu biegnie naprzód. Dokoła gwiżdżą pociski. Pada zabity Borys Makarenko. Dopiero co przyniósł kolejną skrzynkę. Przywarliśmy do ziemi. Ale ledwo podnoszę głowę i posyłam kolejny pocisk, kiedy nowa seria przyciska nas do jezdni. Biegnie ranny piechur, który dopiero co podczołgał się do nas...

Leżymy koło moździerza, starając się określić, skąd strzela nieprzyjaciel. Grupy szturmowe posuwają się naprzód. Dowódcy grup sygnałami żądają naszego ognia. Rozumiemy ich, ale nic nie możemy zrobić. Ogień jest tak silny, że nie można podnieść głowy. Dużo myśli przemyka w tym czasie przez głowę. Ale jedno jasne: nie wolno nam dłużej milczeć. Należy prowadzić dalej ogień, chociażby to miało kosztować nas życie... Nagle nieoczekiwanie słyszę obok siebie serię z pistoletu maszynowego. Okazało się, że Usmanow wykrył wreszcie nieprzyjacielskich kaemistów i strzela do nich z pistoletu maszynowego. Nie czekając na komendę, podnoszę się i jeden po drugim puszcza pociski. Piechota poruszyła się i znowu naciera. Nagle pistolet maszynowy dowódcy obsługi milknie i znowu zaterkotała długa seria nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego. Leżąc koło moździerza patrzę z przestachem na Usmanowa. Czyżby był zabity? Ale natychmiast oddycham z ulgą, okazuje się, że zmienia magazynek. Po chwili znów pyka jego pistolet maszynowy. Podnoszę się i wypuszczam pocisk...

W ten sposób pod osłoną pistoletu maszynowego dowódcy, obsługa moździerza prowadzi ogień do hitlerowców. Ostrzeliwiają się wprawdzie, ale nasi piechurzy już niszczą i wyrzucają ich z jednego domu po drugim, zbliżając się do ratusza. Wkrótce ich śladem i my zmieniamy stanowisko ogniowe.

Sierżant M. KOSJENKO

SZTURM

Batalion kapitana Bobylewa otrzymał zadanie przedostać się do ratusza i wspólnie z batalionem Bohatera Związku Radzieckiego majora Aleksiejewa zdobyć ten punkt oporu wroga.

Pomimo wsparcia czołgów, artylerii pancernej i innych środków posiłkowych, nacierających spotkał taki huragan ognia, że posuwanie się ulicami stało się niemożliwe. Postanowiono przedostać się do ratusza wewnątrz bloków, robiąc przejścia w ścianach budynków. Saperzy poszli naprzód. Pod silnym ogniem przeciwnika zakładali toluol i kolejno wysadzali ściany budynków. Jeszcze nie zdążył rozwiać się dym od wybuchów, kiedy już do wybitych przejść rzucały się grupy szturmowe i w zaciętej walce wręcz niszczyły nieprzyjaciela w gmachach i przylegających podwórzach.

Na początku drugiej połowy dnia pododdziały zakończyły oczyszczenie bloków sąsiadujących z ratuszem i z dwóch stron podeszły do olbrzymiego starożytnego budynku. Zaledwie ukazały się nasze czołowe pododdziały, gdy z głębokich nisz niezliczonych okien ratusza, z piwnic, z dachów i strychów spadł na nie wściekły ogień hitlerowców.

Przed ratuszem zjawily się nasze czołgi. Prowadzą ogień tworząc jednocześnie zasłonę dymną... Od wschodniej strony strzelają na wprost nasze ciężkie działa pancerne. Dają kilka strzałów i rozbijają ciężką bramę, robią olbrzymie wyrwy w ścianach — przejścia dla piechoty. Od północnej strony dwa ciężkie czołgi burzą gmach. Zalewają budynek ogniem karabinów maszynowych. Zaczynają działać również środki ogniowe naszej piechoty. Gmach zasnuwa się gęstym, czarnym dymem. Na dany sygnał piechota ze wszystkich stron rzuca się do natarcia...

Pierwszy wdzierą się do gmachu ratusza pluton lejtnanta Madenowa. Razem z odważnym lejtnantem biegną żołnierze Kondraszew, Krutchenko, Koszupurowski i inni. Obrzucają hall i korytarze granatami ręcznymi i w głębi gmachu rozpoczynają walkę wręcz.

Korytarz po korytarzu, pokój za pokojem oczyszcza się od nieprzyjaciela. Zewsząd rozlegają się serie pistoletów i karabinów maszynowych, ciężko huczą wybuchy. Hitlerowcy stawiają zacięty opór. Szczególnie zjadły jest ich opór na pierwszym i drugim piętrze. Każdy pokój i salę trzeba zdobywać szturmem. Oto na lejtnanta Madenowa natarł olbrzymi Niemiec. Lejtnant wywinął się i wyrwawszy z pochwy faszysty sztylet zabił nim wroga...

W jednym z pokojów na trzecim piętrze bronią się hitlerowcy. W odpowiedzi na propozycję poddania się ostrzeliwują się z wściekłością. Wówczas dowódca grupy szturmowej nakazuje saperom założyć toluol. Następuje potężny wybuch — i jedna ze ścian wali się grzebiąc pod sobą nieprzyjaciela.

Po dwugodzinnej walce wręcz wewnątrz tego olbrzymiego gmachu na wieży ratusza powiewa zatknięty przez nas czerwony sztandar.

Młodszy lejtnant K. GROMOW

WALKA NA STRYCHU

Na krótko przed szturmowaniem ratusza dowódca batalionu wezwał do siebie organizatora komsomolskiego i polecił mu wybrać komsomolców, którzy chcą pierwsi wdrzeć się do gmachu.

Zebrało się nas siedemnastu. Wszystkim wskazano miejsca, przez które powinniśmy się przedostać do gmachu.

Szybko pobiegłem do wyznaczonego mi okna, rzuciłem w nie granat przeciwczołgowy i natychmiast po wybuchu wskoczyłem przez okno.

W pokoju znajdowała się żelazna skrzynia. Ukryłem się za nią. Widzę: dwóch hitlerowców zagląda przez drzwi i coś krzyczy. Krótką serią z pistoletu maszynowego ściałem obydwu. W tej chwili w oknie zjawiają się dwaj moi towarzysze i we trójkę wpadamy do korytarza. Tutaj już, okazuje się, są i inni nasi żołnierze.

Przedzieramy się do schodów, oczyszczamy drogę granatami i pistoletami maszynowymi, wchodzimy coraz wyżej i wyżej. Niemcy ostrzeliwując się cofają się na strych. Rozumiemy, że chcą przez strych wymknąć się na wewnętrzne podwórza i ścigamy ich. Zaledwie podbiegłem do prowadzących na strych drzwi, gdy na mnie rzucił się hitlerowiec z karabinem. Ale nie zdążył wystrzelić, zabiłem go z pistoletu. Jednakże walka pod tymi drzwiami trwała blisko dwadzieścia minut. Obawiałem się, że hitlerowcy czmychają ze strychu, ale po wtargnięciu ujrzeliśmy, że ten strych przegrodzony jest grubą ścianą i hitlerowcy nie mają stąd wyjścia: jedni zgromadzili się w przeciwległym końcu, inni miotali się z kąta w kąt. Zaczailiśmy się za skrzyniami z piaskiem i zaczęliśmy do nich strzelać. Nie chcieli się poddać i zniszczyliśmy ich wszystkich.

Młodszy sierżant N. NIKITCZENKO

Haubice posuwają się naprzód

Ranek 30 kwietnia, jak i poprzednie, był pochmurny i chłodny. Mży drobny deszczyk. Razem z kroplami spada na ziemię popiół. Ostry dym z płonących gmachów wyżera oczy.

W nocy nasza artyleria została z kolei podporządkowana dowódcy pułku piechoty, podpułkownikowi gwardii Zerebcowowi.

Nasze haubice znajdowały się w centrum Berlina, w okolicy stacji Boerse, i każde z dział miało za zadanie rozbić dom. Inaczej nie można było uzbrojonych w „pięści pancerne“ żołnierzy i fizylierów nieprzyjacielskich wyrzucić z gmachów. Artylerzyści zrobili swoje i dworzec kolejowy był wzięty z marszu. Główne siły hitlerowskie cofały się, ale na skrzyżowaniach ulic pozostawiły żołnierzy z „pięściami pancernymi“ i fizylierów, powstrzymujących posuwanie się czołgów i artylerii.

Nasza piechota posunęła się o dwa bloki domów, miejscami przez piwnice, miejscami przez strychy, a czasem po prostu przebiegając przez podwórza; napotkawszy silny opór nieprzyjaciela — zatrzymała się. Potrzebne było wsparcie czołgów i artylerii. Czołgi ruszyły na pomoc, ale od razu pierwsze trzy wozy, po dojściu do skrzyżowania, stanęły w płomieniach, podpalone przez Niemców.

Piechota słusznie żądała wsparcia artylerii, ale my, skuci ogniem zaporowym przeciwnika, nie mogliśmy ruszyć z miejsca. Tymczasem sytuacja nie pozwalała na działanie z zakrytych stanowisk — nie dałoby to potrzebnego efektu. Celowe było tylko strzelanie na wprost. Podpułkownik gwardii Zerebcow zażądał za wszelką cenę przesunięcia naszych haubic.

Muszę się przyznać, że zrobiło mi się nieswojo. Dopiero co wróciłem z jednego zadania — precyzowałem rozmieszczenie każdego dział. Widziałem, jak przedstawia się sytuacja na ulicy — panowało tam prawdziwe

piekło. Przez poprzednie dwie godziny w czasie drogi w każdej chwili sta-
wałem twarzą w twarz ze śmiercią i ocalałem tylko dzięki szczęśliwemu
przypadkowi. I przez te ulice mieliśmy przetoczyć haubice do ukrycia, gdzie
stoją samochody, a potem, po przyczepieniu dział, w pełnym biegu przeko-
czyć cztery bloki ostrzeliwane przez hitlerowców.

Ale czyż można choć chwilę zwlekać z wykonaniem zadania?

I należy powiedzieć, że obsługa dział wykazała wyjątkową odwagę.
Przy pomocy lin albo bez lin, pod bezustannym ostrzałem fizylierów, działa
zostały wytoczone z ostrzeliwanej ulicy.

Ale było to tylko częścią zadania. Mieliśmy przed sobą najtrudniej-
sze — przeskoczyć pod ogniem cztery bloki i przygotować działa do walki.

Aby nie ponosić zbędnych strat, wyprawilem pieszo obsługę dział do
miejsca przysłego ugrupowania bojowego artylerii drogą okrężną, prze-
ściami zrobionymi przez piechotę — z domu do domu, z piwnicy do piwnicy.
Drogę tę znałem świetnie, ponieważ w nocy nieraz przekradałem się do do-
wódców dywizjonów, znajdujących się w ugrupowaniach bojowych pie-
choty.

Następnie zebrałem kierowców. Było ich ośmiu, dobrych, otrzaska-
nych chłopaków. Znałem ich wszystkich blisko, z niektórymi walczyłem już
trzy lata. Pytam, który z nich podejmuje się przeskoczyć pierwszy.

Wszyscy milczą. Ale milczenie nie trwało długo. Słyszę znajomy kau-
kaski akcent:

— Mój wóz pójdzie pierwszy, towarzyszu kapitanie gwardii!

Powiedział to kierowca Mikołaj Grigoriewicz Marusidze.

Daję rozkaz: „do wozów“, sam wsiadam do kabiny Marusidze. Milczy-
my obaj. Marusidze spokojnie uruchamia silnik, w milczeniu patrzy na
mnie i od razu zaczyna nabierać szybkości. Przez warkot silnika nie sły-
chać było wystrzałów fizylierów, ale coraz to zjawiające się w kabine prze-
strzeliny wskazywały, że do nas strzelają. Przeskoczyliśmy szczęśliwie
dwa bloki. Oto przed nami Szprewa, należy skrócić na prawo... Przed nami,
w odległości około trzydziestu metrów, wybuchła „pięść pancerna“. Jeszcze
sekunda, i wjechaliśmy w powstały wskutek wybuchu słup dymu.

Nagle Marusidze krzyknął z cicha. Zdążyłem tylko zauważyć dziurę
od pocisku w szkle i pobladłą twarz kierowcy. Nie wypuścił kierownicy
z rąk. Samochód szarpał jeszcze silniej, przechylając się z jednej strony na
drugą, przeskoczył przez tunel pod torem kolejowym i znaleźliśmy się
w rejonie ugrupowania bojowego artylerii strzelającej na wprost.

Działo zostało dostarczone na miejsce.

Żołnierze z obsługi pośpieszyli do ciężko rannego Marusidze. Starczyło
mu jeszcze siły, aby wyjść z kabiny, ale kiedy przyniesiono go do ukrytego
miejsca, stracił przytomność i już jej nie odzyskał.

Nie sądzone było temu gorącemu patriocie radować się z nami w Świę-
to Zwycięstwa. Postać tego ofiarnego bohatera na zawsze pozostanie w pa-
mięci nas wszystkich, którzy byliśmy świadkami jego bohaterskiego czynu.

W. JERMURATSKI
MAJOR

Jeden dzień

Żółtoszary kurz w powietrzu. Dym z palących się budynków zasłania niebo. Wraz z majorem Czernowem przedostajemy się przez ulicę Berlina do pułku pułkownika Łobki.

Jestem zadowolony, że trafię do Łobki. Poznaliśmy się jeszcze w roku 1943 na Kubaniu, podczas zaciętych walk. Dobrze pamiętam Łobkę, jako stanowczego, odważnego oficera, pamiętam, jak kochali go podwładni. W wielkiej jednostce powiedziano mi, że Łobko już od kilku dni i nocy nie przerywa walki. Ze stanowiska dowodzenia, skąd nas skierowano, do pułku odległość była niewielka — jakieś 200—250 metrów. Ale tylko wówczas, gdyby można było iść prostą drogą. A tutaj, w Berlinie, gdzie ulice ostrzeliwane są na wylot, należy kluczyć, iść podwórzami, piwnicami, czołgać się, mocno przyciskając się do ścian domów. Po drodze stale napotykałyśmy dziesiątki posplatanych przewodów różnych kolorów, świadczących dobitnie o tym, jak silnie nasycony jest ten odcinek naszymi wojskami i sprzętem. No i w ogóle rozciągający się przed nami widok mógł cieszyć nasze serca. Gdzie spojrzeć — wszędzie nasze działa pancerne, czołgi „IS“ tak dodające ducha swoim „płomiennym autorytetem“ naszym słynnym piechurom, no i w ogóle nam wszystkim.

Radość z powodu obfitości sprzętu nieco łagodzi trudy naszej drogi. Idziemy potykając się o cegły, przeskakując przez żelazne belki. Na przedzie łącznik Grebeniuk, na końcu major Czernow. Czuję z dochodzącego mnie sapania, że Czernowowi z jego ciężką tuszą jest dość trudno.

Już zupełnie blisko celu Grebeniuk nagle staje:

— Towarzyszu majorze, tę ulicę trzeba przebiec jak najszybciej. Ot z tamtego narożnego domu „on“ cały czas strzela.

Tylkośmy zdążyli przycisnąć się do jakiegoś stosu cegieł po przesadzeniu ulicy jednym skokiem, gdy ujrzeliśmy odpryski kurzu odlatujące

od ściany. To przeznaczone dla nas pociski uderzyły o mur. Błogosławiona ściana, która uratowała nas od pocisku, okazała się ślepa — dalej nie było drogi. Dopiero koło fundamentu widać było otwór. Grebeniuk zwinnie włązi do dziury — pewnie nieraz już to robił. Twarz majora wydłuża się. I rzeczywiście, jak ma wcisnąć swoje potężne ciało do tej nory? Ale udaje, że wszystko jest w porządku.

— No, włącz prędzej — przynaglę Czernowa.

— Nie, już jakoś przedostanę się przez ulicę, przecież tu utknę.

— Ale spróbuj.

Czernow macha ręką ruchem pełnym beznadziejności, jednakże ulega, kładzie się i jakimś cudem wciska ramiona do dziury, potem rzeczywiście utknął. Z wielkim trudem wyciąga go Grebeniuk za pas poprzeczny.

— No przecież ci mówiłem, że utknę — wciąż jeszcze nie wierząc, że przelazł, mruczy Czernow z niezadowoleniem, spoglądając na oderwany naramiennik i żółtoszare od kurzu spodnie i bluzę.

Łobko umieścił się ze swoim stanowiskiem dowodzenia w piwnicy wielkiej drukarni.

Zastaliśmy pułkownika Łobkę nad planem Berlina. Obok niego przykucnął dowódca przydzielonego pododdziału. Pomimo grubych ścian dobrze było słyszeć wystrzały. We wszystkich dzielnicach toczyły się zażarte walki. Wiedziałem, że nie dalej niż o 20 metrów strzelcy kapitana Lewickiego oblegają pewien dom. W rogu piwnicy siedzi koło telefonu wspaniała dziewczyna, Ania Komarowa. Była nauczycielką szkoły początkowej, w ciężkim dla naszej Ojczyzny okresie poszła na front jako żołnierz-telefonista. W górach Kaukazu, nad Dnieprem, nad Dniestrem, podczas ciężkich walk, całymi dobami nie odstępowała od aparatu i przez huk kanonady artyleryjskiej i wybuchy bomb słyszeć było jej spokojny głos, przekazujący rozkazy lub sprawdzający innych telefonistów.

I tutaj, w centrum Berlina, tak samo spokojnie i dokładnie spełnia swoje obowiązki. Słyszę, jak przekazuje przez telefon rozkaz dowódcy plutonu liniowego o budowie okrężnej linii. Widać, odpowiedziano jej, że trudno rozwinąć tam przewód, ponieważ Ania zmarszczyła brwi i powiedziała ostro:

— A jeżeli przerwą tę linię, to będziemy siedzieli bez łączności? Dowódca plutonu rozkazał niezwłocznie zbudować linię okrężną, przekazując jego rozkaz.

Z tego, jak Łobko podczas rozmowy trochę rozciąga słowa, zrozumiałem, że jest piekielnie zmęczony. Po ciężkiej kontuzji, odniesionej jeszcze na Kubaniu, Łobko, gdy był zmęczony, zaczynał się jękać. Mowa była o wielkim żelazobetonowym gmachu. Tam, widać, zaczęły się wyborowe oddziały przeciwnika, które broniły się rozpaczliwie.

Łobce przypadło w udziale kilka takich gmachów, gdzie mieściły się główne instytucje rządowe.

— No więc — ciągnął dalej Łobko — dmuchnij kochanie.

Działy wszystkie rodzaje ognia. Wkrótce z osaczonego domu zaczęli wyskakiwać nieprzyjacielscy oficerowie i szeregowi z podniesionymi do góry rękami.

...Jestem w batalionie Lewickiego. Agronom z wykształcenia, jest on od pierwszych dni wojny na froncie.

— Oto, towarzyszu majorze — mówi do mnie z podnieceniem — zbliżam się do Niemieckiego Banku Państwowego, przedstawię rachunek za Ukrainę.

Pytam go o zdrowie (miał coś z płucami, w ogóle był chorowity).

— Wiecie, jakeśmy tylko wkroczyli na ziemię niemiecką — odpowiada mi Lewicki — wszystkie choroby minęły. Ale co tam ja, są u mnie ranni — ledwo się na nogach trzymają, a nie chcą odchodzić. Tylko w ciągu dzisiejszego dnia miałem takich siedmiu.

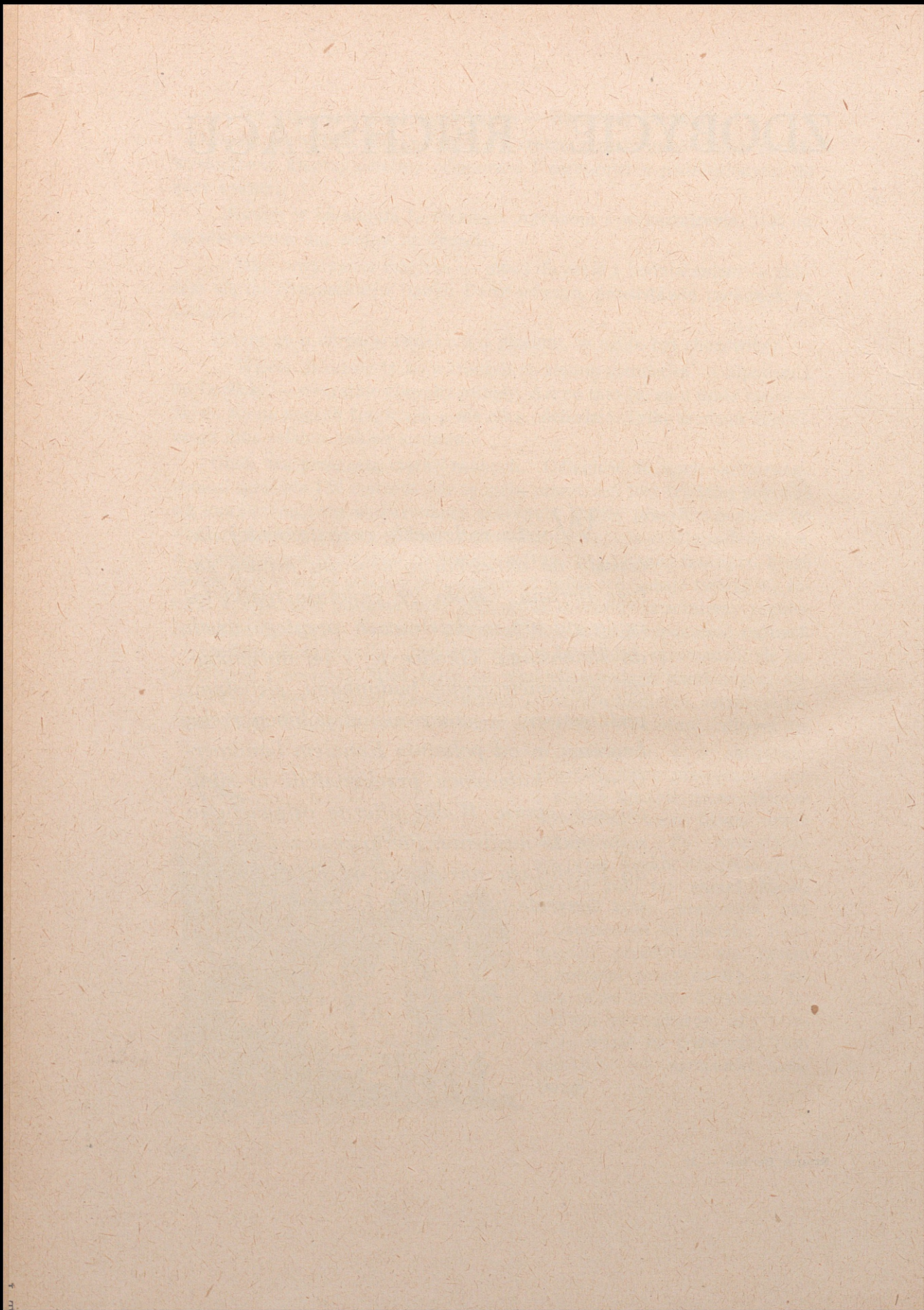
Obok nas przenoszą ciężko rannych. Odległość do wozu sanitarnego wynosi zaledwie 150 metrów. Ale tę małą przestrzeń jest trudniej pokonać niż kilka kilometrów w warunkach polowych. Należy przejść z noszami po wąskich schodach, przez piwnice, przez okna i przejścia w ścianach domów. A ponieważ jest to ogólnie używana i jedyna droga komunikacyjna, którą można dostać się ze sztabów do ugrupowań bojowych, często tworzą się zatory. Trzeba było postawić koło tych dziur specjalnych żołnierzy regulujących ruch, którym kazano w pierwszej kolejności przepuszczać rannych i łączników. Koło gmachu, gdzieś stali z Lewickim, zgromadzili się sanitariusze z noszami. Mieli zejść po wąskich schodach kamiennych, śliskich i nieco pochylonych. Sanitariuszom pomagają żołnierze, ostrożnie podając jeden drugiemu nosze z cennym ciężarem. Wszystko odbywa się

w milczeniu i w skupieniu. Przecież jeden niezręczny ruch i można upuścić nosze. Dobrze wyobrażam sobie dalszą drogę sanitariuszy. Po wydostaniu się przez wąskie przejście znajdują się koło tej samej ślepej ściany, która uratowała nas z Czernowem od pocisku. Będą musieli precyzyjnie przycisnąć się razem z noszami przez dziurę, a potem przez ciemne korytarze labiryntu piwnicznego, aby wreszcie wyjść na podwórze. Tam oczekuje ich samochód sanitarny.



ZDOBYCIE REICHSTAGU

Wojska radzieckie coraz mocniej naciskały na okrążoną w centrum miasta załogę Berlina. Około 29 kwietnia walki toczyły się już w dzielnicach przylegających do Reichstagu. Okolicę tę, z jej masywnymi, wielopiętrowymi budynkami, głębokimi podziemiami — otoczoną od północy rzeką Szprewą, a od południa Kanalem Landwerckim — hitlerowcy przekształcili w silny ośrodek oporu. Walki uliczne osiągnęły tu najmyśsze nasilenie. Pierwsze przedarły się do Reichstagu nacierając od północy wojska generała-pułkownika Kuźniecowa.



K. AKINSZIN

MAJOR

W płonącym Lustgardenie

Główne koryto rzeki Szprewy oraz jej lewa odnoga tworzą w samym centrum Berlina wyspę.

Tutaj, w okolicy Lustgarten, toczyły walki pułk, do którego zostałem skierowany przez szefa wydziału politycznego, pułkownika Głuchowa, dla wykonania zadania bojowego.

Na drodze naszych nacierających oddziałów stały: pałac Wilhelma, katedra, muzeum wojskowe i ministerstwo finansów.

W tych punktach hitlerowcy bronili się z uporem skazańców. Ukrywali się w brudnych tunelach metro, przekradali się na tyły naszych pododdziałów, minowali i wysadzali drogi. Lustgarten płonął.

Ja i jeszcze dwóch oficerów — major Czekanow i kapitan Antipin — mieliśmy przedostać się na wyspę. Usiłowaliśmy przebiec most łączący Lustgarten z Köpenickstrasse — ale nie udało się.

Na szczęście, po lewej stronie mostu stała skośnie stara barka zaryta rufą i dziobem w szare ściany nabrzeża. Barka znajdowała się poza polem widzenia strzelców wyborowych, jednakże niemieckie moździerze ostrzeliwały ją swym ogniem i widoczne były na niej wyraźnie ślady wybuchów wielkich pocisków.

— Czy dawno był nalot? — zapytałem żołnierza przybyłego z tamtego brzegu.

— Przed chwilą — odpowiedział.

„Wobec tego idziemy“ — postanowiliśmy i ustaliliśmy, w jakiej kolejności będziemy biec, oczywiście skokami.

Drogę tę — z ukrycia przez nabrzeże na barkę i po niej na przeciwległy brzeg — przebyliśmy szybko. Ostatni przeprowił się towarzyszący nam żołnierz.

Rozejrzawszy się poszliśmy dalej.

Gdy podchodziliśmy do Fischerstrasse i zamierzaliśmy przeciąć ją, zatrzymał nas jakiś artylerzysta, który nieoczekiwanie wysunął się z na wpół rozwalonej piwnicy.

— Towarzyszu majorze, osłonimy was. Skoro tylko wystrzelimy, biegnijcie — powiedział i zaraz podał komendę: — Mikołaj, daj no strzał burzący.

Okazało się, że Fischerstrasse była także pod ogniem nieprzyjacielskich strzelców wyborowych. Wystrzałem z armaty artylerzyści zmusili ich do milczenia. Dzięki tej osłonie udało się nam przeciąć tę niebezpieczną ulicę. Artylerzyści kiwali nam ręką na pożegnanie.

Niemożliwością było posuwać się nadal po powierzchni.

Zboczywszy na Petristrasse zeszliliśmy w podziemia.

Droga stąd biegła przez piwnice domów, połączonych z sobą przejściami komunikacyjnymi.

Minęliśmy dziesiątki labiryntów skąpo oświetlonych kagankami i dostaliśmy się do stanowiska dowodzenia batalionu. Tutaj, w półmroku, dowódca batalionu wydał kolejne rozkazy: — „Dowódcy drugiej kompanii strzeleckiej rozkazuję opanować narożny dom na Bruderstrasse, wysłać telefonistę do trzeciej kompanii, łączność tam jest przerwana“. — „Saperzy wysadzą wejście do metro, nieprzyjaciel przedostaje się na nasze tyły“.

Z boku odpoczywali sanitariusze z ciężko rannym żołnierzem.

Wy tłumaczono nam, w jaki sposób dotrzeć do stanowiska dowodzenia pułku. „Należy iść wzdłuż czerwonego przewodu, on was zaprowadzi aż na miejsce“.

Posuwaliśmy się nadal w podziemiach. Przeszliśmy skład materiałów piśmiennych, piwnicę, w której mieściła się stołówka, a następnie ogromne pomieszczenie pełne gotowej odzieży pochodzenia francuskiego i belgijskiego.

W jednej z piwnic mieszkali obywatele radzieccy, przypędzeni do Berlina z terenów okupowanych przez hitlerowców.

Jedna z kobiet chciała przebiec przez podwórze i padła trafiona pociskiem strzelca wyborowego. Została ciężko ranna w pierś — zaopiekował się nią sanitariusz i dwie kobiety.

W przeciwległym końcu piwnicy mieściło się stanowisko dowodzenia podpułkownika Zawieriucha. Byliśmy u celu naszej wyprawy.

Z powierzchni dochodziły głuche odgłosy toczącej się walki. Niekiedy słychać było wyraźnie pojedyncze wystrzały i wybuchy czy to pocisków moździerzowych, czy „pięści pancernych“.

— Strzelcy wyborowi, dranie, stają się coraz aktywniejsi — powiedział starszy lejtnant dowódca pododdziału ciężkich czołgów. — Z tego domu po przeciwległej stronie ulicy rzucili dwie „pięści pancerne“. Do-

wódca pułku postanowił podpalić ten dom, ale nie ma teraz kogo posłać, a nie można ściągnąć ludzi z przedniego skraju obrony.

Usłyszawszy to, dwaj obywatele radzieccy podjęli się wykonania zadania. Nie minęło pół godziny, a byli oni już z powrotem i radośnie podnieceni meldowali:

— Towarzyszu podpułkownik, rozkaz wykonany, obsługa „pięści pancernych“ zlikwidowana.

W tym czasie na stanowisku dowodzenia pułku zebrali się dowódcy pododdziałów strzeleckich i specjalnych oraz ich zastępcy do spraw politycznych. Z rozkazu dowództwa przedstawiłem im ogólną sytuację. Dowódcy pododdziałów meldowali o położeniu na swoich odcinkach. Dowódca pułku, podpułkownik Zawierucha, rozkazał, aby w pełni wykorzystać środki techniczne w celu przyspieszenia likwidacji nieprzyjaciela w rejonie Lustgarten.

Nie minęło pół dnia (było to 30 kwietnia), a żołnierze nasi przedarli się już do Schlossplatz — placu leżącego przed pałacem.

Oczom nacierających żołnierzy ukazał się ponury szary budynek.

— Pałac Wilhelma! — objaśniali jeden drugiemu.

Do działań weszła artyleria prowadząc ogień na wprost.

Z trudem manewrując w wąskich ulicach zawałonych cegłami sunęły w kierunku Schlossplatz ciężkie czołgi i działa pancerne.

Nieprzerwany potok ognia skierowano na pałac i przyległe doń budynki.

Hitlerowcy starali się odeprzeć uderzenie, ale siły ich z każdą minutą słabły.

Nasi strzelcy i fizylierzy, wyskoczywszy z ukrycia, parli naprzód.

P. MURAWIEW
MAJOR

Na podejściach do Reichstagu

Pododdziały naszego pułku zajęły wielki narożny dom położony niedaleko Reichstagu. Teraz należało wyprzeć wroga z pięciopiętrowego budynku, leżącego po drugiej stronie ulicy akurat naprzeciwko nas.

Ten wysoki dom odgrywał nadzwyczaj ważną rolę w systemie obserwacji i ognia przeciwnika na podejściach do Reichstagu. Broniła się tam silna grupa nieprzyjacielska złożona z fizylierów, kaemistów i obsługi „pięści pancernych“. W budynku graniczącym z nami także byli Niemcy. Z chwilą gdy nasi żołnierze pokazywali się na ulicy, wpadali pod krzyżowy ogień nieprzyjaciela.

Musieliśmy jednakże zdobyć przeciwny dom i z nastaniem zmroku dowódca batalionu wydał rozkaz poruszania się skokami; mieliśmy zebrać się po drugiej stronie ulicy i rozpocząć szturm domu. W nocy żołnierze zaczęli pojedynczo przebiegać ulicę. Ale okazało się, że nieprzyjaciel rozporządza tu nie dwoma-trzema gniazdami ogniowymi — jak twierdzili zwia-dowcy pułkowi — ale co najmniej dziesięcioma. Niemcy otworzyli tak silny ogień, że ani jeden żołnierz nie był w stanie dobiec do przeciwnego kamienicy. Musiano zaniechać posuwania się. Dowódca batalionu postanowił poczekać na artylerię. Z rana przybyli artylerzyści, ale nie mogli w niczym pomóc batalionowi — do strzelania na wprost nie było stanowisk ogniowych.

Wówczas dowódca batalionu wysłał jeden pluton, który czołgając się próbował przekroczyć ulicę. Z początku nieprzyjaciel milczał, ale gdy nacierający osiągnęli środek jezdni, z trzech niższych pięter przeciwnego domu spadł na nich grad pocisków z karabinów i pistoletów maszynowych, a na dobitkę zaczęto z góry rzucać granaty i „pięści pancerne“. Utraciliśmy więcej niż połowę stanu pluton zawrócił z połowy drogi.

Dowódca batalionu postanowił przedsięwziąć jeszcze jedno natarcie. Wezwał on na swój punkt obserwacyjny młodszego lejtnanta Alijewa. Dla wsparcia ogniowego przydzielono plutonowi Alijewa dwa ciężkie karabiny maszynowe. Jak teraz poprowadzić natarcie, żeby się udało? Alijew stwierdził, że wadą poprzednich działań było stosunkowo wolne tempo przeskakiwania ulicy.

Postanowił oszołomić hitlerowców zaskoczeniem — przerzucić pluton przez ulicę gwałtownym skokiem. Wziął pod uwagę ostrzał z okien przylegającego domu, wobec którego nasze karabiny były bezsilne. Alijew podzielił pluton na dwie grupy. Pierwsza nie strzelając rzuciła się błyskawicznie przez ulicę prosto w bramę przeciwnego domu. W biegu został ranny jeden żołnierz. Grupa ta dobiegłszy do bramy momentalnie odwróciła się i zaczęła ostrzeliwać z karabinów ręcznych okna przylegającego do nas „sąsiada“, a ciężkie karabiny maszynowe z naszego domu zatykały gardła niemieckim karabinom maszynowym ustawionym naprzeciwko. Druga grupa wraz z dowódcą, pod osłoną krzyżowego ognia, przekroczyła błyskawicznie ulicę i wbiegła w podwórze pięciopiętrowego domu. Tymczasem pierwsza grupa wdarła się do pokoi na parterze i rozpoczęła walkę wręcz.

Torując sobie drogę granatami i pistoletami maszynowymi pierwsza grupa szybko oczyściła parter i zajęła wszystkie wejścia do budynku. Druga grupa operowała na piętrach. Po upływie pół godziny pluton Alijewa zajął wszystkie pięć pięter. Hitlerowcy próbowali przeciwuderzać z ulicy i podwórza, ale pluton przyjął ich silnym ogniem z karabinów maszynowych i pistoletów maszynowych, tak że cofnęli się i nie próbowali już wracać. Jednakże plutonowi groziło jeszcze jedno niebezpieczeństwo z zupełnie innej strony. Punkt obserwacyjny batalionu nie uchwycił tego momentu, kiedy przeciwny dom został zdobyty przez Alijewa, i ciężkie karabiny maszynowe nadal strzelały do okien w przekonaniu, że tam broni się jeszcze nieprzyjaciół. W jaki sposób można tu było nawiązać łączność z batalionem? Kogo posłać w taki ogień, jak krzyczeć w takim huk, jaki dać sygnał, aby zaprzestali strzelać do swoich? Alijew szybko umoczył w krwi zabitego żołnierza kawałek białego płótna i wywiesił przez okno jako flagę. Znak ten zrozumiano i kaemiści, nie czekając rozkazu, przerwali ogień.

W. PANFIŁOW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
PUŁKOWNIK GWARDII

Z wysokości 100 metrów

Nasze oddziały lądowe zdobywszy przedmieścia i krańce Berlina rozpoczęły już walki w samym centrum miasta. Dalszemu ich posuwaniu się stała na przeszkodzie znaczna nieprzyjacielska grupa artylerii ukrywająca się w parku obok Reichstagu. Przed nami, szturmowcami, stało następujące zadanie: rozbić to artyleryjskie gniazdo nieprzyjaciela i otworzyć naszym czołgistom i fizylierom drogę do Reichstagu.

Pogoda nie wróżyła nic dobrego. Posłałem zwiadowców — Bogdanowa i Gorodilina. Wróciwszy zakomunikowali, że wysokość zachmurzenia nad celem wynosi 100 metrów.

Żukow z rozpromienioną twarzą melduje:

— Pogoda poprawia się!

Wobec tego lecimy. Podaję komendę:

— Do samolotów. Silnik, zielona rakietka!

Siedzę już w kabinie. Lotnicy kierują się na start. Oczekuję rakietki, którą mają wystrzelić ze stanowiska dowodzenia. Nagle widzę biegnącego w moim kierunku szefa sztabu, majora gwardii Kowalewa. Serce zadrżało mi: czyżby start został odwołany? Ale nie. Okazało się, że nadszedł najnowszy komunikat o przesunięciu naszych wojsk. Linia frontu przesunęła się na północy daleko naprzód. Teraz nasze uderzenie na nieprzyjacielską artylerię, osłaniającą podejścia do Reichstagu, będzie daleko bardziej korzystne.

Okrzykliśmy lotnisko. Widzimy myśliwce, które mają nam towarzyszyć na Berlin. Bohater Związku Radzieckiego, major gwardii Nowikow, sprowadził je dokładnie na oznaczony czas — co do sekundy. Wszystkie czwórki zajęły swe miejsca. Pułk uformował się w szyk bojowy — stwierdzam na podstawie meldunków dowódców grup komunikujących się ze mną za pomocą radia.



Nad Reichstagiem

Biorę kurs. Lecimy na zachód. Wysokość 400 metrów. Ukazuje się Odra. Tutaj lataliśmy już nieraz. Ziemia pod nami jest zryta dołami — wszędzie widoczne ślady niedawnych walk.

Za Odrą pogoda trochę lepsza. Miejscami przeziara błękit nieba. Podnosimy się na wysokość 800 metrów. Odpowiednio też podnosi się nastrój; dla nas przecież wysokość — to wszystko!

Zbliżamy się do miasta Writzen — tu mamy skręcić. Kilka dni temu pracowaliśmy nad nim. Migają znajome ulice i sady, skąd strzelały do nas wówczas niemieckie działa przeciwlotnicze. Obecnie nie ma tu już wroga. Skracamy i lecimy w kierunku na Bernau. Jeszcze jeden skręt marszruty i będziemy nad celem. Ale pogoda nam nie sprzyja. Nie widzimy Bernau, tylko domyślamy się według rachuby czasu.

I znów musimy zniżyć lot. Na lewo Berlin, ale gęsta zasłona deszczowa nie zezwala na obserwację. Podchodzimy bliżej miasta i widzimy: Berlin płonie, a nad nim snują się gęste chmury dymu.

Grupa jezior wskazuje na to, że znajdujemy się już nad zachodnim krańcem miasta. Teraz nie potrzebuję mapy — ten rejon znam w najdrobniejszych szczegółach. Cel pozostał w tyle. Jesteśmy na wysokości 600 metrów. Na daszek czapki spadają duże krople deszczu. Musimy zniżyć się do 400 metrów.

— Na cel!

Grupy szybko i sprawnie wykonują mój rozkaz. Rozwijamy się gwałtownie w lewo i idziemy na centrum miasta. Chmury cisną nas ku ziemi. Ale wszystkim nasze myśli pochłonięte są teraz jednym: zbliża się długo oczekiwana chwila ataku szturmowego na Reichstag!

Na drodze przed nami wzbijają się obłoczki dymne wybuchających pocisków przeciwlotniczych. Ziemię widać słabo — latarnie przyćmione są deszczem. W miarę zbliżania się chcę zwiększyć szybkość, ale obciążony maksymalnie szturmowiec robi to bardzo powoli. Wysokość nasza sięga 200 metrów. Błyskają pociski smugowe z nieprzyjacielskich dział przeciwlotniczych. Bije teraz artyleria przeciwlotnicza wszelkiego kalibru i rodzaju. Oto na lewo ode mnie wybuchł pocisk. Samolot silnie rzuciło w bok. Z trudem wyrównuję.

Widzę już park. Tutaj zamaskowała się niemiecka artyleria, która nie dopuszcza naszych bohaterskich czołgistów i piechurów do Reichstagu.

Wszyscy moi lotnicy widzą cel i kierują się nań. Prowadzę samolot prosto na samo centrum parku. Trudno celować — lecimy w potokach ognia i deszczu. Uchwyciwszy moment — naciskam guzik.

Mój strzelec także nie siedzi bezczynnie: wali z karabinu do dział przeciwlotniczych.

Jeszcze raz wracam na cel i zrzucam bomby. Wybuchają w mgnieniu oka pod samolotem. Mocny wstrząs podrzuca mnie w górę. Ledwo utrzymuję w rękach ster. Robota skończona. Nasze bomby i pociski trafiły w cel.

Oddziały lądowe dają nam sygnały rakietowe już na lewo od Reichstagu. Należy skierować się tam. Ale w tym momencie wybucha z nową siłą, jak w przedśmiertnej agonii, ogień przeciwlotniczy. Zwarta ściana ognia zagradza nam drogę.

Tory pocisków migają jak błyskawice wokół samolotu.

Następuje silny wstrząs całego kadłuba — pocisk nieprzyjacielski przebił prawy płatek.

Lecę nad płonącym Berlinem. W kabinie czuć ostry swąd. Ale nie mogę odlecieć, dopóki nie zbiorę wszystkich swych załóg.

Łączę się za pomocą radia z prowadzącymi grupy. Wszystko w porządku!

Przelatujemy nad jedną z centralnych ulic Berlina, gdzie trzymają się jeszcze hitlerowcy. Ciągnie po niej kolumna samochodów i wozów konnych. Zwalamy się na nią. Zapukała moja armatka — zawtórowały jej inne. Trudno jest dobrze celować, celownik bowiem pokryty jest kroplami deszczu. Wprowadzam poprawkę i daję jeszcze raz serię. Widzę wyraźnie, jak smuga przecina kolumnę. Wysoki komin fabryczny zmusza mnie do skręcenia w bok. Zabieram się do następnej ulicy. Mój strzelec także, gdy tylko spostrzeże możliwość dokładnego wycelowania, daje serię za serią.

W końcu wrywamy się ze strefy deszczu. Widzialność polepsza się. Przecieliśmy Berlin z zachodu na wschód, a teraz pozostawiamy go już w tyle. Ale tutaj, korzystając ze sprzyjającej pogody — pojawiają się niemieckie myśliwce. Mają one zamiar odebrać mnie i inne czołowe samoloty od całej kolumny. Trudno mi jest rozwinąć potrzebną szybkość — uszkodzenia dają się we znaki. Czyż miałoby się udać wrogowi podejść do mnie całkiem blisko? Nie, nasze myśliwce unicestwiają manewr wroga. Straciwszy kilka samolotów Niemcy rzucili się do ucieczki.

Oddycham pełną piersią. Berlin pozostał w tyle. Zwiększam wysokość i ściągam w szyk bojowy rozproszoną w czasie walki kolumnę. Wszyscy są obecni. Zwolnione od ładunku samoloty szybko i lekko mkną do domu.

C. PIEREWIORTKIN
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
GENERAL - MAJOR

Decydujące uderzenie

Wszyscy ubiegali się o prawo i honor, by być na przedzie, by jako pierwsi wdrzeć się do Berlina.

I oto oddziały naszego korpusu przecięły linię wielkiego Berlina.

Trudno wyrazić słowami stan, w jakim owego dnia znajdowali się nasi szeregowcy, podoficerowie i oficerowie. Przesuwały się w mojej pamięci obrazy czterech lat ciężkiej wojny: Witebsk, gdzie 10 lipca 1941 r. wstąpiłem po raz pierwszy do walki; ciężkie walki obronne — Smoleńsk, Wiaźma, Gżatsk, pamiętne pole pod Borodino koło Możajska, Dorochowa, Tuczkowa, Zwienigorod, rozbitcie hitlerowców pod Moskwą, i w końcu cały szlak natarcia przez Smoleńsk, Idrycę, Siebież, Łotwę, Litwę i Polskę. Przypominały mi wszystkie trudy i znoje, ofiary i wyrzeczenia poniesione w imię zwycięstwa.

Zwycięstwo to zaś było przed nami. Uczucie zadowolenia moralnego dodawało nowych sił, wzniecało wśród towarzyszy broni płomień serdecznej przyjaźni i szlachetnej rywalizacji w imię honoru.

Tocząc walki uliczne na północnym krańcu miasta, korpus posuwał się szybko naprzód. Padły rejony: Karow, Blankenburg, Rosenthal i Tegal. Z prawej strony wielka jednostka Bohatera Związku Radzieckiego, generała Anaszkina, posunęła się naprzód w kierunku na Spandau. Z lewej strony schodami w tył prowadziła ciężkie walki wielka jednostka generała Kazankina.

U schyłku dnia 23 kwietnia wezwał mnie do telefonu szef sztabu armii, generał-major Buksztynowicz.

— Dobrze walczyacie — powiedział. — Macie rozkaz przegrupować dziś w nocy wasz korpus i kontynuować natarcie w kierunku południowo-za-



U wyjścia z berlińskiego metro...

chodnim, w celu opanowania rankiem 25 kwietnia rejonu Siemensstadt i dotarcia do Szprewy. Zrozumiano? — Czego wam potrzeba?

Rzuciwszy okiem na mapę, znaną mi już w najdrobniejszych szczegółach, spostrzegłem na drodze naszego przyszłego natarcia błękitną wstęgę kanału Berlin—Spandauer—Schiffahrt.

— Zadanie zrozumiałem, przystępuję do wykonania; proszę jednakże o przydzielenie mi dodatkowo środków transportowych, bez których będzie mi trudno sforsować kanał — odpowiedziałem.

— Dobrze. Przydzielimy je wam, a szczegóły zadania otrzymacie na piśmie. Życzę powodzenia.

W ciągu nocy dokonano przegrupowania i z rana walka rozgorzała z nową siłą. Torując sobie drogę ogniem, manewrując wśród ulic, dziedzińców i terenów fabrycznych, oddziały posuwały się naprzód rejonem Reinickendorf Ost i u schyłku dnia 24 kwietnia wyszły na brzeg kanału Berlin — Spandauer—Schiffahrt. Pierwsza dotarła tu wielka jednostka pułkownika Asafowa.

Wszystkie mosty były zerwane, szerokość kanału dochodziła do 75 metrów. Wzdłuż przeciwnego brzegu biegł rów ciągły, w którym hitlerowcy przygotowali się do obrony.

Nie tracąc czasu i korzystając z ciemności oddziały podpułkowników Czekułajewa i Kowiazina, pod osłoną ognia na wprost z armat, moździerzy, czołgów i dział pancernych, rozpoczęły przeprawę częściowo w pław a częściowo korzystając z różnych środków podręcznych. Saperzy przystąpili do uruchomienia promów i budowy mostu pantonowego. Całą noc trwała walka. Z rana 25 kwietnia większa część wielkiej jednostki pułkownika Asafowa była już na przeciwnym brzegu i walczyła w rejonie Plötzensee. Przyczółek został zdobyty i korpus kontynuował wykonywanie powierzonego mu zadania.

W końcu dnia rejon Plötzensee był wolny. Z prawej strony podeszły jednostki pancerne Bohatera Związku Radzieckiego, generała-pułkownika Bogdanowa. Z każdą godziną wzrastało się natężenie walk.

25 kwietnia wezwał mnie znowu do aparatu szef sztabu armii.

— Korpus otrzyma nowe zadanie: sforsować Verbindungskanal i nacierając na południe i południowy wschód oczyścić zupełnie z wroga rejon Moabitu.

Konieczne było nowe przegrupowanie korpusu.

29 kwietnia o godzinie 14,00, po przygotowaniu artyleryjskim, nasze oddziały rozpoczęły forsowanie Verbindungskanal. Pierwsze natarcie nie udało się. Pododdziały, które przepawiły się już, zaległy na samym brzegu kanału. Niszczący ogień hitlerowców zmiatał każdego, kto usiłował posuwać się naprzód.

Wspierając ogniem pododdziały na przeciwnym brzegu i odpierając przeciwuderzenia wroga, rozpoczęliśmy jednocześnie przygotowania do drugiego natarcia. Wcieliśmy wszystkie działające dotąd gniazda ognio-

we nieprzyjaciela, podciągnęliśmy czołgi i działa pancerne, wzmocniliśmy artylerię strzelającą na wprost. O godzinie 19,00, pod osłoną różnego rodzaju ognia, oddziały pułkownika Niegoda i generała Szatłowa rozpoczęły powtórne forsowanie kanału. Jednocześnie pododdziały, które się wcześniej przeprowadziły, nacierały na Beutzelstrasse i północno-zachodnią część rejonu Moabitu. Niemcy zostali odrzuceni od brzegu kanału.

Z nastaniem nocy saperzy zbudowali most. Przeprowadziła się artyleria i czołgi. Walki toczyły się teraz w rejonie Moabitu, starej i bardzo gęsto zaludnionej części Berlina. Skutki nalotów bombowych były tu stosunkowo nieznaczne. Walki toczyliśmy w bardzo ciężkich warunkach; szturmowaliśmy budynki, między innymi więzienie na Moabicie.

28 kwietnia, pokonawszy opór hitlerowców, korpus uwolnił od nieprzyjaciela cały rejon Moabitu i dotarł do Szprewy, w odległości 500 metrów od Reichstagu.

Tutaj otrzymaliśmy rozkaz: „Korpus sforsuje rzekę Szprewę, opanuje gmach Reichstagu, zatknie na nim Sztandar Zwycięstwa — po uprzednim połączeniu się z oddziałami nacierającymi od południa“.

Każde zadanie bojowe jest dla szeregowca, podoficera, oficera czy generała ważne i zaszczytne, ale to było zadanie wyjątkowe. Wszyscy widzieliśmy w nim koniec tej ciężkiej i krwawej wojny.

Więść o tym, że otrzymaliśmy rozkaz szturmowania Reichstagu i zatknięcia na nim Sztandaru Zwycięstwa, błyskawicznie obiegła wszystkie jednostki i oddziały. Mimo dwunastodniowych bezustannych walk — oddziały rwały się naprzód. Komuniści i komsomolcy stanęli w pierwszych szeregach przygotowujących się do ostatniego i decydującego boju.

Główną przeszkodę stanowiła dla nas rzeka Szprewa z jej wysokimi granitowymi brzegami.

Jedyną możliwość przeprawy dawał zabarykadowany i na w pół rozwalony most na Alt-Moabit.

Hitlerowcy osłaniali ogniem wszystkie dojścia do mostu. Na przeciwnym brzegu stał gmach ministerstwa spraw wewnętrznych, tzw. „dom Himmlera“. Cały ten rejon zajmowały doborowe oddziały SS. W nocy na 28 kwietnia został tu zrzucony na spadochronach batalion marynarzy z Rostoku. Badani przeze mnie jeńcy twierdzili, że Hitler osobiście dokonał przeglądu oddziałów broniących okolicy Reichstagu. Mieli oni za zadanie bronić się do ostatniego człowieka.

Czekała nas ciężka walka.

W nocy z 28 na 29 kwietnia oddziały pułkownika Niegoda i generała Szatłowa rozpoczęły przeprawę przez most pod silną osłoną ognia. Jednocześnie, dla ułatwienia przejścia artylerii i czołgom, saperzy rozbierali barykady. Przednie grupy wdarły się do narożnego budynku i oczyściły go od hitlerowców.

Skupione tu pododdziały, po starannym przygotowaniu, rozpoczęły szturm na „dom Himmlera“. W ciągu całego dnia 29 kwietnia walki to-

czyły się wewnątrz tego budynku. Pododdziały pułkownika Zinczenki i pułkownika Plechodanowa wytrzebiły broniących się tam esesowców. Jednocześnie oczyszczono i sąsiednie domy.

Pod koniec dnia wyłonił się przed nacierającymi oddziałami potężny, szary gmach Reichstagu. Wszystkie okna i wejścia były zamurwane, wszędzie widniały strzelnice. Wokół budynku i w przyległym doń parku Tiergarten biegly linie rowów ciągłych i stanowiska artylerii przeciwlotniczej, przygotowanej do strzelania na wprost.

Do Reichstagu pozostawało wszystkiego 200 — 300 metrów. Ale cóż to były za metry! Należało przebyć strefę gęstego ognia zaporowego, dół i kanał wypełnione wodą, a następnie zdobyć rowy ciągłe.

W nocy na 30 kwietnia wielkie jednostki pułkownika Niegody i generała Szatłowa podciągnęły czołgi, wprowadziły działa na górne piętra domów, w oknach ustawiły karabiny maszynowe.

Pozostawała tylko jedna droga. Należało z okien „domu Himmlera“ szybko przebyć otwartą przestrzeń, skupić się w rowie i jednym skokiem wdrzeć się do Reichstagu. Każdy pododdział i każdy oddział miały czerwone flagi. Rada Wojenna armii wręczyła każdej wielkiej jednostce specjalne sztandary.

Bataliony kapitanów Nieustrojewa, Dawydowa i Samsonowa zajęły podstawy wyjściowe.

30 kwietnia o godzinie 10,00 rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Był to huragan gęstego ognia. Na Reichstag i otaczający go plac zwały się tysiące pocisków artyleryjskich i moździerzowych. Pod osłoną ognia pododdziały pokonywały rów i gromadziły się do natarcia.

I oto o godzinie 14,00, gdy ogień był najintensywniejszy, w gęstym dymie wybuchów ruszyła do natarcia piechota.

Nerwy były naprężone do ostateczności. „Wedrą się czy nie, czy zrobiono wszystko tak, jak należało, czy nie będzie niepotrzebnych ofiar w tym ostatnim boju?“. — Myśląc tak, stałem przy aparacie telefonicznym oczekując dzwonka.

I oto po długim oczekiwaniu — dzwonek:

— Batalion Samsonowa, poniosłszy wielkie straty, wdarł się do Reichstagu; widzę sztandar zatknięty nad wejściem. Pozostałe pododdziały leżą pod silnym ogniem z gmachu i z lewej strony, zza Szprewy. Podejmuję odpowiednie kroki — meldował pułkownik Niegoda.

Dzwonię do generała Szatłowa.

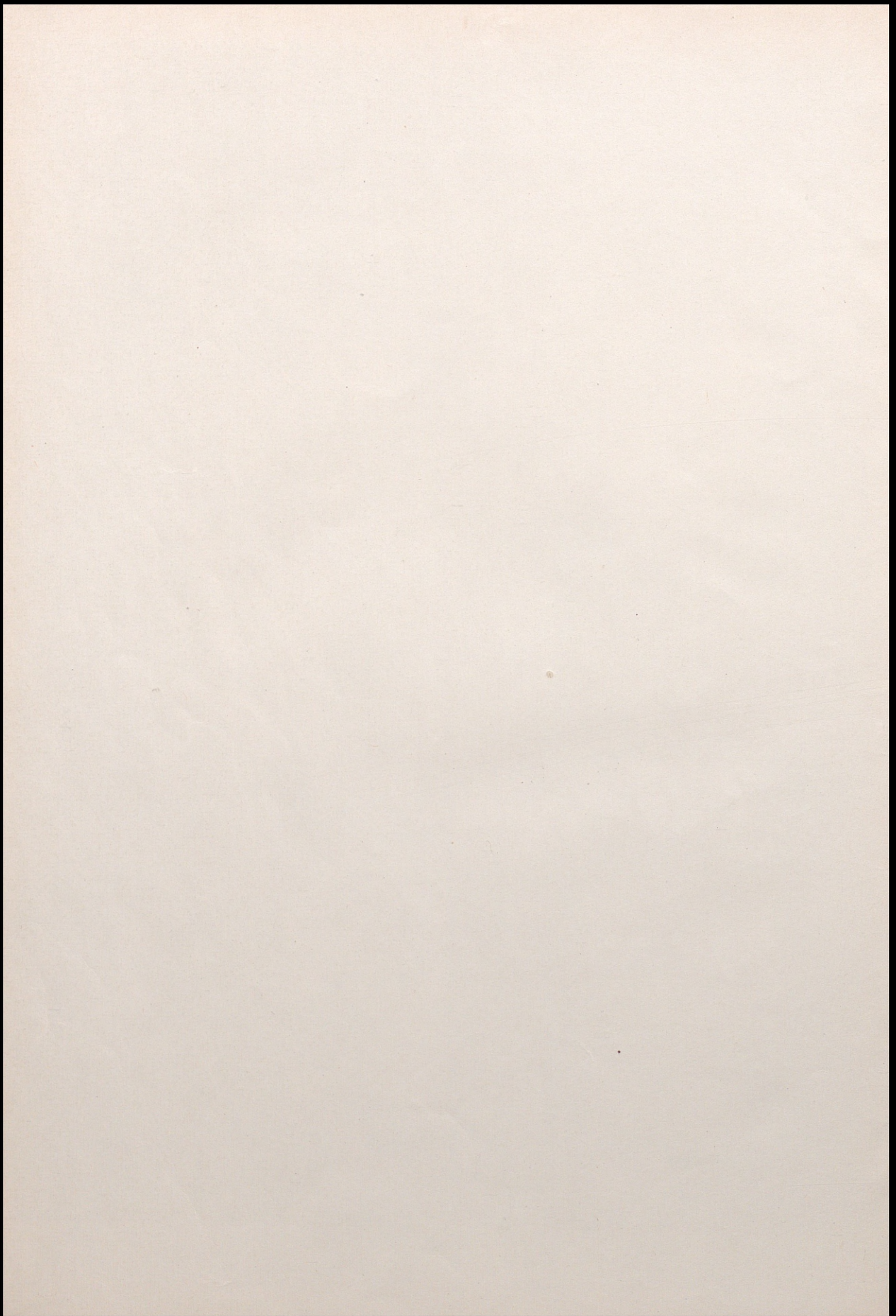
— Meldujcie, jak tam wasze sprawy?

— Nieustrojew i Dawydow wdarli się do Reichstagu, pozostali odcięci są ogniem z Tiergarten i leżą przed gmachem. Walka jest ciężka. Nie ma łączności z batalionami, które wdarły się do gmachu — odpowiada zdenerwowany generał Szatłow.

— A sztandar; gdzie jest sztandar, widzicie go? — pytam.



SZTUM. REICHSTAGU



— Sztandar jest w pułku Zinczenki i znajduje się w tej chwili w walce.

Melduję o przebiegu walki dowódcy armii. Generał-pułkownik Kuzniecowa żąda od nas szybszego rozwinięcia osiągniętego powodzenia.

Rozkazuję: całą siłą artylerii obezwładnić strzelające ogniem bocznym karabiny maszynowe i działa nieprzyjacielskie, otoczyć gmach ogniem zaporowym, skierować silny ogień do okien i górnych pięter, nie dopuścić do przeciwuderzenia, nie zwlekając uderzyć i pomóc pododdziałom, które wdarły się do gmachu.

Znowu dzwoni generał Szatilow:

— Sztandar w Reichstagu. Wewnątrz toczy się bój. Robię wszystko, by wykonać wyznaczone zadanie.

Walka rozgorzała wewnątrz i dokoła gmachu. Bohaterowie szturm zapędzali Niemców do piwnic.

Naprężenie utrzymywało się cały dzień. Pod wieczór wdarły się do gmachu Reichstagu nowe pododdziały, wzięto również przyległe doń pozycje nieprzyjacielskie.

Czerwony sztandar wznosił się pomału, z piętra na piętro, coraz wyżej, i oto na purpurowym tle pożarów i zachodzącego słońca załopotał na kopule Reichstagu. Zatknęli go dwaj dzielni żołnierze: Jeden z nich — to Rosjanin Jegorow, drugi — Gruzin Kantaria.

Oddziały korpusu, umocniwszy się w Reichstagu, odpierając przeciwuderzenia, przedierały się na południe przez Tiergarten idąc na spotkanie wojsk generała-pułkownika Czujkowa.

F. ZINCZENKO
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
PUŁKOWNIK

Ze Sztandarem Zwycięstwa

O świcie 28 kwietnia dotarliśmy do brzegu Szprewy, w okolicy mostu Moltkego Młodszego. Hitlerowcy nie zdążyli go zerwać, poprzegradzali więc barykadami i słupami przeciwczołgowymi. Spróbowaliśmy wziąć ten most z marszu, ale tylko niewielka grupa szeregowców i oficerów dotarła do drugiej barykady i zmuszona była zawrócić. Mimo ciągle ponawianych natarć nie udało nam się tego dnia przeprowadzić na przeciwległy brzeg. Przeszkoda polegała na tym, że ja i moi piechurzy dotarliśmy do Szprewy przez wąskie przejście, przez które trudno było teraz przeprowadzić środki techniczne. Dopiero 28 kwietnia w nocy, gdy rejon Moabitu był już oczyszczony, podciągnięto bliżej brzegu czołgi i artylerię pancerną. Artylerzyści otrzymali zadanie całkowitego rozbicia silnie umocnionego budynku na nabrzeżu Kronprinzen i Schliffenufer, skąd hitlerowcy ostrzeliwali brzeg rzeki oraz most.

Nazajutrz rano rozpoczęliśmy forsowanie Szprewy. Jeden z moich batalionów, pod dowództwem kapitana Nieustrojewa, przedostał się na most i stąd — czołgając się i wykonując skoki — na przeciwległy brzeg. Za nim przeszedł pod osłoną silnego ognia drugi batalion Klimenkowa. Na przeciwległym brzegu bataliony te zdobyły z początku tylko jedną piwnicę białego domu. Obok, w czerwonym budynku, faszyci bronili się nadal. Mój punkt obserwacyjny znajdował się w odległości 120 — 150 metrów od rzeki. Gdy zameldowałem dowódcy korpusu, generałowi Pierewiortkinowi, że dwa bataliony sforsowały Szprewę, rozkazał, abym i ja tam się przeprowadził i osobiście dowodził tymi batalionami.

Dowódca dywizji przekazawszy mi ten rozkaz, uściśnął mi rękę i powiedział:



U głównego wejścia do Reichstagu

— Uważajcie, bądźcie bardzo ostrożni, gdyż tam jest teraz gorąco. Zróbcie wszystko, żeby zabezpieczyć przejście.

Wraz ze mną przeprawił się cały sztab pułku. Rozkazałem artylerzystom i czołgistom skierować krótką pięciominutową nawałę ogniową na te punkty, na które strzelali przedtem. I w tym właśnie momencie przekroczyliśmy most. Ulokowałem się w piwnicy białego domu. W tym czasie bataliony walczyły o rozszerzenie przyczółka. Około godziny 8,00 zameldowano mi, że cała dzielnica jest już wolna i że w naszych rękach znajduje się kamienny budynek 104, którego Niemcy bronili ze szczególnym uporem.

— Widzę przed sobą wielki ciemny gmach — melduje mi przez telefon kapitan Nieustrojew.

Gdy zakomunikował mi to, poszedłem natychmiast do nich, do budynku 104, aby zaznajomić się na miejscu z sytuacją i powziąć decyzję.

Wziąłem do ręki plan, porównałem z tym, co widziałem przed sobą — oczywiście Reichstag! Pytam przeto moich oficerów:

— Jak myślicie, czy daleko stąd do Reichstagu?

Odpowiadają:

— Ze trzysta metrów.

— Otóż tak, towarzysze, ten ponury gmach — to Reichstag!

Wszystkich ogarnęła wielka radość. Żołnierze rzucili się do okien, aby popatrzeć na Reichstag — jeszcze przed chwilą był on dla nich tylko jakimś ciemnym budynkiem.

— Hura, hura! — Reichstag jest już nasz.

Mówię im, że jeszcze trzeba go będzie zdobyć. Na razie nieprzyjacieli broni go ze wszystkich stron. Odpowiadają mi:

— Towarzyszu pułkowniku, możecie zameldować, że zdobyliśmy Reichstag, my go i tak zdobędziemy!

W tej chwili zadzwonił telefon. Przy aparacie dowódca dywizji:

— Trzymacie się? Przedstawcie mi sytuację.

— Sytuacja jest tego rodzaju, że widzę Reichstag.

— Jak to Reichstag, jesteście już przed Reichstagem?

— Stoi przede mną w całej okazałości.

— Porównajcie jak należy z mapą; zamelduję o tym przełożonemu.

Rozkazałem przyprowadzić jednego jeńca, a potem drugiego i obaj potwierdzili, że to jest Reichstag.

30 kwietnia z rana rozpoczęliśmy przygotowania do szturm, który został wyznaczony przez dowódcę korpusu na godzinę 14,00.

Wielką przeszkodę stanowił ciągle ten sam most Moltkego Młodszeo. Należało przeprowadzić przezeń czołgi. Trzeba przyznać, że saperzy majora Bielowa okazali tu wiele męstwa, wiele prawdziwego bohaterstwa.

Pod ogniem nieprzyjaciela, wystawieni na ostrzał z karabinów maszynowych, pistoletów maszynowych oraz „pięści pancernych“ usunęli wszystkie słupy przeciwczołgowe i inne przeszkody, wzniesione na moście i wokół niego.



W Reichstagu

Nieprzyjaciel bronił się za nowowykopany kanałem. Wszyscy nasi czołgiści i artylerzyści chcieli strzelać do Reichstagu. Pewien dowódca baterii przeciwpancernej, który utracił łączność z pułkiem, przyszedł do mnie:

— Towarzyszu pułkowniku, chcę strzelać do Reichstagu i wziąć go.

Powiedziałem mu, że wszystkie miejsca, skąd można strzelać, są już zajęte. Postanowił tedy wciągnąć działa na piętro budynku 104. Nie mieściły się one w drzwiach, a nie było czasu na rozszerzanie drzwi murowanych w kamiennych ścianach. Wobec tego postawił on działa na bok kołami i w ten sposób przepchał je przez drzwi — później schodami na górę — i ustawił przy oknach. Wciągnięto na piętro także moździerz.

O godzinie 14,00 rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. O godzinie 14,25 niewielka grupa naszych żołnierzy wdarła się do Reichstagu. Byli to żołnierze z batalionów Nieustrojewa i Dawydowa. Łączność z tą grupą została przerwana, ponieważ nieprzyjaciel odciął ją, zanim nasze główne siły zdążyły wejść do Reichstagu.

Położenie było wyjątkowo naprężone — widzieliśmy, że nasi ludzie są tam, lecz nie wiadomo było, co się z nimi dzieje. Mówiono, że nasi byli w Reichstagu, wyszli i znowu weszli. Staralem się posłać tam łącznika z radiostacją, ale został zabity. Wobec tego nikogo więcej nie posyłałem. Doshedłem do przekonania, że jeśli nasi są wewnątrz, to będą się tam trzymali, a o godzinie 21,30 rozpoczniemy nowe natarcie. Wybrałem tę właśnie godzinę, ponieważ miałem nadzieję przeprowadzić operację w ciągu nocy, korzystając ze względnej ciemności.

O godzinie 21,30 rozpoczęło się nowe przygotowanie artyleryjskie, ale tym razem strzelaliśmy nie do Reichstagu, bo stamtąd nieprzyjaciel nie prowadził już ognia, ale wzdłuż ulic koło Reichstagu i rowów ciągłych, które biegiły wzdłuż Charlottenburgstrasse i kanału.

Obecnie zadaniem artylerii było ubezpieczenie skrzydeł. Tam też rzucono główne siły piechoty — bataliony Nieustrojewa i Dawydowa.

O godzinie 22,00 te dwa bataliony wdarły się na dolne piętra Reichstagu. Gmach ten był jak gdyby podzielony na dwie części, na dolnych piętrach walczyli nasi, na górnych piętrach siedzieli jeszcze hitlerowcy, a nad kopułą Reichstagu powiewał już radziecki Sztandar Zwycięstwa.

Jeszcze przed rozpoczęciem szturmego wezwałem oficera zwiadu, kapitana Kondraszewa, i kazałem mu wybrać dwóch lub trzech dobrych zwiadowców, którzy mieliby pójść razem z piechotą na Reichstag i zatknąć na jego kopule czerwony sztandar.

Kapitan Kondraszew przedstawił mi dwóch zwiadowców: Jegorowa i Kantarię. Znałem ich: byli to dzielni i śmiali ludzie. Objaśniłem im, na czym polega ich zadanie.

Odpowiedzieli:

— Tak jest, zrobimy, towarzyszu pułkowniku!

Gdy piechota nasza wdarła się do Reichstagu, wraz z żołnierzami wdarli się Jegorow i Kantaria — niosący sztandar. 30 kwietnia późnym wieczorem zadzwonił do mnie kapitan Nieustrojew i powiedział:

— Nasz sztandar zatknięto na kopule Reichstagu.

Spojrzałem na zegarek — była godzina 22 minut 50.

K. SAMSONOW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
STARSZY LEJTNANT GWARDII

Jak wdarliśmy się do Reichstagu

29 kwietnia o godzinie 10,00 spostrzeżyliśmy wielki ciemny gmach. Nad głównym wejściem wisiał sztandar z faszystowską swastyką. Żołnierze szeptali: „Reichstag“.

Zameldowano mi, że pierwsza kompania strzelecka bez rozkazu poszła do natarcia. Pchnąłem także i pozostałe kompanie. Zrozumiałem później, że się zanadto pośpieszyliśmy. Hitlerowcy z początku nie strzelali, ale potem otworzyli ogień ze wszystkich rodzajów broni i zmusili nas do przerwania natarcia. Uzupełniliśmy amunicję, uzgodniliśmy nasze działania z artylerzystami, ustaliliśmy kierunek dla każdej kompanii i wtedy dopiero przystąpiliśmy do działania.

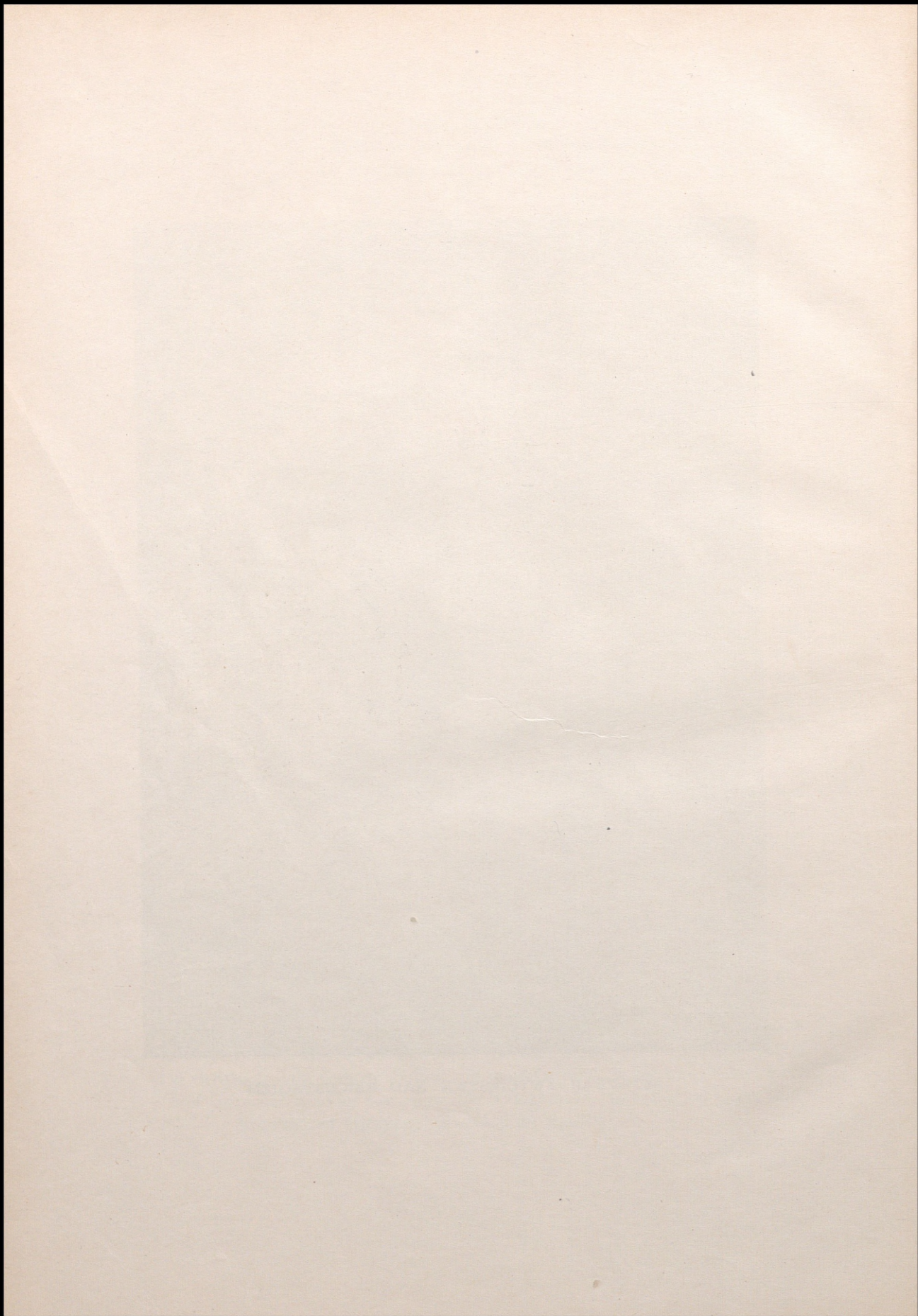
Nie należy dziwić się, że pierwsza kompania rzuciła się naprzód bez rozkazu. Od czasu gdy walki toczyły się w samym Berlinie, zdarzały się takie wypadki. Wszyscy rwali się naprzód i bardzo ciężko było utrzymać ludzi w korbach.

Zanim spostrzeżyliśmy Reichstag, batalion otrzymał rozkaz: — nacierać wzdłuż ulicy Moabickiej, dotrzeć do Szprewy i opanować most. Im bliżej podchodziliśmy do mostu, tym silniejszy stawał się ogień nieprzyjaciela. Mimo to lejtnant Krutych przebiegł wraz ze swym plutonem przez most i wdarł się do budynku. Hitlerowcy mieli w tym domu wielkie siły. Wiedział o tym lejtnant Krutych i mimo to rzucił się tam. Wynikła ciężka i nierówna walka. Niemcy podciągnęli czołgi i działa pancerne. Lejtnant Krutych został odcięty od batalionu. Nasłuchiwaliliśmy wszyscy, jak walczy w okrażeniu, ale pomocy żadnej nie mogliśmy mu w tej chwili dać. I oto szef łączności, kapitan Samojłow, nie wytrzymał — podniósł się i krzyknął:

— Naprzód za Ojczyznę! Naprzód za Stalina!



SZTANDAR ZWYCIĘSTWA NAD REICHSTAGIEM



Wszyscy żołnierze znajdujący się koło mostu ruszyli za kapitanem. Przed chwilą wydawało się to niemożliwe, a teraz żołnierze nasi biegli przez most na pomoc swym towarzyszom. Samojłow został ranny, ale nie opuścił żołnierzy. Grupę Samojłowa obserwowała, jak się okazało, załoga niemieckiego działą pancernego. Podciągnęli oni bliżej swoje działą i zaczęli strzelać do naszych żołnierzy. Sytuacja Samojłowa stała się jeszcze cięższa niż Krutycha. Ale oto nagle wszystko się zmienia. Działą pancerne płonie; hitlerowcy zeń zeskakują. Nasi żołnierze strzelają do nich z pistoletów maszynowych. Niemcy podnoszą ręce do góry. Okazuje się, że szeregowiec Miedwiediew spostrzegłszy, że jego towarzysze są w opałach, przyczołgał się do tego działą i zapalił je wystrzałem z rusznicy przeciwpancernej.

Zameldowano przez radio dowództwu o tym, co zaszło. Generał Pierewiortkin zakomunikował, że odznacza Miedwiediewa orderem za Wielką Wojnę Narodową. Wiadomość ta błyskawicznie rozniosła się wśród żołnierzy.

O północy nasza artyleria, czołgi i działą pancerne otworzyły ogień do hitlerowców, którzy zajęli obronę wokół „domu Himmlera“. Druga kompania strzelecka lejtnanta Gonczarenki wdarła się na most i poszła na pomoc plutonowi lejtnanta Krutycha.

Gdy weszliśmy do gmachu, bohater Krutyche już nie żył. Dowództwo plutonu objął szeregowiec Saburow. „Za naszego dowódcę bij faszystowskich gadów!“ — z tymi słowami na ustach żołnierze ruszyli do natarcia. W tym momencie przybył z pomocą Gonczarenko ze swą kompanią.

O świcie przeprawiły się przez most wszystkie pododdziały oraz artylerzyści. Szliśmy naprzód, kryjąc się — plac był pod silnym ostrzałem. Wybieraliśmy piwnice, wyszukiwaliśmy ukryte przejścia, przebijaaliśmy otwory w ścianach. Staraliśmy się zachować nasze siły na czas decydującego szturm Reichstagu.

30 kwietnia rozpoczął się szturm.

Nigdy nie zapomnę, ale nie mogę także wyrazić tego w słowach, co czułem i przeżyłem w tej chwili, gdy zwróciliśmy się do szeregowych i oficerów — kto chce pierwszy wejść do Reichstagu i zatknąć czerwony sztandar? Wszyscy prosili, by właśnie ich posłać. Czerwony sztandar wręczono młodszemu sierżantowi Jeriominowi i szeregowcowi Sawienkowowi.

Pod osłoną artylerii, moździerzy i pistoletów maszynowych bohaterowie czołgali się w kierunku Reichstagu. Dzieliło ich jeszcze 150 metrów. W tej chwili został ranny Jeriomin; zrobił sobie opatrunek i czołgał się dalej. Niemcy zobaczyli biały bandaż i zaczęli strzelać do niego. Wtedy Jeriomin zdarł bandaż z głowy i wraz z Sawienkowem pobiegł ku głównemu wejściu do Reichstagu.

Ujrzeliśmy wszyscy, jak w rękach odważnych żołnierzy rozwinął się czerwony sztandar — i wtedy po placu rozniosło się żołnierskie „hura“. Cały batalion ruszył do szturm.

I. MATWIEJEW
KAPITAN

Z czołowym batalionem

Notatki agitatora

W tę noc, gdy przełamano obronę na Odrze, znajdowałem się wśród żołnierzy pułkownika Zinczenki.

W czasie przygotowania artyleryjskiego powyskakiwaliśmy wszyscy z rowów i z upodobaniem patrzyliśmy, jak nasze pociski wybuchają na terenie wroga. Dużą napawała nas świadomość naszej siły. Było to rzeczywiście potężne uderzenie artylerii. Nie można było namówić żołnierzy do powrotu do rowów. Przypominam sobie, jak jeden z nich, przebiegając koło mnie, krzyknął:

— Kapitanie, bierzemy ich! Hura! — i podskoczywszy jak dziecko pobiegł naprzód.

Żołnierza tego spotkałem potem w Reichstagu. Był tam jednym z pierwszych.

W noc kwietniową nad Odrą nie przypuszczaliśmy, że właśnie nam w udziale przypadnie ten wielki zaszczyt szturmowania Reichstagu. Każdy chciał wejść do Berlina pierwszy. Nie skłamię, gdy powiem, że wszyscy bez wyjątku żołnierze pomagali mi w mojej pracy agitatora wydziału politycznego dywizji. Wszyscy mieli na ustach proste i jasne słowa wzywające do marszu naprzód, do boju! Doniosłość toczących się walk odczuwali wszyscy i sercem, i rozumem.

30 kwietnia wezwał mnie szef wydziału politycznego i rozkazał, abym pozostał w batalionie Nieustrojewa i wraz z nim przedarł się do Reichstagu.

Nadchodził wieczór. Batalion skupił się w suterenie wielkiego domu. Z okna widać było Reichstag. Drogę doń przecinał kanał ze zburzonym mostem.



Reichstag od strony Szprewy

Czekaliśmy na rozpoczęcie natarcia. Wkrótce powinno rozpocząć się przygotowanie artyleryjskie. Nieustrojew obserwował przez okno plac.

Żołnierze z niecierpliwością oczekiwali sygnału do natarcia. Mieliśmy wyskakiwać pojedynczo przez jedyne, niewielkie okienko w piwnicy. Wśród żołnierzy było wielu młodych, wyzwolonych niedawno z faszystowskiej niewoli.

Opowiedziałem im, jakie boje toczył pułk, jak wielu jest w nim bohaterów, którzy odznaczyli się w walkach o Berlin; radziłem im, jak lepiej obchodzić się z pistoletem maszynowym i granatem w walce ulicznej, oraz objaśniałem, dlaczego ważne jest to, aby pierwszym rzucić się do natarcia i wdrzeć się do budynku. Pamiętam, jak słuchali mnie z zapartym oddechem, gdy mówiłem o tym, jak to tow. Stalin poprowadził nas do zwycięstwa.

Po pogadance podszedł do mnie szeregowiec Bykow Nikołaj Stiepanowicz i oświadczył, że chce biec pierwszy do natarcia. Poprosił, abym zapisał jego nazwisko. Następnie z tą samą prośbą zwrócił się do mnie szeregowcy: Bogdanow Iwan Iwanowicz, Prygunow Iwan Fiodorowicz, Rudniew Wasilij Dmitrijewicz i wielu innych.

Przygotowanie artyleryjskie było krótkie i silne. Wzbiły się w niebo rakiety — sygnał do natarcia. Żołnierze zaczęli wyskakiwać przez okno. Biegłem razem z lejtnantem Gusjewem i kapitanem Jarunowem.

Kompanie nasze wdarły się do Reichstagu przez główne wejście. Jednocześnie z batalionem Nieustrojewa wpadły do gmachu kompanie batalionu Dawydowa z pułku Plechadonowa. Było tam ciemno choć oko wykol. Potykaliśmy się o meble, szczątki posągów, sterty papieru. Tutaj toczyła się już walka.

Gdy bieглиśmy przez plac, zgubiłem latarkę kieszonkową i teraz trudno było orientować się w ciemnościach.

Wkrótce przybył do Reichstagu dowódca pułku, pułkownik Zinczenko. Przedstawiliśmy mu sytuację. Chcieliśmy zejść wraz z tłumaczami do piwnicy i zaproponować Niemcom, by poddali się, ale stamtąd ciągle strzelano i rzucano granaty.

Wkrótce potem hitlerowcy zainscenizowali wysłanie do nas parlamentarzysty — była to ich kolejna prowokacja. Mieli jeszcze ciągle nadzieję, że uda im się nas wykurzyć z Reichstagu. Posłali więc parlamentarzysty, aby uspić naszą czujność.

Hitlerowcy podpalili wnętrze Reichstagu. Wybuchł pożar. Hitlerowcy liczyli na to, że my rzucimy się w panice do ucieczki. Ale tak się nie stało. Rozmawiałem w czasie trwania pożaru z kilkoma żołnierzami. Ciągłe słyszałem jedno i to samo: „Tak czy inaczej, ale stąd już nie wyjdziemy, nie po to zatknęliśmy czerwony sztandar na Reichstagu, aby następnie stąd uciec“.

Pierwsza zapaliła się okrągła sala. Ogień zaatakował kompanię Jarunowa, która szturmowała w tym momencie piwnice. Ogień rozprzestrzenił się za nami. Potem faszyci podpalili północną część gmachu. Kompania Jarunowa wbiegła na górę. Hitlerowcy sądzili, że opuszczamy Reichstag. W rzeczywistości sytuacja wyglądała następująco: wybiegłszy na górę kompania rzuciła się w zapasowe wejście i natknęła się tam na hitlerowców. Zaszliśmy ich teraz od tyłu. Nasi żołnierze obrzucili ich granatami. Hitlerowcy uciekli na dół. Ale tu oczekiwali ich Sijanow i Greczenkow. Wpadli w płomienie. Ogień był tak silny, że nikt z nich nie zdołał się uratować, wszyscy spalili się żywcem.

Gdy w północnych salach ogień zaczął przygasać, młodszy sierżant Szczerbina krzyknął, że można po przebiciu ściany przedostać się na balkon.

Znaleźliśmy drabinę, przebiliśmy otwór, weszliśmy na górę — i oto byliśmy na balkonie. Walka toczyła się nadal i na balkonie, i u wejścia do piwnicy tak długo, aż zajęliśmy cały gmach Reichstagu. Był już 1 maj. Przyniesiono nam gazety ze świątecznym rozkazem towarzysza Stalina. Nie mogę oddać tego uczucia — bo entuzjazm, to mało — uczucia, które zawładnęło wszystkimi: i tymi, którzy ten rozkaz czytali, i tymi, co go słuchali w tym na wpół rozwalonym, dymiącym gmachu przy świetle latarek elektrycznych, trzymając w ręku gorącą jeszcze broń.

Takie chwile pozostają w pamięci na całe życie.

M. JEGOROW
BOHATER ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
SIERŻANT

Sztandar Zwycięstwa nad Reichstagem

Kompania znajdowała się już nad kanałem, gdy mnie i młodszemu sierżantowi komsomolcowi Kantarii wręczono czerwony sztandar. Czulem, że powierzono mi sprawę, która miała znaczenie nie tylko dla naszej kompanii, czy nawet pułku, ale może dla całej dywizji. Każdy chciał choć ręką dotknąć tego sztandaru, który my mieliśmy zatknąć na samym Reichstagu.

Za oknem szalał silny ogień. I oto nastąpiła oczekiwana chwila — pobiegliśmy jeden za drugim. Wraz z nami wysłano radiotelegrafistów i telefonistów, którzy natychmiast, gdy tylko zatknjemy sztandar, mieli zawiadomić o tym dowódcę pułku, pułkownika Zinczenkę. Przebiegliśmy niewielki odcinek drogi i musieliśmy ukryć się w leju. Leżeliśmy około pół godziny, gdyż ogień był bardzo silny. Leżymy tak w tym leju i patrzymy ciągle na sztandar. Był w pokrowcu. Baliśmy się, że pokrowiec rozwiąże się w biegu, ale wszystko było w porządku. Wskakujemy z leja i biegniemy dalej. Do Reichstagu było już niedaleko. Postanowiliśmy nie zatrzymywać się więcej. Kompania przekroczyła już kanał — teraz było nam weselej.

Oto dotarliśmy do szerokich schodów. Wchodzimy. Ogień jest tak silny, że nikogo nie widzimy, czujemy tylko, że patrzą na nas z piwnic; z Reichstagu — a tam byli już nasi — także nas obserwują. I dowódca pułku też zapewne nam się przygląda.

Na progu leżała drabina — przystawiłem ją do kolumny na ganku Reichstagu i krzyczę:

— Kantaria, rozwiążuj prędko pokrowiec!

— Dobrze, a czym przywiążemy? — krzyczy do mnie w odpowiedzi. Dopiero teraz pomyślałem, że rzeczywiście nie wzięliśmy ze sobą sznura.

— Przywiążemy go pokrowcem! — krzyczę i wspinam się po drabinie do góry. Nie można było ustać na tej drabinie, chwiała się tak, jakby zaraz miała upaść.

Umocowaliśmy sztandar. Powiewa przy wejściu do Reichstagu.

— Pójdziemy do środka — mówi do mnie Kantaria — zobaczymy, co się tam dzieje. Poszliśmy w lewo. Ciemno. Wszystkie okna zamurowane. Pobiegliśmy na pierwsze piętro. Tam — toczy się zażarta walka. Hitlerowcy biją z góry „pięściami pancernymi“. Mieliśmy ze sobą pięć granatów, więc mogliśmy też coś niecoś pomóc piechocie.

— Jeśli piechota poszła do góry, to i sztandar też powinien być w górze — powiedział Kantaria i zaczął schodzić w dół. A ja za nim. Zdjęliśmy sztandar i pobiegliśmy na górę. Wystawiliśmy go przez otwór strzelniczy na pierwszym piętrze. Chcieliśmy go jeszcze wyżej umieścić, ale nie mogliśmy się tam dostać, gdyż wyższe piętra zajmowali jeszcze hitlerowcy. I oto sytuacja zmienia się. Można było teraz przedostać się na drugie piętro. Wkrótce sztandar już tam powiewał. Chcieliśmy, by znajdował się tam, gdzie toczy się walka.

Trzeba było uważać, by jakiś hitlerowiec nie podkradł się do sztandaru. A już starali się nieraz doń dotrzeć. Potem piechota nasza odrzuciła hitlerowców na prawo i otworzyło się przejście na strych. Znowu zdejmujemy sztandar, przedostajemy się na górę do samego konia, który stoi na dachu Reichstagu. Zrobiło się jasno. Znajdowaliśmy się ze sztandarem na dachu. Rozglądamy się — pod nami leży cały Berlin jak na dłoni. Miasto płonie. Dokoła ściele się czarny dym. Na dachu wybuchają pociski. Stoimy tak ze sztandarem i zastanawiamy się, gdzieby go najlepiej umieścić? Trzymamy się żelaznego konia w obawie, aby fala powietrza nie zepchnęła nas w dół. W tej chwili odłamek trafił w konia i przebił mu brzuch. Ponieważ koń był pusty wewnątrz, zrobiła się dziura. Kantaria mówi:

— O, dawaj, tu wstawimy.

Wetknęliśmy drzewce do przebitego otworu w żelaznym koniu i zaczęliśmy schodzić w dół. A tu biegnie nam naprzeciw żołnierz i woła:

— Sztandar widoczny jest tylko z jednej strony i ponadto sprawia to wrażenie — jak gdyby trzymał go jeździec siedzący na koniu. Kazano mi umieścić go inaczej.

— No, nie żartuj — mówimy mu — dziękujemy za radę, ale sztandar poprawimy sami.

Znowu wspinamy się na dach. Pod nogami skrzypi stłuczone szkło. Dokoła pełno odłamków. Gdzie teraz przytwierdzić sztandar, aby go widać było w całym Berlinie? Na kopule. Ale kópula jest całkiem rozwalona. Jak wspiąć się na nią? Szkło wyleciało, pozostało tylko żebrowanie. Postanowiliśmy wspiąć się po tych żebrach. Popatrzyliśmy przez kópulę w dół — przepaść głęboka, aż strach bierze. Ale nie można tracić czasu. Pociski wybuchają na dachu.

Gramolimy się po żebrach kopuły — Kantaria pierwszy, a ja za nim. Dotarliśmy na sam szczyt — dalej nie można. Przywiązujemy mocno sztandar pokrowcem i schodzimy na dół.

Przebiegamy plac. Niemieccy strzelcy wyborowi strzelają ze wszystkich stron. To z jednego, to z drugiego końca dobiegają okrzyki „hura“. Oto nasi żołnierze idą do natarcia. Wzywa ich do boju sztandar wznoszący się nad Reichstagiem. Teraz i my oglądamy się za siebie i widzimy po raz pierwszy, jak sztandar łopoce na wietrze. Zrobiło się nam wesoło na duszy.

.Pułkownik Zinczenko przywitał nas jak własnych synów.

— Towarzyszu pułkowniku — melduje Kantaria — rozkaz wasz wykonaliśmy, zatknęliśmy sztandar na Reichstagu.

— Zuchy jesteście — odpowiada pułkownik i mocno nas ściska — no, teraz odpocznijcie.

Ale nas ciągnęło do Reichstagu, gdzie towarzysze nasi pod zwycięskim sztandarem toczyli zaciętą walkę. Wraz z grupą żołnierzy ponieśliśmy do Reichstagu skrzynki z granatami.

Dostarczyliśmy granaty, a potem zanieśliśmy radiostację. Za każdym razem, gdy przebiegaliśmy przez plac, patrzyliśmy na Sztandar Zwycięstwa powiewający na kopule Reichstagu. Wydawało się nam, że drzewce jak gdyby pochyliło się trochę. Pobiegliśmy na górę. Sprawdziliśmy i upewniliśmy się, że tak się nam tylko przywidziało—sztandar stał prosto.

I. ZENKIN
MAJOR

Na posiedzeniu komisji partyjnej

10 kwietnia, kilka dni przed przełamaniem frontu nad Odrą, odbyło się na brzegu rzeki zebranie naszej komisji partyjnej. W tym dniu został przyjęty do partii dowódca plutonu strzeleckiego, lejtnant Kajdałow Chalit. Wszyscy znaliśmy dobrze tego młodego, dzielnego oficera — Kazacha, który niedawno ukończył szkołę piechoty.

W podaniu swoim pisał on: „Czekają nas jeszcze trudniejsze i jeszcze większe walki. Chcę w nich uczestniczyć jako komunista, bić wroga tak, jak tego żąda Ojczyzna. Na miano komunisty zasłużę“.

W czasie przełamywania hitlerowskiej linii obrony nad Odrą, w kilka dni po przyjęciu Kajdałowa do partii, pluton jego pierwszy wdarł się do rowów nieprzyjacielskich.

14 kwietnia komisja partyjna zebrała się w piwnicy rozwalonego domu na przyczółku nad Odrą. Przedni skraj ciągnął się w odległości 500 do 1 000 metrów od nas. Artyleria biła bez ustanku i życie naszej dywizji koncentrowało się w rowach i piwnicach. Wprawdzie natarcie nie nastąpiło jeszcze, ale oczekiwaliśmy go z godziny na godzinę. Na tym zebraniu przyjęto kilku ludzi do partii. Byli między nimi zwiadowcy, którzy wprost z zebrania szli na rozpoznanie, artylerzyści, którym przypadło w udziale to szczęście, że w późniejszych walkach wystrzelili pierwsze pociski na Berlin. W chwili wypełniania odpowiedzialnego zadania wszyscy chcieli być komunistami.

Rozpoczęło się natarcie. Teraz praca komisji partyjnej skomplikowała się. Trudno było wcześniej przewidzieć, gdzie i kiedy odbędzie się zebranie. Niemożliwością było wzywać ludzi z poszczególnych oddziałów — szliśmy do pułków i batalionów i tam, na miejscu, rozpatrywaliśmy podania. Jedno

z takich zebrań odbyło się w pewnym miasteczku. Przybyliśmy na stanowiska dywizjonu przeciwpancernego. Hitlerowcy prowadzili silny ostrzał z dział i moździerzów. Bateria dywizjonu rozmieściła się na krańcu miasteczka, niedaleko lasu. Stąd artylerzyści strzelali do przedniego skraju nieprzyjaciela. Komisja partyjna zebrała się na wschodnim zboczu wzgórza, w rowach obsługi. Przyjmowano do partii kapitana Grigorija Safronowa, kawalera trzech orderów bojowych. Odszedł on przed chwilą od nowozdobyczej na faszystach armaty, z której strzelał do nieprzyjaciela. Po rozpatrzeniu jego sprawy biegiem wrócił do niej i nadal prowadził ogień — już jako komunista.

Tutaj przyjęliśmy także do partii starszego sierżanta Sztykina, słynnego w dywizji puszkarka, który nie tylko naprawiał armaty w walce, ale sam nieraz stawał przy działach i prowadził ogień. Byli tu także celownicowie i działonowi, którzy mieli torować drogę piechocie na ulicach Berlina.

Ale nie wszystkim tym, którzy zostali w czasie walk pod Berlinem komunistami, udało się zobaczyć Reichstag. Wielu poświęciło życie dla Ojczyzny na przedpolach i ulicach Berlina. Wielu z powodu odniesionych ran nie mogło wstąpić w mury zdobytego Berlina.

30 kwietnia, w czasie szturm Reichstagu, nasza komisja partyjna przedzierała się przez ulice zawalone kamieniami, spalonymi samochodami i trupami hitlerowców. Zebranie odbyło się na stanowisku dowodzenia pułku piechoty, które mieściło się w piwnicy rozwalonego domu. Długo musieliśmy czekać na towarzyszy, których mieliśmy przyjmować do partii. Nie można było odrywać ich od pracy. Czekaliśmy, aż będą mogli zwolnić się na kilka minut. Przyszedł lejtnant Kaszkarbajew. Zdążył on już wstawić się w walkach ulicznych. „Chcę szturmować Reichstag jako członek partii“ — napisał on w swoim podaniu. Przed przyjęciem go do partii rozpoczął on już ten szturm. Zdążył przedrzeć się wraz ze swym plutonem do Reichstagu i wystrzelać niemało hitlerowców. Przyjęto go do partii, a już po kilku minutach znowu bił się w Reichstagu i wykurzał faszystów z piwnicy. Tu także przyjęto w poczet członków partii sierżanta Wasilija Kiwę, który swym ogniem wspierał natarcie plutonu Kaszkarbajewa. W trakcie zebrania komisji partyjnej nad kopułą Reichstagu załopotał radziecki sztandar. Spostrzegliśmy go przez okno piwnicy — wszystkich nas ogarnęło silne wzruszenie.

Ludzie, których przyjęliśmy właśnie do partii, dokonali wielkich czynów.

Następne zebranie odbyło się już w samym Reichstagu. Na całym szlaku natarcia nieraz wymawialiśmy to słowo. Naszym upragnionym celem było zatknięcie Sztandaru Zwycięstwa na Reichstagu. A obecnie w tym właśnie gmachu przyjmowaliśmy do partii tych, którzy odnieśli zwycięstwo. Obok nas przechodziły kolumny jeńców niemieckich.

Nie trzeba chyba opisywać, jak bardzo szczęśliwi byli ci, których przyjmowano tego dnia do partii, i jak gorące życzenia składali im towarzysze. Było to niezapomniane zebranie. Można tu było zobaczyć tego, który bił się w salach Reichstagu, i tego, który pierwszy wszedł na schody gmachu, i tego, który wdrapał się na samą kopułę, aby zatknąć tam Sztandar Zwycięstwa. Pierwszym, który został na tym zebraniu przyjęty do partii, był dowódca sławnego batalionu — kapitan Nieustrojew.

A. PRIEŁOW
KAPITAN

Nasza Ulotka - Błyskawica

Z samego rana spostrzegłem żołnierza na górnych stopniach schodów prowadzących do głównego wejścia Reichstagu. Wybiegł z gmachu pełnego ognia i dymu i straciwszy przytomność upadł na kamienne płyty.

Gęsto sypały się tu z pięter palące się belki, kamienie i szkło. Rzuciłem się, aby go jak najszybciej stąd wynieść.

Leżał twarzą do ziemi. Lewą ręką chwycił się grubej kolumny Reichstagu, a w prawej ścisnął kawałek papieru. Od razu poznałem jeden z sześciu egzemplarzy naszej ulotki - błyskawicy, którą wydawaliśmy w Reichstagu od chwili, gdy wdarł się tu batalion Nieustrojewa.

Czy żołnierz ten zdążył przeczytać ulotkę?

Dopiero godzinę temu ołówkiem atramentowym wypisywałem na niej wielkimi literami: „Na Reichstagu powiewa już czerwony sztandar. Hitlerowcy podpalają salę — chcą nas wykurzyć z Reichstagu. Ale nic z tego. Stoimy tu niezłomnie na straży honoru naszego sztandaru, naszej kochanej Ojczyzny“.

Cała „redakcja“ mieściła się w mojej torbie polowej. Miałem w niej czyste blankiety i ołówek atramentowy. W ciągu jednej tylko doby walk w Reichstagu wydaliśmy jedenaście numerów po sześć egzemplarzy. Nie mogłem zwiększyć nakładu, ponieważ nie wziąłem ze sobą kalki, wobec czego musiałem każdy egzemplarz przepisywać. Wyszukiwałem sobie zwykle jakiś mały pokoik, siadałem tam na skrzynkach i pisałem. Za ścianą wybuchały granaty. Oczy bolały od dymu i czadu.

Każdy numer ulotki poświęcony był jednemu bohaterowi. Dokonywano czynów bohaterskich w naszych oczach — łatwo więc było o nich pisać. Młodszy sierżant Szczerbina z garstką żołnierzy został w Reichstagu odcięty od swego batalionu. Mimo ognia i dymu, który okropnie dusił, sam

prował walcę przez kilka godzin, dopóki nie odrzucił faszystów od północnego wejścia głównego budynku. Podało się to do wiadomości w specjalnym wydaniu naszej ulotki. Telefonista Jermakow, pod silnym ogniem nieprzyjaciela, nawiązał łączność między Reichstagem a sztabem pułku i pierwszy mówił stąd telefonicznie. Jemu także poświęciliśmy ulotkę. Dwie ulotki opisywały zatknięcie sztandaru. Staraliśmy się nadążyć za wypadkami. Ledwo Kantaria i Jegorow znaleźli się na dachu Reichstagu, a już ulotka powiadamiała wszystkich o tym bohaterskim czynie.

Faint, illegible text at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

KAPITULACJA BERLINA

Czerwony sztandar zwycięstwa powiewał już nad kopułą Reichstagu, ale w sąsiednich dzielnicach trwały jeszcze zacięte walki. Po upadku ostatnich punktów oporu w Berlinie reszki hitlerowskiej załogi starały się wyrwać z żelaznego pierścienia wojsk radzieckich i uciec z miasta. Dopiero wtedy, gdy hitlerowcy przekonali się o beznadziejności tego przedsięwzięcia, zaczęli składać broń.



S. POŁUSZKIN
KAPITAN

Bohaterski czyn Matwieja Czugunowa

Dowódca grupy szturmowej rzucił rozkaz:

— Naprzód!

Strzelcy szybko przebiegli ulicę i otworzyli ogień do wielkiego narożnego domu. Tkwił tam silny oddział hitlerowców, którzy pokrywali ogniem wszystkie dojścia do placu.

Zażarte walki trwały do późnego wieczoru. Dopiero z nastaniem nocy udało się garstce naszych strzelców zrobić wyłom w ścianie okalającej podwórze i przedostać się na parter tego domu. Ale hitlerowcy mieli znaczną przewagę liczebną; mieli również uprzywilejowaną pozycję, bo zajmowali piętra. Nierówna walka toczyła się w tym domu całą noc.

Mały oddział radziecki ponosił dotkliwe straty. Poległ mieszkaniec Kostromy, Paweł Mołczanow, nieprzytomny padł również Tatar Romazan Sitdikow. Ciężko ranny został dowódca grupy szturmowej Arkadij Gariaczow. Przewyciężając straszny ból w brzuchu, powtarzał ciągle:

— Trzymajcie się, towarzysze, trzymajcie...

Kończyły się naboje. Żołnierze dusili się w gęstym pyłe, który przesłaniał oczy. Tylko dzięki błyskom wystrzałów orientowali się, że ich towarzysze jeszcze się trzymają.

Nagle przez zgiełk walki przedarł się głośny okrzyk: „Hura“.

I w tejże chwili rozległ się niesłychanie silny wybuch.

Strzelcy oszołomieni, nie wiedząc jeszcze co zaszło, rzucili się na pierwsze piętro.

Niemcy stłoczyli się w kącie i z przerażeniem wytrzeszczyli oczy na sufit, ale Rosjanie przyszli z dołu; Niemcy pośpiesznie rzucali broń.

Radzieccy żołnierze wdarli się na drugie piętro. Wszędzie tu leżały trupy, a kilku pozostałych przy życiu Niemców drżało ze strachu.

Wróg był rozgromiony, ale kto tego dokonał?

Strzelcy wyskoczyli na strych i ujrzeni dwóch walczących z sobą ludzi. Jeden Niemiec, a drugi to nasz — Matwiej Czugunow, „Matwiej z Uralu“ — jak go pieszczotliwie przewalali towarzysze. Zanim strzelcy zdążyli przyjść mu z pomocą, Matwiej gwałtownym ruchem podniósł potężnego, rudego faszystę i wyrzucił go przez okno w dachu. Ciężkie ciało klapnęło o asfalt.

Żołnierze obstąpili Matwieja.

— Ładnieś go urządził!

— Aleś silny!

Ktoś spytał:

— Jakżeś się tu dostał?

— Poczekajcie bracia — powiedział Czugunow — wszystko wam opowiem — dajcie mi tylko odsapnąć.

Oto jak było:

Matwiej Czugunow doświadczonym okiem ocenił sytuację, zanim jeszcze położenie naszych żołnierzy stało się tak rozpaczliwe. I od razu postanowił. Niezauważony wysunął się z parteru i po rynnie wlaź na strych. Był tam wyłom, przez który zobaczył pod sobą na drugim piętrze Niemców. Krzyknął „hura“ z całej siły i rzucił w nich wiązką granatów przeciwpancernych.

— Chciałem biec do was, ale natknąłem się na tego rudego hitlerowca — mówił Matwiej — dużo czasu zmitrężyłem przez niego... o mało mnie nie udusił..

Zmrużył figlarnie oczy i zakończył:

— No, ale jednak zrobiłem z niego naleśnik. Trzeba popatrzeć, czy nie ożył przypadkiem....

Wyjrzał na ulicę i nagle krzyknął:

— Patrzcie chłopcy!

Strzelcy rzucili się do okna. Nad rozwalonymi pudłami domów czerniał ponury gmach Reichstagu, a nad jego kopułą powiewał już czerwony sztandar.

Walka o metro

W 1939 roku, przed samym pójściem do wojska, byłem w Moskwie. Zachwycałem się wówczas jej podziemnymi pałacami. W naszym metro wszystko aż się błyszczy, a tu Niemcy mają metro mroczne jak grób. Gdy dostaliśmy się do niego po długich walkach w piwnicach, nie wierzyłem nawet, że to jest naprawdę metro.

Mieliśmy następujące zadanie: przejść pod ziemią te miejsca, gdzie hitlerowcy rozpaczliwie bronili się na ulicach i wyjść koło Reichstagu.

I oto jesteśmy na ciemnej podziemnej stacji. Stąpamy po betonie. W oddali migoce cieniutka smużka światła. Oceniamy sytuację tak, jak robią to zwiadowcy: — niczego dostrzec nie można, orientujemy się tylko według słuchu, po omacku. Nieprzyjaciel ma nadzwyczaj dogodne warunki obrony.

Nie namyślając się wiele, ruszamy tunelem. Szliśmy około trzysta metrów wzdłuż szyn, nie napotkawszy żadnego oporu. Ciemno było, choć oko wykol. Nagle natrafiliśmy na wnękę, stał w niej akumulator, świeciła się mała ampla elektryczna wisząca na czarnym drucie. Towarzysze, którzy szli na przodzie meldują: słychać rozmowy Niemców. Zalegliśmy na dnie tunelu. Owionął nas przykry zapach wilgoci. Było mi specjalnie ciężko czołgać się, gdyż przed kilkoma dniami zostałem ranny w pierś. Opatrunek hamował mi ruchy, ale nie mogłem dać poznać po sobie, że się źle czuję, gdyż oddaliby mnie zaraz do szpitala i nie oglądałbym dnia zwycięstwa w Berlinie.

Czołgaliśmy się dalej wzdłuż tunelu zamierając w miejscu co pięć metrów. Zwróciliśmy uwagę na zapach — czuć było dym tytoniowy, ale nie taki z machorki, lecz z cienko krajanego niesmacznego tytoniu niemiec-



kiego. Pachniało także konserwami mięsnymi, które Niemcy mieli w kilogramowych brunatnych puszkach.

Oczywiste było, że w pobliżu muszą znajdować się Niemcy. Nagle na przodzie zabłysła lampka. Niemiec świecił w naszą stronę, a sam pozostawał w cieniu. Ale my już zorientowaliśmy się, że tunel zagrodzony jest ścianą zbudowaną z cegieł, prawdopodobnie specjalnie do obrony. Spostreśliśmy stalowe, opancerzone drzwi. Okazuje się więc, że metro było zarazem schronem przeciwlotniczym i przeciwigazowym.

Posunęliśmy się jeszcze czterdzieści — pięćdziesiąt metrów naprzód. W tunelu zagwizdały kule — mieliśmy wrażenie, że znajdujemy się w ulu. Udało nam się ukryć we wnękach znajdujących się w ścianach tunelu, a przeznaczonych widocznie dla monterów i dróżników metro.

Mimo to były wśród nas ofiary. Padł mój towarzysz, szeregowiec Gwardii Andrzej Poławiec. Ciężka była strata przyjaciela, szczególnie wtedy, gdy czuło się, że zwycięstwo jest już całkiem blisko.

I znowu musieliśmy się zatrzymać przed drugą ścianą, rzucać w nieprzyjaciela granatami i zasypywać go pociskami z pistoletów maszyno-

wych. Nieprzyjacielski system obronny w metro był następujący: pusty odcinek, ściana — znowu pusty odcinek i znowu ściana.

Walka w metro trwała cztery dni. Amunicję znajdowaliśmy na miejscu — wszędzie rozrzucone tu były „pięści pancerne“ i granaty ręczne. We wnękach znajdowaliśmy jedzenie przyniesione przez żołnierzy niemieckich prawdopodobnie z domu. W wielkich szklanych słojach były konfitury z wiśni, dużo butelek wina w słomianym opakowaniu. Nie piliśmy go, gdyż i bez tego zataczaliśmy się jak pijani — tak bardzo byliśmy zmęczeni. Konfitury wydawały nam się z początku bardzo smaczne, ale potem zalepiły gardło i piekły. Strasznie chciało się nam pić, a w pobliżu nie było dobrej wody.

W ciągu czterech dni przeszliśmy pod ziemią 1 500 metrów.

W końcu wyszliśmy spod ziemi. Ujrzałem Bramę Brandenburską, ujrzałem czerwony sztandar na gmachu Reichstagu.

„Nie zdążyliśmy więc pierwsi“ — pomyślałem.

Hitlerowcy poddawali się już na ulicach Berlina, ale pod ziemią bronili się jeszcze ze wszystkich sił. Były ich tam tysiące; wleźli widocznie najbardziej uparci i wypierać ich stamtąd było bardzo trudno.

Po krwawym śladzie

Nie pamiętam dokładnie, na jakiej to zajętej już przez nas ulicy zdarzały się notoryczne wypadki, że hitlerowcy napadali na stanowiska ogniowe artylerzystów oraz na tabory. Zjawiali się oni nieoczekiwanie w sile piętnastu do dwudziestu ludzi i równie nieoczekiwanie znikali.

Nie udało się nam złapać dywersantów. Nie mogliśmy ustalić, jaką drogą dostają się do nas. Wzywa mnie wówczas szef sztabu i mówi:

— Czcheidze, ty jesteś myśliwym z Kaukazu — musisz mieć dobry słuch i bystry wzrok. Masz do dyspozycji jedną dobę i pięciu ludzi do pomocy. Musisz znaleźć miejsce, skąd faszyci dostają się nam na tyły.

Dowódca kompanii pokazał mi na planie miasta, gdzie najczęściej mają miejsce napady nieprzyjacielskie. Popatrzyłem na mapę: z prawej strony biegnie ulica z linią metro i z lewej ulica z linią metro: linie te szły od pozycji nieprzyjaciela w kierunku naszych tyłów. „Możliwe, że tędy przechodzą“ — pomyślałem, ale w tej samej chwili odrzuciłem tę myśl przypomniawszy sobie, że wszystkie stacje obstawione są przez naszych. Gdzież więc jest to przejście? Trzeba to było właśnie wyświetlić!

Słońce zachodziło już za domy Berlina, gdy zmęczeni i spoceni zakończyliśmy przegląd wszystkich piwnic i zaułków w oznaczonym rejonie, niczego nie znalazłszy. Koło stacji zawołano na nas. Okazało się, że nasi pilnowali tu przejścia. Pogadałem sobie z towarzyszami, ale niczego pociesającego nie usłyszałem. Mówili, że siedzą tu już dwa dni i że wszystko jest w porządku.

Mimo to postanowiłem zbadać obie linie metro. „Cóż to w końcu — pomyślałem — nie latają przecież w powietrzu“.

Poprosiłem stojącego tu sierżanta, ażeby gdy usłyszy w dole jakiś zgiełk, posłał nam na pomoc swych strzelców, i zeszliśmy na stację metro.

Ciemno tu było i cicho, a nawet — prawdę mówiąc — strasznie. Szliśmy wzdłuż szyn tuż przy ścianie.

Gdy schodziliśmy, zapamiętałem, która była godzina, i co jakiś czas spoglądałem na zegarek. Trzydzieści minut marszu i mogliśmy znaleźć się już u nieprzyjaciela.

Minęło dwadzieścia minut. Coś zabrzęczało mi pod nogami. Przysiedliśmy. Zaświeciłem lampkę i zobaczyłem pod nogami niemiecki hełm. To o ten hełm potknąłem się. Rozejrzeliśmy się. Jeden zwiadowca znalazł pięć naboji do niemieckiego pistoletu maszynowego, drugi — świeży niedopałek papierosa. Ja zaś zauważyłem między szynami ślady krwi. Dokąd nas te ślady zaprowadzą? Po pięciu minutach zatrzymaliśmy się niezdecydowani. Ślady urywały się. Rozejrzawszy się dokoła, znaleźliśmy cztery podarte opakowania niemieckich opatrunków osobistych i trzy niedopałki papierosów.

Jeszcze raz obejrzelśmy sufit i ściany. Wydawało się, że nie ma nic podejrzanego. I oto wzrok zatrzymał się na dwóch kratkach. Pchnęliśmy je — skrzypnęły i rozwarły się. Towarzysze podsadzili mnie i znalazłem się w otworze kanału o średnicy półtora metra. Poświeciłem sobie latarką i aż krzyknąłem z radości — znowu ukazały się ślady krwi, ale tym razem już w otworze kanału. Zawołałem moich towarzyszy i po pięciu minutach przeleźliśmy przez ten otwór do jakiegoś leja. Obejrzelśmy dno i ściany tego leja i zauważyliśmy wyraźne świeże ślady niemieckich butów.

— To znaczy, że Niemcy byli tu wczoraj — oświadczyłem — bo przedwczoraj padał deszcz, więc jeśliby te ślady były stare, to deszcz zmyłby je.

Towarzysze zostali w zasadzce przy leju, a ja wróciłem, aby zameldować o wynikach rozpoznania. Szef sztabu wyznaczył pluton na zasadzkę.

Z rana przyprowadzono do sztabu dwóch jeńców, którzy potwierdzili, że Niemcy przez ten kanał wielokrotnie przedostawali się na nasze tyły. Z pięćdziesięciu, którzy urządzali wyprawy na nasze stanowiska ogniowe, zostało tylko tych dwóch — reszta zginęła. Od tego czasu ustały na tej ulicy napady hitlerowskich dywersantów.

Zdobycie Ogrodu Zoologicznego

Gdy czołgi nasze przeszły zburzony most na Kanale Landwerskim, dowódca kompanii zakomunikował, że teraz czeka nas z kolei — natarcie na Ogród Zoologiczny; rozkazano nie szczędzić naboju i szybko posuwać się naprzód — walki zbliżały się ku końcowi.

Działo się to 30 kwietnia.

Siedliśmy do czołgów i poprowadziliśmy je prosto po Tiergartenstrasse.

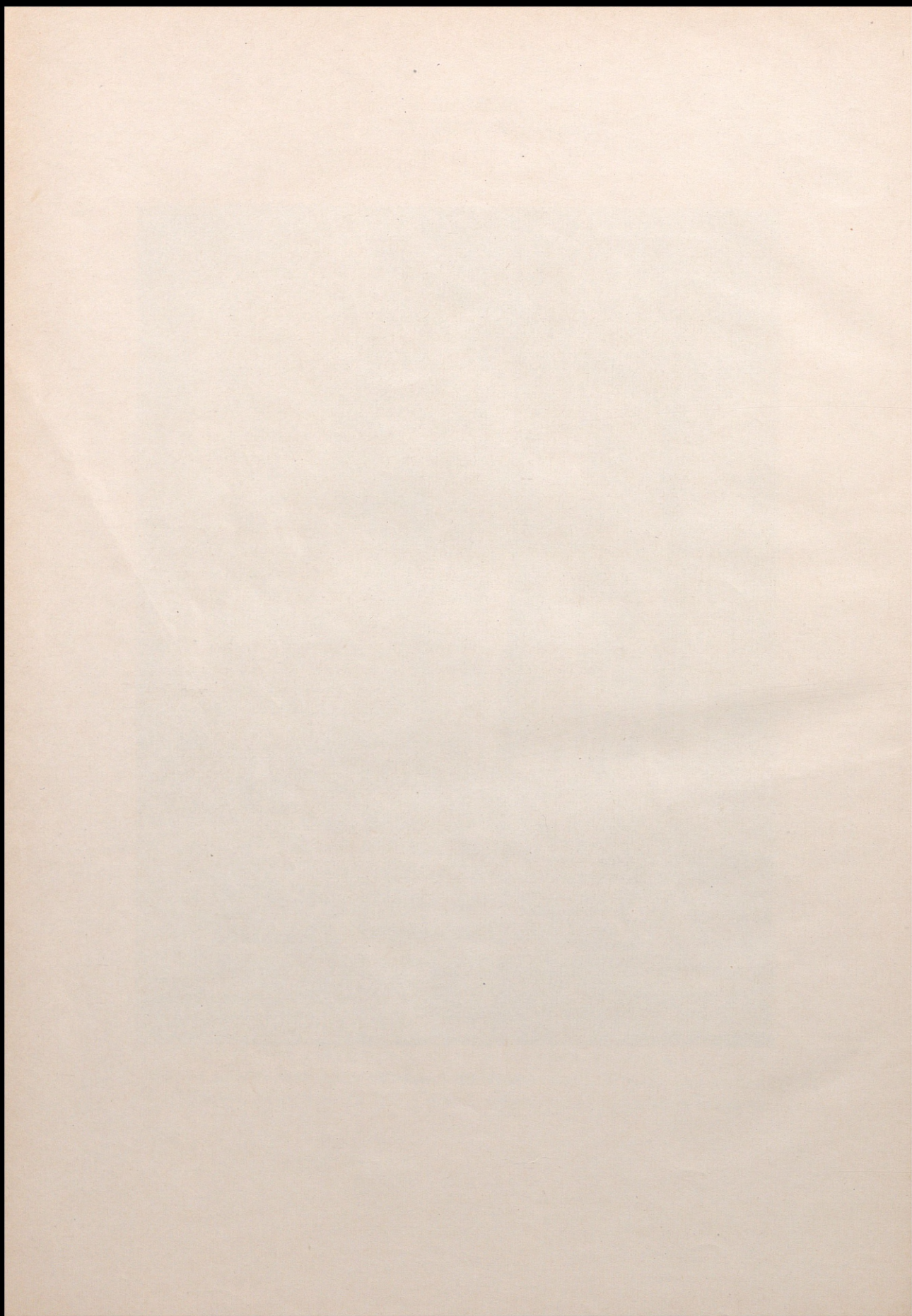
Hitlerowcy zewsząd strzelali do nas z karabinów maszynowych.

Wkrótce skręciliśmy w zaułek, gdyż zaczęli z obu stron rzucać na nas „pięści pancerne“ i kilka czołgów już się paliło. Po południu, gdy przedstawaliśmy się w okolicy Ogrodu Zoologicznego, na skrzyżowaniu ulic zagroziła nam drogę potężna zawała. Faszyci skorzystali z tej przeszkody i zwiększyli siłę ognia. W odpowiedzi na to otworzyliśmy ogień z czołgów. Wkrótce przyszli nam z pomocą saperzy i fizylierzy naszego pułku. Nie minęła godzina, a zawała była już rozebrana i czołgi mogły przejść. Dowódca pułku, podpułkownik gwardii Rieznik, wezwał mnie i kazał memu czołgowi i czołgowi podporucznika Martynowa przedrzeć się wraz z grupą fizylierów przez wyłom w zawałe i przeskoczyć na następną ulicę, aby zorientować się, jakimi siłami rozporządza w tym miejscu nieprzyjaciel oraz czy blisko znajdują się nasze sąsiednie jednostki. Ruszyłem pierwszy, za mną Martynow. Czołgi nasze wpadały z leja w lej łamiąc napotykaną na swej drodze drzewa.

Po upływie pewnego czasu zdecydowałem, że należy rozejrzeć się — otworzyłem właz i wysunąłem się. Nie zdążyłem niczego zobaczyć, gdyż z okna pobliskiego domu rzucono „pięść pancerną“. Wpadła pod gąsienicę i wybuchła. Straciłem na kilka minut przytomność i zawisłem we włazie.



SZTURM PAŁACU



Również mój kierowca - mechanik został kontuzjowany. Ale prędko przyszedliśmy do siebie. Martynow i towarzyszący nam fizylierzy wiązali swoim ogniem nieprzyjacielskich strzelców wyborowych i obsługę „pięści pancernych“, a my tymczasem naprawialiśmy uszkodzony czołg. Po dwu godzinach był znowu gotów do walki. Przez ten czas dopędziły nas pozostałe czołgi naszego batalionu. Ale hitlerowcy również wzmocnili tutaj obronę. Ogień wznagał się coraz bardziej, „pięści pancerne“ leciały z każdego okna. Ulica była zawałona płonącymi czołgami i zawałami. Walcząc posuwaliśmy się jeszcze około dwieście metrów i znów musieliśmy stanąć. Należało wykonać teraz obejście, ale nie było otwartej drogi. Wobec tego dowództwo postanowiło przebić ściany, zrobić przejścia dla czołgów i obejść Ogród Zoologiczny z drugiej strony.

Zabraliśmy się do roboty. Fizylierzy oczyścili podjazdy do pobliskich domów. Saperzy kapitana gwardii Pallera znaleźli odpowiednie miejsce do zrobienia przejścia — niewielkie zabudowanie mieszczące jakiś skład i łączące mury dwóch przyległych domów. Wyszliśmy na dziedziniec sąsiadujący z Ogrodem Zoologicznym. Zburzyliśmy część ogrodzenia — w wyłomie zamajaczyły ciemne sylwetki drzew. Był już wieczór.

— Posuwamy się w głąb ogrodu — powiedział dowódca kompanii czołgów, porucznik Sniegirow, i czołgi wolno popęzły przez wyłom. Pierwszy poprowadził swój czołg starszy sierżant gwardii Korulko, potem ja, a za mną długim szeregiem posunęły się czołgi, działa pancerne, artyleria przyczepiona do ciężarówek, samochody z amunicją.

Na terenie ogrodu zatrzymaliśmy się między wielkimi akwariami. Na przodzie okopywała się piechota. Kazano nam uzupełnić amunicję, aby z rana rozpocząć szturm hitlerowskich umocnień w Ogrodzie Zoologicznym.

G. OSINIECKI
KAPITAN GWARDII

Walka w Ogrodzie Zoologicznym

W przeddzień święta 1 Maja mój batalion dotarł do rogu Budapesterstrasse i Lützwowstrasse. Popatrzyłem na mapę. Przed nami leżał zielony trójkąt. Na nim wypisane było maleńkimi literkami „Ogród Zoologiczny“. Ten duży park koło Reichstagu także nazywa się Tiergarten, to znaczy ogród zoologiczny. Ale ten, przed nami, to był prawdziwy ogród zoologiczny, nie tylko z nazwy. Usłyszeliśmy ryk tygrysa. Strzelcy śmieli się: „To nie są jeszcze najstraszniejsze zwierzęta, są one o wiele spokojniejsze od tych, z którymi musieliśmy prawie przez cztery lata walczyć“.

Wezwałem młodszego lejtnanta Mozżykina i kazałem mu wraz z plutonem oraz ręcznym i ciężkim karabinem maszynowym posunąć się w głąb Ogrodu Zoologicznego, rozpoznać nieprzyjaciela i wziąć jego gniazda ogniowe.

W ogrodzie było ciemno. Na lewo palił się kościół, na prawo zaś domy, ale ogród pozostawał jakby w cieniu. Śladem Mozżykina poszli saperzy z wykrywaczami min i materiałami wybuchowymi. Mieli oni wysadzać mur okalający ogród, robić w nim przejścia. Z ogrodu prowadzili ogień fizylierzy i strzelało kilka karabinów maszynowych. Mozżykin wszedł do ogrodu. Pluton jego zaległ i otworzył ogień odwetowy. Mozżykin zameldował mi przez łącznika, że zatrzymał się koło sztucznych pieczar.

Były to pieczary dla zwierząt, wyłożone wewnątrz kamieniami. Hitlerowcy urządzili tam swoje pozycje.

Połączyłem się przez radio z Bohaterem Związku Radzieckiego, pułkownikiem Szejkinem, który był dowódcą pułku. Kazał, abym do rana zajął Ogród Zoologiczny i wyszedł na linię kolejową. Przydzielono nam artylerię — 14 samochodów ciężarowych z przyczepionymi armatami i baterie pułkową o konnym zaprzęgu.

O godzinie 3 w nocy ruszyliśmy do natarcia. Hitlerowcy bronili się w grupach po dwóch — trzech w różnych miejscach ogrodu, w pieczarach i rowach.

Zwierzęta rozbiegły się i mimo strzelaniny słychać znów było ryk tygrysa, wycie szakala i miauczenie dzikich kotów. Ktoś zauważył na wysokim rozłożystym drzewie jakąś postać i sądził, że to nieprzyjacielski strzelec wyborowy, tzw. „kukułka“. Zaterkotała seria z pistoletu maszynowego i postać koziołkując spadła na ziemię. Jakież było zdziwienie i żal strzelców, gdy spostrzegli, że to była małpa.

Przeszliśmy prawie cały Ogród Zoologiczny i natknęliśmy się na murowaną ścianę.

Tutaj postanowiłem użyć artylerii. Podjechały samochody. Dowódca drugiej kompanii, porucznik Kruczynin, zameldował: przed nami wielka cytadela. Tego nie oczekiwaliśmy. Na mapie nie było żadnych fortyfikacji. Sądziłem, że Kruczynin nazywa cytadelą jakiś umocniony budynek. Ale on obstawał przy swoim: wielka czteropiętrowa twierdza, okna założone stalowymi płytami; samochody nasze przyjęły ugrupowanie bojowe, armaty wałą w fortecę, ale nie mogą przebić ścian.

Podszedłem bliżej i ujrzałem w porannej mgle ponurą basztę. Szare betonowe ściany były niewykończone i nosiły ślady desek, które utrzymywały beton, zanim okrzepł. Chodziliśmy dokoła czteropiętrowej baszty fortecy. Z wnętrza dochodziły jakieś głosy. Wszystkie drzwi były szczelnie zamknięte. Hitlerowcy strzelali spoza stalowych płyt zakrywających okna. Ale my poruszaliśmy się pod samymi ścianami fortecy i dlatego byliśmy dla nich nieosiągalni. Wokoło sterczały szyny — słupy przeciwzołgowe i jeże, stały samochody rozbite odłamkami naszych pocisków.

Nadszedł ranek. Ogień z twierdzy ustał.

— Nie strzelać, ogień — tylko w ostatecznym wypadku. Odczekać.

Krzyczeliśmy po niemiecku i po rosyjsku: — „Otwórzcie drzwi, podajcie się!“ — Ale twierdza milczała, głosy wewnątrz umilkły — zdawało się, że wszystko tam wymarło.

Czyżby hitlerowcy — a było ich tam zapewne wielu — uciekli przez jakieś podziemne przejście? A to by dopiero była przykreść! Ale nagle otworzyły się stalowe ciężkie drzwi i ukazał się w nich niemiecki oficer z podniesionymi rękoma.

W tej samej chwili pułkownik Szejkin przekazał mi:

— Przygotujcie się do przyjęcia jeńców.

Niemcy wychodzili niosąc tornistry z różnymi rupieciami, manierki i amunicję. Rzucali broń i tuż koło wyjścia z twierdzy tworzyła się góra karabinów i pistoletów maszynowych.

Na naszą komendę hitlerowcy formowali się w grupy i pod eskortą odchodzili do tyłu. Co za typy można tam było zobaczyć!

Weszliśmy do twierdzy — Niemcy nazywali ją „bunkrem“. Był to czteropiętrowy, żelbetonowy budynek z maleńkimi okienkami — strzelni-

cami. Na rogach wznosiły się półokrągłe baszty, na których szczycie znajdowały się stanowiska potężnych dział przeciwlotniczych.

Na drugim piętrze był szpital. Gdy weszli tam moi gwardziści, chirurg operował właśnie w sali operacyjnej jakiegoś oficera niemieckiego. Lekarz nastraszył się i zostawił rannego. Gwardziści wyszli, aby mu nie przeszkadzać.

W twierdzy zainstalowane były windy i światło elektryczne. Był to wspaniałe urządzone schron z zapasami wody i żywności, z wentylacją i ogrzewaniem.

Tutaj chronili się oficerowie, podoficerowie i szeregowcy rozbitych jednostek pancernych armii hitlerowskiej. W ciągu kilku godzin przyjęliśmy około dwóch i pół tysiąca jeńców.

W pomieszczeniach twierdzy znaleźliśmy składy map topograficznych, pokoje, gdzie pracował oddział niemieckiego sztabu generalnego.

Weszliśmy na dach twierdzy. Ciężkie działa przeciwlotnicze stały z opuszczonymi lufami. Stąd, z betonowego tarasu, widać było cały Berlin — z północy na południe, ze wschodu na zachód. Szare miasto zniszczone przez naloty lotnictwa i artylerię. Z niektórych wysokich gmachów pozostały gdzieś tylko pojedyncze ściany. I nawet na tych ścianach i na ich szczytach powiewały zatknięte przez naszych śmiałków — jasnoczerwone flagi.

N. SZATIŁOW
STARSZY SIERŻANT

Materiał do ostatniego numeru

Działo się to 1 maja. Redaktor padł, jego zastępca był ciężko ranny, brakło też szofera i zecera. Współpracownik działu literackiego był chory. Cała redakcja spadła na barki sekretarza redakcji, porucznika Minczina. On to porучzył mi zadanie zebrania materiałów wśród strzelców i oficerów walczących w tym czasie w rejonie zdobytego już wówczas Reichstagu.

Ulicami ciągnęły kolumny czołgów, samochodów i wozów konnych, szli ludzie. Trudno było przejść. Na przeprawach — zatory. Wszyscy rwali do przodu, byle szybciej być tam w śródmieściu.

Skręciłem w jakąś głuchą uliczkę. Strzelcy skuleni przebiegali od jednego do drugiego domu i znikali w piwnicach. Nagle zagwizdały pociski karabinowe, powietrze zadrgało od huku wybuchającego pocisku. Cofnąłem się za róg, a potem wbiegłem do sieni pobliskiego domu.

Ujrzałem tam łączników.

— Jak tu można przejść? — spytałem.

— O tak, jak idziecie — odpowiedzieli — wszystkie ulice tak samo ostrzeliwuje, cholera. Do pojedynczych ludzi strzela „pięściami pancernymi“. A dokąd idziecie?

— W kierunku Szprewy.

— To idziemy razem.

Przedzierając się przez piwnice, otwory w ścianach, przeskakując płoty, bieглиśmy naprzód. Koszula moja była już mokra. Ręce i nogi bolały od uderzeń. Wyszliśmy na skrzyżowanie ulic koło „kirchy“. Nie zdążyłem rozejrzeć się jeszcze, gdy tuż koło mnie zadrżała ziemia i z trzaskiem runęło drzewo. Wszystko dookoła pokryły tumany kurzu, prąd powietrza uderzył mnie w twarz, z gwizdem przeleciały odłamki. Na głowę posypały mi się kawałki cegły i wapna.

Oprzytomniawszy chciałem biec w podwórze, ale w bramie zatrzymałem się. Naprzeciw mnie pędził jakiś wysoki szeregowiec i z jego zwisającej ręki ciekła krew. Potrząsnął pięścią i coś krzyczał. Gdzieś obok krótko zaterkotał pistolet maszynowy. Strzelec nie zdążył dobiec do mnie, zatoczył się i płasko runął na kamienie.

Wyskoczyłem z bramy na ulicę i wpadłem na jakąś dziewczynę.

— Stój, dokąd to? — ucieszyłem się poznawszy Olę Nikitinę, kolportera sztabu dywizji.

— Jak to dokąd, niosę na punkt obserwacyjny gazety z rozkazem towarzysza Stalina.

— Pytam, dokąd w taki ogień?

Ola roześmiała się.

— A może to tak ciągle będzie, więc co, mam czekać, aż się skończy? No idę już, bo mam mało czasu.

Kiwnęła mi ręką i zniknęła w zburzonym domu. Zawróciłem na lewo i ujrzałem łącznika batalionu piechoty, kapitana Dawydowa.

— Czy daleko do was?

— Nie, blisko stąd.

Przebiegliśmy ten blok. W następnym toczyła się walka. Nie widać było ludzi, a wszystko wokół grzmiało, huczało — jak gdyby same kamienie rozmawiały tu ze sobą. Przebiegliśmy dziedziniec, wdrapaliśmy się na stertę kamieni i wsunęliśmy się w jamę. Pod ziemią było ciemno i wilgotno. Trzymaliśmy się ścian. Po omacku brnęliśmy w głąb podziemia; mój towarzysz świecił latarką i mruczał coś pod nosem. Szliśmy na prawo, na lewo, prosto i wreszcie — doszliśmy do końca drogi. Strzelec wskazał ręką przed siebie i objaśnił:

— Idź prosto, potem na prawo i wejdź w drugą bramę. Tam skrećisz za róg i wejdiesz w trzecie drzwi — to będzie piwnica kapitana Dawydowa.

Idę prosto, skręcam na prawo, ale żadnej bramy nie widać. Domy tonęły w ogniu i dymie. Leciały iskry, gwizdały pociski, osypywały się mury. Rzuciłem się naprzód i potknąłem się o zwłoki jakiegoś Niemca. Zza węgła ukazał się żołnierz z pistoletem maszynowym w ręku.

— Stój, dokąd cię diabli niosą — tam przecież są Niemcy.

Potem głos mu zmiękł i uśmiechnął się.

— Nie poznałem was, daję słowo. No, co tam nowego?

— Wyszedł rozkaz pierwszomajowy Stalina.

Wyjąłem gazetę. Strzelec zaczął czytać z zaciekawieniem.

— Gdzie jest Dawydow?

— W Reichstagu.

Przebiegłem most na Szprewie i dostałem się do domu, w którym dół zajmowali nasi, a górę — Niemcy. Zwiadowca Piotr Iwanow włókł skądciś hitlerowca.

— Bił bezpośrednio w nas „pięściami pancernymi“ — powiedział zwiadowca.

W piwnicy faszysta padł na kolana, chwycił naszych ludzi za nogi i błagał o łaskę. Jego gruba, krótka szyja poczerwieniała.

Zwiadowca wziął granaty i polazł przez dziurę w suficie na piętro.

Wrócił wkrótce. Przysiedliśmy na kamieniu w na pół ciemnej piwnicy. Iwanow czytał na głos rozkaz towarzysza Stalina.

— Oho, wspaniale, wojna światowa ma się już ku końcowi.

Rozpromieniony zerwał się z miejsca, chwycił swój pistolet maszynowy i znowu poleciał.

Zapisałem sobie wiele ciekawych faktów i pożegnawszy się z bohaterami, pośpieszyłem do redakcji, aby oddać materiał do nowego numeru. Numer ten był — jak się potem okazało — ostatnim, jaki wydaliśmy w czasie szturm Berlina.

Z pamiętników i listów

1 maja

Idąc ciągle piwnicami podeszliśmy wczoraj wieczorem do szarego domu, stojącego blisko pałacu Wilhelma. Po kilkakrotnych usiłowaniach zdobycia chociażby jednego pokoju w tym domu, postanowiono odłożyć szturm do nocy, a tymczasem odpocząć w piwnicy i uczcić zbliżające się święto 1 Maja. Wypiliśmy, zjedliśmy i urządziliśmy małą uroczystość poświęconą przyszłemu zwycięstwu. Nasz „program“ składał się przeważnie z numerów akrobatycznych. Strzelcy demonstrowali sztukę chodzenia po linie i zarzucania pętli, która to sztuka okazała się tak bardzo niezbędna w Berlinie. W rzeczywistości było to przygotowanie do czekającej nas nocnej operacji.

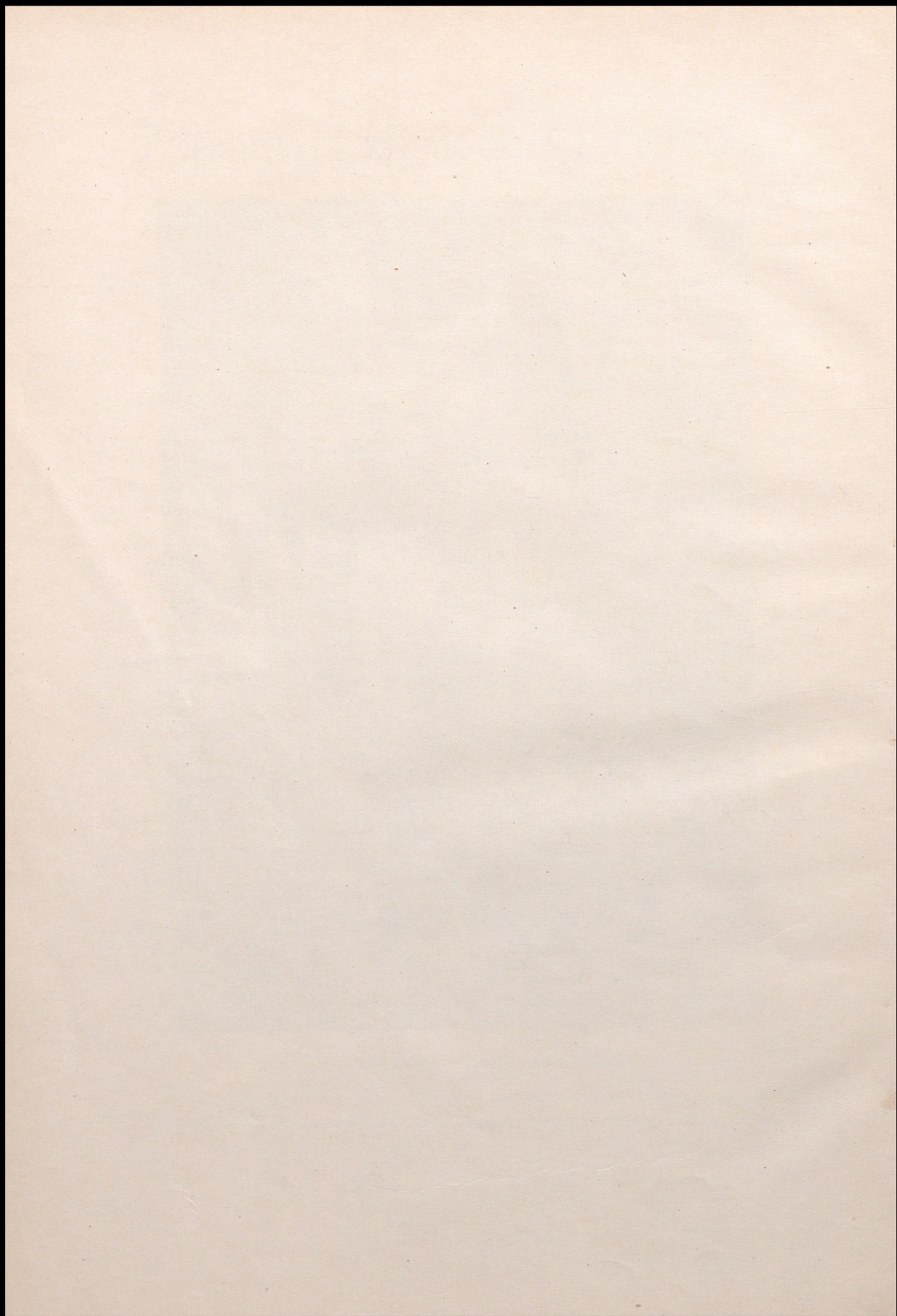
O godzinie drugiej w nocy z rogu zajętego przez nas domu, sierżant gwardii Chruljow celnym rzutem zaczepił pętlę o haki drabiny pożarniczej sąsiedniego domu, gdzie znajdowali się hitlerowcy. Potem sierżanci gwardii Lebiediew i Awtuszenko oraz szeregowiec gwardii Popow, przedostawszy się po linie przez przestrzeń dzielącą oba domy, zaczęli strzelać z pistoletów maszynowych i biegać po dachu z głośnym krzykiem „hura“. Korzystając z paniki, jaka wynikła wśród Niemców, gdy usłyszeli oni nad głowami strzelaninę i krzyki, pozostali strzelcy rzucili się przez podwórze, wylamali bramę i wdarli się do pokoi i korytarzy. Tam natknęli się na hitlerowców stojących koło schodów z podniesionymi do góry rękoma.

Starszy lejtnant gwardii N. USKOW

Gdy zdobywaliśmy jeden z domów na Seidelstrassé — telefonista zakomunikował: stanowiska dowodzenia podają, że otrzymali rozkaz towa-



BIAŁE FLAGI NA DOMACH BERLINA



rzysza Stalina. Należało wszystko zrobić, aby jak najprędzej przeczytać ten rozkaz. Połączyłem się ze stanowiskiem dowodzenia batalionu i wezwałem do telefonu łącznika, komsomolca Afanasjewa. Dałem mu polecenie: dostarczyć niezwłocznie naszej kompanii rozkaz towarzysza Stalina.

Wkrótce potem zobaczyliśmy sierżanta Afanasjewa, który to biegnąc, to czołgając się zmierzał w naszym kierunku. Do domu, który szturmowaliśmy pozostawało zaledwie dwadzieścia do trzydziestu metrów. Już leciały w okna granaty. Zdawało się, że jeszcze jedno uderzenie, a wdrzemy się doń. Jednak trudne były te ostatnie metry. Nieprzyjacielskie karabiny maszynowe nie pozwalały nam podejść.

Sierżant Afanasjew, szary od kurzu i wapna, ciężko dysząc podsunął mi gazetę z rozkazem towarzysza Stalina. Gdy zapoznałem się z treścią, zdecydowałem, że należy niezwłocznie dostarczyć strzelcom rozkaz naszego Stalina. Rozkaz brzmiał: „Ścigać i okrążyć niemieckich najeźdźców, nie dawać im spoczynku“. Gdy słowa te obieły całą kompanię, ludzie jakby urosli. Każdy czuł, że to właśnie do niego zwraca się Stalin w dniu 1 Maja. Z jakim zapałem i entuzjazmem rzucili się, by wypełnić rozkaz Stalina! Komsomolcy: sierżant Pożydajew, szeregowcy Krastin i Bojczuk ze słowami: „Naprzód, za Stalina!“, rzucili się przez ulicę, wdarli w bramę domu, a następnie granatami utorowali sobie drogę do korytarza i pokoi. Śladem śmiałków cała kompania przebiegła ulicę i wdarła się do domu. Po kilku minutach nie było w nim ani jednego hitlerowca.

Młodszy lejtnant W. BONDARIEW

Nad miastem wiszą czarne chmury dymu. Ciężka artyleria strzela bez przerwy. Zbliża się już wieczór, a strzelcy nie jedli jeszcze obiadu. Wszyscy osłabli z powodu bezsennych nocy, twarze ich były czarne od dymu i kurzu. Po przeczytaniu pierwszomajowego rozkazu towarzysza Stalina rozległa się czyjaś komenda: „Naprzód, towarzysze, czołgać się, biec — byle naprzód, zwycięstwo będzie nasze!“ Trzeba było wyrobić w sobie nie byle jaką cierpliwość, upór i wytrzymałość, aby wbrew wszystkim przeszkodom iść tutaj naprzód.

Sierżant gwardii P. CZERKASOW

Pierwszomajowy rozkaz wodza czytaliśmy przy akompaniamencie huku artylerii i terkotu karabinów maszynowych. Myślą zaś byliśmy tam — w sercu naszej Ojczyzny. W Moskwie zapewne odbywa się teraz defilada, a my tu kończymy wojnę.

Sierżant A. BARANNIKOW

Tam gdzieś daleka Ojczyzna, okryta wiosenną zielenią, radośnie obchodzi najmiłsze swe święto. Wznosi toast za nasze zdrowie, za nasze zwy-

cięstwo. Moskwa śle nam pozdrowienie i błogosławi bohaterskim czynom. Ojczyzno! My, synowie twoi, żołnierze, jak nigdy dotąd tęsknimy teraz za tobą — dumni jesteśmy z ciebie. Nasz żołnierski toast wznosimy za ciebie Ojczyzno, za twoją wolność, za twoje szczęście, za ciebie — Stalinie!

Kapitan I. SJENCZA

Zużycie pocisków było dziś wielkie. Aby dostarczyć je do dział, musieliśmy przechodzić przez skrzyżowanie ulic, będące stale pod ostrzałem. Z dwunastu kanonierów, którzy wyznaczeni byli do donoszenia amunicji, ubył ośmiu — kilku zostało zabitych. Pozostali kanonierzy nie mogli dać sobie rady. Wynikła stąd krytyczna sytuacja, gdyż działom zaczynało brakować pocisków. Zobaczyli to robotnicy — cudzoziemcy przypędzeni przez hitlerowców do Berlina. Do dowódcy baterii podbiegli dwaj Czesi, potem jeszcze dwaj. Zaofiarowali swą pomoc. Dowódca baterii powiedział:

— Dobrze, pomóście, sojusznikom zezwalam.

Czesi bardzo ucieszyli się i wraz z naszymi kanonierami zaczęli przenosić pociski przez niebezpieczne skrzyżowanie ulic.

Artylerzyści poweseleli — znowu często grzmiały wystrzały dział.

St. szeregowiec gwardii. A. SLJEPUCHIN

Nie mogę teraz określić, na jakiej to działło się ulicy, gdyż wszystkie niemieckie tabliczki z nazwami ulic były tu strącone albo zasypane gruzami. Leżeliśmy wraz z dowódcą kompanii, kapitanem Batinem, koło sterty gorących, dymiących jeszcze cegieł. Iskry lecące z płonących domów sypały się nam na głowy i parzyły. Pot łał się z naszych dawno nie mytych twarzy. Kapitan był zmieniony nie do poznania. Był to wynik wielu bezsennych nocy. Spojrzałem mu w oczy i zachciało mi się go objąć i pocałować jak ojca w ciężkiej chwili życia.

— Walczymy jak jedna rodzina. — Potem podniósł się i krzyknął: — Naprzód za mną!

Pobiegliśmy za nim nie zwracając uwagi na silny ogień nieprzyjaciela. Wieczorem, po walce, byliśmy znów razem z kapitanem i wraz z nim obchodziliśmy wielkie święto 1 Maja.

Młodszy sierżant N. TIMOSZENKO

Dobrze zapamiętaliśmy słowa, którymi żegnał nas dowódca batalionu, gdy ruszaliśmy w drogę: „Przypadło nam w udziale szczęście uczestniczenia w ostatecznych bojach... Jestem przekonany, że zatknijemy nasz sztandar na Reichstagu“.

Już za nami pozostał Kanał Landwerski z na w pół rozwalonym mostem, przez który przenosiliśmy na rękach nasze działa w gęstej chmurze pyłu unoszącego się z walących się budynków. Piechurzy, do których zostaliśmy przydzieleni, idą na przodzie. Rozpoczęli oni forsowanie kanału nie czekając na zakończenie przygotowania artyleryjskiego. Skądś wali karabin maszynowy — donoszą mi, że piechota zatrzymała się. Należy jak najszybciej oczyścić drogę, ale jak tu w tym pyle, który nas otacza niby ścianą, znaleźć gniazdo ogniowe? Zatrzymujemy się i wysyłamy zwiadowców. Wyczuwam, że moi żołnierze denerwują się, i wiem dlaczego — boją się, że ten przeklęty karabin zatrzyma nas i cały batalion, i że nie będziemy mogli wyprzedzić innych.

W końcu Karymow, łącznościowiec i zarazem jeden z najlepszych naszych zwiadowców, zagłębił się w tę gęstą chmurę i ustalił w przybliżeniu, z jakiego miejsca strzelają. Postanawiamy dla większej pewności podciągnąć działo bliżej celu. Rozlega się wzburzony głos działonowego, starszego sierżanta Pietroczyka: „Za mną do Reichstagu!“ I gwardziści ciągną armaty prosto w ogień pocisków karabinowych. Sekundy poprzedzające wystrzał wydały się godzinami. Wreszcie — wystrzał...

— Maziła, z tobą nie weźmiemy Reichstagu — łaje Pietroczyk celowniczego.

— Weźmiemy — odpowiada celowniczy omal nie płacząc z powodu takiej obrazę.

I rzeczywiście po drugim wystrzale karabin maszynowy zamilkł.

Równocześnie z tyłu naszych armat rozległ się okrzyk „hura“, to nasi piechurzy rzucili się do szturm. Okazało się, że w pogoni za nieprzyjacielskim karabinem maszynowym wyprzedziliśmy piechotę.

Zadanie wykonane, gniazda ogniowe zniszczone, piechurzy przełamali opór wroga i Reichstag jest teraz całkiem blisko. Ale gdy podeszliśmy do gmachu, na dachu powiewał już czerwony sztandar. Zatknęli go — jak dowiedzieliśmy się później — towarzysze, którzy podeszli do Reichstagu z północy.

— Nie zdążyliśmy — z goryczą powiedział Pietroczyk. — Ach wy... — złościł się niesłusznie na obsługę działa.

Zaledwie udało mi się uspokoić chłopców, tak dalece byli rozgoryczeni, że wyprzedzono nas. Mnie również było nieprzyjemnie.

Lejtnant gwardii A. BUJNAK

Podchodząc do Reichstagu ciągnęliśmy nie jedną, lecz trzy linie. Gdy jedna spali się — to druga działa. Gdy druga zostanie uszkodzona — już trzecia gotowa.

Zaledwie zdążyliśmy podejść do Reichstagu, a już wszyscy zaczęli prosić: „Poślij mnie, ja przeciągnę linię do Reichstagu“. Każdy chciał być

pierwszy. Wygrali oczywiście Korulenko i Primak, i znów byli pierwsi. Mieliśmy przebiec tylko dwieście metrów, ale hitlerowcy ostrzeliwali z tyłu i z boku. Puściliśmy zasłonę dymną, jednak silny wiatr rozwiął dym i Niemcy otworzyli ogień z lewego skrzydła. Dwaj nasi sławni bohaterowie zostali ranni — sierżant Seliwanow, który najlepiej ze wszystkich spisał się nad Szprewą, i szeregowiec Szulga. Mimo to z nastaniem ciemności przedarliśmy się i przeciągnęliśmy przewód do Reichstagu.

Starszy sierżant P. NIKOŁAJEW

Nasze ciężkie haubice stały koło szkoły im. Goebbelsa, szkoły, w której wychowywały się najślawniejsze faszystowskie potwory. Teraz powiewa nad tym budynkiem czerwony sztandar. Mży deszcz, artyleria grzmi nie milknąc ani na chwilkę, mimo to po naszej stronie robi się coraz ludniej. Mieszkańcy całymi potokami wypływają z piwnic. Dziś po raz pierwszy usłyszałem w Berlinie rozbrzmiewającą poprzez huk wystrzałów armatnich — pieśń radziecką:

Potężny kraj, kochany kraj, niewyciężony nigdy kraj.

Ojczyzna ma i Moskwa ma — to najwspanialszy w świecie raj.

Czy mogłem pomyśleć kiedyś, święcąc ten dzień w pokojowych czasach u siebie nad Dnieprem, że ja, Ukrainiec, będę chodził z pistoletem maszynowym w rękę po ulicach pokonanej stolicy faszystowskiej.

Szeregowiec T. KOWAL

Właśnie wtedy, gdy nadawano przez radio pierwszomajowy rozkaz towarzysza Stalina, szturmowaliśmy pewien trzypiętrowy dom. Seria z pistoletu maszynowego powaliła jakiegoś żołnierza. Rzucił się mu na pomoc instruktor sanitarny, starszy sierżant Brajcew, organizator partyjny naszej kompanii. Chciano go zatrzymać, gdyż ranny żołnierz leżał w takim miejscu, dokąd nie można było podejść. Ale wyrwał się. Dobiegł szczęśliwie do rannego, gdy jednak zaczął go przenosić, sam padł ranny. Chciał wstać, lecz w tym momencie padł strzał, który go śmiertelnie ranił. Stało się to na naszych oczach. Teraz już nic nie zdołało nas wstrzymać. Bardzo lubiliśmy naszego organizatora partyjnego. Był to prawdziwy bohater. Mimo nieprzyjacielskiego ognia wdarliśmy się do domu i rozpoczęliśmy niszczenie hitlerowców za pomocą granatów i ognia z pistoletów maszynowych.

Sierżant gwardii W. PROCOK

Jeszcze kilka dni przed dniem 1 Maja mówiono w pułku o sztandarach, które miano w święto zrzucić na Berlin z samolotów. Zastanawiano się, jakiego mają być rozmiaru, co na nich napisać, gdzie je w samolocie umie-

ścić, aby wygodnie było zrzucać, jak to zrobić, aby sztandar był rozparty i jak najdłużej znajdował się w powietrzu.

Nawigator pułku, major gwardii Tichonow przygotował dwa płaty czerwonego płótna. Na pierwszym było napisane: z jednej strony „Zwycięstwo“ z drugiej — „Chwała żołnierzom radzieckim, którzy zatknęli Sztandar Zwycięstwa nad Berlinem!“ Na drugim widniało hasło: „Niech żyje 1 Maja“!

I oto 1 maja, w samo południe, startują z lotniska myśliwce typu „Jakowlew — 3“, aby zrzucić czerwone sztandary na Berlin. Sztandary te umieszczone są na pokładach samolotów dowódcy pułku, majora gwardii Malinowskiego, i dowódcy eskadry, Bohatera Związku Radzieckiego, kapitana gwardii Nowosjowa.

Samoloty wiozące sztandary były eskortowane przez dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego Woroszejkina, Bohatera Związku Radzieckiego Tkaczenkę, Lawejkina, Pieskowa oraz innych, w których liczbie i ja się znajdowałem.

Zachodzimy od północnego zachodu. Przed nami gmach Reichstagu. Idziemy nań. Major gwardii Malinowski podaje komendę:

— Uwaga! Zrzucam sztandar.

Ujrzeliśmy jasnoczerwony sztandar z napisem „Zwycięstwo“ powoli opuszczający się w rejonie Reichstagu. W tym momencie jak grom, rozległo się w słuchawkach głośne „Hura“, „Chwała Stalinowi!“ „Chwała Radzieckiej Gwardii!“. To lotnicy pozdrawiali wojska Armii Czerwonej w dniu święta 1 Maja. W czasie gdy sztandar opuszczał się z samolotu, przez radio bez przerwy słychać było „Hura, chwała Stalinowi!“.

Był to mój ostatni lot nad Berlinem. Pozostanie mi w pamięci na całe życie.

Bohater Związku Radzieckiego
Podpułkownik gwardii W. BUJANOW

M. PANKOWSKI

MAJOR

J. PANTIUCHOW

STARSZY LEJTNANT

U Bramy Brandenburskiej

Niemilknący huk kanonady grzmiał w centrum Berlina, gdzie bronili się jeszcze okrążeni hitlerowcy. Ulice zapchane były naszymi czołgami, artylerią pancerną i taborami. Piechoty nie widać — przetrząsała budynki i dzielnice.

Wigilia 1 Maja. Batalion majora Nasonowa przygotowuje się do natarcia. Właśnie otrzymaliśmy rozkaz dowódcy pułku, aby batalion nasz przedarł się ku Bramie Brandenburskiej.

Na dziedzińcu odbywa się zebranie partyjne. Dowódca batalionu wyjaśnia komunistom zadania pododdziałów.

— Towarzysze komuniści! — powiedział na zakończenie — przypadł nam w udziale wielki honor wymierzenia nieprzyjacielowi ostatniego ciosu w dniu święta 1 Maja. Nasze uderzenie powinno być i będzie śmiertelne dla hitlerowców... Komuniści, jak zawsze, powinni być w pierwszych szeregach... To wszystko!

Występuje dowódca piątej kompanii, komunista Tokariew.

Zwraca się do dowódcy batalionu i mówi:

— Komuniści i wszyscy żołnierze wchodzący w skład mojej kompanii wykonają godnie wyznaczone im zadanie.

Na takim samym zebraniu komsomolców, które odbywało się w ruinach trzypiętrowego budynku po drugiej stronie ulicy, sierżant Wolik mówi:

— Towarzysze komsomolcy! Sztandar naszej dywizji zdobią dwa ordery bojowe. Jest w tym część naszej zasługi — nas komsomolców. Będziemy więc, jak zawsze, pierwsi! Obiecuję, że w tej walce pierwszy załknę Sztandar Zwycięstwa na Bramie Brandenburskiej.

Przed wieczorem pododdziały batalionu rozpoczęły szturm na Reichsbank. Broniący się tam hitlerowcy otworzyli silny ogień ze wszystkich rodzajów broni. Nie zwracając uwagi na to żołnierze piątej kompanii starszego lejtnanta Tokariewa z uporem parli naprzód, strzelając do okien i strychów. Działonowy, komunista, starszy sierżant Biely wytoczył armatę na odkryte stanowisko i strzelał na wprost do gniazd ogniowych wroga. Nawet gdy został ranny nie opuścił działa.

Żołnierze gromadzą się na linii szturmowej. Od Reichsbanku dzieli nas niecałe sto metrów. Kaemiści i obsługi dział wzmagają ogień do maksimum. W powietrze wzbija się zielona rakietka. Towarzysz Tokariew pierwszy zrywa się i podaje komendę:

— Za Ojczyznę, za Stalina!... Naprzód!

Żołnierze grupami wyskakują z ukrycia i z okrzykiem „hura“ biegną za nim. Niemcy zwiększają nasilenie ognia. Do banku pozostało nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. W tej chwili u nóg odważnego oficera wybucha „pięść pancerna“. Tokariew pada ciężko ranny. Chwilowe zamieszanie. Ale oto wybiega już naprzód starszy sierżant Dżakow.

— Naprzód towarzysze!

— Pomścimy dowódcę! Hura!

Żołnierze podążają za nim. Do bram i okien lecą granaty ręczne. W górne piętra walą bez przerwy nasi artylerzyści i moździerzyci, nie dając wrogowi możliwości prowadzenia celnego ognia. Sypią się cegły i tynk. Dwie grupy szturmowe przedarły się już do wejścia. Obrzuciwszy westybul granatami żołnierze wdarli się do wnętrza budynku. Przez kilka minut trwa tam zacięta walka.

Z głównego wejścia wychodzą pierwsi jeńcy. Idą za konwojentami z rękoma podniesionymi do góry. Jednocześnie w oknach pierwszego i drugiego piętra pojawiają się białe flagi.

Wolne pododdziały batalionu zebrały się z rana w na wpół zburzonej fabryce papieru. Dowódca batalionu odczytał rozkaz pierwszomajowy Wodza Naczelnego. Szeregowcy, podoficerowie i oficerowie złożyli przed frontem uroczystą przysięgę, że w oczekującym ich dziś szturmie nie zawodzą zaufania towarzysza Stalina...

Wprost z wiecu pododdziały poszły w bój. Cały dzień 1 Maja przeszedł w ciężkich walkach. Pododdziały batalionu, przedzierając się w kierunku teatru, oczyszczały z nieprzyjaciela dom za domem, blok za blokiem. Hitlerowcy zaciekle bronili się na Niederwallstrasse i równoległej do niej Kurstrasse. Przez noc zdążyli oni zgromadzić tu silne zgrupowanie, w którego składzie było około dziesięć dział pancernych i samochodów pancernych z urządzeniami do wyrzucania pocisków raketowych.

Kapitan Stiepanow, dowodzący tego dnia batalionem, postanowił zrezygnować z natarcia czołowego i wykonać manewr okrążający, przebijając



się przez domy wewnątrz bloków. Saperzy otrzymali rozkaz wykonania z nastaniem zmroku dwunastu przejść w ścianach przylegających domów.

Mimo silnego ostrzału nieprzyjaciela saperzy i pomagający im żołnierze przebijali jedno przejście za drugim. Pracowali łomami, używali ładunków toluowych i zdobywanych „pięści pancernych“. Około godziny drugiej w nocy przejścia były gotowe i grupy szturmowe zaczęły przez nie przedostawać się na tyły i skrzydła nieprzyjacielskiego zgrupowania. Rozpoczęła się zacięta walka nocna. Hitlerowcy bronili się rozpaczliwie, ale w obawie przed zupełnym okrążeniem zaczęli wycofywać się wzdłuż Jägerstrasse i Taubenstrasse w kierunku teatru.

Grupy szturmowe, nie dając im oprzytomnieć, wdarły się za nimi do teatru. W tym wielkim gmachu walczone z nieprzyjacielem w ciemności, czym się dało: łopatom, nożami, granatami ręcznymi. Po upływie pół godziny wszystko było zakończone.

Nie zatrzymując się pododdział posunął się dalej ku Bramie Brandenburskiej. Gdy grupy szturmowe oczyściły już kilka bloków, nadszedł meldunek od dowódcy plutonu, starszego sierżanta Dżakowa, osłaniającego prawe skrzydło batalionu. Dżakow meldował, że nieprzyjacielska grupa w liczbie około 200 osób, rozporządzająca działami pancernymi i opancerzonymi samochodami terenowymi, przeszła do przeciwuderzenia i zagraża odcięciem posuwającej się naprzód kompanii. Po kilku minutach nadeszła od niego wiadomość, że Niemcy posuwają się już po Berenstrasse. Sytuacja komplikowała się. Dowódca batalionu postanawia nie zatrzymywać grup szturmowych. Rozkazuje swemu zastępcy, kapitanowi Fotijewowi, zlikwidować niebezpieczeństwo grożące skrzydłu. Ten pobiegł tam



BERLIN ZDOBYTY



szybko wraz z organizatorem partyjnym batalionu, lejtnantem Gujnanem.

Fotijew z plutonem żołnierzy zajmuje obronę okrężną w rejonie stacji metra przy Friedrichstrasse. Wysyła do narożnego domu przy Berenstrasse obsługę ciężkiego karabinu maszynowego pod dowództwem sierżanta Gorodzickiego. Ogień ryglowy tego karabinu powoduje zamieszanie wśród hitlerowców. Skorzystawszy z tego kapitan Fotijew ruszył wraz z żołnierzami do przeciwuderzenia i to ostatecznie zakończyło sprawę. Do niewoli dostało się około czterdziestu Niemców. Pozostali rozproszyli się w kierunku Unter den Linden...

W tym czasie szósta kompania strzelecka kapitana Dudina, szybko pędząc przed sobą nieprzyjaciela w stronę Bramy Brandenburskiej, podeszła do hotelu „Adlon“, gdzie mieścił się niemiecki szpital polowy. U głównego wejścia zatrzymywały się samochody przywożące rannych niemieckich żołnierzy. Nie zaprzestali wyładowywania rannych nawet wtedy, gdy nasi fizylierzy ścigając hitlerowców wdarli się za nimi na dziedziniec hotelu i zawiązali walkę. W szpitalu tym było ponad tysiąc dwustu rannych. Pozostawiwszy tu jeden pluton jako ochronę szpitala i zabezpieczenie swego prawego skrzydła kapitan Dudin ruszył z pozostałymi plutonami dalej. Na przodzie kompanii szła grupa szturmowa sierżanta Wolika. Oczyszczała ona z nieprzyjaciela dom po domu i bezustannie pędziła go w stronę Goeringstrasse. Aby nie tracić czasu, obchodziła ona domy zajęte jeszcze przez nieprzyjaciela, pozostawiając je innym zbliżającym się pododdziałom kompanii.

Z Goeringstrasse grupa szturmowa ujrzała wreszcie cel, do którego zmierzała — łuk Bramy Brandenburskiej, nad którym powiewał już czerwony sztandar.

Cała Goeringstrasse znajdowała się pod silnym ostrzałem.

Wybuchały tu pociski od strony Tiergarten, gdzie siedzieli jeszcze hitlerowcy, i od strony łuku. Wobec tego kapitan Dudin rozkazał posuwać się przez podwórze.

Gdy zajęty już został ostatni dom tego bloku, dom, którego front wychodził na Unter den Linden, i gdy nadciągnęły sąsiednie grupy szturmowe i kaemiści, dowódca batalionu wystrzelił zieloną raketę — sygnał ogólnego natarcia. Wtedy ze wszystkich podwórz ruszyły na ulicę grupy żołnierzy. Obrzuciwszy hitlerowców granatami ręcznymi nacierający skierowali się ku Bramie Brandenburskiej.

Sierżant Wolik z rozwiniętym czerwonym sztandarem w lewej ręce pierwszy podbiegł do łuku bramy. Z pomocą kapitana Dudina i szeregowca Lebedko wdrapał się na bramę i znalazłszy otwór w koniu z brązu, wetknął drzewce sztandaru.

N. PIESKOW
STARSZY SIERŻANT

Komsomolcy w walce o pałac Wilhelma

Batalion nasz w walce podszedł prawie do pałacu cesarza Wilhelma na Schlossplatz. Dzieliło nas od pałacu dwieście metrów, ale podejść doń było bardzo trudno. Nieprzyjaciel energicznie ostrzeliwał się z okien i bram sąsiednich domów, zasypywał nas „pięciami pancernymi“. A batalion nasz był i tak już silnie nadwątlony. Straciliśmy w ostatnich walkach wielu ludzi, a wśród nich kilku oficerów.

Mimo to nikt z nas nie myślał nawet o jakiegokolwiek dłuższej zwłoce. Była to wigilia 1 Maja i postanowiliśmy uczcić ją zdobyciem pałacu cesarskiego, aby obdarzyć w tym dniu Kraj Radziecki jeszcze jednym zwycięstwem.

I oto w tę cichą, przedmajową noc zwołano wszystkich komsomolców do piwnicy, gdzie mieściło się nasze stanowisko dowodzenia. Było nas dwunastu. Wszyscy byliśmy młodzi, ale pod względem rutyny wojennej dorównywaliśmy starym żołnierzom: wszyscy byliśmy już w ogniu i nie było wśród nas tchórzy. Młodszy sierżant Aleksjejenko jako jeden z pierwszych żołnierzy radzieckich forsował Szprewę i utrzymywał przyczółek na zachodnim jej brzegu. Szeregowiec Bacholdin, łącznik dowódcy batalionu, wesołek i ulubieniec wszystkich, często czołgał się pod huraganowym ogniem nieprzyjaciela od kamienia do kamienia, przekazując rozkazy bojowe dowódcom pododdziałów. Sanitariuszka Dusja Ciwirko wyniosła spod ognia niejedną dziesiątkę rannych, a i sama była już trzykrotnie ranna. Wszyscy żołnierze batalionu lubili ją i szanowali za odwagę, troskliwość i za słowa otuchy. Wśród tych dwunastu komsomolców, którzy zebrali się w piwnicy stanowiska dowodzenia, nie było ani jednego takiego, który by nie wyróżnił się w walkach z faszystowskim najeźdźcą.



Byłem organizatorem komsomolskim naszego batalionu i do mnie należało zaznajomienie komsomolców z oczekującym ich zadaniem. Powiedziałem:

— Na jutro, tzn. na dzień 1 Maja, wyznaczony został szturm pałacu. My, komsomolcy, powinniśmy być na przedzie i porwać za sobą żołnierzy. W poprzednich walkach wykonywaliśmy rzetelnie wyznaczone nam zadania i nieraz dawaliśmy przykład dyscypliny i odwagi. Mam nadzieję, że i jutro nie przyniesiemy ujmy mianu komsomolca — zdobędziemy pałac. Niechaj czerwony sztandar zostanie zatknięty naszymi komsomolskimi rękoma.

Nie oczekiwałem sprzeciwów i te oczywiście nie nastąpiły. Wszyscy komsomolcy wyrazili przekonanie, że szturm na pewno się uda, a Aleksiejenko przysiągł, że pierwszy wedrze się do pałacu i zatknie na nim czerwony sztandar.

Rozeszliśmy się, aby zająć się przygotowaniem do walki. Noc przeszła spokojnie. Rozdano naboje i granaty. Dowództwo rzuciło na nasz odcinek kilka czołgów typu „IS“ i większą ilość ciężkiej artylerii.

Nad ranem rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Dokoła zrobiło się ciemno od dymu i pyłu ceglanego. Z zadowoleniem przypatrywaliśmy się, jak pocisk za pociskiem celnie pada na pałac — należy przypuszczać, że siedzący tam hitlerowcy nie podzielali naszej radości. Obezwładnieni burzącym ogniem przestali prawie zupełnie strzelać.

Na parterze w zwróconej ku nam stronie gmachu znajdowało się duże okno. Przez nie to miała wtargnąć grupa szturmowa. Było ono jednak opatrzone kratą. Ale i tu pomogli artylerzyści. Przestrzeliny coraz bardziej otaczają zakratowane okno, w końcu — jeden pocisk padł w sam środek kraty. Zrobił się duży otwór.

Nastąpił decydujący moment. Wysunąwszy się na linię szturmową żołnierze przygotowali się do szturm.

— Komu dać flagę? — zapytał dowódca batalionu Reszetniew.

— Mnie — krzyknął Aleksjejenko.

Artyleria przenosi ogień na sąsiednie domy.

— Naprzód! Do szturm! — daje komendę kapitan Baraniec.

Komsomolcy, porwawszy za sobą pozostałych żołnierzy, biegną naprzód.

Nie było przerwy pomiędzy przygotowaniem artyleryjskim a szturmem i dlatego Niemcy nie zdążyli oprzytomnieć. Żołnierze przebiegli szybko dwieście metrów, wdarli się przez okno i tu puścili w ruch granaty. W ogromnych salach pałacu zagrzmiały wybuchy.

Niższe piętra pałacu zostały szybko oczyszczone. — Niemcy rzucili się do piwnic i na górę, mając widocznie nadzieję, że uda im się oderwać od nas i zorganizować opór. Aleksjejenko, który nie mógł się jeszcze dostać na dach, umocował sztandar w oknie pierwszego piętra. Ten znak zwycięstwa nie był przedwczesny. Siła naszego naporu nie słabła i dach wkrótce został zdobyty. Wraz z szeregowcem Fajzulinem zmusiliśmy do milczenia ciężki karabin maszynowy, który odezwał się z piwnicy wtedy, gdy część żołnierzy walczyła już na dziedzińcu pałacowym. Posuwając się wzdłuż ściany dotarliśmy do samego okna i rzuciliśmy weń parę granatów przeciwzołgowych.

Gdy weszliśmy do piwnicy, trzystu rannych żołnierzy niemieckich podniosło ręce.

A. TRAJNIN
STARSZY LEJTNANT

Na Unter Den Linden

Wieczorem 1 maja, gdy batalion nasz znajdował się w pałacu Wilhelma, otrzymaliśmy rozkaz sforsowania kanału, wyjścia na Unter den Linden i dotarcia do Bramy Brandenburskiej.

Hitlerowcy prowadzili bez przerwy ogień z zachodniego brzegu kanału. W ciemności błyskały tory serii z karabinów maszynowych, grzmiały wybuchające „pięści pancerne“. Z jakiegoś punktu w rejonie Reichstagu hitlerowcy systematycznie ostrzeliwali pociskami moździerzowymi Schlossplatz przed cesarskim pałacem. Było coś z obrony skazańca w tej rozpaczliwej i daremnej strzelaninie, która już niczego nie mogła zmienić.

Żołnierze cicho rozmawiając ze sobą zebrali się na dziedzińcu pałacu i przygotowywali do oczekującego ich natarcia.

Słyszę znajomy mi cichy szept starego żołnierza — moździerzysty Mierasowa.

— W stepach pod Mozdokiem — mówi Mierasow, który przeszedł sławny szlak od gór Kaukazu do Berlina — zawsze myślałem sobie: czy będę miał szczęście walczyć na ulicach Berlina?

— Tak — wspomina komunista Lebediew — myśmy jeszcze nad Wisłą obiecali towarzyszowi Stalinowi, że nasze pociski doleczą do Berlina.

Pada komenda:

— Przygotować się! Na miejsca!

Moździerzysci mają na ramionach lufy i płyty oporowe, kaemiści wprzęgli się w swoje „maszynki“. Łącznościowcy rozwinęli już stację na stanowisku dowodzenia batalionu i gotowi są ciągnąć przewód przez kanał.

Pierwsza grupa — strzelcy lejtnanta Krysienki i kaemiści lejtnanta Jerszowa — idzie ku mostowi na spotkanie niemiłknącego ognia nieprzyjaciela.

Na moście wybucha strzelanina. W huk wystrzałów wdziera się zgodne „hura”. Odgłosy walki oddalają się.

Po kilku minutach przybiega do dowódcy batalionu łącznik od lejtnanta Krysjenki — Litwin Szimanskas. Młody ten chłopak dopiero niedawno przyszedł do naszego plutonu łączności. Ale jakże się zmienił! Z początkowej nieśmiałości i niezdecydowania nie ma już śladu.

— Towarzyszu majorze — wyraźnie melduje Szimanskas — dowódca kompanii lejtnant Krysjenko kazał mi zameldować wam, że zadanie wykonane, kanał sforsowany. Kompania umacnia się w narożnym domu po lewej stronie ulicy. W domu z prawej strony znajduje się nieprzyjaciel.

Przeprawa przeciąga się. Faszyci zauważyli nas. Skierowali ogień prosto na bramę pałacu, gdzie skupiła się druga grupa. Wybuchają „pięści pancerne”.

Są już ranni, wśród nich dowódca batalionu.

Dowództwo batalionu obejmuje kapitan Giulmamiedow. Działa on szybko i zdecydowanie.

Grupa za grupą przeprawia się przez kanał. Łącznicy Szimanskas i Jakimowicz przebiegają czterokrotnie most pod huraganowym ogniem nieprzyjaciela.

Świta. Niemieccy strzelcy wyborowi zauważyli telefonistów Baczurina i Gercuna, którzy ciągną linię przez most. Pociski padają blisko. Można by skryć się za barykadą, przeczekać, ale batalion musi mieć łączność — przed nim Brama Brandenburska.

I linia została zbudowana. Kapitan Giulmamiedow melduje telefonicznie:

— Jesteśmy na Unter den Linden. Szykujemy się do natarcia na Bramę Brandenburską.

W tym czasie pracują już na moście saperzy kapitana Anisimowa. Słychać stuk siekier i oskardów. Niestrudzeni żołnierze budują drogę dla czołgów.

I oto na Unter den Linden, gdzie odbywały się niegdyś defilady niefortunnych zdobywców przed opętanym führerem — wychodzi radziecki czołg. Powoli obraca się wieża. Lufa armaty „IS” groźnie zatrzymuje się na budynku, z którego nieprzyjaciel prowadzi ogień.

Pada strzał — z hukiem wali się ściana. Hitlerowcy zamilkli.

Batalion szybko posuwa się naprzód. Telefoniści ledwie nadszają rozwijać przewód.

Zatrzymaliśmy się. Nieprzyjaciel ukryty na strychu dwupiętrowego domu strzela wzdłuż ulicy. I znowu zjawia się „IS”. Dwa wystrzały. Starczy. Droga jest wolna.

Ale im dalej, tym więcej punktów oporu nieprzyjaciela. Walą do nas ze wszystkich rodzajów broni: ze strychów, z okien i piwnic. A batalion idzie wciąż naprzód i naprzód — przecież tam, na przodzie widać Bramę Brandenburską...

Z prawej strony posuwają się nasi strzelcy i kaemiści. Z lewej — telefonisci i moździerzysci.

To ciągle i nieustępliwe przybliżanie się załamuje moralnie Niemców. Wpierw pojedynczo, a potem dziesiątkami wychodzą oni zewsząd. Ręce podniesione do góry — smętny i żaloszny wygląd.

Wschodzące słońce oświetla pole walki.

Przed nami — całkiem blisko — wznosi się szary kolos Bramy Brandenburskiej. Jeszcze jeden zryw — i jesteśmy u celu.

Kapitan Giulmamiedow, kapitan Czerkasow — dowódca kompanii moździerzy — i ja podbiegliśmy do bramy. Od zachodu idzie naprzeciw nas jakaś tyraliera. Nasi!

Połączyliśmy się z nacierającymi od południowego zachodu oddziałami Czujkowa. Bohaterowie spod Stalingradu i obrońcy Kaukazu spotkali się w centrum faszystowskiej jaskini. Ogarnęła nas szalona radość. Żołnierze obejmują się i całują.

Koło Bramy Brandenburskiej zbiera się wiec. Jakiś młodziutki oficer przemawia. Odpowiada mu gromkie „hura!“.

W ostatnich godzinach

1

Pod ścianą rozwalonego budynku podpułkownik Kurist wyznaczał dowódcom batalionów nowe zadania. W tej chwili do przeciwległego rogu budynku podjechał samochód. Człowiek średniego wzrostu, w skórzanym palcie, z laską w rękę, skierował się wolnym krokiem w stronę oficerów.

— Czemu stoicie? Dlaczego nie idziecie naprzód — zapytał podszedłszy do nich.

Był to nasz generał — pułkownik, towarzysz Rybałko. Jego pojawienie się nie zdziwiło nikogo. Przecież i w czasie forsowania Nysy, gdy nieprzyjaciel prowadził wściekły ogień z przeciwległego brzegu, generał znajdował się wśród nas pod lawiną nieprzyjacielskich pocisków i bomb.

W chwili gdy towarzysz Rybałko podszedł do nas, nieprzyjaciel otworzył huraganowy ogień z moździerzy i dział z rejonu stacji Charlottenburg. Generał wskazał laseczką w kierunku stacji, która znajdowała się w odległości czterystu metrów od nas, i powiedział:

— Tutaj jest ostatni ośrodek oporu hitlerowców, za tą stacją nacierają idące na nasze spotkanie czołgi Bogdanowa.

Popatrzyliśmy wszyscy w stronę skąd dochodziły odgłosy wystrzałów.

Drogę do stacji przegradzały słupy przeciwczołgowe i ustawione na ulicach grube mury.

Zwracając się do podpułkownika towarzysz Rybałko powiedział:

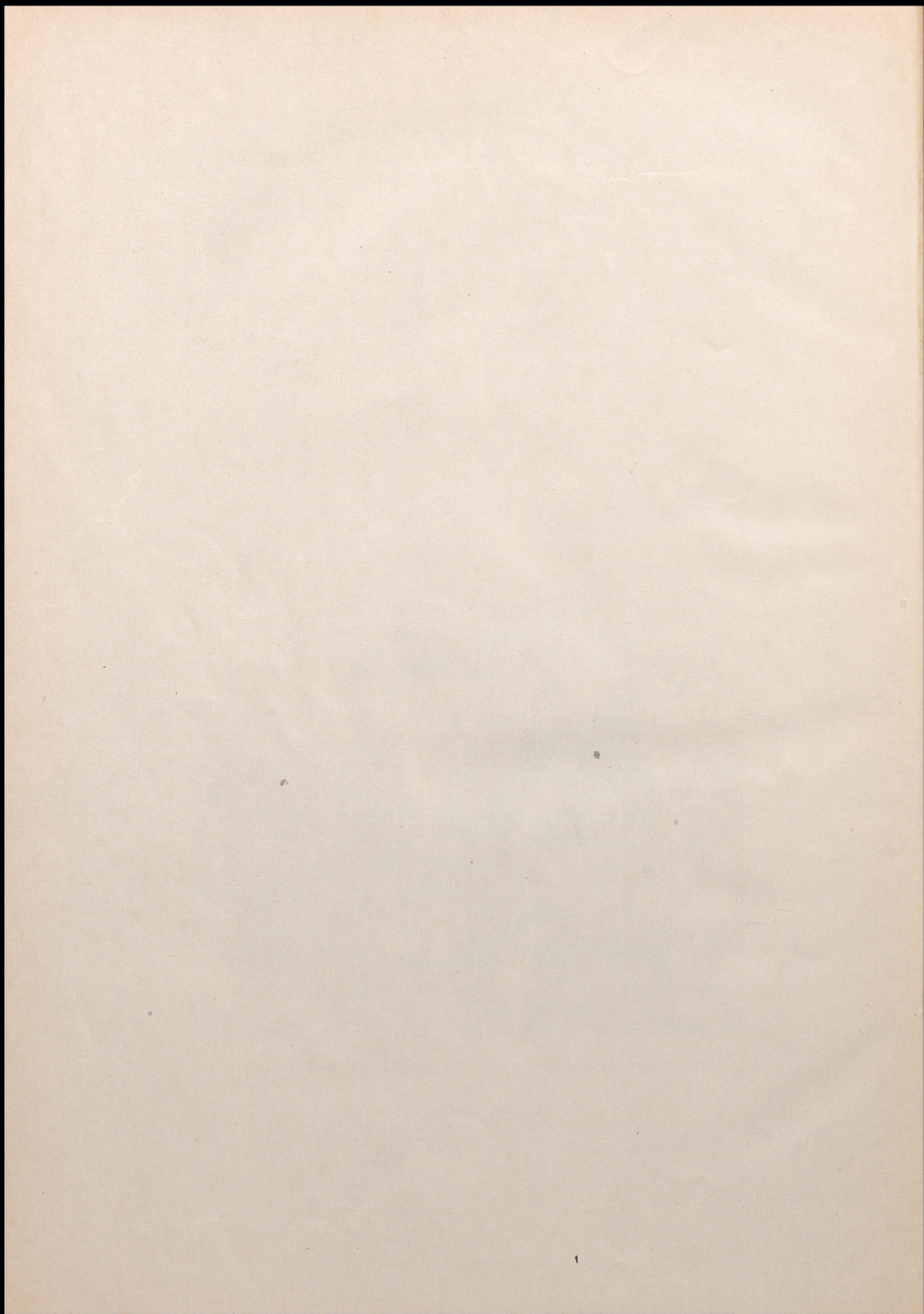
— Kurist, trzeba wziąć stację.

Nasza jednostka pancerna nacierała współdziałając z pułkiem piechoty.

Batalion czołgów majora Szparowa wspierając kompanię fizylierów starszego lejtnanta Karpowa wyszedł na skrzyżowanie Paulsbornerstrasse



KOLUMNY JEŃCÓW NIEMIECKICH W ALEI ZWYCIĘSTWA



i Eisenbahnstrasse. W tym czasie czołgiści batalionu pod dowództwem kapitana Sobolewa współdziałając z kompanią starszego lejtnanta Antonowa, wykonywali manewr okrążający z lewej strony.

Krok za krokiem, niszcząc przy pomocy saperów wszelkie przeszkody, wyciągając nieprzyjaciela z piwnic, zrzucając go z dachów i strychów okolicznych domów, czołgi sunęły na kształt ściany pancernej w kierunku stacji, starając się jak najprędzej połączyć się ze sławnymi czołgistami generała pułkownika Bogdanowa. Tamci szli od strony Odry, a my od strony Nysy. Oni wdarli się do Berlina od północy, a my od południa — i oto nastąpiło spotkanie w centrum miasta.

Gdy czołgi podeszły do nasypu kolejowego, z drugiej strony zjawiał się żołnierz radziecki. Szedł nie schylając się. Ktoś krzyknął:

— Tam są już nasi.

Czołgi młodszych lejtnantów gwardii Władimirowa i Kuźniecowa ruszyły pod most na drugą stronę zajętej już stacji. Wzdłuż Winschandstrasse jechały naprzeciw nich czołgi radzieckie. Były to czołgi Bogdanowa. Po kilku minutach nasi czołgiści wyskoczywszy z wozów ściskali swych towarzyszy broni.

Jak radosne było to długo oczekiwane spotkanie w Berlinie, które odbyło się rankiem 2 maja 1945 roku!

Lejtnant gwardii ARGELANDER

2

Nasza jednostka pancerna wśród ciężkich walk posuwała się w kierunku końcowego celu. Za domami widniały już drzewa Tiergarten.

Przed trzema dniami zginął w czołgu bohater walk o Gdynię młodszy lejtnant gwardii Jenukian. Jego załoga w rozbitym i dymiącym czołgu walczyła jeszcze przez dwie godziny, mszcząc się za śmierć swego dowódcy. Wczoraj pocisk hitlerowskiego działa pancernego wybił dwie rolki w drugim czołgu i unieszkodliwił jego załogę. Czołg ugrzązł w strefie neutralnej. Nasi technicy starali się przez cały dzień dostać się do niego, ale „Ferdynandy“ nie pozwalały im podejść. Aż nagle w nocy zawarczał nieoczekiwanie silnik czołgu, a jego przedni karabin maszynowy szybko przejechał się po gniazdach ogniowych nieprzyjaciela. To dowódca działa, starszy sierżant gwardii Lymar, kontynuował walkę w uszkodzonym czołgu.

1 maja wieczorem nasze czołgi wyszły na Augustusplatz. Tu zatrzymał nas huraganowy ogień z kościoła, który wznosił się w samym środku placu. Wiedzieliśmy już, że koniec walki jest całkiem bliski, że pierścień okrążenia coraz ciaśniej zaciska się na gardle Berlina — Bramy Brandenburskiej. Nasze radiostacje chwytaly już propozycje dowództwa hitlerowskiego odnośnie do poddania się. Niemcy poddawali się całymi setkami, a brudnoszare kolumny jeńców pośepnie ciągnęły na nasze tyły. Ale

hitlerowcy, siedzący w kościele na Augustusplatz, ciągle jeszcze się ostrzeliwali. Rozporządzali oni ośmioma armatami i dwoma działami pancernymi, wkopanymi u wrót budynku. Musieliśmy okrążyć ich. Czołgi podeszły bocznymi ulicami prawie zupełnie pod kościół i zaczęły z bliska strzelać do hitlerowców. Podjechało tu także kilka przydzielonych nam ciężkich czołgów.

O godzinie trzeciej w nocy hitlerowcy powzięli zamiar przyjścia z pomocą swoim okrążonym grupom. Zahuczały samoloty i nad ulicami zakłęsały się w powietrzu spadochrony. Spadochroniarze z pistoletami maszynowymi i długie jak trumny paki z amunicją opuszczały się na zwaly kamieni i gruzy domów. Wielu wpadło od razu w ręce naszych żołnierzy.

Jakiś spadochroniarz opuścił się na dach wysokiego domu. Poruszyła się zwinna figurka, zabłysło światło latarki sygnalizacyjnej. Dowódca plutonu czołgów Brudian dał do dywersanta krótką serię z pistoletu maszynowego i krzątanina na dachu ustała. Pistolet maszynowy i latarka zadzwięczały o bruk. — Hitlerowiec bezwładnie zawisł na linach spadochronu.

Zbliżał się ranek. Huk naszych armat zagłuszył wszystko. Ale w przerwach między salwami armatnimi ciągle jeszcze terkotały nieprzyjacielskie karabiny maszynowe i podwajały się serie rozrywających się pocisków. I oto nagle nasze radiostacje przekazały rozkaz: „Załoga Berlina poddała się — przerwać ogień“. Zamilkły nasze działa — wzniosły się w górę lufy naszych armat czołgowych. Cisza jednak jeszcze nie nastąpiła — ciągle jeszcze świstały kule nieprzyjacielskie i furczały wzdłuż ulicy pociski armatnie. Załoga kościoła nadal stawiała opór.

No cóż, jak bić się, to bić — nie my złożymy broń w tym boju. „Ogień ze wszystkich czołgów“ — zabrzmiał rozkaz i dzwięczny huk naszych dział przeciwpancernych zlał się w jedną potężną salwę z głuchym łoskotem dział czołgowych. „Trzydziestki czwórki“ były do strzelnic w murach i do okien domów, ciężkie czołgi kruszyły węgły i mury. Bezustanny ostrzał trwał jeszcze około godziny. W końcu z ledwo dostrzegalnego w dymie i pyle okna piwnicy kościoła wysunął się zatknięty na bagnecie kawałek białego płótna i lekko zakołysał się nad samym chodnikiem. Padł rozkaz: „Przerwać ogień“! Zaległa cisza. Stojący obok mnie żołnierz zrobił niezdecydowany krok naprzód — na bezpieczną już ulicę. Potem zatrzymał się, zdjął furażerkę i ocierając spoconą głowę uśmiechnął się zmieszany i szczęśliwy.

A z piwnicy — ponuro odwracając się lub przymilnie uśmiechając — wyłazili hitlerowscy szeregowi i oficerowie. Rzucali broń na coraz powiększającą się stertę i powoli podnosili ręce. Wysoki, chudy major niemiecki żując łapczywie czerstwy kawałek chleba składał już przy pomocy tłumacza swoje zeznania.

Major MAŁYCH



W dniu kapitulacji

W nocy na 2 maja kompania nasza szła wzdłuż zburzonych ulic Berlina. W tę noc hitlerowcy wycofywali się wszystkimi ulicami, a niektóre ich oddziały usiłowały uciec z miasta. Mieliśmy za zadanie przeszkodzić im. Dowódca kompanii, starszy lejtnant gwardii Bagajew, polecił nam pojedynczo przejść do jednego z domów na Friedrichstrasse. Dotarliśmy tam i ustawiliśmy nasz karabin maszynowy na stole, koło okna. Zauważył to hitlerowski strzelec wyborowy i zaczął walić do nas. Obserwowałem, skąd on strzela, ale naraz przerwał ogień.

Zrobiło się bardzo cicho. Pomyślałem sobie, że po tej ciszy hitlerowcy na pewno przejdą do przeciwuderzenia i w tejże chwili ujrzałem koło sąsiedniego domu Niemca, który niósł „pięć pancerną“. Celował w nasze okno. Szeregowiec gwardzista Pawliczenko unieszkodliwił go. Nagle wróg rozpoczął strzelaninę ze wszystkich stron. Na ulicy pojawiły się dwa niemieckie opancerzone wozy terenowe, a za nimi samochód ciężarowy z amunicją. Dopuszciliśmy ich na odległość około trzydziestu metrów do naszego domu i wtedy zacząłem rzucać granaty. Samochód ciężarowy zapalił się. Potem zjawiało się na ulicy wiele jeszcze samochodów nieprzyjacielskich, ale myśmy ich nie przepuszczali. Gdy tylko samochód ukazał się zza rogu, strzelaliśmy z karabinu maszynowego do kierowcy i samochód zatrzymywał się. Następnie niszczyliśmy wszystkich, którzy znajdowali się w samochodzie.

Hitlerowcy zorientowali się, że lekko im tu nie pójdzie i wytoczyli przeciw nam armatę. Nic im to nie pomogło, gdyż nie dopuściliśmy do niej obsługi. Dowódca kompanii zaś, wystrzałem z „pięści pancernej“, rozbił tę armatę. Samochody nie mogły przejechać po tej ulicy, tyleśmy ich tu rozbili. Ale między tymi zwałami czało się jeszcze sporo żywych hitlerowców, którzy strzelali do nas. Odpowiadaliśmy. Nagle szeregowiec-gwardzista Tiuszkiewicz, który nabijał taśmy, krzyknął: „Nie ma naboń“. Przyniosłem mu torbę z nabojami i załadowałem taśmę. W mojej torbie było jeszcze pięć granatów, kilka mieli także inni jeszcze żołnierze. Rozdzieliliśmy je i zaczęliśmy rzucać w faszystów. Został mi jeden tylko granat — rzuciłem go w oficera, który ciągle krzyczał: „Feuer, Feuer!“ (Ognia, ognia). Tak, teraz było nam niewesoło, zużyliśmy wszystkie granaty i naboje, a faszyci przeszli już do przeciwuderzenia. Ale w tej sytuacji zjawiał się nagle starszy sierżant gwardii Pirsow i przyniósł cały worek granatów i naboń. Wszyscy skoczyli do worka — każdy chciał nabrać jak najwięcej.

Chwyciłem siedem granatów i prędkiej do okna.

Gdy zrobiło się jasno, strasznie było patrzeć na ulicę, tyle tam było trupów i rozbitych maszyn.

Szeregowiec gwardii I. KOBLIK

2 maja kompania nasza zajmowała jeden z na wpół spalonych bloków kamienic w okolicy Reichstagu. Hitlerowcy starali się przedrzeć przez nasz odcinek. O godzinie szóstej rano, po niewielkim przygotowaniu artyleryjskim, uderzyli na zajmowany przez nas dom. Z granatami w rękę rwali się oni ku wyłomom w ścianach i ku oknom. W tym czasie zabrakło nam akurat amunicji. Musieliśmy biec w ruiny, aby szukać granatów i naboji. Wiele ich tu jeszcze zostało po walce o ten dom.

W czasie gdy część żołnierzy zajęta była zdobywaniem amunicji, udało się pięciu hitlerowcom przeskoczyć przez jeden z wyłomów na podwórzu. Pierwszy zjawiał się niemiecki oficer. Strzeliłem do niego, ale chybiłem, wówczas on rzucił we mnie granatem. Na szczęście granat upadł nie doleciawszy do mnie i wybuchł zasypawszy mnie odłamkami cegieł. Wystrzeliłem po raz drugi — oficer padł. Pozostali ujrzawszy, że ich dowódca został zabity, rzucili się do ucieczki, ale nasze pociski doganiały ich i kładły trupem. Tylko jednemu udało się zbiec.

Zauważyliśmy, że nagle zrobiło się jakoś cicho, na ulicy nie widać prawie żywego ducha. Zastanawiamy się: trzeba się trzymać, bo to na pewno przed nową walką zrobiło się tak cicho. I nagle zjawia się łącznik ze stanowiska dowodzenia kompanii z rozkazem przerwania ognia. Myśm tylko oczy wytrzeszczyli. Nie przypuszczaliśmy, że to już koniec wojny w Berlinie. Wyleźliśmy na ulicę brudni, umorusani — siedzieliśmy przecież siedem dni w tych ruinach. Zebraliśmy z ulic Niemców, którzy nie zdążyli uciec z tej dzielnicy. Było ich około trzystu. Zebrawszy jeńców i odesławszy ich pod konwojem, poszliśmy doprowadzić się do ludzkiego wyglądu.

Starszy sierżant gwardii SAPRONOW

W nocy 2 maja pozostało w naszym batalionie tylko dwóch telefonistów — ja i szeregowiec gwardii Czajka. Pozostali telefonisci padli w ostatnich walkach. Dano nam jeszcze do pomocy strzelca Palijskiego, ale on mało znał się na naszej robocie. Jednakże musieliśmy i jego przygotować, gdyż roboty było bardzo wiele. Batalion nasz zagradzał drogę nieprzyjacielowi na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic i musieliśmy mocno walczyć, gdyż hitlerowcy zaciekle napierali, usiłując tędy się przedrzeć. Było tu tak gorąco, że nie zauważyliśmy nawet, jak minął 1 Maj.

Stałą łączność z poszczególnymi kompaniami dowódca batalionu utrzymywał raczej telefonicznie; w mieście inaczej jest niż w polu: ściany domów przeszkadzały w szybkim orientowaniu się w sytuacji. Ja utrzymywałem łączność z kompanią, którą dowodził kapitan gwardii Chabibulin.



Posadziłem Palija przy aparacie, a resztę wziąłem na siebie. Tej nocy musiałem naprawić jedenaście uszkodzeń. Pracowałem bez odpoczynku i cieszyłem się, że utrzymujemy łączność bez przerwy, że na czas nadawane są rozkazy dowódcy, na czas melduje się mu o przebiegu walki, ilości amunicji i o stratach. Tej nocy sześć razy hitlerowcy przechodzili do przeciuderzeń, lecz odpieraliśmy ich granatami, ogniem z karabinów maszynowych i pistoletów maszynowych.

Z rana dowódca batalionu wezwał do telefonu dowódcę kompanii. Zna-

lazłem go, ale był ciężko ranny i nie mógł chodzić. Zameldowałem o tym dowódcy batalionu. Wówczas polecił mi przekazać rozkaz, aby przerwać ogień i ewakuować oddających się do niewoli Niemców. Odebrałem rozkaz, ale sam sobie jeszcze nie wierzyłem — jak to „przerwać ogień“? Przecież hitlerowcy jeszcze strzelają. Dopiero co unieruchomili „pięścią pancerną“ jeden z naszych czołgów. Więc dlaczego — nie strzelać? Nie wytrzymałem i jeszcze raz połączyłem się telefonicznie ze stanowiskiem dowodzenia. Dowódca batalionu potwierdził rozkaz i dodał jeszcze, że cała załoga Berlina wraz z dowództwem skapitulowała. Trzymając jeszcze słuchawkę przy uchu krzyknąłem „hura“. Siedzący obok mój towarzysz przeżony spojrzał na mnie i spytał:

— Czyś ty kontuzjowany?

— Co tam kontuzjowany! — odpowiedziałem i wsunąwszy mu w rękę słuchawkę, szybko pobiegłem, aby przekazać dowódcy kompanii radosną wiadomość.

Młodszy sierżant gwardii S. SZKUTENKO

6

1 maja wieczorem, po gorącym dniu walk o gmach Reichstagu, mogliśmy wreszcie odpocząć. Oderwaliśmy żelazne drzwi jakiejś piwnicy i postanowiliśmy ulokować się tu i urządzić sobie pierwszomajowe święto.

Zapaliliśmy świece. Przed nami piętrzyły się trzy wielkie stopy papieru.

Przydały się one nam: z paczek papieru zrobiliśmy sobie stoły i krzesła. Siedliśmy do świątecznej kolacji, a potem niektórzy z nas zdrzemnęli się na posłaniach z tego samego materiału. Większość mimo potwornego zmęczenia nie zmrzyła oka.

Noc niepostrzeżenie minęła na rozmowach. Zaczęło świtać i opuściliśmy swą sypialnię. Wyszliśmy na ulicę, która była niczyja — siedłem na przodzie, a za mną ze dwudziestu telefonistów i zwiadowców.

Oto gmach Opery. Przeciwną stronę ulicy posuwamy się ku samemu centrum miasta. Nagle rozlega się seria z karabinu maszynowego — prosto w nas. Ale wszystko przeszło szczęśliwie — nikt nie został ranny. Szybkim krokiem przebiegliśmy ulicę i skryliśmy się pod ścianą sąsiedniego domu. Dalej nie można było iść — my jedni tylko posunęliśmy się naprzód o cały blok domów.

W tym momencie na szczęście ukazał się zza rogu jeden z naszych ciężkich czołgów. Wskazałem czołgistom kierunek, skąd strzelał karabin maszynowy. Czołg obrócił swą wieżę i posłał w tym kierunku dwa pociski. Odgłosy wybuchów wstrząsnęły pustymi, milczącymi ulicami. I znowu nastąpiła cisza. Minęło z dziesięć minut — oszałamiająca cisza trwała nadal. I nagle zewsząd, jakby na komendę, zaczęli zjawiać się uzbrojeni i nie-

uzbrojeni żołnierze niemieccy. Po kilku minutach na skrzyżowaniu ulic zebrał się już tysięczny tłum. Niemcy wyleźli ze swoich nor, aby oddać się do niewoli.

Zastanawialiśmy się, co mamy robić — było nas za mało, aby ich wszystkich konwojować. Musieliśmy kazać im, aby ustawili się w kolumny i pod komendą oficerów skierowali się w stronę naszych wojsk.

Ledwo zdążyliśmy odprawić ostatnią partię, gdy zza rogu wyszła prosto na nas grupa dwustu uzbrojonych żołnierzy z oficerem na czele. Wyszedłem na środek ulicy. W odległości pięciu metrów ode mnie oficer zatrzymał kolumnę, obrócił się do mnie i otworzywszy futerał podszedł bliżej i wręczył mi pistolet. Potem cofnął się o trzy kroki, stanął i czekał. Kazałem kolumnie złożyć broń. Na to oficer ów odpowiedział, że żołnierze zgadzają się złożyć broń, jeśli im zaręczymy, iż zostaną przy życiu, gdyż odział ten jest kolumną uderzeniową wojsk SS.

— My jeńców nie rozstrzelujemy — odpowiedziałem.

Żołnierze, składnie złożywszy karabiny i pistolety maszynowe na chodniku, ustawili się znowu w kolumnę. Żaden nie zdjął hełmu.

Pytam:

— Dlaczego nie zdjęli hełmów? Przecież nikt już nie strzela.

— Nie — brzmiała odpowiedź — pozostaniemy w hełmach, gdyż pada deszcz...

Zezwoliłem im iść do niewoli w hełmach, skoro tak się im podoba.

Zresztą po przejściu około trzydziestu metrów zaczęli sami zrzucić hełmy na jezdnię...

Lejtnant I. BAKAŁOW



KAPITULACJA HITLEROWSKICH WOJSK W BERLINIE



Wyjątki z pamiętników i listów

2 maja.

— Skończone — powiedział kapitan Kudiakow — można teraz umyć się w tej rzece, nad której brzegiem Goebbels marzył w księżycowe noce.

Sierżant gwardii G. CZERNYSZEW

Stałem dziś z mym przyjacielem telefonistą Kukszynem koło gmachu Reichstagu. Zauważyłem, że jest jakoś dziwnie zamyślony — więc pytam:

— Coś ty się tak zamyślił?

Milczy. A potem powiada wreszcie:

— Tak wielką miał siłę Hitler, a jednak złamaliśmy ją.

Starszy sierżant I. ZDANOW

U samej Bramy Brandenburskiej wypiliśmy z towarzyszami po szklance wina na cześć zwycięstwa. Potem postanowiliśmy przejść się trochę i popatrzeć na niemiecką stolicę — jak to ona dziś wygląda.

Patrę — na ławce siedzą trzy kobiety. „O — myślę — już wylazły Niemki i grzeją się na słońcu“. Zwymyślałem je nawet. A one usłyszały zapewne i krzyczą za mną:

— Myśmy Rosjanki, cóż to, nie poznajecie swoich?

Patrę, rzeczywiście wyglądają na nasze dziewczęta. I nagle stanąłem jak wryty. Poznałem swoją znajomą — dziewczynę z naszej wsi. W jaki sposób znalazły się tu i jeszcze do tego w taki dzień — droga moja Ania i jej siostry Klawa i Marusia. Cztery lata nie widziałem Ani, a siedziałem z nią jeszcze na jednej ławie szkolnej. Ania płacze.



Order „Stawy“

Twarz miała opaloną prochem. Pracowały w berlińskiej fabryce, a mieszkały w obozie. Gdy je wyzwolono, Ania i jej siostry zaczęły pomagać naszym rannym.

Tak oto spotkaliśmy się prawie u samej Bramy Brandenburskiej.

Dowiedziałem się tu także, że i moje siostry Jura i Dunia zostały przez hitlerowców wywiezione. Niestety, Ania nie wiedziała, gdzie się one znajdują.

Pobiegłem do naszego dowódcy. Wszystko mu opowiedziałem, a on kazał mi poprosić rodaczki, aby odwiedziły nasz batalion.

Wieczorem napisaliśmy z Anią wspólny list do swojej wioski o naszym spotkaniu i posłaliśmy pozdrowienia wszystkim krewnym i sąsiadom w dniu wielkiego zwycięstwa.

Szeregowiec A. WOROBIEW

Znalazłem się w Reichstagu wówczas, gdy walki już się skończyły. Zadymione ściany pokryte były tysiącami napisów złożonych przez radzieckich żołnierzy...

Na jednej z kolumn przeczytałem w pośpiechu nakreślone kredą słowa:

„Od Pieno do Berlina. Sierżant gwardii Kuniawin“. Napis ten obudził we mnie wiele wspomnień. Czyż to ty, Piotrze Kuniawin, mój dawny dobry przyjacielu, towarzyszu broni?

Rozstaliśmy się zimą 1943 roku na północno-zachodnim froncie.

Wielu ludzi zna maleńką wioskę Pieno, zagubioną wśród lasów kalińskiego obwodu. Wioska ta stała się sławna dzięki Lizie Czajkinie.

Tam w Pieno byłem u kaemisty Kuniawina ładowniczym i stąd poszliśmy razem do natarcia.

W pewnej krwawej potyczce zostaliśmy obaj ranni i po walce znaleźliśmy się obok siebie na noszach w batalionie sanitarnym.

I wtedy Kuniawin zwrócił się do mnie na wpół żartem, na wpół serio:

— No, bracie, jeśli dostaniemy się do różnych szpitali, to spotkamy się chyba aż w Berlinie.

Rzeczywiście odesłano nas do różnych szpitali, a potem gdziekolwiek walczyłem, nigdzie o nim nie słyszałem.

Obszedłem wszystkie sale Reichstagu i znowu wróciłem do tej kolumny, na której widniał napis. Do podpisu sierżanta gwardii Kuniawina dodałem swój podpis. Czy dowie się kiedyś mój towarzysz broni, że razem zdobywaliśmy Berlin?

Starszy sierżant N. GLUSZKO

Tego, co dziś przeżyłem, nie potrafię opisać. Oto długo oczekiwany, niezapomniany dzień. Ach, jak czekaliśmy na ciebie — radosny, słoneczny,

wiosenny dniu naszego zwycięstwa! Jakimi słowami mam wyrazić tę wielką radość?

Starszy lejtnant gwardii P. KUCZANSKI

Oto święto zwycięstwa! Czołgi nasze zakończyły swój bojowy marsz o sto metrów przed Reichstagem, nad którym powiewa czerwony sztandar. Rozpoczęliśmy pod Moskwą nasz żołnierski szlak — a skończyliśmy w Berlinie. I tego dnia, 2 maja, gdy cisza zapanowała w pokonanym Berlinie, gdy nad domami powiewały nasze czerwone sztandary — symbol naszej walki i naszego szczęścia — pierwsze słowa pełne miłości skierowaliśmy do tego, który poprowadził nas ku szczytom naszego zwycięstwa. Cześć wielkiemu Stalinowi!

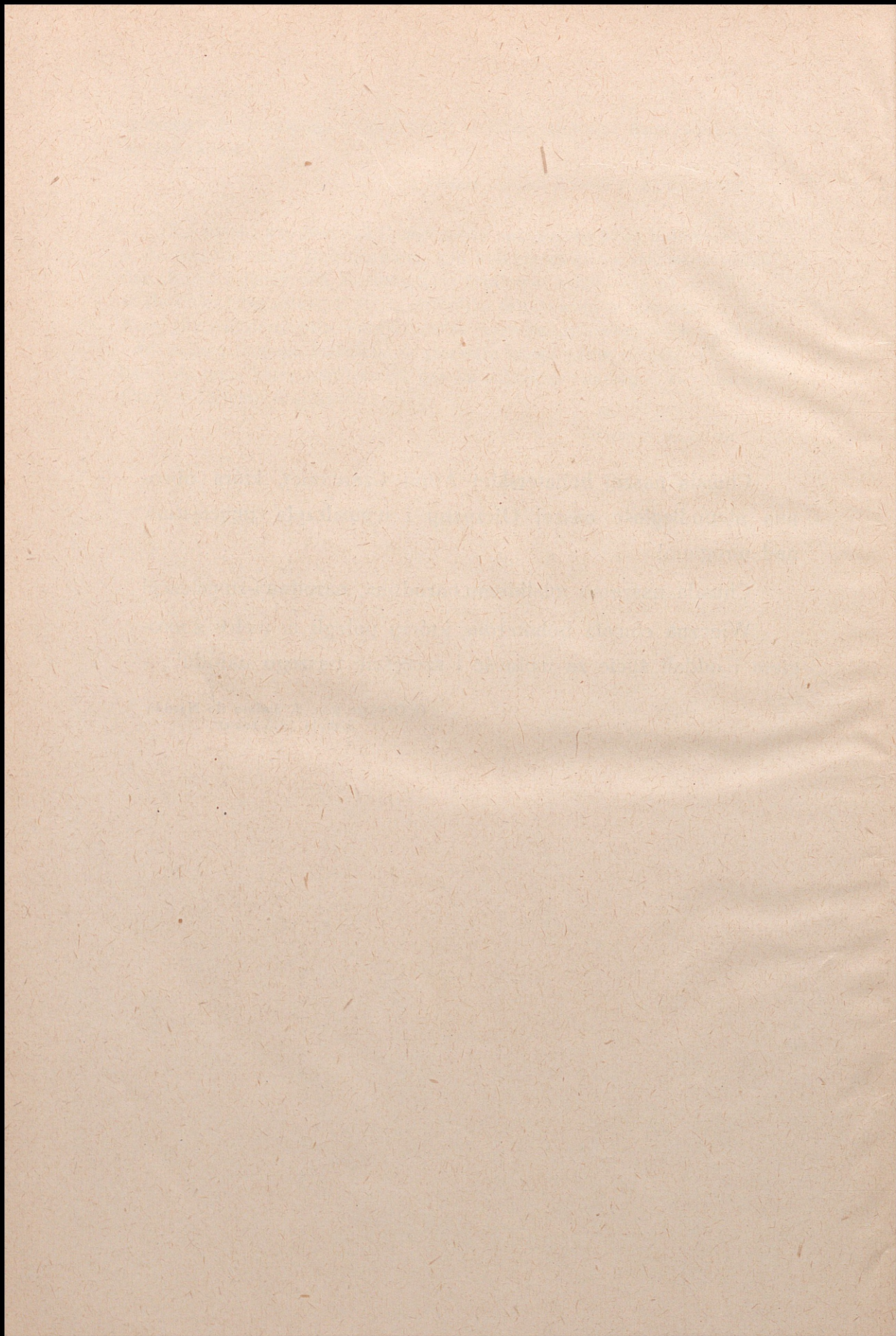
Major P. OLEJNIK

Chwała naszej bohaterskiej Armii Czerwonej, która obroniła niepodległość naszej Ojczyzny i wywalczyła zwycięstwo nad wrogiem!

Chwała naszemu wielkiemu narodowi, narodowi-zwycięzcy!

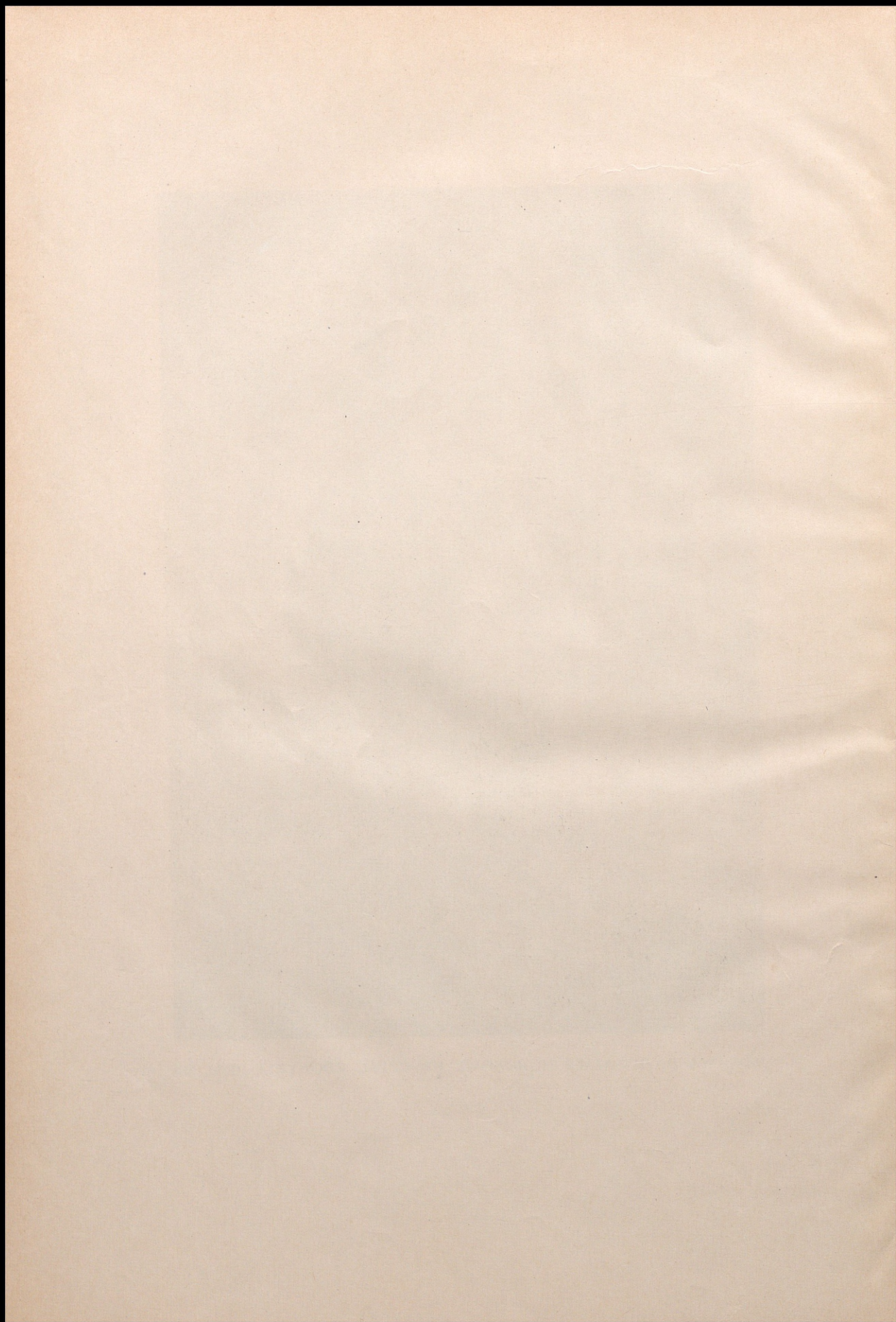
Wieczna chwała bohaterom, którzy polegli w walce z wrogiem i oddali życie za wolność i szczęście naszego narodu!

(z Orędzia tow. J. Stalina do Narodu
9 maja 1945 roku)





MOSKWA DAJE SALWY HONOROWE NA CZEŚĆ ZDOBYCIA BERLINA



Spis Rzeczy

Bitwa o Berlin

7

Na Odrzańskich przyczółkach

A. KORCZAGIN, szeregowiec — Koło młyna na brzegu Odry	15
I ŁADUTKO, Bohater Związku Radzieckiego, major gwardii — Batalion nad Odrą	17
W. NORSEJEW, Bohater Związku Radzieckiego, starszy sierżant — Trzy doby	21
E. ZAGORODNYJ, starszy sierżant gwardii — Moździerzowcy na linii bojowej	25
I. SOŁOD, starszy sierżant gwardii — Na stanowisku dowodzenia batalionu .	29
P. SYSOJEW, starszy sierżant — Czterech na wzgórzu	31
M. TOLSTOŁOBOW, starszy sierżant — Pod Kostrzyniem	34
J. PISAREW, sierżant — Zwiadowcy Korola	39
P. SINIELNIKOW, Bohater Związku Radzieckiego, starszy lejtnant — Bateria na grobli	42
A. TIAPUSZKIN, Bohater Związku Radzieckiego, sierżant — Pojedynek artyleryjski	45
S. PANOW, Bohater Związku Radzieckiego, starszy sierżant — Walka wręcz .	48
A. GOŁUNIENKO, sierżant gwardii — Iępitymacja partyjna	51

Przełamanie

Z pamiętników i listów. 16 kwietnia. St. sierżant W. SUTYRIN, kapitan gwardii A. KULISZ, szeregowiec gwardii N. TKACZENKO, młodszy sierżant J. WOŁOBUJEW, starszy sierżant W. CZEREMUCHIN, sze-

regowiec gwardii I. SAPRYKIN, sierżant gwardii G. CZERNYSZEW, lejtant A. FRIAZINOW, kapitan KUŻMIENKO	57
W. CZUJKOW, dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego, general-pułkownik gwardii — Sławnym szlakiem	67
A. POPOW, pułkownik — Noc przed szturmem	71
A. SZYŁOW, starszy sierżant gwardii — Radosna chwila	73
T. JAKIMOW, lejtant gwardii — Na Nysie	76
W. WŁADIMIROW, starszy sierżant gwardii — W eterze	82
W. BIERDYSZEW, Bohater Związku Radzieckiego, szeregowiec — Przez pola minowe	84
D. CZYBISOW, szeregowiec gwardii — Razem z piechotą	86
E. CYTOWSKI, Bohater Związku Radzieckiego, major gwardii — Na wzgó- rzach Seelowskich	89
A. KURASOW, sierżant gwardii — Na stanowisku dowodzenia wyrzutni ra- kietowych	92
SZ. GOGLIDZE, starszy sierżant gwardii — Czołg na wzgórzach	95
Z pamiętników i listów. 18 kwietnia. Kapitan gwardii A. BRONSZTEJN, Bohater Związku Radzieckiego, starszy lejtant K. USENBEKOW — Śmierć niemieckim okupantom	98
W. NOSOK, szeregowiec — Przed stacją Schönfluss	101
P. SZEWCZENKO, kapitan gwardii — Trzecia noc	103
Z pamiętników i listów. 19 kwietnia. A. FOKIN, młodszy lejtant gwardii, kapral gwardii N. POŁOWINCZENKO, młodszy sierżant M. SAFONOW, major SMIRNYCH, podpułkownik gwardii KACZTOW	106
E. LISICYN, general-major — Nasze odezwy, hasła i sztandary	108
N. POPIEL, general-lejtant gwardii Wojsk Pancernych — Przywódcy	112
I. DUSZKA, starszy lejtant — Pierwsza noc w powietrzu	115
W. BIEŁOUSOW, Bohater Związku Radzieckiego, pułkownik gwardii — Nad polem walki	119
A. OWIECZKIN, kapitan — W chmurach nad Szprewą	123
I. WŁASOW, major — Natarcie na lotnisko Neu Ruppin	127

Na przedmieściach i krańcach Berlina

Z pamiętników i listów. 21 kwietnia. Major gwardii WORABIŃSKI	131
22 kwietnia. Bohater Związku Radzieckiego lejtant K. USENBEKOW, kapitan gwardii A. BRONSZTEJN, szeregowiec N. KONDYRIEW, lejtant A. FRIAZINOW, szeregowiec F. CZARUPA, szeregowiec A. KOZŁOW	131
A. ROMANOW, lejtant — Czołgi wdzierają się na przedmieścia Berlina	135

M. TOŁKACZOW, Bohater Związku Radzieckiego, kapitan — Raid na autostradę	140
A. LEBIEDIEW, Bohater Związku Radzieckiego, kapitan — U wrót Berlina	145
P. SINIELNIKOW, Bohater Związku Radzieckiego, starszy lejtnant — Pierwsza noc w Berlinie	148
A. IGNATIEW, Bohater Związku Radzieckiego, pułkownik gwardii — Czerwony sztandar nad Marzahn	152
M. DUKA, Bohater Związku Radzieckiego, general-major — Łódkami przez Szprewę	154
A. KLIMKOWICZ, młodszy lejtnant gwardii — Saperzy przy barykadzie	157
IWANICHIN, kapitan gwardii — Pierwsza salwa na Berlin	160
A. WOŁKOW, starszy sierżant — Barykada pod mostem	163
G. CZIORNIEŃKI, starszy sierżant gwardii — Przy aparacie i na linii	165
P. RYBAŁKO, dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego, marszałek Wojsk Pancernych — Uderzenie z południa	170
N. FACHRUTDINOW, młodszy lejtnant — Podejście do kanału Teltow	174
M. SINOCZKIN, kapitan — Rozkaz — na Berlin!	178
W. ROMANOW, młodszy sierżant gwardii — O wschodzie słońca	181
J. PADORIN, sierżant gwardii — Do zwycięstwa	184
EDIELEW, starszy lejtnant gwardii — Przez kanał	186
R. SZARIKOW, młodszy lejtnant — Duma	190
L. ŻURAWLJOW, sierżant gwardii — Zdobycie stacji towarowej	193
A. RADZIEJOWSKI, starszy sierżant — W czołgu Nr 376	195
W. TAGANCEW, młodszy lejtnant — Spotkanie w tunelu	199
List instruktorki sanitarnej	202
J. NORECKO, st. strzelec — Na moście	207
Z pamiętników i listów. 23 kwietnia. Major ŁADYNIN, młodszy lejtnant K. GROMOW, kapitan gwardii A. BRONSTEIN, lejtnant gwardii SZABROW, starszy lejtnant gwardii K. IWANOW	210

Forsowanie Szprewy

N. WASILCZENKO, starszy sierżant gwardii — Zwiadowcy na Szprewie	217
I. SZEWCZENKO, szeregowiec gwardii — Chorążowie	220
W. KURNACISZWILI, pułkownik — Walka o przyczółek	223
I. KUZMIN, pułkownik — Przeprawa w rejonie Warschauerstrasse	225
A. SURŻOK, starszy lejtnant — Na „Małej Ziemi“	228
S. GUSARIN, major gwardii — Na Szprewie przy Parku Treptowa	231
N. SZERSTOBITOW, kapitan — Śmierć bohatera	233
K. KONDRATIUK, starszy lejtnant gwardii — Działo na strychu	235

Z pamiętników i listów. 24 kwietnia. Kapitan **KUZMIENKO**, st. strzelec **N. TEREŃTIEW**, lejtnant **E. KAKASZWILI**, szeregowiec **L. GERASIMOW**, st. saper **D. KATKOW**, starszy lejtnant gwardii **S. BARYSZNIKOW**, podpułkownik służby zdrowia **W. WÓLKOW**, kapitan **I. SEN-CZA**

237

W stałowych kleszczach naszych wojsk

<i>W. NAZAROW</i> , major — Okrążenie Berlina	247
<i>N. MIESZKOW</i> , kapitan gwardii — Na linii Freidorfu	253
<i>PAKUŁOW</i> , kapitan gwardii — Koło Halbe	257
<i>A. POKRYSZKIN</i> , trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego, pułkownik gwardii — Na lotnisku w Juterbog	262

W centralnych dzielnicach

<i>A. KOŁOMIN</i> , szeregowiec gwardii — Balon na uwięzi nad Berlinem	269
<i>MARTYNOW</i> , starszy lejtnant — W drugim rzucie	273
<i>N. ALEKSANDROWSKI</i> , starszy lejtnant — Wśród ruin	277
<i>KIM</i> , starszy lejtnant gwardii — Z pilnikiem na linii ognia	279
<i>J. KAWALERISTOW</i> , szeregowiec — W drodze do baterii	282
<i>I. SJEMIN</i> , strzelec gwardii — Po piwnicach i dachach	285
Z notatek radiotelegrafistów. Szeregowiec <i>Z. MILMAN</i> , starszy sierżant gwardii <i>W. BARANOW</i>	288
<i>G. ROSZCZYN</i> , starszy sierżant — W batalionie Makojewa	292
Z dzienników i listów, 28 kwietnia. Szeregowiec <i>T. KOWAL</i> , starszy sierżant gwardii <i>I. PUZYRIEW</i> , starszy lejtnant <i>P. BOGOMIACZKOW</i> , strzelec <i>A. JANIENKOW</i> , starszy sierżant <i>I. ŻWAŃCZYK</i> , kapitan <i>I. SJENCZA</i> , młodszy lejtnant <i>SZ. ŻULMAGAMBETOW</i> , starszy lejtnant gwardii <i>P. RACHMANIN</i> , kapitan <i>KUZMIENKO</i> , starszy strzelec <i>T. CUŁUKIDZE</i> , starszy sierżant <i>F. ŻURAWLEW</i> , kapitan gwardii <i>KISJELEW</i>	295
<i>A. TER-AKOPIAN</i> , kapitan — Na Kommandantenstrasse	303
<i>MONASTYRSKI</i> , starszy lejtnant — Jedna walka mojej kompanii	307
<i>I. SJENCZA</i> , kapitan — Zdobywanie Dworca Anhaltzkiego	311
<i>A. CZERNIENKO</i> , młodszy lejtnant gwardii — Desant czołgowy na Kurfuers- stenstrasse	313

A. KURASOW, <i>sierżant gwardii</i> , P. PAJUSOW, <i>starszy strzelec gwardii</i> — Wyrzutnie raketowe oczyszczają drogę	315
ILIUCHIN, <i>lejttnant gwardii</i> — Na Landwehr - Kanal	319
MICZURIN, <i>lejttnant</i> — Przez zawalę	322
OSIETROW, <i>starszy lejttnant gwardii</i> — Przeprowa koło parku Charlotten- burskiego	324
A. FOMIENKO, <i>kapitan</i> — Na Breslauerstrasse	326

Epizody walk o Alexanderplatz.

Walka o skrzyżowanie — <i>starszy sierżant gwardii</i> A. BANDROWSKI. Niemy dom — <i>sierżant gwardii</i> W. SOROKIN. Bohaterstwo kierowcy — <i>sierżant gwardii</i> A. LESZCZUKOW. Na podejściach do Polizei-Präsi- dium — <i>kapitan gwardii</i> M. DAWYDOWICZ. Przed szturmem — <i>sier- żant gwardii</i> I. PIESZCZAŃSKI. Szturmowanie Polizei-Präsidium — <i>major gwardii</i> STRATULOT. Kompanie spotykają się wewnątrz gma- chu — <i>starszy sierżant gwardii</i> K. BEKABU. Na Alexanderplatz — <i>starszy sierżant gwardii</i> A. PADUNOW. Bohaterski czyn komsomolca Jaszagaszwili — <i>podpułkownik gwardii</i> KACZTOW. Dom koło mostu — <i>starszy sierżant gwardii</i> M. LIOGKICH	329
---	-----

Epizody walk o ratusz.

Pod osłoną czołgów — <i>major</i> D. SKWORCOW. Na stanowiskach ognio- wych — <i>sierżant</i> M. KOSJENKO. Szturm — <i>młodszy lejttnant</i> K. GRO- MOW. Walka na strychu — <i>młodszy sierżant</i> N. NIKITCZENKO	342
W. ILJIN, <i>kapitan gwardii</i> — Haubice posuwają się naprzód	348
W. JERMURATSKI, <i>major</i> — Jeden dzień	350

Zdobycie Reichstagu

K. AKINSZIN, <i>major</i> — W płonącym Lustgartenie	355
P. MURAWIEW, <i>major</i> — Na podejściach do Reichstagu	358
W. PANFIŁOW, <i>Bohater Związku Radzieckiego, pułkownik gwardii</i> — Z wy- sokości 100 metrów	360
C. PIEREWIORTKIN, <i>Bohater Związku Radzieckiego, generał major</i> — Decy- dujące uderzenie	364
F. ZINCZENKO, <i>Bohater Związku Radzieckiego, pułkownik</i> — Ze Sztandarem Zwycięstwa	370
K. SAMSONOW, <i>Bohater Związku Radzieckiego, starszy lejttnant gwardii</i> — Jak wdarliśmy się do Reichstagu	376
I. MATWIEJEW, <i>kapitan</i> — Z czołowym batalionem	378
M. JEGOROW, <i>Bohater Związku Radzieckiego, sierżant</i> — Sztandar Zwy- cięstwa nad Reichstagiem	382

I. ZENKIN, major — Na posiedzeniu komisji partyjnej	385
A. PRIEŁOW, kapitan — Nasza Ulotka-Blyskawica	388

Kapitulacja Berlina

S. POŁUSZKIN, kapitan — Bohaterski czyn Matwieja Czugunowa	393
A. ŻUKOW, kapitan gwardii — Walka o metro	395
I. CZCHEIDZE, szeregowiec — Po krwawym śladzie	398
I. PAŁKIN, młodszy lejtnant gwardii — Zdobycie Ogrodu Zoologicznego	400
G. OSINIECKI, kapitan gwardii — Walka w Ogrodzie Zoologicznym	402
N. SZATIŁOW, starszy sierżant — Materiał do ostatniego numeru	405
Z pamiętników i listów. 1 maja. Starszy lejtnant gwardii N. USKOW.	
Młodszy lejtnant W. BONDARIEW. Sierżant gwardii P. CZERKASOW.	
Sierżant A. BARANNIKOW. Kapitan I. SJENCZA. St. szeregowiec	
gwardii A. SLJEPUCHIN. Młodszy sierżant N. TIMOSZENKO. Lejtnant	
gwardii A. BUJNAK. Starszy sierżant P. NIKOŁAJEW. Szeregowiec	
T. KOWAL. Sierżant gwardii W. PROCOK. Bohater Związku Radziec-	
kiego podpułkownik gwardii W. BUJANOW	408
M. PANKOWSKI, major; J. PANTIUCHOW, starszy lejtnant — U Bramy	
Brandenburskiej	414
N. PIESKOW, starszy sierżant — Komsomolcy w walce o pałac Wilhelma	418
A. TRAJNIN, starszy lejtnant — Na Unter Den Linden	421
W ostatnich godzinach.	
Lejtnant gwardii ARGELANDER. Major MAŁYCH. Szeregowiec gwar-	
dii I. KOBLIK. Starszy sierżant gwardii SAPRONOW. Młodszy sierżant	
gwardii S. SZKUTENKO. Lejtnant I. BAKAŁOW	424
Wyjątki z pamiętników i listów. 2 maja.	
Sierżant gwardii G. CZERNYSZEW. Starszy sierżant I. ZDANOW.	
Szeregowiec A. WOROBIEW. Starszy sierżant N. GŁUSZKO. Starszy	
lejtnant gwardii P. KUCZANSKI. Major P. OLEJNIK	433





503/
13